

Noah Gordon

Urodził się w Worcester w stanie Massachusetts, kształcił w prywatnych szkołach tego miasta, potem studiował na uniwersytecie w Bostonie, gdzie ukończył dziennikarstwo (1950) oraz filologię angielską (1951). Przez kilka lat pracował w jednym z nowojorskich wydawnictw jako redaktor, później był reporterem w „Boston Herald” i wydawcą czasopism medycznych („Psychiatric Opinion”, „The Journal of Human Stress”). Zrezygnował z dziennikarstwa, by napisać swą pierwszą powieść: Rabin. Sukces przerósł jego oczekiwania: na prestiżowej liście bestsellerów „New York Timesa” książka utrzymywała się przez 26 tygodni. Dużym powodzeniem cieszyły się także następne jego powieści: The Death Committee (Komitet śmierci) \ Jeruzalem Diamond (Diament z Jerozolimy), a Mediom (The Physician) i Szaman (Shaman) przyniosły mu międzynarodową sławę i wiele nagród (m.in. nagrodę J. F. Coopera przyznaną przez Stowarzyszenie Historyków Amerykańskich „za wysoki poziom literacki fikcji historycznej, łączącej talent historyka z kunsztem pisarza”).

Nakładem

Wydawnictwa „Książnica”

ukazały się powieści

Noaha Gordona

LEKARZE

MEDICUS

SZAMAN

SPADKOBIERCZYNI MEDICUSA

Noah Gordon

Rabin

Przełożył z angielskiego Łukasz Nicpan

Wydawnictwo „Książnica”

Tytui oryginału The Rabbi
Opracowanie graficzne Marek J. Piwko
Konsultacja judaistyczna Michał Friedman
Redaktor
Łucja Grudzińska
Copyright © 1965 by Noah Gordon
For the Polish edition
Copyright © by Wydawnictwo „Książnica”, Katowice 1996
ISBN 83-7132-459-6

Dedykuję moim Rodzicom
Rosę i Robertowi Gordonom
oraz Lorraine

Kiedy patrzę na Twoje niebiosa, dzieło palców
Twoich, na księżyc i gwiazdy, któreś ustanowił:
Cóż jest człowiek, że pamiętasz o nim,
syn człowieczy, że go nawiedzasz? Uczyniłeś go niewiele
mniejszym od niebieskich
mocy, chwałą i blaskiem ukoronowałeś go.
Postawiłeś go władcą nad dziełami rąk twoich,
wszystko poddałeś pod stopy jego...

Psalm VIII (Przeł. Czesław Miłosz)
Księga pieYw\$La
Początki

,
WOODBOROUGH, MAS SACHUSETTS Listopad 1964
roku

ROZDZIAŁ PIERWSZY

W mroźny poranek w dniu swoich czterdziestych piątych
urodzin rabin Michael Kind leżał samotnie w szerokim
mosiężnym łóżu odziedziczonym po dziadku i stara! się
czepiać resztek snu, wbrew woli wsłuchując się w dochodzące
z kuchni odgłosy krzątaniny.

Po raz pierwszy od wielu lat przyśnił mu się Izaak Rywkind. Kiedy Michael był małym chłopcem, dziadek opowiadał mu, że ilekroć żyjący myślą o umarłych, ci czują w raju, że są kochani, i ogarnia ich radość.

— Kocham cię, zejść — powiedział rabin.

Zda! sobie sprawę, że powiedział to głośno, gdy dobiegające z dołu hałasy na chwilę przycichły. Pani Moscovitz uznałaby pewnie za dziwactwo, że mężczyzna wkraczający w wiek średni czerpie pociechę z przemawiania do starca, który umarł blisko trzydzieści lat temu.

Zszedł na dół. W jadalni przy staroświeckim stole siedziała Rachela. Zgodnie z ustalonym rodzinnym zwyczajem w urodziny składano przed śniadaniem obok nakrycia solenizanta laurki z życzeniami i drobne upominki.

Strażniczki tego zwyczaju, żony rabina, Leslie, nie było jednak w domu już od trzech miesięcy. Miejsce obok jej talerza świeciło pustką.

Rachela pólleżała z brodą na lnianym obrusie i przebiegała wzrokiem linijki druku opartej o cukiernicę książki. Niebieską marynarską bluzkę zapięła na wszystkie guziczki i włożyła czyste białe skarpetki, ale jej gęste blond włosy okazały się jak

RABIN

zwykle zbyt wielkim wyzwaniem dla cierpliwości ośmiolatki. Pochłaniała książkę w szalonym pośpiechu, przeskakując wzrokiem z wersu na wers, aby wyczytać jak najwięcej, zanim przerwie jej lekturę nieuchronny zakaz. Kilka sekund zyskała dzięki wejściu do jadalni pani Moscovitz z dzbankiem soku pomarańczowego.

— Dzień dobry, rabi! — przywitała Michaela ciepło gospodyni.

— Dzień dobry, pani Moscovitz.

Udał, że nie zauważa gniewnego zmarszczenia brwi, którym kobiecina wyraziła swoje niezadowolenie. Od tygodni

nalegała, by mówił jej po imieniu: Lena. Pani Moscovitz była czwartą gospodynią, jaką mieli w ciągu ostatnich jedenastu tygodni, odkąd zostali sami. Nie ścierała kurzu, przypalała jajecznicę, mimo uszu puszczała ich prośby o cymes i kugel, gotowała tylko mrożonki i jeszcze oczekiwała za to wszystko gorących pochwał.

— Jakie życzy pan sobie jajka, rabi? — zapytała, stawiając przed nim szklanekę mrożonego soku pomarańczowego, zanadto, jak się obawiał, rozcieńczonego.

— Na miękko, pani Moscovitz, jeśli wolno prosić. — Skupił uwagę na córce, która zdążyła tymczasem przebiec wzrokiem dwie kolejne strony. — Dzień dobry. Chyba będę cię musiał uczesać.

— ...ńdobry. — Rachela przewróciła stronę.

— Ciekawa książka?

— Bycza!

Sięgnął po książkę i zerknął na tytuł. Rachela westchnęła, świadoma, że gra się skończyła. Powieść należała do gatunku kryminału dla młodzieży. Rabin położył ją na podłodze obok krzesła. Z góry doleciały żwawe śpiewne dźwięki ustnej harmonijki, dowód na to, że Max całkiem się już obudził. Gdy mieli więcej czasu, rabi Kind nawet lubił grać rolę Saula przy szesnastoletnim Dawidzie, teraz jednak zdawał sobie sprawę, że jeśli się nie wtrąci, Max nie zje śniadania.

Zawołał syna i harmonijka umilkła w środku jakiejś skocznej imitacji melodii ludowych. W kilka minut później Max, z umytą twarzą i mokrymi włosami, zasiadł przy stole obok siostry i ojca.

...;• RABIN

_ jsfie wiem czemu, ale czuję się dziś od rana jak starzec _
stwierdził Michael.

Max roześmiał się.

_ Coś ty, tato, ty wciąż jesteś dzieckiem! — oświadczył sięgając po nie dopieczony tost.

Rabin rozbił łyżeczką skorupkę jajka i ogarnęła go litość nad samym sobą równie silna jak woń perfum pani Moscovitz. Jajka, które miały być na miękko, zostały ugotowane na twardo. Rachela i Max pałaszowali to, co im podano, bez słowa skargi, zaspokajali po prostu głód, więc i Michael zjadł bez smaku jajka na twardo, ciesząc się jedynie tym, że może patrzeć na swoje dzieci. Jakie to szczęście, pomyślał, że są podobne do matki, że mają po niej włosy z połyskiem płomyka świecy odbitego w miedzianej blasze, zdrowe białe zęby i cerę, która aż prosi się o piegi. Po raz pierwszy spostrzegł, że Rachela jest blada. Dotknął twarzy córki, a ona potarła policzkiem o jego dłoń.

— Pobiegnij dziś trochę po dworze — poradził. — Wdrap się na jakieś drzewo. Posiedź na ziemi. Nawdychaj się mroźnego powietrza. — Spojrzał na syna. — A może twój brat, ten sportowiec wyczynowy, zabrałby cię na łyżwy?

Max pokręcił głową.

— Nie da rady! Scooter ustawia dziś po południu drużynę i przydziela każdemu pozycję. Słuchaj, czy mógłbym sobie kupić hokejówki, kiedy dostanę na święto chanuka czek od dziadka Abe'a?

— Jeszcze go nie dostałeś. Pomówimy o tym, jak przyjdzie.

— Tatku, czy mogę zagrać Pannę Marię w szopce?

— Nie.

— Mówiłam panie Emmons, że mi nie pozwolisz! Michael odsunął krzesło.

— Biegnij na górę, córuś, i przynieś szczotkę, muszę cię uczesać. Pospiesz się, beze mnie nie zbiorą minjanu w bóżnicy.

Jechał przez miasto o szarym poranku typowym dla zim w Massachusetts. Synagoga Bejt Szalom znajdowała się dwie

przecznice od handlowego centrum Woodborough. Mieściła się w budynku liczącym dwadzieścia osiem lat, staromodnym, NOAH GORDON

lecz solidnie zbudowanym. Michaelowi udawało się jak dotąd hamować ambicje tych członków gminy, którzy pragnęliby wznieść nowocześniejszą świątynię na peryferiach miasta. Zaparkował na małym, obsadzonym klonami parkingu i po schodach z czerwonej cegły wszedł do synagogi, jak to robił co rano od ośmiu już lat. W gabinecie zdjął palto i zmienił znoszony brązowy pilśniak na czarną jarmułkę. Następnie, mamrocząc pod nosem błogosławieństwo, musnął wargami frędzle tałesu, narzucił go na ramiona i mrocznym korytarzem przeszedł do świątyni. Witając się z siedzącymi na białych ławkach mężczyznami, odruchowo porachował ich wzrokiem. Sześciu, licząc obu żałobników, Joela Price'a, który właśnie stracił matkę, i Dana Levine'a, któremu pół roku wcześniej zmarł ojciec.

Ze mną siedmiu, skonstatował Michael.

Kiedy wchodził na bimę, przez frontowe drzwi wbiegło dwóch mężczyzn i otupało ze śniegu buty.

— Jeszcze tylko jeden! — westchnął Joel zdenerwowany, że może się nie zebrać dziesięciu mężczyzn, potrzebnych do odmówienia kadiszu, modlitwy, którą każdy pobożny Żyd winien przez jedenaście miesięcy, rano i wieczorem, odmawiać po śmierci któregoś z rodziców.

Michael zawsze wyglądał tego dziesiątego z niepokojem.

Powiódł wzrokiem po pustej świątyni.

Witaj, Boże, przywitał w myślach Pana.

Błagam Cię, Boże, spraw, by dzisiejszy dzień stał się dniem jej wyzdrowienia. Ona na to zasługuje, a ja bardzo ją kocham.

Pomóż jej, proszę Cię, Boże. Amen.

Zaczął nabożeństwo od błogosławieństw porannych, które nie są modlitwami zbiorowymi, więc nie wymagają minjanu —

obecności dziesięciu mężczyzn: „Pochwalonyś Ty, Wiekuisty, Boże nasz, Królu wszechświata, który obdarzyłeś koguta mądrością odróżniania nocy od dnia...” Wspólnie podziękowali Bogu za otrzymaną wiarę, wolność, męskość i siłę. Dziękowali Mu właśnie za to, że spędził sen z ich oczu i drzemanie z powiek, gdy przybył wyczekiwany dziesiąty mężczyzna, Jake Lazarus, kantor — jeszcze ze snem w oczach i drzemaniem na powiekach — a wtedy zebrani uśmiechnęli się do rabiego i odetchnęli z ulgą.

;-,. RABIN

1

Po skończonym nabożeństwie dziesięciu mężczyzn wrzuciło do puszek datki dla bezdomnych i nędzarzy, pożegnało się spieszenie i wybiegło do swoich firm, urzędów i warsztatów. Michael zszedł z bimy, usiadł na białej ławce w pierwszym rzędzie, oświetlonej wpadającym przez wysokie okno pojedynczym promieniem słońca. Kiedy pierwszy raz wszedł do Bejt Szalom, ów promień światła zachwyił go swoim dramatycznym pięknem; obecnie wola! w zimowe poranki siedzieć tu, w ciepłe słońca niż pod kwarcówką w YMHA.* Przez jakiś czas siedział i przyglądał się wirującym w słonecznej smudze pyłkom. W opustoszałej świątyni panowała niczym nie zmacona cisza. Michael zamknął oczy i wyobraził sobie długie fale u brzegów Florydy, zielone kwitnące drzewka pomarańczowe w Kalifornii, a potem inne strony, gdzie mieszkali: głębokie śnieżne zasy w górach Ozark, pola Georgii rozbrzmiewające granie pasikoników i mokre po deszczu lasy Pensylwanii. Niepowodzenia odniesione w tylu różnych miejscach, pomyślał, dają rabinom na pocieszenie niezłą znajomość geografii. Po kilku minutach zerwał się z poczuciem winy i wybiegł, by odbyć rundę rabinackich wizyt. Pierwszą wyznaczyła mu troska o żonę.

Tereny szpitala stanowego w Woodborough przyjezdni brali czasem za kampus college'u, napotkawszy jednak w połowie długiej krętej alejki dojazdowej Hermana, pozbywali się resztek wątpliwości co do charakteru tego przybytku.

Michael miał przed sobą wyjątkowo wypełnione przedpołudnie, a wiedział, że Herman zadba już o to, by reszta drogi na parking, która bez jego pomocy trwałaby kilkadziesiąt sekund, zajęła dziesięć minut.

Herman, ubrany w dzwonowate ogrodniczki, stare palto w groszki, czapkę baseballową drużyny „Orioles” i puchate, niegdyś białe nauszники, trzymał w rękach pomarańczowe rakiety do ping-ponga. Cofał się i z niezwykłym skupieniem * Young Men's Hebrew Association, Stowarzyszenie Męskiej Młodzieży Żydowskiej (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

NOAH GORDON

kierował samochodem, pamiętając, że ciąży na nim odpowiedzialność za życie pilota i bezpieczeństwo drogiego państwowego samolotu. Dwadzieścia lat temu, podczas wojny, Herman służył jako manewrowy na lotniskowcu. Pewnego dnia ubrał sobie, że dalej pełni tę służbę. Od czterech lat wychodził na spotkanie nadjeżdżającym autom i pilotował je na szpitalny parking. Był zawałidrogą, ale zawałidrogą fascynującym. Choćby Michaelowi ogromnie się spieszyło, zawsze skwapliwie odgrywał rolę, jaką mu wyznaczyła choroba Hermana.

Michael piastował stanowisko rabina szpitalnego dla żydowskich pacjentów, co zajmowało mu pół dnia w jego tygodniowych zajęciach. Uzgodnił, że będzie pełnił swoją posługę w biurze kapelana do chwili, gdy go zawiadomią, że Dań Bernstein, psychiatra Leslie, jest wolny.

Tymczasem Dań już na niego czekał.

— Przepraszam za spóźnienie — usprawiedliwił się Michael.

— Zawsze zapominam o zarezerwowaniu paru dodatkowych minut dla Hermana.

— On mnie zaczyna niepokoić — przyznał lekarz. — Co by pan zrobił, gdyby któregoś dnia wpadło mu do głowy dać w ostatniej chwili znak, żeby pan zatoczył koło i podszedł do lądowania jeszcze raz?

— Szarpnąłbym za drążek i moje kombi przeleciałoby z rykiem silników nad budynkiem administracji.

Doktor Bernstein opadł na jedyny wygodny fotel w pokoju, zsunął brązowe kapcie i pokręcił palcami stóp. Następnie westchnął i zapalił papierosa.

— Jak się miewa Leslie? — zapytał Michael.

— Bez zmian.

Rabin Kind oczekiwał pomyślniejszych nowin.

— Czy coś mówi?

— Prawie nic. Pańska żona czeka.

— Na co?

— Aż minie jej smutek — odrzekł doktor Bernstein, masując tłustymi, tępo zakończonymi palcami stopy w skarpetkach. — Widocznie jakiś dręczący ją problem urósł do takich rozmiarów, że już nie potrafi sobie z nim poradzić, wycofała się więc w głąb siebie. To wcale nie takie rzadkie.

RABIN

Kiedy zrozumie, co ją dręczy, będzie w stanie to przezwyciężyć i da sobie prawo do zapomnienia o przyczynie swojej depresji. Mieliśmy nadzieję, że pomoże jej psychoterapia. Ale pańska żona milczy. Uważam, że należałoby się zastanowić nad elektrowstrząsami.

Michael poczuł skurcz w żołądku. Doktor Bernstein przyjrzał mu się spod oka i parsknął z nie ukrywaną pogardą:

— I tak reaguje pan, rabin w szpitalu psychiatrycznym! U licha, co tak pana przeraża w elektrowstrząsach?

— Oni się czasem tak rzucają... Łamią sobie kości.

— Od lat, odkąd mamy leki zwiotczające mięśnie, nic podobnego się nie zdarza! W dzisiejszych czasach to najzupełniej humanitarna metoda leczenia. Był pan chyba świadkiem takich zabiegów, prawda?

Michael skinął głową.

— Czy moja żona odczuje jakieś następstwa?

— Tej kuracji? Nie można wykluczyć lekkiej amnezji, częściowej utraty pamięci. Ale proszę się nie przerażać, będzie pamiętała wszystko, co w jej życiu ważne. Tylko drobiazgi, sprawy bez znaczenia ulegną zapomnieniu.

— Jakiego rodzaju drobiazgi?

— Na przykład tytuł filmu, jaki ostatnio widziała, albo nazwisko aktora, który w nim grał główną rolę. Adres dalekiej znajomej. Będą to jednak zaburzenia wycinkowe. Zasadnicza część jej zasobów pamięciowych zostanie zachowana.

— A czy nie można by jeszcze przez jakiś czas próbować osiągnąć poprawy na drodze psychoterapii, bez uciekania się do elektrowstrząsów?

Doktor Bernstein pozwoli! sobie na luksus lekkiego zniecierpliwienia.

— Ależ pańska żona nic nie mówi! Jak mam prowadzić terapię bez porozumiewania się z pacjentem? Nie mam pojęcia, co naprawdę wyzwoliło jej depresję. Pan to wie?

— Leslie jest konwertytką, jak panu wiadomo, ale już od dawna prowadzi życie prawdziwej Żydówki.

— Inne stresy?

NOAH GORDON

— Wiele razy przed przyjazdem tutaj zmienialiśmy miejsce zamieszkania. Zdarzało się nam mieszkać w niełatwych warunkach.

Dań Bernstein zapalił kolejnego papierosa.

— Czy wszyscy rabini tak często się przenoszą? Michael wzruszył ramionami.

— Niektórzy spędzają całe życie przy jednej świątyni. Inni stale siedzą na walizkach. Większość bywa zatrudniana na krótkoterminowe kontrakty. Kiedy skruszy pan zbyt wiele kopii na wrażliwej skórze gminy lub gdy pańscy wierni skruszą ich zbyt wiele na pańskiej, przenosi się pan gdzie indziej.

— Więc pańskim zdaniem dlatego tak często się pan przeprowadzał? — Doktor Bernstein zadał pytanie beznamiętnym obojętnym tonem, Michael domyślił się jednak, że ów ton należy do techniki jego pracy z pacjentem.

— Czy raczej pan kruszył kopie, czy je na panu kruszono? Michael wyjął papierosa z paczki, którą psychiatra położył pomiędzy nimi na biurku. Zauważył z irytacją, że ręka lekko mu drży.

— I jedno, i drugie — odrzekł.

Doktor Bernstein nie odrywał od jego twarzy przenikliwego spojrzenia. Michael poczuł się nieswojo. Lekarz schował papierosy do kieszeni.

— Uważam, że elektrowstrząsy byłyby dla pańskiej żony najwłaściwszą kuracją. Zastosowalibyśmy serię dwunastu zabiegów, po trzy w tygodniu. Widywałem już wspaniałe rezultaty.

Michael niechętnym skinieniem głowy wyraził zgodę.

— Skoro uważa to pan za wskazane... A co ja sam mogę dla niej zrobić?

— Niech się pan uzbroi w cierpliwość. Pan nie może nawiązać z nią kontaktu. Może pan jedynie czekać, aż ona nawiąże go z panem. Kiedy to nastąpi, będzie pan wiedział, że uczyniła pierwszy krok na drodze ku wyzdrowieniu.

— Dziękuję, doktorze.

Michael wsta! i poda! lekarzowi rękę.

— A może by pan wpadł któregoś piątkowego wieczoru do synagogi? Mógłby się pan poddać terapii mojego szabatowego RABIN

nabożeństwa. Chyba że należy pan do ateistycznie nastawionych ludzi nauki...

_ Nie jestem ateistą, rabi. — Psychiatra wsunął w kapeć jedną, a następnie drugą pulchną stopę. — Jestem unitarianinem.

W poniedziałek, środę i piątek następnego tygodnia Michael chodził jak struty. W duchu przeklinał swoją decyzję zostania rabinem szpitalnym; byłoby mu o wiele lżej, gdyby niektóre fakty pozostały przed nim zakryte. Wolałby nie wiedzieć, że przed siódmą zaczynają się zabiegi na oddziale leczenia depresji.

Leslie będzie czekała w poczekalni razem z innymi pacjentami. Gdy przyjdzie jej kolej, pielęgniarki wprowadzą ją do gabinetu i położą na łóżku. Sanitariusz zdejmie jej pantofle i wsunie je pod cienki materac. Anestezjolog wbije w żyłę igłę.

Za każdym razem kiedy Michael był świadkiem tych zabiegów, trafiało się kilku pacjentów, których żyły okazywały się tak cienkie, że trudno w nie było się wkluć, toteż lekarz pocił się, burczał gniewnie i kłął. Żyły Leslie nie sprawią mu kłopotu, pomyślał z wdzięcznością rabin. Są co prawda cienkie, ale wyraźnie zaznaczone. Kiedy dotykał ich wargami, wyczuwał silny i miarowy prąd pompowanej przez serce krwi.

Z kroplówki zacznie następnie kapać środek nasenny i jego żona, dzięki Ci, Panie, zapadnie w sen. Anestezjolog poda lek zwiotczający mięśnie i napięcie, które pozwalało Leslie funkcjonować jako żywej maszynie, zelżeje. Mięśnie piersiowe zwiotczeją i przestaną napędzać prześliczne miechy jej piersi. Anestezjolog będzie co jakiś czas zakrywał jej usta i

nos czarną maską, wtlaczał tlen do jej płuc i oddychał za nią. Między szczęki włożą Leslie gumowy klin, żeby jej piękne białe zęby nie odgryzły języka. Sanitariusz natłuści jej skronie specjalną maścią, po czym przytknie do czaszki elektrody wielkości półdolarówek.

Anestezjolog mruknie znużonym głosem: „Gotowe!”¹ Psychiatra naciśnie guzik w czarnym pudełeczku. Przez pięć sekund będzie wpływał bezgłośnie do głowy Leslie prąd zmienny, elektryczny sztorm, który w stadium tonicznym

NOAH GORDON

— mimo podania środka zwiotczającego — będzie napina! jej ramiona, a w stadium klonicznym sprawiał, że jej kończyny będą drżały i podrygiwały niczym w ataku padaczki.

Michael wypożyczył odpowiednie książki z biblioteki i przeczytał na temat leczenia elektrowstrząsami wszystko, co tylko udało mu się w nich znaleźć. Powoli zaczął uświadamiać sobie z przerażeniem, że ani Dań Bernstein, ani żaden inny psychiatra na świecie nie wiedzą właściwie, co się dzieje, kiedy bombardują mózgi swoich pacjentów ładunkami elektrycznymi. Mieli na ten temat jedynie mgliste wyobrażenie oraz wiedzę płynącą z doświadczenia, wskazującą, że te zabiegi przynoszą rzeczywiście pożądane rezultaty. Jedna z teorii głosiła, że prąd niszczy nieprawidłowe obwody w układzie elektrycznym mózgu. Inna stwierdzała, iż przeżywany podczas zabiegów szok jest tak podobny do doświadczenia śmierci, że zaspokaja odczuwaną przez pacjenta potrzebę poniesienia kary i łagodzi poczucie winy, przyczynę depresji.

Michaelowi to wystarczyło; zaprzestał lektur.

W dniach zabiegów zjawiał się w szpitalu o dziewiątej rano, by dowiedzieć się od obdarzonej nosowym głosem siostry oddziałowej, że zabieg przebiegł bez powikłań i pani Kind właśnie odpoczywa.

Rabin starał się unikać ludzi. Zajął się papierkową robotą, po raz pierwszy w życiu nadrobił korespondencyjne zaległości, wysprzątał nawet szuflady biurka. W dwunastym dniu kuracji elektrowstrząsami, jakiej poddano Leslie, dopadły go jednak obowiązki rabinackie. Po południu tego dnia uczestniczył w uroczystości bris, błogosławiąc niemowlę płci męskiej, Simona Maxwella Shutzera; kiedy mohel odrzynał napletek od małego zakrwawionego penisa, ojciec dziecka drżał jak osika, pobladła matka płakała, a potem śmiała się z radości. Następnie, przeniósłszy się w ciągu dwóch godzin od narodzin do śmierci, odprawił pochówek Sary Myerson, staruszki, której wnukowie płakali, kiedy ich babkę spuszczano do grobu. Było już ciemno, gdy wrócił do domu. Ze zmęczenia ledwo się trzymał na nogach. Na cmentarzu zaczął sypać lodowaty śnieżek, zacinając żałobników w twarze, aż zaczęły piec, więc Michael przemarzył do szpiku kości. Zmierzając do barku, żeby nalać sobie trochę whisky, spostrzegł

RABIN

leżący na stoliku w przedpokoju list. Na widok charakteru pisma, jakim go zaadresowano, zaczęły trząść mu się ręce i miał trudności z rozerwaniem koperty. List został napisany ołówkiem na błękitnym papierze z taniej papeterii, najprawdopodobniej od kogoś pożyczonym.

„Kochany,

ubiegłej nocy jakaś kobieta w głębi korytarza zaczęła krzyczeć, że o szybę w jej pokoju tłucze skrzydłami ptak, aż w końcu przyszli, dali jej zastrzyk i zasnęła. A dziś rano pielęgniarz znalazł na dróżce pokrytego lodem wróbla. Serduszko jeszcze mu biło, a gdy nakarmili go ciepłym mlekiem z pipetki, ożył i pielęgniarz zaniósł go tej kobiecie, by się przekonała, że nic mu się nie stało. Potem pozostawili go w pudełku w dyżurce, ale po południu zdechł.

Leżałam na łóżku i przypominałam sobie głosy ptaków rozbrzmiewające wokół naszej leśnej chatki w górach Ozark. Słuchałam ich leżąc w twoich ramionach i odpoczywając po miłości. W chacie rozlegało się tylko bicie naszych serc, a na dworze tylko śpiew ptaków.

Bardzo tęsknię za dziećmi. Czy są zdrowe?

Wkładaj ciepłą bieliznę, gdy się wybierasz z wizytami. Jedz warzywa liściaste i wystrzegaj się ostrych przypraw.

Najlepsze życzenia z okazji urodzin, mój biedny staruszk. Leslie".

Weszła pani Moscovitz, żeby oznajmić, że kolacja na stole, i przystanąła zdumiona na widok jego zapłakanej twarzy.

— Czy coś się stało, rabi?

— Dostałem właśnie list od żony. Ona wyzdrowieje, Leno!

Kolacja była przypalona. W dwa dni później pani Moscovitz oświadczyła, że będzie potrzebna swojemu zamieszkałemu w Willimantic w stanie Connecticut owdowiałemu szwagrowi, któremu rozchorowała się córka. Opuszczone przez Lenę miejsce zajęła gruba siwowłosa Anna Schwartz. Cierpiała na astmę i miała torbiel na szyi, ale okazała się bardzo

NOAH GORDON

RABIN

schludna i potrafiła ugotować dosłownie wszystko, nawet łokszen kugel, kugel z makaronem, z dwoma rodzajami rodzynek, jasnymi i ciemnymi, i skórką tak smaczną, że aż żał ją było chrupać.

ROZDZIAŁ DRUGI

Na dopytywanie się dzieci, co pisze mama, odpowiedział, że złożyła mu spóźnione życzenia urodzinowe. Nie zamierzał robić im wymówek — a może jednak tak? — ale nazajutrz dostał malowaną kredkami laurkę od Racheli i kupną kartkę od Maxa, do tego wspaniałą jaskrawą krawat od obojga.

Krawat nie pasował do żadnego z jego garniturów, mimo to założył go tego ranka wybierając się do synagogi.

Urodziny zwykle nastrajały go optymistycznie. Upatrywał w nich darzące nadzieją punkty zwrotne. Przypomniawszy sobie szesnaste urodziny Maxa sprzed trzech miesięcy.

Tamtego dnia jego syn stracił wiarę w Boga.

W stanie Massachusetts szesnastoletni chłopiec może ubiegać się o prawo jazdy. Michael nauczył syna prowadzić ich forda i Max miał się stawić na egzamin rano w przeddzień swoich urodzin, które przypadały w sobotę. Wieczorem miał randkę z Dessamae Kapłan, jeszcze dzieckiem, a już kobietą o niebieskich oczach i rudych włosach, na której widok Michael pozazdrościł synowi.

Dessamae i Max wybierali się na tańce do stodoły nad jeziorem. Leslie i Michael zaprosili paczkę kolegów syna na małe przyjęcie urodzinowe przed tańcami i mieli zamiar wręczyć mu kluczyki do samochodu, żeby w dniu swojego święta mógł po raz pierwszy pojechać gdzieś sam, bez rodziców.

Tymczasem w środę przed urodzinami Maxa Leslie wpadła w głęboką depresję, która ją zaprowadziła do szpitala, a w piątek rano poinformowano Michaela, że będzie tam musiała pozostać na dłużej. Max przełożył egzamin na prawo jazdy i odwołał przyjęcie. Kiedy Michael dowiedział się, że syn odwołał również randkę z Dessamae, zwrócił mu uwagę, że nie uzdrowi matki zostając pustelnikiem.

— Nie mam ochoty tam iść — odrzekł Max oschle. — Chyba wiesz, co się znajduje po drugiej stronie jeziora?

Michael oczywiście wiedział, więc przestał namawiać syna, by jednak poszedł na tańce. Chłopcu nie byłoby przyjemnie spacerować z dziewczyną nad jeziorem oglądając na drugim brzegu lecznicę, do której przed kilkoma dniami zabrano jego matkę.

Max prawie cały dzień przeleżał z książką w łóżku. Michael chętnie skorzystałby ze zwykłej skłonności syna do błazeńskich żartów, nie mógł sobie bowiem poradzić z Rachelą, która uparła się odwiedzić matkę.

— Jeśli mama nie może przyjechać do domu, my pojedziemy do niej!

— Nie możemy do niej pojechać — tłumaczył cierpliwie córce. — Nie zezwalają na to przepisy. Dzisiaj nie ma wizyt.

— Przekradniemy się! Potrafię być cicho.

— Idź i przygotuj się do nabożeństwa — nakazał łagodnie. — Najdalej za godzinę musimy być w świątyni.

— Zdążymy, tatusiu! Wcale nie musimy objeżdżać jeziora. Znam miejsce, gdzie stoi łódka. Przepłyniemy na drugą stronę, zobaczymy się z mamusią i tą samą drogą wrócimy. Proszę cię!

Zdobył się tylko na danie córce lekkiego klapsa i ucieczkę, żeby nie słyszeć jej płaczu. Przechodząc obok pokoju syna, zajrzał do środka.

— Przygotuj się, synku. Niedługo wyjeżdżamy do świątyni.

— Nie pogniewasz się, jeśli z wami nie pojedę? Michael przyjrzał mu się uważnie. W ich rodzinie nie opuszczano się nabożeństw, chyba że ktoś zachorował.

— A to czemu? — zapytał.

— Nie chcę być hipokrytą.

— Nie rozumiem cię.

— Zastanawiałem się nad tym przez cały dzień. Nie jestem Pewien, czy Bóg naprawdę istnieje.

— To znaczy, że Go wymyślono? Max popatrzył na ojca.

NOAH GORDON

— Niewykluczone. Kto to może wiedzieć? Nie ma żadnych dowodów. Może Bóg jest zwyczajnym mitem?

— Więc uważasz, że spędziłem pół życia z okładem służąc iluzji, podtrzymując legendę? Max zmilczał.

— Dlatego że twoja matka zachorowała, uznałeś w swojej mądrości, że Boga nie ma, ponieważ gdyby istniał, nie zabrałby jej od ciebie?

— Zgadza się.

Michael nie po raz pierwszy spotykał się z tym argumentem, a jednak nie nauczył się go dotąd zbijać, zresztą nie miał nawet takiego zamiaru. W Boga albo się wierzy, albo nie.

— Dobrze, więc zostań — powiedział.

Obmył Racheli zapłakane oczy i pomógł jej się ubrać. Kiedy wkrótce potem wychodzili z domu, dogonił ich wygrywany na organkach świdrujący w uszach blues. Max powstrzymywał się zwykle przed muzykowaniem w piątkowe wieczory z szacunku dla szabatu; Michael zrozumiał, dlaczego tym razem zachował się inaczej. Skoro Bóg, jak chłopiec podejrzewał, nie istnieje, po co przestrzegać bezsensownych zakazów wyrytych na totemicznym słupie?

Rabin i jego córka zjawili się w świątyni jako pierwsi i Michael otworzył szeroko okna, żeby trochę wywietrzyć. Po nich przybył Billy O'Connell, organista, a potem kantor Jake Lazarus, który, ledwo naciągnął swój czarny chałat i myckę, pobiegł zaraz do męskiej ubikacji. Bawił tam jak zwykle równe dziesięć minut: wpatrzony w lustro nad umywalką ćwiczył gamy.

Do wpół do dziewiątej, o której to godzinie miało się rozpocząć nabożeństwo, zjawilo się jeszcze tylko sześć osób. Jake spojrzał pytająco na rabiego.

Michael dał mu znak, że będą zaczynać: Bóg nie może czekać na spóźnialskich.

Ludzie schodzili się przez następne trzydzieści pięć minut, aż uzbierało się w końcu dwadzieścia siedem osób; z bimy łatwo ich było policzyć. Michael wiedział, że część rodzin wyjechała na wakacje. Zdawał sobie ponadto sprawę, że zebrałby co najmniej minjan szukając w okolicznych

kręgielniach, że tego wieczoru wydawano kilka przyjęć
koktajlowych,

f,' RABIN

a teatry pod namiotami, kluby nocne i parę chińskich
restauracji gromadzą bez wątpienia liczniejszą część jego
gminy niż bóżnica.

Jeszcze kilka lat temu świadomość, że tylko garstka jego
narodu przychodzi do synagogi, by świętować szabat,
budziłaby w nim głęboki protest. Teraz już rozumiał, że dla
rabina nawet jeden żyd stanowi dostateczne towarzystwo do
modlitwy. Nie zamartwiał się tym, że musi odprawiać
nabożeństwo dla szczupłej gromadki, która ledwo wypełniała
dwa pierwsze rzędy ławek.

Wiść o chorobie Leslie zdążyła się już rozejść, jak zwykle
podobne nowiny, i kilka pań zaopiekowało się Rachelą
podczas oneg szabat, poczęstunku po nabożeństwie. Rabin był
im za to wdzięczny. Spragnieni towarzystwa, do późnej
godziny zostali w świątyni.

Kiedy przyjechali do domu, światło w pokoju Maxa już się nie
paliło i Michael postanowił nie budzić syna.

Sobota okazała się wierną kopią piątku. Szabat, pora
odpoczynku i medytacji, w domu Kindów nie był dniem
spokoju. Każde z ich trojga przeżywało smutek po swojemu.
Zaraz po obiedzie rabin dostał wiadomość o śmierci żony
Jacka Glickmana, co oznaczało, że wieczór przyjdzie mu
spędzić na wizycie kondolencyjnej. Choć niechętnie, musiał
dzieci zostawić same.

— Wybierasz się gdzieś? — spytał Maxa. — Jeśli tak,
zamówię opiekunkę do dziecka, żeby posiedziała z Rachelą.
— Nigdzie się nie wybieram. Zaopiekuję się nią.

Max przypomniał sobie później, że po wyjściu ojca odłożył
książkę, by pójść do łazienki, a po drodze zajrzał do pokoju

siostry. Nie zapadł jeszcze zmierzch, a ona już przebrała się w piżamę i leżała na łóżku twarzą do ściany.

— Rachelo! — szepnął. — Śpisz?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, wzruszył ramionami i odszedł. Potem wrócił do lektury i nie odkładał książki, dopóki w pół godziny później nie zaczął dokuczać mu głód. Po drodze do kuchni przechodził znowu obok pokoju Racheli.

Łóżko było puste.

Pięć minut zmarnował na przeszukiwanie domu, a następnie podwórka, nawołując siostrę. Wolał nie myśleć o jeziorze

NOAH GORDON

i łódce, którą zamierzała się przeprawić na drugi brzeg, żeby paść w objęcia matki. Nie wiedział nawet, czy łódka jest rzeczywista, czy urojona, rozumiał jednak, że musi się dostać nad jezioro. Ojciec zabrał auto, pozostawał mu więc tylko zniechęcony rower. Zdjął go z dwóch zardzewiałych gwoździ, na których wisiał na ścianie garażu, odnotowując jednocześnie z mieszaniną paniki i gniewu, że rowerek Racheli zniknął ze swojego zwykłego miejsca obok kosiarki do trawy. Potem wskoczył na rower i popedałował co sił w nogach. Do Deer Lake mieli niewiele ponad pół kilometra, mimo to dojechał tam dosłownie zlany potem. Wokół jeziora biegła droga, w pewnej jednak odległości od zadrzewionego brzegu, więc nawet za dnia nie było z niej widać lustra wody. Skrajem jeziora wiała się tylko wąska ścieżyna, wyboista i sękata korzeniami drzew, nie nadająca się do jazdy rowerem. Max nie zsiadł jednak z siodełka tak długo, jak długo na swoim wytrwała Racheli. Już z daleka dojrzał czerwony odblask księżycy w światełku jej roweru, który, jak się okazało, oparła porządnie o pień rosnącego przy ścieżce drzewa. Max rzucił swój rower na ziemię obok pojazdu siostry i puścił się biegiem ścieżką.

— Racheli! — zawołał.

W trawie cykały świerszcze, na kamieniach szemrały fale. Tafla jeziora połyskiwała poświatą księżyca. Chłopiec przeszukał ją wzrokiem.

— Raa-chelaa!!!...

Spod rosnącego w pobliżu drzewa doleciał go czyjś śmiech i Max łudził się przez chwilę, że udało mu się znaleźć siostrę. Lecz już w następnej chwili rozróżnił w mroku trzy sylwetki, dwóch młodzieńców w kąpielówkach i niewiele od niego starszą dziewczynę. Ubrana tylko w stanik i bawełnianą spódniczkę siedziała z podciągniętymi kolanami oparta o pień drzewa, a jej uda białały w świetle księżyca.

— Zgubiłeś swoją lalunię, koleś? — Roześmiała się po raz drugi.

— Siostrę — wyjaśnił Max. — Nie widzieliście ośmioletniej dziewczynki?

Cała trójka trzymała w rękach otwarte puszki piwa.

Dziewczyna podniosła swoją do ust i pociągnęła długi łyk.

RABIN

— Jak tak to co innego! — mruknęła.

— Nie widzieliśmy tu żadnego szkraba — odezwał się jeden z młodzieńców.

Max pobiegł dalej ścieżką. Drugi z mężczyzn powiedział coś i cała trójka wybuchnęła śmiechem.

Chłopiec przypomniał sobie, jak dwa lata temu, gdy kąpał się w wakacje w tej części jeziora, wyłowiono z wody topielca.

Włosy ciągnęły się za nim jak wodorosty, ciało miał podobne do surowego ciasta. Rachel umiała przepłynąć „na pieska” nie więcej jak dwa metry, a kiedy próbowała kłaść się na plecach, do nosa nabierała wody.

— Błagam Cię, Boże! — szepnął Max. — Błagam!

Potyając się biegł po wyboistej ścieżce. Zbyt zziajany, by krzyczeć, nie przestawał modlić się w duchu.

Łódka, stara jednoosobowa łódź wyścigowa, unosiła się kilkadziesiąt metrów od brzegu. Czarna w blasku księżyca płynęła rufą do przodu, zwrócona dziobem w stronę pobliskiego brzegu. Mała figurka w białej piżamie siedziała na ławeczce z tyłu łodzi.

Max ściągnął tenisówki i farmerki. Zmięte w kłęb spodnie spadły do wody z dość wysokiego w tym miejscu brzegu, lecz on o to nie dbał. Bez namysłu skoczył do jeziora. Plusnął płasko o powierzchnię; woda była tam płytka, a dno kamieniste, toteż przeszorował klatką piersiową po kamieniach, ale już po chwili popłynął swobodnie, mocno pracując nogami. Dopłynął do łódki, uchwycił się burty i podciągnął na pokład.

— Cześć, Maksiu — zaspanym głosem przywitała go siostra dłubiąc w nosie.

Chłopak padł na dno łodzi i łapał haustami powietrze. W łódce, bardzo już starej i przeciekającej, chlupotała brudna woda.

— Mamusia jest tam! — powiedziała Rachela wyciągając rączkę.

Max spojrział na sznureczek żółtych świateł, migoczących na odległym o blisko pół kilometra przeciwległym brzegu.

Przysunął się do siostry i objął ją mokrym ramieniem. Przez kilka minut siedzieli tak w milczeniu, wpatrzeni w światła szpitala. Panowała niemal zupełna cisza, tylko od czasu do czasu od strony stodoły, w której odbywały się tańce, niosła się

NOAH GORDON

po wodzie głośniejsza muzyka. Gdzieś w pobliżu rozległ się wysoki dziewczęcy śmiech, a potem krzyk. Piwożłopy, skonstatował Max.

— Gdzie wiosła? — zapyta! siostrę. — Powinny być dwa.

— Było tylko jedno, ale mi wypadło. Chyba utonęło.
Dlaczego jesteś w samych majtkach? Tak zabawnie się do
ciebie lepią!

Max od dłuższej chwili obserwował z niepokojem poziom
wody na dnie łodzi.

— Łódka tonie — powiedział. — Będziemy musieli popłynąć
do brzegu wpław.

Mała zerknęła na czarną toń wody.

— Ani mi się śni — mruknęła. — Za nic w świecie!

Kiedy czasem kąpali się razem w jeziorze, zdarzało mu się ją
holować, ale teraz był ledwo żywy i wątpił, czy zdołałby
dopłynąć z siostrą do brzegu, gdyby stawiała mu opór.

— Słuchaj, jeśli pozwolisz mi się holować, dam ci pół dolara

— zaproponował. Pokręciła głową.

— Dobrze, ale pod jednym warunkiem. Max nie odrywał oczu
od wody na dnie łódki. Przybywało jej szybko.

— Jakim? — zapytał z napięciem.

— Dasz mi przez dwa dni pograć na organkach. .

Zgodził się. Przewinął się nad burtą, zanurzył w wodzie i
wyciągnął do Racheli ręce. Kiedy się zanurzała, narobiła
wrzasku, ale potem, gdy płynął na plecach trzymając ją pod
brodę i holując w stronę brzegu, zachowywała się już cicho i
grzecznie.

Tenisówki leżały tam, gdzie je zostawił, ale farmerek nigdzie
nie mógł dojrzeć. W końcu zszedł z urwistego brzegu i
brodząc w głębokim mule macał w wodzie rękami.

— Czego szukasz?

— Spodni.

— Może też znajdziesz gdzieś moje wiosło?

Prowadził bezskuteczne poszukiwania około dziesięciu minut,
prowokując siostrę do poczynienia jeszcze kilku żartobliwych
uwag, zanim zrezygnował.

RABIN

Całą drogę do miejsca, gdzie zostały rowery, prowadził Rachelę za rękę, wypatrując ostrożnie młodzieńców i półnagiej dziewczyny, ale pod drzewem, gdzie urządzili sobie nocny piknik, zosta! po nich jedynie pojemnik z sześcioma pustymi puszkami po piwie.

Droga do domu zajęła rodzeństwu sporo czasu. Rozporek w majteczkach Maxa nie zapinał się, więc chłopak wybierał trasę biegnącą najciemniejszymi ulicami, a dwa razy musiał nawet dać nura w krzaki, żeby się skryć przed światłami przejeżdżającego samochodu.

W końcu, podrapany i półżywy ze zmęczenia, odstawił po omacku rowery do garażu. Światła nie zapala!, bo w oknach garażu nie było zasłon.

Rachela stała przed garażem i drapała się w głowę.

— Nie napluję ci do organków, Max! — zapewniła brata. — Pospiesz się. — Ziewnęła. — Mam ochotę napić się mleka! Odwraca! się już w stronę wyjścia, gdy wtem znieruchomiał, usłyszawszy zbliżające się alejką lekkie kobiece kroki.

Domyśli! się, kto nadchodzi, jeszcze zanim dobiegł go głos Dessamae Kapłan.

— Rachela? Co ty tutaj robisz? Gdzie Max?

— Pływali!śmy w jeziorze, a potem jechali!śmy na rowerach. Ja jestem tylko w piżamce, a Max w samych majtkach. Chcesz zobaczyć?

Przekręciła kontakt i w jaskrawym blasku żarówek ukazał się Max. W upačkanych błotem żółtych majtkach stał jak słup soli po!środku poplamionego benzyną garażu i zakrywał rękami krocze. Miłość jego życia krzyknęła i uciekła rozplývając się w ciemnościach nocy.

Max opowiedział ojcu tę przygodę, kiedy w następny piątek udawali się wieczorem na szabatowe nabożeństwo do świątyni.

A w trzy miesiące później, przy biurku, na którym leżał urodzinowy list od Leslie oraz laurki i prezent od dzieci, rabi Kind wspominał urodziny syna pisząc list do żony, zamkniętej w szpitalu nad jeziorem, nad którego brzegiem Max odnalazł Boga, ale zgubił spodnie.

NOAH GORDON

ROZDZIAŁ TRZECI

Pewnej ciemnej nocy, gdy porywisty północno-wschodni wiatr zacinał puszystymi płatkami śniegu, Michael przyniósł z szopy trzy naręcza drewna i rozpałił na kominku huczący ogień, od którego po całym pokoju wkrótce rozeszło się miłe ciepło. Następnie nalał do szklanki whisky, dopełnił wodą sodową, wyjął traktat „Berachot” i zagłębił się w zawiłości babilońskiego Talmudu jak człowiek uciekający w sen. Już dawno — nazbyt dawno — nie zafundował sobie takiego wieczoru. Czytał dłużej niż do jedenastej. Wstał z fotela tylko po to, żeby dorzucić drewna do ognia i powiedzieć dobranoc dzieciom.

Następnie, ziewając i przeciągając ramiona, zabrał się do przeglądania najświeższej korespondencji.

Młody Jeffrey Kodetz prosił o opinię, potrzebną mu do podania o przyjęcie na studia w MIT.* Była to jedna ze spraw, jakie Michael chętnie by odwlekał, gdyby się zdecydował podyktować opinię swojej sekretarce, Dworze Cantor. Zdając sobie z tego sprawę, usiadł i naszkicował tekst na brudno, aby rano dać Dworze do przepisania.

Następny list przyszedł od Stowarzyszenia Absolwentów College'u Columbia. Informowano go, że za półtora roku odbędzie się zjazd koleżeński jego rocznika w dwudziestą piątą rocznicę ukończenia studiów. Czy oprócz potwierdzenia udziału nie zechciałby nadesłać w ciągu trzech miesięcy swojego życiorysu, aby organizatorzy mogli go umieścić w przygotowywanej z okazji jubileuszu księżce pamiątkowej?

Przeczytał ten list dwukrotnie, kręcąc z niedowierzaniem głową. Więc to już ćwierć wieku?

Był tak zmęczony, że odpisał tylko na list Leslie. Zakleiw-szy kopertę stwierdził jednak, iż nie ma znaczków. Stwarzało

* Massachusetts Institute of Technology, słynna politechnika w Cambridge w stanie Massachusetts.

,-?<•,: RABIN ':••

to pewien problem, ponieważ miał zwyczaj wysyłać listy do żony po drodze na poranne nabożeństwo, jeszcze przed otwarciem poczty.

Przypomniawszy sobie, że Max nosi zwykle w portfelu blok znaczków. Kiedy wszedł do jego pokoju, chłopiec już spał. Leżał na łóżku pochrapując cicho; jedna noga wysunęła się spod koca i opierała o podłogę. Wyrósł już z tej piżamy, stwierdził Michael, zdumiony rozmiarem stopy swego syna.

Spodnie Maxa zwisały na szafce, z nonszalancką pomysłowością zaklinowane mankietami nogawek w najwyższej szufladzie. Michael wyjął z ich kieszeni portfel pękaty od jakichś dziwnych postrzępionych papierów. Grzebiąc w nim w poszukiwaniu znaczków natrafił na mały owalny kształt w aluminiowej folii. Nie wierząc dotykowi palców podszedł do drzwi i w świetle żarówki z korytarza przeczytał! drukowany napis:

„Wszystkie wyroby firmy Trojan-Enz są testowane wodą za pomocą specjalistycznych urządzeń. Fabryka Wyrobów Gumowych w Trenton”.

W jego wieku? Michael się przeraził. Ten smarkacz, który bawi się jeszcze piłką, a nie dalej jak dzisiaj rano nazwał go tatusiem? I z kim? Z jakąś znudzoną, najpewniej chorą wenerycznie dziwką. Jeśli nie gorzej, co uchowaj Boże: z tym niewinnym rudowłosym dzieckiem! Rabin podniósł paczuszkę do światła. Folia była zmięta i spękana. Przypomniawszy sobie, że

i on uważał kiedyś, przed wieloma laty, noszenie przy sobie kondomów za dowód męskiej dojrzałości.

Chował portfel z powrotem, wsunawszy doń prezerwatywę, gdy wtem z bocznej kieszeni spodni Maxa sypnął się grad monet. Zadzwończyły na podłodze i potoczyły się z brzękiem we wszystkie kąty pokoju. Michael wstrzymał oddech, pewien, że syn się zaraz obudzi, ale Max spał jak zabity.

Czyżby narkotyki? Tylko tego brakowało, pomyślał ponuro rabi. Opadł na kolana, nie po to żeby modlić się jak chrześcijanin, lecz by przeszukać palcami podłogę. Pod łóżkiem znalazł dwie pięciocentówki, ćwierćdolarówkę, pensa, trzy skarpetki i mnóstwo kotków kurzu. Udało mu się pozbierać rozsypane monety i umieścić je z powrotem w kieszeni spodni.

Następnie zszedł na dół, umył ręce i zaparzył kawę, by sobie dodać otuchy.

Słuchając przy drugiej filizance nocnych wiadomości wyłowił z nich nazwisko członka swojej gminy. Gerald I. Mendelsohn przebywał w stanie krytycznym w szpitalu ogólnym w Woodborough. Na nocnej zmianie w odlewni Suffolk jego prawa noga dostała się między tryby jakiejś ciężkiej maszyny.

Mendelsohnowie dopiero niedawno przyjechali do miasta., mieli więc tu pewnie niewielu znajomych, stwierdził z przygnębieniem Michael.

Na szczęście nie przebrał się jeszcze w piżamę. Zawiązał krawat, włożył marynarkę, palto, kapelusz, śniegowce o sześciu sprzączkach i po cichu wymknął się z domu. Na jezdniactwi panowała ślizgawica. Z żółwią szybkością, co chwila wpadając w poślizg, mijał ciemne domy, zazdroszcząc ich smacznie śpiącym mieszkańcom.

Mendelsohn, nie ogolony, blady jak postać Ukrzyżowanego na obrazach, leżał na szpitalnym łóżku w sali na oddziale

przypadków nagłych i, choć nieprzytomny po przeżytych szoku, głośno jęczał.

Jego żona znajdowała się w opłakanym stanie. Była drobną[^], atrakcyjną kobietą o kasztanowych włosach, wielkich oczach[^], płaskiej piersi i zbyt długich, na czerwono polakierowanych paznokciach.

Michael wyteżył pamięć i przypomniał sobie jej imię: Jean. Miał wrażenie, że już ją gdzieś spotkał. Może przyprowadziła dzieci na lekcje hebrajskiego w świątyni?

— Czy miała pani z kim zostawić dzieci? Skinęła głową.

— Mam uroczych sąsiadów, Irlandczyków.

Mówiła z nowojorskim akcentem. Brooklyn?

Okazało się, że pochodzi z Flatbush. Michael usiadł obok niej i zaczęli rozmawiać o znajomych rejonach miasta. Ranny-jęczał w regularnych odstępach, jakby jego jęki odmierzał] metronom.

Kwadrans po drugiej przyszły pielęgniarki i zabrały go na; operację. Michael i pani Mendelsohn czekali na korytarzu, gdy Geraldowi amputowano nogę. Można by sądzić, że po | ;.. ;: RABIN i:

operacji Jean odetchnęła z ulgą. Kiedy Michael się z nią żegnał, patrzyły na niego oczy opuchnięte, ale spokojne i sensne, jak oczy namiętnej kobiety po miłosnym zbliżeniu. Śnieg już nie padał, gdy rabin wyszedł ze szpitala. Na niebie iskrzyły się gwiazdy.

Rano goląc się przed lustrem stwierdził, że nie wygląda już młodo. Przerzedziły mu się włosy, nos stał się garbaty, krogulczy, jak nos typowego Żyda z antysemickich dowcipów rysunkowych, skóra zwiotczała, policzki obwisały pod kożuchem piany. Przyszło mu do głowy, że przypomina liść, który się kruszy i łamie. Pewnego dnia spadnie z drzewa, a tymczasem świat będzie istniał dalej, ledwo zauważając jego zniknięcie ze sceny. Uświadomił sobie, że już prawie nie

pamięta, jak smakuje wiosna życia, a teraz nastawała nieuchronnie jesień.

Na dźwięk telefonu, z ulgą odwrócił się od lustra. Dzwonił doktor Bernstein, pierwszy raz odkąd Leslie poddano kuracji elektrowstrząsami, toteż Michael poczuł niepokój, który psychiatra szybko jednak rozwiązał.

— Pańska żona może wyjść na przepustkę, jeśli zechce — poinformował jakby nigdy nic.

— Kiedy?

— W każdej chwili.

Michael odwołał dwa spotkania i pojechał do szpitala. Leslie czekała na niego w swym ciasnym pokoiczku. Blond włosy zaciesała gładko do tyłu i związała brzydką grubą plastikową taśmą w koński ogon, czego już od lat nie robiła. Zamiast odmładzać, to uczesanie tylko ją postarzało. Miała na sobie niebieską wełnianą sukienkę, a na wargach świeżo nałożoną szminkę. Znacznie przytyła, lecz było jej z tym do twarzy.

— Jak się masz? — przywitał ją.

I oczątkowo bał się, że przyjmie go tak jak w pierwszych dniach choroby: przyglądała mu się tępo i milczała.

Tymczasem Leslie uśmiechnęła się do niego, a potem rozplakała.

— Witaj — szepnęła.

NOAH GORDON

W jego ramionach była znowu miękka i ciepła jak dawniej. Wciągnął w nozdrza zapach swojej Leslie, za którym tak się już stęsknił, tę mieszaninę zapachu mydła, kremu do rąk i rozgrzanego ciała. Mocno przytulił żonę.

Dzięki Ci, Boże! Amen.

Całowali się nieporadnie, nagle czemuś bardzo zawstydzeni, a potem siedzieli na brzegu łóżka trzymając się za ręce. W pokoju pachniało mocnym środkiem dezynfekującym.

— Jak tam dzieci?

— Świetnie. Nie mogą się już doczekać, kiedy cię zobaczą.

— Zmieniłam zdanie. Nie chcę, żeby oglądały mnie w tym miejscu i w takim stanie. Chciałabym jak najprędzej wrócić do domu.

— Rozmawiałem właśnie z doktorem Bernsteinem. Jeśli chcesz, możesz stąd wyjść na przepustkę.

— Bardzo chcę.

— Zaraz?

— Natychmiast!

Michael porozumiał się z Danem przez telefon i wszystko uzgodnił. W pięć minut później pomógł Leslie wsiąść do samochodu i wyjechali z terenu szpitala jak para wybierających się na randkę nastolatków. Leslie miała na sobie stare niebieskie palto, a na głowie białą chustkę. Jeszcze nigdy nie wyglądała śliczniej, ocenił w duchu Michael. Na jej twarzy malowało się ożywienie i podniecenie.

Było kilka minut po jedenastej.

— Anna ma dziś wolne — powiedział. Spojrzała na niego z ukosa.

— Anna?

Dziesiątki razy pisał jej w listach o Annie.

— Nasza gospodyni. A może byśmy tak wpadli do jakiegoś miłutkiego lokalu na lunch?

— Owszem: do domu! Na pewno coś znajdę w spiżarni.

Zostawił samochód przed garażem i weszli do domu drzwiami od podwórka. Leslie zajrzała do kuchni, do jadalni i do salonu, gdzie wyprostowała przekrzywione obrazki i odciągnęła zasłony.

— Zdejmij palto — poradził Michael.

RABIN

— Dzieci będą miały niespodziankę! — Zerknęła na zegar na kominku. — Wrócą za jakieś trzy godziny. — Zdjęła palto i powiesiła je w szafie w przedpokoju. — Wiesz, na co mam

ochotę? Na gorącą kąpiel. W wannie! Mam ochotę pławić się w wodzie godzinami. Już nigdy w życiu nie wezmę prysznic! — Zaraz ci ją przygotuję.

Wszedł na górę i napełnił wannę, dodając do wody trochę soli kąpielowych, nie używanych od dnia, w którym odwiózł Leslie do szpitala. Kiedy zamknęła się w łazience, zdjął buty, wyciągnął się na mosiężnym łożu i jął wsłuchiwać się w plusk wody i strzępki piosenek, jakie Leslie nuciła sobie w kąpeli. Rozkoszne dźwięki!

Z łazienki wyszła w jego szlafroku, przez zimny pokój podbiegła do szafy i zaczęła przesuwać wieszaki na drążku, szukając odpowiedniej sukienki.

— Co mam włożyć na popołudnie? Chodź tu i pomóż mi wybrać! — zawołała. Podszedł do niej.

— Tę zieloną z dżerseju — poradził. Tupnęła bosą stopą.

— Nie wejdzie na mnie! Okropnie utylam.

— Pozwól, że sprawdzę...

Rozchylił szlafrok, a Leslie stała nieruchomo i pozwoliła się oglądać.

Potem objęła go i położyła mu głowę na piersi.

— Och, Michael, zimno mi!

— Chodź, ogrzeję cię.

Poczekwała, aż zrzuci ubranie, a potem drżeli oboje na chłodnym prześcieradle, tuląc się do siebie. Nad ramieniem Leslie widział odbicia ich białych ciał w dużym, opartym o ścianę żółtym lustrze i młodniał. Liść już nie był pokruszony i spękany. Zbliżała się pełnia lata, nie jesień. Po kilku minutach, gdy przestali dygotać i nieco się rozgrzali, zaczął pieścić miękkie wilgotne ciało żony, a ona płakała cicho, z bezbrzeżnym smutkiem, aż serce mu się kroilo.

— Ja nie chcę tam wracać, Michael! — wyszeptała. — Nie chcę!

— Już niedługo — pocieszał ją. — Jeszcze tylko troszkę.
Obiecuje, że...

NOAH GORDON

Zamknęła mu usta pocałunkiem; jej usta były ciepłe,
kochające i smakowały pastą do zębów.

— Ale z nas idioci! — orzekła. Wytarła prześcieradłem jego,
a potem własne oczy.

— Witaj w domu.

— Dziękuję.

Podparła dłonią głowę i przez chwilę przyglądała się mężowi,
a na jej twarzy pojawił się uśmiech, taki sam jaki Michael
ogładał codziennie na twarzy swojej córki, tyle że dojrzałszy,
bardziej świadomy. Wskoczył z łóżka, podbiegł do toaletki,
chwycił grzebień i szczotkę i wskoczył z powrotem pod
kołdrę. Leslie chichotała rozbawiona. Zsunął z jej włosów
okropną elastyczną opaskę i rozpuścił je luźno, aż rozsypały
się pięknie na jej ramionach. Leslie siedziała na łóżku skulona,
z kołdrą pod brodę, a on starannie rozczesywał i szczotkował
jej włosy, tak jak codziennie czesał córkę, wreszcie odrzucił w
kąt elastyczną opaskę i Leslie była znowu jego żoną, kobietą,
której ciało znał jak swoje własne.

Max i Rachela mało się tego wieczoru odzywali, ale nie
odstępowali matki ani na krok, niczym para bliźniaczych
cieni.

Po kolacji słuchali płyt. Leslie usiadła w fotelu, Max u stóp
matki, Rachela na jej kolanach. Michael leżał na kanapie i
pykał fajkę.

Niełatwo było powiedzieć dzieciom, że ich matka musi wrócić
do szpitala. W końcu Leslie oznajmiła im to sama, spokojnie i
z taktem, co zawsze w niej cenił. Rachela położyła się spać o
dziewiątej, a potem i Max uległ prośbom matki i poszedł na
górze, żeby odrobić lekcje.

Leslie prawie całą drogę do szpitala milczała.

— Miałam piękny dzień. — Ujęła rękę Michaela i długo jej nie wypuszczała. — Przyjdiesz jutro?

— Oczywiście.

Wracał do domu w ślimaczym tempie. Max grał na organkach i Michael przez jakiś czas palił i słuchał. W końcu wszedł na górę i zapędził syna do łóżka. Wziął prysznic, włożył piżamę i położył się. Dał porywisty wiatr, od którego aż drżały ściany i szyby dzwoniły w oknach. Mosiężne łoże wydawało się

RABIN

tak wielkie i puste, jak ogromny nieobeszły świat. Michael długo nie zasypiał; leżał i modlił się w ciemności.

Ledwo zasnął, Rachela krzyknęła coś przez sen, a potem się rozplakała. Kiedy krzyknęła po raz drugi, Michael się obudził, zerwał z łóżka i po zimnej podłodze pobiegł bosy do pokoju córki, uniósł ją i przesunął pod ścianę, żeby zrobić miejsce dla siebie.

Rachela nadal zalewała się łzami przez sen.

— No już! — szeptał tuląc ją w ramionach. — Cicho, cicho!

— Obejmował ją w ciemności i kołysał delikatnie.

Odemknęła oczy, podobne do dwóch szparek w twarzy o kształcie serca. Nagle uśmiechnęła się do ojca i przytuliła do niego mocniej, a on poczuł na szyi wilgoć jej zapłakanego policzka.

Fejgele, pomyślał, mała ptaszyna. Przypomniawszy sobie, jakie sam przeżywał lęki, kiedy był w jej wieku i to jego ojciec miał czterdzieści pięć lat. Miły Boże, pamiętał nawet zejść niewiele starszego niż on teraz!

Leżał bez ruchu w ciemności i przypominał sobie tamte dawne czasy.

BROOKLYN, NOWY JORK Wrzesień 1925 roku

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kiedy Michael był małym chłopcem, broda jego dziadka musiała być czarna, lecz on zapamiętał taką, jaka była za jego

lat młodszych — bujny biały krzak, który Izaak Rywkind co trzeci dzień wieczorem mył szamponem, a potem rozczesywał z dbałością i czułością, tak by spływała, miękka i gładka, z jego surowej ogorzalej twarzy aż na trzeci guzik koszuli. Broda była jedynym miękkim elementem jego postaci. Dziadek Michaela miał wydatny krogulczy nos i oczy nastroszonego orła. Na czubku jego głowy lśniła łysina podobna do wypolerowanej kościanej gałki, otoczona tonsurą płowiejących włosów, które jednak nigdy nie zbieleły do śnieżys-tości brody i aż do dnia jego śmierci zachowały ciemnoszarą barwę.

Dziadek Michaela miał tyle czułości dla świata, ile matka ma dla ciężko chorego dziecka, lecz tę jego miłość pokrywała gruba warstwa śmiertelnego strachu przed gojami, którym nasiąkł w besarabskim mieście Kiszyniowie, gdzie się urodził. Kiszyniów liczył podówczas sto trzynaście tysięcy mieszkańców, w tym blisko osiemdziesiąt tysięcy Żydów. Mieszkało tam ponadto kilka tysięcy Cyganów; resztę stanowili mołdawscy Rumuni. Żydzi z Kiszyniowa, choć stanowili w mieście większość, godzili się potulnie na przekleństwa, drwiny i pogardę Mołdawian, zdawali sobie bowiem sprawę, że Kiszyniów przypomina wyspę getto oblane zewsząd morzem wrogości. Gdyby nawet jakiś Żyd ośmielił się wyjść

RABIN

z miasta, chcąc najać się do pracy przy zbiorze winogron lub do ich udeptywania w tłocznjach wina na wsi, zabraniał mu tego rządowy zakaz. Władze nakładały na Żydów wysokie podatki, poddawały ich ścisłemu nadzorowi, a jednocześnie wspierały dziennik „Bessarabiec” wydawany przez fanatycznego antysemitę, Pawła Kruszewana, który postawił sobie za cel podburzanie czytelników do rozlewu żydowskiej krwi.

Michael poznał nazwisko Kruszewana już jako mały chłopiec. Siedząc na kolanie zejdę nauczył się je nienawidzić tak zawzięcie jak imię samego Hamana. Wdrapawszy się na kolana zejdę w tajemniczym półmroku małego sklepika spożywczego słuchał, zamiast bajek i dziecięcych rymowanek, legend o przybyciu jego dziadka do Ameryki.

Ojciec Izaaka, Mendel Rywkind, był jednym z pięciu kowali w Kiszyniowie i przez całe życie wachał smród końskiego potu. Mendel miał więcej szczęścia niż większość jego pobratymców: doszedł do jakichś takich pieniędzy. Do północnej ściany walącej się drewnianej szopy, którą nazywał domem, dobudował własnymi rękami dwie murowane kuźnie. Używał w nich węgla drzewnego, który sam wypalał w wykopanej w ziemi jamie, a ogień w palenisku podsyczał parą ogromnych miechów wykrojonych ze skóry wielkiego byka. W Kiszyniowie panowało straszne bezrobocie, ludzi nie było stać na podkuwanie koni, toteż rodzina Rywkindów klepała biedę nie mniejszą niż sąsiedzi. Starczało ledwo na życie, o oszczędzaniu żaden Żyd w Kiszyniowie nie miał co nawet marzyć. Na miesiąc przed urodzeniem się Izaaka dwaj kuzyni Mendla Rywkinda zostali bestialsko pobici przez pijanych mołdawskich wyrostków. Kowal postanowił! wówczas, że któregoś dnia ucieknie z całą rodziną do lepszego świata. Choć już przedtem byli biedni, po tej decyzji jeszcze bardziej zbiednieli. Musieli sobie wszystkiego odmawiać, do najniezbędniejszych ograniczając wydatki. Rubelek do rubelka rosła jednak za wysuwaną cegłą u podstawy jednej z kuźni kupka pieniędzy. O jej istnieniu wiedzieli tylko Mendel i jego żona Sonia. Nie zwierzyli się nikomu, ponieważ nie chcieli, NOAH GORDON
żeby którejś nocy zamordował ich we śnie skuszony mającem śmierdzący piwem wieśniak.

Mijały lata i z roku na rok powolutku rósł stosik monet. Po bar micwie Izaaka ojciec zaprowadził go pewnej ciemnej mroźnej nocy do kuźni, wyjął cegłę i dał synowi pomacać zgromadzone ruble, poinformowawszy go o ich przeznaczeniu.

Okazało się, że niełatwo nadażyć z gromadzeniem tego ratunkowego kapitaliku za przyrostem rodziny. Najpierw przyszedł na świat Izaak, w trzy lata po nim jego siostra, której po babce, oleha haszalom, niech odpoczywa w pokoju, dano na imię Dora. Przed rokiem 1903 udało się zebrać gotówkę na opłacenie ledwo trzech biletów trzeciej klasy na statek do Stanów Zjednoczonych. Ale Dora miała już wtedy osiemnaście lat, a Izaak dwadzieścia dwa, ponadto od z górą roku był żonaty, a jego młoda żona, z domu Itta Melnikow, nosiła już w brzuchu dziecko, dla którego również trzeba będzie odłożyć w nadchodzących latach dodatkowe rubelki za wyjmowaną cegłą.

Czasy szły coraz gorsze. Kruszewan stawał się coraz aktywniejszy. W żydowskim szpitalu w Kiszyniowie popełniła samobójstwo młoda pacjentka, a w sąsiednim sztetł, czyli małym miasteczku, pewien pijak zatłukł kilkuletniego siostrzeńca na śmierć w napadzie szału. Kruszewan rzucił się skwapliwie na oba te nieszczęśliwe wypadki. Jego gazeta podniosła larum twierdząc, że obie ofiary zginęły z rąk Żydów, praktykujących odrażającą ceremonię mordu rytualnego.

Najwyraźniej szły czasy, w których ci, co mogli sobie na to pozwolić, powinni pomyśleć o ucieczce. Mendel nakazał Izaakowi, by zabrał odłożone pieniądze i wyjechał; reszta rodziny przyjedzie za nimi później. Izaak tę propozycję odrzucił. Był młody i silny, a od ojca nauczył się kowalki. Postanowił, że zostaną z Ittą w Kiszyniowie i będą odkładali potrzebne im na podróż ruble, Mendel zaś, Sonia i Dora

pojadą do Stanów Zjednoczonych i będą oszczędzali dolary, żeby pomóc Izaakowi, Icie i ich dziecku wyjechać do Nowego Świata. Kiedy Mendel się sprzeciwiał, Izaak przypomniał mu, że Dora osiągnęła już wiek stosowny do zamążpójścia. Czy ojciec życzy sobie, żeby poślubiła biednego Żyda z Kiszynio-

RABIN
i skazała się na życie, jakie taki ożenek gwarantuje? Jest piękną dziewczyną, w Ameryce sziduch może naraić jej partię, która zapewni jej wspaniałą przyszłość, a reszcie rodziny wsparcie.

W końcu Mendel niechętnie się zgodził. Wypełniono z wielkim trudem niezbędne dokumenty, po czym wysłano je gdzie trzeba przez żydowskiego poborcę podatków, który podniósł gwałt, kiedy Mendel wcisnął mu do ręki sześć rubli, ale pieniądze przyjął. Mieli wyjechać trzydziestego maja. Na długo przed nadejściem bezcennych paszportów, które zostały ukryte za cegłą obok pieniędzy na wyzwoli-ny, Sonia, Itta i Dora zabrały się za sypanie pierzyny z piór i poduszek z gęsiego puchu i przeglądanie wciąż od nowa ubogich ruchomości, żeby zdecydować, co zabrać, a co zostawić. Na początku kwietnia zabrakło węgla drzewnego do kuźni. Mendel zaopatrywał się w drewno dwadzieścia kilometrów od Kiszyniowa, gdzie tanio kupował od karczujących las chłopów twarde pnie kasztanowców. Sam je ściągał, piłował, obciosy-wał i sam wypalał węgiel. Była z tym nie kończąca się mordega. Chociaż Żydom zabraniano opuszczać getto, rząd doceniał wagę utrzymania koni w stanie zdatnym do pracy, toteż kowale dostawali przepustki umożliwiające im wyjazd z miasta po zakup drewna. Ponieważ Izaak miał wkrótce przejąć ojcowski interes, uznał, że pora jemu pojechać po drewno. Itta zaczęła nalegać, żeby ją zabrał ze

sobą. Wyjechali następnego dnia rano, zasiadłszy z dumą na wysokim koźle zaprzęzonego w dwie stare szkapy wozu. Podróż była cudowna. W powietrzu czuło się już wiosnę. Izaak pozwolił koniom człapać noga za nogą i młodzi małżonkowie rozkoszowali się krajobrazem. Na porębę przyjechali apbrze po południu. Chłopi ucieszyli się perspektywą nieocze-iwanego zarobku, który pozwoli im spłacić długi zaciągnięte przed Wielkanocą. Zgodzili się nawet, żeby Izaak przeszedł się PO lesie i naznaczył drzewa, które uzna za najzdatniejsze. Y brał same młode, bo wiedział, że takie najłatwiej mu będzie Przepiłować, gdy już je zwiezie do domu. Wieczorem on i Itta zjedli obfitą koszerną wałówkę, którą zapakowała im na drogę Sonia. Wieśniacy nie dziwili się, byli przyzwyczajeni do

NOAH GORDON

żydowskich posiłków. Małżonkowie przenocowali w małej chatce na skraju pola — Itta położyła mężowi głowę na ramieniu, a on rękę na jej wzdętym brzuchu — podnieceni i szczęśliwi z powodu niecodziennej atrakcji, jaką oznaczał dla nich wspólny wyjazd z domu. Rano Izaak w samej koszuli pracował razem z chłopami, ścinał drzewa, obciosywał gałęzie, ładował pnie na wóz. Kiedy uporali się z robotą, słońce stało już wysoko. Zapłacił chłopom za drewno osiem rubli, podziękował im gorąco, otrzymując w zamian równie serdeczne podziękowanie, wskoczył na kozioł obok Itty i cmoknął na konie.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy dojeżdżali do Kiszyniowa. Uświadomili sobie, że zdarzyło się coś złego, już na kilka wiorst przed miastem. Spotkali jadącego w przeciwnym kierunku hodowcę świń, stałego klienta ich kuźni. Siedział na kobyle, którą Mendel podkuł ledwo przed tygodniem. Kiedy Izaak pozdrowił go wesoło, tamten

przybladł, z całej siły kopnął piętami boki swojej szkapy i pocwałował na przełaj przez pole.

Podjechawszy bliżej, zobaczyli płomienie i wznoszące się do nieba wysokie słupy dymu, zabarwionego na czerwono promieniami zachodzącego słońca. Potem dobiegł ich uszu płacz i zawodzenie. Nie odzywali się do siebie. Gdy konie ciągnęły wóz długim szpalerem dopalających się domów, Izaak słyszał tylko przyspieszony oddech swojej żony, głośny i pełen przerażenia, podobny do szlochu.

Z ich siedziby ocalały jedynie dwie murowane kuźnie, poczerniałe obecnie nie tylko od wewnątrz. Dom spłonął prawie do szczętu, została po nim jedynie zwęglona skorupa bez dachu. Na pogorzeliisku stał brat Itty, Salomon Melnikow. Ujrawszy ich całych i zdrowych, najpierw zakrzyknął z radości, a potem oparł głowę na ramieniu Izaaka i rozplakał się jak dziecko.

Izaak i Itta zostali z Melnikowami na czas pogrzebu i siedmiu dni żałoby. Cały Kiszyniów odsiadywał sziwę. W pogromie zginęło czterdziestu siedmiu Żydów. Niemal sześciuset odniosło rany. Dwa tysiące rodzin padło ofiarą napaści rozszalałego tłumu, który przewalił się przez miasto gwałcąc i bijąc, nim wziął się za podrzynanie gardeł i roztrzas-

/•' .RABIN

kiwanie czaszek. Zburzono siedemset domów, złupiono sześćset sklepów.

Ostatniej nocy tygodnia żałoby Izaak poszedł do zrujnowanej kuźni. Przemykał ciemnymi ulicami, licząc wypalone skorupy domów jak wybite zęby. Ruchoma cegła u podstawy muru dała się wyjąć podejrzenie łatwo, toteż przez krótką i straszną chwilę był pewien, że paszporty i pieniądze zniknęły. Leżały jednak na miejscu. Wsunął je do kieszeni, po czym, nie wiedząc właściwie po co, wetknął cegłę na miejsce i zamaskował dziurę w ścianie kuźni.

Paszport matki zostawił Melnikowom; nigdy się nie dowiedział, czy go wykorzystali do ucieczki z Kiszyniowa. Pożegnali się tylko z rodziną Itty i z kuzynami ojca, którzy również ocalili z pogromu.

Rodzina Melnikowów wymarła podczas strasznej epidemii grypy, jaka w 1915 roku zdziesiątkowała Besarabię. Ale to już całkiem inna historia, jak mawiał zejdę Michaela, mniej znana.

Dziadek opowiadałby o tych wydarzeniach bez końca, gdyby matka Michaela, która wzdrygała się zawsze przy najokropniejszych epizodach i której cierpliwość wyczerpała się z powodu obecności pod jej dachem zrzędlivego starca, nie wybuchnęła kiedyś: „Nam doskonale znana! Ojciec nieraz ją nam opowiadał! Żeby też takie rzeczy opowiadać dzieciom!” Właśnie z powodu tego wybuchu matki Michaela zejdę snuł odtąd swoje opowieści w półmroku sklepienia spożywczego Rywkindów, miejscu przesyconym zachwycającymi woniami czosnku, wiejskiego sera, wędzonych ryb i kiszonych ogórków. Sam Izaak również przyjemnie pachniał. Kiedy Michael wdrapywał mu się na kolana, owiewała go woń krzaczastej brody dziadka, pachnącej mydłem „Castile”, zmieszana z aromatem mocnego tytoniu fajkowego „Prince Albert”, który zejdę palił przez sześć dni w tygodniu. Oddech starca załatywał ponadto zapaszkiem kandyzowanego imbiru i ryżowej whisky, których to przysmaków był zaprzysięgłym amatorem. Izaak należał do rzadkich wśród Żydów wyjątków: był alkoholikiem. Picie stanowiło jedyny luksus, na jaki sobie pozwalał, pocieszając się w samotności po śmierci żony. Co kilka godzin wychylał lufkę kanadyjskiej starki, w którą zaopatrywał się u zaprzyjaźnionego, a wrogo nastawionego do

NOAH GORDON

prohibicji aptekarza, przechowywał ją zaś — bezpiecznie, jak mniemał — w beczce fasoli.

Michael nie musiał szukać bohaterów w książkach. Miał żywego idola, kombinację Don Kiszota, Toma Swifta i Robinsona Crusoe, tworzącego nowe życie w obcym środowisku.

— Opowiedz majse o granicy, zejde! — prosił, wciskając twarz w aksamitną brodę i przymykając oczy.

— A kto by tam miał czas na podobne głupstwa! — burczał Izaak, choć obaj wiedzieli doskonale, że czego jak czego, ale czasu staruszek miał aż w nadmiarze. Wyśluzony fotel bujany zaczynał kiwać się w przód i w tył i poskrzypywać jak świerszcz, a Michael jeszcze głębiej wtulał twarz w jedwabistą brodę dziadka.

— Kiedy wyjechaliśmy z Kiszyniowa z moją Ittą, aleha haszałom, niech odpoczywa w pokoju, pojechaliśmy najpierw pociągiem na północ, żeby objechać góry. Z wjazdem do Polski nie mieliśmy kłopotu, gdyż Polska należała wtedy do Rosji. Nie sprawdzali nawet paszportów.

Niepokoilem się z powodu mojego paszportu, należał przecież do nieboszczyka ojca, niech odpoczywa w pokoju.

Wiedziałem, że Itty nie będą się czepiać, miała dokumenty mojej zmarłej siostry. Ale ja, młodzieniaszek, jechałem z paszportem starego człowieka.

Nasze kłopoty zaczęły się na granicy między Polską a Niemcami. To było w czasie cores między• tymi dwoma krajami. Między Polską a Niemcami zawsze są jakieś tarcia. Ale tym razem cores były bardziej niż zwykle zajadłe. Kiedy przyjechaliśmy na granicę, pociąg stanął i wszystkim kazali wysiadać. Oświadczone nam, że przekraczać granicę może tylko określona liczba osób dziennie i że kwota ta została tego dnia wyczerpana.

W tym momencie fotel przestawał się bujać, co oznaczało, że Michael powinien zadać pytanie, by podtrzymać napięcie. Odezwał się więc w głąb brody, czując, jak jej włosy łaskoczą go w usta i włożą do nosa. Po jakimś czasie broda, w którą wtulał twarz, stawała się wilgotna od jego oddechu, co zmuszało go do szukania suchego miejsca. — I co wtedy zrobiliście, zejde?

: RABIN

,:> — W podobnych jak my tarapatach znalazło się jeszcze około stu osób, Polaków, Niemców, Rosjan, Żydów. Do tego paru Rumunów i kilku Czechów. Niektórzy z nich opuścili teren stacji, szukając jakiegoś przejścia przez granicę. Wkrótce pojawili się ludzie z miasteczka proponując, że za pieniądze wskażą nam bezpieczną drogę. Wyglądali mi na bandziorów. A poza tym twoja babka, aleha haszalom, nosiła już brzuch wielki niczym dynia. Chodziła wtedy w ciąży z twoim ojcem. Bałem się ruszać w długą drogę na piechotę, no i cały dzień przeczekaaliśmy na tej granicznej rogatce. Słońce srodze przypiekało, więc przestraszyłem się, że twoja babka może się rozchorować. Posililiśmy się odrobiną chleba z serem, ale nie zaspokoilo to naszego głodu. Poza tym dokuczało nam pragnienie. Nie mieliśmy nic do picia. Czekaliśmy tam cały dzień. Po zachodzie słońca czekaliśmy dalej, bo nie mieliśmy dokąd pójść.

— Kto was uratował, zejde?

— Przy tej bramie czekały prócz nas dwie piękne jidysze dziewczęta. Szejne mejdlech. A po drugiej stronie bramy stało dwóch czerwonych na gębach niemieckich żołnierzy. Mejdlech podeszły do nich i zaczęły coś z nimi poszep-tywać i chichotać. Po jakimś czasie żołnierze uchylili bramę, żeby je przepuścić, a wtedy cała nasza gromada — Żydzi, Polacy, Niemcy, Rosjanie, Czesi, Rumuni, twoja babka ze wzdętym brzuchem i ja — rzuciliśmy się hurmem, jak rozpędzone stado

bydła na filmie, i przecisnęliśmy się przez tę bramę. Po drugiej stronie granicy zaczęliśmy się na wyścigi mieszać z tłumem czekających na stacji podróżnych i żołnierze szybko stracili nas z oczu. A potem przyjechał jakiś pociąg, do którego wsiedliśmy, i tyle nas widzieli.

Michael zaczynał się wiercić niecierpliwie, bo zbliżała się najbardziej intrygująca część opowieści.

— A czemu żołnierze otworzyli tym dziewczętom bramę, zejść?

— Bo one im coś obiecały.

Slinianki Michaela zaczynały funkcjonować ze wzmożoną wydajnością.

—; A co? Co takiego obiecały tym żołnierzom?

NOAH GORDON

— Coś słodkiego i ciepłego. Coś, na czym żołnierzom bardzo zależało.

— Co takiego, zejść?

Po tym pytaniu brzuch i klatka piersiowa dziadka zaczynały podrygiwać. Kiedy po raz pierwszy opowiadał wnukowi tę historię, Michael zadał mu identyczne pytanie i staruszek po chwili rozpaczliwego szukania odpowiedzi, jakiej mógłby udzielić małemu brzdącowi, wpadł w końcu na szczęśliwy pomysł.

— Cukiereczka. Takiego jak ten!

Izaak nosił zawsze w kieszeni pomietą papierową torebkę z kandyzowanym imbirem. Palący jak ogień korzonek był słodki, dopóki ssało się polewę cukru, ale potem stawał się piekący, aż łzy napływały do oczu. Michael uwielbiał ten przysmak nie mniej niż jego dziadek, lecz gdy się zanadto nim objadł, cierpiał następnego dnia prawdziwe męki siedząc na sedesie, a pupa tak go piekła, że aż sobie cicho popłakiwał, bojąc się, by matka go nie usłyszała, gdyż mogłaby na przyszłość zabronić dziadkowi częstowania jej syna imbirem.

Smoktając w mrocznym sklepiku imbirowy cukierek,
doprasza! się dalszego ciągu opowieści.

— Opowiedz, co się zdarzyło, kiedy wysiedliście z pociągu,
zejdę!

I dziadek Izaak opowiadał mu, że pociągiem dojechali tylko
do Mannheimu, gdzie znowu musieli czekać w skwarze
wiosennego słońca. Dworzec kolejowy był położony nad
Renem. Izaak nawiązał rozmowę z jednym barkarzem,
Duńczykiem, który przy pomocy barczystej małżonki ładował
na barkę worki z węglem. Kiedy Izaak zapytał go, czy nie
przewiózłby za zapłatą dwóch osób do ujścia rzeki, barkarz
odmówił. Itta, która w ubłoconej spódnicy siedziała nie opodal
na pieńku, wybuchnęła płaczem. Żona barkarza spojrzała na
bladą Żydówkę ze wzdętym brzuchem i powiedziała coś ostro
do męża, a ten, choć widać było po jego spojrzeniu, jaki jest
zły, pokazał im w milczeniu czarnym od węgla kciukiem,
żeby wchodzili na pokład.

Niezwykła podróż z nurtem rzeki niezmiernie przypadła
Rywkindom do gustu. Nie licząc ładowni z węglem,
pomieszczenia barki świeciły czystością. Humor barkarza
poprawił się,

X"-;i RABIN

gdy się okazało, że Izaak jest skłonny nie tylko zapłacić mu za
przewóz, ale i pomagać w pracy. Dni były słoneczne, rzeka
zielona i czysta. Izaak ucieszy! się widząc, że na policzki Itty
wracają rumieńce.

Co dzień o świcie, w tałesie na ramionach i filakteriach na
czole i obnażonym lewym ramieniu, stawał obok worków z
węglem na mokrym od rosy pokładzie i modlił się półgłosem,
podczas gdy barka płynęła cicho, mijając kamienne
zaczyska, strzelające wieżyczkami w błękitne niebo, po
którym sunęły białe obłoki, mijając podobne do pierników
domy, w których spali niemieccy gospodarze, mijając wioski,

urwiste brzegi i pofalowane łąki. Kiedy rankiem czwartego dnia podróży podniósł wzrok skończywszy odmawianie modlitw, zobaczył opartego o reling i przyglądającego mu się barkarza. Duńczyk uśmiechnął się z szacunkiem, po czym nabił fajkę. Od tamtej pory Izaak czuł się na barce jak u siebie w domu.

W końcu zniknęły wznoszące się nad środkowym Renem zamczyska. Gdy dopływali do Bingen, Izaak, niczym chłopiec okrętowy, wykonywał wykrzykiwane głośno komendy barkarza, a ich statek przeciskał się przez rwące bystrzyny. Potem nurt rzeki zleniwiał i przez dwa dni płynęli w ślimaczym tempie. Dziewiątego dnia Ren skreślił na zachód i wpłynął do Holandii, zmieniając nazwę na Waal. Po dwóch następnych dniach dobili do pirsu w Rotterdamie. Barkarz i jego żona odprowadzili swoich pasażerów na nabrzeże, przy którym cumowały transatlantyki. Holenderski celnik przyjrzał się podejrzliwie młodemu emigrantowi, bo według paszportu liczył on sobie lat pięćdziesiąt trzy, lecz wzruszył tylko ramionami i szybko przybił pieczętkę. Itta płakała, kiedy się żegnali z Duńczykami.

— Obeszli się z nami jak Żydzi — powtarzał Izaak, ilekroć opowiadał wnukowi tę historię.

Jeśli do sklepu nie wszedł klient, opowiadał następnie Michaelowi o narodzinach jego ojca pewnej nocy na środku Atlantyku podczas strasznego sztormu, gdy fale „osiągały wysokość wieżowca Chryslera”, a okrętowy lekarz spił się jak świnia, więc rozdygotany Izaak musiał własnoręcznie wyciągać dziecko z ciała Itty.

Klient zjawiający się w trakcie którejś z tych opowieści był traktowany jak utrapiony intruz, choć jeśli okazywał się nim Irlandczyk albo Włoch, a koniec historii był bliski, Izaak nie obsługiwał go, póki nie skończył opowiadania. W dzielnicy Borough Park na Brooklynie dominowała ludność

po pochodzenia żydowskiego, lecz trafiały się tam również całe kwartały ulic zamieszkałe przez Irlandczyków i Włochów. Żydowski kwartał, w którym mieszkali Rywkin-dowie, sąsiadował z dwoma takimi chrześcijańskimi gniazdami. W irlandzkim znajdował się magazyn kupca o nazwisku Brady, we włoskim — sklep spożywczy niejakiego Alfano, i każda z grup etnicznych zaopatrywała się na ogół u swojego sklepikarza. Zdarzało się jednak, że w którymś z wymienionych sklepów zabrakło akurat jakiegoś towaru, co zmuszało kupującego do skorzystania z usług jednej z dwóch pozostałych placówek handlowych, gdzie obsługiwano go uprzejmie, acz bez entuzjazmu, właściciel zdawał sobie bowiem sprawę, że ma do czynienia z klientem przypadkowym, którego przygnała do niego nagła a jednorazowa konieczność.

Izaak kupił sklep w Borough Park po śmierci Itty, która umarła, kiedy Michael miał trzy lata. Przedtem prowadził niewiele większy sklepik w Williamsburgu, innej dzielnicy Brooklynu, gdzie osiedlili się z żoną po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych. Kwartał ulic w Williamsburgu, w którym zamieszkali, był w gruncie rzeczy dzielnicą zapluskwionych slumsów, równie jednak ortodoksyjną jak wszystkie żydowskie getta w Europie, toteż Izaak pokochał tę dzielnicę i nie chciał się z niej wyprowadzać. Dla Abe'a Rywkinda, ojca Michaela, nieznośną była myśl, że jego starzejący się rodzic mógłby mieszkać sam, bez opieki. Ustupując jego naleganiom Izaak sprzedał sklepik w Williamsburgu i zamieszkał przy rodzinie syna w Borough Park. Wprowadził się ze swoimi modlitewnikami, czterema butelkami whisky, pierzyną sypaną przez Ittę oraz wielkim mosiężnym łóżem, swoim pierwszym amerykańskim nabytkiem, w którego polerowanym wezglówiu, jak

zapewniał wnuka, człowiek mógł zobaczyć odbicie własnej duszy, pod warunkiem że była wolna od grzechów.

'RABIN

Izaak mógł już w owym czasie wycofać się z interesu, Abe Rywkind zaczął bowiem osiągać całkiem przyzwoite dochody jako drobny producent damskich gorsetów. Ale zejdę wolał sam płacić za swoją whisky, więc syn i synowa ustąpili w końcu przed jego płomiennym spojrzeniem i staruszek kupił sklepik spożywczy niedaleko ich mieszkania w Borough Park, dosłownie za rogiem.

Dla Dorothy Rywkind dzień, w którym teść zamieszkał pod jej dachem, nie należał do najszcześniejszych. Dorothy była pulchną, tlenioną blondynką o łagodnym spojrzeniu sarny. Teoretycznie prowadziła kuchnię koszerną, nie podawała ani szynki, ani nie mających łusek ryb, ale nie budziły jej w nocy wyrzuty sumienia, jeśli przez pomyłkę, zmywając naczynia po kolacji, włożyła półmisek po mięsie do szafki z porcelaną do pokarmów mlecznych. Dla Izaaka zaś Prawo było prawem. Pod kontuarem w sklepiku przechowywał stertę komentarzy z pozaginanymi rogami, pobazgranych notatkami kartek i oddychał, spał, patrzył i słuchał w zgodzie z religijnymi nakazami. Naruszenia prawa, jakich dopuszczała się jego synowa, początkowo przejmowały go zgrozą, potem gniewem. Nie oszczędza! zresztą nikogo z rodziny. Sąsiedzi przywykli do jego wykrzykiwanych w jidysz, pełnych grzmiącego oburzenia upomnień. Pierwszego dnia jego pobytu pod dachem syna Dorothy podała na obiad między innymi pieczeń wołową, a tymczasem Michael i jego siostra Ruthie przyszli do stołu z kromkami chleba z masłem, które przygotowali sobie wcześniej w kuchni.

— Gojim\ — zakrzyknął ich dziadek. — Do stołu flejszik przynosicie masło? — Następnie odwrócił się do ich poblądłej matki. — Jak ty wychowujesz dzieci?

— Ruth, zabierz bratu ten chleb i wyrzuć — poleciła spokojnie Dorothy.

Michael był jednak tylko małym chłopcem i chleb mu smakował. Kiedy siostra spróbowała mu wyrwać kromkę, zaczął się z nią szarpać i kawałek masła upadł na stojący na stole talerz do mięsa. Ryk oburzenia, jakim wybuchnął ich dziadek, wywiał dzieci aż do pokoju Michaela. Przytuliły się tam do siebie i słuchały zafascynowane odgłosów gromkiego gniewu zejde.

NOAH GORDON

Doświadczenie to ustaliło warunki współżycia domu Ryw-kindów z Izaakiem. Staruszek starał się odtąd jak najdłużej przesiadywać w swoim sklepiku. Nie bacząc na protesty Dorothy przygotowywał tam sobie lunch, pitrasząc go na małej kuchence elektrycznej na zapleczu. Kiedy wracał wieczorem do domu, jego jastrzębi wzrok dostrzegał od progu najdrobniejsze przypadki naruszenia rytuału i ścianami mieszkania wstrząsał wtedy starożytny krzyk oburzenia. Zejde zdawał sobie sprawę, że jest dla rodziny syna utrapieniem, i to go smuciło. Michael wiedział o tym, ponieważ stał się jedynym przyjacielem dziadka. Przez kilka pierwszych tygodni zamieszkiwania z nim pod wspólnym dachem drżał ze strachu przed brodatym starcem, ale pewnej nocy, gdy pozostali domownicy już spali, Izaak, który nie mógł zasnąć, wszedł do pokoju wnuka, żeby sprawdzić, czy chłopiec się nie rozkopał. Przekonawszy się, że Michael jeszcze nie śpi, usiadł na skraju łóżka i zaczął go głaskać po głowie dłonią stwardniałą od dźwigania przez lata skrzyń z puszkowanym jedzeniem i worków z warzywami.

— Czy rozmawiałaś dzisiaj z Bogiem? — zapytał ochrypłym szeptem. Michael nie odmówił modlitwy, wyczuwając jednak, że odpowiedź twierdząca sprawiłaby dziadkowi przyjemność,

bezwstydnie przytaknął, a gdy Izaak całował jego palce, poczuł, że zejdę się uśmiecha.

— Dos is gut — dziadek uszczypnął Michaela w policzek. — Rozmawiaj z Nim często.

Zanim przez ucichłe mieszkanie odszedł do swego pokoju, sięgnął do kieszeni spłowiałego flanelowego szlafroka; zaszleścił papier i sękaty palec wetknęły chłopcu do buzi kawałek kandyzowanego imbiru. Michael zasypiał w błogim rozmarzeniu.

Wczesną jesienią, kiedy dni stawały się krótsze i zbliżało się święto Sukot, więź między wnukiem a dziadkiem zacieśniła się jeszcze bardziej. Każdego roku swego czteroletniego pobytu u Rywkindów zejdę budował o tej porze w ich małym ogródku za domem sukę, rytualny szałas. Wznosił go z desek i pokrywał gałęziami i snopkami zboża. Dla starego człowieka wybudowanie takiej konstrukcji nie było zadaniem łatwym, tym bardziej że Brooklyn nie obfitował w łany zbóż, snopki siana

RABIN

ani lasy. Izaak musiał wyprawiać się nieraz daleko w głąb Jersey, żeby zdobyć potrzebny budulec, i całymi tygodniami zameczał syna, póki ten nie zawiózł go gdzieś na wieś.

— Po co ojciec to robi? — zapytała kiedyś Dorothy teścia, przyniósłszy mu filiżankę herbaty na plac budowy, gdzie się trudził ociekając potem. — Po co się ojciec tak męczy?

— Obchodzę święto plonów.

— Dobry Boże, a jakie u nas plony? Przecież nie jesteśmy rolnikami! Ojciec sprzedaje konserwy, syn ojca wyrabia gorsety dla kobiet z dużymi zadami. Kto tu zbiera jakieś plony?

Izaak popatrzył z politowaniem na tę niewiastę, która za sprawą jego syna została jego córką.

— Od tysięcy lat, odkąd Żydzi przebywali na pustyni, obchodzimy święto Sukot w gettach i w pałacach. Nie potrzeba uprawiać kapusty, żeby zbierać plony. — Swoją wielką dłonią chwycił Michaela za szyję i pchnął go w kierunku matki. — Oto twój plon, kobieto!

Nie zrozumiała go, ale zejdę mieszkał już wtedy u nich dostatecznie długo, więc nie spodziewał się po synowej rozumu.

Choć matce święto Sukot nie przypadło do gustu, Michaela zachwyciło. Zejdę jadał w tej krytej strzechą budzie, a gdy pogoda na to pozwalała, również w niej sypiał, na składanej połówce rozstawianej na gołej ziemi. Pierwszego roku ich wspólnego zamieszkiwania chłopiec tak długo naprzykrzał się rodzicom, aż w końcu ustąpili i pozwolili mu nocować w szałasie razem z dziadkiem. Była pora babiego lata, czas ciepłych dni i nocnych przymrozków, toteż nakryli się grubą pierzyną, którą zejdę przywiózł z Williamsburga. Kiedy w wiele lat później Michaelowi przyszło spać pod gołym niebem w górach, tamta pierwsza w jego życiu noc na świeżym powietrzu stała mu jak żywa przed oczami. Przypomniawszy sobie szelest wiatru w skleconym ze słomy dachu szałasie, łaciaty wzorek z poświaty księżyca w pełni, którego blask wpadał przez plecionkę z gałęzi i rzucał cienie na klepisko podłogi. Przypomniawszy sobie również — dysonansowe, a mimo to piękne — stłumione odgłosy ruchu ulicznego, docierające na ich małe podwóreczko z odległej o dwie przecznice Trzynastej Alei.

NOAH GORDON

Spędzili razem tylko tę jedną noc, nieszczęśliwy starzec i oczarowany mały chłopiec, tuląc się do siebie w obronie przed nocnym chłodem i udając, że przebywają w innym świecie. W tamto święto Sukot chcieli jeszcze raz nocować na dworze, ale

przeszkodził im deszcz, w następnych zaś latach, aż do wyprowadzki zejdę, matka Michaela orzekała zawsze, że jest zbyt zimno.

Stało się oczywiste, że Izaak powinien się od nich wyprowadzić, kiedy to jednak nastąpiło, jego wnuk nie potrafił zrozumieć, dlaczego musiało do tego dojść. Kroplą, która przepełniła kielich, okazał się dziewięcioletni Włoch, Joseph Morello, kolega Ruthie z piątej klasy szkoły podstawowej numer 168, w którym siostra Michaela się kochała. Pewnego popołudnia wróciła ze szkoły cała w skowronkach, z nowiną, że Joey zaprosił ją na urodziny w następną sobotę. Na nieszczęście oznajmiła to Michaelowi przy dziadku, który popijając herbatę, czytał przy stole w kuchni „The Jewish Forward”. Izaak podniósł oczy znad gazety i przesunął na czoło okulary w metalowej oprawce. — W szabat? To ten chłopak urządza przyjęcia w szabat? Co to za jedni?

— Och, dziadku! — zniecierpliwiła się Ruthie.

— Jak się nazywa ojciec tego Joeya?

— Morello.

— Morello? Makaroniarz? — Staruszek opuścił okulary na nos i potrząsnął gazetą. — Nigdzie nie pójdziesz!

Ciszę domu rozdarł przeraźliwy płacz Ruthie, wywołując z sypialni matkę. Dorothy wpadła do kuchni z chustką na głowie i ze szczotką na kiju w ręku. Wysłuchawszy przerywanej szlochem relacji córki, odstawiła szczotkę.

— Idź do swojego pokoju, Ruth! — poleciła. Kiedy dziewczynka wybiegła, Dorothy zwróciła spojrzenie na zaczytanego teścia.

— Ona pójdzie na te urodziny — oświadczyła.

— Nie w szabat.

— Ojciec może sobie siedzieć w szabat w domu, skoro taką ma ojciec ochotę, albo pójść do szuła z innymi starcami. Ruthie

jest małą dziewczynką i została zaproszona na przyjęcie urodzinowe. Usiądzie do stołu z innymi dziewczyn-

'•"- RABIN f-',

karni i chłopcami i będzie jadła ciastka i lody. To żaden grzech.

Izaak prześwidrował ją swym jastrzębim wzrokiem. „ — Ze szkocym? Z chrześcijańskimi urwisami? r — Z chłopcami i dziewczętami w jej wieku! f — To zawsze się tak zaczyna! — obwieścił Izaak Rywkind.

— I ty ją jeszcze do tego popychasz! A jak podrośnie, jak jej wyrosną piersi i któregoś dnia jakiś makaroniarz zawiesi między nimi krzyżyk na tombakowym łańcuszku, co wtedy powiesz? — Złożył gazetę i wstał. — Co powiesz wtedy, moja przemądrzała synowo?

— Na miłość boską, chodzi o przyjęcie urodzinowe dla dzieci, nie o wesele! — krzyknęła Dorothy. Lecz Izaak opuszczał już kuchnię.

— Ona nigdzie nie pójdzie! — oświadczył i trzasnął drzwiami.

Dorothy zbladła jak chusta. Przez chwilę stała nieruchomo na środku kuchni, aż nagle skoczyła do okna i otworzyła je na oścież. Piętro niżej Izaak wychodził właśnie z domu na ulicę.

— A właśnie że pójdzie!!! — krzyknęła za nim synowa.

— Słyszysz mnie, starcze?! Właśnie że pójdzie!!!

Zatrzasnęła okno i rozplakała się w głos.

Tego wieczora zejść do późna siedział w sklepie, przedłużając ponad zwykłą miarę godziny jego otwarcia. Kiedy ojciec Michaela wrócił z fabryki, oboje z matką długo o czymś rozmawiali w sypialni. Do Michaela i jego siostry dobiegały czasem ich podniesione głosy. Abe w końcu stamtąd wyszedł z twarzą wykrzywioną jak u dziecka, które chciałoby, lecz boi się rozplakać. Nałożył na talerz plastry zimnego mięsa z

lodówki i zaniósł je dziadkowi do sklepu. Michael i Ruth już spali, gdy obaj wrócili do domu.

Ruthie wyjawiała nazajutrz bratu, o co ich rodzice się kłócili.

— Ten śmierdzący staruch długo już u nas nie pomieszka!

— oznajmiła na zakończenie.

Michael poczuł nagły skurcz w żołądku.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytał.

— Wyniesie się do takiego domu, gdzie mieszkają sami staruszkowie i staruszki. Mama tak powiedziała.

NOAH GORDON

— Kłamczucha!

Kopnął siostrę w goleń. Ruthie krzyknęła i uderzyła go w twarz, a potem z całej siły wbiła mu paznokcie w ramię.

— Nie waż się nigdy więcej nazywać mnie kłamczuchą, smarkaczu!

Choć zbierało się jej na płacz, nie miała zamiaru dać bratu takiej satysfakcji. Michaela jej uderzenie tak zapiekło, że wola! wybiec z domu, żeby się nie rozbeczeć. Zbiegł po schodach, wypadł na ulicę i pognął za róg do sklepu spożywczego Rywkinda. Zejdę siedział beczynnym w bujanym fotelu; nawet niczego nie czytał. Michael wdrapał mu się na kolana i ukrył twarz w białej brodzie. Przy każdym uderzeniu serca dziadek kłuł go w ucho jeden z jej kosmyków.

— Wyprowadzasz się od nas, zejde?

— A gdzież tam! Kto ci naopowiadał takich głupstw? Oddech staruszka wyraźnie cuchnął kanadyjską starką.

— Jeśli się wyprowadzisz, ja odejde z tobą — zapowiedział chłopiec.

Izaak przycisnął do piersi główkę wnuka i zaczął się bujać na fotelu, więc Michael uznał, że wszystko będzie dobrze. W trakcie tego bujania weszła do sklepu gruba pani Jacobson, kontroler celny. Dziadek Michaela spiorunował ją wzrokiem.

— Proszę wyjść! — warknął.

Pani Jacobson uśmiechnęła się pytająco, jak człowiek, który nie rozumiał żartu. Stała i czekała.

— Proszę wyjść — powtórzył zejdę. — Nie obsłużę pani. Ma pani zbyt tłusty tyłek. Pani Jacobson zdębiała.

— Co pan?! — krzyknęła. — Czy pan zwariował?

— Proszę się wynosić! I żeby mi pani nigdy więcej nie macała tymi swoimi tłustymi paluchami moich pomidorów! Już dawno chciałem to pani powiedzieć.

Jeszcze kilka razy powtórzyła się tego popołudnia podobna scena i kilku jeszcze klientów wypadło z oburzeniem ze sklepu Rywkinda.

W końcu, w połowie opowieści Izaaka o tym, jak kupił w Ameryce swój pierwszy handelek, wszedł do sklepu ojciec Michaela. Stał w drzwiach i przyglądał się w milczeniu swojemu ojcu i synowi, a oni z kolei jemu. Ojciec Michaela był

>, RABIN t

średniego wzrostu i proporcjonalnej budowy ciała, o którego sprężystość i muskulaturę dbał w sali gimnastycznej YMHA. U siebie w sypialni przechowywał zestaw ciężarków i Michael obserwował czasem, jak napinają się i pęcznieją bicepsy ojca ćwiczącego dwunastokilogramowymi hantlami. Abe miał krótko ostrzyżone i starannie uczesane włosy i ciemną opaleniznę, której latem nabywa! na słońcu, a zimą pod kwarcówką w YMHA. Mężczyźni go lubili, ale prawdziwym powodzeniem cieszył się wśród damskiej klienteli przemysłu gorseciar-skiego, był bowiem przystojnym mężczyzną o niebieskich, zawsze uśmiechniętych oczach.

Teraz malowała się w nich powaga.

— Pora na kolację. Wracajcie do domu — powiedział.

Michael i dziadek nie ruszyli się z fotela.

— Jadłeś coś, tato? — zainteresował się Abe Rywkind. Zejdę zmarszczy! czoło.

— Oczywiście! Czy ci się zdaje, że jestem niedołącznym dzieckiem? Żyłbym sobie teraz jak król w Williamsburgu, gdybyście ty i twoja śliczna żonusia nie wsadzali nosa w nie swoje sprawy. Wyrwaliście mnie stamtąd, a teraz chcecie mnie oddać do muzeum.

Ojciec Michaela usiadł na skrzynce z pomarańczami.

— Wstąpiłem dzisiaj do Domu Synów Dawida, tato. To wspaniałe miejsce. Naprawdę jidysze.

— Nic mnie to nie obchodzi.

— Proszę cię, tato...

— Posłuchaj, Abe, będę się trzymał z daleka od twojej małżonki. Może sobie podawać trefne w świętek i piątek, nie pisnę ani słoweczka.

— Pan Melnick również tam mieszka.

— Reuwen Melnick z Williamsburga?

— Ten sam. Prosił, żeby cię pozdrowić. Powiedział mi, że ogromnie mu się tam podoba. Mówi, że karmią ich jak w jakimś kurorcie w górach Catskill. Do tego wszyscy mówią w jidysz, szul jest w tym samym budynku, odwiedza ich rabin, a w szabat przyjeżdża kantor.

Zejdę zsadził Michaela z kolan i postawił go na podłodze.

— Chcesz, żebym opuścił twój dom, Abe? Naprawdę chcesz, żebym się wyniósł?

NOAH GORDON

Powiedział to w jidysz, a tak cicho, że Michael i ojciec ledwo go słyszeli.

Głos Abe'a Rywkinda nie zabrzmiał o wiele donośniej.

— Dobrze wiesz, że tego nie chcę, tato. Ale Dorothy uparła się, żebyśmy mieszkali sami. To moja żona, tato... —

Odwrócił oczy.

Dziadek parsknął śmiechem.

— Niech będzie! — zawołał nieomal wesoło.

Wziął tekturowy karton po płatkach śniadaniowych i zapakował do niego swoje tomy komentarzy, fajki, sześć puszek tytoniu „Prince Albert”, kilka tabliczek do pisania i paczkę ołówków. Następnie podszedł do beczki z fasolą, wydobyl z niej butelkę kanadyjskiej starki i dołożył ją do rzeczy w kartonie. A potem wyszedł ze sklepu spożywczego Rywkinda, nie obejrzawszy się nawet za siebie.

Nazajutrz rano ojciec i Michael odwieźli go do Domu Synów Dawida, przytułku dla starców i sierot. W samochodzie Abe'owi nie zamykały się usta.

— Spodoba ci się twój pokój, tato—zapowiedział z entuzjazmem. — Sąsiaduje z pokojem pana Melnicka.

— Głupiś, Abe! — mruknął zejde. — Reuwen Melnick to stara baba, jente, która nic tylko miele ozorem. Musisz mi zmienić pokój.

Ojciec odchrząknął nerwowo.

— Dobrze, tato.

— Co będzie ze sklepem? — spytał chłodno dziadek.

— Nie martw się o sklep. Sprzedam go, a pieniądze wpłacę na twoje konto. Dość się już w życiu natyrałeś. Należy ci się odpoczynek.

Dom Synów Dawida mieścił się przy Jedenastej Alei w podłużnym budynku z żółtej cegły. Na chodniku przed wejściem stało kilka krzeseł, na których grzało się w słońcu trzech starców i dwie staruszki. Nie zajmowali się ani lekturą, ani rozmową, po prostu sobie siedzieli. Jedna ze staruszek uśmiechnęła się do dziadka, który wysiadał z chevroleta. Nosila perukę — szejtl — nie dopasowaną, cynamonowej barwy, i miała niezwykle pomarszczoną twarz.

— Szalom — przywitała Rywkindów, kiedy wchodzili do środka, a oni jej nie odpowiedzieli.

W gabinecie jakiś mężczyzna, niejaki pan Rabinowitz, długo ścisnął ręce dziadka.

— Dużo o panu słyszałem — obwieścił. — Spodoba się panu u nas.

Zejdę uśmiechnął się dziwnie, poprawiając w ramionach karton po płatkach śniadaniowych. Pan Rabinowitz zajrzał do pudła.

— O, to u nas zabronione! — powiedział i wyjął z kartonu butelkę whisky. — To wbrew regulaminowi, chyba że przepisałby to panu lekarz.

Dziadek jeszcze szerzej się uśmiechnął. Następnie pan Rabinowitz oprowadził ich po przytułku. Pokazał im kaplicę, gdzie płonęły w słoiczkach dziesiątki świec za zmarłych, szpital, w którym leżało kilkunastu sędziwych pacjentów, wreszcie świetlicę, gdzie kilku starców grało w warcaby, kilka staruszek robiło na drutach, pozostali zaś bądź to siedzieli beczynnienie, bądź to czytali żydowskie gazety. Pan Rabinowitz trajkotał jak nakrecony. Głos miał zachrypnięty i wciąż odchrząkiwał.

— Jeden z pańskich starych przyjaciół wprost nie może się już pana doczekać — oznajmił dziadkowi, wprowadzając go do jednego z pokoi.

W środku rzucił się Izaakowi na szyję jakiś niski posiwiały starzec.

— Jakże się cieszę, że cię widzę! — zawołał.

— Siemasz, Reuwen — burknął zejdę.

— Ma pan bardzo ładny pokój, panie Melnick — pochwalił ojciec.

Pokoik by! maciupenki. Stały w nim łóżko, stolik, lampa i komódka. Na ścianie wisiał kalendarz żydowski Morrisona i Schiffa. Na komódce leżała Biblia, talia kart, a obok stała butelka whisky. Reuwen Melnick zauważył, że Izaak uniósł na jej widok brwi.

— To na receptę. Od Solą, mojego syna, który jest lekarzem
— wyjaśnił.

— Kochany chłopak! Chciałbym, żeby mnie zbadał. Reuwen, będziemy sąsiadami przez ścianę — oznajmił dziadek Michaela.

Abe Rywkind już otwierał usta, by przypomnieć ojcu, że chciał zmienić pokój, ale zmilczał, gdy jego wzrok padł na
55

NOAH GORDON

butelkę. Następnie przeszli do sąsiedniego pokoju, rozpakowali walizkę dziadka i ułożyli na komódce rzeczy z kartonu po płatkach śniadaniowych. Krótką chwilę postali jeszcze razem na korytarzu. Na podłodze leżało błyszczące brązowe linoleum. Wszędzie dokoła widziało się starców, więc Michael zdziwił się, ujrawszy trzech chłopców w swoim mniej więcej wieku, którzy bawili się w berka, biegając między dwoma pokojami. Jakaś przechodząca kobieta w białym kitlu kazała im zaraz przerwać te gonitwy, ale oni roześmiali się tylko i zacięli popierdywać wargami. Michael pociągnął ojca za rękaw.

— Co oni tu robią? — zapytał szeptem.

— Mieszkają — odpowiedział Abe. — To sieroty.

Michael przypomniał sobie, co wczoraj obiecał dziadkowi: że Jeśli on się od nich wyprowadzi, odejdzie z domu razem z nim. Przypomniawszy to sobie, bardzo się przestraszył i z całej siły uczeplił się ręki ojca.

— No cóż, tato, chyba już pójdziemy... — rzekł Abe. Na twarzy dziadka, nie po raz pierwszy, pojawił się dziwny uśmiezek.

— Odwiedzisz mnie kiedyś, Abe?

— Będiesz nas oglądał tak często, tato, aż sam poprosisz, żebyśmy ci nie zawracali głowy wizytami.

Zejdę wyjął z kieszeni zmiętą papierową torebkę z kandyzowanym imbirem, wygrzebał z niej jeden cukierek i włożył go sobie do ust, po czym ujął dłoń wnuka i zacisnął jego palce na torebce.

— Wracaj do domu, majn kind — wyszeptał.

Michael i jego ojciec oddalili się szybko, pozostawiając staruszka samego na brązowym lśniącym linoleum.

W drodze do domu ojciec milczał. Ledwo wsiedli do chevroleta, Michael przestał się bać i chwyciła go tęsknota za dziadkiem. Zrobiło mu się żal, że go nie uściskał i nie pocałował na pożegnanie. Otworzył torebkę i zaczął jeść cukrzony imbir. Choć wiedział, że nazajutrz będzie go piekła Pupa3 zjadł wszystkie cukierki, do ostatniego. Postąpił tak po części na pamiątkę dziadka, po części zaś dlatego, iż przewidywał, że od tej pory kandyzowany imbir stanie się rzadkością w Jego jadłospisie.

RABIN

ROZDZIAŁ PIĄTY

Na przyjęciu u Joeya Morello siostra Michaela, Ruthie, wdała się w bójkę z jakąś małą Włoszką i wróciła do domu podrapana i zapłakana. Michael poczuł zarazem złość i satysfakcję. Satysfakcję, że siostra dostała to, na co zasłużyła, złość dlatego, że dziadek musiał się od nich wyprowadzić z powodu głupiego przyjęcia urodzinowego, na którym się nawet dobrze nie bawiła.

W następnym tygodniu ojciec sprzedał sklepik młodemu imigrantowi z Niemiec, który założył tam światło oraz dział produktów niekoszernych. Oświetlenie zmieniło sklep z tajemniczej pieczary w obskurny i nędzny kramik z żywnością, toteż Michael nigdy tam nie zachodził, chyba że mu kazano. Nie tylko jednak w sklepie odczuwało się wyjazd zejdę. W domu Rywkindów zaszły jeszcze wy różniej sze zmiany. Dorothy chodziła po mieszkaniu podśpiewując sobie i

szcypała dzieci w policzki. Napawając się grzesznie świeżo zdobytą wolnością, przestała oddzielać naczynia mleczne od mięsnych i zapalać świece o zmroku w piątkowe wieczory. Doszło nawet do tego, że przeznaczyła ten wieczór na cotygodniowe partyjki kanasty.

Abe Rywkind najwyraźniej zaakceptował te nowe zwyczaje. Uwolniwszy się od oskarżycielskiego wzroku ojca, zdołał wreszcie wprowadzić w życie kilka projektów, nad którymi już od dawna przemyślał. Jego interes gorseciarski rozkwita! („Pasy, odpukać, idą jak woda, a i biustonosze całkiem nieźle”) i Abe osiągnął taki punkt w karierze biznesmena, że opłacało mu się dla ubicia interesu zaprosić dostawcę na lunch do wytwornej restauracji na Manhattanie. Polubił to nowe doświadczenie i zdarzało się czasem, gdy wracał wieczorem do domu, że opowiadał żonie i dzieciom o niezwykłych i wykwinnych potrawach, jakimi się raczył. Został miłośnikiem homarów, a jego opisy aromatu słodkiego różowego mięsa maczanego w roztopionym maśle przechodziły ich imaginację.

57

NOAH GORDON

— Czy to smakuje jak kurczak? ;

— Mniej więcej. Choć niezupełnie.

— Jak ryba? ; ..

— Z grubsza biorąc.

— Więc jak w końcu?

Pewnego sobotniego popołudnia Abe przyszedł do domu z dużą wilgotną papierową torbą.

— Masz — powiedział do Dorothy. — Es gesunterhejt. :

Wzięła od niego torbę i w tej samej chwili odrzuciła ją z piskiem na kuchenny stół.

— Tam się coś rusza! — krzyknęła. Abe rozerwał papier i parsknął śmiechem na widok jej miny. Torebka mieściła trzy

wielkie zielone homary o małych czarnych oczkach na szypułkach. Na widok tych stworzeń Dorothy wystąpiła gęsia skórka na ramionach. Gdy przyszło wrzucić homary do garnka z wrzątkiem, okazało się, że ich ruchliwe wąsy i potężne szczypce budzą u Abe'a lęk, i z kolei Dorothy wybuchnęła śmiechem. Homarów jeść nie chciała, choć bowiem sama podniosła bunt przeciwko surowym obyczajom teścia i wznieciła rodzinną rewoltę przeciwko zasadom, którym hołdował, dostrzegała zasadniczą różnicę między mieszaniem w szafce naczyń do mięsa i do pokarmów mlecznych a rzeczywistym gryzieniem i przełykaniem mięsa, które nauczyła się od dziecka uważać za ohydne i trefne. Ze wstrętem wybiegła z kuchni. Polubiła jednak smażony bekon, odkąd Abe przyniósł go do domu, i sama zaczęła podawać na śniadanie kilka razy w tygodniu jajecznicę na bekonie. Ojciec Michaela jako jeden z pierwszych producentów pasów zaczął pakować swoje wyroby w wąskie kolorowe tulejki, a entuzjazm, z jakim klientki powitały tę innowację, ośmielił go do marzeń o rozwinięciu interesu i wprowadzeniu dalszych udoskonaleń. Wróciwszy pewnego dnia do domu, kazał żonie zdjąć fartuch i usiąść.

— Dorothy, co byś powiedziała na nowe nazwisko? — zapytał.

— Meszugener, już mi je przecież dałeś czternaście lat temu!

— Mówię poważnie, Dorothy. Chcę zmienić nasze nazwisko. W sądzie.

/'-•; RABIN '•;

Popatrzyła na niego z przestraczem.

— Na jakie? I po co?

— „Gorsety Rywkinda, Inc.”, oto masz po co! To brzmi fatalnie. Jak nazwa jakiegoś pokątnego interesiku, bez szans na przebicie się w branży. Te nowe opakowania zasługują na nazwę z klasą.

— Więc zmień nazwę firmy. Co tu ma do rzeczy nasze nazwisko?

— Posłuchaj, wystarczy je przeciąć na pół. — Abe pokazał żonie slogan reklamowy wystukany na maszynie na arkuszu papieru listowego. „KIND — Twych bioder raj”.*

Dorothy popatrzyła na męża i wzruszyła ramionami. Tak więc ponieważ słowo „Kind” pasowało do sloganu reklamowego na wąskiej tekturowej rurce oraz, co ważniejsze, ponieważ ojciec Michaela zapragnął z jakiegoś powodu zostać panem Kind, właścicielem firmy „Gorsety Kinda”, nazwisko Rywkind zostało prawnie zmienione.

Nad reformami, nawet dotyczącymi spraw prywatnych, gdy się je raz zacznie, trudno zapanować. Kilkoro spośród sąsiadów państwa Kind wyprowadziło się do nowych dzielnic w Queens i Abe przychylił się w końcu do nalegań Dorothy — kupił mieszkanie w nowym domu z żółtej cegły w Forest Hills. Wiadomość, że rodzina przeprowadziła się z Brooklynu do dzielnicy oddalonej o wiele kilometrów od Domu Synów Dawida, nie wywarła na Izaaku większego wrażenia. Wizyty jego syna i wnuka stawały się i tak coraz rzadsze; kiedy Abe pod wpływem wyrzutów sumienia zawoził czasem Michaela do dziadka, rozmowa się im jakoś nie kleiła. Zejdę dopiął swego i Solly, syn pana Melnicka, zbadawszy go wypisał mu receptę, Abe zaś z ochotą zapłacił za butelkę leczniczej kanadyjskiej starki, która odtąd stała na honorowym miejscu na szafce w pokoju jego ojca. Życie Izaaka Rywkinda wypełniała teraz ryżowa whisky i głębokie studia nad Torą, tym-

* W oryginale ów slogan brzmi: „Be KIND to Your figurę” — „zaopiekuj się swoją figurą”. Słowo „Kind”, nowe nazwisko Rywkin-dów, znaczy: „miły, uprzejmy, życzliwy”.

czasem jego goście nie mieli wiele do powiedzenia na oba te tematy.

Tylko jedna wizyta, jaką złożyli zejdę po przeprowadzce do Queens, przebiegła inaczej. Zbliżało się święto Sukot i jak zwykle o tej porze Michael często rozmyślał o dziadku. Na całe tygodnie przedtem zaczął suszyć ojcu głowę, żeby go zawiózł do zejdę, a gdy ów dzień nadszedł, zabrał ze sobą plik wykonanych kredkami rysunków, specjalny prezent dla starego człowieka.

Izaak oglądał je siedząc na łóżku; jeden z obrazków zwrócił jego szczególną uwagę.

— A to co takiego, Michele? — zapytał.

— Nasz dom — wyjaśnił Michael, wskazując na wysoką kolorową plamę. — A to drzewo, na którym rosną kasztany. Siedzi na nim wiewiórka. A to kościół na rogu.

Właśnie ten budynek, zwieńczony krzyżem i najjudatniej odwzorowany, przyciągnął uwagę Izaaka. Krzyż oraz wykaligrafowany drukowanymi literami podpis rysownika.

— Nawet już nie wiesz, jak pisać własne nazwisko? — zapytał wnuka zejdę.

— On je napisał poprawnie, tato — wtrącił pospiesznie Abe.

— Zmieniłem je na drodze prawnej.

Spodziewał się dawnego wybuchu gniewu, tymczasem Izaak nawet nie mrugnął powieką.

— To już nie nazywasz się Rywkind?

Wysłuchał bez komentarza zawiłych wyjaśnień syna na temat handlowych pobudek tej zmiany, a potem jego entuzjastycznej opowieści o nowym asortymencie pasów i biustonoszy. Gdy przyszła pora się żegnać, pocałował Michaela w policzek i podał rękę synowi.

— Dziękuję, żeś mnie odwiedził, Abrahamie... — urwał nagle. — Na imię masz nadal Abraham?

— Oczywiście — zapewnił go Abe.

Przez całą drogę do domu ojciec tylko warczał na Michaela, kiedy ten chciał go o coś zapytać.

W dwa dni później przyszedł od Izaaka list, nabazgrany ołówkiem drżącą ze starości i od nadużywania alkoholu ręką na kartkach papieru w linie. Abe przez kilka godzin łamał sobie głowę, zanim zdołał przełożyć go z jidysz. Okazało się zresztą,

60

RABIN

że list zawiera głównie odniesienia do Talmudu, stanowiące dlań tak czy owak zupełną abrakadabrę. Zasadnicze jednak przesłanie tej epistoły zrozumiał. Izaak zawiadamiał syna, że nie wiąże już nadziei z żadnym z członków rodziny prócz swojego wnuka, Michaela. Większą część listu wypełniała żarliwa prośba, by Michaelowi zapewniono żydowskie wykształcenie.

Dorothy śmiała się i kręciła głową, kiedy mąż czytał jej te fragmenty listu, które udało mu się przetłumaczyć na angielski. Ku niemałemu zdumieniu Michaela jego ojciec potraktował jednak prośbę zejdę najzupełniej serio.

— Istotnie byłaby już pora, chłopiec dorósł już do chederu — oświadczył Abe.

I tak oto Michael, wybraniec losu, zaczął po lekcjach w zwykłej szkole uczęszczać popołudniami do szkoły żydowskiej. Chodził do trzeciej klasy szkoły podstawowej numer 467 i nie miał najmniejszej ochoty uczyć się hebrajskiego. Mimo to posłano go do Talmud Tory przy synagodze gminy Synów Jakuba, oddalonej o pół kilometra od jego macierzystej uczelni. Była to synagoga ortodoksyjna; fakt bez istotnego znaczenia dla jej wyboru. Zapisano by do niej Michaela tak czy inaczej, gdyż była jedyną hebrajską szkołą, do której mógł maszerować codziennie na piechotę po lekcjach w podstawówce numer 467. To, że droga wiodła

przez jeden z najgęściej zaludnionych przez Polaków rewirów Nowego Jorku, nie zostało uwzględnione przez kierujących jego losem dorosłych.

Trzeciego dnia nauki w hebrajskiej szkole Michael spotkał w drodze powrotnej do domu Stasia Kwiatkowskiego, kolegę z trzeciej klasy, którą Staś już po raz drugi repetował.

Kwiatkowski, blondyn o pełnej twarzy, wielkich chabrowych oczach i wstydliwym uśmiešku, za którym się krył jak pod maską, był co najmniej dwa lata starszy od Michaela.

Wywołany do odpowiedzi w klasie popełniał całą masę komicznych pomyłek, toteż Michael uśmiechnął się na jego widok.

— Cześć — powiedział.

— Cześć, kajtek. Co tam niesiesz?

Michael niósł pod pachą alef-bet, z którego uczył się hebrajskiego abecadła, zeszyt i historię Żydów w czytankach.

— Książki.

61

NOAH GORDON

— Z biblioteki?

— Z hebrajskiej szkoły.

— A co to takiego?

Dostrzegłszy zaciekawienie Stasia, Michael wyjaśnił, że to szkoła, do której musi chodzić po lekcjach w podstawówce.

— Pokaż no.

Michael zerknął na ręce Stasia. Po trzech godzinach zabaw od wyjścia ze szkoły były brudne jak święta ziemia, książki zaś nowe i nieskazitelnie czyste.

— Wolałbym nie.

Staś uśmiechnął się jeszcze szerzej, a jego dłoń zacisnęła się na przegubie ręki Michaela.

— Nie bądź frajer, pokaż!

Michael był o co najmniej dziesięć centymetrów niższy od Stasia, ale zwinniejszy. Wyrwał się i rzucił do ucieczki. Starszy chłopak gonił go przez chwilę, po czym, zaskakująco szybko, zrezygnował z daremnego, jak ocenił, pościgu. Następnego wieczoru wyłonił się jednak niespodziewanie zza słupa ogłoszeniowego, za którym się zaczął, i zaszedł Michaelowi drogę.

Chłopiec spróbował się do niego uśmiechnąć.

— Cześć, Stasiu.

Lecz Staś nie udawał już nawet przyjaznego nastawienia i wyrwał mu książki. W trakcie krótkiej szamotaniny alef-bet upadł na chodnik. Na Michaelu wywarł kilka dni wcześniej niemałe wrażenie widok młodego rabina, który upuściwszy na podłogę stertę książek, podnosi! je po kolei i każdą z osobna z szacunkiem całował. Chłopiec miał się później dowiedzieć, ku swojemu głębokiemu zawstydzeniu, iż obyczaj ten obowiązuje jedynie wobec książek zawierających Słowo Boże, wówczas jednak sądził, że Żydzi odnoszą się w ten sposób do każdej książki wydrukowanej w języku hebrajskim. Jakaś przekora kazała mu podnieść elementarz i na oczach Stasia przycisnąć go do ust.

— Co ty robisz?

Mając nadzieję, że zapoznanie się z innym obyczajem osłabi wojowniczość Stasia, Michael wyjaśnił mu, że książka została wydrukowana po hebrajsku i dlatego należy ją pocałować, ilekroć upadnie na ziemię. Okazało się, że popełnił błąd,

62

RABIN

Staś bowiem, dostrzegłszy możliwość przedniej zabawy, zaczął raz po raz rzucać abecadło na ziemię, zmuszając Michaela, by co chwila podnosił i całował książkę. Gdy zaś młodszemu chłopcu ręka zacisnęła się w końcu w pięść, wykręcił mu ją tak mocno, że Michael aż krzyknął.

— Powiedz: „Jestem parszywy Żydziak"! —poleci! Staś. Michael milczał; powiedział, co mu kazano, dopiero wtedy, gdy Kwiatkowski był bliski złamania mu ręki. Staś kazał mu również powiedzieć głośno, że Żydzi jedzą gówna, że zamordowali Jezusa Chrystusa, że obcinają sobie siusiaki i zjadają je w sobotę w bigosie.

Na domiar złego dręczyciel wyrwał z elementarza pierwszą stronę, zmiął ją i rzucił na chodnik, a kiedy Michael schylił się, by ją podnieść, tak mocno kopnął go w siedzenie, że chłopiec uciekł popłakując z bólu. W nocy, w ciszy swojego pokoju, wygładził kartkę starannie i wkleił ją do książki. Od tego dnia inkwizycyjne spotkania w Queens stały się codziennym rytuałem. W szkole Staś nie zwracał na małego Kinda uwagi i ten śmiał się głośno wraz z innymi kolegami z błędów, jakie repetent popełniał w odpowiedziach. Po ostatnim dzwonku wypadał jednak ze szkoły co sił w nogach, żeby przemknąć przez polską dzielnicę, nim Staś się w niej pojawi. Z hebrajskiej szkoły starał się wracać do domu różnymi trasami, w nadziei że zdoła ominąć swojego ciemieżcę, lecz jeśli nawet udawało mu się to przez kilka dni z rzędu, w końcu wpadał nieubłaganie w pułapki, które Staś zastawiał każdego popołudnia w innym miejscu. Czekająca wtedy Michaela dodatkowa porcja tortur, mająca wynagrodzić Stasiowi uszczerbek w rozrywce poniesiony wskutek przebiegłości jego ofiary.

Co gorsza, kłopoty Michaela nie ograniczały się do Stasia Kwiatkowskiego. Hebrajska szkoła okazała się placówką dość ponurą, w której panowała surowa dyscyplina. Funkcje nauczycieli sprawowali w niej świeccy, tytułowani honorowo „3,reb", co oznaczało pozycję pośrednią między statusem rabina a chazana. Klasę Michaela uczył chudy młody człowiek w okularach. Nazywał się Hyman Horowitz, ale zwracano się do niego „reb Chaim". Gardłowe „ch" na początku jego

żydowskiego imienia fascynowało Michaela, który przezwał

63

NOAH GORDON

go na własny użytek Chaimem Chorowitzem Chigienistą, jako że nauczyciel miał zwyczaj, siedząc za katedrą z przymkniętymi oczami, przez cały czas gmerać palcami w swojej kłaczastej kasztanowej brodzie, jakby nieustannie łowił w niej wszy, niczym chigienista — czy: „higienista”? — przeglądający dziecięce główki.

W klasie uczyło się dwudziestu chłopców. Kindowi, jako nowemu, przypadło miejsce w ławce naprzeciwko reb Chaima, zdecydowanie najgorsze, co niebawem odkrył. Żaden z uczniów nie zagrzewał w niej długo miejsca, chyba że okazał się zakutą pałą lub wyjątkowym łobuzem. Była to jedyna ławka w klasie, której reb Chaim mógł sięgnąć dyscypliną. Cienka i giętka, skrzyżowanie szpicruty z różgą, leżała przed nim zawsze na biurku. Każde wykroczenie przeciw przyzwoitemu zachowaniu, od szeptania z kolegami do złego wydawania lekcji, powodowało, że bicz ów ze świstem przecinał powietrze i spadał — prask! — na kark winowajcy. Mimo bielizny, koszuli i swetra, mających łagodzić skutki takiego uderzenia, nahajka reb Chaima cieszyła się wśród uczniów w pełni zasłużoną jak najgorszą sławą.

Chaim Chigienista dał jej Michaelowi posmakować zaraz pod koniec pierwszej lekcji, spostrzegłszy, że chłopiec rozgląda się po starej i zniszczonej sali lekcyjnej, zamiast bez reszty skupić się na nauce. Nauczyciel siedział odchylony w tył i najwidoczniej podrzemywał z zamkniętymi oczami, jak zwykle gmerając palcami w brodzie, aż nagle, zupełnie niespodziewanie, rozległ się krótki świst, jakby gwizd spadającej bomby skompresowany do jednej dziesiątej sekundy, i — prask! — dyscyplina trafiła Michaela w sam

środek lewego barku, choć reb Chaim nawet nie odemknął powiek. Chłopca ogarnął taki podziw dla jego sprawności, że nawet się nie rozplakał, a gwar ściszonych śmiezków, jaki przebiegł po klasie, odjął karze wymiar osobistej tragedii. Uderzenie szpicrutą należało do standardowych operacji represyjnych i Michael nie znalazł się z jego powodu na liście najgorszych łobuzów. Awansował na nią dopiero w piątym dniu swego pobytu w szkole. Reb Chaima obarczono nie tylko obowiązkiem nauczania języka hebrajskiego, ale i religii. Tego właśnie dnia opowiadał swoim podopiecznym o Mojżeszu

64

RABIN

i krzaku ognistym. Bóg, poinformował ich uroczyście, jest wszechmocny.

Michaelowi zaświtała w tym momencie intrygująca myśl. Nie zastanowiwszy się nad tym, co robi, podniósł rękę.

— Czy to znaczy, że Bóg może zrobić dosłownie wszystko?

Reb Chaim łypnął na niego niecierpliwie.

— Oczywiście.

— A czy może stworzyć taką ciężką skałę, żeby nie mógł jej podnieść milion ludzi?

— Oczywiście.

— Ale On sam mógłby ją podnieść?

— Naturalnie.

Michael wpadł w podniecenie.

— A czy mógłby stworzyć skałę tak ciężką, że nawet On sam nie mógłby jej podnieść?

Reb Chaim rozpromienił się, zadowolony, że udało mu się wzbudzić taki zapal w nowym uczniu.

— Oczywiście — przytaknął. — Gdyby tylko zechciał...

Michael prawie krzyknął z podniecenia:

— Ale skoro nie mógłby jej podnieść, to znaczy, że nie wszystko może, więc nie jest wszechmocny!

Reb Chaim rozdziawił, a potem zamknął usta. Wpatrywał się w Michaela, na którego twarzy jaśniał triumfalny uśmiech, i na jego porośnięte brodą policzki wypływał z wolna rumieniec.

Prask! Prask! Prask! — różga spadła gradem ciosów na oba ramiona chłopca. Dla widzów musiało to być widowisko równie ekscytujące co mecz tenisowy, lecz odbierane na własnej skórze okazało się przeżyciem okropnie bolesnym. Tym razem Michael nie zdoła! opanować płaczu, mimo to został bohaterem klasy i Wrogiem Numer Jeden Chaima Chigienisty.

Chcąc nie chcąc popadł w srogie tarapaty. Życie między Stasiem Kwiatkowskim a reb Chaimem stało się istnym koszmarem. Spróbował wagarów. Po wyjściu po południu ze szkoły poszedł do oddalonej o cztery przecznice kęgielni i przesiedział trzy godziny na drewnianej ławce, przyglądając się grającym. Zachodził tam również przez cztery następne dni i siadał zawsze na wprost toru, na którym grała jakaś gruba

5 Rabin .

65

NOAH GORDON

kobieta z obfitymi piersiami i okazałym dupskiem. Ciężką kulę podnosiła, jakby to był paciorek, i rozpędzała się drobnymi kroczkami na palcach, od czego jej wdzięki podrygiwały i podskakiwały, aż prosząc się o wtłoczenie ich w któryś z wyrobów Abe'a Kinda. Na domiar złego grubaska przez cały czas ze znudzoną miną żuła gumę, czego zaprzestawała jedynie na chwilę potrzebną kuli do przetoczenia się z hur-kotem po torze i roztrącenia kęgli. Po wyrzuceniu ciężkiego pocisku kobieta zastygała z rozdziawionymi ustami na jednej nodze, niczym posąg wyrzeźbiony z nadmiernej masy gliny przez obłąkanego

rzeźbiarza. Obserwowanie jej stanowiło zajęcie ciekawe i kształcące, ale Michaela zawiodły w końcu nerwy, nie mówiąc o tym, że robiło mu się słabo od woni jej potu, kiedy po rzucie siadała przed nim na ławce. Piątego dnia wrócił do hebrajskiej szkoły. W usprawiedliwieniu, które sobie napisał podrabiając charakter pisma matki, informował, że przechodził zapalenie zatok; objawy tej choroby znał doskonale, gdyż Ruthie cierpiała na nią przez okrągły niemal rok.

Napięcie, w jakim żył teraz nieustannie, zaczęło się odbijać na jego zdrowiu. Stał się szalenie nerwowy, tracił na wadze. Nocami przewracał się na łóżku nie mogąc zasnąć, a kiedy już zasypiał, śniło mu się, że Kwiatkowski czeka na niego pod drzwiami, o metr wyższy niż był rzeczywiście.

Pewnego popołudnia siedzący za nim kolega podał mu kartkę. Reb Chaim stał odwrócony plecami do klasy i pisał na tablicy temat lekcji z gramatyki, jaką mieli przerabiać nazajutrz, toteż Michael bez obawy opuścił wzrok na papierek. Narysowano na nim nieudolną karykaturę reb Chaima, na którego tożsamość wskazywały ponad wszelką wątpliwość broda, okulary i jarmułka. Michael uśmiechnął się i dorysował nauczycielowi brodawkę na nosie (istotnie miał takową) oraz rękę gmerającą w rosochatej brodzie, po czym starannie obrazek podpisał: „Chaim Chorowitz Chigie-nista”.

O tym, że groźny belfer stoi nad nim i przygląda się jego dziełu, powiadomiła go śmiertelna cisza, jaka zaległa w klasie, cisza tak absolutna, jakiej nawet sam reb Chaim nie wymagał. Nie skrzypiał ani jeden ołówek, nie szurała żadna stopa, nikt

RABIN

66

nie wysmarkiwał nosa. Słyszał tylko tykanie zegara, hałaśliwe, miarowe i złowieszcze.

Michael siedział i czekał, kiedy spadną na jego plecy pierwsze razy, nie śmiejąc podnieść wzroku i spojrzeć w piwne oczy za lśnjącymi szklami okularów. W jego pole widzenia wsunęła się powoli ręka reb Chaima — szczupła piegowata dłoń o długich palcach, porośnięta na przegubie i grzbiecie czarnymi szczeciniastymi włoskami; dłoń ujęła kartkę i zabrała ją sprzed oczu chłopca.

Czas płynął, a razy dyscypliny nie spadały.

— Zostaniesz po lekcji — odezwał się po chwili cichy głos nauczyciela.

Do jej końca pozostało osiemnaście minut, z których każda lepiała się do mijającego popołudnia jak posmarowana klejem. W końcu jednak upłynęły i uczniowie opuścili klasę. Michael słyszał, jak z krzykiem wybiegają z gmachu szkoły. W pokoju zapanowała niczym nie zmacona cisza. Reb Chaim poskładał jakieś papiery, spiął je gumką i schował do górnej szuflady biurka. Następnie wyszedł z klasy i poszedł do znajdującej się w głębi korytarza ubikacji dla nauczycieli. Choć zamknął za sobą drzwi, w szkole było tak cicho, że Michael słyszał plusk moczu; brzmiało to tak, jakby na pobliskim odcinku frontu terkotał mały karabin maszynowy.

Michael podniósł się z ławki i podszedł do katedry. Na jej blacie leżała dyscyplina. Była brunatna i wyglądała na wyglansowaną, lecz on dobrze wiedział, że połysk zawdzięczała częstemu kontaktowi z delikatną skórą małych żydowskich chłopców. Podniósł ją i zgiął w rękach.

Zadziwiające, z jak złowieszczą łatwością przecinała powietrze, wydając przy tym dźwięk ocierających się o siebie aksamitnych nogawek. Michael zadrżał nagle i rozplakał się. Zrozumiał, że dłużej nie zniesie cierpień, jakie mu zadawali reb Chaim i Staś Kwiatkowski. Postanowił rzucić szkołę hebrajskiego. Odwrócił się na pięcie i z pejczem w ręku wybiegł z klasy, pozostawiwszy na ławce książki. Wymknął

się ze szkoły i ruszył wolno w stronę domu, obmyślając po drodze, co zrobi: zanieś dyscyplinę matce, podciągnie koszulę i pokaże jej pręgi na ramionach, niczym Douglas Fairbanks, który na filmie, jaki Michael obejrzał na południowym seansie w poprzednią sobotę, opuś-
67

NOAH GORDON

cił koszulę, aby pokazać swojej ukochanej ślady po biczu jej ojca.

Rozkoszował się właśnie wyobrażaniem sobie, jak matka zapłacze nad nim gorzko, gdy zza słupa ogłoszeniowego wyłonił się Staś Kwiatkowski i zastąpił mu drogę.

— Siemasz, Mickey — powiedział cicho.

Michael nie zdawał sobie sprawy, że zamierza go uderzyć, do chwili, w której nahajka ze świstem podobnym do brzęczenia pszczoł przecięła powietrze i smagneła Stasia przez prawy policzek.

Tamten aż krzyknął ze zdumienia.

— Ty mały parchu!

Następnie skoczył na oślep na Michaela, a ten ciął szpicrutą po raz drugi, tym razem starając się trafić go w bark.

— Przestań, zaszaricu! — wrzasnął Staś i podniósł odruchowo ręce, by zasłonić twarz. — Zabiję cię! — ryknął, lecz gdy odwrócił się bokiem, chcąc uniknąć świszczącego bata, Michael przeciągnął go po tłustym tyłku.

W tej samej chwili usłyszał czyjś płacz i uświadomił sobie z niedowierzaniem, że to nie on płacze. Po wykrzywionej z bólu twarzy Stasia ciekły łzy, mieszając się z płynącą z rozciętej wargi krwią. Po każdym uderzeniu Kwiatkowski jęczał boleśnie. Uciekał z płaczem, a Michael biegł za nim i dopóty siekł dyscypliną, dopóki nie rozboleła go ręka. Dopiero wtedy przestał ścigać swą ofiarę i Staś zniknął za rogiem ulicy.

Przez resztę drogi do domu Michael wyrzuca! sobie, że nie zbił Stasia dość mocno, by tamten musiał wszystko odszcekać, powiedzieć, że Żydzi nie zabili Jezusa Chrystusa, że nie jedzą gówna, nie obcinają sobie siusiaków i nie zjadają ich w sobotę z bigosem.

W domu schował dyscyplinę za piecem w piwnicy i nie pokazał jej matce. Następnego dnia wyjął ją ze schowka i zaniósł do szkoły. Panna Landers, nauczycielka z jego podstawówki, zauważyła biczyk i spytała, co to takiego, na co Michael odpowiedział, że to jad, pałeczka w kształcie ręki, którą jego matka pożyczyła z hebrajskiej szkoły. Panna Landers przyjrzała się szpicrucie i już miała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła.

68

RABIN

Po lekcjach Michael popędził do swojej drugiej szkoły. Biegł tak szybko, że się zadyszał i dostał kolki w boku, dopiero wtedy zwolnił, ale i tak szedł szybciej niż zwykle.

Dotarł do szkoły na kwadrans przed rozpoczęciem zajęć. Reb Chaim siedział w pustej klasie i poprawiał zeszyty. Michael zbliżył się do niego z dyscypliną w ręku.

— Przepraszam, że pożyczyłem ją sobie bez pytania — powiedział podając szpicrutę.

Reb obracał dyscyplinę w dłoniach, jakby oglądał ją po raz pierwszy w życiu.

— W jakim celu ją sobie pożyczyłeś?

— Żeby nią oćwiczyć jednego antysemitę.

Michael mógłby przysiąc, że wargi nauczyciela drgnęły pod kamuflażem brody. Nie należał on jednak do ludzi, którzy łatwo dają za wygraną.

— Nachyl się — rozkazał.

Gdy chłopiec się nachylił, przeciągnął go sześć razy po siedzeniu. Bolało jak licho i Michael się rozplakał, ale przez

cały czas powtarzał sobie w duchu, że on sam wysięki Stasia Kwiatkowskiego o wiele dotkliwiej niż reb Chaim jego. Zanim reszta uczniów weszła do klasy i zajęła miejsca, już nie płakał, a w tydzień później przesadzono go z pierwszej ławki. Zasiadł w niej na stałe Robbie Feingold, głuptak, który podczas odpowiedzi zawsze dostawał chichotek. Reb Chaim nigdy więcej Michaela nie uderzył.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

O trzeciej nad ranem w dniu swojej bar micwy Michael siedział zdenerwowany w kuchni mieszkania w Queens. Nie mógł zasnąć. Wyobrażał sobie, jak przytyka frędzle tałesu do Tory, a następnie do ust.

— Borchu e5 adonoi hameworoch — wyszeptał. — Boruch adonoi hameworoch l'olam woed.

— Michael? — do kuchni weszła szurając kapciami rozespana matka. Zmrużyła oczy przed światłem i drobną białą

69

NOAH GORDON

dłonią poprawiła fryzurę. Na różową, nieco zbyt kusą bawełnianą piżamę narzuciła niebieski flanelowy szlafrok. Zaczęła ostatnio farbować włosy na kolor płomiennie rudy i przypominała damskiego clowna. Michael, mimo zdenerwowania, poczuł na jej widok przepływające przez niego na przemian fale miłości i zawstydzenia.

— Coś ci dolega? — zapytała z troską.

— Nie mogę zasnąć.

Naprawdę zaś z łóżka wygnał go strach, gdy bowiem leżał w nim i przepowiadał sobie — jak to czynił po pięćdziesiąt razy dziennie od kilku ostatnich miesięcy — kwestie, jakie przyjdzie mu wypowiedzieć podczas uroczystości bar micwy, stwierdził z przerażeniem, że nie pamięta brochy, krótkiego błogosławieństwa poprzedzającego dłuższe czytanie z Tory, zwane haftarą. Znał brochę równie dobrze jak własne

nazwisko, ale jakaś część jego mózgu, udręczonego nieustannym wbijaniem weń jednego i tego samego zestawu dźwięków, zbuntowała się i wymazała te słowa z pamięci.

— Za parę godzin musisz wstawać — szepnęła z naciskiem matka. — Kładź mi się zaraz!

Odwróciła się rozespana i szurając kapciami wróciła do sypialni. Michael usłyszał, jak pod ciężarem jej ciała skrzypnęły sprężyny łóżka, a ojciec zapytał:

— Co się stało?

— Twój syn zwariował. Prawdziwy meszugene.

— Czemu jeszcze nie śpi?

— Idź i sam go zapytaj.

Abe wszedł do kuchni na bosaka, rozczochrany, z kosmykami czarnych włosów spadającymi na czoło. Miał na sobie tylko spodnie od piżamy; przez cały rok tak sypiał, dumny ze swojego muskularnego torsu. Michael stwierdził po raz pierwszy, że kudelki na piersi ojca zaczynają siwieć.

— Co się dzieje, chłopcze? — Abe usiadł na taborecie i wsunął we włosy palce obu rąk. — Jak ty jutro wstaniesz?

— Nie mogę sobie przypomnieć brochy.

— To znaczy haftary?

— Nie, brochy. Kiedy pamiętam brochę, haftarą idzie mi już jak z płatka. Nie mogę zapamiętać pierwszego wersetu brochy.

>f,.. RABIN

— Boże, synku, przecież umiałeś tę przeklętą brochę, jak miałeś dziewięć lat.

— A teraz za nic nie mogę jej sobie przypomnieć.

— Bo i nie musisz. Postawią przed tobą książkę. Wystarczy przeczytać.

Michael wiedział o tym, lecz nie poprawiało mu to samopoczucia.

— A jak nie znajdę właściwego miejsca? — mruknął.

— Na bime będzie z tobą aż za dużo starców, wskażą ci je. A teraz marsz do łóżka! — W głosie ojca zabrzmiał stanowczy ton. — Dosyć tych meszugasnl

Chłopiec wrócił do łóżka, ale nie mógł zasnąć, dopóki wokół zasłon w oknie nie zajaśniały szare obwódki brzasku. Wtedy dopiero zamknął oczy i zapadł w sen, z którego po ułamku sekundy, jak mu się zdawało, wyrwała go matka. Wpatrywała się w niego z niepokojem.

— Dobrze się czujesz?

— Dobrze. — Powlókł się do łazienki i ochlapał twarz zimną wodą. Był tak zmęczony, że prawie nie zauważył, kiedy się ubrał, przełknął śniadanie i wyruszył z rodzicami do synagogi. Przed drzwiami świątyni matka pocałowała go i wbiegła po schodach na górę do babińca. Sprawiała wrażenie wystraszonej. Michael i Abe skierowali się do drugiego rzędu ławek. Synagogę wypełniali krewni i przyjaciele ich rodziny. Ojciec Michaela miał niewielu krewniaków, natomiast Dorothy pochodziła z licznej i szeroko rozgałęzionej rodziny, która chyba w całości stawiała się na ceremonii. Kiedy ojciec z synem szli nawą na swoje miejsca, zebrani mężczyźni pozdrawiali ich szeptem. Michael odpowiadał na ich pozdrowienia samym tylko ruchem warg, niezdolny do wydobywania z siebie głosu. Był jak uwięziony w gorsecie strachu, który przemieszcza! się wraz z nim i od którego nie było ucieczki.

Po jakimś czasie dotarło do Michaela jak przez mgłę, że ojca wezwano na bime, a potem doszedł go z daleka jego recytujący coś po hebrajsku głos. Następnie wywołano jego własne hebrajskie imię — Mi-cha-el ben Awraham — i Michael wspiął się na podwyższenie na uginających się pod nim nogach. Przytknął swój tałas do Tory, pocałował jego frędzle

NOAH GORDON

i opuści! wzrok na wijące mu się przed oczami niczym węże hebrajskie litery na pożółkłym pergaminie.

— Borchul... — syknął mu nad uchem któryś ze starców.

Jakiś drżący głos, w którym Michael nie rozpoznawał własnego, zaintonował:

— Borchu es adonoi hameworoch. Borchu...

— Bór UCH!...

Wszyscy starcy jednocześnie wychrzakali, wymruczeli tę poprawkę, a surowy chór ich głosów chlasnął Michaela w twarz niczym mokry ręcznik. Chłopiec podniósł półprzytomny wzrok i ujrzał zwrócone na siebie groźne spojrzenie ojca.

Jeszcze raz zaczął drugie zdanie.

— Boruch adonoi hameworoch l'olam woed. Boruch ata adonaj, elohejnu melech haolam. — Zachrypniętym głosem skończył brochę, przebrnął jak ślepiec przez ustęp Tory i następujące po nim błogosławieństwa i zaczął haftarę.

Przez pięć minut recytował drżącym piskliwym głosem, który wpadał w panującą w świątyni głuchą ciszę, spowodowaną, jak się domyślał, obawą zebranych, że lada chwila zapłacze się beznadziejnie w zawilościach hebrajskiego tekstu lub zmyli jego starożytną melodię. Tymczasem on — jak ranny matador, któremu długoletni trening i samodyscyplina nie pozwalają osunąć się w błogosławione omdlenie pod rogami byka — nie padał i nie ginął. Głos mu się uspokoił, kolana przestały drżeć. Recytował śpiewnie, a zebrani siedzieli w milczeniu, na wpół zachwyceni, na wpół zawiedzeni, zrozumieli bowiem, że konfirmant się nie zatnie i ominie ich przyjemność współczucia.

Wkrótce zapomniał nawet o krytycznym kręgu otaczających go brodatych starców, a także o złożonej z przyjaciół i krewnych publiczności wypełniającej synagogę. Porwany melodią cudownego poematu, napisanego w zachwycająco

pięknej hebrajszczyźnie, jął kołysać się w przód i w tył w rytm własnej deklamacji, nim zaś dobiegła końca, tak się w niej rozsmakował, że z żalem wyśpiewał ostatnią sylabę, przeciągając ją do granic możliwości.

Podniósł wzrok. Na twarzy ojca malował się wyraz takiego uszczęśliwienia, jak gdyby Pierwsza Dama oznajmiła mu przed chwilą osobiście, że został mianowany oficjalnym do-
72

RABIN

stawcą biustonoszy dla Białego Domu. Abe ruszył w stronę syna, lecz zanim do niego dotarł, Michaela otoczył las rąk, wyciągających się, aby uścisnąć jego zwilgotniałą dłoń, podczas gdy chór głosów życzył mu mazel tow.

Następnie przeszli z ojcem główną nawą w głąb synagogi, gdzie u stóp schodów na balkon czekała matka. Po drodze wymienili uściski rąk z kilkunastoma osobami, a Michael przyjął koperty z pieniędzmi od mężczyzn nie znanych mu nawet z nazwiska. Zapłakana matka ucałowała go, a on objął jej pulchne ramiona.

— Spójrz, kto tu idzie, Michaelu! — szepnęła wyciągając rękę.

Odwrócił oczy i zobaczył zmierzającego w ich stronę dziadka. Izaak przenocował w znajdującym się w pobliżu synagogi mieszkaniu jednego z pracowników swojego syna, aby móc przyjść do świątyni na piechotę, nie naruszając prawa, zakazującego podróżowania w szabat.

Dopiero po latach Michael uświadomił sobie, jak chytrze jego dziadek prowadził wojnę przeciwko synowej i jak walne w niej odniósł zwycięstwo. Jego strategia polegała na cierpliwości i wykorzystywała upływ czasu. Oparłszy się na tych dwóch sprzymierzeńcach, ani razu nie podniósłszy głosu, zadał Dorothy druzgocącą klęskę i udało mu się zmienić jej dom w miejsce, gdzie przestrzegano Prawa.

Narzędziem jego wpływu stał się oczywiście Michael. Lanie, jakie spuścił Stasiowi Kwiatkowskiemu, tak go pokrzepiło, że przez kilka miesięcy ze szczerą ochotą przemierza! codziennie drogę do hebrajskiej szkoły i z powrotem. Zanim zaś spowszedniała mu ta przyjemność i przestał się czuć jak bohaterski pogromca smoków, niepostrzeżenie wciągnął się do nauki. Po reb Chaimie nastął reb Yossle, a po reb Yossle reb Doved, a potem, przez dwa upojne lata, Michael kąpał się każdego popołudnia w ciepłym blasku podniecająco błękitnych oczu panny Sophie Feldman, udając najpilniejszego ucznia i drżąc na całym ciele, ilekroć nauczycielka wywoływała jego imię. Panna Feldman miała włosy barwy miodu i rzucik piegów na grzbiecie z lekka zadartego noska, i na lekcjach siedziała zawsze z nogą założoną na nogę, dużym palcem prawej stopy kręcąc bez przerwy leniwie małe kółka, czemu

73

NOAH GORDON

Michael udawało wywołano

gdy go

została panią Hymanową Horowi-:m kobiet ciężarn^K ..——«
ostatni z ich

luksusy j*k zazdrość, miał bowiem trtvn P°zwollc na takie
jego bar miewa. Każde non^I H Y 1C lat ! zbliżała się
zajęciach, Przyg,^^^^^ specjalnych' e, kierownik uTMC

i chłopiec, p powagą wyśpiewywał powoli słowa

Dziadek siedział z minął nieco reb C ożywiał się i śPiewnie,
skby

niewłaściwie wymówione słowo wał wnukowi podstępne

. ne odpowiedzi m Michaela *r środowisko szalę zwycięstwa
na jego który rozpanoszy, się *

Przesadną

P°Pdnil

P°prawial ' recytacji zada-

z okazji i usunęła te wobec żądań teścia, ności; wypytywana niewinnie mu się z pokorą i we świece, mleko było znowu mTecie^ ^ a ^ alac i mieszać produktów tych nie naSało ^ wawszy go serdecznie! W zdumienie, ucalo- — Prawda, że Michael był wsoaniałv? y i wspaniały.^ — zapytała.

74

RABIN

_ Dobra haftara — mruknął zejde i pocałował wnuka w czubek głowy.

Uroczystość dobiegła końca i goście kolejno zaczęli do nich podchodzić. Rodzina Michaela przyjmowała gratulacje, gdy zaś uściśnięto wreszcie ręce ostatniemu z przybyłych, wszyscy przeszli do sąsiedniego pokoju, gdzie stoły uginały się pod potrawami: siekaną wątróbką, marynowanymi śledziami, kichlech i butelkami szkockiej żytniówki z przemytu.

Zanim jednak dołączyli do gości, dziadek zdjął z szyi Michaela chłopięcy szal modlitewny, z własnych zaś ramion swój tałas i okrył jego jedwabnymi fałdami ramiona wnuka. Michael dobrze znał ten odświętny tałas dziadka. Izaak kupił go zaraz po przyjeździe do Ameryki i zakładał tylko w święta i przy innych wyjątkowych okazjach. Co roku prał go starannie, zawijał i chował po każdym użyciu. Jedwab nieco już pożółkł, ale był jeszcze w dobrym stanie, a niec niebieskiego szwu zachowała swoją moc i połysk.

— Przecież to twój odświętny tałas, tato! — zaprotestowała matka Michaela.

— Będzie o niego dbał — uspokoił ją zejde. — Jak każdy szejner Żyd.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Pewnego pogodnego i mroźnego sobotniego ranka, zimą w roku swoich trzynastych urodzin, Michael zasilił szeregi klasy pracującej. Wyszli z ojcem z domu, zanim reszta rodziny wstała z łóżek, i pojechali na Manhattan. Na śniadanie zamówili sok pomarańczowy, serek topiony, wędzonego łososia i chrupiące bułeczki, posiedzieli jeszcze chwilę nad kubkami kawy, po czym wyszli z kawiarni i przeszli na drugą stronę ulicy do starego biurowca, na którego trzecim piętrze mieściła się firma „Gorsety Kinda”.

Marzenia, jakie snuł Abe, kiedy zmieniał nazwę firmy i własne nazwisko, nie ziściły się, ów tajemniczy bowiem czynnik, który sprawia, że znośnie prosperujące przedsiębior-

NOAH GORDON

stwo zmienia się w kwitnący interes, zawiódł Abrahama Kinda. Mimo to jego firma, choć nie rozwinęła się oszałamiająco, zapewniała rodzinie godziwe utrzymanie. Fabryczka składała się z szesnastu maszyn przyśrubowanych do nasiąkłej oliwą drewnianej podłogi i otoczonych przez drewniane stoły, na których leżały zapasy materiałów, podkładki, usztywniacze, pierścienie oraz inne surowce potrzebne do produkcji gorsetów, podwiązek, pasów i biustonoszy. Większość pracowników ojca stanowili długoletni wykwalifikowani robotnicy. Michael wielu z nich znał, mimo to ojciec oprowadził go po stanowiskach i każdemu z powagą przedstawił. Siwy krojczy o nazwisku Sam Katz wyjął z ust grube cygaro i poklepał się po wydatnym brzuchu.

— Robię tu za męża zaufania związku — rzeki. — Chcesz, żebym negocjował w sprawach płacowych bezpośrednio z tobą czy z twoim starym, synku?

Abe roześmiał się.

— Ganew,* trzymaj ty się z daleka od mojego chłopca z twoją związkową propagandą. Na ile cię znam, gotów byłbyś go jeszcze wciągnąć do komitetu negocjacyjnego.

— Niezła myśl, dziękuję, zastanowię się nad tym. Kiedy wracali z Michaelem do biura, uśmiech zniknął z twarzy ojca.

— Zarabia więcej ode mnie — mruknął do syna. Biuro mieściło się za przepierzeniem, które oddzielało je od hali maszyn. Poczekalnia, wysłana dywanem, miała dyskretne oświetlenie i ładne umeblowanie, pochodzące jeszcze z czasów, kiedy Abe snuł śmiałe plany na przyszłość. Obecnie, gdy Michael zaczynał pracę w fabryce ojca, meble były już trochę podniszczone, ale nadał prezentowały się ładnie.

Oszklone pomieszczenie w rogu mieściło dwa biurka, jedno ojca, drugie Carli Salvy, księgowej.

Panna Salva siedziała za stertą ksiąg buchalteryjnych i malowała paznokcie. Wchodzących ojca i syna przywitała promiennym uśmiechem. Miała niebywale białe zęby i usta o wąskich wargach, których naturalnemu wykrojowi dodała

* Ganew fiiH^c-i

RABIN

z)

czerwonej pełni szminka Maxa Factora. Obok jednego z cienkich rasowych nozdrzy Carli widniał sporych rozmiarów pieprzyk. Panna Salva była piersiastą Portorykanką o talii osy i kremowej karnacji.

— Przyszła jakaś poczta? — zapytał Abe.

Świeżo pomalowanym na karminowo paznokciem, ostrym i czerwonym jak zakrwawiony sztylet, dziewczyna wskazała stos papierów piętrzący się na drugim końcu jej biurka. Ojciec

przeniósł tę stertę na swoje biurko i zaczął przeglądać, oddzielając zamówienia od rachunków.

Michael stał przez kilka minut nie wiedząc, co ze sobą począć.

— Co mam robić? — mruknął w końcu. Abe podniósł na niego wzrok. Na śmierć zapomniał o obecności syna.

— Ach! — zawołał, po czym zaprowadził go do szafki, gdzie stał wysłużony baniasty odkurzacz. — Odkurz dywany.

Istotnie, pilnie już tego potrzebowały. Odkurzywszy je, Michael podlał dwie rozrośnięte kolokazje i wyczyścił do połysku metalową popielnicę. Polerował ją właśnie, gdy o wpół do jedenastej zjawił się pierwszy klient. Abe wybiegł na jego widok z oszklonego biura.

— Witam, panie Levinson! — zawołał. Panowie uścisnęli sobie dłonie. — Co słychać w Bostonie?

— Mogłoby być lepiej.

— Tu również, tu również... Miejmy nadzieję, że niedługo odmieni się wszystko na lepsze.

— Chciałbym złożyć nowe zamówienie. — Pan Levinson podał ojcu formularz.

— Nie przyjechał pan chyba do Nowego Jorku tylko po to, żeby złożyć nowe zamówienie? Mam panu do pokazania prześliczne nowości.

— Cena musiałaby być umiarkowana, panie Abe.

— Panie Levinson, pan i ja nie musimy się targować o cenę! Proszę pana tylko, żeby pan zechciał usiąść i obejrzał ze mną te cudenka.

Zerknął w stronę oszklonego biura.

— Carlo, poprosimy o nową linię!

77

NOAH GORDON

Dziewczyna kiwnęła głową i uśmiechnęła się do pana Levinsona. Następnie weszła do magazynu, skąd po chwili

przeniosła do ubieralni dwa spore pudła. Z ubieralni wyszła po kilku minutach w samym gorsecie.

Dłonie Michaela przylgnęły do metalowej popielnicy, którą polerował. Jeszcze nigdy nie widział kobiecej nagości.

Podkładki gorsetu podniosły piersi Carli wydymając je w dwie obfite kule, na których widok ugięły się pod nim kolana. Na wewnętrznej stronie lewego uda dziewczyna miała znamię podobne do pieprzyka koło nosa.

Ojciec i pan Levinson zdawali się nie zauważać jej postaci. Pan Levinson nie odrywał oczu od gorsetu, a ojciec od pana Levinsona.

— Chyba nie... — odezwał się w końcu kupiec.

— Nie jest pan nawet ciekaw, ile bym panu za to cudo policzył?

— Nie wezmę tego za żadną cenę. Mam już sklep zavalony tym towarem.

Ojciec wzruszył ramionami.

— Nie nalegam...

Carla ponownie zniknęła w przebieralni, skąd wyłoniła się po chwili w pasie na biodra i czarnym biustonoszu. Pas był głęboko wycięty i do Michaela mrugał pępek paradującej przed obu panami Portorykanki.

Pan Levinson nie okazał na pozór większego zainteresowania pasem, niż go objawił wobec gorsetu, odchylił się jednak na oparcie fotela i przymknął oczy.

— Ile pan za to liczy?

Obruszył się usłyszawszy cenę. Przez kilka następnych minut mężczyźni targowali się zawzięcie; w końcu ojciec Michaela rozłożył ręce i zrobił minę oznaczającą, że przystaje z bólem serca na ostatnią propozycję pana Levinsona.

— A ile pan chce za te gorsety?

Abe uśmiechnął się lekko, po czym targi rozpoczęły się od nowa. Dobiwszy targu, obaj mężczyźni wyglądali na bardzo z

siebie zadowolonych. W trzy minuty później pan Levinson wyszedł, a Carla i ojciec wrócili do swych biur. Michael z zapalem polerował popielnicę zerkając ukradkiem na znudzone oblicze księgowej i zachęcał w myślach następ-

RABIN

nego klienta do jak najszybszego pojawienia się w drzwiach biura.

Polubił pracę u ojca. W soboty, zamknawszy o siedemnastej firmę, szli obaj na obiad do restauracji, a potem do kina albo do hali Madison Square Garden na mecz koszykówki lub walki bokserskie. Kilka razy wybrali się do YMHA, gdzie trochę razem ćwiczyli, a później pocili się w saunie. Ojciec mógłby wdychać parę w nieskończoność, a z sauny wybiegał zarumieniony i z błyszczącymi oczami. Michael uciekał stamtąd półżywy już po pięciu, dziesięciu minutach.

Kiedy jednego wieczoru siedzieli w kłębach pary na drewnianej ławce, Abe zapytał:

— Nie pobiczowałbyś mi trochę pleców, co?

Michael podszedł do kranu w ścianie, namoczył lodowatą wodą ręcznik i drżąc na całym ciele zaczął okładać nim ojca. Abe pojękiwał z rozkoszy, a potem odebrał od syna ręcznik i wytarł nim twarz i nogi.

— Chcesz, żebym teraz ja ciebie trochę pobiczował?

Michael wymówił się od tej przyjemności. Abe odkręcił kurek i ciasne pomieszczenie wypełniły świeże kłęby pary. Michael ledwo już zapał, tymczasem ojciec oddychał równo i bez wysiłku.

— Zamierzam ci kupić hantle — oznajmił, leżąc z zamkniętymi oczami na ławce. — Kupię ci zestaw hantli i będziemy razem ćwiczyli.

— Fajnie — mruknął bez entuzjazmu Michael.

Prawdę mówiąc, nie był w stanie podnieść większości ciężarków, jakie ojciec trzymał w sypialni, zresztą niespecjalnie mu na tym zależało. W trzynastym roku życia zaczął rosnać jak na drożdżach, był wysoki i chudy jak patyk. Patrząc na pięknie zbudowane ciało ojca przypomniawszy sobie swoją przysadzistą matkę i zadumał się nad niepojętymi figlami, jakie lubi płać natura.

— Co to, nie chcesz hantli? : — Nie bardzo.

— Miałbyś ochotę na coś innego?

— Właściwie nie.

79

NOAH GORDON

— Zabawny z siebie dzieciak.

Stwierdzenie to nie wymagało odpowiedzi, więc Michael zamilkł i tylko ciężko dyszał.

— Chciałbym z tobą o czymś porozmawiać.

— O czym?

— O seksie.

Chłopiec poczuł zakłopotanie, ale postarał się go nie okazać.

— Masz z tym jakieś problemy, tato? Abe usiadł na ławce i wybuchnął śmiechem.

— Nie rozśmieszaj mnie, smyku! Ja nigdy nie miałem podobnych problemów. No ale mniejsza z tym... Co wiesz na ten temat?

Michael umknął z oczami przed rozbawionym spojrzeniem ojca.

— Chyba wszystko.

Przez chwilę słyhać było jedynie syk pary.

— Gdzie się dowiedziałeś?

— Od kolegów. Rozmawiamy o tych sprawach.

— Masz jakieś pytania?

Choć kilka szczegółowych kwestii od jakiegoś czasu nie dawało Michaelowi spokoju, odpowiedział:

— Nie.

; — Gdyby się pojawiły, przyjdź z nimi do mnie, dobra?

— Dobrze, tato. — Michael wytrzymał jeszcze dwie minuty, po czym uciekł pod prysznic. Wkrótce również Abe wypadł z sauny i wskoczył pod lodowaty tusz; inaczej niż jego syn, który dogadzał sobie ciepłym. Uzgodnili, że po wyjściu z klubu pójdą do kina, na „Szejka”. Głos Abe'a brzmiał jakoś dziwnie poważnie i niepewnie.

Ojciec był zadowolony, że Michael u niego pracuje, lecz traktował go tak jak każdego innego pracownika. Na początku płacił mu za pracę w sobotę trzy dolary. Po roku zwrócił się do Sama, żeby wynegocjował dla Michaela podwyżkę.

Przewodniczący związku wpadł w zachwyty. Narada, która ciągnęła się dwadzieścia minut i zakończyła zgodą na podwyżkę w wysokości jednego dolara, dostarczyła obu negocjatorom dużo naches. Po otrzymaniu podwyżki Michael oszczędzał przez kilka tygodni, po czym zaprosił ojca do teatru. Wystawiano sztukę

80

Maxwella Andersena „Maria królowa Szkotów” z Helen Hayes i Philipem Merivale w rolach głównych. Abe Kind zasnął w połowie drugiego aktu. W następnym tygodniu zrewanżował się synowi, zabierając go do żydowskiego teatru na rewię zatytułowaną „The Greeneh Cozineh”, o rodzinie Amerykanów, której życie przewraca do góry nogami przybycie z zagranicy kuzyna. Michael nie wszystko zrozumiał z granej w jidysz sztuki, lecz dowcipy, które do niego dotarły, rozśmieszyły go do łez.

Najbardziej zbliżyły go do ojca spędzane wspólnie piątkowe wieczory. Na krótko przed bar miewa syna Abe zaczął się martwić, czy jego znajomość hebrajskiego nie skompromituje go, kiedy zostanie wezwany na bime, zaproponował więc, by wybrali się na piątkowe nabożeństwo wieczorne do synagogi

Synów Jakuba. Nabożeństwo nie trwało długo i Abe stwierdził ku swojemu zaskoczeniu, że zapamiętał niemal wszystko, czego się nauczył jako chłopiec na lekcjach hebrajskiego. W następny piątek ponownie wybrali się do świątyni i wkrótce te cotygodniowe nabożeństwa weszły im w zwyczaj. Stojąc ramię przy ramieniu pozdrawiali razem Oblubienicę Szabatu. Po jakimś czasie regularni bywalcy synagogi zaczęli liczyć na ich obecność w tworzeniu minjanu. Michael odczuwał dumę, że ten muskularny mężczyzna o wesołych oczach, który śpiewa na chwałę Boga, to jego ojciec.

Kiedy Michael skończył lat piętnaście, przyjęto go do gimnazjum realnego w Bronksie, dokąd codziennie rano odbywał z ochotą długie podróże kolejką podziemną z Queens. Zdawał sobie sprawę, że ucześniejsza do najlepszej i stawiającej najwyższe wymagania szkoły średniej w Nowym Jorku. Pierwszy semestralny temat, jaki dostał do opracowania, wprawił go jednak w przygnębienie. Dotyczył niezwyklej rozrodzności Trypeditae, rodziny, do której należy między innymi muszka owocowa. Kiedy Michaelowi nie udało się znaleźć wystarczających materiałów w bibliotece publicznej, nauczyciel biologii wystarał się dla niego o specjalną kartę wstępu do biblioteki Uniwersytetu Nowojorskiego i chłopiec kilka razy w tygodniu jeździł kolejką na

6 Rabin

81

NOAH GORDON '

Manhattan, gdzie robił sążniste notatki, z których nawet co nieco rozumiał.

Jednego wieczoru, nękany świadomością, że za dziesięć dni upływa termin złożenia pracy, siedział w uniwersyteckiej bibliotece i pracował jak w gorączce, w dosłownym zresztą tego słowa znaczeniu. Był ledwo żywy ze zmęczenia i czuł, że

chwyta go grypa; czoło miał rozpalone, a przy przelicykaniu bolało go gardło. Siedział i sporządzał notatki na temat niebywałych zabiegów reprodukcyjnych, jakie podejmuje muszka owocowa i niektórzy jej konkurenci:

„Według szacunków Hodge'a, łuczak z San Jose wydaje na świat 400 do 500 młodych. Mucha Dobsona składa dwa do trzech tysięcy jajeczek. Owady społeczne składają ogromne, t ilości jajeczek. Pszczela królowa może ich złożyć od dwóch do j trzech tysięcy dziennie. Osa pustelnica jest w stanie składać 60 j jajeczek na sekundę, dopóki nie złoży ich kilku milionów". Czytanie o tych wszystkich jajeczkach wprawiło Michaela w lekkie podniecenie. Jedyna dziewczyna w zasięgu jego żarłocznego wzroku miała popsute zęby i grubą warstwę łupieżu na czarnym workowatym swetrze. Zniechęcony chłopak wrócił do lektury:

„Jak obliczył Herrick, para much jest w stanie od kwietnia do sierpnia wydać na świat 191 010 000 000 000 000 młodych. Gdyby dzięki jakiemuś wybrykowi natury wszystkie młode osobniki przeżyły, pokryłyby kulę ziemską warstwą — licząc dwa centymetry sześciennie na muchę — grubości czternastu metrów".

Michael zamyślił się nad tym, co by się stało, gdyby świat pokryła gruba na czternaście metrów warstwa much, brzęczących, roznoszących zarazki i pieprzących się na potęgę, tak że ten owadzi potop wciąż by się powiększał. Czy muchy w ogóle się pieprzą? Dwanaście minut zajęło Michaelowi ustalenie, że samice składają jajeczka zapładniane następnie przez samce. Czy taki sposób reprodukcji może przynosić frajdę? Czy akt zapładniania dostarcza samcowi muchy jakiejś przyjemności, czy taki owadzi reproduktor jest kimś w rodzaju mleczarza rozwożącego zgodnie z rozkładem swój towar? Michael usiłował znaleźć odpowiedź na te

pytania w indeksie do podręcznika. Szukał pod hasłem „Seks”, „Stosunek”, „Kopulacja”,
82

RABIN

wreszcie, choć bez specjalnej nadziei, pod „Przyjemność”, nie znalazł jednak nic, co by go oświeciło w tej mierze.

Poszukiwania te zajmowały go aż do dwudziestej drugiej, a że o tej godzinie bibliotekę zamykano, oddał książkę i zjechał windą na parter. Pogoda była pod psem; deszczyk rozpuścił leżące wzdłuż krawężników pryzmy brudnego śniegu, zamieniając je w błotnistą breję. Skończyły się właśnie wieczorne wykłady i wezbrana rzeka studentów porwała Michaela w kierunku stacji kolejki. Tłum wciskał się w wąskie wejście, tłocząc się i przepychając. Michael znalazł się na jego skraju, przyciśnięty zebrami do piersi ślicznej brunetki w bereciku i zamszowym płaszczu. Na chwilę zapomniał o zaczynającej łamać go w kościach grypie. Sytuacja, w jakiej się znalazł, dostarczała mu niezwyklej przyjemności.

Dziewczyna spojrzała mu w oczy, a potem przeniosła wzrok na książki, które ścisnął pod pachą.

— Jesteś cudownym dzieckiem? — spytała z rozbawieniem. Spróbował się cofnąć, nie chciał jej dłużej dotykać.

Znienawidził ją za to, że nie jest o trzy lata młodsza. Tłum napierał, ale nie przybliżało go to ani na krok do zejścia na perony. Michael dostrzegł kątem oka nadjeżdżający Piątą Aleją autobus. Odepchnął łokciem jakiegoś grubego brodacza i rzucił się w stronę pobliskiego przystanku, postanowiwszy dojechać autobusem do Trzydziestej Czwartej Ulicy, gdzie z pewnością nie będzie takiego ścisku przed wejściem do metra. Kiedy autobus przejeżdżał Dwudziestą Ulicę, Michael z przyzwyczajenia podniósł wzrok na biurowiec, w którym miała siedzibę firma „Gorsety Kinda”, i zobaczył światło w dwóch oknach od frontu. Mogło to jedynie oznaczać, że ojciec

jeszcze pracuje, więc chłopak szarpnął za sznurek dzwonka, szczęśliwy, że zamiast długiej podróży na stojąco kolejką czeka go wygodna podróż chevroletem.

W budynku, jak zwykle zimą, panowało nieznośne gorąco. Winda już nie jeździła, więc zanim wdrapał się po stromych schodach na trzecie piętro, spocił się jak mysz i jeszcze bardziej rozboleło go gardło. Otworzywszy drzwi do biura firmy, ujrzał od progu ojca. Abe, zupełnie nagi, w samym tylko podkoszul-

83

NOAH GORDON

ku, pieprzył Carlę Salva na zniszczonej kanapie, którą Michael tak gorliwie czyścił odkurzaczem w każde sobotnie przedpołudnie. Jedna stopa Carli, długa i wąska, spoczywała na leżących na podłodze zmiętych jedwabnych majteczkach, druga ocierała się o łydkę ojca. Podkreślone szminką Maxa Factora usta Portorykanki były rozchylone, a cienkie skrzydełka jej nozdrzy leciutko rozdęte. Leżała z zamkniętymi oczami, nie wydając żadnego dźwięku pod pchnięciami miednicy Abe'a. W pewnej chwili odemknęła leniwie powieki, zobaczyła Mi-chaela i przeraźliwie wrzasnęła. Chłopak odwrócił się na pięcie i pobiegł przez ciemny przedpokój w stronę schodów.

— Kto to był? — dogoniło go pytanie ojca, a potem jego okrzyk: — O mój Boże!

Michael znajdował się na podeście pierwszego piętra, gdy ojciec zawołał z góry w głąb klatki schodowej:

— Mike, muszę z tobą pomówić! Mike!

Michael nie zatrzymał się. Wypadł z nagrzanego budynku na marznący deszcz i co sił w nogach puścił się przed siebie. Kiedy nad uchem zatrąbił mu znieścacka klakson taksówki, przewrócił się na śliskiej jezdni. Taksówkarz, sądząc po akcencie pochodzący z południa, zaczął kląć na czym świat

stoi, a on poderwał się i popędził dalej, pozostawiwszy książki i notatki na asfalcie.

Gdy dobiegał do Trzydziestej Czwartej Ulicy, zrobiło mu się słabo i zabrakło tchu, dowlókł się jednak jakoś do stacji kolejki.

Nie umiał sobie później przypomnieć, jak dostał się do domu. Ocknął się we własnym łóżku. Gardło bolało go tak, jakby je natarł tarką do kartofli, w głowie mu dudniło i paliła go gorączka. Czuł się jak palnik Bunsena. Kiedy mnie zgaszą, pomyślał, zostanie tylko podstawka.

Czasami śniła mu się Carla z rozchylonymi wilgotnymi ustami i cienkimi nozdrzami, rozdymającymi się z pożądania jak rozkładające się powoli skrzydełka motyla. Uświadomił sobie, że w takiej właśnie pozycji wyobrażał ją sobie niedawno, i zrobiło mu się wstyd.

Czasem śniła mu się muszka owocowa, rozmnażająca się z niezrównaną wydajnością, kopulująca bez porównania efek-

84

RABIN •:

tywniej od człowieka, ale — biedactwo — bez ekstatycznych uniesień.

Czasem przez rozpaloną poduszkę wdzierał mu się do ucha łomot bębna.

Po dwóch dniach choroby ocknął się z maligny. Na krześle obok łóżka siedział ojciec, nie ogolony i nie uczesany.

— Jak się czujesz?

— Dobrze — ochrypłym głosem odpowiedział Michael.

Wszystko pamiętał, jakby ujrzone sceny, wyrżnięte w kryształ, ustawiono przed nim w szeregu.

Abe zerknął w stronę drzwi i zwilżył językiem wargi. Matka zmywała w kuchni naczynia po kolacji.

— Wielu rzeczy jeszcze nie rozumiesz, synu.

— Idź ćwiczyc swoimi hantlami.

Z powodu ochrypłości jego głosu można by sądzić, że zbiera mu się na płacz. Michael uświadomi! to sobie i ogarnęła go wściekłość. Nie czuł smutku, jedynie zimną nienawiść, i pragnął, by ojciec to wiedział.

— Jesteś jeszcze dzieckiem, nie powinieneś mnie osądzać. Staralem się być dobrym ojcem i mężem. Ale jestem tylko człowiekiem.

Michaela bolała głowa i zaschło mu w gardle.

— Nie próbuj mi nigdy mówić, jak należy postępować — wychrypiał. — Nigdy!

Ojciec nachylił się i popatrzył na niego uważnie.

— Kiedyś, kiedy sam będziesz dwadzieścia lat po ślubie, zrozumiesz mnie.

Usłyszeli, jak matka odstawia talerz i zmierza w stronę sypialni.

— Abe, jesteś tam na górze?! — zawołała. — Jak on się czuje?

Weszła do pokoju tłusta kobieta z obwisłymi piersiami, grubymi nogami i śmiesznymi rudymi włosami. Na jej widok Michael poczuł się jeszcze gorzej.

Odwrócił się do ściany.

85

NOAH GORDON

ROZDZIAŁ ÓSMY

Dziewczyna z mieszkania po przeciwnej stronie holu nazywała się Miriam Steinmetz. Pewnego wieczoru, wiosną ostatniego roku nauki Michaela w gimnazjum, on i Mimi leżeli obok siebie na puszystym dywanie w salonie Steinmetzów i przeglądali w „New York Timesie” rubrykę „Praca na wakacje”.

— Byłoby fajnie, gdyby udało nam się znaleźć pracę w tym samym uzdrowisku, prawda? — powiedziała Mimi.

— Aha — przytaknął.

Tymczasem w duszy aż się wzdrygnął na taką perspektywę. Czuł potrzebę wyjechania latem w jakieś nowe miejsce, ale jeszcze bardziej zależało mu na tym, żeby poznać nowych ludzi, patrzeć na nieznajome twarze. Twarz Mimi, choć ładna i pełna życia, nie należała do nieznajomych. Steinmetzowie zamieszkiwali już w lokalu 3-D, kiedy rodzina Kindów wprowadziła się do mieszkania 3-C. Miriam traktowała Michaela jak powietrze aż do czasu, gdy w wieku lat szesnastu wstąpił do bractwa licealistów „Mu Sigma”. Ona należała do stowarzyszenia licealistek „Jota Phi”, korzyści z zawarcia bliższej znajomości były więc oczywiste. Zabierała go na potańcówki urządzone przez jej stowarzyszenie, a on ją na potańcówki organizowane przez jego bractwo. Na jednej z kolejnych randek całowali się, ale niemal bez śladu erotycznego podniecenia. Kłopot Michaela z Mimi polegał na tym, że znał ją lepiej niż Ruthie, swoją siostrę. Oglądał ją z umytą dopiero co głową, zaniedbaną, z twarzą wysmarowaną maścią na trądzik, moczącą stopę w parującej wodzie, żeby wyleczyć zakażenie palca. Nigdy nie mogłaby być jego Kleopatram, gdyby on był Markiem Antoniuszem. Nawet cień tajemniczości nie podsyciłby takiego związku.

— O, to się zapowiada interesująco! — zawołała. Szukano pomocy do kuchni w jakimś hotelu w górach Catskill. Michaela bardziej zainteresowało ogłoszenie wydrukowane tuż poniżej. Poszukiwano pomocy kuchennej do

86

NOAH GORDON

pensjonatu o nazwie „Piaski” pod Falmouth w stanie Massachusetts.

— Może byśmy razem odpowiedzieli na to ogłoszenie? — zaproponowała Mimi. — Fajnie byłoby spędzić lato w górach. — Zgoda — mruknął. — Zapisz sobie numer ogłoszenia, a ja zabiorę gazetę.

Nabazgrała cyfry w leżącym obok telefonu notesie, po czym podeszła do Michaela i pocałowała go w usta.

— Podobał mi się ten film.

Galanteria nakazywała mu przejąć inicjatywę. Usiłował całować Mimi z takim zapamiętaniem, z jakim Clark Gable całował Claudette Colbert na filmie, z którego właśnie wrócili. Jego dłonie zaplątały się w sweterek Miriam. Nie stawiała oporu. Piersi miała drobne jak małe jaseczki, które miały pewnego dnia urosnąć do rozmiarów dużych poduszek.

— Ta scena, jak rozwieszają między sobą koc w motelu, była bombowa — szepnęła mu do ucha.

— Poszłabyś do łóżka z chłopcem, gdybyś go kochała?

Milczała chwilę.

— Chodzi ci o spanie w jednym łóżku czy o kochanie się?

— O kochanie się.

— Uważam, że to byłoby bardzo nierozumne. A już na pewno nie przed zaręczynami... Zresztą i potem... Nie lepiej trochę poczekać?

W dwie minuty później wracał przez hol do swojego mieszkania. Ostrożnie, żeby nie narobić hałasu i nie zbudzić rodziny, wyjął pióro i papier listowy i odpisał na ogłoszenie z pensjonatu „Piaski”.

Przed dworcem autobusowym w Falmouth czekał na niego samochód z hotelu. Kierowca, ponury siwowłosy konus, przedstawił się Michaelowi jako Jim Ducketts.

— Miałeś przyjechać wcześniejszym autobusem — mruknął oskarżycielsko.

Hotel „Piaski”, wielki załamany zygzakowato biały budynek z szerokimi werandami wychodzącymi na przystrzyżone

87

NOAH GORDON

trawniki i piaszczystą plażę prywatną, zbudowano nad samym morzem.

Z tyłu terenów hotelowych stała szopa dla służby. Du-cketts wskazał Michaelowi rozpadającą się żelazną pryczę.

— Tu będziesz kimał — oznajmił i wyszedł bez pożegnania.

Szopę sklecono z nie heblowanych desek przybitych do słupków o przekroju pięć na dziesięć centymetrów i obitych papą. Prycza Michaela znajdowała się w kącie. Wisiała nad nią ogromna pajęczyna, w środku której czatował wielki czarny pająk o włochatych nogach i odwłoku w niebieskie i pomarańczowe cętki, podobny do lśniącego klejnotu.

Chłopcu ścierpła skóra. Rozejrzył się za czymś, co mogłoby posłużyć do zabicia potwora, ale niczego nadającego się do tego celu nie dojrzał.

Pająk tkwił w pajęczynie bez ruchu.

— W porządku — zwrócił się do niego Michael. — Trzymaj się z daleka od mojego karku, a ja oszczędzę twój.

— Do kogo ty gadasz, stary?

Michael odwrócił się szybko, a potem uśmiechnął nieśmiało.

W drzwiach szopy stał jakiś chłopak i przyglądał mu się podejrzliwie. Blondyn, ostrzyżony na jeża, z opalenizną niemal tak ciemną jak opalenizna Abe'a Kinda. Miał na sobie tenisówki, dzinsy i podkoszulek z wydrukowanym przez pierś wielkimi niebieskimi literami słowem YALE.

— Do pająka.

Blondyn zrobił zdziwioną minę, lecz Michael doszedł do wniosku, że jeśli wda się w wyjaśnienia, jeszcze gruntowniej się ośmieszy. Nieznajomy podał mu rękę i przedstawił się.

Należał do facetów, którzy lubią zgniatać człowiekowi grabę.

— Al Jenkins. Nie masz czegoś do żarcia?

Michael miał batonik, który odłożył sobie na później, oddał go jednak tamtemu w porywie bezinteresownej hojności. Al zwał się na jego materac i odgryzł połowę batona, rzuciwszy zdarty papierek pod pryczę Michaela.

— Chodzisz do ogólniaka? — zapytał.

— Na jesieni wstępuję na uniwersytet Columbia. A ty na którym jesteś roku w Yale?

Blondyn odrzucił głowę i zaniósł się śmiechem.

RABIN

— Ja nie chodzę na Yale, brachu! Chodzę na North-eastern. To w Bostonie.

— Więc dlaczego nosisz koszulkę Yale?

— Opakowanie Ivy League.* Przynęta dla lasek.

— Jakich lasek?

— Dla laluć, dupeczek, cipek, pizdulek. To twój pierwszy sezon w letnim uzdrowisku?

Michael przyznał, że istotnie pierwszy.

— Dużo się jeszcze musisz nauczyć, brachu. — Blondyn połknął resztę batona. Następnie, jakby coś sobie nagle przypomniał, usiadł na łóżku Michaela. — Ty naprawdę gadałeś do tego pieprzonego pajaka?

Wstawali o piątej trzydzieści. W baraku spało ich dwudziestu. Kelnerzy i ratownicy przeklinali pomocnika kucharza za to, że ich budził o kilka godzin za wcześnie, a pomocnik kucharza po kilku pierwszych dniach przestał się im nawet odszczekiwać.

Szefem kuchni był niejaki pan Bousquet, wysoki chudzielec. Michael nigdy nie poznał jego imienia, nie przyszło mu zresztą nawet do głowy, by o nie zapytać. Mister Bousquet miał pociągłą nieruchomą twarz i oczy nakryte ciężkimi powiekami. Większość czasu spędza! na smakowaniu potraw, z rzadka jedynie wydając jakieś polecenia drewnianym głosem.

Rankiem pierwszego dnia zaprowadził chłopców do kuchni kierownik hotelowego personelu. Michaela przydzielono do Koreańczyka w nieokreślonym wieku, który przedstawił mu się jako Bobby Lee.

— Jestem tu kredensowym — oznajmił. — Będiesz moim pomocnikiem.

Na stole stały trzy skrzynki pomarańczy. Bobby Lee wręczył Michaelowi łom i nóż. Chłopak otwierał łomem

* Grupa najstarszych i najszacowniejszych uczelni wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych: uniwersytetów Brown, Columbia, Cornell, Harvard, Princeton, Yale, Dartmouth College i University of Pennsylvania.

NOAH GORDON

skrzynki, a następnie kroił nożem pomarańcze na połówki, póki nie napełnił nimi trzech wielkich glinianych mis.

Ku swojej niezmiernej uldze stwierdził, że sokownik mają tam mechaniczny. Przyciskał połówkę owocu do wirującego stożka, aż z wydrążonej pomarańczy została tylko biała skórka, którą wyrzucał do kosza, i brał następną połówkę. W godzinę później wciąż jeszcze wyciskał pomarańcze na mechanicznym sokowniku. Mięśnie ramienia zwięzły mu się w supły, a palce prawej dłoni tak zesztyniały, iż doszedł do wniosku, że już do końca życia będzie chodził z ręką gotową do obłapienia piersi każdej kobiety na tyle nieostrożnej, by mu się pod nią nawinać. Gdy uporał się z wyciskaniem soku, przyszło mu pokroić arbuzy, podzielić na porcje grejpfruty, otworzyć puszki z figami i zapełnić pomocniki kruszonym lodem, sokiem i owocami. Kiedy o wpół do ósmej zjawili się kucharze, Michael i Bobby kroili już warzywa na sałatki do lunchu.

— Niedługo wtrząchniemy sobie śniadanko — zapowiedział Bobby.

Michael pracował zwrócony w stronę drzwi spiżarni, mógł więc obserwować kelnerki, przechodzące przez wahadłowe drzwi między jadalnią a kuchnią. Skala ich urody obejmowała pospolite brzydule i zachwycające piękności. Szczególnie jedna dziewczyna zwracała uwagę Michaela. Miała zgrabne

sprężyste ciało, które w rytm jej kroków poruszało się ponętnie pod fartuszkim, i grube jasne włosy, zaplecione w warkocz upięty w koronę, co upodabniało ją do dziewczyny z reklamy szwedzkiego piwa.

Bobby dostrzegł spojrzenia swojego pomocnika i uśmiechnął się pod nosem.

— Czy my jemy razem z kelnerkami? — zapytał Michael.

— Nie, one jedzą w zoo.

— Jak to w zoo?

— Tak nazywamy jadalnię dla służby. My jemy tu, w kredensie.

Koreańczyk zauważył rozczarowanie młodzieńca i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Powinieneś się cieszyć. Tego, czym karmią w zoo, nawet zwierzęta nie chciałyby zjeść. My jemy to samo co goście.

RABIN

kilka minut później dowiódł prawdy swoich słów. zjadł śniadanie złożone z fig z bitą śmietaną, puszystej jajecznicy, parówek, słodzonych truskawek wielkości piłeczek pingpongowych i dwóch filiżanek gorącej mocnej kawy.

Wrócił do pracy w nastroju sytego rozleniwienia.

Bobby przyglądał się z aprobatą, jak kroi ogórki.

— Dobrze pracujesz, młody, potrafisz zjeść. Fajny z ciebie skurczybyk.

Michael zgodził się z nim skromnie.

Wieczorem siedział przed barakiem na spaczonym od deszczu taborecie do pianina. By! zmęczony i straszliwie samotny. W środku ktoś grał niewprawnie na banjo na przemian dwie melodie: „On top of old smoky” i „All I do the whole night through is dream of you”; każdą z nich odegrał czterokrotnie. Michael obserwował proces schodzenia się męskiej i damskiej części służby. Pracowników najemnych z góry ostrzeżono, by nie spoufalali się z gośćmi przeciwnej płci, zmiarkował jednak

od razu, że kierownictwo hotelu nie ma w tym względzie powodu do obaw. Wyglądało na to, iż większość sezonowych pracowników stanowili weterani poprzednich wakacji, którzy wrócili na Cape Cod, żeby nawiązać miłosne związki przerwane przez ubiegłoroczne Święto Pracy.* Michael był zazdrosnym świadkiem całego szeregu takich właśnie spotkań. Męski barak oddzielał od kwater dziewcząt gęsty sosnowy zagajnik, poprzecinany niknącymi w gąszczu drzew ścieżkami. Spotkania odbywały się według ustalonego rytuału: chłopak i dziewczyna spotykali się na skraju zagajnika, rozmawiali chwilę, po czym oddalali się razem jedną ze ścieżek. Dziewczyny z warkoczami Szwedki z reklamy piwa Michael nie zauważył. Ostatecznie musi się tu znajdować choć jedna osoba nie od pary, pocieszył się.

* The Labor Day, święto obchodzone w większości stanów USA w pierwszy poniedziałek września.

90

NOAH GORDON

Kiedy zaczęło się zmierzchać, podeszła do niego ścieżką wysoka, energiczna brunetka w trykotowej koszulce z nadrukiem „Wellesley”.* Pierwsze i ostatnie „l” w słowie „Wellesley” wysuwało się zdecydowanie przed pozostałe litery.

— Cześć — powiedziała.—Nazywam się Peggy Maxwell. Jesteś tu pierwszy raz, prawda? Przedstawił się jej.

— Widziałam cię dziś w spizarni. — Pochyliła się nad nim.

Kiedy się nachylała, jej biust prezentował się jeszcze bardziej imponująco. — Nie wyświadczyłbyś mi drobnej przysługi? W zoo karmią nas gorzej niż świnię w chlewie. Nie przyniósłbyś mi jutro wieczorem czegoś do żarcia z kuchni?

Michael chciał już zgłosić gotowość zaopatrywania jej do końca wakacji, kiedy w baraku ucichło brzdąkanie na banjo i

w drzwiach stanął Al Jenkins w trykotowej koszulce z nadrukiem „Princeton”.

— Peg-legs!!! — wrzasnął z zachwytem.

— Allie Poopoo!!!**

Padli sobie w objęcia i kołysali się ze śmiechem, nie skapiąc swoim ciałom licznych poklepywań. Po chwili wzięli się za ręce i oddalili jedną z leśnych ścieżek. Michael odprowadzał ich wzrokiem, póki nie zniknęli w mroku drzew, zastanawiając się, czy Peggy Maxwell rzeczywiście uczęszcza do Wellesley, czy też jej trykot jest jedynie wabikiem na studentów. Jeśli o niego chodzi, panna Peg-Legs może się nawet zagłodzić.

Siedział na taborecie od pianina, aż się całkiem ściemniło, dopiero wtedy wszedł do szopy i zapalił nagą żarówkę. W torbie miał „Pisma” Arystotelesa. Wyjął książkę i położył się na pryczy. Dwie muchy polatywały brzęcząc nad okruchem czekolady, który ten niechluj Al Jenkins zostawił na materacu, pożarłszy mu baton. Michael zabił je uderzeniami książki, po czym cisnął truchelką w pajęczynę. W bezruchu śmiertelnej trwogi tkwiła w niej tuż obok pająka zaplątana wcześniej mała ciemka. „Każda istota żyjąca zdaje się też mieć swoistą swoją
* Miasteczko uniwersyteckie pod Bostonem.

** Nieprzetłumaczalne kalambury: „Peg-leg” oznacza sztuczną nogę, „Poo Poo” w dziecięcym języku — kupkę.

92

RABIN

przyjemność, tak jak ma swoistą swoją funkcję: przyjemność ta bowiem odpowiada owej funkcji. Można się o tym przekonać biorąc pod uwagę poszczególne gatunki istot żyjących; gdyż inna jest przyjemność właściwa koniowi, inna psu, inna człowiekowi...”*

Zanim chłopak doczytał akapit do końca, obie muchy zostały pożarte i pająk na powrót znieruchomiał. Ćmy wciąż nie tykał.

— Umiesz słuchać, umiesz jeść. Fajny z ciebie skurczybyk, mały — mruknął Michael, a pająk temu skromnie nie zaprzeczył.

Chłopak zgasił światło, rozebrał się do bielizny i nakrył kocem. Wkrótce zasnęli obaj, i on, i pająk.

Od trzech tygodni pracował w spiżarni, jadł, spał i cierpiał męki samotności. Kiedy Al Jenkins podejrział pewnego razu, że Michael czyta Arystotelesa, rozgłosił i to, że rozmawia z pajakami, 'i pomocnik kredensowego został uznany powszechnie za hotelowego dziwaka. Obeszło go to tyle co zeszłoroczny śnieg. Wśród tych kretynów nie było nikogo, z kim miałby ochotę zamienić więcej jak dwa słowa.

Dziewczyna ze szwedzkimi warkoczami nazywała się Ellen Trowbridge. Ustalił to, kiedy połknąwszy dumę zapytał Jenkinsa.

— To cukierek nie dla ciebie — stwierdził Jenkins. — Ta oziębła cipa z Radcliffe w ogóle się nie bzyka. Uwierz mi, fachowiec ci to mówi.

Ellen miała wolne wtorki po południu. Michael wyciągnął tę informację od Peggy Maxwell w zamian za zraz jagnięcy. Miał wolne czwartki, ale Bobby Lee zgodził się bez trudu, żeby zamienił dni.

Wieczorem poszedł do baraku dziewcząt, zapukał i zapytał o Ellen Trowbridge. Kiedy wyszła i zobaczyła go, jej czoło przecięły dwie pionowe zmarszczki.

— Nazywam się Mikę Kind. Mamy oboje wolne jutrzejsze popołudnie, więc pomyślałem, że moglibyśmy się razem dokądś wybrać.

Arystoteles, „Etyka nikomachejska”, tłum. Daniela Gromska.

93

NOAH GORDON

— Nie, dziękuję — odpowiedziała głośno i wyraźnie. W baraku ktoś zachichotał.

— Na przykład na plażę miejską — nie dawał za wygraną Michael. — Jest trochę zatłoczona, ale można wytrzymać.

— W tym roku nie umawiam się na randki.

— Rozumiem. Na pewno?

— Na pewno. Jednak dziękuję za zaproszenie.

Zniknęła za drzwiami baraku. Kiedy odwracał się już do odejścia, stanęła w nich Peggy Maxwell z pewną małą rudą śmieszka.

— Może chciałbyś, żeby kto inny dotrzymał ci towarzystwa jutro po południu? — zapytała Peggy.

— Nie, dziękuję.

— Miałam na myśli Arystotelesa. Albo twojego pająka. To samiczka czy może wasz związek jest homoseksualny? Obie dziewczęta zaczęły się pokładać ze śmiechu.

— Idźcie do diabła — warknął Michael i odwrócił się na pięcie. Po chwili dogoniło go wołanie Ellen Trowbridge.

— Panie Kind!

Przystanął i poczekał na nią, j nie odezwał się jednak, gdy się z nim zrównała.

— Zmieniłam zdanie — oświadczyła. Wiedział, że słyszała jego rozmowę z Peggy.

— Słuchaj, nie potrzebuję łaski.

— Ale ja naprawdę chętnie się jutro z tobą dokądś wybiorę.

— No cóż, skoro tak, cieszę się.

— Spotkamy się w lasku? Powiedzmy o trzeciej?

— Przyjdę po ciebie do baraku.

Skinęła głową z uśmiechem, po czym rozeszli się ścieżką w dwie przeciwne strony.

Bobby Lee zapakował Michaelowi ogromny kosz wałówki i chłopak przyglądał się teraz ze zgrozą, jak Ellen ją pochłania.

— Czy w zoo rzeczywiście tak fatalnie karmią?

— Gorzej niż fatalnie! — Przestała ogryzać kurze udko. —

Okropne ze mnie prosię, prawda?

— Ależ skąd! Jesteś po prostu okropnie... głodna.

94

RABIN

Uśmiechnęła się i wróciła do ogryzania udka. Był zadowolony, że zajęła się jedzeniem, pozwoliło mu to bowiem dokładnie się jej przyjrzeć. Figurę miała zgrabną, ciało — osłonięte białym jednoczęściowym kostiumem kąpielowym — gładkie i jędrne. Kiedy zjadła całą wałówkę do ostatniego okruszka, Michael wskazał oczami jej grube blond warkocze i pozwolił sobie na domysł.

— Svenska? — zapytał, dotykając jednego z nich. — Zgadłem?

W pierwszej chwili wyglądała na zaskoczoną, potem zrozumiała, o co mu chodzi, i roześmiała się.

— Nie! Niemko-Szkotka ze strony matki i Angielko-
—jankeska po ojcu. — Obejrzała go sobie od stóp do głowy.

— A ty jesteś Żydem.

— Jeśli wierzyć socjologom, na oko nie można tego rozpoznać. Jak się domyśliłaś? Poznałaś to po nosie, po rysach twarzy czy po wymowie?

Wzruszyła ramionami.

— Domyśliłam się i tyle. Miała wyjątkowo białą skórę.

— Spieczesz się — przestrzegł.

— Nie jestem przyzwyczajona do słońca. Kiedy kończę pracę, jest już po zachodzie. — Wyjęła z torebki buteleczkę z olejkiem do opalania.

— Chcesz, żebym cię posmarował?

— Nie, dziękuję — odpowiedziała grzecznie. Paznokcie miała pomalowane lakierem bezbarwnym. Kiedy nacierała wewnętrzne strony ud, Michaelowi zaparło na chwilę dech w piersiach.

— Dlaczego powiedziałaś mi wczoraj, że nie umawiasz się w tym roku na randki? Masz kogoś na stałe? Jakiegoś studenta z Harvardu?

— Nie. Jestem dopiero przed pierwszym rokiem. Prawdę mówiąc, nie zaczęłam jeszcze nauki w Radcliffe. Nie, nie mam nikogo na stałe.

— Więc czemu?

— W pierwszym tygodniu pobytu tutaj umówiłam się na cztery randki z czterema różnymi chłopcami. Wiesz, co się wydarzało za każdym razem, gdy zrobiliśmy dziesięć kroków

95
NOAH GORDON

w głąb tego cholernego lasku? Z czterema różnymi chłopcami, których znałam ledwo pięć minut!

Przestała rozsmarowywać olejek i zastygła z prawą ręką uniesioną kilka centymetrów nad lewą łydką, zatopiwszy wymowne spojrzenie w źrenicach Michaela. Właściwie tęczęwki miała zielone. Chłopak nie wiedział, gdzie podziąć oczy.

W końcu to ona odwróciła wzrok i wylała na dłoń nową porcję olejku. Opuściła głowę, zauważył jednak, jak zarumienił się jej biały karczek. Słońce przypiekało mocno. Plaża roiła się od rozwrzeszczanych dzieci, blisko brzegu wyła motorówka, tymczasem oni dwoje siedzieli jakby na wyspie ciszy. Ellen musiała wylać na dłoń za dużo olejku, bo kiedy zaczęła wcierać go w łydkę, rozległ się podniecający pisk. Michaela chwyciła ochota, żeby jej dotknąć, gdzie bądź, byle tylko poczuć jej ciało. Nogi miała długie i szczupłe, lecz mocno umięśnione.

— Jesteś tancerką?

— Tańczę trochę w balecie. Amatorsko. — Zważyła na dłoniach mięśnie obu łydek. — Prawda, że okropne? To cena, jaką się za to płaci.

— Dobrze wiesz, że wcale nie okropne. Dlaczego zmieniłaś zdanie i umówiłaś się ze mną?

— Wyczułam, że jesteś inny. Michaelowi z pożądania dygotały kolana.

— Nie powiedziałbym! — zaprotestował gorąco.

Wystraszona podniosła na niego oczy... i wybuchnęła śmiechem. Przez chwilę czuł wstyd i gniew, ale dziewczyna śmiała się tak zaraźliwie, że w końcu i on musiał zachichotać. Po chwili oboje pokładali się ze śmiechu i jego podniecenie minęło, a wraz z nim, ku żalowi Michaela, rozwiązał się nastrój zmysłowości.

— Zgódźmy się w takim razie — krztusząc się ze śmiechu powiedziała Ellen — że wydałeś mi się sympatyczny i równie jak ja samotny, uznałam więc, że można bez obawy wybrać się z tobą na tę pustą plażę.

Zerwała się na nogi, podała mu rękę, a on je chwycił i wstał. Palce miała silne, a przy tym delikatne i ciepłe. Kluczając wśród rozłożonych na piasku koców i smażących się na nich plażowiczów ruszyli w stronę brzegu.

96

RABIN

Gdy tam dotarli, przykuł ich uwagę widok wchodzącej do wody opalanej na czekoladowo grubaski. Kobieta dopóty zagłębiała się w oceanie, dopóki woda nie sięgnęła jej obwisłych piersi, a wtedy ją nabierała w dłonie i spryskiwać górę kostiumu. Zamoczywszy się dokładnie, poczęła wyskakiwać w górę, po każdym podskoku coraz głębiej przykucając, aż jej bujne kształty całkiem zniknęły pod wodą i z oceanu wystawała tylko kulista głowa.

— Odejdźmy kawałek dalej plażą — zaproponował Michael.

— Musimy tego spróbować!

Oddalili się poza pole widzenia grubaski i odegrali scenę jej zanurzania się w wodzie. Ellen spryskała sobie nawet górę

kostiumu. Michael postarał się stłumić śmiech. Ten sposób zanurzania się w kąpielni wymaga! powagi, a okazał się, jak stwierdzili, niezwykle przyjemny. Kiedy na powierzchni oceanu unosiły się tylko ich dwie głowy, zbliżyli się do siebie na taką odległość, że ich usta dzieliło ledwie kilkanaście centymetrów morskiego przestworu.

Ellen wychowała się na indyckiej farmie w Clinton w stanie Massachusetts.

Nie cierpiała indyckiego mięsa ani w ogóle drobiu.

Ani jajek.

Uwielbiała za to czerwone mięso.

Oraz Utrilla.

Oraz Gershwin.

Oraz Paula Whitemana.

Oraz Sibeliusa.

Nie znosiła wszystkiego co szkockie.

Kochała dobre sherry.

Oraz balet, choć nie była na tyle dobrą tancerką, by mogła się uważać za profesjonalistkę.

Chciała się dostać do Radcliffe, zostać pracownicą opieki społecznej, a potem żoną i matką. W tej kolejności.

Woda była ciepła, lecz mimo to zsiniały im w końcu wargi.

Plażowicze zaczęli opuszczać plażę, a oni dalej siedzieli w wodzie, pozwalając, by napływające fale niosły ich w stronę brzegu, a odpływające w przeciwną. Co pewien czas musieli zmieniać pozycję, żeby pozostać na tej samej głębokości.

Pytania zaczęła z kolei zadawać Ellen.

7 Rabin

97

NOAH GORDON

Do jakiej chodzisz uczelni? Columbia.

Jaką zamierzasz obrać specjalizację? Fizykę.

Czym się zajmuje twój ojciec? Produkuje biustonosze.

Czy lubisz Nowy Jork? Chyba tak.

Czy jesteś wierzącym Żydem? Nie wiem.

Jak wygląda nabożeństwo w synagodze? Prawdopodobnie tak samo jak nabożeństwo w kościele, z tą różnicą że jest odprawiane po hebrajsku. Choć trudno mu powiedzieć, bo nigdy nie był w kościele.

Co to znaczy, że coś jest koszerne?

— O Chryste! — wyrwało się Michaelowi. — Ty nie potrzebujesz kończyć studiów, żeby zostać pracownicą opieki społecznej. Już masz opracowany szczegółowy zestaw pytań do kwestionariusza przynależności narodowej.

Oczy Ellen stały się nagle zimne.

— Ja ci odpowiedziałam na wszystkie twoje pytania!

Odpowiedziałabym na każde, jakie byś tylko zadał! Wszystko zepsułeś, głupi!

Ruszyła w stronę brzegu. Michael położył jej rękę na ramieniu i przeprosił za swoje zachowanie.

— Pytaj, o co chcesz!

Ponownie zanurzyli się w wodzie. Wargi dziewczyny zbieleły z zimna, a twarz poczerwieniała jej od słońca.

Czy masz rodzeństwo? Starszą siostrę, Ruthie.

Jaka ona jest? Upierdliwa. Spędza wakacje w Palestynie.

Czy musisz wyrażać się tak wulgarnie? Czasem to dobrze robi.

Naprawdę nie kochasz siostry, nawet w głębi duszy? Chyba nie.

Gdzie mieszkacie? W Queens.

Czy macie w mieszkaniu kuchenną windę? Tak.

Czy jeździłeś nią, jak byłeś mały? Jasne że nie. Matka ją zamykała, żeby nie wpadł i się nie zabił.

Czy lubisz operę? Nie. A balet? Nigdy nie byłem.

Kto jest twoim ulubionym pisarzem? Stephen Grane. Czy nowojorskie dziewczęta są rzeczywiście takie łatwe? Nie te, które ja spotykam.

Czy byłeś już kiedyś zakochany? Aż dotąd nie.

98

RABIN

— Nie wygłupiaj się! — parsknęła. — Nie znoszę tego!

Pytam poważnie.

— Wcale się nie wygłupiam.

Ellen, może z powodu szoku, jakim było dla niej jego oświadczenie, przestała zadawać pytania i za obopólną zgodą wyszli z wody. Plaża już niemal opustoszała. Słońce właśnie zachodziło i od oceanu powiało chłodem. Z zimna dostali oboje gęsiej skórki na nogach i ramionach. Kiedy dla rozgrzewki puścili się biegiem, kamyki poraniły im podeszwy stóp.

Ellen podniosła nogę i obejrzała skaleczenie.

— Przeklęty kamieniołom — mruknęła. — Co innego plaża przed hotelem, z niej mogłabym nigdy nie schodzić. Piaseczek jak jedwab!

— Żartujesz sobie — stwierdził. Plaża hotelowa była przeznaczona wyłącznie dla gości. Służbie powtarzano do znudzenia, że jeśli kogoś tam przyłapią, zostanie natychmiast wydalony.

— Pływam tylko w nocy, kiedy hotel i cały świat smacznie śpią.

Michaelowi przebiegły po plecach ciarki.

— Czy mógłbym ci kiedyś potowarzyszyć? Popatrzyła na niego i wybuchnęła śmiechem.

— Uwierzyłeś mi? Myślisz, że zwariowałam? Nie zbliżyłabym się na kilometr do hotelowej plaży.

Podniosła ręcznik i zaczęła się wycierać. Twarz miała spieczoną od słońca.

— Daj no mi tę swoją maź — poprosił, a Ellen pozwoliła mu rozsmarować olejek na swoim czole, policzkach i szyi. Skórę miała rozgrzaną i elastyczną; Michael wklepywał kosmetyk opuszkami palców jeszcze długo po jego zniknięciu.

Wracali nie spiesząc się i dotarli do hotelu już po zmroku. W zagajniku dziewczyna podała Michaelowi rękę.

— Dziękuję za cudowne popołudnie, Mike.

— Spotkamy się jutro? Może wybralibyśmy się do kina do miasta?

— Muszę bardzo wcześnie wstawać.

— Więc może moglibyśmy trochę pospacerować?

— Dziś już nie.

99

NOAH GORDON

— A jutro?

— Nie umawiam się na wieczorne randki — oświadczyła stanowczo, ale następnie zawahała się. — Mam wolne w następny wtorek. Z przyjemnością wybrałabym się z tobą jeszcze raz na plażę.

— Więc jesteśmy umówieni.

Stał i odprowadzał ją wzrokiem, dopóki nie zniknęła mu z oczu. Miała piękny chód.

Tydzień oczekiwania okazał się dla niego za długi. W środę poprosił ją znowu, żeby do niego wyszła, i spotkał się ze stanowczą odmową. Kiedy i w czwartek usłyszał krótkie „Nie!”, rzucone głosem gniewnym i bliskim zarazem płaczu, odszedł od baraku dziewcząt nadąsany jak małe dziecko. W nocy nie mógł zasnąć. To, co powiedziała mu przed dwoma dniami — że pływa przy hotelowej plaży, gdy wszyscy już śpią — nie dawało mu spokoju. Próbował odpędzić od siebie tę myśl powtarzając sobie, że przecież Ellen obróciła swoje słowa w żart, ale na próżno. Żart nie był przekonujący, a Ellen

Trowbridge nie należała do kóz paplających, co im ślina na język przyniesie.

Około pierwszej w nocy wstał z łóżka, włożył dzinsy i wciągnął tenisówki, a następnie wymknął się z baraku i poszedł ścieżką obok hotelu w stronę tonącej w ciemności plaży. Na jej skraju zdjął tenisówki. Ellen miała rację, piasek przypominał jedwab.

Niebo powlekały chmury, lecz było gorąco i parno. Jeśli dziewczyna miała się pojawić, to chyba gdzieś na końcu plaży, możliwie daleko od hotelu. Michael ruszył w stronę mającego w ciemności stanowiska ratownika i usiadł za nim na aksamitnym piasku.

Do hotelu zjeżdżały głównie rodziny z dziećmi, nie było w nim prawie nocnych marków. Kilka okien świeciło jeszcze żółtym blaskiem, lecz wnet i one kolejno pogasły, jak zamykające się do snu powieki. Michael siedział, słuchał szmeru fal na piasku i pytał sam siebie ze zdziwieniem, co tam robi. Miał wielką ochotę zapalić, ktoś mógłby jednak zobaczyć płomień zapalki lub żar papierosa. Kilka razy zapadał

100

RABIN f

w drzemkę i ocykał się z niej po chwili z irytacją, podejmując czuwanie.

Po jakimś czasie przestał odczuwać zniecierpliwienie.

Przyjemnie było tak siedzieć i gmerać palcami w aksamitnym piasku. Powietrze odznaczało się również aksamitną miękkością, jak pewnie i woda, przyszło mu do głowy.

Michael zatopił się w rozmyślaniach; o niczym konkretnym — o życiu, o sobie samym, o Nowym Jorku, uniwersytecie Columbia, rodzinie, seksie, przeczytanych książkach, obejrzanych obrazach. Rozmyślało mu się przyjemnie i swobodnie. Panowała nieprzenikniona niemal ciemność. Po

jakimś czasie usłyszał od strony brzegu jakiś cichy szmer i zląkł się, że Ellen już przyszła, a on tego nie zauważył. Ruszył w stronę owego dźwięku i omal nie nadepnął na trzy duże kraby. Wystraszony podwinął palce nóg, ale skorupiaki przestraszyły się go jeszcze bardziej niż on ich i szybko odbiegły w ciemność.

Dziewczyna zeszła na brzeg w odległości czterech, pięciu metrów od miejsca, gdzie przyklęknął, by obserwować ucieczkę krabów. Piasek stłumił jej kroki, toteż usłyszał ją dopiero wtedy, gdy znalazła się niemal nad brzegiem oceanu. Bał się ją zawołać, żeby się nie przestraszyła, a gdy się w końcu na to zdecydował, było już za późno.

Usłyszał zgrzyt rozsuwanego suwaka, szelest zdejmowanej sukienki, po chwili szmer opadającej na piasek tkaniny i oto w ciemności zamajaczył mu zarys nagiego dziewczęcego ciała. Następnie do uszu Michaela doleciał cichy chrobot drapiących skórę paznokci. Nie widział, w co się drapała, dobiegający z ciemności dźwięk był jednak bardzo intymny, domyślił się więc, że gdyby Ellen Trowbridge odkryła, iż on klęczy tuż obok na piasku jak jakiś lubieżnik, nie odezwałaby się do niego nigdy więcej.

Wskoczyła do oceanu z pluskiem wrzuconego do stawu kamyka. Po tym pierwszym plusku nie rozległ się już żaden następny. Michael powinien był wtedy odejść, jak najszybciej i jak najciszej. Tymczasem ogarnął go lęk o dziewczynę. Nawet najlepszy pływak nie powinien wypływać w morze w pojedynkę, do tego w środku nocy. Chłopak pomyślał o groźbie skurczu, prądów powrotnych, a nawet rekinów, które raz na parę lat, jak ostrzegano, atakowały nieostrożnych

101

NOAH GORDON

pływaków. Już miał zawołać Ellen, kiedy usłyszał plusk i ujrział wynurzającą się z wody białą postać. Jak winowajca,

który coś przeszkrobał, skorzystał ze szmeru liżącej piasek fali, wyciągnął się na brzuchu i schował głowę w ramiona, a jeźor morza z sykiem oblizał mu nogi aż po pachwiny i przemoczył dżinsy. Kiedy Michael po jakimś czasie podniósł oczy, Ellen już nie zobaczył, choć stała pewnie gdzieś w pobliżu susząc się na ciepłym wietrze. Było ciemno i zupełnie cicho, tylko Atlantyk szemrał coś leniwie. Nagle dziewczyna pacnęła się w pośladek, a potem zaczęła biegać w kółko i skakać po plaży. Kilka razy przebiegła niebezpiecznie blisko wyciągniętego na piasku chłopaka—majaczący w mroku biały kształt podfruwający jak rozigrana mewa. Choć Michael nigdy nie widział baletu na scenie, domyślił się, że Ellen tańczy do jakiejś muzyki, którą słyszy w głowie. Wsłuchiwał się w jej przyspieszony oddech i nagle chwyciło go pragnienie, żeby przekreślić kontakt i zapalić światło, które pozwoliłoby mu ujrzeć rozpląsaną dziewczynę, jej twarz, rozkołysane w podskokach piersi, pośladek, w który się pacnęła, i całą resztę jej ciała. Nie miał jednak pod ręką takiego kontaktu, a Ellen zmęczyła się wkrótce i zaprzestała skoków. Przez chwilę stała i dyszała głośno, potem pozbierała części ubrania i poszła naga w stronę wydmy. Na skraju plaży znajdował się prysznic, pod którym goście hotelowi mogli splukiwać z siebie piasek i sól. Kiedy dziewczyna stanęła pod prysznicem i pociągnęła za łańcuszek, do uszu Michaela doleciał dźwięk podobny do syku węża, po czym na powrót zapadła głucha cisza. Odczekał jeszcze chwilę, chcąc się upewnić, że Ellen naprawdę się już oddaliła, wrócił pod stanowisko ratownika i podniósł z piasku tenisówki. Wróciwszy do baraku, ściągnął mokre spodnie i powiesił je, żeby wyschły. Zapalił zapałkę i sprawdził godzinę na zegarku: dziesięć po czwartej. Następnie położył się na pryczy i słuchał okropnych dźwięków, jakie wydaje kilkunastu chrapiących w jednym pomieszczeniu

mężczyzn. Piekły go powieki, mimo to walczył zawzięcie z sennością.

Pomóż mi, dobry Boże, modlił się w duchu. Zakochałem się w siksie!

RABIN

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W następny wtorek padało. Obudziwszy się rano, Michael wsłuchiwał się z rezygnacją w bębnienie kropel deszczu o kryty papą dach. Od czasu gdy szpiegował Ellen na plaży, nie próbował zobaczyć swojej jasnowłosej gołębicy, swej nagiej Amazonki, swojej baletnicy tańczącej w mrokach nocy; trawił czas na marzeniach o tym, co mu przyniesie wtorkowe popołudnie. Teraz już wiedział: deszcz.

Bobby Lee obrzucił swojego pomocnika przeciągłym spojrzeniem, gdy usłyszał prośbę o przygotowanie wałówki na piknik.

— A dokąd ty się wybierasz w taką pogodę?

— Może jeszcze przestanie...

— Nie przestanie — przesądził Bobby, zapakował mu jednak wałówkę.

Kiedy Michael skończył w południe pracę, deszcz zelżał co prawda, lecz wciąż padał, choć nieco drobniejszy, z przygnębiającą uporczywością, a niebo powlekała gruba warstwa brudnych chmur.

Chłopak zaplanował, że pójdzie po Ellen o drugiej, wyglądało jednak na to, że z randki nici. Nie miałyby dziewczyny dokąd zabrać.

— Szlag by to trafił! — mruknął do pajaka i sięgnął po „Dzieła” Arystotelesa. W baraku panowała zupełna cisza. Znajdowali się w nim tylko pajak, Michael i Jim Ducketts, siwowłosey kierowca, który leżał na swojej pryczy przy drzwiach i przeglądał pismo z gołymi panienkami. Miał służbę na wezwanie, więc gdy koło trzeciej rozległo się pukanie do

drzwi, zerwał się na nogi. Po chwili zwałił się z powrotem na łóżko.

— Hej! — zawołał do Michaela. — Ktoś do ciebie!

Ellen miała na sobie czerwoną pelerynę, na głowie kapiszon przeciwdeszczowy, na nogach kalosze. Jej policzki lśniły od deszczu, na rzesach i brwiach połyskiwały kropelki wody.

— Czekałam i czekałam...

103

NOAH GORDON

— Na plaży musi być zupełnie mokro.

Czuł się głupio, ale był zadowolony, że przyszła.

— Moglibyśmy pójść na spacer. Masz jakąś pelerynę?

Przytaknął.

— Wiec chodźmy.

Narzucił pelerynę i wybiegł z baraku, chwytając po drodze koszyk z wałówką. Szli obok siebie w milczeniu.

— Jesteś zły — stwierdziła Ellen.

— Wcale nie.

Skręcili na ścieżkę prowadzącą w głąb sosnowego zagajnika. Michael nie mógł się powstrzymać, żeby nie zapytać:

— Nie boisz się?

— Czego?

— Iść tam ze mną sama?

Popatrzyła na niego posmutniałym wzrokiem.

— Nie gniewaj się, postaraj się mnie zrozumieć. Przystanęli pośrodku ścieżki. Krople z gałęzi kapały im na głowy.

— Chciałbym cię pocałować — powiedział. •i — Czekam na to.

Było to dziwne przeżycie. Twarz Ellen była zimna i mokra od deszczu, a jej policzek, gdy go dotknął ustami, jędrny i pachnący czystością. Wargi miała miękkie i z lekka rozchylone. Oddała mu pocałunek.

— Wydaje mi się, że jestem w tobie zakochany — powiedział. Nie mówił tego dotąd żadnej dziewczynie.

— Nie jesteś pewien?

— Prawie tak, ale... trochę się boję. Jeszcze nigdy się tak nie czułem. Właściwie prawie cię nie znam.

— Świetnie cię rozumiem. Ja się czuję podobnie. Podała mu rękę w taki sposób, jakby mu coś powierzała, a on ujął ją mocno i nie wypuszczał, nawet w miejscach gdzie ścieżka zwązala się tak bardzo, że iść musieli gęsiego. Po jakimś czasie stanęli pod wielką sosną, której gałęzie tworzyły rozłożysty parasol. Pod drzewem grubą warstwą leżało suche igliwie. Usiedli na nim i zjedli lunch, prawie nie odzywając się do siebie. Gdy się najedli, Ellen położyła się na wznak i zamknęła oczy.

104

RABIN '

— Bardzo bym chciał położyć głowę na twoim brzuchu •— powiedział Michael.

Rozpięła haftki i rozchyliła pelerynę. Miała pod nią sweterek i szorty. Ostrożnie położy! głowę.

— Nie za ciężko ci?

— Nie.

Wyciągnęła rękę i zaczęła głaskać go po włosach. Jej brzuch był ciepły i miękki. Świat wokół nich ociekał wodą. Michael przesunął głowę i dotknął policzkiem jedwabistej skóry nagiego uda dziewczyny.

— Nie zimno ci? — zapyta! z troską. Wysunęła rękę z jego włosów i zamknęła mu usta. Jej dłoń smakowała słonawo.

Przez całe przedpołudnie następnego dnia wyciska! sok, obiera! i kroi! owoce i warzywa siedząc twarzą do wahadłowych drzwi, żeby nie uronić widoku ukochanej.

Kiedy przechodziła pierwszy raz, uśmiechnęła się do niego porozumiewawczo. Później nie miała już czasu nawet spojrzeć

w jego stronę. Kelnerki zwijały się jak w ukropie, wpadały z zamówieniami w wahadłowe drzwi, po czym w ten sam sposób wybiegały z kuchni, wysoko nad głową niosąc tacę na rozstawionych palcach jednej ręki, a bioder używały jak zderzaków do otwarcia drzwi.

Ellen wpadła jednak kilka razy do spiżarni i Michaelowi udało się szepnąć jej słówko, gdy chwyciła a to sałatki, a to grejpfruty.

— Dziś wieczorem?

— Dziś nie mogę. Zaraz po kolacji kładę się do łóżka.

Znowu wybiegła, pozostawiając go w stanie rozgorączkowania, jak garnek na buzującym ogniu.

Michael zaczynał kipieć. Co u diabła? — pomyślał. Wczoraj wyznaliśmy sobie miłość, a dzisiaj jej w głowie spanie?

Kiedy następnym razem wpadła do spiżarni, kroił cytryny z obrażoną miną. Ellen nachyliła się nad nim. Pod brodą miała miękką, ostatnią już fałdkę dziecięcego tłuszczu.

— Kładę się wcześniej, żeby obudzić się przed świtem i popływać na hotelowej plaży — szepnęła. — Miałbyś ochotę przyjść?

105

NOAH GORDON

W jej oczach płonęło podniecenie spiskowca. Miałby ochotę ją schrupać. — Jasne — odszepnął.

Jakiś owad brzęczał mu nad uchem i nie ucichał, choć wiercił niecierpliwie głową. Otworzył oczy. W baraku panowała zupełna ciemność. Michael wsunął rękę pod poduszkę.

Zawinał budzik w dwa podkoszulki i ręcznik, ponadto jego brzęczenie tłumiła dodatkowo pełna pierza wsypa, a mimo to wyłączywszy dzwonek, chłopak leżał przez chwilę i nasłuchiwał, chcąc się upewnić, czy nikogo nie obudził.

Dobiegały go jednak tylko odgłosy chrapania.

Wstał z łóżka. Kąpielówki powiesił wieczorem na jego przedniej poręczy; wymacał je w ciemności, wyszedł na dwór i tam je dopiero wciągnął. Było cicho jak makiem zasiał. Ellen czekała pod sosnowym laskiem. Wzięli się za ręce i pobiegli na plażę.

— Staraj się jak najmniej chlapać i nie krzyczeć—pouczyła go szeptem.

Skradali się jak para złodziei, czyniąc z Oceanu Atlantyckiego swój prywatny basen, do którego nikt inny nie ma wstępu. Popłynęli jedno obok drugiego prosto przed siebie. Po jakimś czasie Michael przewrócił się na plecy, Ellen zrobiła to samo i leżeli na wodzie trzymając się za ręce i patrząc w ciemne niebo, na którym lśnił nisko nad horyzontem księżyc w ostatniej kwadrze.

Po wyjściu na brzeg objęli się i stali przytuleni drząc w chłodnej bryzie. Po chwili Michael zaczął manipulować palcami we włosach Ellen.

— Co robisz?

— Rozplatom ci warkocze.

Tkwiło w nich nieprawdopodobnie wiele spinek i szpilek. Niektóre upadły na piasek.

— Te rzeczy kosztują — ostrzegła go Ellen. Nie odpowiedział jej. Wkrótce uwolnił uwite w koronę warkocze. Grube jasne sznury opadły, a kiedy dziewczyna potrząsnęła głową, rozsypały się luźno na jej białych ramionach. Michael zacisnął dłonie na gęstych puklach i zaczął ją całować. Po

106

RABIN

chwili wypuścił z rąk włosy, by dotknąć jej ciała, a wtedy Ellen oderwała się od niego.

— Przestań! — wyszeptała i złapała go za przegub dłoni.

— Ciekaw jestem, które z nas powie to pierwsze.

— Co?

— Kocham cię.

Opuściła ręce wzdłuż ciała. Nie na długo wszakże.

I tak mijало lato. W ciągu dnia Michael przygotowywał góry sałatek owocowych i wyciskał morza soków, po kolacji szedł z Ellen na spacer do lasu, a potem kładli się wcześnie spać, żeby się obudzić, kiedy cały świat smacznie śpi, pływać, całować się, pieścić i dręczyć wzajemnym pożądaniem, którego dziewczyna z sadystycznym uporem nie pozwalała ukochanemu zaspokoić.

W dni wolne zwiedzali Cape Cod. Pewnego wtorku wybrali się autostopem aż nad kanał, wracali zaś z tej wycieczki na zaprzężonym w jednego konia odkrytym wozie jakiegoś Portugalczyka, handlarza warzywami, w strugach ulewnego deszczu, nakryci śmierdzącą nawozem plandeką. Pachnąca wodą toaletową Ellen wtulała się w Michaela, a jego dłoń spoczywała między ciepłymi udami dziewczyny.

Łączącego ich uczucia nie udało się ukryć. Jednego wieczoru, kiedy Michael zmieniał białe robocze spodnie z cienkiego płótna na džinsy, przy jego pryczy zatrzymał się na sąsiedzką pogawędkę Al Jenkins.

— Słuchaj, pajęczarzu, ty naprawdę rzniesz ten sopel lodu z Radcliffe?

Michael łypnął na niego okiem, lecz nic nie odpowiedział.

— Powiedz, jaka ona jest? — zapytał głośno Al.

Jeden z chłopców z obsługi autobusów szturchnął drugiego w bok. Michael spiął się w sobie szykując się do walki. Od chłopięcych lat z nikim się nie bił i teraz zrozumiał, na kogo oszczędzał pięści. Zapiął džinsy i wolno obszedł łóżko.

— Powiedz jeszcze tylko jedno słowo! — wycedził. Jenkins zapuszcza! wąsy i Michael zamierzał go uderzyć właśnie tam, w ten jasnoblond puszek nad wykrzywionymi

w ironicznym uśmiešku wargami. Jenkins sprawił mu jednak zawód.

— Ja cię sunę! — mruknął wycofując się. — Ale ci faceci robią się tutaj drażliwi!

Chłopcy z obsługi autobusów zaczęli buczeć, lecz było oczywiste, że ich dezaprobata nie odnosi się do Michaela. Właściwie powinien poczuć się doskonale, tymczasem wychodząc kilka minut później do miasta stwierdził, że jest w nastroju pod psem. W nie lepszym samopoczuciu dotarł do apteki. Za ladą stała koścista, krostowata dziewczyna, a w głębi sklepu siedział beczynnie szpakowaty mężczyzna.

— Czym mogę panu służyć? — zapytała dziewczyna.

— Poczekam na tego pana.

Skinęła mu chłodno głową i oddaliła się od lady.

— Trzy sztuki czy cały tuzin? — zapytał obojętnie aptekarz.

Do końca sezonu pozostały jeszcze trzy tygodnie.

— Tuzin — zdecydował Michael.

Tej nocy przyszedł na spotkanie z Ellen niosąc zapinaną na suwak niebieską saszetkę.

— Masz zamiar uciec z domu? — zażartowała.

Potrząsnął saszetką, żeby usłyszała chlupot płynu w butelce.

— Przyniosłem sherry, skarbie. Napijemy się po wyjściu z wody.

— Wodzisz mnie na pokuszenie.

Popływali trochę, postali w wodzie, całując się, pieszcząc i rozmawiając szeptem o swojej miłości, po czym wyszli na brzeg. Michael pokładał nadzieję w winie, tymczasem okazało się, że Ellen nie stawia mu oporu, kiedy zaczął zdejmować jej kostium, suwak saszetki pozostał więc zapięty.

— Nie, Michael, błagam, nie! — zaczęła bronić się słabo, gdy zsuwał kostium z jej bioder.

— Proszę cię... — bełkotał Michael. — Proszę...

Stanowczym uściskiem palców powstrzymała jego rękę. Gdy go pocałowała, jej sutki dotknęły jego klatki piersiowej. ,
108

RABIN

.— O Boże! — jęknął i objął dłonią miękką ciepłą pierś. — Rozbierzemy się tylko! — wykrztusił. — Nic więcej. Chcę przytulić się do ciebie nagiej.

— Błagam cię, nie prosź mnie o to! — szepnęła. Michaela chwycił gniew.

— Czy ty myślisz, że ja jestem ze stali? Jeśli naprawdę mnie kochasz...

— Nie waz się mnie w ten sposób szantażować!

Opuściła jednak ręce i kostium zsunął się na piasek u jej stóp.

Michael zdrtwiałymi palcami ściągnął slipki. Położyli się

obok siebie na jedwabistym piasku. Chłopak badał w

ciemności ciało Ellen przeżywając drobne zaskoczenia i małe niespodzianki. Pośladki miała jędrne i gładkie, lecz znacznie mniejsze niż się spodziewał; mieściły mu się w dłoniach.

Kiedy je napięła, aż jęknął jej prosto w usta z pożądania.

Namiętność odebrała mu mowę. Sięgnął do łona Ellen, ale ona powstrzymała jego rękę.

— Nie teraz, błagam, nie teraz!

Nie wierzył własnym uszom. Chciało mu się wyć. Miał ochotę uderzyć ją w szczękę i zgwałcić. Chwycił dziewczynę za ramiona.

— Nie teraz? Więc kiedy? Kiedy, na litość boską, kiedy?!

— Jutro.

— Więc czemu nie dzisiaj?

— Postaraj się mnie zrozumieć, błagam! Potrząsnął nią lekko.

— A co tu jest do rozumienia, u diabła?

— Ja nie mam pojęcia o seksie... Jestem prawie zupełnie zielona...

Wyszeptała to tak cicho, że ledwo ją dosłyszał. Wyczuwał dłońmi drzenie jej ciała i zapragnął przytulić ją mocno, ukoić to drzenie. Poczłł wstyd i jakiś dziwny lęk. Oparł głowę dziewczyny na swoim ramieniu.

— Ellen, naprawdę?

— Chcę, żebyś mi najpierw wszystko dokładnie opowiedział, jak to będzie, niczego nie zatajając. Będę o tym myślała bez przerwy od teraz aż do jutrzejszej nocy. Wtedy będę gotowa.

109

NOAH GORDON

Stęknął.

— Ellie!...

— Opowiedz mi, błagam!

Leżeli w ciemności przytuleni do siebie, Ellen dotykała wargami jego ramienia, a Michael kreślił dłonią małe kółka w uroczym zagłębieniu u dołu jej pleców, które okazało się najmniej podniecającym punktem jej ciała, jaki udało mu się znaleźć. Po chwili zamknął oczy i zaczął opowiadać. Trwało to dość długo. Kiedy skończył, jeszcze przez kilka minut leżeli obok siebie nieruchomo. Potem ona pocałowała go w policzek, chwyciła kostium i uciekła.

Michael leżał na piasku jeszcze długo po ucichnięciu syczącego szmeru prysznic. Następnie wyjął z saszetki butelkę, odkorkowa! ją i wszedł w kipiel przyboju. Wino smakowało korkiem. Chciał odmówić broche, ale uznał, że byłoby to bluźnierstwo. Ciepłe fale obmywały jego nagie genitalia. Poczłł się jak ostatni poganin. Pociągnął długi łyk z butelki, po czym wylał trochę wina do morza, jakby czynił libację.

Ellen nie myliła się: rozmyślanie o tym, co miało nastąpić najbliższej nocy, okazało się nieustającą męką, przyczyniającą jednak wielce przyjemnych i urozmaiconych doznań. Michael trwał w stanie niespokojnego uniesienia, czekając

niecierpliwie chwili, kiedy dojrzy Ellen ze swojego stanowiska na zapleczu kuchni.

Czy jego opis nie przejął jej wstrętem, nie powiększył obaw?

Kiedy ją wreszcie zobaczył, odetchnął z prawdziwą ulgą.

Ellen wpadła po tacę soku pomarańczowego i czekając, aż ją przygotuje, nie odrywała od Michaela ciepłego, rozmarzonego spojrzenia, a nim wybiegła z kuchni, posłała ukochanemu porozumiewawczy uśmiech.

Michael uświadomił sobie wtedy, że owoc awokado, który właśnie kroił, jest oblany krwią.

Przez kilka następnych minut trwało na zapleczu kuchni małe zamieszanie. Chłopak zaciął się w opuszek palca wskazującego lewej ręki. Bólu prawie nie czuł, ale zrobiło mu się

RABIN

słabo, jak zawsze na widok krwi, choćby i cudzej. Poblądł na twarzy.

— Zaraz się tym zajmiemy — zaofiarował się Bobby Lee.

Wsadził rękę Michaela pod kran, a następnie wlał do miski ćwierć litra wody utlenionej i zanurzył w niej dłoń pomocnika, dopóki na rance nie utworzyła się musująca pianka.

W kuchni zadzwonił telefon. Po chwili pan Bousquet wetknął głowę w drzwi.

— Co się stało? — zapytał ujrzawszy krew.

— Małe rozcięcie, czyste jak pupcia niemowlęcia. Właśnie ją podcieram — odparł Bobby Lee.

— Międzymiastowa do pana, panie Kind — poinformował uprzejmie pan Bousquet.

W tym okresie życia Michaela rozmowa międzymiastowa oznaczała niechybnie jakieś ważne wydarzenie, młodzieniec zerwał się więc i pobiegł do telefonu, znacząc drogę szlaczkiem jasnoczerwonych kropel i ciągnąc za sobą

Bobby'ego Lee, który mruczał pod nosem coś, czego Michael nie rozumiał, prawdopodobnie jakieś koreańskie przekleństwa.

— Słucham?

— Halo, Michael?

— Kto mówi?

— Michael? Tu ojciec!

Bobby Lee podstawia! miszkę pod krwawiącą rękę pomocnika i odszedł.

— Co się stało?! — zawołał do słuchawki Michael.

— Jak się czujesz, synku?

— Dobrze. Czy coś się stało?

— Chcemy, żebyś jak najszybciej przyjechał do domu.

— Dlaczego?

— Jesteś tu potrzebny, synu.

Michael przycisnął słuchawkę do ucha i spojrzał na kratkę mikrofonu.

— Słuchaj, tato, powiesz mi wreszcie, co się stało, czy nie?

— Chodzi o dziadka. Przewrócił się i złamał sobie nogę w biodrze.

— W którym leży szpitalu?

— Leży w ambulatorium w swoim pensjonacie. Mają tam wszystko, co trzeba, nawet salę operacyjną. Sprowadziłem do NOAH GORDON

niego najlepszego specjalistę. Złożył dziadkowi nogę na gwóźdź. Na taki specjalny gwóźdź do łączenia kości. Wrócił Bobby Lee z jodyną i bandażami.

— No cóż, to oczywiście niedobrze, ale nie wygląda tak najgorzej. — Michael zdawał sobie doskonale sprawę, że ojciec nie zamawiałby międzymiastowej, gdyby sytuacja nie była naprawdę poważna, ale wziął nad nim górę gigantyczny obezwładniający egoizm. — Dziś już nie mogę przyjechać, ale jutro z samego rana wsiadam w pierwszy autobus.

— Koniecznie dzisiaj! — zawołał ojciec.

— Dzisiaj już nie ma autobusów! — odkrzyknął Michael.
Dopiero później, gdy poczuł prawdziwy żal, ogarnął go wstyd i opadły wyrzuty sumienia.

— Pożycz samochód albo co! On cię wzywa!

— Powiedz, jak on się naprawdę czuje?

Bobby Lee podstawiał miskę pod rękę Michaela i jodynował ranę.

— Od leżenia na plecach dostał zapalenia płuc. Ma już osiemdziesiąt siedem lat, a u osób w tym wieku w opłucnej zbiera się płyn.

Michael poczuł niemal jednocześnie przejmujący żal i ostre pieczenie jodyny. Wciągnął powietrze z syknięciem, które dotarło aż do jego ojca w Nowym Jorku.

Odpowiedziały mu jakieś dziwne dźwięki, jakich nigdy dotąd nie słyszał w słuchawce telefonu, szorstkie ochryple chlipnięcia. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że to płacze jego ojciec, Abe Kind.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nad Brooklynem zapadała już noc, gdy Michael wysiadł z taksówki i po schodach z żółtej cegły wbiegł do Domu Synów Dawida, przytułku dla starców i sierot. Pielęgniarka zaprowadziła go po brązowym lśniącem linoleum do izby chorych, gdzie w ciasnej izolatce siedział na przysuniętym do łóżka krześle Abe Kind. Roleta była opuszczona, a panujący

11 RABIN

112

w pokoju mrok rozpraszała jedynie mała nocna lampka. Górną połowę łóżka przykrywał namiot tlenowy. Przez jego przezroczyste plastikowe okienka Michael dojrzał okrytą cieniem twarz zejdę i jego białą brodę.

Ojciec podniósł wzrok na wchodzącego syna.

— Nu, Michael?

Abe był nie ogolony, oczy miał zaczerwienione, ale sprawia! wrażenie zupełnie spokojnego.

— Przykro mi, tato.

— Przykro? Nam wszystkim jest przykro. — Ojciec westchnął ciężko. — Życie to chalom, sen. Nim się w nim rozeznasz, już dobiega końca.

— Jak on się czuje?

— Twój dziadek umiera. — Ojciec nie zniżył głosu i jego słowa spadły na nich jak ciężki wyrok losu. Michael spojrzał z przestraczeniem na leżącą na łóżku postać.

— Jeszcze cię usłyszy! — szepnął.

— On już niczego nie słyszy. Nie słyszy i z niczego nie zdaje sobie sprawy — stwierdził niemal z wyrzutem ojciec, a jego zaczerwienione oczy zabłyśły.

Michael podszedł do łóżka i zbliżył twarz do celuloidowych okienek. Zejdem miał zapadnięte policzki, z nozdrzy sterczały mu nie strzyżone włoski, oczy patrzyły niewi-dząco, wargi miał spierzchnięte i spękane. Poruszały się, ale Michael nie był w stanie odczytać słów, jakie wymawiały.

— Czy on nie chce nam czegoś powiedzieć? Ojciec pokręcił przecząco głową.

— Tylko bełkocze albo gaworzy jak dziecko. Czasem wydaje mu się, że jest małym chłopcem. To znów przemawia do osób, o których w życiu nie słyszałem. Ale przeważnie śpi. Ostatnio coraz dłużej... Wczoraj wciąż tylko ciebie wzywał. O mnie nawet nie wspomniał.

Zamilkli obaj i zamyślili się, gdy stukając obcasami wróciła z kolacji pani Kind.

— Jadłeś coś? — spytała i pocałowała syna. — Przecznice stąd jest zupełnie przyzwoity bar. Chodź, zaprowadzę cię, dają tam smaczną zupę.

— Niedawno jadłem — skłamał Michael.

Rabii

NOAH GORDON

Gawędzili chwilę, ale rozmowa się nie kleiła; nic się nie liczyło wobec tego umierającego starca na łóżku. Pod oknem stało drugie krzesło i matka na nim usiadła. Michael stał, przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę. Ojciec zaczął wyłamywać sobie palce.

Najpierw u jednej ręki:

Chrup.

Chrup.

Chrup.

Chrup.

Chrup.

Potem u drugiej:

Chrup.

Chrup.

Chrup.

Chrup.

Kciuk nie wydał żadnego dźwięku i Abe zaczął się z nim zapamiętale zmagać.

— Oj, dałbyś spokój, Abe! — matka wzdrygnęła się z odrazą. Następnie spojrzała na rękę syna i krzyknęła na widok jego zabandażowanego palca. — Co ci się stało w rękę?

— Głupstwo, małe skaleczenie.

Dorothy uparła się jednak, że chce je obejrzeć, a potem tak długo molestowała syna, aż zgodził się pójść z nią do mieszczącego się w głębi korytarza gabinetu doktora Benjamina Salza, który okazał się łysiejącym mężczyzną w średnim wieku, nosił angielski wąsik, leżał w koszuli na kanapie i czytał postrzępiony egzemplarz „Esquire'a”.

Kiedy pani Kind wyjaśniła mu powód wizyty, podniósł się ciężko, obejrzał niechętnie palec Michaela, po czym założył

mu zgrabnie dwa szwy. Ból, do którego chłopak zdążył się już przyzwyczać, po założeniu szwów znowu się nasilił.

Kiedy Dorothy wypytywała doktora Salza najpierw o ranę Michaela, a potem o stan jego dziadka, lekarz pozerkiwał tęsknie w stronę „Esquire'a”. Michaelowi zalecił okłady z soli • gorzkiej. Trudno powiedzieć, jak długo pożyje pan Rywkind. 'i — To krzepki staruszek. Może jeszcze pociągnąć. ' Kiedy wrócili do izolatki, Abe spał. Usta miał rozchylone, ; twarz szarą jak popiół. Po upływie godziny Michael poprosił

114

matkę, żeby wezwała taksówkę i pojechała do domu. Udało mu się ją w końcu namówić, gdy stwierdził, że chciałby zostać przy dziadku, a nie ma na czym siedzieć. Pojechała o wpół do jedenastej. Michael przysunął krzesło do łóżka, usiadł na nim i przyglądał się dziadkowi. Palec rwał go w regularnych odstępach czasu, ojciec chrapał, w namiocie tlenowym cicho syczał tlen, a w płucach zejde chlupotał płyn i powoli Izaaka zatapiał.

O północy Michael zapadł w drzemkę. Obudził go słaby głos powtarzający w jidysz jego imię.

— Michełe? Michełe? — I jeszcze raz: — Michełe?

Michael domyślił się przez sen, że to Izaak woła małego Micheła Rywkinda, a ponieważ on nazywa się Michael Kind, więc nie musi odpowiadać. W końcu ocknął się jednak i nachylił nad celuloidowym okienkiem.

— Tak, dziadku?

Gałki oczne Izaaka wywracały się okropnie. Czyżby dziadek miał umrzeć tylko w jego, Michaela, obecności? Chłopak chciał budzić ojca, biec po lekarza, zamiast tego rozpiął jednak tylko suwak z boku namiotu tlenowego, wsunął się po pas do środka i wziął dziadka za rękę. Była miękka i ciepła, a przy tym sucha i lekka jak papier ryżowy.

— Cześć, zejde.

— Michele — wyszeptał starzec. — Ich sztarbl Oczy miał szkliste. Więc zdawał sobie sprawę, że umiera! Może słyszał wcześniejsze rozmowy? Michaela porwał gniew na chrapiącego ojca za to, że skrył się samolubnie w uczuciu żalu i wyrzutów sumienia, wmówiwszy sobie, że staruszek jest już trupem głuchym na słowa żyjących.

W głębi szklistego spojrzenia Izaaka coś zabłysło, zamigotało. Michael nie od razu uświadomił sobie, że uczuciem, jakie pojawiło się w oczach jego dziadka, jest strach. Zejdę się bał! Choć całe życie spędził na poszukiwaniu Boga, teraz, gdy stanął na progu śmierci, ogarnęło go przerażenie. Michael tak mocno ścisnął dłonie starca, aż chrupnęły kostki kruche niczym ości wysuszonego rybiego szkieletu, zwolnił więc uścisk, zląkłszy się, że może je połamać.

NOAH GORDON

— Nie bój się, dziadku — szepnął w jidysz.—Jestem przy tobie! Już nigdy cię nie opuszczę!

Powieki starca opadły. Jego wargi poruszyły się jak usta niemowlęcia.

— Nigdy cię nie opuszczę — powtórzył Michael i zrozumiał zaraz, że to zapewnienie nie zdoła wymazać tych wszystkich lat, w czasie których staruszek przemierzał samotnie długie, wyłożone lśniącym brązowym linoleum korytarze, mając za najbliższego przyjaciela butelkę kanadyjskiej whisky. Kiedy tak trzymał dziadka za rękę, Izaak zaczął majaczyć jak w malignie. Rozmawiał z ludźmi, którzy odcisnęli ślad na jego życiu i w pamięci. Czasem wybuchał szlochem. Michael nie ocierał łez z pomarszczonych policzków, uznawszy, że osuszanie ich byłoby naruszeniem prywatności dziadka. Starzec przeżywał ponownie swój spór z Dorothy, który doprowadził do jego wyprowadzki z ich domu. Pieklił się i pomstował na siostrę Michaela, Ruthie, i tego małego chrześcijańskiego łobuziaka, Joeya Morello. Nagle z całej siły

ścisnął palce wnuka. Otworzył szeroko oczy i wbił w niego nateżone spojrzenie.

— Spłodź wielu synów, Michełe — wyszeptał. — Wielu jidysze synów!

Zamknął powieki i przez jakieś pięć minut zdawał się spać spokojnie. Oddychał równo, a na jego policzki wystąpiły rumieńce.

A potem znowu otworzył oczy i porwał go taki gniew, że omal nie wyskoczył z łóżka. Usiłował coś krzyknąć, lecz zabrakło mu tchu i z gardła wydobył mu się tylko ochryply szept.

— Tylko nie z sikszą! — wychrypiał. — Nie z sikszą!!

Jego palce niczym szpony wczepiły się w rękę wnuka.

Powieki opadły, a twarz wykrzywił komiczny niemal grymas.

Na pergaminowe policzki uderzyła krew, zabarwiając je na kolor czarnoszary. A potem zejdę upadł na plecy i przestał oddychać.

Michael wyswobodził palce z uścisku jego dłoni i wysunął barki spod namiotu tlenowego. Stojąc pośrodku pokoju drżał na całym ciele i masował obandażowany palec. Potem podszedł do ojca, który chrapał z głową opartą o ścianę. We śnie

116

RABIN

sprawił wrażenie zupełnie bezbronny. Chłopak zauważył po raz pierwszy, jak bardzo w ostatnim czasie upodobił się do dziadka. Garb nosa uwydatnił mu się z wiekiem, a łysina czołowa wkraczała już na czaszkę. W szczecinie zarostu więcej było bieli niż szarości; jeśli nie będzie się golił przez tygodniowy okres sziwym, wyrośnie mu broda. Michael dotknął ramienia ojca.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Uroczystości pogrzebowe odprawiono w kaplicy Domu Synów Dawida. Mowę pogrzebową wygłosił starzejący się i cierpiący na astmę ortodoksyjny rabin, po czym kondukt limuzyn ruszył w długą podróż na zatłoczony cmentarz na Long Island. Zjawiło się tam wielu sędziwych pensjonariuszy Domu Synów Dawida. Siedząc pomiędzy matką i ojcem w wynajętym, pachnącym wieńcami pogrzebowymi samochodzie, Michael przyglądał się mijanym ulicom i zastanawiał, ile też razy jego dziadek przemierzał tę drogę, żeby pożegnać odchodzących kolegów.

Izaaka pochowano w prostej drewnianej trumnie, jak się godzi pobożnemu Żydowi, do której włożono nowy, oprawny w kość słoniową modlitewnik i garść ziemi z Erec Israel.

Michael pochowałby raczej dziadka z jego starym postrzępionym sidurem, z którego modlił się przez tyle lat, a zamiast garstki ziemi obiecannej włożyłby mu do trumny torebkę kandyzowanego imbiru i butelkę whisky. Kiedy rabin rzucił na trumnę pierwszy szpadel gliny, pod ojcem Michaela ugięły się kolana. Żona i syn musieli go podtrzymywać, gdy rabin odcina! czarną kokardkę, przypiętą do klapy jego marynarki. Abe odmówił kadsz głosem przerywanym przez szloch. Dorothy odwróciła głowę i pochlipywała jak mała dziewczynka.

Siedmiodniowy okres szivy spędzili w mieszkaniu.

Wieczorem drugiego dnia żałoby wróciła z Palestyny siostra Michaela, Ruthie. Nie uprzedzili jej telegraficznie, więc na widok zasłoniętych luster wpadła w histerię, budząc na nowo

117

NOAH GORDON

rozpacz i łzy rodziców. Z wolna jednak wszyscy się uspokoili. Przez ich mieszkanie przewalały się codziennie tabuny ludzi, z których każdy przynosił coś do jedzenia, więc trzeba to było wieczorem wyrzucać. Większość bliskich przyjaciół dziadka

już nie żyła; Kindów odwiedzali znajomi, sąsiedzi, pracownicy i klienci Abe'a. Znosili ciasta, owoce, siekaną wątróbkę, zrazy na zimno, orzechy i słodczyce. Pojawiła się też Mimi Steinmetz i wyściskała Michaelowi rękę, podczas gdy jej ojciec radził jego ojcu, żeby opłacił stałą opiekę nad grobem, bo nie trzeba wtedy troszczyć się co roku o różne drobiazgi i ma się święty spokój.

Michael nie przestawał myśleć o tym, co mu zejść powiedział przed śmiercią. Zdawał sobie sprawę, że takich właśnie pouczeń należało od staruszka oczekiwać, więc jego zakaz nie odnosił się specjalnie do Ellen Trowbridge. Dręczyło go jednak, że Izaak umarł przepelniony lękiem przed śmiercią i przed chrześcijanami, choć ta pierwsza była nieuchronna, a ci drudzy nie mieli go już nigdy więcej prześladować. Próbował tłumaczyć sobie, że dziadek był starym człowiekiem, przeżytkiem nie istniejącego już świata. Wieczorem piątego dnia, kiedy rodzice i goście siedzieli w salonie i słuchali opowiadań Ruthie o zbiorze pomarańcz w Rehovob, poszedł do kuchni i zdjął z widełek słuchawkę telefonu. Po drugim sygnale zgłosił się operator.

— Chciałbym zamówić międzymiastową — powiedział Michael.

— Z jakim numerem chce pan rozmawiać?

W tym momencie weszła do kuchni Dorothy Kind.

— Nastawię wodę na herbatę — oznajmiła. — Och, odetchnę, kiedy to wszystko nareszcie się skończy! Dzień i noc, dzień i noc obcy ludzie w domu! Michael odłożył słuchawkę.

Pierwszego wieczora po tygodniu żałoby wybrali się całą rodziną na obiad do restauracji. W połowie drugiego dania Michael stwierdził, że nie jest w stanie przełknąć następnego kawałka steku. Przeprosił i wyszedł z sali. U kasjera rozmienił trzy dolary na drobne, po czym wszedł do rozmównicy

telefonicznej, usiadł na wąskiej ławeczce, oparł czoło o szybę i siedział tak nie zamawiając rozmowy.

118

RABIN H

Kiedy nazajutrz matka poprosiła go, żeby nie wracał już do hotelu, poczuł ulgę.

— Przydasz się ojcu — wyjaśniła.

Michael zadzwonił do nowojorskiego biura hotelu „Piaski” i poprosił, żeby wypłatę przysłano mu czekiem. Należało mu się czterysta dwadzieścia sześć dolarów i dziewiętnaście centów.

Ojciec wrócił do pracy i Michael prawie go nie widywał. Chodził na długie spacery, zaczął odwiedzać małe kina, w których wyświetlano stare filmy. Kiedy przyszła pora, zapisał się na uniwersytet. Trzeciego dnia studiów znalazł w swojej skrytce pocztowej na kampusie list od Ellen Trowbridge, krótki, przyjazny, ale nieco chłodny. Nie pytała, czemu się z nią nie skontaktował, podała mu jedynie adres swojego akademika, na wypadek gdyby chciał się do niej odezwać, i wyraziła mu współczucie z powodu śmierci dziadka. Michael schował list do portfela.

W dwa dni później wybrał się na kawalerski wieczorek zapoznawczy do lokalu konfraterni przy Sto Czternastej Ulicy. Wypił cztery drinki i zdecydował, że nie wstąpi do tego stowarzyszenia, ponieważ mieszkać miał i tak u rodziców, a konfratry nie wydali mu się szczególnie interesujący. Opuścił przyjęcie i poszedł piechotą do domu. Po drodze wstąpił do małego baru i zamówił kieliszek whisky bez wody. Potem wypił jeszcze dwa, wspominając butelkę, którą zejdę chował w beczce z fasolą. Po wyjściu z baru powlókł się pieszo na kampus. Obszedł bibliotekę Butlera i usiadł na kamiennej ławce obok pluszczącej fontanny. W żadnym budynku nie paliły się już światła, oprócz biblioteki za plecami Michaela i

gmachu dziennikarstwa. Przed nim majaczył niczym golem pomnik Johna Jaya. Michael wyjął z portfela list Ellen i starannie przedarł go na pół, a potem jeszcze i jeszcze raz na pół, aż na beton u jego stóp spadły drobne kawałki papieru. Usłyszał czyjś płacz i uświadomił sobie, że to on sam płacze. Po schodach biblioteki zeszły jakieś dwie dziewczyny. Przystanąły przed nim i zaczęły mu się przyglądać. — Może jest chory? — odezwała się jedna. — Może powinniśmy zawołać policjanta? Jej koleżanka podeszła do Michaela.

119

NOAH GORDON

— Uważaj, Evelyn! — ostrzegła ją pierwsza.

Jakie to upokarzające, pomyślał.

Dziewczyna zajrzała mu w twarz. Nosiła okulary. Miała zajęcze zęby i piegi. Niebieski mechaty sweter. Pociągnęła nosem i skrzywiła się.

— Pijany w sztok! — obwieściła. — Urznął się na smutno. Dziewczęta zniknęły w ciemności z wyniosłym stukiem obcasów.

Okularnica miała rację, urznął się na smutno. Nie płakał dlatego, że zejść leżał pod ziemią, ani dlatego, że bał się kochać Ellen Trowbridge. Płakał, bo wolałby, żeby wiatr zwiewał strzępki listu w stronę Amsterdam Avenue, a tymczasem zmiatało je w stronę Broadwayu. Po chwili wiatr zmienił kierunek i strzępki pofrunęły w pożądanym kierunku. Michael szlochał jednak dalej. Przynosiło mu to ulgę.

druga

Na pustyni

WOODBOROUGH, MAS SACHUSETTS Listopad 1964 roku

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Pielegniarka dyplomowana Mary Margaret Sullivan opuściła z westchnieniem szeroki zad na siedzenie krzesła za biurkiem w gabinecie przełożonej pielęgniarek, po czym sięgnęła na półkę z aktami po oprawną w metalowe okładki kartę. Przez kilka minut jej pióro skrzypiało po papierze. Opisywała zajście, do jakiego doszło na oddziale leczenia depresji: pacjentka Felicja Serapin uderzyła mianowicie inną pacjentkę butem w twarz. Napisawszy raport, Mary Margaret Sullivan spojrzała w zamyśleniu na dzbanek do kawy i maszynkę elektryczną, które stały na szafce po przeciwnej stronie gabinetu. Zdecydowała właśnie, że kawa nie jest warta trudu dźwignięcia ciężaru ciała z siedzenia krzesła, gdy w drzwiach ukazała się głowa rabina Michaela Kinda.

— O, żydowski księżulek!

— Jak się pani miewa, Maggie?

Rabin wszedł do gabinetu niosąc przed sobą stos książek. Pielęgniarka podniosła się z wysiłkiem i podeszła do szafki po dwie filiżanki, wkładając po drodze do kontaktu wtyczkę maszynki elektrycznej. Postawiła filiżanki na biurku i wsypała do nich brązowy proszek ze słoika, który trzymała w najwyższej szufladzie biurka.

— Niestety, nie mam czasu na kawę. Chciałbym zostawić te książki dla mojej żony.

— Jest teraz na terapii zajęciowej, jak zresztą całe prawie towarzystwo. — Pielęgniarka opuściła z powrotem na krzesło

123

NOAH GORDON

obfite poicie swego zadu. — Mamy na oddziale nową żydowską pacjentkę. Może uda się panu z nią przywitać. Hazel Birnbaum, mężatka. Biedactwu ubzduralo się, że wszyscy na nią dybią. Schyzio.

— Na której leży sali?

— Pod siedemnastką. Nie napiłby się pan przedtem kawy?

— Nie, dziękuję, najpierw do niej zajrzę. Potem, jeśli zostanie mi chwilka, chętnie kupię od pani filiżankę.

— Potem będzie już wypita. Widziałam już u nas księdza kapelana.

Uśmiechając się do siebie rabin przeszedł przez niemal wyludniony oddział. Wszystko tu było przygnębiająco czyste: rezultat pracy pacjentów.

Na łóżku pod siedemnastką leżała jakaś kobieta.

Jej ciemne zmierzwione włosy rozsypały się na białej poduszce. Mój Boże, pomyślał, jakąż ona podobna do mojej siostry Ruthie!

— Pani Birnbaum? — zapytał z uśmiechem. — Nazywam się Michael Kind, jestem rabinem.

Ogromne niebieskie oczy błysnęły oskarżycielsko, po czym ich spojrzenie przeniosło się z powrotem na sufit.

— Chciałem się tylko przywitać. Czy mógłbym coś dla pani zrobić?

— Proszę odejść! Niczego od pana nie potrzebuję.

— Dobrze, już mnie nie ma. Zachodzę na ten oddział od czasu do czasu, może się jeszcze spotkamy.

— Mort pana przysłał! — stwierdziła.

— Ależ skądże! Nawet go nie znam.

— Niech mu pan powie, żeby zostawił mnie w spokoju! W spokoju!!

Proszę, nie krzycz, poprosił w duchu, wobec takiego krzyku jestem bezbronny.

— Zajrzę do pani niedługo, pani Birnbaum.

Stopy miała nagie, a na oddziale było chłodno. Rabin podniósł zmięty w nogach łóżka szary koc i przykrył jej nogi, ale chora się natychmiast rozkopała jak małe rozkapryszone dziecko.

Michael wyszedł z sali.

Pokój Leslie znajdował się dalej, za zakrętem korytarza. Rabin położył książki na łóżku żony, po czym napisał druko-

RABIN

wanymi literami na wyrwanej z notesu kartce: „Przyjdę jeszcze raz po południu. Nie zastałem Cię, bo byłaś na terapii zajęciowej. Mam nadzieję, że zajmujesz się tam pożytecznymi zajęciami, jak na przykład cerowanie męskich skarpetek. Pa!” Po drodze do wyjścia zajrzał do gabinetu Maggie, żeby się z nią pożegnać, pielęgniarce jednak nie zastał. Z czajnika wydobywał się sęp pary i zraszał sufit. Rabin wyjął wtyczkę maszynki z kontaktu. Doszedł do wniosku, że ma czas i nalał wrzątku do filiżanki.

Sącząc kawę, sporządził listę spraw do załatwienia.

„SZPIT. OGÓL. WOODBOROUGH:

Susan Wreshinsky na połów, (chłop., dziew.?) Złożyć życzenia mazel tow.

Lois Gurwitz (wnucz. p. Leibling), wyrost, rób.

Jerry Mendelsohn, noga.

BIBLIOTEKA PUBL.:

Zamówić biografię Bialika.

Mikrofilm z reportaży «NY Timesa» na temat żydowskich bojówek w dzielnicach z napięciami etnicznymi. Do kazania". Jego błądzący w zamyśleniu wzrok padł na stojącą w szafce z aktami teczkę opatrzoną imieniem i nazwiskiem żony. Ręka sama mu się po nią wyciągnęła. Po chwili wahania otworzył metalową okładkę. Pociągnął kolejny łyk kawy i zaczął czytać. „Szpital Stanowy w Woodborough. Pacjent: Pani Leslie (Rawlings) Kind. Historia choroby przedstawiona na zebraniu personelu dn. 21 grudnia 1964 r. Diagnoza: melancholia inwolucyjna.

Pacjentka jest atrakcyjną, dobrze zbudowaną, czterdziestoletnią białą kobietą o wyglądzie świadczącym o dobrym stanie fizycznym. Włosy ciemnoblonde. Wzrost 172 cm, waga 65 kg.

Przywieziona do szpitala 28 sierpnia 1964 r. przez męża. Zaburzenia przed hospitalizacją typowe dla «neurastenii». Chora skarżyła się, że «wszystko jest ponad jej siły», że «łatwo się męczy», zarówno umysłowo, jak i fizycznie, że jest «cią-gle poirytowana, niespokojna*», wreszcie że «cierpi na bezsenność*».

125

NOAH GORDON

W czasie pierwszych jedenastu tygodni pobytu w szpitalu pacjentka nie nawiązywała kontaktu werbalnego. Wydawało się niejednokrotnie, że miałyby ochotę się rozpłakać, lecz nie jest w stanie przynieść sobie w ten sposób ulgi.

Mowa powróciła po drugim z serii dwunastu zabiegów leczenia elektrowstrząsami, z których dziewięć dotychczas wykonano. Tioradyzyna zdaje się przynosić pacjentce znaczną objawową ulgę. Zastępujemy ją obecnie pyrrolazotem, podawanym w dawkach zwiększanych stopniowo aż do 200 mg a.i.d.*

Spowodowana kuracją amnezja sprawia wrażenie ograniczonej do minimum. W rozmowach z terapeutą w ubiegłym tygodniu pacjentka ujawniła, iż zachowywała milczenie z powodu niechęci do dzielenia z kimkolwiek poczucia winy, wynikłego z wrogiego nastawienia do ojca, oraz świadomości, że jest niedobłą żoną i matką, ponieważ miała przedmałżeński kontakt seksualny, jeszcze na studiach w college'u, przeszło dwadzieścia lat temu. Opowiedziała o tym mężowi przed ślubem i nie pamięta, aby dręczyły ją później z tego powodu wyrzuty sumienia czy nawet wspomnienie tamtego incydentu; zaczęło się to dopiero przed kilkoma miesiącami. Choć zachowała pamięć o tym niedawnym pojawieniu się uczucia winy, wywołanym przez młodzieńcze doświadczenie seksualne oraz późniejszą utratę

miłości ojca, obecnie już jej ono nie prześladowuje. Pacjentka sprawia wrażenie spokojnej i pozytywnie nastawionej. Swoje pożycie małżeńskie uważa za satysfakcjonujące. Jej cykl menstruacyjny od blisko roku cechowała nieregularność. Obecna choroba, niepokój i pobudzenie to najwyraźniej depresja z urojeniami związana z przekwitaniem.

Pacjentka, córka duchownego kongregacjonistów, przed poślubieniem osiemnaście lat temu swojego obecnego męża, który jest rabinem, przeszła na judaizm. Wydaje się, że jej przywiązanie do religii żydowskiej jest silne, a poczucie winy wypływa nie tyle z porzucenia wiary chrześcijańskiej, ile raczej z jej subiektywnego przeświadczenia o zdradzie wobec ojca. Pacjentka, wychowana w domu, w którym kierowano się

na co
* Quater in die (łac.), termin medyczny — cztery razy dziennie.

126

RABIN

dzień naukami Biblii, po ślubie zaczęła studiować Talmud, zyskując sobie, wedle opinii jej męża, przyjaźń i podziw uznanych autorytetów szkół rabinicznych.

Jej życie rodzinne cechuje typowa dla rodzin duchownych tymczasowość i niestabilność, a że mąż ma surowe wymagania wobec członków własnej gminy, stwarza to niewątpliwie znaczne obciążenia emocjonalne tak dla pacjentki, jak i dla jej małżonka.

Pomimo to rokowanie w tym przypadku jest pomyślne. Zalecałbym wypisanie pacjentki ze szpitala po dwunastym zabiegu elektrowstrząsów. Byłoby wskazane, aby kontynuowała leczenie pod opieką psychiatry, który mógłby przeprowadzać z nią okresowe sesje psychoterapeutyczne — jeśli to możliwe z zastosowaniem wobec męża terapii podtrzymującej.

(odręczny podpis) dr n. med. Daniel L. Bernstein
starszy psychiatra".

Michael zabierał się do lektury następnego raportu
lekarskiego, gdy spostrzegł przyglądającą mu się od progu
Maggie.

— Chodzi pani tak cicho, jakby nosiła pani tenisówki —
powiedział.

Pielegniarka podeszła słoniowatym krokiem do biurka, wyjęła
rabiemu z ręki akta Leslie i odstawiła je na półkę.

— Wstydziłby się pan! Jeśli chce pan uzyskać informacje o
stanie żony, powinien pan zapytać jej lekarza!

— Ma pani rację, Maggie — przyznał skruszony.

Kiedy się z nią pożegnał, skinęła mu tylko ozieble głową.

Michael wsunął notes do kieszeni, wyszedł z gabinetu i
oddalił się szybko zbyt czystym korytarzem, napełniając go
głuchym echem swoich kroków.

W cztery dni później dostał list od Leslie.

33Najdroższy,

kiedy następnym razem zajdziesz do gabinetu kapelana
szpitalnego, zorientujesz się, że z Twojego biurka zniknął
egzemplarz Kabały. Namówiłam doktora Bernsteina, żeby

127

NOAH GORDON

włamał się tam za pomocą wytrycha i przyniósł mi tę książkę.
Sprawcą kradzieży był więc on, ale mózgiem tego włamania
byłam ja. Kochany Max Gross twierdził zawsze, że dopiero
człowiek po czterdziestce jest zdolny do przyswojenia sobie
kabalistycznego mistycyzmu. Jakże byłby zaskoczony, gdyby
się dowiedział, że ja — zwykła kobieta! — zmagam się z nim
już od dziesięciu lat.

Spotykam się regularnie z doktorem Bernsteinem na — jak Ty
je nazywasz — sesjach «psycho-licho». Co do mnie, nigdy już
niestety nie będę tak zadufana w sobie, by kręcić nosem na

psychoterapię. Choć to dziwne, zapamiętałam niemal wszystko z okresu choroby. Bardzo pragnę podzielić się tym z Tobą, a wydaje mi się, że łatwiej mi to przyjdzie w liście — nie dlatego bym Cię nie dość kochała, aby mówić o tym patrząc Ci w oczy, lecz dlatego że jestem zbyt wielkim tchórzem i nie mam pewności, czy odważyłabym się wyrazić w słowach wszystko, co powinnam.

Zapiszę je więc teraz, zanim opuści mnie odwaga. Jak wiesz doskonale, przez ostatni rok nie było ze mną najlepiej. Nie wiesz tylko — bo nie potrafiłam się zdobyć, by Ci o tym powiedzieć — że od miesiąca przed dniem, w którym odwiozłeś mnie do szpitala, na dobrą sprawę nie spałam. Bałam się zasnąć, bałam się dwóch snów, które nieustannie mnie dręczyły, jakbym wjechała wagonikiem do Pieczary Grozy w jakimś wesołym miasteczku i nie mogła się stamtąd wydostać.

Akcja pierwszego z nich rozgrywała się w saloniku na plebanii przy Elm Street w Hartford. Każdy najdrobniejszy szczegół widziałam w tym śnie tak wyraźnie, jakbym go oglądała na ekranie telewizora. Widziałam zniszczoną otomanę obitą pąsowym pluszem i dwa obciążone welurem fotele od kompletu nakryte frywolitkowymi serwetkami, którymi pani Payson obdarowywała co roku ojca z nie znoszącą sprzeciwu regularnością. Widziałam wydeptany orientalny chodnik i politurowany mahoniowy stół do kawy, na którym pod szklanym kloszem stały dwa obtłuczone porcelanowe kanarki. Widziałam wiszące na ścianach ozdoby: ręcznie podmalowaną fotografię Wallace'a Nuttinga, na której leniwie ciekący strumyk wije się dzielnie po łące koloru musztardy,

128

RABIN i

rycinę z typografii Curriera i Ivesa przedstawiającą łyżwiarzy na ślizgawce, oprawiony w ramkę bukiet skomponowany przez moją babkę z pukli włosów zebranych po moich pierwszych postrzyżynach, nad wielkim zaś marmurowym kominkiem, na którym nigdy nie zapalano ognia, makatkę z wyhaftowanym napisem:

«Ozdobą domu — ład
Błogosławieństwem — błogość
Zasługą — gościnność
Koroną domu — pobożność*»).

Był to najszpetniejszy pokój, jaki kiedykolwiek udało się urządzić bogobojnym, lecz ubogim parafianom.

Równie wyraźnie widziałam znajdujące się w saloniku osoby. Moją ciotkę Sally, chudą, posiwiałą, wycieńczoną troską o mnie i ojca, jakiej jej przysparzaliśmy od śmierci mojej matki, bez pamięci zakochaną w swoim owdowiałym szwagrze, co dostrzegali wszyscy wokół prócz niego jednego, biedaczyska. I mojego ojca. Włosy już wtedy miał białe, a różowe policzki tak gładkie jak żaden inny mężczyzna. Mój ojciec nigdy nie był ogolony. Widziałam jego oczy, jasnoniebieskie, o spojrzeniu tak przenikliwym, że przewiercało cię na wskroś, docierając aż do ukrytego we wnętrzu głowy kłamstwa.

Widziałam też samą siebie: kościstą, niezgrabną, dwunastoletnią mniej więcej dziewczynkę w okularach w drucianej oprawce (aż do szkoły średniej byłam krótkowidzem).

We wszystkich snach mój ojciec stoi w tym obskurnym pokoju przed kominkiem, patrzy mi prosto w oczy i wypowiada słowa, które w sobotnie wieczory po kolacji musiał do nas wygłosić co najmniej osiemset razy:

«Wierzymy w Boga Ojca, którego mądrość, dobroć i miłość są bezgraniczne, oraz w Jezusa Chrystusa, Jego Syna, a naszego Pana i Zbawiciela, który dla naszego zbawienia narodził się i

umarł, a potem zmartwychwstał do życia wiecznego, i w Ducha Świętego, który objawia nam Jego zamiary, pociesza i oczyszcza dusze ludzi i zsyła na nie łaskę».

9 Rabin

129

NOAH GORDON

Następnie ta scena w moim śnie ciemniała, jak gdyby ojciec był telewizyjnym kaznodzieją, którego kazanie przerwano na czas reklam, a ja budziłam się w naszym małżeńskim łóżku czując dreszcze i chodzące mi po skórze ciarki, jak zawsze bywało, kiedy ojciec patrzył mi głęboko w oczy i opowiadał, że Jezus umarł za mnie na krzyżu.

Początkowo nie przywiązywałam większej wagi do tego snu — ostatecznie wszyscy jakieś miewamy — ale ten zaczął mi się śnić co kilka nocy. Widziałam w nim zawsze nasz ohydny pokój, a mój ojciec patrzył mi w oczy i mówił te same słowa. Nie wstrząsnęło to moją żydowską wiarą. Dla mnie to sprawa zamknięta. Nawróciłam się wyłącznie dla Ciebie, ale należę do tych szczęśliwców, którzy odnaleźli w nowej wierze coś więcej. Nie potrzebuję już do tego wracać.

Zaczęłam się jednak zastanawiać, czym musiało być dla mojego ojca odrzucenie przeze mnie wszystkiego, co mi wpajał, i przejście na judaizm. Wyobraziłam sobie, czym byłoby dla Ciebie, gdyby jedno z naszych dzieci postanowiło zmienić wyznanie i zostało na przykład katolikiem. Leżałam w łóżku, patrzyłam w ciemny sufit i myślałam, że mój ojciec i ja staliśmy się sobie niemal zupełnie obcy, a pamiętałam przecież, jak bardzo go kochałam, kiedy byłam mała.

Ten sen prześladował mnie już długo, gdy pojawiła się następna nocna zmora: mam dwadzieścia lat, siedzę w zaparkowanym na polnej drodze niedaleko kampusu Wellesley kabriolecie i jestem całkiem naga.

Podobnie jak w pierwszym śnie, i w tym szczegóły i doznania były jak żywe. Nie pamiętam nazwiska chłopaka (na imię miał Roger), ale widziałam dokładnie jego twarz, podnieconą, młodzieńczą i trochę wystraszoną. Miał krótko ostrzyżone włosy i niebieską bluzę futbolową drużyny «Leve-rett House» z białym numerem: 42. Jego spodenki do tenisa i bielizna leżały zmięte na podłodze samochodu na kupce mojego ubrania. Przyglądałam mu się z wielkim zainteresowaniem: był pierwszym nagim mężczyzną, jakiego widziałam. Nie czułam miłości, pożądania ani nawet sympatii. Przyczyną, która spowodowała, że nie potrzebował mnie wcale namawiać, bym pozwoliła zaparkować wóz w tym ciemnym miejscu i dała się rozebrać do naga, była nurtująca mnie

130

RABIN f

ciekawość tych rzeczy i determinacja, by je wreszcie poznać. Moja ciekawość została zaspokojona, kiedy leżałam wtłoczona potylicą w drzwiczki auta, z policzkiem wciśniętym w oparcie z popękanej skóry, a ten chłopak dobierał się do mnie z niezdarną pilnością, z jaką angażował się pewnie w szkolne mecze futbolu, a potem poczułam ból, kiedy rozdarł mnie jak strączek grochu.

Gdzieś w oddali szczekał pies, chłopak również wydał jakiś dźwięk, jakby chrząknięcie, a ja poczułam się jak spluwaczka. Słuchałam dolatującego z oddali szczekania psa i uświadamiałam sobie, że mnie oszukano, że w tym nie ma nic poza żalonym pogwałceniem intymności.

A kiedy budziłam się w naszej ciemnej sypialni i stwierdziłam, że leżę obok Ciebie, w naszym łóżku, chciałam Cię obudzić, prosić o przebaczenie i zapewnić, że tamta głupiutka dziewczyna z kabrioletu już nie żyje, a kobieta, którą się stałam, miała tylko jednego kochanka: Ciebie. Ale

zamiast tego leżałam tak do rana, drżałam i nie mogłam zasnąć.

Te sny wciąż powracały — na przemian: raz jeden, raz drugi. Powracały tak często, że zaczęły mi się w końcu mieszać z realnym życiem, aż zupełnie straciłam rozeznanie, gdzie się kończy sen, a zaczyna jawa. Kiedy mój ojciec patrzył mi w oczy i mówił o Panu Bogu i Jezusie, wiedziałam — choć miałam dopiero dwanaście lat — że widzi już we mnie wiarołomczynię, i pragnęłam umrzeć. Miesiączka opóźniła mi się aż o pięć tygodni i kiedy pewnego popołudnia zaczęłam krwawić, zamknęłam się w łazience, usiadłam na brzegu wanny i dygotałam jak w febrze, gdyż płakać nie byłam w stanie. Już nie wiedziałam, czy jestem uczennicą, która cieszy się z powodu pierwszego okresu, czy pulchną czterdziestoletnią mężatką, szczęśliwą, że nie będzie miała dziecka, którego nie Ty byłbyś ojcem.

W ciągu dnia nie byłam w stanie patrzeć Ci w oczy i unikałam pocałunków dzieci. Nocami leżałam zeszywniała na łóżku i szczypałam się w ramię, żeby nie zasnąć i nie śnić.

Potem zawiozłeś mnie do szpitala i zostawiłeś tam, a ja uznałam to za słuszne, gdyż okazałam się złą, więc powinno się mnie zamknąć i skazać na śmierć. I czekałam, kiedy mnie zabiją, dopóki nie poddali mnie terapii elektrowstrząsami

131

NOAH GORDON

i zamazane kontury mojego świata zaczęły się na powrót wyostrzać.

Doktor Bernstein poradził mi, żebym Ci opowiedziała o tych snach, jeśli uznam to za ważne. Jest zdania, że kiedy to zrobię, przestaną mnie dręczyć.

Nie pozwól, kochany, żeby moje sny sprawiły Ci ból! Pomóż mi wymazać je z naszego świata. Przecież wiesz, że Twój Bóg jest i moim Bogiem, że jestem Twoją żoną i Twoją kobietą,

ciałem, umysłem i duszą. Wyleguję się z zamkniętymi oczami na łóżku, wyobrażam sobie, jak to będzie, kiedy stąd wyjdę, i wspominam te wszystkie szczęśliwe lata, jakie z Tobą przeżyłam.

Ucałuj ode mnie dzieci. Kocham Cię.

Leslie".

Rabin po wielokroć odczytał ten list.

Zastanowiło go, że zapomniała nazwisko tamtego chłopca.

Nazywał się Phillipson. Roger Phillipson.

Wymieniła je tylko raz, ale Michael nigdy go już nie zapomniał. Przed siedmioma laty, zaproszony na kolację przez jednego z kolegów, rabina z Filadelfii, przeglądał u niego w domu księgę pamiątkową wydaną z okazji dziesięciolecia ukończenia studiów na Harvardzie przez rocznik jego gospodarza. Nazwisko „Phillipson” rzuciło mu się w oczy spod fotografii mężczyzny o szczerym uśmiechu agenta ubezpieczeniowego. Agencja Ubezpieczeniowa Partner, Folger, Phillipson, Paine i Yeager, Walia Walia w stanie Waszyngton. Żona, z domu taka a taka, urodzona w Springfield, stan Massachusetts. Trzy córki o nordyckich imionach, lat sześć, cztery i półtora. Hobby: żeglarstwo, wędkarstwo, myślistwo, statystyka. Kluby: Uniwersytecki, Lionsa, Rotary, jeszcze jakieś dwa czy trzy. Cel życiowy: zagrać w meczu touch-footballu* na zjeździe koleżeńskim roku w pięćdziesiątą rocznicę ukończenia studiów.

W kilka tygodni później, podczas odprawianego przez siebie nabożeństwa w Jom Kipur, Michael żałował za grzechy,

* Nieformalna odmiana futbolu amerykańskiego, w której można zawodnika z piłką również oburącz popychać.

RABIN

cierpiąc za pokutę głód, i prosił Boga o przebaczenie za uczucia, jakie w nim wzbudził tamten uśmiechnięty

mężczyzna z fotografii. Modlił się za Rogera Phillipsona, życząc mu długiego życia i krótkiej pamięci.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

List Leslie powiększył jeszcze niepokój rabiego o Maxa.

'Leżąc tej nocy na mosiężnym łóżku usiłował sobie przypomnieć, jak jego syn wyglądał jako mały chłopiec. Max był dzieckiem o pospolitej urodzie; prawdę mówiąc, przed uznaniem za brzydala bronił go tylko ujmujący uśmiech. Uszy nie przylegały mu do czaszki, lecz odstawały... jak się nazywają te urządzenia?... niczym echosondy. Policzki miał pełne i pyzate.

A dzisiaj zagładasz do jego portfela, chcąc pożyczyć znaczek, i stwierdzasz, że to już dorosły mężczyzna trawiony erotycznym pożądaniem. Michael pogrążył się w zadumie.

Obawy jego rozbudzonej wyobraźni nie uspokajał bynajmniej fakt, że Max i Dessamae Kapłan wrócili przed dwudziestoma minutami do domu. Z salonu dobiegały ich przyciszone śmieszki, wśród wielu innych trudnych do zidentyfikowania szmerów.

Jaki jest odgłos wyjmowanego z kieszeni portfela? Michael złapał się na tym, że nadstawia uszu, by wyłowić ten dźwięk.

Nie wyjmuj portfela, synu, zaklinał Maxa w duchu. Nasłuchiwał tak intensywnie, że aż się spocił.

A zresztą, pomyślał po chwili z irytacją, skoro jesteś takim głupcem, proszę bardzo, wyjmij ten portfel z kieszeni!

Boże, on ma dopiero szesnaście lat!

Rabin wstał, narzucił szlafrok, włożył pantofle i zaczął schodzić po schodach. Odgłosy z salonu dobiegały go teraz wyraźnie.

— Nie chcę! — zaprotestowała Dessamae.

— No coś ty, Dess...

Rabin znieruchomiał w połowie schodów, zastygł w ciemności jak słup soli. Po chwili dobiegł go jakiś cichy, ponawiany

132

133

NOAH GORDON

w równych odstępach czasu szmer. Michael miał ochotę czmychnąć.

— O, jak fajnie!... Cudownie...

— Tak dobrze?

— Mhm... Byczo!...

Dziewczyna roześmiała się gardłowo.

— Teraz ty mnie podrap, Maksiu.

Ach ty sprośny staruchu, zganił sam siebie rabin, ty podstarzały lubieżny podglądaczu! Potykając się na stopniach zbiegł po schodach i wpadł do salonu, mrużąc oczy od światła. Siedzieli po turecku na dywaniku przed kominkiem.

Dessamae trzymała w ręku chińską drapaczkę z kości słoniowej.

— Dobry wieczór, rabi.

— Cześć, tato!

Przywitał się z nimi. Nie był w stanie spojrzeć im w oczy.

Wszedł do kuchni i zaparzył sobie herbatę. Gdy dopijał drugą filiżankę, Max i Dessamae przysiedli się do niego.

Potem Max odwiózł dziewczynę do domu, a Michael wszedł na górę, położył się do mosiężnego łóżka i zapadł w sen jak człowiek zanurzający się w ciepłej kąpieli.

Obudził go telefon. Poznał głos Dana Bernsteina. . — Czy coś się stało?

— Nie, nic. Taką mam przynajmniej nadzieję. Czy Leslie jest z panem?

— Nie — odrzekł półprzytomnie, nie całkiem jeszcze rozbudzony.

— Przed kilkoma godzinami opuściła szpital. Michael usiadł na brzegu łóżka.

— Mieliśmy przykre zdarzenie. Jedna pacjentka, pani Serapin, zadrasnęła scyzorykiem inną pacjentkę, panią Birn-baum. Bóg raczy wiedzieć, skąd go zdobyła. Próbujemy to ustalić. — Doktor Bernstein zawiesił na moment głos, po czym dodał szybko: — Ten incydent nie ma nic wspólnego z Leslie, poza tym że tylko w powstałym później zamieszaniu mogła wymknąć się niepostrzeżenie.

RABIN

— Jak się czuje pani Birnbaum?

— Dobrze. Takie wypadki się niestety zdarzają.

— Czemu od razu pan do mnie nie zadzwonił?

— Bo dopiero teraz stwierdziliśmy brak pańskiej żony. Gdyby udała się do domu, już by tam dotarła, nawet idąc pieszo. — Psychiatra głośno myślał.

— Czy coś jej zagraża? — zaniepokoił się Michael.

— Nie wydaje mi się — uspokoił go doktor Bernstein. — Rozmawiałem z nią dzisiaj. Była jak najdalsza od samobójczych tendencji. Nie stwarza również zagrożenia dla otoczenia. W gruncie rzeczy to już prawie zdrowa kobieta. Za dwa, trzy tygodnie wypisalibyśmy ją do domu.

Michael jęknął.

— Czy to znaczy, że po powrocie będzie musiała zostać u was dłużej?

— Zobaczymy — odrzekł doktor Bernstein. — Czasem pacjenci opuszczają nas po angielsku właśnie dlatego, że zdrowieją. Musimy się wpierw dowiedzieć, co nią powodowało.

— Pójdę jej poszukać.

— Posłałem już dwóch sanitariuszy. Oczywiście mogła już tymczasem wsiąść do jakiegoś autobusu czy pociągu.

— Wątpię — rzekł rabin. — Po co miałyby to robić?

— Nie wiemy jeszcze, dlaczego nas opuściła — zauważył doktor Bernstein. — Zobaczmy. W takich przypadkach do rutynowej procedury należy powiadomienie policji.

— Skoro pan tak uważa...

— Zadzwoń do pana, kiedy się czegoś dowiemy. — Lekarz odłożył słuchawkę.

Michael ubrał się ciepło i wziął z półki w szafie dużą latarkę. Dzieci spały w swoich łóżkach. Rabin wszedł do pokoju Maxa.

— Obudź się, synu! — Potrząsnął chłopca za ramię. Max otworzył oczy. — Muszę wyjść w sprawach świątyni.

Zostawiam Rachelę pod twoją opieką.

Max kiwnął sennie głową.

Zegar w holu na parterze wskazywał wpół do pierwszej. Na ganku od frontu Michael włożył ocieplane śniegowce, po czym

NOAH GORDON

obszedł wkoło dom, zmierzając do samochodu. Buty skrzypiały cicho na zmarzniętym śniegu. Rozległ się jakiś szelest. — Leslie? — Rabin zapalił latarkę. Z puszek na śmieci wyskoczył kot i zniknął w ciemności. Michael tyłem wyjechał z podjazdu; całą drogę do szpitala przejechał bardzo powoli. Trzy razy zatrzymywał się i świecił latarką w cieniste zakamarki.

Nie minął go żaden pieszy, jedynie dwa samochody. Ktoś mógł ją przecież podwieźć, przyszło mu do głowy.

Dotarłszy do szpitala, zostawił samochód nad jeziorem i brnąc w głębokim śniegu zszedł na brzeg, a następnie wszedł na lód. Zimą dwa lata wcześniej na otrzęsinach jakiegoś bractwa dwaj chłopcy z college'u mieli przejść z zawiązanymi oczami przez jezioro; cienki lód załamał się pod nimi i jeden chłopak utonął. Kuzyn Jake'a Lazarusa, przypomniał sobie Michael. Teraz lód sprawiał jednak wrażenie mocnego i grubego. Rabin przesunął

promieniem elektrycznej latarki po białej płaszczyźnie, niczego jednak nie dostrzegł.

Potem, tknięty nagłym przeczuciem, pobiegł do samochodu i pojechał do miasta. W Bejt Szalom nie paliło się jednak światło. Świątynia była pusta. Michael wrócił do domu. Zajrzał do wszystkich po kolei pokojów. W salonie podniósł z podłogi chińską drapaczkę do pleców. Myśmy nie byli za młodu tacy beztrosko niewinni, przemknęło mu przez myśl. Telefon milczał.

Na półce nad kominkiem leżał list z Columbii. Przypomniał rabinowi o harwardzkiej księdze pamiątkowej Phillip-sona, mimo to wziął go do ręki, przeczytał, po czym usiadł przy biurku i po krótkim namyśle sięgnął po pióro. Miał się przynajmniej czym zająć.

„Stowarzyszenie Absolwentów Uniwersytetu Columbia Róg Sto Szesnastej i Broadwayu

Nowy Jork Panowie!

Oto moja autobiografia do księgi pamiątkowej z okazji 25-lecia ukończenia studiów przez rocznik 1941:

136

RABIN

Aż trudno uwierzyć, że minęło już blisko ćwierć wieku od chwili? gdy opuściliśmy Morningside Heights!

Jestem rabinem. Stałem na kazalnicy reformowanych synagog na Florydzie, w Arkansas, Georgii, Pensylwanii i Massachusetts, gdzie obecnie mieszkam, w Woodborough, z moją żoną, Leslie, z domu Rawlins (Wellesley, rocznik 1946), urodzoną w Hartford w stanie Connecticut. Mamy syna Maxa, lat 16, i córkę Rachełę, lat 8.

Stwierdzam z pewnym zaskoczeniem, że wprost nie mogę się już doczekać naszego zjazdu. Dzień dzisiejszy tak nas zaprzęta, iż z rzadka tylko mamy sposobność wracać wspomnieniem do wczorajszego..."

QUEENS, NOWY JORK Luty 1939 roku

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Pewnego zimowego popołudnia, kiedy Michael był na drugim roku studiów na Columbii, jego matka wydała szczegółowe instrukcje swojemu stałemu fryzjerowi i ten umył jej głowę jakimiś cuchnącymi cieciami, po których jej farbowane henną włosy zmieniły barwę na siwą. W całym życiu Dorothy zaszły zresztą głębokie zmiany. Abe Kind przestał uganiać się za spódniczkami, prawdopodobnie dlatego że nie był już pierwszej młodości, choć Michael wolał myśleć, iż to z tej przyczyny, że matka doszła wreszcie do ładu z samą sobą. W każdym razie przestała się malować i siwe włosy okalały teraz twarz, a nie maskę. Nauczyła się robić na drutach — wkrótce cała rodzina nosiła jej kaszmirowe swetry i dwu-kolorowe skarpetki w romby. Abe i Dorothy zaczęli chodzić z synem na nabożeństwa w piątkowe wieczory. Kindowie stali się wreszcie prawdziwą rodziną.

Pewnego niedzielnego ranka, gdy rodzice jeszcze spali, Michael, zwlókłszy się z łóżka, zastał w salonie swoją siostrę. W narzuconym na piżamę szlafroku siedziała z podwiniętymi nogami na kanapie, pałaszowała bajgełe z topionym serkiem i rozwiązywała krzyżówkę w „New York Timesie”. Michael zabrał jej część gazety zawierającą recenzje książek i przegląd wydarzeń tygodnia i zanurzył się w fotelu. Przez dziesięć minut, podczas których każde z rodzeństwa zajmowało się swoją lekturą, Michael słuchał chrzęstu chrupanej przez Ruthie bajgełe. W końcu nie wytrzymał, zerwał się z fotela, poszedł umyć zęby, po czym posmarował sobie bajgełe

138

RABIN

serkiem topionym. Ruthie przyglądała się jedzącemu bratu, lecz nie zwraca! na nią uwagi. Po jakimś czasie podniósł

jednak wzrok. Jego siostra miała oczy po matce, ale z błyskiem inteligencji po ojcu.

— Mało brakowało, a w ogóle nie wróciłabym z Palestyny — zwierzyła mu się.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał ostrożnie.

— Spotkałam tam chłopca. Poprosi! mnie, żebym za niego wyszła. Bardzo tego chciałam. Tęskniłbyś za mną, gdybym nie wróciła?

Michael ugryzł następny kęs bajgele i bacznie przyjrzał się siostrze. Doszedł do wniosku, że nie kłamie. Gdyby chciała go nabrać, zrobiłaby to z większym dramatyzmem.

— Skoro tego chciałaś, dlaczego nie zostałaś?

— Bo się nie nadaję do tamtejszych warunków. Bo jestem rozpieszczoną kozą z klasy średniej w Queens, a nie pionierką. Zapytał, jak wygląda! ten Palestyńczyk. Ruthie zeskoczyła z kanapy i pobiegła boso do swojego pokoju. Michaela doleciał szcęk zatrasku torebki, po czym dziewczyna wróciła do saloniku z fotografią młodego mężczyzny z ciemnymi falującymi włosami i ciemną krótko przystrzyżoną brodą, ubranego jedynie w szorty koloru khaki i tenisówki. Stał opierając się ręką o traktor, z przechyloną na bok głową, mrużąc w słońcu oczy. Nie uśmiechał się. Był opalony i muskularny, dość szczupły. Michael nie potrafił się zdecydować, czy młodzieniec z fotografii podoba mu się, czy nie.

— Jak się nazywa? — zapytał.

— Saul Morę. Przedtem nazywa! się Samuel Polansky. Urodził się w Londynie, w Anglii. Do Palestyny przyjechał cztery lata temu.

— Zmienił nazwisko, czy to znaczy, że pracuje w branży gorseciarskiej?

Ruthie nawet się nie uśmiechnęła.

— Jest wielkim idealistą — powiedziała. — Chciał nosić imię, które by coś znaczyło. Wybrał imię Saul, ponieważ przez pierwsze trzy miesiące po przyjeździe do Palestyny walczył jako żołnierz z arabskimi napastnikami. Moreę zaś dlatego, że to słowo znaczy „nauczyciel”, a właśnie nauczycielem chciał zostać. I został.

139

NOAH GORDON

Michael zerknął na traktor.

— Nie farmerem? Pokręciła głową.

— Uczy w szkole w kibucu. Osiedle nazywa się Tikwa le'Machar. Jest położone na środku pustyni i ma tylko kilku przyjaźnie nastawionych Arabów za sąsiadów. Słońce tak tam piecze, że aż oczy bołą. Na niebie ani jednej chmurki. Na pustyni nic nie rośnie, to tylko spalony piasek i spieczone skały. Powietrze jest niesamowicie suche. Rośliny żyją tylko w pobliżu kanałów nawadniających, ale kiedy przestaje nimi płynąć woda, natychmiast usychają.

Zapadła cisza. Michael dostrzegł przejęcie siostry, lecz nie wiedział, co jej odpowiedzieć.

— Mają tam tylko jeden telefon, w biurze kibucu. Czasem nawet działa. A toalety! Jak za króla Ówieczka. — Podniosła ze szlafroka okruch wypieczonej skórki bajgełe i przyglądała się jej, obracając w palcach. — Poprosił, żebym za niego wyszła, a ja bardzo tego pragnęłam, ale ponieważ nie mogłam ścierpieć tych wychodków, wróciłam do domu. — Zerknęła na brata i uśmiechnęła się. — Nie uważasz, że to wystarczający powód do odrzucenia oświadczyn?

— Co zamierzasz zrobić?

Ruthie zrezygnowała ze studiów w połowie trzeciego roku nauki na wydziale ekonomicznym Uniwersytetu Nowojorskiego. Pracowała jako sekretarka w sieci radiowej Columbia Broadcasting System.

— Pojęcia nie mam. Wszystko mi się pokiełbało. Od ponad roku pisujemy do siebie. Odpowiadam na wszystkie jego listy. Nie potrafię tego przerwać. — Popatrzyła na Michaela. — Jesteś moim bratem. Poradź mi, co robić.

— Doskonale wiesz, Ruthie, że tego ci nikt nie powie. — Odchrząknął. — A ci wszyscy faceci, z którymi się stale spotykasz? Nie ma wśród nich nikogo, kto...

Uśmiechnęła się smutno.

— Większość przecież znasz. Moim przeznaczeniem jest pan małżonek pisujący reklamy dla radia. Albo pracownik biura maklerskiego. Albo ktoś, czyj tatuś ma warsztat samochodowy. Ktoś, kogo piecze zgaga, ale kto zapewni mi ubikację grającą Brahmsa, gdy siadasz na sedesie, i rozpylającą

140

RABIN

perfumy Chanel, gdy przekręcasz złotą gałkę, żeby spuścić wodę.

Michael spróbował spojrzeć na siostrę wzrokiem innych mężczyzn. Brunetka o niebieskich oczach i miłym uśmiechu, w którym ukazywała równe białe zęby. Dziewczyna o ładnych piersiach i zgrabnej figurze. Atrakcyjna kobieta. Usiadł obok niej i pierwszy raz od czasu, kiedy byli dziećmi, objął ją ramieniem.

— Jeśli wyjdiesz za kogoś takiego — rzekł — będę cię często odwiedzał, żeby skorzystać z kibla.

Jego własne życie uczuciowe nie przedstawiało się o wiele bardziej obiecująco od romansów Ruthie. Umawiał się z Mimi Steinmetz, bo ją miał pod ręką, po drugiej stronie holu. Od czasu do czasu pieścili się po sztubacku; w decydujących momentach odpychała go, choć bez specjalnego zapału, właściwie zachęcając do przełamania oporu. Michael go jednak nie przełamywał, czuł bowiem, że dziewczyna nie tyle

go pożąda, co pragnie posiadać na własność, on zaś nie palił się ani do roli przedmiotu posiadanego, ani posiadacza.

Jego energia erotyczna nie znajdowała więc ujścia, co wprowadzało go w stan wiecznego rozdrażnienia i podenerwowania. Czasami, wysłęczawszy się do późnej godziny nad książkami, zaczynał krążyć po pokoju.

Mieszkający piętro niżej państwo Friedmanowie poskarżyli się kiedyś nieśmiało pani Kind na te peregrynacje, więc zaczął się od tamtej pory wypuszczać na długie nocne spacery.

Przemierzył wszystkie ulice wokół kampusu, a potem zszedł cały Manhattan. Odbывał spacer w Queens. Pewnego dnia pojechał kolejką nadziemną do Brooklynu, mając zamiar wysiąść w dzielnicy Borough Park, gdzie kiedyś mieszkali, tymczasem siedział na ławce jak przytwierdzony i wysiadł dopiero w Bensonhurst, po czym ruszył przed siebie ulicą zabudowaną starymi bliźniakami. Spacer stały się jego alkoholem, a on sam pijakiem, który trawi czas na oddawaniu się sekretnemu nałogowi, kiedy jego koledzy śpią, słuchają muzyki, uczą się lub próbują podrywać dziewczęta.

Pewnej styczniowej nocy zasiedział się w Butler Library aż do dziesiątej i po wyjściu stamtąd ruszył pieszo na stację kolejki. Padał śnieg, pokrywając wszystko puszystymi białymi

141

NOAH GORDON

płatkami. Michael minął kiosk stacji i szedł dalej niczym lunatyk. Po dziesięciu minutach stracił orientację w terenie, lecz wcale się tym nie zmartwił. W pewnej chwili skręcił w jakąś ciemną i wąską uliczkę, zbyt szeroką, by można ją nazwać zaułkiem, nie oświetloną i zabudowaną na wpół zrujnowanymi domami. Na rogu pod latarnią, w jedynej zatoczce światła wśród panujących mroków, stał policjant — rosły, w niebieskim uniformie — wznosząc zarumienioną od mrozu twarz pod sypiące się z nieba płatki. Skinął głową,

kiedy Michael go mijał.

W połowie kwartału ulic młodzieniec usłyszał za sobą czyjeś szybkie i lekkie kroki. Serce zabiło mu mocniej; obejrzał się przez ramię, żałując, że okazał się taki nieostrożny, by wypuszczać się nocą na samotne spacerunki po Manhattanie.

Wkrótce wyprzedził go jakiś mężczyzna. Przeszedł tak blisko, że Michael zdołał go dojrzeć w zadymce. Niski, o dużej głowie, z przyprószoną śniegiem brodą, o wydatnym nosie, oczach o nie widzącym spojrzeniu, nakrytych ciężkimi powiekami, w ciemnym płaszczu, rozpiętym mimo mrozu, bez rękawiczek na splecionych za plecami rękach, coś mamroczący pod nosem. Czyżby się modlił? Michael odniósł wrażenie, że rozpoznał hebrajskie wyrazy.

Po chwili stracił przechodnia z oczu wśród gęstej śnieżycy. Atak napastników raczej usłyszał, niż dojrzał. Z ciemności doszły go odgłosy ciosów, głuche stęknięcie, gdy napadnięty dostał cios w żołądek, łomot pięści.

— Policja!!! — wrzasnął Michael. — Policja!!! Policjant stojący pod latarnią na rogu ulicy odwrócił się i zaczął biec w jego stronę. Ponieważ był bardzo gruby, poruszał się z przerażającą powolnością. Michael miał ochotę podbiec i chwycić go za rękę, ale nie było czasu do stracenia. Pomknął w przeciwnym kierunku i dosłownie wpadł na napastników. Było ich dwóch; klęczeli nad leżącym na chodniku nieruchomym ciałem.

Jeden z nich zerwał się i zniknął bezgłośnie w mroku nocy, natomiast drugi, klęczący bliżej Michaela, skoczył w jego stronę. Prawa pięść chłopaka otarła się o zarośnięty policzek łobuza. Michael ujrzał tuż przed sobą zmrużone z nienawiści i strachu oczy, złamany nos i cienkie zaciśnięte wargi. Chuli-
RABIN

gan, młody chłopak, miał na sobie czarną skórzaną kurtkę i także rękawiczki. Jego pięść trafiła Michaela w usta, co

przyjął z ulgą: drań nie miał noża. Michael trzymał w lewej ręce ważący co najmniej dwa kilogramy „Zarys cywilizacji amerykańskiej” Fergusona i Bruuna. Przełożył ciężki tom do prawej ręki i wzięł szeroki zamach. Książka ugodziła w cel, napastnik padł jak ścięty.

— Ty pierdolony zasrańcu! — wychrypiał niemal z płaczem, kilka metrów uciekał na czworakach, po czym poderwał się na nogi i puścił biegiem.

Brodacz usiadł tymczasem na ziemi. Ciosy w żołądek pozbawiły go tchu, rzeziło mu w płucach. W końcu odetchnął jednak głębiej, uśmiechnął się i wskazał głową podręcznik Michaela.

— Oto potęga słowa drukowanego! — stwierdził z wyraźnym cudzoziemskim akcentem.

Michael pomógł mu wstać. Ciemna plama na białym chodniku okazała się jarmułką. Była pełna śniegu. Nie bacząc na to nieznajomy wetknął ją do kieszeni palta i podziękował Michaelowi zakłopotanym skinieniem głowy.

— Odmawiałem właśnie Szma. Modlitwę wieczorną.

— Wiem.

Tymczasem nadbiegł zadyszany policjant. Michael opowiedział mu przebieg zajścia, wysysając krew z rozciętej wargi. Wszyscy trzej wrócili do zatoczki światła pod latarnią.

— Widział ich pan? — zapytał policjant ofiarę napadu. Niski mężczyzna pokręcił głową.

— Nie.

Michael zapamiętał z grubsza rysy twarzy łobuza, którego uderzył, lecz niewyraźnie, bo w ruchu. Policjant zapytał, czy rozpoznaliby napastnika podczas konfrontacji.

— Z pewnością nie.

Stróż prawa westchnął z rezygnacją.

— W takim razie na dobrą sprawę możecie panowie o wszystkim zapomnieć. Ci dwaj są już daleko.

Prawdopodobnie mieszkają w zupełnie innej dzielnicy.

Ukradli coś?

Brodaty mężczyzna, któremu pod lewym okiem wykwit!
ciemny siniec, wsadził rękę do kieszeni spodni i wyciągnął ją

142

i43

NOAH GORDON

zwinęta w pięść. Kiedy rozgiął palce, na jego dłoni leżała
półdolarówka, ćwierćdolarówka i dwie pięciocentówki.

— Nie — powiedział.

— Tylko tyle miał pan przy sobie? — zapytał cicho policjant.

— Żadnego portfela?

Napadnięty pokręci! przecząco głową.

— Te łobuzy zabiłyby pana i za marnego piąta — stwierdził
policjant.

— Pojadę do domu taksówką — zwrócił się do brodacza
Michael. — Podwiozę pana.

— Dziękuję, nie trzeba. Mieszkam dwie przecznice stąd. Na
Broadwayu.

— W takim razie odprowadzę pana i tam złapię taksówkę.

Podziękowali policjantowi i ruszyli obok siebie po
zaśnieżonym chodniku, w milczeniu wczuwając się w swoje
obrażenia.

Brodacz zatrzymał się w końcu przed zniszczonym ceglanym
budynkiem, na którego drzwiach wisiała nieczytelna
drewniana tabliczka, chwycił rękę Michaela i uścisnął ją.

— Dziękuję panu. Nazywam się Gross. Rabin Max Gross. A
może wstąpiłby pan do mnie na chwilę? Napilibyśmy się
herbaty...

Michael zgodził się z ciekawości, a następnie również się
przedstawił. Gdy weszli do środka, rabin Gross wspiął się na
palce, żeby dotknąć mezuzy, umieszczonej wysoko na
framudze drzwi, po czym pocałował opuszki palców. Potem

wyjął z kieszeni jarmułkę, przemoczoną od stopniałego śniegu, i włożył ją na głowę. Wskazał Michaelowi stos mycek w małym kartonowym pudle.

— Jesteśmy w domu Bożym...

Chłopak założył jedną z nich, pomyślawszy jednocześnie, że w takim razie Bóg potrzebuje najwidoczniej finansowego wsparcia. Pomieszczenie, w którym się znalazł, było małe i wąskie, raczej korytarz niż pokój, dość jedynie przestronne, by pomieścić dziesięć rzędów połączonych ze sobą składanych drewnianych krzesełek, ustawionych naprzeciwko arki. Na podłodze leżało popękane linoleum. Mała alkowa w końcu wąskiego pokoju mieściła poobijane biurko i kilka podręcznych krzeseł o wyplatanych siedzeniach. Gross zdjął

palto

144

RABIN :>

i rzucił je na biurko, zostając w pomiętym niebieskim garniturze. Nie było widać, czy na szyi pod kłaczastą brodą ma krawat. Rabin Gross był bardzo czysty, Michael odniósł jednak wrażenie, że gdyby nie nosił brody, zapewne chodziłby zwykle nie ogolony.

W pewnej chwili potężny łoskot wstrząsnął budynkiem, aż zakołysała się zawieszona na elektrycznym sznurze naga żarówka, omiatając sufit wielkimi płachtami cieni.

— Co to? — przestraszył się Michael.

— Kolejka podziemna — wyjaśnił gospodarz.

Nad ceramicznym zlewem napełnił powgniatany aluminiowy czajnik i postawił go na maszynie elektrycznej, a gdy woda się zagotowała, jedną saszetką herbaty zabarwił wrzątek w dwóch masywnych popękanych kubkach. Do posłodzenia podał cukier w kostkach. Odmówił błogosławieństwo, po czym obaj, siedząc na wyplatanych krzesłach, zaczęli sączyć słaby napar.

Siniec na twarzy gospodarza nabrał tymczasem barwy fioletowej.

Z dużych brązowych oczu rabina Grossa wyczierała niewinność dziecka lub zwierzęcia. Święty albo głupiec, ocenił w duchu Michael.

— Od dawna pan tu mieszka, rabi?

Brodacz dmuchał na herbatę i długo się zastanawiał.

— Szesnaście lat. Tak, już szesnaście lat.

— Ilu wiernych liczy pańska gmina?

— Niewielu. Kilku. Prawie samych starców.

Następnie zamilkł i w milczeniu siorbał herbatę. Nie okazywał najmniejszego zainteresowania gościem, nie zadawał mu żadnych pytań. Kiedy wypili, podali sobie ręce i Michael włożył palto.

W drzwiach odwrócił się jeszcze. Wydawało się, że rabi Gross zapomniał o obecności Michaela. Zwrócony do niego plecami kiwał się w przód i w tył, kończąc wieczorną Szma, której odmawianie przerwano mu na ulicy: „Słuchaj, Izraelu, Pan jest Bogiem naszym, Pan jest Jeden”. Z ogłuszającym łomotem przejechała kolejka. Gmach zatrzęsł się w posadach, zakołysała się żarówka, na suficie niemo załopotwały cienie. Michael czmychnął.

10 Rabin

145

NOAH GORDON

Pewnego wieczoru, kilka dni przed sesją egzaminacyjną w połowie semestru siedział w lokalu Stowarzyszenia Studentów i popijał kawę w towarzystwie kolegi i koleżanki, dosyć ponętnej dziewczyny. Wszyscy troje mieli niejaki kłopoty z filozofią amerykańską.

— Co wam wiadomo o Orestesie Brownsonie i jego rozczarowaniu Oświeceniem? — spytała Edna Roth. Miała

mały różowy jęczyzek, który wysuwał się i znikał, gdy zlizywała z opuszków palców tłuste nadzienie pączka.

— Boże, pamiętam tylko, że przeszedł na katolicyzm!

— jęknął Michael.

— Myślałem o twoim ojcu — ni stąd, ni zowąd odezwał się Chuck Farley. — Tacy drobni kapitaliści jak twój stary to najgorsi wrogowie klasy robotniczej.

— Mój stary ma prawie co tydzień kłopoty z wypłaceniem im pensji — odciął krótko Michael. Farley nigdy nie spotkał jego ojca. Wypytywał Michaela kilka razy o firmę gorseciarską Kindów, a ten zaspokajał jego ciekawość. — Związek zawodowy daje mu zdrowo popalić. Ale co to ma wspólnego z filozofią amerykańską?

Farley podniósł brwi.

— Ależ ma, i to dużo! — powiedział. — Nie dostrzegasz tego?

Farley był okropnym brzydalem o perkatym, usianym piegami nosie i mysim kolorze włosów, brwi i rzęs. Nosił okulary bez oprawek o ośmiokątnych szklach i był wielkim, choć pozbawionym polotu strojnisiem. Przed każdym wystąpieniem na zajęciach wyjmował z kieszeni spodni wielki jak młyńskie koło złoty zegarek i stawiał go przed sobą na stoliku. Michael wypił z nim w Stowarzyszeniu Studentów morze kawy, ponieważ u boku Farleya siedziała nieodmiennie Edna Roth. Edna była pulchną brunetką z myszką na wysokości lewej kości policzkowej i z lekka odętą dolną wargą, którą Michael chętnie by ukąsił. Nieco otyła, ani ładna, ani brzydka, miała piwne, bezwstydnie kobiece oczy i bilo od niej jakieś krowie ciepło oraz słaba, intrygująca woń podobna do zapachu mleka. — Od tej chwili żadnych bibek! — oświadczyła kategorycznie, mimo że Michael nigdy nie szwendał się z nimi po

RABIN

knajpach. — Żadnych poobiednich drzemek, fiu-bździu i filmów Cecila B. De Mille'a. Przed tym egzaminem musimy przysiąc fałdów! — Zmrużyła oczy i zerknęła z niepokojem na Farleya. Była krótkowidzem, co nadawało jej twarzy wyraz nieco zdekoncentrowanego rozmarzenia. — Wygospodarujesz trochę czasu na naukę, skarbie? Kiwnął głową.

— W pociągu.

Farley dojeżdżał z Danbury w stanie Connecticut, gdzie brał udział w pikiecie zakładów przemysłu kapeluszniczego. Edna miała dla tej działalności wiele zrozumienia. Była wdową. Seymour, jej zmarły mąż, również należał do partii. Na temat pikiet Edna wiedziała wszystko.

Po chwili Farley musnął wąskimi wargami pulchne usta dziewczyny i pożegnał się. Michael i Edna, dopiwszy kawę, przenieśli się do pokoiku na drugim piętrze biblioteki Butlera, gdzie aż do jej zamknięcia zmagali się z Brownsonem i Theodorem Parkerem, transcendentalistami, filozofami kosmicznymi, radykalnymi empirystami, kalwinizmem, Bordenem Parkerem Browne'em, Thoreau, Melvillem, ideologami Brook Farm i Williamem Torreyem Harrisem... Kiedy schodzili po schodach gmachu biblioteki, Michael zamrugnął piekącymi powiekami.

— Stanowczo za dużo tych szczegółów do zapamiętania!

— Wiem. Słuchaj, skarbie, a może byś tak wpadł do mnie i pouczylibyśmy się jeszcze z parę godzin?

Pojechali metrem. Edna mieszkała w starej kamienicy z czerwonej cegły na Washington Heights. Kiedy otworzyła kluczem drzwi, Michael zdumiał się ujrawszy siedzącą przy radiodbiorniku i odrabiającą zadania z matematyki chudą czarną dziewczynkę, która na ich widok zaczęła zbierać pośpiesznie zeszyty.

— Jak się sprawował, Martho? — zapytała Edna.

— Był bardzo grzeczny. To słodziutki malec.

Dziewczynka zebrała książki i ulotniła się, a Michael wszedł za Edna do ciasnej sypialni i pochylił się wraz z nią nad łóżeczkiem. Sądził, że wszystkim, co Seymour zostawił swojej żonie, była drobna sumka umożliwiająca jej powrót do semi-

147

NOAH GORDON

narium nauczycielskiego i podjęcie bonów żywnościowych. A oto miał przed oczami inną po zmarłym spuściznę.

— Ładny chłopaczek — orzekł, gdy wrócili do saloniku.

— Ile ma?

— Dziękuję. Czternaście miesięcy. Na imię mu Alan. Wyszła do kuchni, by zaparzyć kawę. Michael rozejrzał się po pokoju. Na półce nad kominkiem stała fotografia przedstawiająca dość przystojnego mężczyznę z zabawnym wąsikiem i sztucznym uśmiechem. Michael domyślił się bez trudu, że to nieboszczyk Seymour. Pokój umeblowano tandetnymi meblami w stylu kolonialnym. Przy odrobinie szczęścia przetrwają do czasu, gdy gospodyni zostanie nauczycielką albo wyda się ponownie za mąż. Za oknem otwierał się widok na rzekę. Kamienica stała bliżej Broadwayu niż Riverside Drive, ale brzeg wyginał się tu w stronę Hudsonu, a mieszkanie Edny znajdowało się na siódmym piętrze. Po wodzie przesuwwały się wolniutko światła przepływających statków.

Wypili kawę w mikroskopijnej kuchence, a potem uczyli się przy tym samym stole. Michael dotykał kolanem uda Edny. Po niecałych trzech kwadransach miał już dość nauki.

Dziewczyna również zamknęła książkę. W kuchni było gorąco. Młodzieńca owionął znowu mleczny zapach gospodyni, nikły, lecz wyraźnie wyczuwalny.

— No to ja już pójdę.

— Możesz u mnie przenocować, skarbie, jeśli chcesz.
Zatelefonował do domu, podczas gdy ona sprzątała naczynia ze stołu. Telefon odebrała matka; głos miała półprzytomny z rozespania. Powiedział jej, że uczyli się do późna, więc postanowił przenocować u kolegi. Podziękowała mu, że zadzwonił, by się nie niepokoiła.

Sypialnia przylegała do dziecięcego pokoiku, którego drzwi pozostawały zawsze otwarte. Rozebrali się odwróceniem do siebie plecami przy świetle nocnej lampki stojącej przy łóżeczku dziecka. Michael delikatnie zacisnął zęby na dolnej wardze Edny, tak jak to sobie wymarzył. Jej słaby mleczny zapach stał się w łóżku jeszcze wyraźniejszy. Chłopak zaczął się zastanawiać, czy ona przypadkiem nie karmi jeszcze piersią. Sutki miała jednak suche, małe twarde pączki. Reszta jej ciała była miękka i ciepła, bez niespodzianek i zaskoczeń;

RABIN

unosila się i opadała łagodnie jak rozbujana kołyska. Edna była przytulną kobietą. Michael zasnął z policzkiem na jej dłoni. Dziecko rozplakało się o czwartej nad ranem; cienki sznureczek jego płaczu wyciągnął Michaela z głębi snu na jawę. Edna wysunęła rękę spod głowy kochanka, wyskoczyła naga z łóżka i pobiegła ogrzać butelkę. Pośladki miała duże i nieco obwisłe.

Kiedy wyjęła butelkę z garnka z ciepłą wodą, wyjaśniła się zagadka mlecznego zapachu: dziewczyna wstrząsnęła butelką, po czym trysnęła białą cieczą na miękka wrażliwą skórę w zgięciu łokcia. Wetknęła smoczek w buzię niemowlęcia i płacz ucichł.

Kiedy wróciła do łóżka, Michael nachylił się nad nią, żeby scałować mleko. Zgięcie łokcia było jeszcze wilgotne i ciepłe. Penetrował miękkie zagłębienie koniuszkiem języka. Mleko było słodkie. Edna zajęczała cicho i przyciągnęła go do siebie.

Tym razem nie był już tak nieporadny, a ona tak macierzyńska. Kiedy zasnęła, wstał ostrożnie z łóżka, ubrał się po ciemku i wymknął z mieszkania. Na dworze było jeszcze ciemno. Od rzeki zawiewał wiatr. Michael postawił kołnierz palta i ruszył pieszo przed siebie. Czuł się szczęśliwy i lekki, uwolniony od brzemienia niewinności.

— Nareszcie! — zawołał głośno.

Jakiś chłopiec jadący wzdłuż krawężnika na rowerze z wyładowanym paczkami koszem na bagażniku obrzucił go niechętnym, twardym jak marmur spojrzeniem. Każde inne miejsce na świecie jest o piątej pięć nad ranem pogrążone we śnie, a Manhattan już był na nogach. Chodnikami szli ludzie, po jezdniach jechały taksówki i samochody prywatne. Było już prawie widno, kiedy Michael zorientował się, że zna skądś budynek, który właśnie mijał. To w nim mieściła się ta mała szufla, której żarówkę wprowadziła w kołysanie kolejka podziemna — sztibł rabina Maxa Grossa.

Michael podszedł do drzwi i zbliżył twarz na odległość kilku centymetrów do niemal całkiem zatartego napisu na drewnianej tabliczce. W szarym blasku poranka wyblakłe hebrajskie litery zdawały się skręcać i wić, udało mu się jednak, choć z niemałym trudem, odczytać słowa: Szaarej Szomajim. Bramy Nieba.

149

NOAH GORDON

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Max Gross potrafił już czytać fragmenty Talmudu, kiedy miał cztery lata i mieszkał w Warce, polskim miasteczku. W wieku lat siedmiu, gdy większość jego kolegów uczyła się wciąż języka na biblijnych czytankach, on wszedł już głęboko w zawłość Prawa. Chaim Gross, kupiec winny, radował się, że z jego nasienia sklepikarza wyrósł iluj, talmudyczny geniusz. Dzięki temu błogosławieństwa Boże spłyną na duszę Sorele,

jego zmarłej żony, którą grypa posłała do raju, kiedy synek jeszcze raczkował. Odkąd Max nauczył się czytać, towarzyszył ojcu oraz innym chasydom w zebraniach u ich przywódcy, cadyka Lejbła. W każdy szabatowy wieczór cadyk Warki „przyjmował przy swoim stole”. Pobożni Żydzi najadali się wcześniej we własnych domach, a potem szli na kolację do swego przywódcy. Gdy już zasiedli wokół stołu, sędziwy cadyk zabierał się do jedzenia, od czasu do czasu podając jakiś kąsek — a to kawałek kurczaka, a to odrobinę słodkiego szpiku kostnego, a to kawałeczek ryby — godnemu tego zaszczytu Żydowi, a ten skubał go w zachwyceniu, świadom że kąsek z ręki cadyka to strawa dotknięta przez Boga. Max, cudowne dziecko, ubrany w biały aksamitny kaftanik, zasiadał pomiędzy starszymi — chudy, wielkooki i już wtedy niski jak na swój wiek — aż jego twarzy nie schodził wyraz zasłuchania. Pociągając się za pejs nadstawiał uszu, by nie uronić ani słowa z mądrych pouczeń, jakich udzielał cadyk. Max, choć mały geniusz, miał temperament normalnego chłopca i uwielbiał wszelkie zabawy. Wieczorami w dni świąteczne chasydzi zbierali się na uroczyste celebracje. Stoły zastawiano miskami z gotowanym grochem włoskim, zwanym nahit, talerzami pełnymi ciasteczek i kugli oraz butelkami wódki. Kobiety, jako istoty niższe, nie były do tych zgromadzeń dopuszczane. Mężczyźni jedli w miarę i pili oszczędnie. Chasydzi wyznawali pogląd, że zło można przewyciężyć weseląc się, nie zaś smucąc. Wierzyli, że ekstaza zbliża do Boga, toteż pozwalali, by ich dusze zalewała radość. Kiedy się

150

RABIN

zebrali, wstawał po jakimś czasie któryś z brodatych mężczyzn i skinieniem wybierał sobie partnera. Oparłszy jeden drugiemu ręce na ramionach, zaczęli tańczyć dokoła

pokoju. Wkrótce i inni dobierali się w pary i ruszali w tany, póki całe pomieszczenie nie zapełniało się wirującymi brodacami. Tempo tańca było szybkie i wezbrane radością, a jedyną muzyką, jaka przygrywała tancerzom, były ich własne głosy wyśpiewujące w kółko jakiś biblijny werset. Ktoś dla żartu poczęstował Maxa łykiem ognistej wódki, ktoś inny — może nawet sam cadyk? — wybrał małego geniusza na partnera do tańca. I malec wirował po izbie, z zawrotem głowy, na niepewnych nogach, obracany przez wielkie dłonie ściskające go za ramiona. Radość zapierała mu dech, drobne stopy podfruwały w powietrzu, usiłując naśladować przytupywania i hołubce partnera, podczas gdy basowe głosy brodaczy zestrajały się w rytmicznym majestatycznym chórze: Wetaher libenu l'awdecha beemet — „Oczyść nasze serca, abyśmy służyli Ci w prawdzie”.

Max stał się legendą wspólnoty na wiele lat przed swoją bar miewa. Im głębiej i śmieiej zanurzał się w morzu Talmudu, tym częściej cadyk wyróżniał go przy stole podtykając mu co smaczniejsze kąski, a przyjaciele ojca zatrzymywali na ulicy, aby poklepać po ramieniu lub pogłaskać po głowie. Kiedy miał osiem lat, zabrano go z chederu, szkoły dla przeciętnych chłopców w jego wieku, i oddano na naukę prywatnemu nauczycielowi, reb Jankielowi, uczonemu suchotnikowi o błyszczących chorobliwie oczach. Oznaczało to właściwie samou-ctwo. Chłopiec całymi godzinami czytał na głos, podczas gdy chudy mężczyzna siedział i kasłał bez końca w ogromną chustkę. Nigdy ze sobą nie rozmawiali. Kiedy głos Maxa zabłądził w rejony błędnej filozofii bądź niewłaściwej wykładni, wyciągały się podobne do szponów palce i jak kleszczami szczypały go w przedramię. Ramiona chłopca aż do dnia pogrzebu reb Jankiela pokrywały fioletowe piętna. Na cztery miesiące przed śmiercią nauczyciel oświadczył Chaimowi Grossowi, że wyuczył już jego dziesięcioletniego

syna wszystkiego, co sam umiał. Od tej pory aż do dnia bar micwy Max chodził codziennie rano do gminnego domu nauki, gdzie zasiadał przy stole w gronie dorosłych mężczyzn, spośród

151

NOAH GORDON

których niejednemu posiwała już broda. Każdego dnia studiowali inny fragment Prawa, kłócąc się zajadle o jego wykładnię. Kiedy Max w wieku trzynastu lat osiągnął żydowski wiek męski, sam cadyk Lejbł podjął się nauczania cudownego dziecka. Stanowiło to wielce zaszczytne wyróżnienie. Jedynym prócz Maxa studentem w domu Lejbła był jego zięć, młodzian lat dwudziestu dwóch, oczekujący na dyplom rabina.

Chaim Gross codziennie dziękował Bogu za

błogosławieństwo, jakie na niego spłynęło poprzez syna.

Przyszłość chłopca była zapewniona. Zostanie rabinem, a jego inteligencja pozwoli mu zgromadzić wokół siebie wybitny sąd rabiniczny, dzięki niemu zaś dostatek, zaszczyty i sławę. I to kto, pomyśleć: syn sprzedawcy żywiczych win!

Uśmiechając się do swoich marzeń o przyszłości syna, Chaim Gross umarł pewnego zimowego wieczoru na zawał.

Max nie zapytał Boga, dlaczego zabrał mu ojca. Stojąc jednak nad otwartym grobem na małym kirkucie i odmawiając kadsiz, poczuł po raz pierwszy ukąszenie mroźnego wiatru. Za radą cadyka Lejbła zgodził polskiego urzędnika imieniem Stanisław do prowadzenia winiarni. Raz w tygodniu sprawdzał byle zbyć księgi handlowe, pragnąc utrzymać kradzieże Stanisława na umiarkowanym poziomie. Sklep przynosił mu co prawda dochody skromniejsze od osiągniętych przez ojca, umożliwiał jednak dalsze poświęcanie życia tal-mudycznym studiom.

Max skończył właśnie dwadzieścia lat, przygotowywał się do zostania rabinem i szukał odpowiedniej dla siebie żony, kiedy na Polskę przyszyły ciężkie czasy. Lato tego roku było niezwykle upalne i suche. Łany chłopskiej pszenicy i prosa wypaliło słońce, tak że źdźbła, zamiast się kłosić, pękały na wietrze. Nieliczne buraki cukrowe, jakie udało się zebrać jesienią, były gąbczaste i pomarszczone, a kartofle drobne i gorzkie.

Gdy spadły pierwsze śniegi, wieśniacy zaczęli się pchać do fabryk włókienniczych, hut szkła i papierni, rywalizując o pracę, coraz marniej zresztą opłacaną. Wkrótce po każdej szychcie zaczęły wybuchać zażarte walki, a tłumy ludzi z pustymi brzuchami gromadziły się na ulicach, żeby słuchać RABIN

152

podszczuwających agitatorów, którzy krzyczeli i wygrażali pięściami.

Początkowo poturbowano tylko kilku Żydów, niebawem wszakże ruszyły na getta regularne najazdy Polaków, którzy na chwilę zapominali o płaczu swoich głodnych dzieci, porwani zapalem katowania niegodziwców winnych ukrzyżowania Zbawiciela. Stanisław doszedł do wniosku, że jako zarządcy żydowskiego sklepu w Warce trudno mu będzie przekonać plądrujący motłoch, że sam nie jest Żydem.

Jednego popołudnia zniknął więc ze sklepu, nie zatroszczywszy się o zamknięcie drzwi, zamiast odprawy zabierając ze sobą tygodniowy utarg.

Czmychnął w samą porę, następnego wieczoru wpadł bowiem do getta w Warce podpity tłum. Krew popłynęła ulicami jak wino, tylko w sklepie nieboszczyka Chaima Grossa wino lało się niczym krew. Czego rabusie nie zdołali wypić ani wynieść, zniszczyli i rozlali. Nazajutrz, kiedy Żydzi lizali rany i grzebali pomordowanych, Max odkrył, że na dobrą sprawę nie

posiada już sklepu. Stratę przyjął z uczuciem ulgi. Jego prawdziwym powołaniem był jego naród i Bóg. Pomógł cadykowi odprawić cztery pogrzeby i modlił się wraz ze współbraćmi o pomoc Wiekuistego.

Kiedy kryzys minął, cadyk Lejbł przez dwa miesiące utrzymywał swojego ucznia. Max był gotów do sprawowania rabinatu nad własną gromadką, ale gdy zaczął się rozglądać za gronem wiernych, okazało się, że polscy Żydzi nie potrzebują już nowych rabinów, tysiącami opuszczali bowiem kraj, emigrując głównie do Anglii i Stanów Zjednoczonych.

Cadyk Lejbł starał się nie okazywać zmartwienia.

— Zostaniesz moim synem. Będziesz jadł to co my. Przyjdą jeszcze lepsze czasy.

Max patrzył, jak z miasteczka dzień w dzień wyjeżdżają kolejni Żydzi. Kto im w obcym otoczeniu pomoże znaleźć Boga? Kiedy zapytał o to cadyka Lejbła, nauczyciel wzruszył tylko ramionami.

Ale uczeń znał już odpowiedź.

Do Nowego Jorku przyjechał w porze sierpniowych upałów ubrany w długi ciężki gabardynowy płaszcz i czarny kapelusz. Przez dwie doby mieszkał w dwupokojowym miesz-

NOAH GORDON

kaniu Simona i Buni Wilensky, którzy wraz z trójką dzieci wyjechali z Warki na sześć tygodni przed jego wyruszeniem do Ameryki. Wilensky pracował w małej fabryczce, w której wyrabiano amerykańskie chorągiewki. Był szwaczem.

Zapewniał Maxa, że Bunia, jak tylko przestanie płakać, również polubi Amerykę. Nasłuchawszy się przez dwa dni szlochania Buni, nie mogąc dłużej znieść tych odgłosów i zapachu małych dzieci Wilenskych, Max opuścił ich mieszkanie i poszedł przed siebie przez East Side, aż trafił na jakąś synagogę. Wszedł i przedstawił swoją sprawę rabinowi, a ten wsadził go do taksówki i zawiózł do Związku Rabinów

Ortodoksyjnych. Związkowy rabin poinformował ze współczuciem, że nie dysponują w danej chwili nie obsadzonymi gminami, przychodzi jednak wiele próśb o kantorów, którzy mogliby śpiewać na świątecznych nabożeństwach. Czy jest chazanem, kantorem? Jeśli tak, mogą go posłać do gminy Bejt Israel w Bayonne w New Jersey. Tamtejsza szul jest skłonna zapłacić kantorowi siedemdziesiąt pięć dolarów.

Kiedy Max zaczął śpiewać, wierni w Bayonne wytrzeszczyli na niego z niedowierzaniem oczy. Już jako miody chłopiec umiał wszystkie śpiewy liturgiczne na pamięć, a każdą nutę znalazł jak najserdeczniejszego przyjaciela. W jego głowie melodia dźwięczała czysto i pięknie, lecz z ust wychodziło coś, co trudno nazwać śpiewem. Przybysz z Warki dysponował głosem tresowanej żaby. Po skończonym pierwszym- nabożeństwie przywołał go do siebie kategorycznym kiwnięciem palca surowy skarbnik gminy, pan Jacobson. Synagoga nie zdążyłaby się już wystarać o innego chazana. Max został poinformowany w krótkiej rozmowie, że nie otrzyma za swój śpiewaczy występ w czasie świąt siedemdziesięciu pięciu dolarów, tylko dziesięć, plus miejsce do spania.

— Za dziesięć dolarów — stwierdził pan Jacobson — nikt nie może żądać słowika.

Jego występy jako kantora były tak żałosne, że większość wiernych z synagogi zaczęła go unikać. Natomiast Jacobson stał się przyjaźniejszy. Był to łysy grubas o bladej cerze, ze złotym zębem na przodzie. Z kieszonki jego kraciastej marynarki wystawały zawsze trzy grube cygara. Zadawał mnóstwo pytań osobistej natury, a Max na wszystkie grzecznie od-

RABIN

powiadał. W końcu Amerikaner wyznał mu, że jest szadchanem, swatem.

— Najlepszym rozwiązaniem pańskich kłopotów byłaby dobra żona — oświadczył. — „Stworzył Bóg mężczyznę i kobietę. I rzekł do nich: «Płodni bądźcie i mnożcie się, napełniajcie ziemię i ujarzmiajcie ją»”.

Max słuchał jego słów chętnym uchem. Jako młody wybijający się talmudysta miał nadzieję wżenić się w jedną z bogatych żydowskich rodzin Warki. Gdyby dostał piękną żonę, która stworzyłaby mu dom, mającą wpływowych krewnych, którzy złożyliby się na sowity posag, życie w Ameryce mogłoby się okazać dużo przyjemniejsze.

Tymczasem Jacobson przyjrzał mu się uważnie i rzekł po angielsku, ponieważ wiedział, że Max tego języka nie rozumie.

— Och, ty naiwny gnojku, stroisz się, jakbyś zachęcał do pogromu. Do wielkoludów też nie należysz, żadna dziewczyna nie poczuje się przy tobie za drobna. — Westchnął. — Najlepsze co można o tobie powiedzieć, to że nie masz dziobatej gęby. — Po żydowsku zaś wyjaśnił, że w Ameryce popyt na polskich Żydów nawet w przybliżeniu nie dorównuje zapotrzebowaniu w Polsce.

— Niech pan zrobi, co się da — poprosił Max.

Lea Masnick była od niego starsza o pięć lat. Sierota, mieszkała ze swoim wujem, Lesterem Masnickim, i jego żoną Ethel. Masnickowie handlowali koszernymi kurczętami. Traktowali ją czule, dziewczynie wydawało się jednak, że śmierdzą pierzem i krwią, nawet gdy dopiero co wyszli z kąpieli. Nie przyszłoby jej nawet do głowy — Amerykance w drugim pokoleniu! — poślubienie imigranta, gdyby nie to, że już od lat żaden mężczyzna jej nigdzie nie zaprosił. Nie była brzydula, choć oczy miała zbyt małe, a nos za długi,

brakowało jej po prostu kobiecości; nie wiedziała, jak się uśmiechnąć do mężczyzny bądź sprawić, by on się roześmiał. Ostatnio jeszcze mniej niż dotąd czuła się kobietą. Jej płaskie jak naleśniki piersi rozpląszczyły się jakby jeszcze bardziej. Okresy miewała nieregularnie, przez kilka miesięcy w ogóle nie krwawiła; czasem nachodziły ją szalone podejrzenia, że jej tykowane ciało zmienia się — z nieużywania — w ciało chłopca. Miała dwa tysiące czterdzieści trzy dolary oszczędności w Banku Kredy-

155

NOAH GORDON

towym w New Jersey. Kiedy pan Jacobson zjawił się pewnego wieczoru w domu jej wuja i uśmiechnął się do niej znad filiżanki kawy, zrozumiała że kogokolwiek jej zaproponuje, ona musi kandydata zaakceptować, nie wolno jej zmarnować tej ostatniej szansy. Przebiegł ją dreszcz emocji i nadziei na wieść, że starający się jest rabinem. Czytywała angielskie powieści o żonatych duchownych i wyobrażała sobie, że jej życie małżeńskie upłynie na jakimś skromnym, lecz schludnym angielskim probostwie, tyle że z mezuzami na framugach drzwi. Kiedy zobaczyła kandydata na męża, brodatego kur-dupła ubranego w komiczny, wygnieciony strój, z dziwacznymi dziewczęcymi lokami na skroniach, zmusiła się co prawda, by rozmawiać z nim uprzejmie, ale oczy zaszczyły jej łzami.

Dziesięć dni przed ślubem wpadła w histerię i zaczęła krzyczeć, że za niego nie wyjdzie, jeśli się nie ostrzyże jak Amerykanin. Max by! wstrząśnięty, zdążył się już jednak zorientować, że amerykańscy rabini, z którymi się spotykał, nie noszą pejsów. Usiadł więc zrezygnowany na fotelu fryzjerskim i przyprowadził jakiegoś Włocha o chichotki, każąc mu obciąć sobie pejsy, które nosił przez całe życie. Bez pejsów poczuł się nagi. Następnie wujek Lei, Lester,

zaprowadził go do dużego sklepu i kupił mu szary dwurzędowy garnitur z wypchanymi ramionami. Max uznał wówczas, że przeistoczył się w goja.

Nie wzbudził jednak zbytniego zdziwienia swym wyglądem, kiedy zjawił się ponownie w biurze Związku Rabinów Ortodoksyjnych. Oznajmiono mu, że przychodzi w samą porę. Na Manhattanie powstała nowa gmina i jej członkowie zwrócili się do Związku z prośbą o znalezienie im rabina. Szaarej Szomajim była mała, liczyła jedynie kilku członków i wynajmowała jeden pokój na nabożeństwa, ale z czasem urosła, zapewnili go związkowi rabini. Max nie posiadał się z radości. Oto dostał swój pierwszy rabinat.

Młodzi małżonkowie wynajęli czteropokojowe mieszkanie dwie przecznice od szufl, wydawszy na meble lwią część posagu Lei. Noc poślubną spędzili w tym wynajętym mieszkaniu. Oboje byli zmęczeni po przejściach weselnego dnia i osłabli z głodu, nie byli bowiem w stanie przełknąć kurczaków,

156

RABIN

upieczonych na tę okazję przez ciotkę Ethel Masnick. Max siedział na nowej kanapie i kręcił gałką nowego radia, a jego świeżo poślubiona żona rozebrała się w sąsiednim pokoju i położyła do łóżka. Kiedy pan młody wyciągnął się obok, uświadomił sobie, że czubkiem głowy sięga ledwie do ucha małżonki, podczas gdy zimne palce jego stóp dotykają jej drżących kostek. Błone dziewczęcą miała twardą jak podeszwa. Max nacierał na nią z całej siły, mamrocząc gorączkowo modlitwy, przerażony, że hymen nie ustąpi, i wystraszony cichymi okrzykami strachu i bólu, jakie wydawała oblubienica. W końcu mu się powiodło i błona pękła, czemu towarzyszył przeszywający krzyk Lei. Po odbytych akcie miłosnym panna młoda odsunęła się na skraj łóżka i płakała,

częściowo z bólu i upokorzenia, a częściowo dlatego że jej dziwny mały mąż leżał! nagi na łóżku i śpiewał triumfalne pieśni po hebrajsku, w języku, którego nie rozumiała ani w zęb.

Początkowo Nowy Jork przytłaczał Maxa Grossa i przerażał. Na chodnikach tłoczyli się, przepychali i poszturchiwali jacyś obcy, wiecznie spieszący się dokądś ludzie. Jeźdnie roili się od samochodów, autobusów, tramwajów i taksówek, które trąbiły i napełniały powietrze smrodem benzynowych spalin. Panował nieopisany harmider i brud. A we własnym domu Maxa, gdzie powinien znajdować wytchnienie i spokój, mieszkała kobieta, która nie chciała z nim rozmawiać po żydowsku, choć była jego żoną. On nigdy nie zwracał się do niej inaczej jak w jidysz; ona nie odpowiadała mu inaczej jak po angielsku — prawdziwy pat. Co dziwne, jego małżonka oczekiwała ponadto, że będzie z nią rozmawiał podczas posiłków, i płakała, kiedy upierał się, że chce czytać przy jedzeniu. Pewnego wieczoru, krótko po ślubie, wyjaśnił jej łagodnie, że została żoną rabina, który wyrósł wśród chasydów. Żona chasyda, tłumaczył, powinna gotować, piec, szyc, prac, modlić się i bentschen licht, a nie mlec bezustannie jęzorem.

Każdego dnia wychodził wcześniej do szuła i zostawał tam do późna, ciesząc się spokojem. Bóg w Ameryce był ten sam co w Polsce, te same odmawiało się modlitwy. Max potrafił siedzieć przez cały dzień, studiować, modlić się i pograżać

i57
NOAH GORDON

w kontemplacji, póki nie zaczynały wydłużać się cienie. Jego gmina uważała go za człowieka bardzo uczonego, lecz nieprzystępnego. Szanowano go za wiedzę, ale nie kochano. Pewnego popołudnia, w niecałe dwa lata po ślubie, Lea spakowała swoje rzeczy do walizki z dermy i na kartce

zostawiła wiadomość dla męża, że od niego odchodzi. Autobusem pojechała do Bayonne w stanie New Jersey, wprowadziła się z powrotem do swojego dawnego pokoju w domu wujostwa Masnicków i zajęła się buchalterią w sklepie z kurczętami wujka Lestera. Po jej odejściu Max stwierdził, że musi wstawać rano o pół godziny wcześniej, żeby zdążyć do szuła na kadisz. Mieszkanie zupełnie zapuścił; na podłodze rosły wałeczki kurzu, a w zlewie piętrzyły się nie zmyte statki. Lea zdążyła już zapomnieć o smrodzie krwi i pierza unoszącym się w sklepie z kurczętami. Pod jej nieobecność buchalterię całkiem zaniedbano i w księgach panował kompletny bałagan. Biedaczkę dręczyły straszne bóle głowy, ledwo siadła przy starym biurku na zapleczu i starała się doprowadzić do ładu rachunki, mając uszy pełne gdakania kwok i piania kogutów. W nocy nie mogła zasnąć. Ów dziwny brodaty kogucik, za którego wyszła, był krzepki w miłości i przez dwa lata często sycił się jej ciałem. Myślała, że gdy od niego odejdzie, poczuje się wolna. Tymczasem zasypiając teraz w swoim dawnym panieńskim łóżku, odkrywała ze zdumieniem, że jej ręka sama wędruje między uda, a gdy zasypiała, śnił jej się — z szokującymi detalami — ten jurny pokurcz, rabin Max Gross.

Pewnego ranka, gdy jej palce biegały szybko po klawiszach maszynki do liczenia, a nos starał się ignorować odór kurzego łajna, Lea zaczęła wymiotować. Mdłości męczyły ją przez parę godzin. Wieczorem lekarz poinformował ją, że za siedem miesięcy wyda na świat dziecko. Następnego dnia późnym wieczorem Max wrócił z synagogi i zastał w kuchni krzątającą się żonę. Mieszkanie było do czysta wysprzątane. Z garnków szumiących i kipiących na piecu wydobywały się kuszące wonie. — Kolacja już prawie gotowa — oznajmiła rabiemu żona. Następnie zapewniła, że zadba, by nic mu nie przeszkadzało w studiach, żąda jednak, aby na stole nie leżały

RABIN

podczas posiłku żadne książki, w przeciwnym razie wyprowadza się natychmiast z powrotem do Bayonne.

Przytaknął uszczęśliwiony. Nareszcie zwracała się do niego tak, jak żydowska żona powinna: w jidysz.

Szaarej Szomajim nie wyrosła w dużą, prężną gminę. Max nie miał natury administratora, nie należał też do rabinów, którzy traktują synagogę jako instytucję użyteczności publicznej. W Szaarej Szomajim nie było ani Stowarzyszenia Synów, ani Stowarzyszenia Córek. Nie urządzano corocznego pikniku ani projekcji filmowych. Rodziny, którym marzyła się taka właśnie świątynia, szybko się rozczarowały, więc gdy w niedalekim sąsiedztwie zaczęły powstawać nowe gminy, większość tam się przeniosła, razem z rocznymi składkami. W rezultacie przy rabinie Grossie pozostała tylko garstka mężczyzn, którzy nie życzyli sobie, aby rozcieńczano ich religię działalnością kulturalno-oświatową.

Większą część życia Max Gross spędzał w ciasnym ciemnym pokoiku nad Torą. Jego rodziną byli prorocy. Lea urodziła mu syna, któremu dali na imię Chaim. Żył trzy lata, a zmarł z powodu perforacji wyrostka robaczkowego. Trzymając synka w ramionach w jego ostatnich godzinach i czując, jak ucieka z niego życie, a drobna twarzączka płonie od gorączki, Max wyznał żonie, że ją kocha. Nigdy więcej tego nie powtórzył, ale Lea na zawsze zapamiętała te słowa. Było to za mało, żeby zadośćuczynić za samotność, która nigdy nie przestała jej doskwierać, za ból po stracie dziecka, za pustkę dni, za świadomość, że nie wygra rywalizacji z Bogiem, ale zawsze coś.

Po paru latach, w czasie których szul coraz bardziej podupadała i biedniała, zjawili się u Maxa starcy z jego gminy z drobną sumką, dowodem przywiązania, który rabina

zdumiał, oznaczał bowiem, że otacza go miłość. Rabin Gross nigdy nie szukał bardziej dochodowej synekury. Skromna kwota, jaką wierni przeznaczali na jego roczne uposażenie, wystarczała mu w zupełności. Dwa razy doprowadził Lee do furii, gdy odmówił przyjęcia niewielkiej podwyżki, oświadczając przewodniczącemu szuł, że Żydowi powinny wystar-

NOAH GORDON

czyć do szczęścia tales i miska strawy. W końcu Lea osobiście wybrała się do gminy i przyjęła podwyżkę w jego imieniu. Max Gross czuł się samotny jedynie wtedy, gdy myślał o chasydach. Dowiedziawszy się pewnego razu, że w Williamsburgu mieszkają jakieś rodziny z Warki, odbył długą podróż kolejką podziemną i odszukał krajanów. Pamiętali go na szczęście, co prawda nie jako konkretną osobę, lecz jako legendę, iluj, cudowne dziecko, ulubieńca cadyka Lejbła, niech odpoczywa w pokoju. Max posiedział z nimi, kobiety podały nahit; kilku spośród mężczyzn wciąż nosiło brody, ale nie byli chasydami. Brakowało im przywódcy, wielkiego cadyka, u którego stołu mogliby się zbierać, by słuchać słów mądrości i połykać kąski świętej strawy. Nie tańczyli w parach, nie przeżywali uniesień radości, siedzieli tylko i wzdychali, wspominając di alte hejm, stary dom, który dawno temu porzucili. Max więcej ich nie odwiedził.

Czasami spierał się zajadle na temat Prawa ze starcami ze swojej gminy, ale najpłodniejsze debaty toczył w samotności, siedząc w ciemnej i ciasnej szuł ze stojącą na stole obok otwartych ksiąg odkorkowaną butelką whisky. Po trzecim, czwartym łyku czuł, jak umysł rozjaśnia mu się i zrzuca pęta, a dusza wznosi się w wyższe szczęśliwsze rejony. Po jakimś czasie zaczynał słyszeć głos. Jego oponentem był nieodmiennie cadyk Lejbl. Max nie widział co prawda tego wybitnego człowieka, ale słyszał jego mądry powolny głos —

jeśli nawet nie w pokoju, to we własnej głowie — i ścierali się po dawnemu na rozumy, a głos parował i odbijał każdy filozoficzny wypad Maxa, mając zawsze na podorędziu stosowny biblijny cytat bądź precedens prawny. Kiedy Max zanadto rozpalił się w sporze i zmęczył, głos odpływał, a rabin pił dopóty, dopóki pokój nie zaczynał mu wirować przed oczami, a wtedy zapadał się w fotelu, zamykał powieki i stawał się na powrót małym chłopcem, którego trzymają za ramiona dłonie dorosłego mężczyzny i okręcają wokół pokoju w rytm szybkiego basowego dudnienia śpiewających głosów. Zdarzało się, że muzyka rozbrzmiewająca w głowie kołysała go do snu.

Pewnego popołudnia, odemknawszy powieki po takiej drzemce, Max Gross pomyślał z radością, że dane mu wreszcie zostało nie tylko usłyszeć, ale i zobaczyć cadyka Lejbła. Po

160

RABIN :

chwili zdał sobie jednak sprawę, że pochyla się nad nim jakiś wysoki młodzieniec, którego już gdzieś chyba spotkał.

— Pan sobie życzy? — zapytał.

W oczach młodego człowieka, podobnych trochę do oczu cadyka z Warki, malował się jakiś dziwny wyraz. Stojąc przed stołem Maxa podsunął mu ciastko w pudełku z koszernej piekarni, jakby to był bilet wstępu.

— Proszę mi opowiedzieć o Bogu — poprosił.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

W szarych pustych godzinach nadrannych Michaela coraz częściej dręczyły wątpliwości — początkowo lekko, potem zaskakująco dotkliwie — czy Bóg naprawdę istnieje.

Mrugając powiekami wpatrywał się w ciemność, wierci! się i przewracał na łóżku, aż skopywał prześcieradło. Modlił się od dziecka, a teraz począł się zastanawiać, dokąd jego modlitwy

ulatuja. Cóż bowiem, jeśli modli się jedynie do śpiewnej ciszy uśpionego mieszkania, kieruje swoje pragnienia i lęki do kosmicznej pustki, zanosi dzięki potędze nie dysponującej większą władzą od kotów, które z cichym zgrzytem tępią sobie pazury na podpórkach do suszenia prania w zaułku pod oknem?

Kiedy te pytania stały się tak natrętne, że aż wpędziły Michaela w bezsenność, wybrał się pewnego dnia do rabina Grossa, aby się z nim zmierzyć, już z góry nienawidząc go za spokojną pewność siebie, jaka zeń emanowała. Siedząc po przeciwnych stronach zniszczonego biurka przyglądali się sobie przez obłoczki pary unoszące się nad kubkami z herbatą i przygotowywali do starcia.

— Co chciałby pan wiedzieć?

— Skąd ma pan pewność, że to nie człowiek stworzył Boga, bo bał się ciemności, bał się zimna i szukał ochrony przed całym światem, nawet przed własną głupią wyobraźnią?

— Co każe panu sądzić, że tak właśnie było? — zapytał spokojnie Max.

ir Rabin

161

NOAH GORDON

— Nie wiem, jak było! Ale wiem, że życie istnieje na ziemi od ponad miliarda lat i gdziekolwiek pan spojrzy, na jakąkolwiek prymitywną kulturę, zawsze natrafi pan na coś, do czego się modlono, jakąś upačkaną błotem drewnianą statuę, słońce, jakiś grzyb albo gigantyczny kamienny członek.

— Vos meint członek?

— Potz.

— Aha! — Dla kogoś, kto toczył spory z cadykiem z Warki, wątpliwości tego młodzieńca nie stanowiły poważnego

wyzwania. — A kto stworzył ludzi, aby czcili te odrażające bałwany? Kto stworzył życie?

Dla kogoś, kto na Uniwersytecie Columbia specjalizował się w fizyce, odpowiedź na to pytanie nie nastęczała trudności. — Pewien Rosjanin o nazwisku Oparin twierdzi, że życie mogło się zrodzić w następstwie przypadkowego powstania związków węgla. — Michael zerknął na Grossa, spodziewając się dostrzec u niego zniecierpliwienie, jakie okazują laicy, kiedy wciąga się ich w dyskusję naukową, tymczasem dostrzegł jedynie zainteresowanie. — Atmosfera ziemska nie zawierała pierwotnie tlenu, obfitowała za to w metan, amoniak i parę wodną. Oparin twierdzi, że wyładowania elektryczne błyskawic w tym środowisku wytworzyły aminokwasy, surowiec życia. Następnie cząsteczki organiczne przez miliony lat rozwijały się w prawiecznych bajorach, aż dobór naturalny doprowadził w końcu do powstania bardziej złożonych istot, z których jedne wiły się jak węże, inne miały spięte błonami palce, a jeszcze inne wymyśliły Boga. — Popatrzył wyzywająco na rabiego Grossa. — Czy pan rozumie, co mówię?

— Wystarczająco. — Max pogładził brodę. — Przyjmijmy na chwilę, że to prawda. Niech pan jednak pozwoli, że zadam mu jedno pytanie: a kto dostarczył... jak to pan powiedział?... metanu, amoniaku i wody? I kto zesłał błyskawice? I skąd wziął się świat, w którym mogły się dokonać te cudowne zdarzenia?

Michael milczał. Gross uśmiechnął się.

— Oparin, oszmarin — mruknął cicho. — Pan naprawdę nie wierzy w Boga?

162

— Wydaje mi się, że jestem agnostykiem.

— Czyli kim?

— Kimś, kto nie jest pewny, czy Bóg istnieje, czy nie.

— A nie, w takim razie niech się pan lepiej nazwie ateistą! Jakże bowiem można być pewnym istnienia Boga? Według pańskiej definicji wszyscy jesteśmy agnostykami. Czy pan sądzi, że ja posiadam naukową wiedzę na temat Boga? Czy mogę cofnąć się w czasie do chwili, w której Bóg przemawiał do Izaaka albo dawał przykazania Mojżeszowi? Gdyby to było możliwe, na świecie istniałaby tylko jedna religia.

Wiedzielibyśmy wszyscy, które z wyznań głosi prawdę.

Tak jak się rzeczy mają — ciągnął rabin — każdy człowiek musi dokonać własnego wyboru. Każdy musi podjąć decyzję.

Na temat Wiekuistego i pan, i ja nie wiemy właściwie nic. Ale ja opowiedziałem się za Nim, pan — przeciwko Niemu.

— Przeciwko nikomu się nie opowiedziałem — odburknął cierpko Michael. — Dlatego tu jestem. Nurtują mnie różne pytania. Chciałbym studiować pod pana kierownictwem.

Rabin Gross dotknął ręką piętrzącej się na stole sterty książek.

— Te księgi zawierają wiele głębokich myśli — rzekł. — Nie znajdzie w nich pan jednak odpowiedzi na swoje pytanie. One panu nie pomogą w podjęciu decyzji. Najpierw musi się pan opowiedzieć: za albo przeciw. Potem możemy przystąpić do studiów.

— Niezależnie od tego co postanowię? Przypuśćmy, że przyjmę, iż Bóg jest wymysłem, jakimś bube-majse.

— Niezależnie od tego.

Wyszedłszy od rabina, Michael obejrzał się jeszcze w ciemnej sieni na zamknięte drzwi szufl. Bóg z tobą, ciemny klecho, pomyślał, po czym uśmiechnął się rozbawiony własnym doborem słów.

163

NOAH GORDON

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Ruthie zmieniła się w nieszczęśliwą płakę, z którą Michael nie miał już ochoty wdawać się w słowne utarczki. Odgłosy

jej chlipania docierały do niego prawie każdej nocy, dźwięki rutynowe jak warczenie silnika lodówki. Rodzice próbowali rozerwać córkę finansując jej cotygodniowe wypadki na narty, wizyty u psychiatry oraz zapraszając do domu co przystojniejszych synów i krewniaków swoich znajomych. Wszystko na próżno. W końcu Abe Kind wysłał przekaz pieniężny i długi list do kibucu Tikwa le'Machar w Palestynie i w sześć tygodni później do biura reklamy sieci Columbia Broadcasting System wkroczył Saul More. Ruthie zerwała się z miejsca, krzyknęła i najautentyczniej zemdląła. Saul okazał się — ku rozczarowaniu rodziny — typowym cudzoziemcem. Niższy niż sądzili na podstawie fotografii, pyka! fajkę z korzenia wrzośca jak typowy Anglik, nosił gruby tweedowy garnitur, mówił z angielskim akcentem i miał stopień magistra uniwersytetu londyńskiego. Polubili go jednak przy bliższym poznaniu, a Ruth odzyskała rumieńce. Drugiego dnia pobytu Saula w Nowym Jorku młodzi oznajmili rodzinie dziewczyny, że zamierzają się pobrać. Zamieszkania w Stanach Zjednoczonych nie brali nawet w rachubę. Niemieccy Żydzi, którym udało się uciec z kraju, przedzierali się do Palestyny. Saul oświadczył, że w takim czasie żaden syjonista nie może porzucić Erec Israel. Za trzy tygodnie wracają do kibucu na pustyni.

— Ot i macie amerykański mit o karierze! — stwierdził kwaśno Abe. — Tyrałem przez całe życie, odkładałem grosz do grosza i na stare lata zafundowałem własnej córce wieśniaka.

Dał młodym do wyboru: wystawne wesele albo skromną rodzinną chupę plus trzy tysiące dolarów na rozpoczęcie wspólnego małżeńskiego życia w Palestynie. Saul z widoczną satysfakcją odrzucił ofertę finansowego wsparcia. „Wszystko, czego będziemy potrzebowali, dostaniemy od kibucu.

Wszystko, co posiadamy, będzie własnością kibucu. Proszę
wiec

164

RABIN

zatrzymać swoje dolary". Wolałby skromną chupę od uroczystej ceremonii, ale Ruthie zdołała go przekonać do wesela w hotelu „Waldorf-Astoria”, niedużego, lecz bardzo szykownego — była to ostatnia dla niej okazja wytarzania się w luksusie. Przyjęcie kosztowało dwa tysiące czterysta dolarów. Saul zgodził się przyjąć pozostałe sześćset dolarów jako datek na kibuc. Kwota ta stała się załączkiem dość okazałej sumy, jaka urosła ze ślubnych podarków, ofiarowywanych w gotówce bądź na nią następnie obracanych, niewiele jest bowiem przedmiotów, których może potrzebować młoda para rozpoczynająca życie w komunistycznej wspólnotce na pustyni. Michael ofiarował Ruthie staroświecki nocnik, dorzucił dwadzieścia dolarów na kibucowy fundusz. Na weselu wypił za dużo szampana i odtańczył kilka tanecznych kawałków wciskając prawą nogę między uda Mimi Steinmetz, od czego na wysokich kościach policzkowych dziewczyny zapłonęły rumieńce i zaiskrzyły się jej kocie oczy.

Ceremonię ślubną odprawił rabin Joshua Greenberg z synagogi Synów Jakuba. Był to szczupły, wytwornie ubrany mężczyzna ze starannie przystrzyżoną szpicbródką i aksamitną wymową, mający zwyczaj wymawiania grasejowanego „r” w momentach szczególnie podniosłych, jak na przykład wtedy gdy zapytał Ruthie, czy będzie kochała, szanowała i dochowywała wier-r-rności swojemu mężowi. W połowie ceremonii Michael stwierdził, że porównuje rabina Greenberga z Maxem Grossem. Obaj byli rabinami ortodoksyjnymi, ale na tym podobieństwo się kończyło, z zabawną wręcz raptowno-ścią. Rabin Greenberg pobierał

pensję roczną w wysokości trzynastu tysięcy dolarów. Na jego nabożeństwa przychodzili dobrze ubrani mężczyźni z klasy średniej, którzy wzdychali, gdy przychodziło im składać datki na szul, lecz je składali. Jeździł czterodrzwiowym sedanem marki Plymouth, który co dwa lata wymieniał na nowy. Każdego lata spędzał z żoną i pulchną córeczką trzy tygodnie w koszernym kurorcie w górach Catskill, gdzie rachunki płacił po części honorariami za odprawiane w szabat nabożeństwa. Podczas przyjęć, jakie państwo Greenberg wydawali w swoim apartamencie w Queens, mieszczącym się w nowym budynku z mieszka-

165

NOAH GORDON

niami hipotecznymi, stoły nakrywano śnieżnobiałymi obrusami, a potrawy podawano na srebrnej zastawie.

Trudno nie zauważyć, skonstatował Michael patrząc, jak rabin podtyka kielich weselnego wina najpierw Ruthie, a potem Saulowi, że w porównaniu z Joshuą Greenbergiem Max Gross to niechluj i golec.

Kielich, owinięty w chustkę, żeby szkło się nie rozprysnęło, został strzaskany jak kafarem obcasem Saula, siostra Michaela pocałowała męża i goście weselni pospieszyli z życzeniami.

Maże} tow!

Nie zadowolając się wymordowywaniem narodu Michaela Kinda, Hitler przyczynił się ponadto do zburzenia jego życia erotycznego. Przemysł kapeluszniczy zaczął produkować czapki dla wojska, więc związek zawodowy pozbył się komunistów i zaprzestał pikietowania zakładów zbrojeniowych. Far-ley nie miał już po co jeździć do Danbury, a Edna nigdy więcej nie zaprosiła do siebie Michaela. Po jakimś zaś czasie oboje zwrócili się do niego z prośbą, żeby został świadkiem na ich ślubie, więc pewnego mroźnego piątkowego poranka udał się z nimi do Urzędu Miejskiego. W

prezencie ofiarował państwu młodym srebrną tacę — trochę zresztą za drogą jak na jego kieszeń — do której dołączył karteczkę ze słowami: „Znajomość z wami uważam za jedno z moich najważniejszych doświadczeń życiowych”. Farley aż uniósł brwi ze zdumienia i oświadczył, że Michael musi przyjść do nich na kolację. Edna zaczerwieniła się, zmarszczyła czoło i przycisnęła tacę do piersi. Od tamtej pory Michael prawie Farleyów nie widywał, nawet w Stowarzyszeniu Studentów, toteż po jakimś czasie przeżycia, jakich zaznał w łóżku Edny, zaczęły mu przypominać epizod z dawno przeczytanej książki i poczuł się znowu jak trawiony pożądaniem prawiczek.

Jeden z jego kolegów, Maury Silverstein, ubiegał się o miejsce w reprezentacji bokserskiej Queens College. Pewnego wieczoru Michael wybrał się z nim do sali gimnastycznej, żeby odbyć sparing. Maury był zbudowany jak Tony Galento,

166
RABIN

nie należał jednak do młócących niczym cepem osiłeków; jego lewa kasała dotkliwie, a w prawej drzemał dynamit. Pomysł, żeby Michael skrzyżował z nim rękawice, miał na celu zdobycie przez Maury'ego doświadczenia w walce z wyższym przeciwnikiem, o większym zasięgu ramion. Początkowo Silverstein obchodził się z kolegą ostrożnie, toteż sparing wydawał się Michaelowi przez kilka minut dość nawet przyjemnym ćwiczeniem. Ale potem bokser zanadto się rozkręcił; rytmiczny łomot rękawic sprawił, że zapomniał, z kim walczy. Michael uzmysłowił sobie nagle, że spada nań zewsząd grad ciosów. Na podbródku eksplodowała mu bomba. Podniósł gardę — i następna eksplozja w okolicach przepony posłała go na matę.

Siedział na ringu i chwycił haustami powietrze. Silverstein, z mgiełką w oczach i podniesionymi wciąż rękawicami, kołysał

się nad nim na piętach. Po chwili mgielka w jego oczach poczęła się rozwiewać, opuścił rękawice i popatrzył ze zdumieniem na Michaela.

— Piękne dzięki, ty zabijako! — mruknął znokautowany. Silverstein przyklęknął i zaczął bełkotać słowa przeprosin. Pod natryskiem Michael poczuł się niedobrze, ale gdy wycierał się ręcznikiem w szatni i przejrzał się w lustrze, ogarnęła go jakaś dziwna duma. Miał spuchniętą wargę i podsiniaczone lewe oko. Dał się namówić Maury'emu — poszli razem do mieszczącej się w pobliżu kampusu knajpy o nazwie „Świńskie Oko”. Obsługiwała ich chuda rudowłosa kelnerka o niebywale spiczastych piersiach i z lekka zajęczych zębach. Spojrzawszy na zmaltretowane oblicze Michaela, pokręciła głową.

— Jeden gość dobierał się do ślicznej kelnereczki, więc dałem mu w dziób — pochwalił się Michael.

— Właśnie widzę — stwierdziła bez uśmiechu. — A swoją drogą szkoda, że cię nie ukatrupił, za to żeś się wtrącał. Bo to kelnerka nie ma prawa się zabawić?

Przyniósłszy im drugą kolejną piwa, umoczyła palec w pianie nad kuflem i dotknęła zimnym wilgotnym opuszką sińca pod okiem Michaela.

— O której kończysz pracę? — zapytał.

— Za dwadzieścia minut.

167

NOAH GORDON

Odprowadził ją wzrokiem, gdy kręcąc zgrabnym tyłeczkiem oddalała się od stolika.

Silverstein starał się nie okazywać podniecenia.

— Posłuchaj — szepnął — starzy wyjechali do mojej siostry w Hartford. Mam wolną chatę. Może ta mała wytrasnęłaby jakąś cizję i dla mnie?

Ruda kelnerka miała na imię Lucille. Podczas gdy Michael telefonował do domu, by uprzedzić matkę, że nie wróci na noc, Lucille przyprowadziła dziewczynę dla Maury'ego — niską blondynkę o imieniu Stella. Stella miała grube łydki i bez przerwy żuła gumę, mimo to Maury sprawiał wrażenie niezmiernie zadowolonego. W taksówce dziewczęta usiadły im na kolanach i Michael zauważył na karku Lucille małego pryszczaka, a kiedy w windzie zaczęli się całować i Lucille rozchyliła wargi, poczuł na języku smak cebuli.

Maury wyjął z szafy butelkę szkockiej whisky; dwie kolejki wypili we wspólnym towarzystwie, po czym pary się rozdzieliły. Maury i jego partnerka zniknęli w pomieszczeniu, które — jak się Michael domyślił — było sypialnią państwa Silversteinów, ozdabiała je bowiem wielkie podwójne łóżko. Lucille i on sam ułożyli się na kanapie w salonie. Uwagi Michaela, gdy dziewczyna podstawiła mu usta do pocałunku, nie uszły węgry na jej podbródku. Po chwili zgasiła światło. Z sąsiedniego pokoju dobiegło niebawem stęknienie Silversteina, a po nim stłumiony śmiech.

— Już, Lucille?! — zawołała Stella.

— Nie jeszcze! — odkrzyknęła ze złością Lucille.

Michael usiłował sobie wyobrazić inne kobiety: Ednie Roth, Mimi Steinmetz, a nawet Ellen Trowbrigde. Podczas samego aktu, który wkrótce nastąpił, Lucille leżała nieruchomo jak kłoda i przez cały czas buczała przez nos. Kwiecień w Paryżu, pomyślał w oszołomieniu Michael. Kiedy już było po wszystkim, zapadli oboje na krótko w płytką drzemkę, po czym Lucille wysunęła się spod niego.

— Już! — zawołała rażno, zmierzając nago w stronę sypialni. W drzwiach minęła się ze Stella. Cały ten manewr, uświadomił sobie Michael, został przeprowadzony z wprawą nabytą zapewne podczas wielu podobnych okazji. Zmiana

RABIN

partnerek nawet go w pierwszej chwili podnieciła, lecz gdy grubawa Stella położyła się obok, gdy dotknął palcami ciastowatych fałd i zaleciał go odór nie tyle kobiecego, co nie mytego ciała, poczuł się nagle impotentem.

— Poczekaj chwilkę! — szepnął.

Jego ubranie leżało zmięte na dywanie w nogach kanapy. Pozbierał je i przez ciemny salon przeszedł na palcach do holu, gdzie ubrał się pospiesznie, nie tracąc czasu na wiązanie sznurowadeł.

W drzwiach usłyszał zdziwione wołanie Stelli. Zjechał windą na dół i ruszył przed siebie wyciągniętym krokiem. Była druga po północy. Pierwszą taksówkę dojrzał dopiero po dobrej półgodzinie marszu i choć do domu miał już tylko dwie przecznice, przywołał ją.

Rodzice na szczęście spali, kiedy wchodził cichaczem do mieszkania. Wyszorował w łazience zęby i wziął długi gorący prysznic namydlając się przy tym obficie.

Nie chciało mu się spać. W piżamie i szlafroku wymknął się z mieszkania i ciszką, jak złodziej, wszedł po schodach na dach. Stąpając na palcach, żeby nie obudzić mieszkających na najwyższym piętrze Waxmanów, podszedł do komina i usiadł, opierając się plecami o jego ceglany bok.

W powietrzu czuło się już wiosnę. Na niebie iskrzyły się gwiazdy. Michael podniósł głowę i wpatrywał się w nie, aż oczy zaczęły mu łzawić od wiatru, a białe lśniące, punkciki rozpląwały się i wirowały. W tym musi być coś więcej, pomyślał. Maury nazwał te dziewczęta dupami, ale w takim razie oni sami byli kutasami. Michael obiecał sobie, że nie pójdzie więcej do łóżka z dziewczyną, w której nie będzie zakochany. Gwiazdy płonęły wyjątkowo jasno. Zapalił papierosa i usiłował sobie wyobrazić, jak by wyglądało wygwieżdżone niebo, gdyby nie ćmiła go luna miejskich

świateł. Co utrzymuje tam w górze te świecące kule? — zapytał sam siebie, udzielając sobie zaraz gotowej odpowiedzi. Pamiętał coś piąte przez dziesiąte o wzajemnym przyciąganiu, siłach grawitacji, pierwszej i drugiej zasadzie dynamiki Newtona. Ale gwiazd jest takie mrowie, są rozrzucone po tak bezmiernych przestworach, a przy tym tak wyważone, poruszają się z taką regularnością, biegając precyzyjnie po swoich orbitach jak

169

NOAH GORDON

trybiki jakiegoś ogromnego doskonale skonstruowanego zegara. Regułki z podręczników tu nie wystarczały, w tym musiało się kryć coś więcej, w przeciwnym razie cała ta piękna skomplikowana maszyneria byłaby pozbawiona wartości i sensu, jak seks bez miłości.

Odpalił papierosa od papierosa i odrzucił niedopałek za krawędź dachu; spadając rozjarzył się jak gwiazda nowa, ale Michael tego nie widział. Stał z zadartą głową i wpatrywał się w wygwieżdzone niebo, starając się dojrzeć to, co kryło się nad konstelacjami.

Kiedy po południu tego dnia otworzył drzwi synagogi Szaarej Szomajim, ujrzał za stołem do nauki jakiegoś starca pogrążonego w cichej rozmowie z Maxem Grossem. Michael usiadł na drewnianym składanym krześle w tylnym rzędzie i cierpliwie czekał. W końcu starzec westchnął, poklepał rabiego po ramieniu, dźwignął się z trudem na nogi i opuścił szul. Michael podszedł do biurka. Rabi Gross podniósł na niego oczy.

— A więc? — zapytał.

Michael milczał. Rabin przyglądał mu się przez chwilę, po czym skinął z zadowoleniem głową.

— A więc tak!

Ze stosu książek na stole wydobył Gemarę i Rasziego komentarze Biblii.

— A więc bierzemy się do roboty — rzekł cicho.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Michael dopiero po pięciu miesiącach złamał śluby czystości. Na bar micwie synka siostry szwagra Maury'ego, z którym wybrał się na tę uroczystość do Hartford, poznał siostrę konfirmanta, szczupłą dziewczynę o czarnych włosach, wyjątkowo gładkiej białej skórze i delikatnych, jakby woskowych nozdrzach. Tańcząc z nią wieczorem na przyjęciu odkrył, że jej

. 170

RABIN

włosy pachną przyjemnie czystością, jak woda z mydłem, która wyschła na słońcu. W pewnej chwili wymknęli się oboje z domu i pojechali plymouthem Maury'ego wiejską dróżką, odchodzącą od Wilbur Cross Parkway. Michael zatrzymał plymoutha pod olbrzymim kasztanowcem, którego najniższe gałęzie przeszorowały po dachu samochodu, i zaczęli się z dziewczyną namiętnie całować, a dalej wydarzenia potoczyły się same, nie zaplanowane i nieprzewidziane. Kiedy później palili na spółkę jednego papierosa, wyznał jej, że złamał właśnie przyrzeczenie, jakie sobie złożył, że nie zrobi tego nigdy z nie kochaną kobietą.

Oczekiwał, że się roześmieje, ale ona najwyraźniej przyjęła jego wyznanie jako bardzo smutną nowinę.

— Naprawdę? — spytała z przejęciem. — Mówisz poważnie?

— Poważnie. A ciebie nie kocham — powiedział, dorzucając spieszenie: — Bo i nic dziwnego, przecież ledwo cię znam.

— Ja cię też nie kocham. Ale bardzo mi się podobasz — powiedziała. — Czy to nie wystarczy? Zgodzili się oboje, że od biedy tak.

Tego lata, po drugim roku studiów, Michael pracował jako laborant techniczny w pracowni fizycznej na kampusie, mył szkło laboratoryjne, wycierał i chował do futerałów mikroskopy, przygotowywał instrumenty do eksperymentów, których celu ani wyniku nie znał. Co najmniej trzy razy w tygodniu odbywał studia z rabinem Grossem. Kiedy wracał po pracy do domu, Abe zwykł pytać z ożywieniem:

— No i co tam słysząc u pana Einsteina?

Michael udzielał ojcu odpowiedzi, przez które przebijał, choć starał się to ukryć, jawny brak entuzjazmu i pełna rozczarowania obojętność dla fizyki i nauk ścisłych w ogólności. Kilka razy przy takich okazjach chłopak wyczuł, że ojciec chciałby z nim poważniej porozmawiać, ale się pohamowywał, a Michael go nie naciskał. W końcu pewnego niedzielnego ranka, na dwa tygodnie przed początkiem roku akademickiego, na propozycję Abe'a pojechali obaj do Sheepshead Bay, gdzie wypożyczyli łódkę i kupili pudełko pełne obrzyd-

171

NOAH GORDON

liwych robaków. Michael usiadł do wiosł i odbili od brzegu. Kiedy odpłynęli na odpowiednią odległość od lądu, zarzucili gruntówki, ale flądry, jakby rozumiejąc potrzebę pana Kinda odbycia rozmowy z synem, nie kwapiły się do skubania przynęty.

— Więc co będzie. O tej porze za rok? Michael otworzył i dwie butelki piwa, jedną podał ojcu. Nie były dość schłodzone i wylała się z nich piana.

— Z kim, tato?

— Z tobą, ma się rozumieć. — Abe zerknął na syna. — Od trzech lat studiujesz fizykę, dowiadujesz się, że świat jest zbudowany z mikroskopijnych cząsteczek, których nie da się dostrzec gołym okiem. Już wkrótce podejmiesz kolejny rok

tych studiów, chociaż ich nie lubisz. Widzę to. — Wypił trochę piwa. — Mam rację czy nie?

— Masz.

— No więc co? Medycyna? Prawo? Oceny masz dobre, głowę nie od parady. Mam dość pieniędzy, żeby cię wykierować na lekarza albo na prawnika. Wybór należy do ciebie.

— Ani jedno, ani drugie, tato.

Poczuł dwa ostre szarpnięcia i zaczął wyciągać ociekającą wodą żyłkę, zadowolony, że ma się czym zająć.

— Jesteś już dorosły, synu, rozumiesz już może pewne sprawy. Czy mi wybaczyłeś?

A niech to jasna cholera! — pomyślał ze złością chłopak.

— Co takiego?

— Doskonale wiesz, o czym mówię. Tamtą dziewczynę. Michael nie wiedział, gdzie ma podziąć oczy, zapatrzył się więc w oślepiającą blankiem słońca wodę.

— Daj spokój, tato. Nie ma sensu do tego wracać.

— Nie, musisz mi odpowiedzieć. Czy mi wybaczyłeś?

— Tak... I dajmy już temu spokój!

— Posłuchaj, synu. — Michael usłyszał w głosie ojca ulgę, wzruszenie i nadzieję. — To dowodzi, jacy naprawdę jesteśmy sobie bliscy, skoro zdołaliśmy przetrwać coś takiego! Mamy firmę, która od dawna służyła naszej rodzinie. Dobrą firmę.

Na końcu żyłki wisiała flądra wielkości płaskiego talerza.

Kiedy Michael wciągnął ją na łódkę, ryba zaczęła się miotać,

172

. ' ' RABIN

przewróciła butelkę i pieniące się piwo oblało tenisówkę chłopaka.

— Kiedyś myślałem, że dam sobie radę — ciągnął Abe

— ale jestem człowiek niedzisiejszy, nie znam się na wielkich interesach, uczciwie przyznaję. Za to ty, synu... Poszedłbyś na

rok na wydział zarządzania Harvardu, wróciłbyś z głową pełną nowoczesnych metod i „Gorsety Kinda” podbiłyby rynek. Zawsze o tym marzyłem.

Chcąc unieruchomić rzucającą się rybę Michael postawił stopę w oblanym piwem bucie na jej płaskim, brązowo nakrapianym grzbiecie i poczuł przez cienką gumową podszewę fale spazmatycznych dreszczy. Haczyk wbił się głęboko. Flądra leżała na białym ślepym brzuchu i patrzyła na młodzieńca dwójkiem wypukłych oczu, jeszcze błyszczących, nie powleczonych szklistością.

— Przestań, tato! Przepraszam! — zawołał Michael jednym tchem i zaczął wyjmować haczyk, mając nadzieję, że to nie boli, choć czuł, jak wyciągając zadziór rozdziera ciało ryby. — Mam zamiar zostać rabinem — zakończył.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Świątynia Emanuela w Miami Beach okazała się wielkim ceglany gmachem z białymi kolumnami w stylu georgiańskim i szerokimi schodami z białego marmuru. Zatopione w marmurze kryształki, wydeptywane przez lata stopami wiernych, nabrały lśniącej szklistości, toteż schody błyszczały oślepiająco w jaskrawym słońcu Florydy. Wewnątrz budynku, wyposażonego w niemal bezszmerowy system klimatyzacji, mieściła się świątynia z rzędami obitych czerwonym pluszem krzeseł, wytłumiona sala balowa, kompletnie wyposażona kuchnia, niekompletna biblioteka dzieł żydowskich oraz mały, ale wysłany dywanem gabinet zastępcy rabina.

Michael siedział w chmurnym nastroju za politurowanym na wysoki połysk biurkiem, o kilkanaście tylko centymetrów kwadratowych mniejszym od biurka w wielkim gabinecie

i73
NOAH GORDON

w głębi holu, dominium rabina Joshuy L. Flagermana. Zadzwoił telefon.

— Słucham? — rzucił Michael do słuchawki.

— Czy mogę mówić z rabinem?

— Rabinem Flagermanem? Nie ma go w tej chwili — powiedział po krótkim wahaniu. Podał telefonującemu numer domowy rabiego. Mężczyzna podziękował mu i odłożył słuchawkę.

Michael pracował w świątyni Emanuela od trzech tygodni, czyli przez okres dostatecznie długi, by uzyskać pewność, że popełnił błąd zostając rabinem. Pięć lat studiów rabinicznych w Żydowskim Instytucie Religijnym przykro go rozczarowało. W instytucie świecił przykładem. „Jak klejnot wśród reformowanych kamieni polnych” — skomentował to z sarkazmem Max Gross, który nie krył, że czuje się zdradzony, ponieważ Michael wybrał Reformę jako drogę do rabinatu. Łączące ich więzi duchowe nie uległy zerwaniu, lecz nie osiągnęli tego stopnia bliskości, jaki mogliby osiągnąć, gdyby Michael został rabinem ortodoksyjnym. Młodzieniec miałby trudności z wyjaśnieniem dokonanego wyboru. Wiedział tylko, że świat szybko się zmienia, i uznał Reformę za najlepszy sposób nadażenia za tymi zmianami.

Latem pracował w ochronce na dolnym Manhattanie, próbując dzieciom tonącym w niewidzialnych odmętach podawać słomki wiary. Ojcowie niektórych z nich służyli w wojsku, matki pracowały na dwie zmiany w fabrykach zbrojeniowych bądź sprowadzały do domu całe zastępy nieznajomych „wujków” w mundurach, którzy szybko się ulatniali. Michael nauczył się po energicznym kroku i rozszerzonych żrenicach rozpoznawać nastoletnich ćpunów na haju, a po napięciu kończyn i nerwowym żuciu gumy — młodocianych w narkotycznym głodzie. Codziennie musiał patrzeć na dzieciństwo wdeptywane w mierzwę. Niezmiernie rzadko udawało mu się pomóc komuś, zresztą w nader skromnym

wymiarze. Wystarczyło to jednak, by nie porzucił tej posady na rzecz na przykład wychowawstwa na jakimś obozie letnim. Skończył trzeci semestr szkoły rabinicznej, kiedy Japończycy zaatakowali Pearl Harbor. Większość jego kolegów

ł RABIN

wstąpiła ochotniczo do wojska lub została wessana przez zaciąg obowiązkowy. Studenci teologii nie podlegali poborowi, mimo to kilku chłopców porzuciło szkołę i przywdziało mundur. Pozostałych, wśród nich młodego Kinda, ich przewodnicy zdołali przekonać, że w nadchodzących czasach rabini będą potrzebniejsi niż kiedykolwiek. Michael żałował nieraz, że pozwolił się ograbić z przeżyć, jakie mu się słusznie należały. W tamtych czasach dopuszczał do siebie myśl o śmierci, chociaż nie o własnej. Z listów, jakie z rzadka otrzymywał, wysyłanych z miejsc o nie znanych, trudnych czasem do wymówienia nazwach, wiało duchem romantycznej, podniecającej przygody. Maury Silverstein zaciągnął się jako szeregowiec do piechoty morskiej i zaraz po ukończeniu szkolenia wstępnego został wysłany do szkoły podoficerskiej w Quantico. Boksował trochę na Paris Island; w czasie walki z pewnym instruktorem musztry ostro się z nim ściał; szczegółów tej zwady nigdy Michaelowi nie opisał. Doniósł mu tylko w jednym z listów, że w kilka tygodni później spotkał się ze swoim przeciwnikiem poza ringiem w pojedynku na gołe pięści. Starcie odbyło się poza salą gimnastyczną, dokładniej mówiąc na jej tyłach, gdzie przy hałaśliwym dopingu całego oddziału Maury złamał kapralowi szczękę. Jego przeciwnik zdjął przed walką bluzę z dystynkcjami, więc nie podjęto środków dyscyplinarnych, ale od tej pory pozostali oficerowie zaczęli na zajęciach z musztry dawać w kość śmiałkowi, który ważył się jednego z nich uczynić niezdolnym do dalszego pełnienia roli wychowawcy prawdziwych mężczyzn. Silverstein stawał

do raportu za najbłahsze naruszenia przepisów, toteż jego nadzieje na zdobycie szlif oficerskich szybko się rozwiały. Po ukończeniu szkolenia wstępnego przeszedł kilkutygodniowy kurs dla przewodników mułów, po czym powierzono mu pieczę nad krótkonogą mulicą o tłustym zadzie, którą — z pobudek sentymentalnych — nazwał Stellą, jak o tym doniósł Michaelowi w ostatnim liście wysłanym z terytorium Stanów Zjednoczonych. Następnie Stellę i jej przewodnika wsadzono na okręt i wywieziono na jakąś anonimową i prawdopodobnie górzystą wysepkę na Pacyfiku, gdzie się nudził jak mops, donosząc między wierszami w przesyłanych

175

NOAH GORDON

przez V-mail* listach o fenomenalnej rozwiązłości miejscowych kobiet. Szacunek dla osoby duchownej powstrzymuje go — dodawał — od bardziej szczegółowych opisów ich wyuzdania.

Podczas ostatniego roku nauki w instytucie skierowano Michaela do asystowania przy ceremoniach świątecznych do pewnej świątyni w Rockville na Long Island. Uroczystości przebiegły bez najmniejszych potknięć, toteż Michael poczuł się nareszcie prawdziwym rabinem i nadał się dumą jak paw. Następnie, na trzy tygodnie przed ukończeniem przezeń studiów i otrzymaniem smichy, wyświęcenia, wydział kadr instytutu załatwił mu próbne przesłuchanie w świątyni Emanuela w Miami, która poszukiwała właśnie pomocniczego rabina. Rabin Kind miał wystąpić z gościnnym kazaniem na nabożeństwie piątkowym. Opracował je starannie na piśmie, a potem wygłosił przed lustrem w swoim pokoju. Jego przewodnik naukowy pochwalił tekst kazania, a Michael sam czuł, że ma ono siłę i styl. Na kazalnicę świątyni w Miami wszedł w poczuciu, że jest doskonale przygotowany. Dźwięcznym głosem powitał rabina Flagermana oraz

zgromadzonych wiernych, następnie wsparł się oburącz o mównicę i wychylił nieco do przodu.

— Kimże jest Żyd? — zaczął.

Podniesione oczy wpatrywały się weń z pierwszych rzędów krzeseł z taką ciekawością, że poczuł się zmuszony odwrócić od nich wzrok. Gdziekolwiek jednak spojrzeł, ze wszystkich rzędów kierowały się ku niemu wyczekujące spojrzenia. Jedne z uniesionych twarzy były stare, inne młode, jedne nie zapisane jeszcze doświadczeniem, inne pobrużdżone przez życie. Świadomość tego, na co się porywa, przygniotła Michaela. Kimże ja jestem, zapytał sam siebie, żeby tym ludziom cokolwiek ogłaszać?

Cisza przedłużała się, a on wciąż nie mógł wydobyć z siebie głosu. Było jeszcze gorzej niż w dniu bar micwy. Całkiem zaniemówił, język przysechł mu do podniebienia. W tyle sali * Stosowany w czasie II wojny światowej w armii amerykańskiej system przesyłania listów na klatkach mikrofilmów, powiększanych następnie i dostarczanych adresatom na fotograficznych odbitkach.

176

RABIN

zachichotała jakaś dziewczynka; ów cichy śmieszek sprawił, że zebrani zaczęli szurać nogami.

Wysiłkiem woli Michael zmusił się do wydania z siebie głosu. Potykając się dobrnął jakoś do końca kazania, zdesperowany zamienił jeszcze kilka słów z kilkoma osobami, po czym odjechał taksówką na lotnisko. Skamieniały z rozpaczy przez prawie cały lot do Nowego Jorku wyglądał przez okno, niechętnymi pomrukami odpowiadając na pytania rudowłosej stewardesy, czy nie napiłby się kawy lub likieru. W nocy, zmęczony podróżą, znalazł wytchnienie w śnie, ale obudziwszy się nazajutrz, długo leżał w łóżku i zastanawiał

się, jak to się stało, że wpakował się w coś, do czego nie miał za grosz powołania.

W następnym tygodniu rozważał rozmaite alternatywne wobec rabinatu zajęcia. Wojna z Niemcami już się skończyła, Japończycy wkrótce będą musieli się poddać — byłoby czystym nonsensem zaciąganie się w takim momencie do wojska. Mógł zostać nauczycielem, lecz taka perspektywa napęłniała go melancholią. Pozostawały „Gorsety Kinda”. Zbierał się już na odwagę przed rozmową z ojcem, gdy przyszedł telegram z gminy na Florydzie. Komisja kwalifikacyjna nie podjęła jeszcze ostatecznej decyzji; czy rabin Kind nie zechciałby ponownie odwiedzić ich świątyni, na koszt zapraszającego, aby wygłosić drugie kazanie pod koniec najbliższego tygodnia?

Ze ściśniętym żołądkiem i odrazą do samego siebie Michael odbył drugą wyprawę do Miami. Tym razem, choć trzęsły mu się kolana i — był tego pewien — drżał głos, przebrnął przez kazanie bez poważniejszych wpadek.

W dwa dni później otrzymał telefon z propozycją objęcia posady.

Jego obowiązki nie należały do trudnych. Uczył religii dzieci, asystował rabinowi w szabat, przeglądał stare egzemplarze wydawanej przez świątynię gazetki, na prośbę rabina Flagermana zestawiał katalog literatury rabinicznej. W ciągu dnia, kiedy rabin i jego sekretarz przebywali w świątyni, Michael nie odbierał telefonu, który dzwonił jednocześnie na

12 Rabin

177

NOAH GORDON

wszystkich trzech liniach, ale wieczorami, gdy zostawał w biurze sam, musiał podnosić słuchawkę, zazwyczaj tylko po to by podać osobie telefonującej numer domowy rabina Flagermana.

Złożył kilka wizyt obłożnie chorym członkom gminy. Ponieważ nie znał Miami, wozili go młodzi ludzie z istniejącego przy świątyni Koła Młodych. Jednego popołudnia służyła mu jako szofer szesnastoletnia blondynka, Toby Goodman, której ojciec był zamożnym producentem mięsa, posiadającym własne stada na pastwiskach pod St. Petersburgiem. Opalona na czekoladowo, ubrana w białe szorty i biustonosz Toby jeździła niebieskim sportowym kabrioletem. Zadawała Michaelowi naiwne pytania na temat Biblii, na które odpowiadał z całkowitą powagą, choć zdawał sobie sprawę, że dziewczyna stroi sobie z niego żarty. Kiedy wchodził do domu chorego, czekała cierpliwie w samochodzie, zaparkowanym — jeśli to okazywało się możliwe — w cieniu, pochłaniała batoniki i czytała broszurowy kryminał ze śmiałym erotycznym rysunkiem na okładce. Po skończonej rundzie wizyt wracali, milcząc, przez zatłoczone ulice do świątyni.

Dokoła widziało się same mundury. Miami roiło się od weteranów wojennych, którzy po powrocie z zagranicy zażywali odpoczynku i przechodzili rehabilitację w stojących wzdłuż plaży luksusowych hotelach. Na ulicach było od nich tłoczno. Przechadzali się pojedynczo, grupkami bądź maszerowali swobodnie w dwuszeregu do kina albo na odczyt. — Z drogi! — warknęła Toby, wciskając sprzęgło i dodając gazu.

Jacyś trzech lotnicy prysnęli w popłochu na boki. — Ostrożnie! — napomniał ją łagodnie Michael. — Ci chłopcy nie wrócili do ojczyzny po to, żeby zginąć pod kołami samochodu, którym pewien rabin jeździ z wizytami do wiernych.

— Potrafią tylko wylegiwać się na słońcu, gwizdać na dziewczyny i ryczeć, że właśnie widzieli cię na filmie! — Zaśmiała się. — Mam chłopaka w marynarce, wie pan? W

zeszłym tygodniu przyjechał na przepustkę. Chodził zawsze w cywilnych ciuchach. Doprowadzaliśmy tych palantów do szafu!

178

RABIN

— W jaki sposób?

Przyjrzała mu się badawczo spod przymrużonych powiek, po czym, jakby nagle podjęła decyzję, zahamowała ostro i sięgnęła do kieszeni na drzwiach po stronie Michaela. Kiedy się wyprostowała, trzymała w ręku do połowy pełną butelkę dżinu. Jakieś dwanaście metrów przed nimi posuwała się leniwie w słonecznym skwarze kolumna żołnierzy; pierś wielu z nich zdobiły medale za odwagę. Toby gwizdnęła przesywając i żołnierze zwrócili spojrzenia w ich stronę. Zanim Michael zmiarkował, co się święci, dziewczyna objęła go za szyję i zaczęła wymachiwać trzymaną w ręku butelką. — A mój chłopcy ś ma kategorię D! — krzyknęła drwiąco do maszerujących żołnierzy, po czym pocałowała rabina w czubek głowy.

Następnie samochód wystrzelił do przodu, aż przyspieszenie wtłoczyło Michaela w oparcie fotela. Wolał jednak ten szalony pęd od pozostania w miejscu. Kolumna żołnierzy rozprysła się w jednej chwili. Niektórzy rzucili się w pogoń za niebieskim kabrioletem i ścigali go przez pół przecznicy. Toby trzęsa się ze śmiechu, jakby nie słysząc dobiegających z tyłu obelg.

Rabin milczał, dopóki nie zatrzymała auta przed świątynią.

— Jest pan wściekły, tak?

— Nie określiłbym tego w ten sposób — odpowiedział ostrożnie i wysiadł z samochodu. Sięgnął po flaszkę dżinu.

— Hej, to moja butelka!

— Zgłosisz się po nią, jak skończysz dwadzieścia jeden lat.

Wszedł po schodach do świątyni. W gabinecie właśnie dzwonił telefon. Podniósł słuchawkę. Jakaś kobieta chciała rozmawiać z rabinem. Podał jej numer domowy Flagermana. W dolnej szufladzie biurka leżała paczka papierowych kubków. Nalał sobie sporą miarkę dzinu z butelki Toby Goodman, wychylił jednym haustem i znieruchomiał ze zwieszonymi rękami i zamkniętymi oczami.

W butelce była ciepła woda.

Wieczorem w dwa dni później Toby zatelefonowała z przeprosinami. Przyjął je, ale podziękował, gdy zaproponowała, że chętnie będzie jego kierowcą następnego dnia. Po kilku minutach telefon zadzwonił ponownie.

i79

NOAH GORDON

— Rabi? — zapytał dziwnie schrypnięty głos. Kiedy Michael podawał numer domowy rabina rlagerma-na, w słuchawce rozległo się jakby ziajanie zmęczonego psa. Michael uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Z kogo chcesz zrobić balona, Toby?

— Zamierzam ze sobą skończyć. Głos był męski.

— Skąd pan dzwoni? — zapytał Michael.

Mężczyzna wybełkotał jakiś adres. Michael popi>sił, żeby go powtórzył. Znał tę ulicę, oddaloną jedynie o kilka'rzecznic od synagogi.

— Niech pan poczeka! Już do pana jadę! Proszę zczekać!!!

Wybiegł na dwór, przez chwilę stał na marrciowych schodach, modlił się i usiłował złapać taksówkę. Areszcie podjechała wolna. Przycupnął na brzeżku siedzenia i róbował wymyślić coś, co mógłby powiedzieć człowiekowi, tory bal się dalej żyć. Taksówka zatrzymała się przed tynl>wanym parterowym domkiem, a on miał w głowie zupełni pustkę.

Podał taksówkarzowi banknot, nie czekając na resztę fzebiegł

przez wypalony słońcem zapiaszczony trawnik i wpadł po trzech stopniach na krytą werandę.

Na wizytówce nad dzwonkiem widniało nazwisko Harry Lefcowitz. Drzwi były otwarte, podobnie jak drzwi werandy.

— Panie Lefcowitz?! — zawołał.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, pchnął drzwi i wzedł do cuchnącego stęchlizną pokoju. Na parapecie okna stał otwarte butelki oraz szklanki z nie dopitym piwem. W szklanym naczyniu na stoliku leżały gnijące banany. Popielniczki były przepełnione. Na oparciu krzesła wisiała bluza fechtoty z naszywkami sierżanta na rękawach.

— Panie Lefcowitz?

Z sąsiedniego pomieszczenia doleciał jakiś szmer, Michael otworzył drzwi.

Na łóżku w sypialni siedział niski, szczupły mężczyzna w podkoszulku i spodniach koloru khaki. Był boso. Miał cienki wąsik, który już prawie ginął w nie ogolonym od wilu dni zarostie, oczy przekrwione i przepełnione smutkiem. W ręku trzymał mały pistolet.

— Jesteś gliniarzem! — stwierdził.

180

RABIN

— Nie, rabinem. Dzwonił pan do mnie, nie pamięta pan?

— Ty nie jesteś Flagerman.

Rozległ się szcęk odbezpieczanego pistoletu.

Michael aż jęknął w duchu, uświadomiwszy sobie, że po raz kolejny zawiódł jako rabin. Nie zawiadomił policji! Nie zostawił! nawet w świątyni wiadomości, gdzie go mają szukać.

— Jestem asystentem rabina Flagermana. Chciałbym panu pomóc.

Lufa pistoletu podniosła się wolno, aż w końcu celowała prosto w twarz Michaela. Okrągły otwór wyglądał dość

obscenicznie. Nieznajomy bawił się kurkiem, opuszczając go i podnosząc ze szczękiem.

— Spierdalaj! — warknął.

Michael usiadł na nie posłanym łóżku. Nawet nie bardzo się trząsał.

Na dworze już się ściemniło.

— Co pan w ten sposób osiągnie, panie Lefcowitz? Tamten łypnął spode łba.

— Myślisz, że cię nie stuknę, kozaku? Po tym, co widziałem, to dla mnie tyle co splunąć. Kropnę cię, a potem siebie. — Na widok miny Michaela wybuchną! śmiechem. — Ty nie wiesz tego, co ja wiem. Nikt nawet nie zauważy straty. Świat będzie toczył się dalej.

Michael pochylił się i w geście współczucia wyciągnął rękę, desperat dostrzegł w tym widać groźbę, bo wbił lufę w policzek młodego rabina. Zabolało.

— Wiesz, skąd mam tę pukawkę? Zabrałem ją pewnemu martwemu szkopowi. Czachę miał do połowy odstrzeloną. To samo może się tobie przytrafić.

Rabi milczał. Po chwili pijany żołnierz odsunął pistolet od jego twarzy. Michael podniósł rękę i wymacał opuszkami palców małe kółko odcisnięte przez lufę na jego policzku. Przez jakiś czas przyglądali się sobie w milczeniu. Głośno tykał zegarek Michaela.

Naraz Lefcowitz zaczął się śmiać.

— Nabujałem cię! Widziałem furę zabitych szkopów, na niektórych nawet naplułem, ale żadnego nie okradłem.

Kupiłem tę pukawkę za karton lucky strike'ów. Chciałem przywieźć

jakiś prezent dla dzieciaka, coś co mogłoby mu się kiedyś przydać.

Wolną ręką podrapał się w kostkę. Stopy miał długie i kościste, z czarnymi włoskami na grzbietach dużych palców. Michael popatrzył mu w oczy.

— To wszystko nie wydaje mi się zbyt mądre, panie Lefcowitz. Po co miałby mi pan robić krzywdę? Chcę jedynie zostać pańskim przyjacielem. Jeszcze mniej rozsądne byłoby zrobić krzywdę sobie. — Spróbował się uśmiechnąć. — Wydaje mi się, że pan sobie tylko tak żartuje. Podejrzewam, że ten pistolet nie jest nawet nabity.

W tej samej chwili w ciasnym pokoju huknął ogłuszający strzał, ręka z pistoletem drgnęła, a w białym suficie nad ich głowami pojawiła się czarna dziura.

— Było siedem — stwierdził Lefcowitz. — Zostało jeszcze sześć. Aż za dużo. Więc nie kombinuj, synu. Siedź i nic nie gadaj.

Przez dłuższą chwilę obydwaj milczeli. Noc była cicha. Do uszu Michaela dobiegał leniwy miarowy szum fal z pobliskiej plaży, a od czasu do czasu klakson samochodu. Ktoś musiał usłyszeć strzał, uspokajał się w duchu. Na pewno niedługo zjawi się policja.

— Czy czujesz się czasem samotny? — ni stąd, ni zowąd zapytał pan Lefcowitz.

— Prawdę mówiąc, zawsze.

— Ja czuję się czasem taki samotny, że mam ochotę wyć.

— Wszyscy się tak czasem czujemy, panie Lefcowitz.

— Doprawdy? Więc czemu by nie? — Popatrzył na pistolet.

— Czemu by nie palnąć sobie w łeb, kiedy najdzie człowieka coś takiego? — Uśmiechnął się smutno. — Teraz możesz mi zacząć nawijać o Bogu.

— Nie zamierzam. Istnieje prostszy powód. To... — Michael dotknął palcami pistoletu, odpychając go lekko, żeby

odwrócić wymierzoną w siebie lufę — to jest ostateczne, nieodwracalne. Nie pozostawia szansy na sprawdzenie, czy nie popełniło się błędu. Prawda, na tym świecie jest dużo gówna, ale zdarzają się i takie chwile, kiedy cudownie jest żyć. Choćby

182

RABIN

wtedy, kiedy jest się spragnionym i można się napić wody, albo kiedy patrzymy na coś pięknego. Jaśniejsze momenty wynagradzają złe.

Wydawało się, że Lefcowitz traci pewność siebie, ale po chwili znowu wycelował lufę pistoletu w Michaela.

— Rzadko bywam spragniony — mruknął.

Zamilkł na długo, a Michael nie próbował go zagadywać. W pewnej chwili przebiegło w pobliżu domu z krzykiem i pohukiwaniem jakichś dwóch chłopców. Twarz pana Lefcowitza wykrzywiła się dziwnie.

— Wędkujesz?

— Czasami — odparł Michael.

— Przyszło mi właśnie do głowy, że zdarzały mi się takie jaśniejsze chwile, o jakich mówiłeś. Na rybach. Woda, słońce i w ogóle... /

— Rozumiem pana.

— To główny powód, dla którego się tu osiedliłem. Jak byłem młody, pracowałem w sklepie z obuwem w Erie w stanie Pensylwania. Kiedyś wypuściliśmy się z kumplami do Hialeah i udało mi się wygrać na wyścigach cztery tysiące osiemset dolarów. Ucieszyłem się z tej forsy jak nie wiem co, ale nie bardzo wiedziałem, na co ją wydać. W tamtych czasach byłem wolnym człowiekiem, bez żadnych zobowiązań. Zacząłem wędkować. Po całych dniach łowiłem trocie. Kumple myśleli, że zwariowałem, kiedy im oznajmiłem, że z nimi nie wracam. Dostałem posadę barmana w jednej knajpie na bulwarze.

Ryby, słońce i cizie w kostiumach kąpielowych. Myślałem, że trafiłem do raju.

— Pracował pan tam jeszcze, gdy brali pana do wojska?

— Nie, wtedy miałem już własną budę. W tej poprzedniej knajpie robił ze mną jeden gość, nazywał się Nick Mangano. Uskładał sobie niezłą sumkę z napiwków i wzięliśmy do spółki bar z małżami i licencją na sprzedaż alkoholu na tym rybackim nabrzeżu co je nazywają Murphy's Pier. Znasz to miejsce?

— Nie.

— Ciułałiśmy, ciułałi i po paru latach dorobiliśmy się przyzwoitej knajpy, z lożami, z pianistą. Całkiem niezłe nam szło. Byłem już wtedy żonaty, więc wołałem robić na dzień. Od rana do wieczora miałem w barze wędkarzy, przeważnie

183

NOAH GORDON

RABIN

starszych facetów. W tym mieście mieszka do cholery i trochę starych przyków. Pierwszorzędni klienci: kilka głębszych dziennie żeby nikt nie widział i żadnych kłopotów. A nocami Nick i jeszcze jeden facet, któregośmy najęli, pilnowali tańczących.

— Wygląda to na doskonały interes.

— Jesteś żonaty?

— Nie.

Lefcowitz milczał chwilę.

— Ja ożeniłem się z siksą — powiedział. — Z Irlandką.

— Jest pan nadal w armii?

— Tak, teraz czeka mnie odpoczynek i rehabilitacja, a potem do cywila. — Wykrzywił lekko usta. — Widzisz, jak mnie powołali, zostawiłem Nickowi wszystkie pełnomocnictwa. Ma coś z sercem, nie nadaje się do woja. No i przez cztery lata

prowadzi! naszą knajpę w pojedynkę. Na okrągło. Była otwarta dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Zapadł się w siebie, a głos mu zmatowiał.

— Miałem nadzieję, że jak wrócę, mój kumpel Nick wyda na moją cześć przyjątko powitalne. To zabawne, ale jak byłem w Neapolu, starałem się traktować z szacunkiem nawet dzieciaki makaroniarzy. Myślałem, że się Nickowi spodoba, jak mu o tym opowiem. I co zastaję? Buda zamknięta na głucho, okna zabite deskami, a konto w banku wyczyszczone. — Popatrzył na Michaela i uśmiechnął się. Drżały mu wargi, w oczach kręciły się łzy. — Ale to jeszcze nic! Przez cały ten czas, gdy ja wojowałem za morzem, on mieszkał tu, w moim domu.

— Jest pan tego pewien?

— Opowiedziano mi, brachu. Dowiedziałem się o tym z wielu ust. Zdziwiłbyś się, ilu w podobnych chwilach ma człowiek gadatliwych przyjaciół. Wyłażą dosłownie z każdej dziury.

— I gdzie przebywają teraz pańska żona i przyjaciel?

— Zniknęli. Dziecko zniknęło. Ona zniknęła. On zniknął. Szukaj wiatru w polu. Razem z forszą. Adresu nie zostawili. Ogryźli kość do czysta.

Michael szukał słów pociechy, ale żadne mu się jakoś nie nasuwały.

184

-

— Widzisz, brachu, żeniąc się z nią wiedziałem, że to dziwka, mówiłem sobie jednak: a kto z nas jest aniołem? Ja też mam różne grzeszki na sumieniu, ale może razem uda nam się zacząć jeszcze raz od nowa. Nie udało się. Trudno. Takie jest życie. Na nią machnąłem ręką. Ale dzieciak... Miał na imię Samuel. Szmuel, po moim ojcu, alaw haszałom. Ta dziwka i Nick są katolikami. Dzieciak nie będzie miał swojej bar micwy.

Jęknął — i było to jak przerwanie tamy.

— Boże, ja już nigdy nie zobaczę mojego dziecka!
Poleciał do przodu i uderzył! czołem w ramię rabina, omal nie strącając go z łóżka. Michael przytulił go mocno i milcząco kołysał w objęciach. Po pewnym czasie sięgnął ręką i jak najdelikatniej wyjął pistolet z bezwładnych palców. Nigdy dotąd nie trzymał w ręku broni. Pistolet okazał się zadziwiająco ciężki. Nad głową Lefcowitza Michael przeczytał wypukły napis na lufie: SAUER U. SOHN, SUHL, CAL 7.65. Nie przestając się kołysać położył pistolet na łóżku. Następnie prawą ręką przycisnął do swego ramienia głowę niedoszłego samobójcy i zaczął głaskać jego potargane włosy.

— Niech pan płacze — szepnął. — Niech pan płacze, panie Lefcowitz!

Było jeszcze ciemno, kiedy żołnierze z żandarmerii wysadzili rabina przed świątynią. Michael stwierdził, że wybiegając nie zamknął drzwi i nie zgasił światła, toteż ucieszył się, że postanowił tu wrócić, zamiast jechać prosto do pensjonatu. Rabin Flagerman mógłby się gniewać o takie zaniedbanie. Klimatyzacja w jego gabinecie pracowała na cały regulator, a że noc była chłodna, w pokoju bardzo się wyziębiło. Michael wyłączył klimatyzację. Zasnął przy biurku, z głową na rękach.

Ze snu wyrwał go dzwonek telefonu. Zegarek na biurku wskazywał ósmą pięćdziesiąt pięć. Michaela bolały wszystkie kości i zaschło mu w gardle. Za oknem zarzyło się upalne słońce Florydy; powietrze dusiło wilgocia. Przed podniesieniem słuchawki Michael włączył klimatyzację.

185

NOAH GORDON

Dzwoniła jakaś kobieta.

— Czy mogę rozmawiać z rabinem?

Stłumił ziewnięcie i wyprostował się na krześle.

— Z którym? — zapytał.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

W niecały rok po objęciu posady w Miami Michael poleciał do Nowego Jorku, żeby pomóc rabiemu Greenbergowi z synagogi Synów Jakuba w ceremonii zaślubin Minii Steinmetz z pewnym zaprzysiężonym rewidentem księgowym, który został właśnie młodszym wspólnikiem w firmie jej ojca. Kiedy młodzi pocałowali się po dopełnionym obrzędzie, Michaela chwyciło pożądanie i żal, nie tyle z powodu tej konkretnej dziewczyny, co żony jako żony, osoby, którą można by kochać. Zatańczył z panną młodą kozaka, a potem wypił o wiele za dużo szampana.

Jeden z jego byłych profesorów z instytutu, rabin David Sher, pracował obecnie w Związku Amerykańskich Gmin Żydowskich. Dwa dni po ślubie Mimi Michael złożył mu wizytę.

— Kind! — zawołał rabin Sher, zacierając ręce. — Oto człowiek, jakiego mi potrzeba! Mam dla ciebie pracę.

— Dobrą?

— Okropną! Straszna!

A niech tam! — pomyślał Michael. To całe Miami i tak mi już obrzydło.

— Biorę — zdecydował.

Wydawało mu się, że kaznodzieje objazdowi to zabytek z zamierzchłej przeszłości protestantyzmu.

— Żydzi na górskim odludziu? — zdziwił się.

— W górach Ozark — sprecyzował rabin Sher. —

Siedemdziesiąt sześć rodzin rozrzuconych w górach stanów Missouri i Arkansas.

186

RABIN

— Przecież w Missouri i Arkansas istnieją żydowskie świątynie!

— Tylko na nizinach i w większych skupiskach ludności. W rejonie, o którym mówię, nie ma żadnej. To surowa kraina. Pojedynczy Żydzi, którzy się tam osiedlili, prowadzą sklepy z mydłem i powidłem albo pola biwakowe dla wędkarzy.

— A powiedział pan, że ma dla mnie pracę okropną!

Tymczasem to brzmi niezmiernie zachęcająco.

— Będziesz miał do pokonania pętlę szosy liczącą dobre kilkaset kilometrów, do tego wijącą się serpentynami po wzgórzach. Okolica nie obfituje w hotele, przyjdzie ci więc nieraz nocować pod gołym niebem. Niektórzy członkowie gminy powitają cię z otwartymi ramionami, inni każą ci się wynosić precz, a jeszcze inni okażą całkowitą obojętność. Do tego będziesz przez cały czas w drodze.

— Taki przerośny rabi.

— Rabin obieżyświat. — Sher podszedł do szafki z aktami i wyjął z niej tekturową teczkę. — Oto spis rzeczy, w jakie powinieneś się zaopatrzyć. Wszystko na rachunek związku. Przysługuje ci ponadto służbowe kombi. Będzie ci potrzebny śpiwór oraz kompletny ekwipunek biwakowy. — Uśmiechnął się szeroko. — Tylko pamiętaj, rabi, gdy będziesz odbierał samochód, każ zamontować najtwardsze resory, jakie są na rynku.

W miesiąc później, po przejechaniu w dwa dni dwóch i pół tysiąca kilometrów z Miami, rabin Kind znalazł się w górach. Samochód, duży i solidny zielony oldsmobile, liczył już sobie rok, ale Michael kazał w nim założyć najtwardsze resory, zdolne chyba udźwignąć czołg. Mroczne przepowiednie rabiego Shera jak dotąd się nie sprawdzały. Drogi okazały się równe, poruszanie się po nich z mapą łatwe, a temperatura tak wysoka, że Michael został w ubraniu z Florydy, nie tykając sterty zimowych okryć zawałających bagażnik. Pierwszy na jego liście był niejaki George Lilienthal, kierownik tartaku, zamieszkały w Spring Hollow w stanie Arkansas. Michael

wjechał na wyniosłości pogórza, a gdy kąt nachylenia drogi stał się wyraźniejszy, poczuł przyływ radosnego uniesienia. Je-

187

NOAH GORDON

chał wolno, przyglądając się pięknemu krajobrazowi, ubogim farmom, na których stały zbite z bali chaty, chałupom z desek o srebrzystym połysku ogrodzonym drewnianymi płotami, od czasu do czasu osadom górniczym lub fabrykom.

O czwartej po południu zaczął prószyć śnieżek i zrobiło się zimno. Michael zatrzymał się na jakiejś stacji benzynowej, którą stanowiła wiejska stodoła i dwie pompy, i przebrał się w stodole w cieplejsze ubranie, podczas gdy pompierz o porytej zmarszczkami twarzy napełniał bak jego samochodu. Według notatek, jakie Michael sporządził w biurze związku, Spring Hollow było położone blisko trzydzieści kilometrów po drodze gruntowej za Harrison. Staruszek pokręci! jednak przecząco głową, kiedy Michael chciał się co do tego upewnić.

— A gdzie tam! Musicie panie skrócić za Rogers w drogę numer sześćdziesiąt dwa, a potem za Monte Ne, odbić na wschód w żwirówkę. Jeśli się zgubicie, najlepiej spytajcie kogoś o drogę.

Zanim jednak Michael zjechał za Rogers z głównej szosy, niepodobna już było określić rodzaju nawierzchni żadnej drogi, żwirowej czy nie, wszystkie bowiem przysypał śnieg. Porywy wiatru rzucały samochodem, a przez szczeliny u góry okien wdzierały się mroźne podmuchy. Michael pomyślał z wdzięcznością o rabinie Sherze, włożywszy na siebie kupione za jego radą ciepłe buty, kordowe spodnie, wełnianą koszulę, zamszową kurtkę na podszewce, rękawiczki i czapkę z nausznikami.

Z zapadnięciem zmroku sypanął jeszcze gęstszy śnieg. Na zakrętach drogi snopy światła z samochodowych reflektorów zawisały nieraz w pustce czarnej otchłani. Michael zdał sobie sprawę, że nie zna gór i nie ma pojęcia o poruszaniu się po nich nocą. W pierwszym odruchu zjechał na pobocze drogi i zatrzymał wóz, zamierzając przeczekać śnieżycę. Ponieważ chwycił przeraźliwy ziąb, rabin zapalił silnik i na maksimum włączył ogrzewanie, zaraz jednak opadły go wątpliwości, czy z powodu niedostatecznego dopływu powietrza nie znaleziono by nad ranem w samochodzie jego trupa („silnik wciąż pracował, jak informuje policja stanowa”). Przyszło mu ponadto do głowy, że zaparkowany samochód mógłby się okazać niebezpiecznym zawalidrogą dla każdego pojazdu, jaki

188

RABIN

wyłoniłby się w ciemności ze śnieżnej zadymki. Powlókł się więc w żółtym tempie przed siebie. Po jakimś czasie dojrzał w oddali ze szczytu kolejnego wzgórza żółty prostokąt światła, który wkrótce okazał się oknem wiejskiej chaty. Michael zaparkował auto pod jakimś wielkim drzewem i zastukał do drzwi. Otworzył mu mężczyzna ubrany w dżinsy i ciepłą bluzę. Wysłuchawszy relacji Michaela, zaprosił go gestem do środka.

— Jane! — zawołał. — Jakiś człowiek pyta, czy nie mógłby u nas przenocować. Możemy mu pomóc?

Do sieni weszła powoli kobieta. Michael dojrzał w kuchni za jej plecami żółty blask w szczelinach pękatego pieca. W chacie panował okropny ziąb. Na gwoździu w ścianie wisiała latarnia.

— Ma pan ze sobą karty do gry? — zapytała kobieta, zgarniając na piersiach nie zapięty sweter.

— Nie. Przykro mi, ale nie. Kobieta surowo zaciskała usta.

— To przyzwoity chrześcijański dom. Nie tolerujemy tu kart ani whisky.

— Rozumiem, proszę pani.

W kuchni usiadł za chwiejnym stołem, ręcznej najprawdopodobniej roboty, a gospodyni podgrzała talerz gulaszu. Mięso miało dziwny, ostry smak, ale Michaelowi zabrakło odwagi, żeby zapytać, z jakiego pochodziło zwierzęcia. Kiedy zjadł, gospodarz zdjął z gwoździa latarnię i zaprowadził go do ciemnej jak piwniczny loch izdebki z tyłu domu.

— Wynoś się, Hyah! — warknął. Wielki żółty pies ziewnął i zwłókł się niechętnie z wąskiej kozetki. — Legowisko należy do pana — oświadczył mężczyzna, po czym wyszedł zamykając za sobą drzwi i pozostawiając gościa w zupełnej ciemności.

Michael uznał, że lepiej się nie rozbierać; w izbie było okropnie zimno. Rozsznurował i ściągnął buty, położył się na kozetce i nakrył jakimiś szmatami, które prawie nie dawały ciepła, cuchnęły za to mocno psem.

Materac był cienki, pozbijany w grudy i bruzdy. Michael przez kilka godzin nie mógł zmrużyć oka. W ustach czuł tłusty smak gulaszu, dygota! z zimna i dziwi! się niezwykłości swego położenia. O północy rozległo się skrobanie do drzwi.

Pies,

189

NOAH GORDON

pomyślał, tymczasem drzwi uchyliła ludzka ręka: Michael z lekkim przestachem rozpoznał we wchodzącym gospodarza. — Tss! — syknął mężczyzna i położył palec na ustach. W drugiej ręce trzymał jakiś dzbanek. Zostawił go w izdebce i zniknął bez słowa.

Ohydniejszego alkoholu Michaelowi nie zdarzyło się kosztować; trunek był jednak straszliwie mocny i świetnie rozgrzewał. Wystarczyły cztery łyki i rabin spał jak zabity. Gdy się obudził nazajutrz, w chacie nie było ani mężczyzny, ani kobiety, ani psa. Michael zostawił trzy dolary w nogach łóżka. Bolała go głowa i nie miał najmniejszej ochoty na następne łyki samogonu, z obawy jednak, by dzbanka nie znalazła gospodyni, wyniósł go do lasu z tyłu chaty i zostawił w śniegu, mając nadzieję, że gospodarz znajdzie go tam wcześniej niż żona.

Silnik zapalił niemal od razu. Po przejechaniu mniej więcej kilometra Michael stwierdził, że postąpił bardzo rozsądnie zatrzymując się na noc, droga stawała się bowiem coraz węższa i bardziej stroma. Po lewej stronie ciągnęło się najeżone skałkami zbocze góry, natomiast po prawej otwierała się przepaść oraz rozległy widok na zaśnieżoną dolinę i wznoszące się za nią szczyty. Wspinającą się serpentynami drogę pokrywał mokry śnieg, a tu i ówdzie topniejący lód. Michael pokonywał zakręty z duszą na ramieniu, przekonany, że za każdym z nich droga urywa się głęboką przepaścią, na której dno runie zaraz oldsmobile i jego kierowca.

Do Spring Hollow dotarł wczesnym popołudniem. George Lilienthal przebywał w lesie z zespołem drwali, ale jego żona, Phyllis, przywitała Michaela jak nowo odnalezionego krewnego. Wyznała mu, że już od wielu dni wyglądają niecierpliwie przybycia rabina.

Lilienthalowie mieszkali w trzypokojowym domku, stanowiącym własność Zrzeszenia Tartaków Gór Ozark. Mieli ciepłą wodę, lodówkę, zamrażarkę oraz aparaturę hi-fi, która

190
RABIN

jednak, jak poskarżyli się Michaelowi, zaczęła się już psuć. Zanim George Lilienthal wrócił na kolację, rabin Kind przez

godzinę płał się w gorącej kąpieli, potem ogolił się, przebrał i ze szklanką w ręku słuchał Debussy'ego. George okazał się roslým, wesołym trzydziestoparolatkiem, absolwentem wydziału leśnictwa uniwersytetu Syracuse. Phyllis była zawołaną gospodynią, a jej obfite biodra świadczyły wymownie o tym, że gustuje we własnej kuchni.

Michael odmówił błogosławieństwa przy posiłku, a potem poprowadził modlitwę, dzieląc sidur z synem Lilienthalów, Bobbym. Chłopiec skończył jedenaście lat, za rok i osiem miesięcy miał przystąpić do bar micwy, tymczasem nie potrafił przeczytać słowa po hebrajsku. Michael poświęcił mu następnego dnia całe popołudnie, ucząc go hebrajskiego alfabetu. Przed wyjazdem zostawił alef-bet i zadał pracę domową, którą chłopiec miał odrobić przed następną wizytą rabina.

Nazajutrz rano George wskazał Michaelowi leśną przecinającą drogę do jego następnego przystanku.

— Nie powinien pan napotkać większych trudności — powiedział z troską, gdy uścisnęli sobie ręce. — Choć oczywiście będzie pan musiał przebyć w bród dwa, trzy potoki, a woda o tej porze roku bywa wysoka...

W miejscu zwanym Swift Bend stał nad rzeką sklep wielobranżowy. Rzeka rwała w jarze lodowatym nurtem, niosącym szare bryły lodu. Brodaty mężczyzna w wełnianej kraciastej kurtce wyładowywał z bagażnika forda coupe rocznik 1937 pęczki zeszywniałych na mrozie skórek jakiegoś małego futerkowego zwierzątka, a może kilku różnych gatunków stworzeń, i układał je na stertę na ganku sklepu.

— Czy to sklep Edwarda Golda? — spytał Michael.

— Mhm — mruknął brodacze nie przerywając pracy.

W sklepie było gorąco od rozpalonego pieca. Michael poczekał, aż stojąca za ladą sprzedawczyni odważy jakiejś

młodej klientce półtora kilograma czarnej mąki w torebce z szarego papieru. Kiedy następnie zwróciła się do niego, stwierdził, że to góralka, dość jeszcze młoda, chuda i piegowata, o szorstkiej skórze i spierzchniętych wargach.

— Czy zastałem pana Edwarda Golda?

— A kto pyta?

191

NOAH GORDON

— Nazywam się Michael Kind. Jestem rabinem. Pan Gold powinien otrzymać list uprzedzający o mojej wizycie.

Popatrzyła na niego chłodno.

— Jestem jego żoną. Nie potrzebujemy tu żadnych rabinów.

— Czy pani mąż jest w domu, pani Gold? Czy mógłbym z nim zamienić kilka słów?

— Nie chcemy tu waszej religii! — oświadczyła ze złością.

— Rozumie pan?

Rabin dotknął czapki i wyszedł.

Kiedy wsiadł do samochodu, zawołał go cicho mężczyzna, który układał na ganku pęki skórek. Michael siedział w samochodzie grzejąc silnik i czekał, aż tamten podejdzie.

— Pan jest rabinem?

— Tak.

— Nazywam się Ed Gold.

Brodacz ściągnął zębami skórzaną rękawiczkę z prawej dłoni i sięgnął pod kurtkę do kieszeni spodni. Następnie wcisnął coś Michaelowi do ręki.

— Więcej nie mogę — mrukną! naciągając z powrotem rękawiczkę. — Lepiej niech się pan tu więcej nie pokazuje!

— dodał, po czym szybkim krokiem podszedł do forda, wsiadł i odjechał.

Michael spoglądał za nim przez chwilę. Potem opuścił wzrok

— w dłoni trzymał dwa banknoty jednodolarowe.

Odesłał je przekazem z najbliższego miasteczka.

Po objechaniu całej pętli zbierał dziewiętnastu uczniów hebrajskiego, w przedziale wieku od lat siedmiu do sześćdziesięciu trzech. Najstarszy w tym gronie był pewien dzierżawca pola biwakowego dla przyczep kempingowych, który nie został potwierdzony jako chłopiec, a chciał odbyć bar micwę, zanim skończy sześćdziesiąt pięć lat. Ilekroć Michael spotykał na swej drodze pobożnego Żyda, udzielał religijnej posługi.

Członków jego „gminy” dzieliły od siebie znaczne odległości, nawet ponad sto kilometrów, do tego po trudnej drodze.

Michael nauczył się zjeżdżać z trasy, ledwo zaczynał padać śnieg, i szukać schronienia w najbliższym domu. Kiedy wspominał o tym pewnego wieczora Stanowi Goodsteinowi, 192

RABIN

młynarzowi, którego rodzinę odwiedza! regularnie, ten wręczył mu klucz i dał niezbędne wskazówki topograficzne. — Ilekroć będzie pan przejeżdżał przez Big Cedar Hill, może się pan zatrzymać w moim domku myśliwskim — powiedział. — Jest obficie zaopatrzone w puszkowaną żywność. Musi pan jedynie pamiętać, żeby się stamtąd wynosić, jak tylko zacznie sypać, albo czekać na miejscu roztopów. Droga prowadzi przez wiszący most, a jak nawali śniegu, mowy nie ma, żeby przejechać po nim autem.

Rabin zatrzymał się w chacie Goodsteina już w trakcie następnego objazdu swojej pętli. Mostek wisiał nad głębokim parowem wyżłobionym przez rwący spieniony potok. Michael przejechał po nim zdrętwiały ze strachu, aż do bólu zaciskając na kierownicy dłonie. Miał nadzieję, że Goodstein sprawdzał ostatnio ten mostek. Konstrukcja zniosła próbę bez oznak nadwątlenia. Chata stała na szczycie wzgórza. Spizarnia okazała się rzeczywiście doskonale zaopatrzone i Michael przygotował sobie solidny posiłek. Zakończył go trzema

kubkami mocnej gorącej herbaty wypitymi przed kamiennym kominkiem, na którym wcześniej rozpałił huczący ogień. O zmroku, ciepło ubrany, wyszedł na spacer po lesie, przygotowując się do odmówienia Szma. Olbrzymie cedry, od których wzgórze wzięło swoją nazwę, szumiały i postękiwały na wietrze, a ich ogromne konary kiwały się jak starcy podczas modlitwy, toteż rabin nie czuł się ani trochę obco przechadzając się pod nimi i modląc na głos.

W chacie znalazł kilka nowych fajek z kaczana kukurydzy i kapciuch zwietrzałego tytoniu. Pykał fajkę przed kominkiem i rozmyślał. Za oknami wzmagała się wichura, a w chacie było ciepło i przytulnie. Kiedy na koniec zmorzyła go senność, zdusił ogień i przysunął łóżko do kominka.

Obudził się przed drugą nad ranem. Zorientował się, co go obudziło, ledwo spojrział w okno. Sypał drobny śnieżek. Michael wiedział, że lada moment rozpętać się może śnieżycy. Opadł na plecy i jęknął. Przez chwilę korciło go, żeby zamknąć oczy i zapaść na powrót w sen. Gdyby zasy odcięły go od świata, mógłby przeczekać w chacie trzy, cztery dni, póki nie przyjdzie odwilż. Perspektywa kusząca: czuł się okropnie zmęczony, a w chacie było żywności pod dostatkiem.

13 Rabin

193

NOAH GORDON

Zdawał sobie jednak sprawę, że jeśli jego misja w tych górach ma się powieść, rabin musi się stać postacią wśród wiernych popularną, często oglądaną, zwłókł się więc z łóżka i ubrał pośpiesznie.

Wiszący most pokrywała już cienka warstwa śniegu.

Wstrzymując oddech i modląc się w duchu Michael wjechał nań powoli. Koła zabuksowały, ale samochód wtoczył się po chwili na drugi brzeg parowu.

W kwadrans później rabin Kind zastukał do jakiejś chaty. Drzwi otworzy! mu szczupły mężczyzna o rzednącej czuprynie. Wysłucha! obojętnie tłumaczenia przybysza, że wolałby nie podróżować w zadymkę, po czym otworzył szeroko drzwi i zaprosił go gestem do środka. Dochodziła już trzecia nad ranem, mimo to w pierwszej izbie paliły się trzy latarnie, na kominku huczał ogień, a wokół siedzieli jeszcze jeden mężczyzna, kobieta oraz dwójka dzieci.

Michael miał nadzieję, że dostanie łóżko, tymczasem zaoferowano mu jedynie krzesło. Mężczyzna, który otworzył mu drzwi, przedstawił się jako Tom Hendrickson. Kobieta była jego żoną. Dziewczynka, Ella, ich córką. Chłopiec, Bruce, siedział obok swojego ojca, Clive'a, brata Toma.

— Pan Robby Kind — przedstawił Hendrickson.

— Nie Robby, rab i Kind — sprostował Michael.—Na imię mam Michael. Jestem rabinem. Wytrzeszczyli na niego oczy.

— A co to takiego? — zapytał Bruce. Michael uśmiechnął się do dorosłych.

— To zawód, jaki wykonuję, żeby zarobić na życie — wyjaśnił chłopcu. Usiedli z powrotem na krzesłach. Tom Hendrickson od czasu do czasu dorzuca! do ognia sosnowe polano. Michael zerknął na zegarek, zastanawiając się, co to wszystko znaczy.

— Czuwamy przy mamie — objaśnił go Hendrickson.

Clive Hendrickson podniósł tymczasem z podłogi smyczek i skrzypce, odchylił się do tyłu, przymknął oczy i zaczął grać cichutko, przytupując sobie do taktu nogą. Siedzący przy kominku Bruce strugał sosnową gałąź; grube wijące się strużyny wpadały prosto w płomienie. Pani Hendrickson z drutami w ręku uczyła córkę nowego splotu. Pochylały się

obie nad robótką i poszeptywały coś między sobą. Tom Hendrickson zapatrzył się w ogień.

Michael poczuł się wśród tych ludzi bardziej samotny niż w pustej chacie pośród leśnej głuszy, wyjął więc z kieszeni kurtki podręczną Biblię i zagłębił się w lekturze.

— Proszę pana... — Tom Hendrickson wpatrywał się z napięciem w małą książeczkę. — Pan jest kaznodzieją? Smyczek, kozik i druty znieruchomiały, a pięć par oczu zwróciło się na Michaela.

Dopiero teraz zrozumiał, że jego gospodarze nie mają pojęcia, kto to taki rabin.

— Można by tak powiedzieć — przyznał. — Kimś w rodzaju kaznodziei od Starego Testamentu.

Tom Hendrickson zdjął z gwoździa latarnię i skinął na niego głową. Michael podąży! za nim zaskoczony. Gdy weszli do małej izdebki w głębi chaty, wyjaśniło się, dlaczego żaden z jej mieszkańców nie śpi. Na łóżku leżała stara kobieta, wysoka i chuda jak obaj jej synowie. Włosy miała białe, gładko zaczesane i związane w kok. Oczy zamknięte. Na jej twarzy malował się spokój, przynajmniej teraz, po śmierci.

— Współczuję państwu — wyszeptał Michael.

— Miała dobre życie — stwierdził dźwięcznym głosem Hendrickson. — Była dobrą matką. Przeżyła siedemdziesiąt osiem lat. To kawał czasu. — Popatrzył na Michaela. — Musimy ją pochować. Czeka już dwa dni. Kaznodzieja z naszych stron umarł parę miesięcy temu. Postanowiliśmy z Clive'em, że zawieziemy mamę rano na drugą stronę góry. Kłopot tylko w tym, że ona chciała, żeby ją pochować tutaj — dodał. — Byłbym panu wdzięczny, gdyby zechciał się pan nad nią pomodlić.

Michael nie wiedział, czy się śmiać, czy płakać. Nie zrobił oczywiście ani jednego, ani drugiego. Zamiast tego zapytał oschłym rzeczowym tonem:

— Czy pan nie rozumie? Ja jestem rabinem. Żydowskim księdzem.

— Wyznanie nie ma tu nic do rzeczy. Jest pan kaznodzieją? Osobą duchowną?

— Tak.

— W takim razie będziemy panu zobowiązani za pomoc.

195

NOAH GORDON

RABIN

— Będzie to dla mnie zaszczyt — wybąkał Michael zmieszany.

Wrócili obaj do frontowej izby.

— Clive, ty jesteś najlepszym stolarzem. W szopie masz wszystko, czego potrzeba do zbitia trumny. Ja idę na grób

— rzekł Hendrickson, po czym zwrócił się do Michaela.

— Czy będzie pan potrzebował czegoś specjalnego?

— Tylko kilku książek i paru rzeczy z samochodu. —

Powiedział to z większą pewnością siebie, niż czuł w głębi ducha. Asystował dotychczas przy dwóch tylko pogrzebach, do tego obu żydowskich. Po raz pierwszy w życiu miał być jedynym celebrazem.

Wyszedł do samochodu po torbę. Po powrocie zasiadł na powrót przed kominkiem, tym razem w samotności. Bruce pomagał ojcu zbijać trumnę. Ella z matką piekła w kuchni placek na stypę. Michael zaczął kartkować Biblię w poszukiwaniu stosownych ustępów.

Z daleka dolatywały głuche uderzenia kującego zmarzniętą ziemię narzędzia.

Michael długo przeglądał Biblię nie mogąc się zdecydować.

Po jakimś czasie, zwabiony odgłosem kopania, zamknął książkę, włożył kurtkę, czapkę i buty. Wyszedł z chaty, ruszył w stronę, skąd dobiegał odgłos kucia w ziemi, i wkrótce ujrzał światło latarni.

Hendrickson przestał kopać.

— Trzeba panu czegoś?

— Przyszedłem panu pomóc. Stolarz ze mnie żaden, lecz kopać potrafię.

— Nie trzeba, dziękuję — powiedział Hendrickson.

Nie protestował jednak, gdy Michael wyjął mu oskard z ręki.

Zdażył już usunąć śnieg i warstwę wierzchniej zmarzliny.

Głębiej gleba była miękka, pełna za to kamieni. Michael aż stęknął, dźwigając ciężką bryłę.

— Rogowcowa ziemia — wyjaśnił cicho Hendrickson.

— Pełno w niej krzemienia. Najlepiej się na niej rodzi kamień.

Śnieg przestał padać, ale księżycy wciąż nie było widać.

Latarnia filowała, nie przestawała jednak świecić.

Po kilku minutach Michael się zadyszał. Na barkach i bicepsach zacisnęła mu się jakby obręcz bólu.

— Zapomniałem pana zapytać — sapnął. — Jakiego wyznania była pańska matka?

Tom wskoczył do dołu i siłą odebrał mu oskard.

— Była metodystką, osobą bogobojną, ale nie dewotką. Tatuś został wychowany jako baptysta, lecz nie pamiętam, żeby chodził do kościoła. — Wskazał oskardem grób, oddalony o metr od tego, który kopali. — Tu leży. Umarł siedem lat temu.

— Przez chwilę kopał w milczeniu. W górze zakrakała wrona. Hendrickson wyprostował się i pokręcił posepnie głową. — Kracze na deszcz. Rano będzie padać. Nie cierpię pogrzebów po wodzie.

— Ani ja.

— Jestem przedostatnim synem. Najmłodszemu było Joseph. Umarł, jak miał trzy lata. Spadł z drzewa. — Zerknął w stronę grobu ojca. — Nie był nawet na jego pogrzebie. Widzi pan, akurat nas porzucił. Nie było go rok i dwa miesiące. Po prostu wstał pewnego ranka i zniknął jak kamfora... Mama

zajmowała się nami, jakby się nic nie stało. Polowała na króliki i wiewiórki, tak że mięsa mieliśmy pod dostatkiem. Uprawiała też ładny ogródek. Aż tu raptem pewnego dnia tata wrócił, jakby nigdy nic. Umarł i nie dowiedzieliśmy się, gdzie się szwendał przez ten rok i dwa miesiące.

Znowu zmienili się przy oskardzie. Michael stwierdził, że głębiej nie ma już tyłu kamieni.

— Czy należy pan do tych kaznodziei, którzy grzmią przeciwko gorzale?

— Nie, bynajmniej.

Butelka stała w cieniu, tuż za kręgiem światła latarni.

Hendrickson podał ją grzecznie rabinowi, ustępując mu pierwszego łyku. Michael ociekał potem, na szczęście zza góry powiał ożywczy wiatr, a wódka była smaczna.

Noc poczynała szarzeć, kiedy pomógł Hendricksonowi wydostać się z gotowego już grobu. Gdzieś w oddali zaszczekał pies. Hendrickson westchnął.

— Będę musiał sobie poszukać jakiegoś dobrego psa — stwierdził.

196

197

NOAH GORDON

Jego żona nagrzała wody. Umyli się obaj i przebrali. Kracząca na deszcz wrona nie omyliła się co prawda, lecz trochę się pospieszyła; nad szczytami gór sunęły nisko bure chmury, ale deszcz jeszcze nie padał. Bracia przynieśli z szopy sosnową trumnę.

Michael wyszukiwał odpowiednie fragmenty Biblii, zaznaczając wybrane miejsca wydartymi z gazety kawałkami papieru. Sprawiwszy się z tym, włożył na głowę jarmułkę i narzucił na ramiona palto.

Kiedy nieśli trumnę w stronę grobu, wrona zakrakała po raz drugi. Bracia opuścili trumnę do wykopanego dołu, po czym

cała piątka stanęła na jego skraju i zwróciła spojrzenia na Michaela.

— „Jahwe jest moim pasterzem” — zaczął — „nie zbraknie mi niczego. Umieści! mnie na zielonych pastwiskach, prowadzi mnie do wód, przy których mogę odpocząć, i pokrzepia mnie. Wiedzie mnie prawymi drogami przez wzgląd na swe Imię”.

Dziewczynka przestąpiła z nogi na nogę, bryłka ziemi wpadła do grobu. Dziecko odskoczyło do tyłu i pobladło.

— „Choćby mi przyszło kroczyć w mrocznej dolinie, nie będę się lękał zła, bo Ty jesteś ze mną; Twoja laska i Twój kij pasterski dodają mi otuchy. Zastawiasz dla mnie stół na oczach moich ciemieńców; namaszczasz głowę moją olejkami; a puchar mój napełniony jest po brzegi.

Zaprawdę, dobroć i łaskawość towarzyszą mi przez wszystkie dni mojego życia; i będę mieszkał w domu Jahwe po kres moich dni”.*

Dziewczynka uczepiła się ręki matki.

— „Któż znajdzie niewiastę mężną?” — czytał dalej Michael.

— „Daleko większa cena jej niż perły. W niej ufność pokłada serce jej męża i na dostatku mu nie zbywa. Dobro mu świadczy — nie zło przez wszystkie dni swego życia.

Troszczy się o wełnę oraz o len i o chotnie pracuje własnymi rękami. Podobna do okrętu kupieckiego, z daleka sprowadza żywność.

* Psalm XXIII. Tłumaczenie tego i wszystkich następnych fragmentów Biblii za wydaniem „Pisma Świętego Starego i Nowego Testamentu” Księgarni Św. Wojciecha.

198

RABIN

Wstaje, gdy jeszcze jest noc, rozdziela żywność domownikom i zadania swoim służebnikom”.

Clive Hendrickson obejmował ramieniem syna i wpatrywał się w grób matki. Tom stał nad dołem z zamkniętymi oczami ściskając w palcach fałdkę skóry na przedramieniu.

— „Pragnie zakupić pole i nabywa je, z zarobku rąk własnych zakłada winnicę. Mocno przepasuje biodra i umacnia swoje ramiona. Wie, że pożyteczna jest jej praca, nawet w nocy nie gaśnie jej lampa. Swe ręce wyciąga po kądziel, a jej palce ujmują wrzeciono. Dłoń swą otwiera przed ubogim, rękę wyciąga do potrzebującego.

Zdobią ją moc i dostojeństwo, z uśmiechem spogląda w przyszłość. Usta otwiera z rozwagą, na wargach jej — nauka pobożności. Dogląda porządku w swym domu i chleba nie spożywa w próżniactwie”.

Pierwsza kropla deszczu musnęła policzek Michaela jak lodowaty pocałunek.

— „Synowie powstają, by uznać jej troskliwość, małżonek jej również ją sławi: «Wiele niewiast okazało się zacnymi, ty jednak przewyższasz je wszystkie*. Zwodniczy jest wdzięk, marnością piękność! Sławić należy niewiastę, u której jest bojaźń przed Jahwe. Przyznajcie jej należną część z owocu jej rąk, niechaj jej własne czyny sławią ją u bram miejskich”.* Zaczęło siąpić i krople deszczu zaszeleściły z pluskiem na mokrej ziemi.

— A teraz pomódlmy się wszyscy, każdy na swój sposób, za duszę zmarłej Mary Bates Hendrickson — zakończył Michael. Kobieta i obaj bracia uklękli w błocie. Dzieci wymieniły spłoszone spojrzenia, po czym również pokłękaly. Kobieta płakała z opuszczoną głową. Michael stał nad nimi i wypowiadał donośnym głosem starożytne słowa aramejskiej modlitwy za zmarłych. Kiedy skończył, zabębniły o ziemię krople deszczu wielkości półdolarówek.

Kobieta i dzieci uciekły z piskiem, a Michael schował Biblię do kieszeni kurtki i pomógł braciom zasypać dół

„Poemat o mężnej niewieście" z Księgi Przysłów.

199

NOAH GORDON

kamieniami i zmoczoną ziemią. Następnie usypali wysoką mogiłę, by się oparła czasowi.

Po śniadaniu Clive zaczął wygrywać na skrzypcach skoczne melodie, dzieci wtórowały mu śmiechem. Wyglądało na to, że domownicy z ulgą żegnają się z rabinem.

— To był piękny pogrzeb — oświadczył Tom Hendrick-son i wręczył Michaelowi półtora dolara. — Tyle płaciliśmy naszemu zmarłemu kaznodziei. Czy będzie dosyć?

Coś w jego oczach powstrzymało Michaela przed odmówieniem przyjęcia zapłaty.

— Aż nadto. Uprzejmie panu dziękuję.

Hendrickson odprowadził go do samochodu. Oparł się łokciem na opuszczonej szybie w drzwiach, gdy Michael rozgrzewał silnik.

— Jeden gość, z którym robiłem kiedyś na farmie w Missouri — rzekł — opowiadał mi, że Żydzi mają włosy kręcone jak Murzyni i rogi na czubku głowy. Zawsze wiedziałem, że facet zalewa.

Uścisk dłoni miał krzepki.

Michael jechał wolno, gdyż deszcz rozpuścił śnieg i droga była śliska. Po około czterdziestu minutach dotarł do miasteczka i zatrzymał się przy pojedynczej pompie benzynowej przed sklepem Cole'a — „Nasiona, pasze, tekstylia, artykuły spożywcze" — żeby napełnić bak, wiedział bowiem, że do następnej stacji benzynowej ma blisko trzy godziny jazdy. Za miastem płynęła wezbrana rzeka.

Przewoźnik wprowadził samochód na prom, zainkasował ćwierć dolara i pokręcił głową, kiedy Michael zapytał go o warunki na drodze.

— Pojęcia nie mam — rzekł. — Dzisiaj jeszcze nikt z tamtej strony nie przejeżdżał.

Zaciął wierzbową witką zad prowadzącego muła i oba zwierzęta w zaprzęgu ruszyły z wysiłkiem, wprawiając w ruch bęben wciągarki, która napędzała poruszany mechanizmem linowym prom.

Po dwudziestu minutach jazdy szosą po drugiej stronie rzeki Michael zawrócił nagle. Przewoźnik przy przeprawie wyszedł ze swojej budki i stanął w strugach deszczu.

RABIN i

— Droga nieprzejezdna?! — krzyknął. r — Nie o to chodzi! Zapomniałem o czymś!

— Pieniędzy panu nie zwrócę!

— W porządku! — zawołał Michael, po czym zapłacił następne ćwierć dolara.

Zatrzymał samochód przed sklepem wielobranżowym Cole'3 i wszedł do środka.

— Ma pan tu telefon?

Telefon wisiał na ścianie za drzwiami do magazynu, w którym śmierdziało kielkującymi ziemniakami. Michael wykręcił numer operatora i zamówił rozmowę. Miał sporo drobnych, za mało jednak, więc musiał rozmienić banknot jednodolarowy, który dostał od Hendricksona, po czym wrzucił wszystkie monety w szczelinę automatu.

Krople deszczu bębniły o dach.

— Halo? Halo, tu Michael! Nie, nic się nie stało! Po prostu chciałem usłyszeć twój głos. Jak się czujesz, mamó?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Ponieważ w góry stanu Arkansas trudno się było wybierać z Massachusetts na dwa dni weekendu, a Hartford było oddalone od kampusu Wellesley zaledwie o dwie godziny drogi, Debora Marcus co najmniej kilka razy odwiedziła dom Leslie Rawlins w Connecticut w okresie ich trwającej od

trzech lat przyjaźni. Na noworocznym przyjęciu w Cambridge w czasie ich ostatniego roku studiów Debora, całując się z ukochanym i jednocześnie martwiąc się już, czy spodoba się on jej rodzinie, wpadła na pomysł, żeby zabrać przyjaciółkę na ferie wiosenne do Mineral Springs, aby mieć w niej podpórę, gdy powie rodzicom o Mor cię.

Kiedy w pięć tygodni później Leslie — choć nie miała tego dnia randki jak inne dziewczęta — wycierała ręcznikiem włosy w łazience opustoszałego w sobotni wieczór akademika, zauważyła, że ktoś znowu zapchał umywalkę i woda nie chce spływać. Zdarzenie to, acz nie należało bynajmniej do rzadko-

201

NOAH GORDON

ści, rozzłościło ją do tego stopnia, iż uznała perspektywę oderwania się, choćby na krótko, od tych codziennych niewygód za wyjątkowo kuszącą i nazajutrz rano, gdy rozespane podawały sobie z łóżka do łóżka przejrzone już płachty niedzielного wydania bostońskiego „Heralda”, oznajmiła współlokatorce, że zgadza się pojechać z nią w góry Ozark.

— Och, Leslie, to cudownie! — zawołała Debora, po czym przeciągnęła się, ziewnęła, a następnie uśmiechnęła się promiennie.

Była grubokościstą szatynką o pięknych włosach, nieco przyciężkiej górnej połowie ciała i smagłej twarzy o dość pospolitych rysach, ładnej jedynie wtedy, gdy się uśmiechała.

— Czy będziemy świętować Paschę? — zapytała Leslie.

— Ze wszystkimi szykanami! Matka ma nawet zamiar zaprosić w tym roku rabina. Przed końcem ferii staniesz się prawdziwą Żydówką.

A niech tam, pomyślała Leslie.

— Wiele jest wezwanych, ale mało wybranych — stwierdziła, szeleszcząc stroną z komiksami.

Miejscowość Mineral Springs okazała się dokładnie tym, co zapowiadała jej nazwa: uzdrowiskiem o trzech tryskających z ziemi na wierzchołku wzgórza źródłach, nad którymi Nathan Marcus, ojciec Debory, zbudował łaźnię sąsiadującą z małym pensjonatem. Niewielka, ale stała klientela, złożona głównie z cierpiących na zapalenie stawów Żydówek z wielkich miast Środkowego Zachodu, zjeżdżała co roku do pensjonatu, aby zażywać kąpieli w wodzie, która cuchnęła siarką lub zgniłymi jajami, smakowała zaś niewiele lepiej. Nathan, siwiejący mężczyzna o posturze celuloidowej laleczki, zapewniał wszakże miastowych przybyszów, że jego krynice zawierają siarkę, wapno, żelazo oraz inne związki mineralne, zdolne wyleczyć każdą dolegliwość, począwszy od rwy kulszowej, a na młodzieńczym zadurzeniu się skończywszy, toteż odwiedzające jego zakład damy były święcie przekonane, że po dziesięciu minutach kąpieli ich przypadłości istotnie ustępują. Jeśli coś tak wstrętnie cuchnie, powtarzały nieraz żartobliwie, musi być zdrowe.

RABIN

— Temperatura źródeł się podnosi — pochwalił się Nathan młodemu rabinowi.

Siedzieli na rozstawionych na trawniku drewnianych krzeselkach w towarzystwie Debory i Sary, małżonki pana domu. Leslie, ubrana w dzinsy i bluzkę, leżała na kocu na trawie i przyglądała się lasom mroczniejącym w zapadającym zmierzchu w dole porośniętego łąką wzgórza.

— Od dawna? — zainteresował się rabin.

Przypomina trochę Henry'ego Fondę, orzekła w duchu Leslie, tyle że jest nieco szczuplejszy i nie tak barczysty. Powinien się ostrzec. Ujrzawszy go wczoraj po raz pierwszy, gdy w butach z cholewami i wymiętym ubraniu, które chyba nigdy nie

widziało pralni chemicznej, wysiada! z tego brudnego wielkiego samochodu, pomyślała, że to jakiś góral, farmer albo traper. Obecnie, ubrany w sportową marynarkę i luźne spodnie, wyglądał jednak znacznie korzystniej, dość nawet interesująco. Gdyby tylko nie te długie włosy...

— Od sześciu lat, po około pół stopnia rocznie. Osiągnęły już temperaturę dwudziestu trzech stopni!

— Co podgrzewa tę wodę? — zapytała od niechcienia Leslie, podnosząc oczy na rozmawiających mężczyzn. Mógłby uchodzić za Włocha lub Hiszpana, oceniła. A nawet śniadego Irlandczyka.

— Istnieje na ten temat kilka teorii. Być może, woda przeciska się gdzieś pod ziemią przez roztopione skały bądź gorące gazy. Możliwe też, że ogrzewa ją jakaś zachodząca na dużych głębokościach reakcja chemiczna lub występujący tam materiał radioaktywny.

— Gdyby tak te źródła stały się naprawdę gorące!... — westchnęła z rozmarzeniem Sara Marcus.

— Zostalibyśmy krezusami! Niczego podobnego nie znajdziecie stąd aż do Hot Springs, a tamte bady są własnością rządu. Gdybyśmy mieli tu gorące źródła mineralne, powstałoby u nas uzdrowisko z prawdziwego zdarzenia! Tymczasem wodę trzeba podgrzewać, żeby nasze damulki zechciały się w niej zanurzyć. Delikatnisie! Dwieście lat temu z okładem Indianie z plemienia Quapaw leczyli w tych źródłach wszystkie przypadłości. Biwakowali tu, jak mi opowiadano, każdego lata przez kilka tygodni.

203

NOAH GORDON

— I co się potem z nimi stało, tato? — zapytała go z niewinną minką córka.

— Przeważnie wymarli. — Spojrzał na nią marsem.

— Zazieźbili się — dodał, po czym wstał i odszedł. Sara Marcus trzęsła się ze śmiechu.

— Nie powinnaś stroić sobie z ojca żartów! — skarciła Debora i również podniosła się z krzesła. — Nie przysłali nam dostatecznie dużo mąki na macę. Jeśli mamy jeść jutro placki, muszę się brać do roboty.

— Pomogę ci — zaofiarowała się Debora.

— Nie trzeba, zostań tu z państwem. Dam sobie radę.

— Chciałabym z tobą porozmawiać. — Debora wstała.

— No to na razie — powiedziała i puściła do Leslie oko.

Gdy matka z córką odeszły, dziewczyna na kocu zachichotała.

— Jej matka pragneła, żeby Dęb została tu z panem sam na sam. Pani Marcus jest urodzoną swatką, prawda? Nie wie tylko, biedna, że jej córka jest już zaręczona. Przypuszczam, że Dęb to właśnie zamierza jej oznajmić, gdy zasiądą do przygotowywania mąki na macę.

— Ho, ho! — zawołał Michael. Wyjął paczkę papierosów, poczęstował dziewczynę, następnie wysunął jeden dla siebie i pstryknął zapalniczką. — Kto jest szczęśliwym wybranym?

— Nazywa się Mort Beerman. Kończy architekturę na MIT. Ma tu przyjechać za parę dni. Na pewno się państwu Marcus spodoba.

— Skąd pani wie?

— Jest bardzo sympatyczny. Poza tym jest Żydem, a Dęb mówiła mi nieraz, że jej rodzice mają poczucie winy, bo skazali ją na dorastanie na tym odludziu z dala od żydowskiej młodzieży.

Podniosła się z koca i zaczęła rozcierać gęsią skórę na rękach. Kiedy Michael zdjął marynarkę, pozwoliła mu bez słowa podziękowania okryć nią sobie ramiona. Potem usiadła obok niego na krzeselku, na którym przedtem siedziała Debora, i podwinęła pod siebie nogi.

— Musi tu być panu niełatwo — stwierdziła. — W okolicy nie ma chyba zbyt wielu żydowskich panien?

204

RABIN

Z kuchni pensjonatu doleciał ich urwany okrzyk, a potem odgłosy radosnej paplaniny.

— Mazeł tow! — zawołał Michael, a Leslie wybuchnęła śmiechem.

— Istotnie — potwierdzi! — nie ma tu zbyt wielu żydowskich panienek. W każdym razie takich w odpowiednim wieku, z którymi można by się umawiać na randki.

Obrzuciła go kpiącym spojrzeniem.

— Jak to wy nazywacie młode gojki?

— My? Chodzi pani o siksy?

— O właśnie! — Zamilkła na chwilę. — Czy ja jestem siksą? Czy to właśnie słowo przychodzi panu do głowy, kiedy pan na mnie patrzy?

Ich spojrzenia spotkały się na dłuższą chwilę. W gęstniejącej ciemności twarz dziewczyny świeciła białą. Michael zauważył, że pod wysokimi kośćmi policzkowymi ma skórę gładką jak jedwab, ale usta o wargach pełnych i jędrnych są chyba nieco za duże, aby można ją nazwać pięknnością.

— Tak, chyba tak — przyznał.

Nazajutrz wyjechał zaraz po kolacji sederowej, nie zamierzając wracać do pensjonatu Marcusów przez następne kilka tygodni. Tymczasem już po trzech dniach wrócił do Mineral Springs. Początkowo usprawiedliwiał się sam przed sobą tym, że jest po prostu ciekaw Morta Beermana, lecz potem zachnął się w duchu. Do diabła z tymi wykrętami! Odkąd żyję jak włóczęga, nie miałem tak naprawdę wolnego dnia i nie rozmawiałem z żadną kobietą jak normalny mężczyzna. Może ona ma zresztą chłopca, który przyjechał

razem z Beermanem, albo skróciła swoją wizytę i już wyjechała?

Kiedy jednak dotarł do pensjonatu, Leslie wciąż tam była, w polu widzenia zaś nie kręcił się żaden młodzieniec, wyjąwszy jednego Beermana. Mort miał rzednące włosy, poczucie humoru i starego buicka. Dumni państwo Marcus potraktowali go z miejsca jak syna. Wieczorem Leslie i Michael grali w brydża w parze przeciwko narzeczonym. Michael licytował fatalnie, mylił się nawet przy obliczaniu punktów, ale nikt nie zwracał na to uwagi, ponieważ pili dobrą brandy, którą

205

NOAH GORDON

Nathan Marcus wydobył z piwniczki, i śmiali się jak wariaci z rzeczy, których po godzinie nie byłoby już sobie w stanie przypomnieć.

Nazajutrz, kiedy Michael zjawił się na śniadaniu, przy stole siedziała tylko Leslie. Miała na sobie bawełnianą spódniczkę i skromną bluzeczkę z szerokim dekoltem, od którego rabin Kind odwrócił zaraz wzrok.

— Dzień dobry. Gdzie reszta towarzystwa?

— Cześć. Pani Marcus przyucza nową gosposię, a pan Marcus pojechał furgonetką po warzywa.

— A twoja przyjaciółka i jej narzeczoncy?

— Chciom być siami — odpowiedziała szeptem. Uśmiechnął się.

— Nie biorę im tego za złe.

— Ani ja. — Zabrała się do obierania grejpfruta.

— Słuchaj, co byś powiedziała, gdybyśmy wybrali się razem na ryby?

— Naprawdę?

— Oczywiście. Uczyłem kiedyś hebrajskiego małego chłopca, a on w zamian nauczył mnie wędkować. Otworzył przede mną nieznaną nową świat.

— Z najmiłą chęcią!

— Świetnie! — Michael przemknął spojrzeniem po dekolcie dziewczyny. — Lepiej włóż jakieś stare ciuchy. Tutejsza okolica, jak my to mówimy, potrafi być szorstka jak kolba kukurydzy.

Jechali wolno w stronę Big Cedar Hill. Michael zatrzymał się tylko raz, przy pomoście nad rzeką, żeby kupić wiaderko płotek na przynętę. Opuścił wszystkie szyby w samochodzie i do środka wpadały podmuchy ciepłego wiosennego wiatru, przynosząc podniecającą woń topniejących lodów. Leslie miała na sobie tenisówki, džinsy i szarą znoszoną koszulkę trykotową. Siedziała obok rabiego i ziewała, przeciągając się i mruczając z bezwstydnego radości.

Przejechał ostrożnie przez wiszący most i zaparkował.

Dziewczyna wzięła koc, Michael wiaderko z przynętą i wędkę, po czym ruszyli wąską ścieżką biegnącą dnem wyżłobionego

206

RABIN

przez strumień jaru. Po obu stronach ścieżki rosły małe krzewiny oblepione czerwonymi kwiatuśkami oraz duże białe okwiecone krzaki. Dżinsy Leslie — tak wyblakłe od częstego prania, że niektóre nitki stały się niemal białe — ciasno opinały jej pośladki. Michael wyobraził sobie, jak pochylona nad kierownicą roweru pedałuje po kampusie. Słońce połyskiwało na jej długich kasztanowych włosach złotymi cętkami blasku. Schodzili jarem dopóty, dopóki jego zniżające się zbocza całkiem nie zniknęły. Rzeka płynęła w tym miejscu szeroko i leniwie. Po jakimś czasie znaleźli odpowiednie miejsce i rozłożyli koc na trawiastym urwistym cyplu nad głęboką i czystą zatoczką. Dziewczyna przyglądała się w milczeniu, jak Michael wyjmując z wiaderka małą rybkę i

przekłuwa haczykiem jej bok, dbając o to, by wbić ostrze ponad kręgosłupem i nie uśmiercić przynęty.

— Czy to ją boli? — zapytała Leslie.

— Prawdę mówiąc, nie wiem.

Zarzucił wędkę na środek zatoczki, po czym przyglądali się przez chwilę, jak rybka trzepocząc się tonie, aż zniknęła im z oczu w zielonkawej głębi, od której wiało lodowatym chłodem.

Z prądem rzeki tuż przy brzegu płynął kwiat i Leslie wychyliła się z cypla, żeby go wyłowić. Kiedy się schylała, jej trykotowa bluzka podjechała do góry, obnażając dolną partię pleców i zachwycający wstęp do wyłaniającej się z dzinsów, przy których nie nosiła paska, krągłości bioder. A potem, gdy dziewczyna się wyprostowała, trzymając w ręku duży, ociekający wodą kremowobiały kwiat o czterech płatkach, z których jeden okazał się złamany, bluzka zsunęła się i zakryła plecy.

— Jaki to kwiat? — zapytała Leslie, a usłyszawszy, że dereń, spojrzała na kwiat ze zdziwieniem. — Ojciec opowiadał mi różne historie o dereniu.

— Jakie historie?

— Religijne. Podobno z drzewa derenia zbito krzyż Chrystusa. Mój ojciec jest duchownym kongregacjonalistów.

— Świetnie. — Michael szarpnął na próbę żyłkę.

— Tobie się tak wydaje — powiedziała Leslie. — Dla mnie również był ojcem duchownym, jak zresztą dla wszystkich, ale tak go zaprzętała służba Bogu i ludziom, że nigdy nie

207

NOAH GORDON

znalazł czasu, by być zwyczajnym ojcem. Jeśli będziesz miał kiedyś córkę, rabi, nie zapominaj o tym.

Michael już otwierał usta do odpowiedzi, ale zamiast tego podniósł rękę i wskazał leżącą na wodzie żyłkę, która zaczęła

właśnie zniknąć pod powierzchnią szarpana przez jakieś niewidzialne stworzenie. Rabi zerwał się na nogi i zaczął szybko nawijać ją na kołowrotek, dopóki nie rozcięła powierzchni wody piękna, miedzianozielona ryba, na łokieć mniej więcej długa, z białym brzuchem i rozłożystym ogonem. Machnąwszy nim energicznie dwa razy, zerwała się z haczyka i wpadła z pluskiem do wody. Michael zwinął do końca żyłkę.

— Za wcześnie ją podciąłem, nie zdążyła się dobrze zahaczyć. Mój nauczyciel wstydziłby się za mnie.

Leslie przyglądała się zakładaniu i zarzucaniu nowej przynęty.

— Prawdę mówiąc, cieszy mnie, że się zerwała. Będiesz się śmiać, jeśli ci coś wyznam? Pokręcił przecząco głową.

— Od czternastego roku życia aż do matury byłam wegetarianką. Uznałam, że jest nikczemnością zjadanie żywych istot.

— Co sprawiło, że zmieniłaś zdanie?

— Właściwie nie zmieniłam go, tylko zaczęłam się spotykać z chłopakami, chodziliśmy całą paczką na kolacje, bractwo pożerało steki, a ja żułam sałatę, wdychałam te zapachy i aż mnie skręcało. W końcu również zaczęłam zamawiać mięso, ale myśl o cierpieniach, jakie zadajemy żywym stworzeniom, wciąż mi nie daje spokoju.

— Nie dziwię się. Rozumiem twoje skrupuły. Módl się jednak, żeby to żywe stworzenie, bądź jakiś jego krewniak, wzięło jeszcze raz, ponieważ stanowi twój lunch.

— Nie wzięłaś nic innego do jedzenia? Pokręcił przecząco głową.

— A jest tu gdzieś w pobliżu jakaś restauracja?

— Nie ma.

— Boże drogi! — zawołała. — Chyba zwariowałeś! Teraz dopiero poczułam, że umieram z głodu.

— Masz, spróbuj sama — zaproponował jej wędkę.

•1 RABIN

Wzięła ją od niego i utkwiała wzrok w leżącej na wodzie żyłce.

— Kind to dość zabawne nazwisko jak dla rabina, prawda? — odezwała się po chwili. Wzruszył ramionami.

— Chodzi mi o to, że chyba niezbyt żydowskie.

— Przedtem nazywaliśmy się Rywkind. Mój ojciec zmienił nazwisko, gdy byłem małym chłopcem.

— Zwykle wolę oryginały. Rywkind bardziej mi się podoba.

— Mnie też.

— Więc czemu do niego nie wrócisz?

— Przyzwyczailem się. Zmiana powrotna byłaby czymś równie niemądrym jak tamta pierwsza, nie sądzisz?

Uśmiechnęła się.

— Chyba rozumiem, co masz na myśli.

Ponad pół metra żyłki zniknęło nagle pod wodą i Leslie chwyciła Michaela za ramię. Alarm okazał się jednak fałszywy. Nic więcej się nie wydarzyło.

— Być Żydem chyba nie jest łatwo — orzekła po krótkim milczeniu dziewczyna. — Chyba jeszcze trudniej niż wegetarianinem, jeśli wziąć pod uwagę antysemitów, obozy koncentracyjne, piece krematoryjne i całą resztę.

— Istotnie, kiedy siedzisz w takim piecu lub w obozie, rzeczywiście bywa trudno — przyznał. — W każdym innym miejscu być Żydem dużo łatwiej, czasem nawet cudownie.

Chyba że człowiek pozwoli, by bliźni popsuł mu śliczny dzionek czczą gadaniną, zamiast skupić się na zadaniu napelnienia swojego pięknego brzuszka, w którym aż burczy z głodu.

— Wcale mi nie burczy!

— Wyraźnie to słyszę. Z gruntu zwierzęcy odgłos.

— Lubię cię — stwierdziła Leslie.

— Ja ciebie też. Czuję się przy tobie tak swobodnie, iż zamierzam właśnie uciąć sobie drzemkę.

Wyciągnął się na wznak na kocu, zamknął oczy i — choć nie miał w istocie takiego zamiaru — naprawdę zasnął! Nie wiedział, jak długo spał. Kiedy się obudził, dziewczyna siedziała w tej samej co poprzednio pozycji, jakby przez cały

14 Rabin

209

NOAH GORDON

czas w ogóle się nie poruszała; zdjęła tylko tenisówki. Stopy miała zgrabne, jedynie na prawej pięcie widniały dwa żółte modzelowate guzki, a na małym palcu tej samej stopy mały odcisk. Nagle dziewczyna obejrzała się i uśmiechnęła, uchwyciwszy taksujące spojrzenie rabiego. W tej samej chwili wzięła ryba i kołowrotek głośno zafurkotał.

— Trzymaj! — krzyknęła Leslie wtykając wędzisko w rękę Michaela, który go jednak nie przyjął.

— Licz wolno do dziesięciu! — poinstruował ją szeptem. — Potem podetnij mocno, żeby wbić haczyk.

Zaczęła głośno liczyć; przy czterech jej głos zadrżał od nerwowego śmiechu. Doliczywszy do dziesięciu, z całej siły podcięła wędzisko i zaczęła kręcić kołowrotkiem. Ryba pływała jednak pod wodą w poprzek zatoczki i nie dawała się wyrwać, więc Leslie z podniecenia rzuciła wędzisko, chwyciła żyłkę w dłonie i poczęła ciągnąć. Po chwili nad wodą błysnął dorodny okoń, ładniejszy od poprzedniego, szeroki, tłusty, półmetrowej blisko długości. Ryba miotła się na kocu, usiłując wskoczyć z powrotem do rzeki, a Leslie i Michael starali się ją schwytać i w końcu im się to udało, tyle że w trakcie tych starań ręce rabina objęły dziewczynę, jej zaś palce zaplątały się w jego włosach, potem poczuł na swojej piersi dwa unoszone zdyszany oddechem pagórki, a między nimi

rybę, jeszcze ruchliwszą od nich, więc gdy zaczął całować usta Leslie, dziewczyna zakrztusiła się śmiechem.

Przewidywał z obawą, że Leslie może się rozgniewać, gdy dotrą do chatki myśliwskiej Stana Goodsteina, tymczasem śmiała się tylko na widok uginających się pod konserwami półek w spiżarni. Poleciewszy dziewczynie, by podgrzała puszkowaną fasolę, Michael wyszedł z nieżywą rybą do studni za domem. Czekąco go zadanie, którego nie wziął pod uwagę, kiedy układał plan dnia. Nie licząc okonka, jakiego złowił przed dwoma tygodniami z małym Bobbym Lilienthałem, do jedyńskich jego wędkarskich zdobyczy należały flądry, które łapali z ojcem i triumfalnie wręczali komuś z pobliskiego targu rybnego, aby je przetworzył na gotową strawę. Michael przyglądał się raz, jak Phyllis Lilienthal opracia na kolację

RABIN

połów swego syna. Uzbrojony w zardzewiałe nożyczki, kombinerki i tępy nóż rzeźnicki usiłował przypomnieć sobie teraz jej kolejne czynności.

Drżącą ręką zrobił najpierw nożem dwa głębokie nacięcia po obu stronach płetwy grzbietowej, którą następnie wyrwał kombinerkami. Kiedy robiła to Phyllis Lilienthal, ryba nagle ożyła i omal nie wyskoczyła jej z rąk. Pamiętając o tym Michael wyrznął zawczasu głową okonia o kamień, z siłą dostateczną do dekapitacji człowieka, a mimo to wspomnienie tamtego upiornego zmartwychwstania przyprawiło go o dreszcz zgrozy. Posługując się nożyczkami rozpruł biały brzuch od otworu odbytniczego po szczęki. Następnie za pomocą kombinerek ściągnął skórę, dziwiąc się łatwością, z jaką — niemal bez jego udziału — wysliznęły się na zewnątrz trzewia. Pewne trudności napotkał przy odcinaniu głowy; kiedy z wysiłkiem piłował ją nożem, czerwone oczy zdawały się wpatrywać weń oskarżycielsko. W końcu głowa jednak odpadła i Michael przeciągnął ostrzem noża po kręgosłupie,

oddzielając mięso od ości. W rezultacie uzyskał — prawda, że nieco postrzępione — filety rybne. Opłukał je pod studnią i zaniósł do chaty.

— Blado coś wyglądasz — zauważyła Leslie.

Matka Bobby'ego maczała rybę w roztrzepanym jajku, obtaczała w tartej bułce i smażyła na oleju. W chacie nie było ani jajek, ani oleju; Michaelowi udało się znaleźć jedynie tartą bułkę i butelkę oliwy z oliwek. Miał pewne wątpliwości co do użyteczności tych zastępczych produktów, tymczasem filety wyglądały po usmażeniu jak reklama najlepszej smażalni ryb w magazynie dla pań domu. Leslie przyglądała się jego działaniom, a potem przysłuchiwała uważnie, gdy odmawiał błogosławieństwo. Fasola okazała się smaczna, a ryba wyborna. Leslie z własnej inicjatywy otworzyła jeszcze jedną konserwę i podgrzała jej zawartość — cukinię, której Michael zwykle nie znosił, a teraz pałaszował z apetytem. Na deser otworzyli puszkę brzoskwiń i wypili sok.

— Wiesz, na co mam ochotę?

— Pojęcia nie mam.

— Chciałabym cię ostrzyc.

— Nic więcej?

NOAH GORDON

RABIN

— Mówię poważnie! Aż się prosisz o fryzjera! Patrząc na twoją fryzurę ktoś, kto cię nie zna, mógłby pomyśleć, że jesteś... No wiesz...

— Nie, nie wiem!

— Ciotą.

— Ty też ledwo mnie znasz, więc skąd wiesz, że nie jestem?

— Bo wiem — ucięła.

Molestowała go tak długo, aż w końcu ustąpił i wyniósł na słońce jedno z klonowych krzeseł Stana Goodsteina. Potem zdjął koszulę, Leslie przyniosła z domku nożyczki i zaczęła go

strzyc. Po chwili Michael pociągnął kilka razy nosem i zawołał z oburzeniem:

— Fe, nie umyłaś rąk?! Potwornie cuchną rybą!

Chciał natychmiast zrezygnować z dalszych postrzyżyn, ale dziewczyna podbiegła do studni, opłukała dłonie i wytarła je w opięte na pośladkach džinsy, on zaś musiał przyznać w duchu, że już dawno się tak dobrze nie bawił.

Odchylony na oparcie krzesła zamknął oczy i rozkoszował się słonecznym ciepłem, podczas gdy nożyczki szczękały mu nad uchem.

— Jestem ci bardzo wdzięczna — oświadczyła w pewnej chwili Leslie.

— Za co?

— Poczułam podniecenie, kiedy mnie pocałowałeś. Nawet dość silne.

— To takie niezwykle?

— Nie zaznałam czegoś podobnego od czasu przygody, jaka mi się zdarzyła ubiegłego lata — wyznała.

— Hejże! — Pochylił się do przodu, tak że musiała przerwać strzyżenie. — Nie zamierzasz chyba opowiadać mi o takich rzeczach?

Szarpięciem za włosy odchyliła mu głowę do tyłu.

— Właśnie że tak! Nie rozumiesz? Nikomu innemu nie mogłabym się z tego zwierzyć, a tobie mogę! Sytuacja zupełnie wymarzona. Ty jesteś rabinem, ja... siksą i prawdopodobnie nigdy się już nie spotkamy. To nawet wygodniejsze, niż gdybym była katoliczką i spowiadała się księdzu schowanemu

212

za kratkami konfesjonału, bo cię znam, wiem, jakim jesteś człowiekiem.

Michael wzruszył ramionami i zamilkł. Nożyczki zaszczękały ponownie i na jego nagie barki zaczęły sypać się włosy.

— To się zdarzyło z pewnym chłopcem z Harvardu, który mi się nawet niespecjalnie podobał. Nazywał się Roger Phillipson, jego matka chodziła do szkoły z moją ciotką, więc żeby sprawić im obu przyjemność, umówiliśmy się ze sobą kilka razy, aby donieść im o tym w listach. Oddałam mu się wy samochodzie, jeden jedyny raz, tylko po to by się przekonać, jak to jest. Było po prostu okropnie. Zero, nic! Od tamtej pory nie doznawałam żadnej przyjemności całując się z chłopcami i nie odczuwałam podniecenia. Bardzo mnie to martwiło. A kiedy ty mnie pocałowałeś, jak złapałam tę rybę, okropnie się podnieciłam.

Michael poczuł się jednocześnie przyjemnie połączony i naprawdę wściekły.

— Miło mi to słyszeć — mruknął, po czym oboje zamilkli.

— Już mnie tak nie lubisz, kiedy ci to powiedziałam — stwierdziła po chwili.

— Nie o to chodzi. Sprawiaś po prostu, że poczułem się jak roztwór chemiczny, który zabarwił na pożądaną kolor papierek lakmusowy.

— Przepraszam! Ale od tamtej pory tak bardzo chciałam o tym komuś opowiedzieć! Po tym wszystkim myślałam o sobie z obrzydzeniem. Czuję się okropnie, że do tego stopnia uległam ciekawości.

— Nie możesz pozwolić, żeby to pojedyncze doświadczenie zaważyło na całym twoim życiu — rzekł z ostrożnością.

Zaczynały go swędzieć plecy, a kilka włosów wpadło mu za spódnię.

— I nie zamierzam — odrzekła cicho.

— Nikt z nas nie zdoła przejść przez życie nie zbrukany.

Każdy z nas rani siebie oraz innych ludzi. Nudzimy się, więc nabijamy na haczyk małe stworzonka. Czujemy głód, więc jemy mięso. Czujemy pożądanie, więc kochamy się.

Nagle dziewczyna zanosła się płaczem.

NOAH GORDON

Odwrócił się do niej, zdumiony i wzruszony zarazem, że jego słowa wywarły aż tak głębokie wrażenie, okazało się jednak, że ona płacze patrząc na jego głowę.

— Pierwszy raz w życiu kogoś strzygę! — wychlipała.

Wracali powoli o zmierzchu górskimi drogami gawędząc ze sobą cicho. Leslie tylko raz ukryła twarz w dłoniach i zwinęła się na fotelu, lecz Michael domyślił się, że tym razem ze śmiechu. Kiedy dotarli do pensjonatu, pocałował ją w samochodzie na dobranoc.

— Mieliśmy piękny dzień! — szepnęła.

Przekradł się niepostrzeżenie do swojego pokoju. Nazajutrz wstał wcześniej i wymknął się z domu, poprosiwszy Leslie, żeby go usprawiedliwiła przed resztą towarzystwa. Do fryzjera — tego samego, którego od kilku tygodni unikał, ponieważ strzygł niedbale i niewprawnie — musiał jechać aż kilkanaście kilometrów poza kolejny przystanek na swojej trasie.

Staruszek strzygł go nie przestając kręcić głową z nieukontentowania.

— Będę musiał bardzo skrócić, żeby to wyrównać! — zapowiedział.

Gdy skończył, jarmułka nie była w stanie ukryć faktu, że z czupryny Michaela pozostało jedynie coś w rodzaju brązowego podszerstka. W sklepie wielobranżowym obok zakładu fryzjerskiego rabin Kind kupił myśliwski kapelusik koloru khaki, który nosił przez kilka tygodni, nawet w upały, szczęśliwy, że nie musi zdejmować nakrycia głowy do modlitwy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Latem Michael nie musiał już szukać na noc dachu nad głową. Sypiał pod gołym niebem w śpiworze, zakupionym dzięki

nieocenionemu spisowi rabiego Shera; nabytek ów okazał się wielce użyteczny, choć nieco zdążył zapleśnieć.

214

RABIN

Michael leżał w nim pod wygwieżdżonym niebem, zastanawiając się, czy nie zostanie aby zjedzony przez wilka lub rysia, i nasłuchując szumu spadającego z gór i szeleszczącego w drzewach wiatru. Popołudniami, gdy w rozgrzanym od słońca powietrzu migotały w oddali błękitne wzgórza, zatrzymywał czasem samochód i zamiast łowić ryby — naśladował je: kładł się nago w płytkich zatoczkach rwącego strumienia, śmiejąc się i krzycząc z zimna; a raz, ubrany tylko w kąpielówki, dołączył do gromadki niezgrabnych i milkli wy ch chłopaków, którzy pływali w głębokim zakolu rzeki. Włosy zdążyły mu już odrosnąć; mył je teraz co rano i za-czesywał do tyłu, pozbywając się przedziałka, jaki nosił przed wizytą u fryzjera. Golił się regularnie i gdziekolwiek się zatrzymał, korzystał z wanny lub prysznic. Członkowie jego gminy karmili go aż nazbyt dobrze: na przyjazd rabina wszyscy przygotowywali obfite posiłki. Nie musiał sobie nawet sam robić przepierek; aż cztery panie domów leżących na jego szlaku zaofiarowały się, że będą go opierały. Korzystał z ich usług na zmianę. Bobby Lilienthal poczynił dostateczne postępy w hebrajskim, by mógł przystąpić do nauki haftary i przygotowań do bar micwy. Umarła matka Staną Goodsteina i Michael odprawił pierwszy żydowski pochówek w swojej gminie. Potem pani Marcus zaprosiła go do siebie na dwudziestego sierpnia i po raz pierwszy celebrował żydowski ślub. Ślub był wystawny, niemal ponad możliwości pensjonatu, a przy tym zdumiewająco — jak na góry Ozark — uroczysty. Z Chicago, Nowego Jorku, stanów Massachusetts, Ohio i Floryda oraz dwóch miast w Wisconsin zjechali krewni obu

rodzin. Koledzy Morta nie zjawili się, przybyły natomiast cztery koleżanki Debory ze studiów, wśród nich Leslie Rawlins, która była starszą druhną.

Przed ceremonią rabin Kind przez blisko godzinę siedział w sypialni na piętrze z Mortem i jego bratem, który miał być drużbą. Obaj bracia byli okropnie zdenerwowani i dla kurażu pociągali co jakiś czas z piersiówki szkocką whisky. Michael na wszelki wypadek zabrał im butelkę wychodząc z pokoju; przystanąwszy na szczycie schodów rozważał, jak by się jej pozbyć. W holu na parterze zebrał się już tłum gości: panowie

215
NOAH GORDON

w białych marynarkach, panie — posłuszne nakazom nowojorskiej mody — w sukniach od Diora. W skrzydlatych kapeluszach, ślicznych pastelowych sukienkach peau de soie i rękawiczkach po łokcie nawet te obfitszych kształtów przypominały — oglądane z wysokości schodów — bardziej kwiaty niż kobiety. Rabin uznał, że nie wypada mu schodzić pomiędzy nie z butelką gorzałki w rękę. W końcu schował ją do szafy w holu na piętrze, między odkurzacz a dużą puszkę wosku do podłóg.

Ceremonia przebiegła jak po maśle, niczym przedstawienie po licznych próbach. Mort był! trzeźwy i poważny. Z ust zebranych zerwały się spodziewane okrzyki zachwytu, gdy wsparta na ojcowskim ramieniu, kryjąc skromnie za welonem blask swych sarnich oczu, weszła Debora w chmurze białych tiuli, zwieńczonej podobnym do aureoli wiankiem z białego kwiecia. Jedyne mocno zaciśnięte na ukwieconym modlitewniku palce zadawały kłam tym pozorom opanowania. Kiedy uroczystość zaślubin dobiegła końca, rabin Kind złożył wszystkim życzenia i sięgnął po szampana; czuł na sobie spojrzenie wpatrujących się weń znad kieliszka oczu Leslie Rawlins.

Dziewczyna pociągnęła łyczek i uśmiechnęła się do niego.

— No, no! — pochwaliła. — Robisz wrażenie!

— Udało się? — zapytał. — Zdradzę ci tajemnicę, jeśli przyrzekniesz, że nikomu nie powiesz. To był pierwszy ślub, jakiego udzieliłem samodzielnie.

— Gratuluję. — Podała mu rękę. — Wypadło naprawdę znakomicie. Sprawileś, że aż ciarki biegały mi po grzbiecie. Szampan okazał się wytrawny i lodowato zimny; Michaelowi właśnie tego było teraz trzeba.

— To raczej tobie należą się gratulacje. Przecież w czerwcu ty i Debora zrobiliście dyplom, prawda?

— Zgadza się — potwierdziła. — Dostałam już nawet posadę. Zaraz po Święcie Pracy zaczynam jako researcherka w „Newsweeku”. Jestem ogromnie podekscytowana. I trochę przestraszona.

— Pamiętaj tylko, żeby policzyć do dziesięciu, zanim podetniesz rybę — zażartował i roześmiali się oboje. Leslie miała na sobie sukienkę i dodatki w kolorze niebieskim,

216

RABIN

o odcieniu identycznym jak kolor jej oczu. Pozostałe drużyny, trzy studentki z Wellesley i kuzynka Debory z Winnetka, ubrały się na różowo. Niebieski sprawia, że jej kasztanowate włosy wpadają w odcień blond, ocenił w duchu Michael. — Ładnie ci w niebieskim. Ale chyba schudłaś? Nie starała się ukryć zadowolenia.

— Cieszę się, że to zauważyłaś. Stosuję dietę.

— Nie bądź niemądra! Masz przecież pracować w „Newsweeku”, a nie w „Yogue”. Miałaś figurę w sam raz. — Wyjął z jej ręki opróżniony kieliszek i wrócił po chwili z dwoma pełnymi. — Nie mogę się już doczekać listopada. Biorę trzy tygodnie urlopu i jadę do Nowego Jorku.

— Nie mam jeszcze stałego adresu, ale gdybyś się kiedyś nudził, wpadnij do mnie do redakcji. Zabiorę cię na ryby.

— Umowa stoi — powiedział.

Rabi Sher był bardzo zadowolony.

— Bardzo, bardzo! — podkreślił. — Trudno mi wręcz wyrazić, jak się cieszę, że twój teatr objazdowy zyskał powodzenie. Może dzięki temu zaczniemy wysyłać wędrownych rabinów w inne dalekie strony.

— Następnym razem poślijcie mnie do dżungli — poprosił Michael. — Gdzieś gdzie są bagna i roje komarów.

Rabi Sher roześmiał się, przyjrzał się jednak Michaelowi uważnie.

— Jesteś zmęczony? Chcesz, żeby cię ktoś zastąpił?

— Mam tam dwóch chłopców prawie gotowych do bar micwy, nauczyłem się poruszać po tych górach, czynię przygotowania do zbiorowej wieczerzy sederowej w następną Paschę w Minerał Springs, w której może wziąć udział aż czterdzieści rodzin.

— Z tego wnoszę, że twoja odpowiedź brzmi: nie. ';; — Nie teraz.

— No cóż, pamiętaj w każdym razie, że nigdy nie uważałem tego zadania za twoje życiowe powołanie. Synagogi z całej Ameryki dopraszają się o rabinów. Z zagranicy również. Daj mi znać, kiedy zmęczy cię rola pioniera.

Obaj byli zadowoleni ściskając sobie na pożegnanie dłonie.

217

NOAH GORDON

Michael zdążył już zapomnieć, jak brudny jest Nowy Jork i jak zarazem podniecający. Mrówcza krzątająca się na chodnikach, wyzywająca uroda eleganckich kobiet na Piątej Alei i na górnej Madison Avenue, wypielegnowany biały pudełek francuski robiący kupkę w rynsztoku na Pięćdziesiątej

Siódmej Ulicy w bok od Park Avenue, trzymany na luźnej smyczy przez siwego murzyńskiego odźwiernego, który otrzepuje mankiety spodni i udaje, że patrzy w drugą stronę — wszystkie te obrazki wydały się Michaelowi nowe, choć oglądał je przecież od dziecka, tyle że nie zwracał na nie uwagi.

Pierwszego dnia swojego pobytu w mieście, po rozmowie z rabinem Sherem, wybrał się na długi spacer, a potem pojechał kolejką do Queens.

— Musisz się odkarmić — orzekła matka. Usiłował jej wytłumaczyć, że jadał dobrze, ale ona wiedziała swoje: uznała, że kłamie, aby jej nie martwić.

— No i jak ci się podobają siostrzeńcy? — dopytywał się ojciec.

Synek Ruthie, Mojsze, miał już siedem lat, córeczka, Chana, cztery. Dziadkowie ze strony matki pojechali do nich w poprzednim roku na dwa miesiące, nie bacząc na ataki Arabów i brytyjską blokadę, przez którą się przedostali wymachując amerykańskimi paszportami. Pokazali Michaelowi album z wyprawionej skóry wypełniony fotografiami dwójki opalonych nie znanych mu dzieci.

— Wyobrażasz sobie? — dziwiła się matka. — Żeby takie maleństwa spały same samiuteńkie z dala od rodziców? W oddzielnym budynku, tylko z innymi piceleM Co za system!

— W tym kibucu mieszkają sami socjaliści — stwierdził ojciec. — Gdzie się ruszysz, Arabowie patrzą na ciebie wilkiem, jakby zamierzali ci poderżnąć gardło. Możesz sobie wyobrazić swoją siostrę za kierownicą ciężarówki z karabinem na siedzeniu obok?

— Autobusu! Autobusu do przewozu dzieci — sprostowała matka.

— Ciężarówki, tyle że z ławkami na skrzyni — obstawał przy swoim ojciec. — Cieszę się, że jestem republikaninem.

RABIN

Brytyjscy żołnierze wszystko sprawdzają, we wszystko wtykają nosy. No i te braki żywności! Uwierzysz, że kupno tuzina jajek graniczy tam z cudem?

— Jedz, synku, jedz — namawiała matka.

Wieczorem trzeciego dnia pobytu w domu Michael zaczął rozmyślać o znajomych dziewczętach. Zdołał sobie przypomnieć tylko dwie, które — o ile wiedział — nie były dotąd mężatkami. Zadzwoił do pierwszej z nich; okazało się, że zdążyła już wyjść za mąż. Matka drugiej poinformowała go, że córka robi doktorat z psychologii klinicznej na Uniwersytecie Kalifornijskim. „W Los Angeles”, podkreśliła. „Niech pan aby nie napisze na adres tej drugiej uczelni, bo mogłaby nie otrzymać pańskiego listu”.

Michael zadzwonił do Maury'ego Silversteina, który miał własne mieszkanie w Greenwich Yillage. Chociaż w Queens College specjalizował się w chemii, obecnie pracował jako agent od spraw telewizji w jednej z największych agencji informacyjnych, w której zatrudnił się zaraz po wyjściu z wojska.

— A to pech! Za trzy kwadransy lecę do Kalifornii! — oznajmił Michaelowi. — Ale za tydzień wracam. Musimy się koniecznie spotkać. W czwartek urządzam u siebie małe przyjętko. Wpadnij. Będzie masa klawych ludzi. Chciałbym, żebyś ich poznał.

Michael zadzwonił następnie do pani Haroldowej Popkin, z domu Steinmetz. Właśnie otrzymała wyniki testów ciążyowych; były dodatnie.

— Powinieneś się czuć zaszczycony! — zawołała. — Nawet moja matka jeszcze o tym nie wie. Wie tylko Hal. Tobie powiedziałam, bo byłeś moim chłopakiem. Wymienili uwagi na temat brzemienności.

— Słuchaj, Mimi — zaryzykował w końcu Michael — nie znasz przypadkiem jakiejś milej dziewczyny, z którą mógłbym się umówić, póki jestem w domu? Wygląda na to, że wypadłem z kursu.

— Widzisz, jak kończą starzy kawalerowie! — Mimi milczała przez chwilę, rozkoszując się myślą o tym, w jakie Michael popadł bez niej tarapaty. — Co byś powiedział o Rhodzie Levitz? Ostatnio bardzo się ze sobą zaprzyjaźniłyśmy.

219

NOAH GORDON

— To ta grubaska z trądzikiem?

— Wcale nie grubaska! — oburzyła się Mimi. — Wiesz co, zastanowię się nad tym. Na pewno coś wymyślę. W Nowym Jorku aż się roi od samotnych dziewcząt.

Telefonistka w redakcji „Newsweeka” nie wiedziała, jak znaleźć Leslie, ale gdy Michael powiedział jej, że panna Rawlins jest nową pracownicą w dziale dokumentacji, sprawdziła w spisie zatrudnionych i podała numer wewnętrzny.

Czekał na Leslie przed gmachem redakcji na Czterdziestej Drugiej Ulicy. Wyszła o siedemnastej dziesięć. Wyglądała ślicznie, choć była trochę zdenerwowana.

— Dowiaduję się więc o tobie nowej rzeczy — stwierdził biorąc ją za rękę. — Należysz do spóźnialskich.

— I ja dowiaduję się czegoś nowego o tobie: należysz do pedantów.

Zaczął się rozglądać za taksówką. Leslie zapytała, dokąd ją zabiera, a gdy zasugerował restaurację „Miyako”, wyraziła chęć odbycia drogi spacerem. Przeszli czternaście przecznic. Nie było bardzo zimno, ale porywisty wiatr rozwiewał jej poły płaszcza i oblepiał sukienkę wokół zgrabnych nóg. Kiedy dotarli do restauracji, krew żywo krążyła im w żyłach i marzyli tylko o szklance martini.

— Za twoją posadę! — powiedział Michael trącając się z Leslie. — A właśnie, jak ci się tam podoba?

— Nieszczególnie! — Zmarszczyła nosek. — To wcale nie takie podniecające zajęcie, jak mi się wydawało. Masę czasu spędzam w bibliotekach, ślęcząc nad tomami równie ekscytującymi jak książka telefoniczna miasta Ashtabula. Poza tym robię wycinki z gazet wydawanych w miasteczkach, o których istnieniu nawet nie słyszałeś.

— Zamierzasz spróbować czegoś innego?

— Chyba nie. — Zjadła oliwkę. — Wszyscy mnie zapewniali, że świetnie sobie radziłam jako redaktorka „Kuriera” Wellesley. Jeden z moich artykułów — o wyścigu z obręczami, który wygrała zameężna dziewczyna — przedrukowała nawet Associated Press. Myślę, że byłabym całkiem niezłą reporter-

RABIN

ką. Pomęcę się jeszcze trochę, może dadzą mi szansę wykazania się.

— Co to za wyścig?

— Dziewczęta z ostatniego roku Wellesley, ubrane w togi i birety, urządzają zawody w toczeniu obręczy. To stara tradycja. Wierzy się, że zwyciężczyni jako pierwsza z całego roku wyjdzie za mąż. Wyścig naszego rocznika skończył się bardzo zabawnie. Lois Fenton kilka miesięcy wcześniej wydała się potajemnie za pewnego studenta medycyny z Harvardu, więc gdy wygrała zawody, tak ją to zmieszało, że wybuchnęła płaczem i wyklepała nam swoją tajemnicę. Podano jedzenie, tempurę i lekką zupę ozdobioną plasterkami warzyw krojonych w fantazyjne kształty, następnie sukiyaki gotowane przy stole przez wprawnego kelnera o teatralnych ruchach. Michael zamówił dzbanuszek sake, ale Leslie nie miała ochoty na alkohol, ponieważ był podgrzany, więc wypił sam, szybko tracąc czucie w palcach nóg.

Kiedy przy wyjściu pomagał jej wkładać płaszcz i wnętrzami dłoni dotknął lekko jej ramion, dziewczyna odwróciła głowę i popatrzyła mu w oczy.

— Nie przypuszczałam, że do mnie zadzwonisz — powiedziała.

Michael poczuł nagle potrzebę — może za sprawą alkoholu — udzielenia jej zupełnie szczerzej odpowiedzi.

— Bo rzeczywiście nie miałem takiego zamiaru — przyznał.

— Rabin nie powinien się umawiać z gojkami. Wiem o tym.

— Więc czemu przyjęłaś zaproszenie? Wzruszyła ramionami i pokręciła głową. Gdy wyszli na ulicę, Michael zawołał taksówkę, ale Leslie nie chciała już nigdzie jechać.

— Słuchaj, przecież to niemądre! Jesteśmy dorosłymi, nowoczesnymi ludźmi. Dlaczego nie mielibyśmy zostać przyjaciółmi? Jest jeszcze wcześnie — przekonywał. —

Wybierzmy się dokądś i posłuchajmy dobrej muzyki.

— Nie mam ochoty.

Prawie ze sobą nie rozmawiali, dopóki taksówka nie zatrzymała się przed czynszówką z czerwonej cegły na zachodnim krańcu Sześćdziesiątej Ulicy.

221

NOAH GORDON

— Nie wysiadaj — poradziła mu Leslie. — W tej okolicy bardzo trudno zwykle o taksówkę.

— Jakaś złapię.

Mieszkała na pierwszym piętrze. Stali przed drzwiami jej pokoju w sieni pomalowanej na ponury brązowy kolor.

Michael wyczuł, że dziewczyna nie ma ochoty wchodzić do pokoju.

— Wybierzmy się gdzieś jutro wieczorem — zaproponował.

— Moglibyśmy się spotkać w tym samym miejscu, o tej samej porze?

— Nie sędzę — odrzekła. — Ale dziękuję ci. Przyjrzał się jej uważnie i odgadł, że prawdopodobnie się rozplacze, kiedy zostanie sama.

— Posłuchaj — zaczął i pochylił się, chcąc ją pocałować. Odwróciła się i stuknęli się głowami.

— Dobranoc — powiedziała i weszła do pokoju. Taksówkę złapał bez trudu, jak zresztą przewidywał.

Nazajutrz spał długo, a gdy po jedenastej zwłóknął się wreszcie z łóżka, zjadł spóźnione obfite śniadanie.

— Poprawił ci się apetyt — pochwaliła go uszczęśliwiona matka. — Musiałeś się wczoraj dobrze bawić ze swoimi starymi przyjaciółmi.

Michael postanowił zadzwonić do Maxa Grossa. Od dwóch lat nie studiował z dobrym badaczem Talmudu, zdecydował więc, że na takie studia poświęci resztę urlopu.

Tymczasem niemal machinalnie wykręcił numer gazety i poprosił o Leslie Rawlins.

— Tu Michael — powiedział, gdy się odezwała. Zamilkła.

— Bardzo bym pragnął spotkać się dziś z tobą.

— Czego ty właściwie ode mnie chcesz? — spytała dziwnie zdławionym głosem; Michael domyślił się, że musiała zakryć dłonią słuchawkę, żeby ich rozmowy nie usłyszał ktoś znajdujący się w tym samym pomieszczeniu.

— Po prostu zostać twoim przyjacielem.

— Czy z powodu tego, co ci powiedziałam zeszłej wiosny? Masz kompleks opiekuna społecznego. Traktujesz mnie jak biedną niedojdę.

222

RABIN f

— Nie bądź niemądra!

— Więc jeśli nie to, musisz mnie w takim razie uważać za łatwą panienkę. Czy na to masz chrapkę, Michaelu? Na mały romansik przed powrotem w góry?

Chwyciła go złość.

— Słuchaj, oferuję ci moją przyjaźń! Nie chcesz jej, Bóg z tobą. Więc jak, mam czekać o piątej czy nie?

— Czekaj.

Swoją drugą wspólną kolację zjedli w restauracji szwedzkiej, a potem poszli posłuchać Eddiego Condon'a do Yillage. Przed drzwiami swojego pokoju Leslie podała Michaelowi rękę, ale on pocałował ją w policzek.

Nazajutrz był piątek i Michael poszedł z rodzicami do synagogi. Podczas oneg szabat zgrzytał ze złości zębami, gdy matka przedstawiła go kilku osobom, które już zresztą znał: „Mój syn, rabin”. Zupełnie jak w żydowskich dowcipach.

W sobotę zaczął wykręcać numer telefonu Leslie i po pierwszych dwóch cyfrach przerwał, zapytując sam siebie, co właściwie robi, jak człowiek gwałtownie obudzony ze snu. Potem wsiadł do samochodu i wyjechał z miasta, gdy zaś po pewnym czasie rozejrzał się wokół siebie przytomnie j szym wzrokiem, stwierdził, że zajechał aż do Atlantic City. Postawił kołnierz palta i poszedł brzegiem, tocząc z oceanem grę, jaką zwykle uprawiał idąc skrajem plaży: pozwalał falom dosięgać z sykiem swoich stóp, po czym odskakiwał szybko, zanim woda zdążyła mu się wlać do butów. Morze zawsze w tej grze wygrywało, jeśli ją zbyt długo przedłużał. Zdał sobie sprawę, że ta zabawa jest równie niemądra jak postępowanie rabina, który umawia się na randki z córką duchownego independentów. Jedynym sposobem odniesienia zwycięstwa w obu tych grach było odsunięcie się od przeciwnika na dostateczną odległość, i to na dobre. Koniec ze wspólnymi kolacyjkami, koniec z żarcikami, dość ukradkowego studiowania profilu tej panny, wreszcie dość marzeń o jej ciele. Nie umówi się z nią więcej, nie spotka, nie zadzwoni, wyrzuci ją z pamięci. Podjąwszy tę decyzję, doznał wyraźnej ulgi i z uczuciem smutnej dumy oddalił się od brzegu. Wydłużonym krokiem pomaszerował po

NOAH GORDON

ubitym piasku wdychając słone powietrze. Wiatr miotał mu w twarz rozpyloną pianę i mimo osłony płaszcza przewiał go wkrótce na wskroś, więc musiał uciekać z plaży. Zjadł marną kolację w restauracji wypełnionej uczestnikami jakiegoś zjazdu; nie udało mu się ustalić — pracowników fabryki lodówek czy przemysłu mrożonek.

Pokrećwszy się trochę po New Jersey, wrócił do Nowego Jorku. Dochodziła północ. Zatrzymał się przy nocnej aptece i z budki telefonicznej zadzwonił do Leslie. Kiedy po kilkunastu sygnałach podniosła w końcu słuchawkę, poczuł się znowu jak postać ze snu.

— Obudziłem cię?

— Nie.

— Nie miałabyś ochoty na filiżankę kawy?

— Teraz nie mogę. Właśnie myję głowę. Nie przypuszczałam, że jeszcze zadzwonisz. Milczał.

— Ale jutro mam wolne. Może wpadłbyś do mnie na lunch?

— O której? — zapytał.

«? Mieszkała w dużym pokoju wynajmowanym wraz z meblami.

— I coś takiego nazywają samodzielnym mieszkaniem — powiedziała odbierając od Michaela palto. — Gdyby nie mała kuchenka, nazywałoby się to chyba pracownią. A może na odwrót. — Uśmiechnęła się. — Mogłabym sobie pozwolić na coś wygodniejszego, gdybym zamieszkała z paroma koleżankami, ale po czterech latach gniecienia się w akademiku własny kąt dużo dla mnie znaczy.

— Ładnie tu — skłamał Michael.

Pokój czynił przygnębiające wrażenie. Znajdowało się w nim duże, pojedyncze okno, które Leslie usiłowała udekorować jaskrawymi zasłonami, niemal doszczętnie wydeptany

orientalny dywanik, nieładne stare lampy, jeden podniszczony fotel, pomalowany farbą olejną stół, dwa krzesła z prostymi oparciami, dość przyzwoite mahoniowe biurko, prawdopodobnie własny nabytek lokatorki, i dwie biblioteczki mieszczą-

224

RABIN :

ce podręczniki uniwersyteckie oraz sporą liczbę powieści, wśród nich żadnej historycznej. Kuchnia wyposażona w dwupalnikową kuchenkę gazową była istotnie mała, mogła się w niej pomieścić najwyżej jedna osoba. Mikroskopijną lodówkę wciśnięto pod zlew. Leslie poczęstowała Michaela martini, które popijał siedząc na składanej kanapie, podczas gdy dziewczyna przygotowywała posiłek.

— Mam nadzieję, że lubisz treściwe lunchy! — zawołała.

— Istotnie. Potem postawię ci lekką kolacyjkę. Zauważ, ile w ten sposób zaoszczędzę.

Zjedli ser pleśniowy, krakersy, sos pomidorowy, przystawki z sardelą, kotlety cielęce z parmezanem, ciasto cytrynowe i popili to wszystko czarną kawą po turecku. Następnie zabrali się za rozwiązywanie krzyżówki w „Timesie”; gdy po jakimś czasie utknęli, Leslie pozmywała naczynia, a Michael je po wycierał.

Później siedział na kanapie, palił fajkę i spozierał ukradkiem na rozpląszczone piersi dziewczyny, która leżąc na brzuchu łamała sobie głowę nad krzyżówką.

Obejrzał sobie jej księgozbiór.

— Masz dużo poezji — zauważył.

— Uwielbiam poezję! Uczyłam się jej z tego samego źródła, z którego dzieci duchownych czerpią wszelką wiedzę, także wiedzę o ludziach.

— Z Biblii?

— Mhm! — Uśmiechnęła się i zamknęła oczy. — Kiedy byłam mała, marzyłam sobie, że w noc poślubną mój mąż będzie recytował „Pieśń nad Pieśniami”.

Michael miał ochotę pogłodzić ją po twarzy, odgarnąć włosy z uszu i pocałować ich różowe płatki. Zamiast tego sięgnął do stojącej za nią popielniczki i wystuka! fajkę.

— Mam nadzieję, że to uczyni — powiedział cicho.

W poniedziałek udało się Leslie wcześniej wyrwać z biura i pojechali do zoo w Bronksie, gdzie zaśmiewali się długo z małych figli, choć w pawilonie wisiał przeraźliwy smród.

Dziewczyna zaklinała się, że ów odór nadał twarzy Michaela interesujący zielonkawy odcień. We wtorek wybrali się

15 Rabin

225

NOAH GORDON

do Metropolitan Opera na „Aidę”, a potem na późną kolację do „Luchowa”. Leslie zachwyciła się ciemnym piwem.

— Smakuje, jakby je warzono z grzybów — zauważyła. —

Lubisz grzyby?

— Wprost ubóstwiam!

— W takim razie musisz rzucić rabinat, ja rzucę redakcję, zostaniemy farmerami i będziemy uprawiali miliony grzybów na parującym upojnie oborniku.

Zbył jej żart milczeniem.

— Biedny Michael! — Uśmiechnęła się. — Tobie nawet żartować nie wolno o porzuceniu rabinatu, prawda?

— Prawda — przyznał.

— To dobrze. Tak powinno być. Kiedy będę już staruszką, a ty wybitnym przywódcą duchowym swojego narodu, przypomnę sobie, jak za młodych lat dotrzymywałam ci towarzystwa w czasie twojego urlopu.

Przytknęła wargi do krawędzi szklanki i sączyła ciemne piwo.

— Będzie z ciebie urocza staruszka — stwierdził, przyglądając się jej z zachwytem.

W środę zjedli wczesną kolację, po której wybrali się do Museum of Modern Art. Gawędząc i wymieniając uwagi zwiedzali je tak długo, aż całkiem opadli z sił. Michael kupił Leslie w prezencie małą oprawioną w ramkę grafikę, aby wspomogła wzorzyste zasłony w dziele ożywiania ponurego pokoju panny Rawlins. Grafika przedstawiała trzy butelki w kolorach pomarańczowym, niebieskim i palonej umbry, i była dziełem artysty, o którym żadne z nich dotąd nie słyszało. Prosto z muzeum pojechali do mieszkania Leslie i powiesili obrazek na ścianie. Dziewczyna skarżyła się, że bołą ją stopy, więc Michael nalał gorącej wody do wanny, podczas gdy Leslie za ścianą zdejmowała buty i pończochy. Potem zgarnęła spódnicę ponad kolanami, weszła do wanny i usiadła na krawędzi. Poruszając palcami w gorącej wodzie wydawała tak zachęcające pomruki rozkoszy, że Michael ściągnął prędko buty i skarpetki, podwinął spodnie i usiadł obok niej. Leslie tak to rozśmieszyło, że aż musiała trzymać się wanny, żeby do niej nie wpaść. Potem ich palce zaczęły kiwać do siebie pod wodą, a lewa stopa Michaela wyruszyła na spotkanie prawej

226

RABIN

stopy Leslie, która wyszła jej naprzeciw w pół drogi, i obie stopy zaczęły bawić się ze sobą jak dzieci, a potem pieścić jak kochankowie. Ale kiedy spróbował pocałować dziewczynę, zsunęła mu się prawa nogawka i zjechała do wody. Leslie zaśmiewała się do rozpuku, a on wyskoczył z wanny, żeby się osuszyć. Wypili przy stole po filiżance kawy; Michaela przez cały czas drapał w kostkę mokry mankiet tweedowych spodni. — Gdybyś nie był rabinem, już dawno zacząłbyś się do mnie dobierać, prawda? — zapytała w zadumie Leslie.

— Ale jestem rabinem.

— Jasne. Chciałabym się tylko upewnić. Więc jak: dobierałbyś się do mnie, mimo wszystkich żydowsko-chrześcijańskich powikłań, gdybyśmy się spotkali przed twoją smichą?

— Dobierałbym się — przyznał.

— Wiedziałam!

— Czy mamy się przestać widywać z tego powodu? — zapyta! ze smutkiem. — Świetnie się z tobą bawiłem.

— Ależ nie! — zaprzeczyła. — Było naprawdę cudownie. Ale nie ma sensu przeczyć istnieniu pociągu fizycznego, bo nawet jeśli zachodzi ta... reakcja chemiczna, ten... wzajemny pociąg... Oczywiście, jeśli ty naprawdę go do mnie czujesz?

— Naprawdę czuję.

— No więc choć mówi to coś o naszych gustach w odniesieniu do płci przeciwnej, nie oznacza przecież zaraz, że ten feblik musi się przerodzić w romans czy coś w tym rodzaju. Nie widzę powodu, dlaczego nie mielibyśmy się wznieść ponad cielesność i kontynuować przyjaźń, która wiele już dla mnie znaczy.

— Jestem dokładnie tego samego zdania! — przyznał z ożywieniem.

Odstawili filiżanki i podali sobie ręce. Potem rozmawiali na różne tematy, tak długo, aż zdążył wyschnąć mankiet spodni. Dziewczyna oparła brodę na rozłożonych na stole rękach, a Michael w trakcie rozmowy wodził opuszką palca po jej kształtnym ramieniu porośniętym złotymi włoskami tak jasnymi, że prawie przezroczystymi. Mijał cienki przegub, obwodził po kolei wszystkie kostki palców, kończąc na kciuku, by powrócić następnie po ciepłej i miękkiej wewnętrznej stronie przedramienia. Leslie rumieniła się z radości, nie

NOAH GORDON

przestawała go jednak słuchać, odpowiadać, a nawet śmiać się z jego żartów.

W czwartek zabrał ją na przyjęcie do Maury'ego Silversteina. Samochód oddał na przegląd do garażu na Manhattanie, skąd odebrał go jadąc po Leslie. Ponieważ mieli dość czasu, pojechał w górę miasta, w stronę Morningside Heights; gdy jednak mijali dom, w którym mieściła się synagoga Szaarej Szomajim, Michael zatrzymał samochód, wskazał ją Leslie i opowiedział o Maksie.

— Musi być wspaniały — stwierdziła. — Ale ty się go chyba trochę boisz, wiesz o tym? — spytała po chwili milczenia.

— Skądże! — zaprzeczył. — Mylisz się. Poczul do niej złość.

— Widywałeś się z nim ostatnio?

— Nie.

— Z mojego powodu, prawda? Bo wiedziałeś, że nie pochwaląby tego, że się ze mną spotykasz?

— Nie pochwalą? Krew by go zalała! Ale on ma swoje życie, a ja swoje. — Zapalił silnik.

Mieszkanie Maury'ego okazało się ciasne, a przyjęcie licznej było w pełnym toku, kiedy się zjawili. W poszukiwaniu gospodarza przeciskali się przez tłum gości sączących drinki lub tylko trzymających w rękach szklanki. Michael nie znał nikogo oprócz jednego ciemnego, podobnego do kreta człowieczka, sławnego telewizyjnego — i salonowego — komika. Otoczony gromadką zaśmiewających się osób sypał żarcikami na najdziwniejsze tematy, jakie mu podsuwano.

— Jesteś nareszcie! — zawołał Maury, dojrawszy przeciskającego się w jego stronę Michaela, i pomachał mu dłonią. Stał w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. — Jak się masz, stary! — przywitał rabina i chwycił go za ramię wolną ręką; w drugiej trzymał drinka.

Przytył trochę i zrobiły mu się worki pod oczami, brzuch miał jednak płaski i chyba muskularny. Michael pomyślał, że prosto po biurze biega pewnie co wieczór do sali gimnastycznej lub też jedną z szaf w jego mieszkaniu wypełniają ciężarki i hantle, podobne do tych, jakimi przez długie lata ćwiczył Abe Kind.

228

RABIN rf

• Michael przedstawił Leslie, Maury zaś swojego szefa, Bensona Wooda, uśmiechniętego faceta o twarzy jak księżyc w pełni i okularach w najgrubszych szylkretowych oprawkach, jakie Michael kiedykolwiek widział.

Wood nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi, uśmiechał się natomiast z pijacką zalotnością do Leslie i długo po przywitaniu nie wypuszczał jej ręki.

— Znajdujemy się wśród samych przyjaciół Maury'ego S.! — oznajmił, wymawiając starannie każdą sylabę z osobna.

— Jest tu ktoś, kogo koniecznie musisz poznać, jedna z moich gwiazd! — szepnął Maury do Michaela, po czym ujął kolegę pod rękę i pociągnął w stronę grupki otaczającej mężczyznę o kreciej głowie. — Otóż i on, George! — zawołał do komika.

— Facet, o którym ci opowiadałem. Rabin!

Komik przymknął oczy.

— Rabin... rabin... Znacie ten kawał o rabinie i księdzu...

— Tak — zdążył wtrącić Michael.

— ...którzy byli kumplami? Otóż księżunio mówi kiedyś do rabina: „Słuchaj, musisz koniecznie spróbować szyneczki, palce lizać!” A rabin mu na to: „A ty musisz koniecznie spróbować dupeczki. Palce lizać!”...

— Owszem, znałem to — powiedział Michael wśród gromkiego wybuchu śmiechu grona słuchaczy.

— Owszem? — Komik przymknął oczy i przytknął palec do czoła. ->- Owszem... Owszem... A zna pan to, jak pewien gość

zabrał do kina drive-in cież z Południa? Pyta ją, czy mu się odda, a ona mu na to: „O-o-o-o-o-wszem!” Ale tymczasem film się skończył i musieli wyjeżdżać.

— Nie, tego nie znałem — odpowiedział Michael. Komik przymknął oczy.

— Znałem... znałem... — zamyślił się, Michael wszakże nie czekał; odwrócił się na pięcie i podszedł do stojącej obok Wooda Leslie.

— Nie miałabyś ochoty się stąd urwać? — zapytał.

— Najpierw się czegoś napijmy.

Odeszli, pozostawiając Wooda samemu sobie.

Alkohole stały na odsuniętym pod ścianę stole. Jakies dwie dziewczyny przyrządzały sobie właśnie drinki, więc Michael czekał cierpliwie, aż skończą. Jedna miała włosy rude, druga

229

NOAH GORDON

blond; obie były wysokie, fantastycznie zgrabne, ładne i wyzywająco umalowane. Modelki albo aktorki z telewizji, ocenił w duchu.

— Odkąd zoperował sobie przepuklinę, stał się innym człowiekiem — szczebiotała jedna z nich.

— Spodziewam się! — odrzekła blondynka. — Ledwo mogłam notować, kiedy ta szantrapa mnie do niego posyłała, żeby mi coś podyktował. Pojęcia nie mam, jak ty mogłaś z nim wytrzymać przez tyle miesięcy! Jego humory i smród z gęby omal mnie nie zabiły.

Nagle za ich plecami krzyknęła przeraźliwie jakaś kobieta i wszyscy się odwrócili. Wood rzygał na środku pokoju, a goście uciekali od niego w popłochu, przepychając się i rozlewając drinki. Maury podskoczył do swojego szefa.

— W porządku, W.B.! — zawołał i objął ramieniem wymiotującego pijaka, drugą ręką podtrzymując mu czoło.

Michael stwierdził, że Maury robi to z wprawą człowieka nawykłego do świadczenia tego rodzaju usług. Dziewczyna, która krzyknęła, odkleiła sukienkę od piersi, wydając urywane okrzyki odrazy i oburzenia.

Michael wziął Leslie pod rękę i wyprowadził z pokoju. Dopiero w jej mieszkaniu zrobili sobie drinki.

— Obrzydlistwo! — wzdrygnęła się i pokręciła głową.

— To rzeczywiście było okropne. Biedny Maury!

— Ten wrzaskliwy cham, Wood, co za ohyda! Albo ten wstrętny sypiący kawałami kurdupel! Wyłączam telewizor, ledwie się pokaże na ekranie!

— Zapominasz, że to gwiazdor.

— Też mi gwiazdor! Obrzydliwy wieprz z przybranym nazwiskiem!

Michael podniósł do ust szklanke, ale zamiast się napić odstawił ją na stół.

— Z przybranym nazwiskiem? Wood? — Spojrzał na dziewczynę. — Chcesz powiedzieć, że przedtem nazywał się na przykład Rywkind?

Milczała.

Wstał i sięgnął po płaszcz.

— To był goj, skarbie! Tokujący, głupi, wulgarny goj! Pijany zarzygany chrześcijanin! Jeden z was.

230

. Siedziała jak skamieniała, gdy za Michaelem z trzaskiem zamknęły się drzwi.

W sobotni wieczór został w domu i grał w kasyno z ojcem. Abe był świetnym karciarzem. Zawsze wiedział, ile zeszło pików i czy dobra dwójka i dziesiątka karo są jeszcze w talii. Należał do graczy, którzy przegrywając ciskają karty na stół, lecz kiedy grał z synem, nie miał zwykle powodu do takiej irytacji.

— Wygrałem, mam piki. Licz punkty — oświadczył pykając cygaro, kiedy zadzwonił telefon.

— Mam tylko dwa asy — przyznał się Michael. — Zarobiłeś dodatkowo dziewięć punktów.

— Lizus!

— Synku! — zawołała matka. — Western Union do ciebie! Pobiegnął do telefonu. Rodzice stanęli w kuchni i przysłuchiwali się rozmowie.

— Halo?

— Rabin Michael Kind? Mam telegram dla pana. Oto treść: „Strasznie mi wstyd. Kropka. Dziękuję za wszystko. Kropka. Wybacz, jeśli możesz”. Podpisano: „Leslie”. Życzy pan sobie, żebym powtórzył?

— Dziękuję, nie trzeba — powiedział Michael i odłożył słuchawkę.

Rodzice wrócili za nim do karcianego stolika.

— Nu? — zagadnął go ojciec.

— Nic ważnego.

— Więc na zakomunikowanie czegoś nieważnego trzeba aż telegramu?

— Jeden z moich małych podopiecznych w Arkansas przygotowuje się do bar micwy. Jego rodzice się trochę denerwują. Przypomnieli mi o paru drobiazgach.

— Nawet na urlopie nie dadzą ci spokoju! — Ojciec usiadł do stolika i zaczął tasować karty. — Wygląda mi na to, że kasyno ci nie leży. Co byś powiedział na partyjkę remika?

O jedenastej rodzice położyli się spać, a Michael poszedł do swojego pokoju i próbował czytać, najpierw Biblię, potem kryminał Mickeya Spillane'a, wreszcie swojego ulubionego

231

NOAH GORDON

Arystotelesa, ale na żadnej z lektur nie potrafił się skupić, zauważył jedynie, że okładka „Pism” Arystotelesa jest

popękana i podarta. Po namyśle włożył palto, wymknął się z mieszkania, zbiegł na dół i wsiadł do samochodu. Pojechał przez most Queensboro, a nie przez tunel, bo miał ochotę popatrzeć na światła na East River. Przecisnął się przez zatłoczone ulice Manhattanu, przyjechawszy zaś na miejsce, znalazł — dobry znak — wolne miejsce do parkowania dokładnie naprzeciwko domu Leslie.

W pomalowanej na brązowo sieni wahał się przez chwilę, zanim zapukał do drzwi i usłyszał znajomy tupot stóp.

— Kto tam?

— Michael.

— O Boże! Nie mogę cię wpuścić.

— Dlaczego? — zapytał z irytacją.

— Okropnie wyglądam. Roześmiał się.

— Nie bądź niemądra!

Szczęknął otwierany zamek. Leslie miała na sobie spłowiałą zieloną piżamę i brązowy flanelowy szlafrok, tak znoszony, że brzegi rękawów były zupełnie przetarte. Była boso i bez makijażu. Oczy miała zaczerwienione, jakby niedawno płakała. Objął ją, a ona oparła głowę na jego piersi.

— Płakałaś przeze mnie? — zapytał.

— Niezupełnie. Boli mnie brzuch.

— Może ci coś kupić? Wezwać lekarza?

— Nie trzeba. Zawsze mi się to zdarza podczas nowiu księżycy. — Mówiła głosem zduszonym, z ustami wciśniętymi w ramię Michaela.

— Biedactwo!

— Daj mi swój płaszcz — poprosiła, lecz gdy go od niego odbierała, wykrzywił jej twarz grymas bólu; upuściła płaszcz i zaczęła szlochać tak rozdzierająco, aż Michael się przestraszył.

Potem położyła się na kanapie i odwróciła twarzą do ściany.

/

— Proszę cię, odejdz! — wystękała.

Podniósł z podłogi płaszcz, powiesił go na oparciu krzesła, a potem stał i przyglądał się dziewczynie. Podciągnęła kolana
232

•••" <? RABIN -"i

i kiwała się w przód i w tył w monotonnym rytmie, jakby próbowała ukołysać ból do snu.

— Może byś coś wzięła? Na przykład aspirynę?

— Kodeinę.

Buteleczka z lekarstwem stała w apteczce. Michael podał Leslie tabletkę i wodę do popicia, po czym usiadł w nogach kanapy. Po niedługim czasie kodeina zaczęła działać i dziewczyna przestała się kołysać. Dotknął ręką jej stopy: była zimna.

— Powinnaś włożyć kaptcie — powiedział, po czym wziął jej stopę w dłoń i zaczął rozcierać.

— Jak przyjemnie! — zamruczała Leslie. — Masz takie ciepłe dłonie. To lepsze niż butelka z gorącą wodą. Nie przestawał masować jej stóp.

— Połóż mi rękę na brzuchu — poprosiła. Przesiadł się bliżej i wsunął rękę pod jej szlafrok.

— Jak miło! — szepnęła sennie Leslie.

Przez płótno spodni od piżamy wyczuwał gładką skórę brzucha, podzielonego na trzy części przez pas podtrzymujący podpaskę. Opuszek jego palca środkowego namacał dołeczek pępka, zdumiewająco rozległy i głęboki.

— Łaskocze! — zawołała Leslie i pokręciła głową.

— Przepraszam. „Peppek twój jako czasza toczona, która nigdy nie jest bez napoju”.* Leslie uśmiechnęła się.

— Nie chcę być twoją przyjaciółką — wymamrotała.

— Wiem.

Kiedy zasnęła, długo się jej przyglądał siedząc obok na kanapie. W końcu zdjął rękę z jej brzucha, wyjął z szafy koc i

przykrył śpiącą, starannie otulając jej stopy. Potem wrócił do Queens i spakował torbę.

Nazajutrz oznajmił rodzicom przy śniadaniu, że niespodziewane zdarzenie w jego gminie każe mu skrócić urlop. Abe zaklął i zaofiarował mu pewną sumę pieniędzy. Dorothy ponarzekła trochę, po czym, wycierając oczy ręką far-

* Cytat z „Pieśni nad Pieśniami” w przekładzie Jakuba Wujka.

233

NOAH GORDON

tucha, zapakowała synowi do pudełka po butach kanapki z kurczakiem i termos z herbatą.

Michael ruszył na południowy zachód, pojadając kanapki, kiedy poczuł głód; zatrzymał się dopiero o czwartej po południu i z budki telefonicznej jakiegoś przydrożnego baru zadzwonił do Leslie.

— Skąd dzwonisz? — spytała, gdy ucichł brzęk ostatniej z wrzuconych do automatu monet.

— Z Wirginii. Ze Staunton, jak mi się zdaje.

— Uciekasz ode mnie?

— Muszę sobie to i owo przemyśleć.

— A o czym tu myśleć?

— Kocham cię — oświadczył szorstko. — A jednocześnie lubię to, co robię. Nie jestem pewien, czy potrafię się tego wyrzec. To dla mnie wiele znaczy.

— I ja cię kocham — powiedziała, po czym oboje zamilkli.

— Michael?...

— Tak?

— Czy poślubienie mnie oznaczałoby nieodwołalnie, że musiałbyś się tego wyrzec?

— Tak sędzę. Tak, nieodwołalnie.

— Więc nic na razie nie rób. Czekaaj, po prostu czekaaj. Znowu zaległo milczenie.

— Nie chcesz za mnie wyjść? — zapytał w końcu.

— Chcę! Boże, gdybyś wiedział jak bardzo! Ale mam pewien pomysł i muszę go sobie przemyśleć. Na razie o nic mnie nie pytaj i nie podejmuj żadnych pochopnych decyzji. Po prostu czekaj i pisz do mnie codziennie, a ja będę ci odpisywała.

Zgoda?

— Kocham cię — powiedział. — Zadzwoń we wtorek. O siódmej.

— I ja cię kocham.

W poniedziałek rano Leslie przygotowała wycinki z bostońskich i filadelfijskich gazet, następnie poszła do redakcyjnej biblioteki i wypożyczyła sześć grubych brązowych kopert z nadrukiem „Judaizm”. Zaczęła przeglądać znajdujące się

234

RABIN

w nich materiały już w czasie godzinnej przerwy na lunch, a idąc wieczorem do domu niosła w torebce zwitek spiętych gumką wybranych wycinków. We wtorek rano przygotowała wycinki z gazet chicagowskich, po czym spytała swojego szefa, Phila Brennana, czy mogłaby wyskoczyć na kilka godzin w sprawach prywatnych. Kiedy skinął przyzwalająco głową, włożyła płaszcz, kapelusz i zjechała windą na parter. Czekając na przystanku autobusowym na Times Square pod reklamą papierosów, na której mężczyzna wydmuchiwał kółka prawdziwego dymu, przyglądała się twarzom przechodniów próbując zgadywać, kto jest, a kto nie jest Żydem. Pojechała autobusem na północ i wysiadła na przystanku niedaleko tego śmiesznego żydowskiego kościoła. Nie, nie kościoła — synagogi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Max Gross patrzył na modnie ubraną dziewczynę o smukłych nogach i otwartym spojrzeniu Amerykanki i wzbierała w nim

irytacja. Odkąd pełnił rabinackie obowiązki w Szaarej Szomajim, tylko cztery razy goje zwracali się do niego z prośbą o uczynienie ich Żydami, za każdym zaś razem, jak to sobie teraz uświadomił, w taki sposób, jakby wystarczyło zatoczyć rękami i powiedzieć hokus-pokus, żeby buchnął kłęb dymu i okoliczności urodzenia petenta uległy zmianie. Nie zdarzyło mu się jeszcze spotkać osoby naprawdę gotowej do konwersji.

— Co panią tak pociąga w żydostwie, że chciałaby stać się jedną z nas? — spytał chłodno. — Czy zdaje sobie pani sprawę z tego, że Żydzi są prześladowani przez cały świat? Zdaje sobie pani sprawę, że jako jednostki jesteśmy pogardzani przez gojów, a jako naród izolowani?

Leslie wstała, wzięła rękawiczki i torebkę.

— Prawdę mówiąc, spodziewałam się, że pan mnie nie przyjmie — powiedziała sięgając po płaszcz.

— A to dlaczego?

235

NOAH GORDON

Błyszczące oczy starca, podobne do oczu jej ojca, mierzyły ją przenikliwie. Na myśl o wielebnym Johnie Rawlinsie dziewczyna poczuła ulgę, że rabin ją odprawia.

— Ponieważ nie sądzę, abym była w stanie czuć jak Żydówka, choćbym żyła milion lat. Nie dopuszczam do siebie myśli, że ktoś mógłby chcieć naprawdę mnie skrzywdzić, zabić moje dzieci, oddzielić mnie od świata. Ja sama żywię pewne uprzedzenia wobec Żydów, przyznaję. Czuję się niegodna, by wejść do narodu, który dźwiga takie brzemie powszechnej nienawiści.

— Czuję się pani niegodna?

— Tak.

Rabi Gross świdrował ją wzrokiem.

— Kto pani podsunął to sformułowanie? — zapytał.

— Nie rozumiem, o czym pan mówi?

Rabin podniósł się ciężko i podszedł do arki. Odsunawszy niebieskie zasłonki i przesuwane drewniane drzwiczki, odsłonił dwie Tory w aksamitnych pokrowcach.

— W tych zwojach są spisane nasze prawa — rzekł. — My nie szukamy kandydatów na Żydów; przeciwnie, odstraszaamy ich. Tałmud nakazuje, aby rabin wypowiedział pewne przepisane słowa, kiedy zgłosi się do niego apostata innej religii. Tora nakazuje, by ostrzegł takiego goja przed losem, jaki jest udziałem Żyda na tym świecie. Stanowi jednak również, że jeśli goj odpowie na to ostrzeżenie: „Wiem o tym i czuję się niegodny, żeby zostać Żydem”, ma zostać niezwłocznie dopuszczony do procedury konwersji.

Leslie usiadła.

— To znaczy, że mnie pan przyjmuje? — zapytała słabym głosem.

Rabin skinął głową. O Boże, przestraszyła się, i co ja teraz zrobię?

Spotykała się z rabim Grossem wieczorami we wtorki i czwartki. On mówił, ona słuchała, uważniej niż najtrudniejszych wykładów w college'u; nie zadawała mu zbędnych pytań, a przerywała jedynie wtedy, gdy już koniecznie potrzebowała wyjaśnień.

236

RABIN ,•

Nakreślił jej podstawowe zasady żydowskiej religii.

— Języka nie będę cię uczy! — zapowiedział. — W Nowym Jorku aż się roi od nauczycieli hebrajskiego. Idź do któregoś z nich, jeśli chcesz.

W „Timesie” znalazła ogłoszenie, które zaprowadziło ją do YMHA na Dziewięćdziesiątej Drugiej Ulicy: odtąd miała zajęte również środowe wieczory. Jej nauczyciel hebrajskiego — młody, wiecznie zatroskany doktorant z Uniwersytetu

Jesziwa — nazywał się Goldstein. Leslie odkryła szybko, że stołował się w kawiarni pod ich klasą, spożywając kolacje, które składały się nieodmiennie z tosta z twarożkiem i oliwką oraz filiżanki czarnej kawy. Razem trzydzieści centów. Nosił zawsze tę samą koszulę z wystrzępionymi mankietami, a kolacje jadał tak skromne, gdyż nie stać go było na lepsze. W porównaniu z jego posiłkami jej suto zastawiona taca wydawała się Leslie świadectwem obżarstwa, toteż przez parę tygodni starała się ograniczać swój apetyt, ale lekcje hebrajskiego trwały dwie godziny, a potem miała jeszcze w innej klasie w głębi holu wykłady z żydowskiej historii, i przekonała się, że jeśli się dobrze nie naje, doznaje z głodu zawrotów głowy.

Pan Goldstein poważnie traktował swoją pracę, a studenci wieczorowi, skoro już przeznaczali na naukę swój wolny czas, mieli do niej silną motywację. Tylko jedna osoba, jakaś kobieta w średnim wieku, odpadła po pierwszych zajęciach. Pozostała czternastka nauczyła się dwudziestu dwóch liter hebrajskiego alfabetu w tydzień.

W trzecim tygodniu nauki powtarzali już kolejno głupie krótkie zdanka, jakie udawało się ułożyć za pomocą ograniczonego zasobu ich hebrajskich słów.

— Rabi ba — przeczytała Leslie, a następnie przetłumaczyła z takim zapałem, aż nauczyciel i reszta klasy wytrzeszczyli na nią oczy: — Mój rabi nadchodzi!

Lecz gdy ponownie przyszła jej kolei odczytania na głos ćwiczenia, przypadło jej zdanie: Mi rabi? Aba rabi.

— Kto jest moim rabim? Ojciec jest moim rabim — przetłumaczyła, po czym usiadła szybko, a gdy po jakimś czasie podniosła wzrok na książkę, odniosła wrażenie, że patrzy na podręcznik jak przez mleczną szybę.

Rabi Gross wcale nie był taki stary, uświadomiła sobie pewnego wieczoru słuchając jego wykładu o bałwanach, zakończonego przestrogą, że chrześcijanie z najwyższym jedynie trudem potrafią wyobrazić sobie Boga bez pomocy jakiegoś wizerunku. Wyglądał jednak i zachowywał się jak starzec. Bardziej surowym wyglądem nie odznaczał się pewnie nawet sam Mojżesz. Rabi Gross zerknął ponad ramieniem Leslie do jej zeszytu i zaciął usta.

— Nigdy nie pisz imienia Boga! Pisz zawsze: B-g. To bardzo ważne! Jedno z przykazań nakazuje, by nie używać Jego imienia nadaremno.

— Przepraszam — powiedziała. — Tyle jest tych reguł! W jej oczach zakręciły się łzy. Rabi z niesmakiem odwrócił wzrok od uczennicy. Podjął przechadzkę i monotony wykład; splótłszy na plecach ręce, uderzał lekko knykciami prawej dłoni w zagłębienie lewej.

W czternastym tygodniu nauki oświadczył Leslie pewnego wieczora, że jej konwersja odbędzie się w następny wtorek, chyba że, dodał delikatnie, z jakichś powodów nie będzie mogła tego dnia zanurzyć się w kąpieli rytualnej.

— Już? — zdumiała się. — Przecież tak krótko studiuje, tak mało jeszcze wiem!

— Nie powiedziałem, że jesteś już wielkim uczonym, młoda damo, przyswoiłaś sobie jednak dostateczną wiedzę, by zostać Żydówką. Ciemną Żydówką, zgoda. Jeśli przyjdzie ci ochota zostać Żydówką wykształconą, będziesz musiała studiować dalej sama. — Spojrzenie jego oczu złagodniało, a ton głosu zmiękł. — Jesteś bardzo pracowitą dziewczyną. Dobrze się spisałaś.

Następnie dał jej adres mykwy i kilka wstępnych pouczeń.

— Nie wolno ci mieć na sobie żadnej biżuterii. Żadnych bandaży, nawet plastra na odciski. Paznokcie obetnij jak najkrócej. Nic, nawet kłaczek waty w uchu, nie może

przeszkadzać wodzie w omyciu wszystkich zewnętrznych zakamarków ciała.

W piątek Leslie dostała ze zdenerwowania boleści, które już nie ustąpiły. Nie wiedziała, ile dokładnie czasu zajmie

238

RABIN fr

ceremonia, uznała więc, że lepiej zwolnić się z pracy na cały dzień.

— Muszę wziąć we wtorek wolne, Phil — oznajmiła Brennanowi.

Popatrzy! ze znużeniem najpierw na nią, a potem na stertę gazet, z których jeszcze nie zrobili wycinków.

— Jezu Chryste, akurat teraz, kiedy jesteśmy po uszy zawaleni robotą!

— To bardzo ważne.

Znał wszystkie ważne powody, dla których jego pracownicy potrzebowały wolnego dnia.

— Pogrzeb babci?

— Nie, przechodzę na judaizm i we wtorek mam konwersję. Rozdziawił usta, żeby coś powiedzieć, a potem ryknął na całe gardło:

— O matko! Już miałem powiedzieć „nie”, ale czy warto gadać z osobą niespełna rozumu?!

Wtorek był pochmurny. Leslie wyszła z domu ze sporym zapasem czasu, toteż zjawiała się w synagodze, w której mieściła się mykwa, o kwadrans za wcześnie. Tamtejszy rabin okazał się człowiekiem w średnim wieku, brodatym podobnie jak rabi Gross, ale znacznie pogodniejszym, wręcz tryskającym radością. Zaprosił pannę Rawlins do swojego biura.

— Właśnie zaparzyłem kawę — powiedział. — Wypije pani ze mną filiżankę?

Leslie już miała odmówić, ale zmieniła zdanie, bo zaleciał ją nęcący zapach kawy. Gdy przybył rabi Gross, gwarzyli już ze sobą jak dwoje starych przyjaciół. W chwilę później zjawiał się jeszcze jeden rabin, młody mężczyzna bez brody.

— Będziemy świadkami twojego zanurzenia się — oznajmił rabi Gross i roześmiał się na widok jej miny. — Pozostaniemy na zewnątrz, rozumie się. Drzwi będą tylko lekko uchylone, abyśmy mogli usłyszeć plusk wody, gdy będziesz do niej wchodziła.

Sprowadzili ją schodami w dół. Mykwa mieściła się w parterowej dobudówce na tyłach synagogi. Rabini polecieli Leslie czekać w szatni na przybycie niejakiej pani Rubin.

239

NOAH GORDON

Dziewczyna miała ochotę zapalić, ale nie była pewna, czy jej wolno. Szatnia budziła przygnębienie. Ciasna, z drewnianą, skrzypiącą przy każdym kroku podłogą, na której leżał pleciony chodniczek przed małą drewnianą komódką. Na komódce stało lustro z żółtym zaciekiem w lewym dolnym rogu i jasnoniebieskim w prawym górnym. Kiedy Leslie do niego zajrzała, zobaczyła odbicie zniekształcone i faliste jak w krzywym zwierciadle z wesołego miasteczka. Jedynymi meblami poza tą gotownią był pomalowany na białą kuchenny stół i jedno kuchenne krzesło. Dziewczyna usiadła na nim. Uczyła się na pamięć rys widniejących na powierzchni stołu, kiedy do pokoju weszła pani Rubin. Była siwa i pulchna, ale o tuszy jędrnej, nie przelewającej się, dość nawet sympatycznej. Miała na sobie prostą sukienkę przepasaną niebieskim fartuchem i czarne buty na niskich obcasach ze skórzanymi paskami, opinającymi dwa wielkie guzy u nasad dużych palców.

— Proszę się rozebrać — poleciła.

— Do rosołu?

— Do rosolu — potwierdziła bez uśmiechu pani Rubin.
— Zna pani brochę?
— Tak. W każdym razie jeszcze przed chwilą ją znałam.
— Zostawię tu brachot. Może je sobie pani przejrzeć.
— Wyjęła z kieszeni odbitą na powielaczu kartkę, położyła ją na stole i wyszła z pokoju.

Wieszaków w tej szatni nie było. Leslie powiesiła ubranie na oparciu krzesła, po czym usiadła na nim i zaczęła czekać. Siedzenie krzesła było bardzo gładkie. Dziewczyna wzięła do ręki kartkę i przeczytała:

1JirTp

Bądź błogosławiony, o 1?D M'Jl5K « nn8 1V»

Panie Boże nasz, Królu wszech-
świata, który uświęciłeś

nas i woimi przykazaniami i

nakazałeś nam odbywać

zanurzenie. Jl5'3Dn \$9 UW

Bądź błogosławiony, o iJo U'i1\$M " WUJ Panie Boże nasz,
Królu wszechświata, który utrzymywałeś

240

RABIN

nas przy życiu i pozwoliłeś nam doczekać tej wspaniałej
chwili.

Ledwo Leslie odczytała błogosławieństwo, wróciła pani Rubin i wyjęła z kieszeni fartucha małe nożyczki do paznokci.

— Proszę mi podać ręce — poleciła.

— Paznokcie mam krótko obcięte — pochwaliła się Leslie i wyciągnęła z dumą ręce, mimo to starsza pani chwyciła je i z każdego palca uszczknęła jeszcze mały obrzynek paznokcia.

Następnie rozwinęła czyste prześcieradło, okryła nim nagą dziewczynę, a potem wręczyła jej mydło i myjkę i

poprowadziła do łaźni z siedmioma kabinami pryszniców.

— Wyszoruj się, majn kind — powiedziała.

Leslie powiesiła prześcieradło na haczyku w ścianie i zaczęła się myć, mimo że poprzedniego wieczoru wzięła prysznic u siebie w mieszkaniu, a na dwie godziny przed przyjściem do mykwy wymoczyła się i wyszorowała w wannie.

Myjąc się widziała przez uchylone drzwi lustro wody w basenie, nieruchome, ciężkie jak ołów, połyskujące w żółtym świetle gołej żarówki. W jednym ze swoich wykładów rabin Gross opowiedział jej, że Żydzi praktykowali rytualny obrządek zanurzenia na tysiące lat przed Janem Chrzcicielem, który ten obyczaj przejął. Woda w mykwie musiała pochodzić z naturalnych źródeł; pierwotnie odprawiano tę ceremonię w rzekach i jeziorach. Właściwa współczesnym czasom wstydliwość sprawiła jednak, że zaczęto umieszczać baseny pod dachem napełniając je deszczówką, która przez otwory w dachu spływała rurami do wykładanego kafelkami zbiornika. Stojąca woda w krótkim czasie stawała się zatechła i brudna, toteż przy pierwszym budowano drugi zbiornik, do którego wpływała bieżąca woda z miejskich wodociągów, podgrzewana dla wygody zanurzających się. Kiedy ten drugi zbiornik napełnił się świeżą wodą, wyjmowano korek w dzielącej oba baseny ścianie i pozwalano mieszać się przez chwilę ciecjom w obydwu kadziach. Uświęcano w ten sposób wodę z miejskiej kanalizacji nie powiększając przy tym w znaczącym stopniu liczby znajdujących się w niej bakterii, jak zapewnił Leslie rabin Gross. Szorując się pod prysznicem i zerkając z obawą

16 Rabir

241

NOAH GORDON

na powierzchnię cieczy w basenie, dziewczyna przyznawała jednak sama przed sobą, że gdyby woda okazała się choć trochę brudniejsza, nie byłaby w stanie poddać się obrzędowi.

Wyszła spod prysznic. Pani Rubin już na nią czekała. Sięgnawszy do kieszeni fartucha, wydobyła z niej tym razem mały szylkretowy grzebyk, którym zaczęła wolno i starannie rozczesywać długie włosy Leslie, szarpiąc je lekko, gdy utykał w mokrych pasmach.

— Nie może pani mieć we włosach choćby najmniejszego zlepionego supełka, który by nie dopuszczał wody do pani ciała — wyjaśniła. — Proszę podnieść rękę.

Leslie uczyniła posłusznie to, o co tamta prosiła, i pani Rubin przyjrzała się jej wygolonym pachom.

— Żadnych włosów — stwierdziła, niczym sklepikarz przeprowadzający inwentaryzację. Następnie wskazała palcem łono dziewczyny i wręczyła jej grzebyk.

Leslie spojrzała na nią z niedowierzaniem i przez dłuższą chwilę nie była w stanie poruszyć ręką.

— Czy to naprawdę konieczne? — spytała cicho.

Pani Rubin potaknęła i Leslie zaczęła na oślep rozczesywać owłosienie łonowe. Czuła, że się rumieni, i zbierało jej się na płacz.

— Chodźmy — odezwała się w końcu pani Rubin, ponownie okrywając prześcieradłem jej ramiona.

Drogę od łaźni do basenu wyłożono gumowym chodnikiem.

Pani Rubin zatrzymała Leslie na najwyższym z trzech schodzących do wody cementowych stopni. Następnie okrążyła basen po obiegającej go cementowej cembrowinie, podeszła do drzwi w przeciwległej ścianie, uchyliła je i wystawiła na zewnątrz głowę. Leslie poczuła zimny powiew — drzwi wychodziły na podwórko za synagogą.

— Ict! — zawołała pani Rubin. — Jest już gotowa.

Leslie usłyszała prowadzoną po żydowsku rozmowę podchodzących do drzwi rabinów. Staruszka zostawiła drzwi lekko uchylone, po czym wróciła do niej.

— Dać pani kartkę z modlitwami?

— Pamiętam je — odrzekła dziewczyna.

— Musi się pani zanurzyć całkowicie i dopiero potem odmówić modlitwy. To jedyny raz, kiedy błogosławieństwa są

242
RABIN

odmawiane po akcie, a nie przed nim. Przyczyna tego jest taka, że zanurzenie w wodzie oczyści panią ze wszystkich poprzednich wierzeń, więc dopiero po nim będzie pani mogła pomodlić się do Boga jako Żydówka. Aby mieć pewność, że zamoczyła się pani dokładnie, będzie lepiej, jeśli zanurzy się pani kilka razy. Nie boi się pani wody?

— Nie.

— To dobrze — stwierdziła pani Rubin i zdjęła z ramion dziewczyny prześcieradło.

Leslie zeszła po stopniach schodów. Woda była ciepła. Pośrodku basenu sięgnęła jej prawie do piersi. Dziewczyna stała chwilę i spoglądała w jej toń. Woda sprawiała wrażenie czystej, falowała migotliwie nad dnem z białych kafelków. Leslie zamknęła oczy i zanurzyła się wstrzymując oddech. Kucnąwszy wyczuła pod pośladkami krzyżujące się linie wypełnionych zaprawą szczelin. Następnie wstała parskając wodą i drżącym głosem wyrecytowała modlitwy.

— Amen — zaśpiewała pani Rubin, a zza przymkniętych drzwi dobiegły głosy rabinów, wołających „amen”. Następnie pani Rubin wykonała obiema rękami ruch ku ziemi, niczym oznajmiający swoją decyzję sędzia w meczu futbolowym, i Leslie zanurzyła się po raz drugi, tym razem śmieiej. To wszystko okazywało się tak łatwe, że miała ochotę się roześmiać. Kucała pod wodą, jej włosy unosiły się na powierzchni, i naraz w jakiś cudowny sposób poczuła się uwolniona od fizycznego i duchowego ciężaru, uwolniona od poczucia winy, że od dwudziestu dwóch lat żyje na tym świecie jako istota ludzka. Obmyta we krwi Baranka,

przemknęło jej przez myśl, i wynurzyła się spod wody. Posłuchajcie, dzieci, mamusia opowie wam, jak została żydowską syreną i dlatego nosi odtąd rybi ogon. Odmówiła brochę, z większą niż poprzednio swobodą, mimo to nie zadowolila jeszcze pani Rubin. Starsza pani ponownie opuściła ramiona i Leslie zanurzyła się po raz trzeci. Podczas tego zanurzenia trzymała oczy otwarte i spoglądała w górę na świecąca nad basenem żarówkę, której blask, jasny i ciepły, przenikał toń wody niczym oko Boga. Następnie wynurzyła się burząc powierzchnię basenu i — nieco zdyszana — z radosną tym razem pewnością siebie wyrecytowała modlitwy, czując jak w zim-

243

NOAH GORDON

nym przeciągu od drzwi, za którymi nasłuchiwali rabini, twardnieją jej sutki.

— Mazeł tow! — zawołała pani Rubin, a gdy ociekająca wodą Leslie wyszła z basenu, owinęła ją w prześcieradło i ucałowała w oba policzki.

Leslie, ze zmytym makijażem i lepiącymi się do karku mokrymi zimnymi strakami włosów, stała w biurze rabina i czuła się jak po zrobieniu dziesięciu nawrotów na basenie Davenporta w college'u. Rabin, który poczęstował ją kawą, uśmiechnął się do niej.

— Czy będziesz kochała Boga i służyła Mu z całego serca i całej duszy swojej? — zapytał.

— Tak — szepnęła, nagle poważna.

— Weź sobie do serca te słowa — ciągnął — i weź je do swojej duszy. Przywiąż je ku pamięci do swej ręki i niech będą znakiem między twoimi oczyma. Wpajaj je twoim synom, opowiadaj o nich zarówno przebywając w domu, jak i idąc drogą, kładąc się na spoczynek, jak i powstając. Wypisz

je na odrzwiach twego domu i na bramach twoich, aby tak długie były dni twoje i twoich synów na tej ziemi.*

Następnie podszedł do Leslie rabin Gross, położył jej dłonie na głowie i rzekł:

— Ten sąd rabiniczny wita cię i na znak przyjęcia do domu Izraela nadaje ci imię Lea bat Awraham, pod którym będziesz odtąd znana wśród naszego ludu. I niechaj Ten, który błogosławił naszym matkom — Sarze, Rebecce, Racheli i Lei, pobłogosławi i ciebie, naszą siostrę, Lee bat Awraham, z okazji przyjęcia cię do rodziny Izraela i wejścia przez nawrócenie do ludu Boga Abrahama. Rozkwitaj i rośnij w imię Wiekuistego i niech będą błogosławione dzieła rąk twoich. Amen.

Następnie najmłodszy z rabinów wręczył jej świadectwo konwersji, w którym przeczytała:

WOBEC BOGA I TEGO SĄDU RABINICZNEGO

* Słowa z Księgi Powtórzonego Prawa, XI, 18.

244

RABIN

Oświadczam niniejszym moje pragnienie przyjęcia zasad judaizmu, obiecuję przestrzegać jego praktyk i obrzędów i oznajmiam wolę zostania członkiem Narodu Żydowskiego.

Czynię to z własnej nieprzymuszonej woli i z pełną świadomością prawdziwego znaczenia dogmatów i obrzędów judaizmu.

Modłę się, by moje obecne postanowienie nie odstępowało mnie do końca moich dni, abym stała się godna tego świętego narodu, do którego mam obecnie zaszczyt się przyłączyć.

Modłę się, abym zawsze pamiętała o przywilejach oraz związanych z nimi obowiązkach, jakie nakłada na mnie przystąpienie do Domu Izraela. Deklaruję szczerą wolę życia po żydowsku i prowadzenia żydowskiego domu.

Jeśli zostanę pobłogosławiona synami, obiecuję zadbać o to, by przystąpili do przymierza Abrahama. Obiecuję ponadto wychować wszystkie dzieci, jakimi Bóg mnie obdarzy, w wierności dla wiary i obrzędów żydowskich oraz przywiązaniu do żydowskich nadziei i żydowskiego sposobu życia.

Słuchaj, Izraelu, Pan jest Bogiem naszym, Pan jest jeden!
Niechaj na wieki będzie pochwalone Jego wspaniałe królewskie imię.

Leslie podpisała dokument ręką drżącą w sam raz tyle, ile się godziło, po niej złożyli na nim swe podpisy rabini jako świadkowie. Pani Rubin pocałowała ją po raz drugi, a ona oddała jej pocałunek, następnie podziękowała rabinom i uścisnęła ich ręce.

Młodszy oświadczył, że jest najładniejszą z prozelitek, w których konwersji brał dotąd udział, na co roześmiali się wszyscy, po czym Leslie jeszcze raz podziękowała całej czwórce i opuściła synagogę. Wiał silny wiatr, a niebo nadal zaciągały bure chmury. Nie czuła się odmieniona, zdawała sobie jednak sprawę, że jej życie zmieni się odtąd bardziej, niż jej się kiedykolwiek śniło. Przez krótką chwilę, nie dłużej, myślała o ojcu i zrobiło jej się żal, że nie znała matki. Potem ruszyła szybko ulicą, nagle narastającą potrzebą znalezienia budki telefonicznej, w której mogłaby wreszcie wyznać komu należy swój niezwykły sekret.

245

NOAH GORDON

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Michael przyjechał do Nowego Jorku zaraz następnego dnia, najpierw samochodem do Little Rock, a stamtąd samolotem, którym przez całą drogę do lotniska La Guardia miotła wiosenna burza. Leslie czekała na niego na lotnisku. Biegąc ku niej Michael odniósł to samo wrażenie co przy ich

wszystkich spotkaniach — że widzi ją po raz pierwszy. Przyszło mu też do głowy, że jej twarz nigdy mu się nie opatrzy.

— Nie rozumiem tylko, po co była ta mykwa — powiedział do Leslie w taksówce, kiedy już przestali się całować. — Gdyby twojego nawrócenia dokonał rabin reformowany, uniknęłabyś tej całej przeprawy.

— To było cudowne! — odrzekła nieśmiało. — Chciałam przejść przez to ze wszystkimi szykanami. Żeby dłużej trwało. Max Gross pobladł, kiedy następnego dnia po południu zjawili się oboje w synagodze Szaarej Szomajim.

— Dlaczegoś mi nie powiedziała? — natarł na Leslie.

— Gdybym wiedział, że mężczyzną, o którego chodzi, jest Michael Kind, za nic w świecie nie przyłożyłbym ręki do twojego nawrócenia!

— Nie pytał mnie pan o to — odparła. — Nie zamierzałam pana oszukiwać.

— Postąpiłem tylko tak jak Mojżesz, Max — łagodził Michael. — Ona jest Żydówką, i to za twoją sprawą. Rabi Gross potrząsnął głową.

— Ty nie jesteś Mojżesz, ty jesteś nar, głupiec! I to ja pomogłem ci popełnić ten błąd.

— Chciałbym, żebyś to ty udzielił nam ślubu, Max

— powiedział cicho Michael. — Oboje bardzo byśmy tego pragnęli.

Rabin Gross wziął ze stołu Biblię, otworzył ją i kiwając się zaczął czytać na głos, jakby znajdował się sam w synagodze. Michael słuchał chwilę tych hebrajskich słów, po czym zaciął usta.

246

RABIN •>

— Chodźmy — mruknął do Leslie.

Na ulicy dziewczyna spojrzała na niego z przestrawieniem.

— Michael, oni nie mogą... nie mogą tego cofnąć, prawda?
— Chodzi ci o twoje nawrócenie? Nie, oczywiście, że nie! —
Uściskał jej rękę. — Nie pozwól, żeby ten stary zepsuł ci
humor, kochanie.

W taksówce, którą jechali do śródmieścia, Leslie po raz drugi
ścisnęła rękę Michaela.

— I kogo teraz poprosisz o odprawienie ślubu?

— Któregoś z moich kolegów z instytutu. — Rozwazał to
sobie przez chwilę, nim się zdecydował. — Milt Greenfield
pracuje w gminie w Bethpage.

Zadzwoił do niego jeszcze tego samego popołudnia, z budki
telefonicznej w aptece na Lexington Avenue. Rabin
Greenfield był serdeczny i złożył mu powinszowanie, ale
zaraz potem przycichł i stropił się, w tej kolejności.

— Michael, czy jesteś naprawdę pewien, że tego chcesz?

— Nie bądź niemądry! Gdybym nie był, nie zwracałbym ci
głowy.

— No cóż, w takim razie czuję się zaszczycony, że zwróciłeś
się z tym właśnie do mnie, stary draniu! — ucieszył się
Greenfield.

Tej nocy, gdy rodzice położyli się już spać, Michael usiadł w
swoim dawnym pokoju i zaczął kartkować Biblię szukając
angielskiej wersji tekstu, którym cisnął weń Max Gross, by go
przepędzić ze świątyni. Wkrótce go znalazł. „Księga
Przysłów”; 5,3.

Wargi cudzej ociekają bowiem miodem,
a podniebienie jej gładsze jest niż oliwa,
ale w końcu staje się gorzkie jak piołun
i ostre jak miecz obosieczny.

Stopy jej zstępują ku śmierci,
do Szeolu prowadzą jej kroki.

Nie przewidując ścieżki życia
nie wiesz, że drogi jej są niepewne.

Michael obawiał się, że będzie miał kłopoty z zaśnięciem, tymczasem zasnął już podczas modlitwy. Jeśli nawet coś mu się śniło, rano nic z tego nie pamiętał.

247

NOAH GORDON

Podczas śniadania popatrywał z niepokojem na matkę. Leslie zatelefonowała poprzedniego dnia do swojego ojca, a potem długo chlipała. Kiedy Michael zaproponował, żeby pojechali do wielebnego Johna Rawlinsa i sami z nim porozmawiali, pokręciła tylko odmownie głową. Michael poczuł ulgę i nie nalegał na zmianę jej postanowienia.

Nie spieszył się z poinformowaniem własnych rodziców, przewidując scenę, którą wolał odwlec.

Kiedy zabierał się do drugiej filiżanki kawy, zadzwonił rabin Sher.

— Skąd pan wiedział, że jestem w Nowym Jorku? — zapytał Michael po wymianie wstępnych uprzejmości.

— Rozmawiałem przypadkiem z Miltem Greenfieldem — wyjaśnił rabi Sher.

Pocziwy stary Milt! — pomyślał z przekąsem Michael.

— Może wpadłbyś do związku na małą pogawędkę?

— Dobrze, wpadnę po południu — obiecał Michael.

— Jestem przekonany, że przemyślałeś sobie tę sprawę w jej wszystkich aspektach — zaczął z wielką delikatnością rabin Sher. — Chciałbym się jedynie upewnić, że zdajesz sobie sprawę z możliwych konsekwencji takiego małżeństwa.

— Poślubiam Żydówkę.

— Niszczysz coś, co zapowiadało się na piękną rabinacką karierę. Jeśli zdajesz sobie z tego sprawę, twoją decyzję należy uznać za przemyślaną, choć... niemądrą. Chcę się jedynie upewnić, że nie przeoczyłeś jej następstw, popadłszy w stan... — szukał właściwego słowa.

— Ślepej namiętności. Rabin Sher przytaknął.

— Czegoś w tym rodzaju.

— Wobec podłych świństw, jakie się o nas powtarza we wszystkich krajach świata, obstajemy twardo przy poglądzie, że Żydzi nie są gorsi od innych ludzkich społeczności, że jako jednostki wszyscy jesteśmy równi przed obliczem Pana.

Odnosząc się do bredni zawartych w takich „Protokołach mędrców Syjonu” tłumaczymy cierpliwie naszym dzieciom, że jesteśmy narodem wybranym tylko w tym znaczeniu, iż

248

RABIN

przypadło nam dźwiganie wielkiego brzemienia przymierza, jakie zawarł z ludźmi Wiekuisty. Tymczasem strach sprawił, że w głębi duszy staliśmy się najbardziej przesądnym narodem na ziemi. Skąd to się bierze, rabi?

Z biegnącej nisko w dole ulicy wdzierał się do pokoju harmider klaksonów. Rabin Sher podszedł do okna i wyjrzał na zakorkowaną Piątą Aleję. Za dużo taksówek, pomyślał. Nie można ich złapać tylko wtedy, kiedy pada deszcz. Obejrzał się przez ramię.

— Jak myślisz, dzięki czemu zdołaliśmy przetrwać pięć tysięcy lat z okładem?

— Dziewczyna, którą zamierzam poślubić, jest Żydówką. Prawda, jej ojciec nie jest Żydem, ale czy judaizm zasadza się na dziedzictwie krwi, czy na systemie etycznym, teologii, sposobie życia?

Rabi Sher przymknął powieki.

— Proszę cię, Michaelu, tylko bez takich dyskusji! Twoja sytuacja, jak ci zapewne wiadomo, nie należy do wyjątkowych. Spotykaliśmy się już z podobnymi przypadkami. Wynikały z nich zawsze same kłopoty. — Odwrócił się od okna. — Czy twoja decyzja jest ostateczna? Michael przytaknął.

— W takim razie życzę ci szczęścia. Wyciągnął rękę, a Michael ją uściskał.

— Jeszcze jedno, rabi — powiedział. — Postarajcie się znaleźć innego kandydata na góry Ozark. Sher skinął głową.

— Istotnie, przy młodej żonie nie będziesz miał ochoty na codzienne podróże. — Zestawił w trójkąt palce obu dłoni. —

To stwarza kwestię twojego przyszłego zatrudnienia. Może interesowałaby cię praca na uczelni, stanowisko rabina przy Fundacji Hillela albo posada w którejś z fundacji

kulturalnych? Otrzymujemy wiele próśb o zarekomendowanie kandydatów na te stanowiska. — Zawiesił na chwilę głos. —

Uniwersyteckie głowy bywają zwykle bardziej otwarte.

— Chciałbym mieć własną gminę — rzek! Michael, wytrzymując ze spokojem badawcze spojrzenie Shera, który westchnął z rezygnacją.

249

NOAH GORDON

— Nie zapominaj, że rady synagogalne są przeważnie złożone z rodziców, a jest niemal pewne, że ci uznają twoje

małżeństwo — niezależnie od tego, co ty sam o tym sądzisz

— za zły przykład dla swoich dzieci.

— Chcę mieć własną gminę. Rabin Sher wzruszył ramionami.

— Zrobię co w mojej mocy, żeby ci pomóc, Michaelu.

Wpadnij tu kiedyś w wolnej chwili z małżonką. Chciałbym ją poznać.

Po raz drugi podali sobie ręce.

Po wyjściu Michaela rabi Sher opadł na fotel i siedział w nim nieruchomo, nucąc w roztargnieniu arię torea-dora z

„Carmen”. Po kilku minutach nacisnął przycisk dzwonka.

— Lillian — zwrócił się do wchodzącej sekretarki —

zdejmujemy rabiego Kinda z objazdówki w górach Ozark.

— Życzy pan sobie, żebym umieściła tę trasę w kartotece wakatów? — zapytała Lillian. Była przekwitającą starą panną i rabi Sher nie potrafił na nią patrzeć bez współczucia.

— Gdybyś była tak dobra — poprosił.

Kiedy sekretarka wyszła, siedział i nucił wszystkie po kolei melodie Bizeta, jakie pamiętał, po czym powtórnie nacisnął dzwonek.

— Nie umieszczaj jeszcze w kartotece tej trasy w górach Ozark — powiedział, kiedy Lillian pojawiła się w drzwiach gabinetu. — Niewykluczone, że w ogóle jej nie obsadzimy, chyba że uda nam się znaleźć żonatego kandydata.

Obrzuciła go spojrzeniem, które mówiło: „Zdecyduj się wreszcie, szefie!”

— To mało prawdopodobne — stwierdziła.

— Istotnie — przyznał. — Bardzo mało.

Podszedł do okna, oparł się łokciami na parapecie i spojrzał w dół. Piąta Aleja przypominała pole bitwy. Klaksony wyły jak ranni na poboju. Za dużo taksówek, stwierdził w duchu rabin Sher, zakorkowały całe miasto.

250

RABIN

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Czasy, kiedy w Cypress w stanie Georgia nie było ani jednej żydowskiej gminy, nie należały bynajmniej do zamierzchłej przeszłości. Przed wojną — i to nie secesyjną, ale niedawną drugą wojną światową — w całym miasteczku mieszkało zaledwie kilkadziesiąt żydowskich rodzin. Na ich czele stał Dave Schoenfeld, wydawca i redaktor miejscowego tygodnika „Nowiny”, praprawnuk kapitana Judy'ego Schoenfelda, któremu ołowiana kula przebiła gardło, gdy dowodził oddziałem pod generałem Hoodem w bitwie nad Peachtree Greek, toteż Dave był bardziej południowcem niż Żydem, niemal takim samym jak każdy zagorzały baptysta w Cypress,

tyle że dysponującym nieco może większymi wpływami w okresie przedwyborczym.

Dave Schoenfeld służył właśnie jako podpułkownik wywiadu w Sondrestrom na Grenlandii, kiedy w jego rodzinnym miasteczku odprawiono pierwsze piątkowe nabożeństwo wieczorne. Rabin nazwiskiem Jacobs przywiózł autobusem żydowskich szeregowców z Camp Gordon i za specjalnym pozwoleniem diakonów odprawił w świątyni Pierwszego Kościoła Baptistów nabożeństwo Jom Kipur. Przybyli na nie praktycznie wszyscy Żydzi z miasteczka, frekwencja zaś sprawiła, że powtórzono je w roku następnym. W dwa lata później nie miał już kto odprawić nabożeństwa w Jom Kipur, rabina Jacobsa wysłano bowiem za granicę, a nikt na jego miejsce nie przybył. Straszne Dni w Cypress przyszły i minęły bez nabożeństwa, który to brak miejscowi Żydzi zauważyli i komentowali.

— Dlaczego nie mielibyśmy odprawiać naszych własnych nabożeństw szabatowych? — zasugerował Dick Kramer, który był chory na raka i dużo rozmyślał o Bogu.

Pozostali zgodzili się z nim i już w następny piątek czternastu mężczyzn zgromadziło się w bawialni Ronniego Levitta.

Wspólnym wysiłkiem odprawili z pamięci nabożeństwo, a Ronnie, który po pierwszej wojnie światowej, nim

251

NOAH GORDON

wrócił do domu, by wejść do ojcowskiego handlu terpentyną, uczył się w Nowym Jorku śpiewu, wystąpił jako kantor.

Odśpiewali zapamiętane fragmenty nabożeństwa donośnie i z wielkim zapalem, choć mniejszą harmonią. W kuchni na piętrze Rosella Barker, służąca Sally Leyitt, aż uniosła brwi ze zdumienia i uśmiechnęła się do swojego czternastoletniego brata Mervina, który pił przy stole kawę, czekając na siostrę, by odprowadzić ją do domu.

— Słyszysz, braciszku? Ci biali mają, trzeba powiedzieć, wrodzone poczucie rytmu. Muzyka tryska z nich dosłownie wszystkimi porami, nawet chodzą, jakby tańczyli — stwierdziła z ironią i parsknęła śmiechem na widok miny chłopca. Dave'a Schoenfelda awansowano na papierze o jeden stopień i w roku 1945 odesłano do cywila jako pułkownika lotnictwa. Armia zabrała mu najlepsze lata. Mięśnie mu zwiotczały, krok stracił sprężystość, przerzedziły się włosy i zaczęły kłopoty z prostatą, powodując konieczność okresowych badań, które — co dlań charakterystyczne — zapewni! sobie nawiązując romans z najponętniejszą pielęgniarką w bazie. W dwa tygodnie po odejściu do cywila dostał kartkę od jednego z kolegów oficerów, informującą go, że dziewczyna zażyła dużą dawkę pigułek nasennych, musiano jej zrobić płukanie żołądka, po czym została przewieziona do szpitala na obserwację psychiatryczną. Schoenfeld wrzucił kartkę do kosza na śmieci razem z plikiem bezużytecznych wiadomości agencyjnych i zaproszeń na przyjęcia towarzyskie, w których nie zamierzał brać udziału. Po powrocie do ojczystej Georgii stwierdził, że w Cypress przybyło tysiąc mieszkańców, tartak, mała wytwórnia podzespołów elektronicznych, a pewna firma włókiennicza średniej wielkości z Fali River w stanie Massachusetts złożyła władzom miasteczka obietnicę, że przeniesie tu swoje zakłady. Dave był zamożnym i przystojnym kawalerem z piątym krzyżykiem na karku, toteż liczne znajome panie z dawnych lat oraz nie mniej liczni znajomi panowie, którym zdarzyło się korzystać z jego politycznych wpływów, zgotowali mu ciepłe przyjęcie, sprawiając, że powrót do domu uznał za wielce przyjemny. Za sumę stu dziewiętnastu tysięcy dolarów unowocześnił „Nowiny” i komercyjne wydawnictwo książkowe, którego był właś-

RABIN

cicielem, zastępując maszyny rotacyjne offsetem — technikę tę poznał w wojsku i się nią zachwyił. Przewidując przyrost liczby czytelników przekształcił ponadto tygodnik w gazetę wychodzącą dwa razy w tygodniu i zatrudnił energicznego młodego człowieka świeżo po studiach dziennikarskich, żeby przejął na swoje barki wiążące się z tym zwiększone obowiązki. Po dokonaniu tych zmian odetchnął swobodniej i wrócił do partyjek pokera rozgrywanych dwa razy w tygodniu w stałym gronie, złożonym z sędziego Boswella, Nance'a Granta, Sun-shine'a Janesa i szeryfa Nate'a White'a.

Tych pięciu mężczyzn od dwudziestu lat łączyła nie tylko słabość do pokera. Wspólnie kontrolowali rynek bawełny, orzeszków ziemnych, władzę sądowniczą, administracyjną oraz opinię publiczną w Cypress. Ich rozwijające się prężnie przedsiębiorstwa już dawno uczyniły każdego z piątki pokerzystów człowiekiem majątnym.

Z radością powitali w swoim gronie powracającego z wojska Dave'a.

— No i jak ci się podobało w tej Gren Landii? — zapytał szeryf, wymawiając tę nazwę tak, jakby składała się z dwóch wyrazów.

— Dupsko mi przemarzło — odparł Dave tasując karty. Sunshine przełożył.

— Miałeś co rznąć w tej eskimoskiej dziurze? Baby muszą tam załatywać tranem.

— Ja bym miał nie mieć?

Sunshine zarechotał, a pozostali uśmiechnęli się powściągliwie.

— Zobaczmy, czy nie odwróciło się ode mnie szczęście — powiedział Dave i zaczął rozdawać.

Pułkownik przywiózł ze sobą sporo zdjęć i w siedem tygodni po powrocie do miasta został zaproszony do wygłoszenia

odczytu w męskim klubie przy kościele metodystów. Kolorowe slajdy przedstawiające lodowe czapy i śnieżne urwiska zyskały sobie wielkie powodzenie, podobnie jak zabawne anegdoty z życia Eskimosów, oficerów i żołnierzy. Następnego dnia Ronnie Levitt zatelefonował do Schoenfelda

253
NOAH GORDON

i zapytał, czy nie zechciałby powtórzyć pogadanki w piątek wieczorem po oneg szabat u niego w domu.

W bawialni Levittów zebrało się liczne grono pobożnych Żydów, spośród których Dave nie wszystkich rozpoznawał, co stwierdził z niejakim zdumieniem. Mimo potknięć Ronniego występującego w roli przewodnika chóru, nabożeństwo odśpiewano z wielkim entuzjazmem. Kazania nie miał kto wygłosić. Pogadankę Schoenfelda nagrodzono uprzejmymi brawami.

— Od jak dawna już się tak zbieracie? — zapytał współziomków Dave.

— O, już od jakiegoś czasu! — poinformował go Dick Kramer. — Zamówiliśmy nawet modlitewniki. Ale sam pan widzi, czego nam brakuje: odpowiedniejszego miejsca na nasze zbiórki i zawodowego rabina.

— Domyślałem się, że nie zaprosiliście mnie tutaj z powodu nagłego zainteresowania białymi niedźwiedziami — stwierdził z przekąsem Dave.

— W mieście mieszka obecnie około pięćdziesięciu żydowskich rodzin — wtrącił Ronnie. — Potrzebujemy jakiegoś taniego drewnianego domku do remontu, w którym moglibyśmy urządzić przyzwoitą świątynię. Rabin drogo nie wyniesie. Na jego pensję wszyscy możemy się składać.

— Czy same składki wystarczą na opłacenie podobnego przedsięwzięcia? — zapytał Schoenfeld, choć z góry zna! odpowiedź, inaczej by go wszak nie zaprosili.

— Potrzebujemy kilku większych donatorów, którzy byliby w stanie wykładać znacznie większe sumy przez kilka pierwszych lat — odrzekł Ronnie. — Ja również skłonny byłbym w tym partycypować. Gdyby zechciał pan przyjąć na siebie podobne zobowiązanie, dalibyśmy sobie jakoś radę.

, — Ile? : Leyitt wzruszył ramionami.

, — Pięć, dziesięć tysięcy.

Dave Schoenfeld zdawał się przez chwilę głęboko nad tym zastanawiać.

— Niestety, chyba nic z tego — rzekł w końcu. — Uważam, że takie nabożeństwa są pożyteczne i chętnie się do was

254

RABIN

we właściwym czasie przyłączę, ale tego rodzaju przedsięwzięć lepiej nie pospieszać. Co nagle, to po diable. Uważam, że powinniśmy poczekać, aż nam przybędzie członków, by każdy miał poczucie, że wnosi równy wkład do dzieła budowy świątyni i wynajęcia rabina.

Ociągając się z rozejściem zebrani stali wokół Schoenfelda z wyrazem identycznego — jak spod kalki — jawnego rozczarowania na twarzach.

W sobotni wieczór Dave wygrał w pokera sto trzydzieści jeden dolarów.

— W jakim stopniu to nowe przedsiębiorstwo poprawia stan zatrudnienia? — zapytał.

— W znikomym — odpowiedział mu sędzia.

— Wpuście do tego miasta jeszcze kilka zakładów, a robotnicy wezmą nas za dupę — stwierdził Dave.

Nance Grant odgryź! koniuszek grubego czarnego cygara i wypluł go na podłogę.

— Nie ma obawy. Wpuściliśmy tylko tylu nowych, żeby nam trochę pomogli w kłopotach. Schoenfeld zrobił zdziwioną minę.

— A odkąd to my potrzebujemy pomocy?

Sędzia położył wypielegnowaną dłoń na jego ramieniu.

— Nie było cię tutaj przez jakiś czas, Davey. Ten zasrany rząd federalny przysparza nam więcej kłopotów niż zastarzały świąd. Nie zaszkodzi mieć pod bokiem paru wypróbowanych przyjaciół do pomocy w walce z socjałami.

— Nasze wydatki również stale rosna — wtrącił Nance. — Mógłbyś swoją drogą trochę nam w nich ulżyć.

— Jakie znów wydatki?

— Na przykład na wielbego Raye'a, żeby daleko nie szukać. To kaznodzieja: ogień piekielny, siarka i nakładanie rąk.

— Uzdrowiciel? — zdziwił się Schoenfeld. — A po co go mamy opłacać?

Szeryf odchrząknął.

— Bo facet potrafi spacyfikować motloch skuteczniej od taniej whisky.

255

NOAH GORDON

Schoenfeld podziękował Nance'owi za jego cygaretkę i wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki hawańskie cygaro.

— Jeden kaznodzieja nie może przecież tak drogo wynosić |
— powiedział, dmuchnięciem dymu zgasiwszy zapalnik, gdy |
już rozżarzył się koniec cygara.

Sędzia zmierzył go spokojnym spojrzeniem.

— Sto tauzenów.

Uśmiechnęli się wszyscy na widok zaskoczonej miny pułkownika.

— Sam namiot z klimatyzacją prawie tyle kosztuje
— uświadomił go Sunshine. — A radio, a telewizja?

— Od nas gość dostaje tylko kieszonkowe. Na bułkę z masełkiem zarabia datkami — powiedział Nance. — Przy- §
znasz, że im lepszą reputację zyskuje nasze miasto jako 1
społeczność religijna i bogobojna, tym lepiej dla nas. j

— Tam do licha, ono nie musi zyskiwać reputacji! — za- 1
uważył sędzia. — Ono już ją ma! Toż nawet Żydzi zaczęli się
już spotykać na wspólne nabożeństwa. — Zapadła krótka
cisza. — Przepraszam, Dave! — sędzia połapał się, że
popęłnił nietakt.

— Nie ma za co — mruknął obojętnie Schoenfeld. Jeszcze
tego samego wieczoru zatelefonował do Ronniego Levitta.

— Nie wychodzi mi z głowy sprawa tej świątyni — rzekł. —
Co by pan powiedział, gdybyśmy się znowu spotkali i
dokładniej rzecz omówili?

Znaleziono i zakupiono mały domek w niezłym stanie. Sumę
na zakup budynku wraz z parcelą o powierzchni niespełna
hektara wyłożyli — po pięć tysięcy każdy — Dave i Ronnie,
Rozumiało się samo przez się, że reszta gminy zgromadzi
kwotę wystarczającą na przeprowadzenie remontu i pensję
rabina.

Ronnie Levitt zaproponował nieśmiało, żeby nazwać
świątynię Synaj. Dave wzruszył ramionami i zgodził się na
propozycję. Głosów sprzeciwu nie było.

— W przyszłym miesiącu wybieram się do Nowego Jorku na
rozmowy z przedstawicielami prasy ogólnokrajowej

256

RABIN

— oświadczy! Schoenfeld. — Zobaczą, może uda mi się dla
nas znaleźć jakiegoś rabina.

Porozumiał się listownie z niejakim panem Sherem i po
przyjeździe do Nowego Jorku zatelefonował do Związku
Amerykańskich Gmin Żydowskich, aby zaprosić rabiego na
lunch na dzień następny. Dopiero gdy się pożegnał, przyszło
mu do głowy, że rabin może jadać tylko potrawy kosherne.
Kiedy spotkali się w biurze związku, rabin Sher nie podjął
jednak w ogóle tego tematu. W taksówce Dave nachylił się do
kierowcy i podał mu nazwę restauracji — „Voisin”. Zerknął

przy tym na rabiego, lecz nie dostrzegł na jego twarzy niczego poza wyrazem błogości.

W restauracji Schoenfeld zamówił dla siebie naleśniki crepe z homarem, a rabi kurczaka saute echalote, na co Dave uśmiechnął się i wyznał swojemu gościowi, iż miał wyrzuty sumienia, że nie wybrał restauracji żydowskiej.

— Jadam wszystko oprócz skorupiaków — uspokoił go Sher.

— Czy to jakaś reguła?

— Ach nie! Po prostu tak mnie wychowano. Każdy reformowany rabin sam dokonuje wyboru.

Podczas posiłku rozmawiali o nowej świątyni.

— Ile by nas z grubsza wyniosło wynajęcie rabina?

— zapytał Schoenfeld.

Sher uśmiechnął się i wymienił nazwisko znane niemal wszystkim Żydom mieszkającym w Stanach.

— Jeśli jego, pięćdziesiąt tysięcy rocznie, może nawet więcej. Jeśli zatrudnicie młodego człowieka świeżo po szkole rabinicznej, sześć tysięcy. Podobnie jeśli starszego, który ma za sobą pracę w wielu gminach, lecz w żadnej nie zagrzał miejsca. Dla rabina na przyzwoitym poziomie, z kilkuletnim doświadczeniem, musielibyście wysupłać jakieś dziesięć tysięcy.

— O gwiazdorze możemy od razu zapomnieć. Czy mógłby mi pan polecić kilka nazwisk z pozostałych dwóch kategorii?

Rabin Sher przełamał z namysłem chrupiącą bułeczkę.

— Znam kogoś naprawdę ekstra. Służył krótko jako rabin pomocniczy w dużej wspólnocie na Florydzie, a potem miał

17 Rabin

257

NOAH GORDON

własną rozproszoną gminę w Arkansas. Jest młody, energiczny, sympatyczny i wyjątkowo inteligentny.

— Gdzie się teraz podziewa?

— Jest tu, w Nowym Jorku. Uczy dzieci hebrajskiego. Schoenfeld obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem.

— Na pełny etat?

— Tak.

— A to czemu?

— Napotyka pewne kłopoty ze znalezieniem gminy. Kilka miesięcy temu poślubił dziewczynę, która przed nawróceniem na naszą wiarę była chrześcijanką.

— Katoliczką?

— O ile wiem, nie.

— Nie sądzę, żeby kwestia małżeństwa miała dla nas istotniejsze znaczenie — stwierdził Schoenfeld. —

Ostatecznie żyjemy w jak najlepszych stosunkach z chrześcijańskimi sąsiadami. Zakładam, że skoro facet ma kłopoty, możemy go dostać za — powiedzmy — siedem tysięcy, nie sądzi pan?

Przez oblicze rabiego przemknął cień, którego znaczenia Dave nie potrafiłby dokładnie określić.

— Warunki musiałby pan omówić bezpośrednio z tym młodym człowiekiem — rzekł uprzejmie Sher.

Schoenfeld wyjął pióro i notes w skórzanej oprawie.

— Jak jego godność? i — Rabin Michael Kind.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

W salonie samochodowym w Bronksie państwo Kind kupili dwuletni niebieski kabriolet marki Plymouth z kompletem prawie nowych opon. Potem pojechali do mieszkania Leslie na Sześćdziesiątej Ulicy, żeby przygotować biurko i księgozbiory obojga do wysyłki koleją.

Wieczorem zjedli pożegnalną kolację u rodziców Michaela. Upłynęła w przykrym nastroju, pełnym wyrażonych i nie wyrażonych pretensji i żalów.

— Ty głupcze! — wykrzyknął Abe Kind, kiedy Michael powiadomił go o swoim zamiarze. — Z babami nie trzeba się zaraz żenić! — A potem w pociemniałych z rozpaczy oczach ojca Michael dostrzegł nagły rozbłysk, jakby w żużlach dawno już przygasłej winy zapełgał żywy ogień.

Dorothy i Leslie rozmawiały przez cały wieczór o przepisach kulinarnych. Kiedy całowali się na pożegnanie, Dorothy miała suche oczy i spieszyła się do kuchni; Abe płakał jawnie.

Nazajutrz rano młodzi pojechali do Hartford.

Usiedli na starej ławce z orzecha w mrocznej sieni kościoła kongregacjonalistów w Hastings i czekali na wielebnego Rawlinsa. Wyszedł w końcu ze swojego biura żegnając się z jakąś młodą parą.

— Skromne wesela uważam za najstosowniejsze — stwierdził w drzwiach. — Najmilsze i najgodniejsze. Dostrzegł siedzących na ławce.

— A, Leslie! — powiedział tym samym tonem. Wstali. Leslie przedstawiła ojcu męża.

— Napijcie się herbaty?

Wprowadził ich do gabinetu, gdzie zostali poczęstowani herbatą i ciasteczkami przez starzejącą się kobietę o nieprzeniknionym obliczu pokerzystki. Rozmowa się nie kleiła.

— Pamiętasz te aromatyczne ciasteczka ciotki Sally? — zapytała ojca Leslie, kiedy uprzątnięto już serwis do herbaty.

— Kiedy ją czasem wspominam, od razu czuję ich smak na języku.

— Aromatyczne ciasteczka? — zastanowił się pan Rawlins, po czym zwrócił się do Michaela. — Sally była moją szwagierką. Bardzo zacna kobieta. Umarła przed dwoma laty.

— Wiem — powiedział Michael.

— Zostawiła Leslie tysiąc dolarów. Masz jeszcze te pieniądze, córko?

— Mam, ojciec.

Duchowny nosił okulary bez oprawek; zza ich szkieł przyglądał się Michaelowi jasnoniebieskimi oczami.

— Sądzi pan, że spodoba się wam na południu?

— Spędziłem kilka lat na Florydzie i w Arkansas — odrzekł Michael. — Uważam, że ludzie są wszędzie podobni.

259

NOAH GORDON

— Z wiekiem człowiek zaczyna jednak dostrzegać coraz j wyraźniejsze różnice. Zapadło milczenie.

— No cóż — przerwała je w końcu Leslie — musimy się już zbierać. — Pocałowała gładko wygolony biały policzek ojca.

— Dbaj o siebie, tato.

— Bóg o mnie zadba — powiedział odprowadzając ich do drzwi.

— O nas również — rzekł Michael. Jego teść zdawał się tego nie słyszeć.

Po południu w dwa dni później Leslie i Michael wjechali do Cypress w stanie Georgia. Choć był dopiero początek lata, panował upał, rozgrzane powietrze drżało migotliwie nad spizową bryłą stojącego w rynku konnego posągu. Strach pomyśleć, jak wygląda w tym miasteczku pełnia letniego sezonu. Michael podjechał wolno do trawiastego klombu, pośrodku którego wznosił się monument. Mrużąc oczy w jaskrawym słońcu obejrzeli go sobie dokładnie, udało im się jednak odczytać tylko nazwisko na cokole: Generał Thomas Mott Lainbridge.

— Słyszałaś kiedyś o takim bohaterze? — zapytał żonę Michael.

Pokręciła przecząco głową. Rabi podjechał do krawężnika. W cieniu markizy przed apteką zbijało bąki czterech nastolatków.

— Przepraszam, kolego, kim jest ten pan? — zagadnął Michael jednego z nich, wskazując kciukiem generała Thomasa Motta Lainbridge'a.

Chłopak zerknął na swoich kumpli i wszyscy parsknęli śmiechem.

— Lainbridge!

— Nie chodzi nam o jego nazwisko — wyjaśniła Leslie. — Czym się zasłużył?

Jeden z chłopców opuścił cieniste schronienie pod markizą i podszedł niespiesznie do pomnika. Przysunąwszy twarz do tabliczki na cokole, odczytał napis poruszając bezgłośnie wargami, po czym wrócił na chodnik.

260

RABIN

— Generał, dowódca drugiego pułku fizyliarów w Georgii — poinformował.

— Fizyliarzy byli piechotą — zauważyła Leslie. — Dlaczego on siedzi na koniu?

— Słucham?

— Dziękujemy — rzekł Michael. — Może wiecie, jak dojechać na Piedmont Road osiemnaście?

Znaleźli się tam po trzech minutach. Ich nowe lokum okazało się małym zielonym domkiem z krzywym gankiem. Trawnik zarastały chwasty, a szyby w oknach brud.

— Wygląda ładnie — oceniła z wahaniem Leslie. Michael pocałował ją w policzek.

— Witaj w domu.

Przesunął spojrzeniem po nieparzystej stronie ulicy

— świątynia miała się bowiem znajdować pod numerem 45

— nie udało mu się jednak ustalić, który ze stojących w głębi ulicy budynków mieści jego nowe miejsce pracy.

— Poczekaj chwilkę — poprosiła Leslie, po czym wysiadła z samochodu i wbiegła po schodkach na ganek. Drzwi nie były

zamknięte na klucz. — Jedź sam! — zawołała. — Obejrzyj ją sobie pierwszy raz beze mnie, a potem wracaj do swojej żoneczki.

— Kocham cię! — zawołał.

Tabliczkę z numerem domu zdjęto na czas malowania budynku, toteż minął synagogę Synaj, nie zauważywszy jej. Na następnym domu widniał jednak wyraźnie numer 47, więc Michael zawrócił i zaparkował plymoutha na podjeździe do świątyni. Nie wisiała na niej żadna tablica. Trzeba będzie jakąś wywiesić, pomyślał, niedużą, lecz elegancką.

W drzwiach wyjął z tylnej kieszeni spodni jarmułkę i włożył ją na głowę.

W środku było chłodniej niż na dworze. Ściany dzielące pokoje wyburzono, żeby stworzyć przestronne pomieszczenie; kuchnię i łazienkę jednak zachowano, podobnie jak dwa małe pokoiki obok głównej sieni, nadające się na biuro i gabinet rabina. Podłogi były świeżo polakierowane. Michael chodził z pomieszczenia do pomieszczenia po ścieżce z gazet.

Bimy jeszcze nie wzniesiono, pod jedną ze ścian stała już jednak arka. Otworzył ją: mieściła Torę. Do pokrowca z ak-

261

NOAH GORDON

samitu była przymocowana cienka srebrna blaszka; z wygrawerowanego na niej napisu Michael dowiedział się, że Torę ufundowali państwo Ronaldowie G. Levitt na pamiątkę Samuela i Sary Levitt. Rabin pogładził zwój, po czym pocałował końce palców, jak go tego przed laty nauczył dziadek Rywkind.

— Dziękuję za to przyjęcie, moja pierwsza świątynio — powiedział głośno. — Postaram się uczynić ten dom prawdziwym domem Bożym.

Jego głos odbił się echem od nagich ścian. Wszystko pachniało tu farbą.

Domu pod numerem 18 przy Piedmont Road nie odmalowano, od dawna go także nie myto. Wszędzie leżał kurz. Po suficie biegały czerwone pajęczki, a okno od frontu szpeciła długa biała smuga zaschniętych ptasich odchodów.

Leslie znalazła jakieś wiadro, napełniła je wodą i postawiła na kuchence gazowej, której jednak nie udawało jej się zapalić.

— Nie ma ciepłej wody — stwierdziła. — Będzie nam potrzebna szczotka na kiju, szczotka ryżowa i mydło. Zrobię ci spis.

Mówiła głosem przesadnie opanowanym, z którego tonu Michael odgadł, czego się może spodziewać po oględzinach domu. Umeblowanie składało się z tanich mebli ogrodowych, domagających się pilnie pędzla i farby. Jednemu z bujanych foteli brakowało poprzeczki, innemu fragmentu oparcia.

Poplamiony brązowy materac na łóżku w sypialni złożono na pół, ujawniając zardzewiałe i zapadnięte sprężyny. Tapety pamiętały chyba czasy sprzed wojny secesyjnej.

Wróciwszy do kuchni, Michael starał się nie patrzeć żonie w oczy. Leslie zużyła ostatnią zapałkę w daremnych próbach zapalenia gazu.

— Do diabła! — mruknęła. — Co jest z tą kuchenką? Płomyk w bojlerze się pali!

— Pozwól — rzekł Michael. — Nie masz jakiejś szpilki? Leslie udało się znaleźć tylko jedną, przy zapince broszki z kameą, i Michael przekłuł nią dziurki gazowego palnika.

Gdy

262

M RABIN ,'.IX .

przytknął do niego zapaloną zapałkę ze swojego pudełka, gaz zasyczał równym biało-niebieskim płomieniem.

— Zanim wrócisz z mydłem, woda się zagrzeje — powiedziała Leslie.

Rabin zakręcił jednak gaz.

— Do sprzątania weźmiemy się wieczorem. Teraz czas na obiad!

Kiedy wsiadali do samochodu, każde z nich czuło, że to drugie opuszcza z ulgą brudny zaniedbany dom.

Wieczorem szorowali meble i ściany, aż się oboje spocili.

Skończywszy wreszcie, dobrze już po północy, weszli razem do wanny i umyli się nawzajem. Był tu prysznic, pozbawiony jednak zasłonki, a ponieważ Leslie puściła zimny tusz na cały regulator, odpryskująca od ich ciał woda zachlapała łazienkę.

— Zostaw to tak, niech wyschnie! — mruknęła zmęczonym głosem dziewczyna, po czym przeszła nago do sypialni. — Nie ma prześcieradeł! — jęknęła, wskazując na poplamiony materac. Po raz pierwszy tego dnia zadrżały jej wargi. — Nie będę spać na czymś takim!

Michael wciągnął spodnie i wybiegł bosy do samochodu, w którego bagażniku leżały dwa niebieskie wojskowe koce, kupione na wyprzedazy w pewnym sklepie na Manhattanie. Rozesłał je na materacu, Leslie zgasła światło i położyli się obok siebie w ciemności. Michael zastanawiał się rozpaczliwie, jak pocieszyć żonę, lecz nie przyszedł mu do głowy żaden lepszy pomysł jak objęcie jej i przygarnięcie do siebie. Z gardła Leslie wyrwał się jakiś zduszony dźwięk, ni to szloch, ni to westchnienie.

— Jest za gorąco — burknęła.

Pocałował ją w czubek głowy i padł na plecy. Leslie po raz pierwszy odmówiła mu miłości. Podjął wysiłek, żeby skierować myśli na inne sprawy: świątynię, pierwsze kazanie, planowane otwarcie szkoły hebrajskiego. Mimo lejącego się z nieba żaru i szorstkich wełnianych koców udało im się w końcu jakoś zasnąć.

Rano Michael obudził się pierwszy. Leżał i przyglądał się śpiącej żonie; jej włosom, prostym i zlepionym w kosmyki po

NOAH GORDON

wczorajszym prysznicu i z powodu wilgoci w powietrzu; nozdrzom poruszającym się niemal niedostrzegalnie, jak gdyby po namyśle, za każdym razem gdy wydychała powietrze; brązowemu znamieniu pod prawą piersią, na którym rósł pojedynczy złocisty włos; jej skórze, białej i lśniącej od potu. Po niedługim czasie również Leslie otworzyła oczy. Przez chwilę przyglądali się sobie, po czym dziewczyna pociągnęła męża za włoski na piersi i wyskoczyła z łóżka.

— Wstawaj, rabi, czeka nas pracowity dzień! Mam zamiar zmienić to śmietnisko w dom mieszkalny.

Jak poprzedniego wieczoru weszli razem pod prysznic, aby po wyjściu z wanny stwierdzić, że reszta czystych ręczników została w bagażniku auta. Włożyli więc bieliznę na ociekające wodą ciała, ciepłemu powietrzu pozostawiając zadanie ich osuszenia, po czym zasiedli do śniadania, złożonego z kupionego poprzedniego wieczora mleka i płatków kukurydzianych.

— Musimy się przede wszystkim zaopatrzyć w nowe prześcieradła — oświadczyła Leslie.

— Przydałoby się też przyzwoite łóżko i komplet mebli kuchennych.

— Pogadaj najpierw z gospodarzem. Ostatecznie wynajmujemy dom z umeblowaniem. Może zgodzi się wymienić to i owo. — Zmarszczyła czoło. — Ile nam jeszcze zostało na koncie? Według tego co nam napisali, mamy płacić za to mieszkanie dziewięćdziesiąt dolarów miesięcznie.

— Wystarczy — uspokoił ją. — Zadzwoń do Ronalda Leyitta, przewodniczącego gminy, i dowiem się, które sklepy w miasteczku należą do naszych członków. Mogę przecież kupić to, czego nam trzeba, u ludzi, którzy mi płacą.

Ogolił się jak najstaranniej w zimnej wodzie, ubrał się i pocałował żonę na do widzenia.

— Nie przejmuj się mną dzisiaj — powiedziała. — Kup, co masz kupić, i zostaw w wozie, gdy będziesz załatwiał sprawy związane ze świątynią. Na lunch przejdę się pieszo na plac generała.

Po wyjściu Michaela włożyła wyciągnięte z walizki stare dżinsy i stanik. Palcami szesała do tyłu włosy i spięła je gumką w koński ogon, po czym nagrzała wody i bosy, na czworakach, szorowała podłogi.

264

RABIN

; Zaczęła od łazienki i sypialni, na potem zostawiając sobie salonik. Kończyła właśnie mycie podłogi w kuchni, gdy poczuła na sobie czyjś wzrok; obejrzała się przez ramię.

W drzwiach sieni od podwórka stał jakiś mężczyzna i uśmiechał się do niej. Leslie wrzuciła szczotkę do wiadra, podniosła się z klęczek i wytarła dłonie w dżinsy.

— Słucham pana? — spytała wystraszona.

Nieznajomy miał na sobie luźne sztruksowe spodnie i białą koszulę z krótkim rękawem. Był w krawacie i kapeluszu, lecz bez marynarki. Muszę powiedzieć Michaelowi, odnotowała w myśli Leslie, że w tych stronach najwidoczniej wypada pokazywać się bez marynarki.

— Nazywam się David Schoenfeld — przedstawił się mężczyzna. — Jestem właścicielem tego domu.

Schoenfeld... to ten z rady świątyni, uświadomiła sobie dziewczyna.

— Zechce pan wejść — poprosiła. — Przepraszam, ale szorowałam tak zapamiętale, że nie słyszałam, jak pan puka. Wszedł do kuchni.

— Bo nie pukałem — wyznał z uśmiechem. — Wyglądała pani tak zachwycająco pochłonięta pracą, że postanowiłem się pani chwilę poprzyglądać.

Zerknęła na niego podejrzliwie, szóstym zmysłem wyczuwając kobieciarza. Schoenfeld uśmiechał się jednak przyjaźnie, bez śladu uwodzicielstwa.

Usiedli przy kuchennym stole.

— Przepraszam, ale nie mam czym pana poczęstować.

Jeszcześmy się na dobre nie zainstalowali.

Machnął bagatelizujące trzymanym w rękę kapeluszem.

— Chciałem jedynie przywitać panią i rabiego w Cypr ess. Świątynia Synaj nie nabyła jeszcze wprawy w tego rodzaju ceremoniach. Przypuszczam, że powinniśmy byli powołać komitet, który by wszystko na przybycie państwa przygotował. Czy potrzebują państwo czegoś?

Uśmiechnęła się.

— Urlopu! Ten dom wymaga generalnego remontu.

— Wyobrażam sobie — zgodził się z nią Schoenfeld. — Nie mieszkałem tu od przedwojny. Przed pójściem do wojska opiekę nad domem zleciłem agentowi. Nie spodziewa-

265

NOAH GORDON

łem się państwa tak prędko, bo wszystko bym przygotował. — Zerknął na kropelki potu na szyi Leslie. — Mamy tu kolorowe dziewczuchy do pomocy ludziom takim jak pani w podobnych robotach. Przyślę którąś po południu.

— To najzupełniej zbędne.

— Ośmielę się nalegać. Darmowa obsługa powitalna na koszt gospodarza.

— Mimo to dziękuję. Już prawie skończyłam — oświadczyła stanowczo.

On pierwszy odwrócił wzrok.

— No cóż — powiedział z uśmiechem i poruszył się na krześle, które pod nim zaskrzypiało — postaram się przynajmniej wymienić te zydelki z zapalek. Zobaczę, co jeszcze da się zrobić w kwestii umeblowania.

Wstał i Leslie odprowadziła go do drzwi.

— Miałabym jeszcze jedną prośbę, panie Schoenfeld...

— Słucham panią?

— Byłabym panu wdzięczna, gdyby zechciał pan również wymienić materac na łóżku.

Na jego wargach nie pojawił się uśmiech, Leslie odetchnęła jednak z ulgą, gdy w końcu odwrócił wzrok od jej twarzy.

— Z największą przyjemnością — powiedział dotykając kapelusza.

Następnego dnia państwo Kind nie mogli już nic zarzucić umeblowaniu swojego domu.

Michael zwrócił Ronniemu Levittowi uwagę na brak bimy i nazajutrz zjawił się w świątyni stolarz, który zbudował w jednym jej końcu niskie podwyższenie wedle wskazówek rabiego. Świątyni przybyły następnie składane krzeselka, a gabinetowi rabina meble. Michael powiesił na ścianie swój oprawiony dyplom i zastanawiał się długo, jak urządzić biuro.

Tymczasem pod dom rabinostwa podjechała furgonetka, po czym dwóch czarnych robotników wyniosło większość starych mebli, zastępując je ładnymi nowymi sprzętami.

Leslie pokazywała im właśnie, gdzie co postawić, kiedy przyszła Sally Levitt. W pięć minut po jej odejściu zadzwoniły

266
RABIN f

do drzwi dwie inne członkinie gminy. Wszystkie trzy panie zjawiły się z podarkami: ciastem ananasowym, butelką kalifornijskiej sherry i bukietem kwiatów.

Tym razem Leslie była przygotowana na wizyty gości. Poczęstowała przybyłe panie sherry, podała mrożoną herbatę i pokroiła ciasto.

Sally Levitt okazała się drobną brunetką o pełnych wargach i jędrnym ciele młodej dziewczyny; jej prawdziwy wiek zdradzały jedynie kurze łapki w kącikach oczu.

— Znam fabrykę, gdzie kupi pani fantastyczne zasłony

— poinformowała, rozejrzawszy się z uznaniem po pokoju.

— Z tego gniazdka można zrobić prawdziwe cacko!

— I ja zaczynam tak uważać — uśmiechnęła się Leslie. Kiedy przygotowywała wieczorem kolację, przywieziono biurko i książki z Nowego Jorku.

— Mam nadzieję, kochanie, że zostaniemy tu do końca życia!

— z entuzjazmem oświadczyła mężowi Leslie, gdy rozpakowali i ustawiali na półkach książki.

Tej nocy, leżąc na nowym materacu, państwo Kind po raz pierwszy w nowym domu spali ze sobą jak kochankowie.

Poświęcenie świątyni Synaj odbyło się rano w następną niedzielę. Mówcą na tej uroczystości był sędzia Boswell.

Mówił długo i kwieście o wspólnym judeo-chrześcijańskim dziedzictwie, o wspólnych przodkach, Mojżeszu i Jezusie, oraz o panującym w Cypress duchu demokracji —

„podobnym do przedniego wina, jakie dojrzewa w łagodnym klimacie Georgii i pozwala ludziom żyć ze sobą po bratersku, niezależnie od tego, kto do jakiego uczęszcza kościoła”. Po

drugiej stronie ulicy zebrała się tymczasem gromadka kolorowych dzieci i pokazywała sobie palcami zebranych na przeciwległym chodniku białych, chichocząc przy tym lub tylko w milczeniu wlepiając w nich zaciekawione spojrzenia.

— Jestem dumny i szczęśliwy — konkludował sędzia — że zostałem zaproszony przez moich żydowskich sąsiadów do udziału w poświęceniu ich nowego domu modlitwy.

Urwał przestraszony, że popełnił jakąś niezręczność, a potem rozpromienił się usłyszawszy wybuchające oklaski.

Gdy uroczystość dobiegła połowy, uwagę Michaela zwrócił sznur przejeżdżających wolno przed świątynią samochodów,

267
NOAH GORDON

grzeczność nie pozwalała mu jednak odrywać wzroku od twarzy mówców. Pod koniec ceremonii poproszono go o wygłoszenie błogosławieństwa. Wypowiedziawszy jego ostatnie słowa, zmrużył oczy w blasku oślepiającego słońca i spojrzał ponad głowami rozchodzącego się tłumu.

Ulicą wciąż przeciągała kawalkada aut.

Były wśród nich pojazdy wszelkich marek i rodzajów, z tablicami rejestracyjnymi z Alabamy i z Tennessee, furgonetki, stare, nowe, samochody dostawcze, a od czasu do czasu cadillac czy buick.

Podszedł do niego Ronnie Levitt.

— Rabi, panie proszą do środka na kawę. Sędzia się do nas przyłączy. Będą panowie mieli okazję porozmawiać.

— Dokąd jadą te auta? — zapytał Michael. Ronnie uśmiechnął się.

— Do kościoła pod namiotem. Mamy tu pastora, który urządza zbiorowe modlitwy kilka kilometrów za miastem. Zjeżdżają do niego ludziska z całej okolicy.

Michael przyglądał się przez chwilę przeciągającym ulicą samochodom.

— To musi być duchowny naprawdę wybitny — stwierdził, usiłując ukryć zazdrość w głosie, zresztą bez powodzenia.

Ronnie wzruszył ramionami.

— Przypuszczam, że większość z tych ludzi chce się po prostu pokazać w telewizji — powiedział.

W piątkowy wieczór synagoga Synaj była wypełniona po brzegi, co Michaela ucieszyło, lecz bynajmniej nie zaskoczyło.

— Dziś wieczór przyjdą gromadnie ściągnięci nowością — zapowiedział żonie. — Ważne, żeby przychodzili i potem. Zebrani z zapałem powitali Oblubienicę Szabatu. Do swojego pierwszego kazania Michael wybrał fragment z Psalmu XI, 4, „Ufności w Bogu”.

Jahwe mieszka w swym świętym Przybytku, Jahwe ma w niebie swój tron. Oczy Jego patrzą na świat, wzrok Jego śledzi synów ludzkich.

268

RABIN

Przygotował się do kazania starannie. Kończąc je zdawał sobie sprawę, że udało mu się wzbudzić zainteresowanie słuchaczy. Kiedy zaśpiewali Ejn keelohejnu, usłyszał, jak głos jego żony zestraja się pięknie z głosami pozostałych wiernych. Śpiewając uśmiechała się do Michaela ze swojego miejsca w pierwszym rzędzie.

Po błogosławieństwie wszyscy skupili się wokół rabina, by mu podziękować i pogratulować. Kobiety przygotowały w kuchni herbatę, kawę, kanapki i ciasteczka. Oneg szabat udał się nie gorzej od samego nabożeństwa.

Ronnie Levitt wygłosił krótką mowę, w której podziękował rabiemu i różnym komitetom za doprowadzenie do otwarcia świątyni. Następnie wskazał ręką rozstawiony w sieni stół zasłany bukietami kwiatów.

— Nasi chrześcijańscy sąsiedzi zademonstrowali nam swą przyjaźń — powiedział. — Uważam, że przystoi, byśmy i my dowiedli im swojej. Deklaruję niniejszym sto dolarów rocznie na zakup dwóch plaketek, które wręczalibyśmy laureatom Nagrody Braterstwa Świątyni Synaj. Oklaski.

Powstał Dave Schoenfeld.

— Chciałbym podziękować Ronowi za jego wspaniały pomysł i hojny gest. Pragnąłbym zgłosić pierwszych kandydatów do naszej Nagrody Braterstwa: sędziego Harolda Boswella i wielebnego Billiego Raye'a.

Gorące oklaski.

— Co ci dwaj panowie uczynili dla sprawy braterstwa? — zapytał Michael Sally Levitt.

Przymknęła ozdobione długimi rzęsami powieki.

— Ach, rabi — odrzekła gardłowym szeptem — to po prostu najcudowniejsi ludzie na świecie!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Gmina życzyła sobie, aby zajęcia w szkole hebrajskiego ograniczyć do niedzielnych poranków. Kiedy Michael nalegał, by odbywały się także w poniedziałki i środy po lekcjach

269

NOAH GORDON

w szkole publicznej, po słabym oporze w końcu ustąpiono. \ Zwycięstwo w tej pierwszej utarczce — choć drobne — nappełniło rabiego otuchą.

Życie towarzyskie Kindów nabrało rumieńców. Michael wieczory miał zwykle zajęte, musieli więc towarzyską aktywność ograniczać. Odmówili członkostwa trzem klubom brydżowym i Leslie zaczęła grywać w brydża kontraktowego z Sally Levitt i sześcioma innymi kobietami w środowe wieczory, kiedy Michael prowadzi! w świątyni seminarium dla mężczyzn z historii judaizmu.

Na pewnym wieczornym przyjęciu koktajlowym, wydanym przez Larry'ego Wolfsona i jego małżonkę na cześć jej siostry i szwagra z Chicago, ktoś zapytał Leslie, czym się zajmowała przed zamążpójciem, a ona wspomniała o pracy w redakcji.

— Przydałby się nam w „Nowinach” dobry felietonista — powiedział Dave Schoenfeld, zdejmując zręcznie z mijającej

go tacy kieliszek wytrawnego martini. — Nie mógłbym, rozumie się, płacić stawek nowojorskich, ale cieszyłbym się, gdyby pani spróbowała u nas swoich sił.

— Załatwione. Zyskał pan współpracownicę — zgodziła się Leslie. — Jakie święte krowy tu macie? J

— Mogłaby pani pisać o wszystkim prócz cięż nastolatek] i czarnuchów w Narodach Zjednoczonych.

— To mnie zanadto ogranicza.

— Niech pani wpadnie "jutro rano do redakcji — rzucił na odchodnym Dave. — Przydzielimy pani pierwsze zadanie. Kiedy wieczorem szykowali się do snu, Leslie powiedziała Michaelowi o umówionym spotkaniu.

— Brzmi zachęcająco — stwierdził. — Masz zamiar się tego podjąć?

— Chyba tak. Choć wątpię, czy długo wytrzymam. Oni tu mają zupełnego hyzia na punkcie koloru skóry. Na brydzu w zeszłą środę moje partnerki narzekały przez pół godziny, jak to się po wojnie rozpuścili szwarce. Nawet nie próbowały ściszać głosów, choć w sąsiednim pokoju sprzątała czarna służąca Leny Millman. Biedna dziewczyna krzątała się z tak kamienną miną, jakby rozmawiały w hindi.

270

RABIN

— Albo w jidysz. — Westchnął. — Mosisz jednak przyznać, że wielu członków naszej gminy ma do kwestii rasowej stosunek godny uznania.

— Prywatnie. W zaciszu czterech ścian. Są tak zastraszeni, że boją się rozmawiać na ten temat przy otwartych oknach. Kochanie, czy ty nie będziesz musiał prędzej czy później zmierzyć się z tym problemem z kazalnicy?

— Raczej później — powiedział i zamknął za sobą drzwi łazienki.

Na polu kwestii rasowej zdążył już doznać porażki.

Szamaszem, czyli stróżem w świątyni Synaj, którym w brooklyńskiej szufl byłyby najpewniej stary pobożny Żyd, wykorzystujący posadę na oddawanie się studiom i modlitwie, był pulchny Murzyn nazwiskiem Joe Williams.

Michael zauważył od razu, że kosz na śmieci nie bywa nigdy opróżniany, przedmioty metalowe matowieją nie czyszczone, podłogi nie zaznają wody ani pasty, chyba że już bardzo wiercił o to Williamsowi dziurę w brzuchu. Joe również inne zabiegi higieniczne przeprowadzał niezmiernie rzadko, o czym świadczyła choćby otaczająca go zawsze kwaśna woń i plamy z białymi obwódkami soli pod pachami koszuli.

— Powinniśmy się go pozbyć i przyjąć kogoś zdatniejszego — powtarzał Michael Saulowi Abelsonowi, przewodniczącemu rady gminy, na co ów uśmiechał się tylko wyrozumiale.

— Oni są wszyscy tacy sami, rabi — pouczył. — Każdy następny będzie również do niczego. Czarnuchom trzeba patrzeć na ręce.

— Przecież widuję codziennie tu w mieście czystych, inteligentnych i życzliwych Murzynów! Dlaczego nie mielibyśmy zatrudnić któregoś z nich?

— Pan wciąż nie rozumie — stwierdził pobłaźliwie Abelson.

— Dobrze, skoro Joe się leni, przemówię mu do słuchu. Pewnego dnia, zły, że nie wypolerowano liturgicznych sreber, Michael wtargnął w pielesze szamasza.

Piwnica, w której mieszka! stróż, była ciemna, cuchnęła wilgocią i pleśniejącymi gazetami.

Joe Williams leżał na brudnej wojskowej pryczy pogrążony w pijackim śnie. Michael potrząsnął nim z' całej siły; śpiący

271

NOAH GORDON

wymamrotał coś, oblizał wargi, ale się nie obudził. Na podłodze obok jego barłogu leżał notes i ogryzek ołówka. Michael podniósł zeszytik.

Przeczytał tylko jedną linijkę, nabazgraną na pierwszej kartce. „Murzyn ma prawie dwa metry wzrostu, a świat to izba wysoka na półtora”.

Rabin odłożył notes na miejsce i nigdy więcej nie czepiał się Joego Williamsa o zaniechanie obowiązków.

Zamiast tego zamykał się w gabinecie na pół godziny w każde piątkowe popołudnie, rozkładał na biurku gazety, brał do ręki szmatę, pastę do polerowania srebra i czyścił srebrny szabatowy kielich, żeby nadać mu blasku przed wieczornym nabożeństwem. Zdarzało się nieraz, że gdy go tak polerował, zaciskając zęby, bo szara pasta polerska wżerała mu się pod paznokcie, dobiegały go z nory szamasza dudniące hałasy, przerywane od czasu do czasu przekleństwami, świadczące o tym, że Joe Williams znajduje się nadal wśród żywych.

Leslie pisała do każdego wydania „Nowin”, raz lekkie, dowcipne drobiazgi, innym razem poważne artykuły historyczne o humanistycznym zacięciu. Dostawała za każdy tekst siedem i pół dolara, każdy też podpisywano jej nazwiskiem, co Michaela nieco trwożyło.

Ich życie potoczyło się utartymi koleinami, które nawet polubili. Kartki z kalendarza spadały tak regularnie jak blaszane kaczuszki na strzelnicy i obojgu zaczęło się wydawać, że są małżeństwem od wieków. Leslie zaczęła w tajemnicy robić mężowi na drutach workowaty sweter w prezencie na pierwszą rocznicę ślubu; Michael odkrył go wkrótce w zapasowej szafie, którą zaczął odtąd starannie omijać.

Pod koniec lata liście nie zapłonęły ognistymi barwami jesieni jak liście drzew nad Hudsonem i Charles River, lecz poskręcały się, zbrązowiały i zżółkły anemicznie. A potem

zamiast śniegów, z którymi i Leslie, i Michael kojarzyli dotąd zimę, spadły rzęsiste deszcze.

Pewnego wieczoru, gdy Leslie przechodziła obok pomnika generała, kierując się do redakcji „Nowin”, z nieba spadł nagle

RABIN

istny potop. Dziewczyna puściła się biegiem, wpadła w drzwi redakcji i stanęła zadyszana i ociekająca wodą. Ciasny pokoik był pusty, jeśli nie liczyć Dave'a Schoenfelda, który gasił właśnie światła zamierzając za przykładem swoich pracowników udać się do domu.

— Nie umie pani pływać? — zażartował i uśmiechnął się. Leslie usiadła na biurku, opuściła głowę i zaczęła wyżywać włosy.

— Atlantyk lunął właśnie z nieba kroplami wielkości pięciocentówek — powiedziała.

— To rewelacyjna wiadomość! Niestety, numer jest już zamknięty. Poinformujemy naszych czytelników o tym wydarzeniu dopiero we czwartek.

Leslie zdjęła mokry płaszcz i wyciągnęła z kieszeni swój artykuł, ratując go przed całkowitym zniszczeniem. Niektóre strony zdążyły już zamoknąć, wygładziła je więc na szafce z aktami i zabrała się za adiustację tekstu. Reportaż traktował o staruszku, który przez trzydzieści lat pracował jako hamulcowy na liniach kolejowych wschodniego wybrzeża. Opowiedział Leslie, że po przejściu na emeryturę pił przez trzy miesiące, mieszkając w wagonie służbowym na bocznicy pod troskliwą opieką dawnych kolegów z pracy. „Ale tego niech pani nie daje do druku — zapowiedział — niech pani napisze, że jeździłem przez ten czas po kraju na mój kolejowy bilet”. Leslie przyrzekła mu to mimo niejasnego uczucia, że narusza w ten sposób kodeks dziennikarski. Wytrzeźwiawszy, staruszek z nudów wziął pewnego dnia do ręki sosnowe

polano i scyzoryk i zaczął strugać. Obecnie jego drewniane amerykańskie orły sprzedają się tak dobrze, że nie nadają z ich rzeźbieniem; mając siedemdziesiąt pięć lat wciąż odkłada pieniądze do banku.

Leslie zdawała sobie sprawę, że reportaż jest dobry, toteż miała nadzieję, iż uda jej się później sprzedać go Associated Press lub koncernowi North American Newspaper Alliance i zrobić Michaelowi niespodziankę w postaci okazałej sumy na czeku. Redagowała tekst starannie, wzdychając cicho, gdy czubek ołówka grzął w rozmiękłym papierze.

Dave Schoenfeld podszedł i przez jakiś czas czytał ponad jej ramieniem.

18 Rabin

273

NOAH GORDON

— Zapowiada się ciekawie — pochwalił, co skwitowała | kiwnięciem głową.

— Rabin bywa ostatnio wieczorami bardzo zajęty, prawda? Przytaknęła nie przerywając adiustacji.

— Musi się pani czuć samotna. Wzruszyła ramionami.

— Dzięki temu mam czas na pisanie artykułów.

— Zrobiła pani literówkę w słowie „dłuto”, w przedostatnim akapicie. „Ł-u”, nie: „u-ł”.

Kiwnęła głową i poprawiła literówkę. Była pochłonięta pracą, nie od razu dotarło do jej świadomości, że poczuła dotyk jego dłoni. Zanim sobie uświadomiła ten szokujący fakt, Schoenfeld nachylił się i pocałował ją w usta. Leslie stała nieruchomo, z zaciśniętymi wargami i opuszczonymi wzdłuż ciała rękami, w których trzymała ołówek i stronicę maszynopisu.

Nie poruszyła się wcale, dopóki Dave nie oderwał ust od jej warg.

— Nie bój się — wyszeptał.

Dziewczyna pozbierała starannie kartki reportażu, podeszła do kontuaru działu ogłoszeń, na który rzuciła swój przemoczony płaszcz, włożyła go i wsunęła rękopis do kieszeni.

— Kiedy się zobaczymy? — zapytał Dave. Popatrzyła na niego z odrazą.

— Jeszcze zmienisz zdanie — zapowiedział. — Niejednego mógłbym cię nauczyć, pamiętaj. Odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi.

— Nikt przecież się nie dowie! — zawołał za nią. — A tego twojego żydowskiego pasterka mogę tak urządzić, że się nie pozbiera!

Po wyjściu z redakcji Leslie szła wolno w strugach rześistego deszczu. Chyba nie płakała, choć pewności co do tego, czy jej twarz jest mokra od ulewy, czy od łez, mieć nie mogła.

Żałowała, że nie zostawiła reportażu w redakcji. Biedny emeryt z kozikiem i polanami drewna nie ujrzy swojego nazwiska i zdjęcia w gazecie.

274

RABIN

Rocznica ich ślubu przypadła w niedzielę, musieli więc wstać wcześniej, gdyż rabin miał o dziewiątej lekcję hebrajskiego w synagodze. Przy śniadaniu wymienili prezenty. Michael od razu włożył nowy sweter, a Leslie zachwyciła się kolczykami z kameą, jakie dla niej kupił miesiąc wcześniej.

Po lunchu Michael chwycił za grabie i zabrał się za wynoszenie wiader butwiejących liści z grządek rozsadnika.

Był w połowie drugiej grządki, gdy zaczęła się parada aut.

Tym razem miał dobry punkt obserwacyjny i dość czasu na obserwacje. Poniechawszy grządek, usiadł i zaczął się przyglądać przejeżdżającym samochodom.

Chorzy siedzieli przeważnie na tylnych siedzeniach.

Wielu trzymało w rękach kule. Niektóre samochody wiozły wózki inwalidzkie, przymocowane na dachach bądź wystające z bagażników.

Od czasu do czasu przejechała wynajęta karetka.

Rabin w końcu nie wytrzymał; odstawił grabie i wszedł do domu.

— Żałuję, że nie mamy telewizora — powiedział od Leslie. — Ciekaw jestem, czym ten facet przyciąga co niedziela takie rzesze.

— To przecież niedaleko — odrzekła. — Czemu nie miałyś wybrać się na przejażdżkę do jego namiotu?

— W dniu naszej pierwszej rocznicy?

— I cóż stąd? Zajmie ci to najwyżej parę godzin.

— Chyba rzeczywiście pojedę — zgodził się z nią.

Nie miał pojęcia, gdzie się odbywały te modlitewne zbory, lecz trafić tam było łatwo. Poczekał po prostu na pierwszą lukę w szeregu aut i włączył się do kawalkady. Kolumna samochodów ciągnęła krętą drogą, przewinęła się przez placyk generała, przez peryferyjną dzielnicę czarnej biedoty zabudowaną zrujnowanymi domami i odrapanymi szopami, w końcu wytoczyła się na stanową szosę, gdzie splotła się z innym zmotoryzowanym węzłem, nadpełzającym z przeciwnego kierunku. Michael zauważył, że w tym drugim sznurze poza autami z Georgii trafiały się pojazdy z rejestracją obu Karolin, Północnej i Południowej.

Na długo przed ukazaniem się namiotu samochody zaczęły zjeżdżać z szosy i wtaczać się na wyboiste pola. Nad ich

275

NOAH GORDON

dyslokacją czuwali murzyńscy i biali chłopcy w słomkowych! kapeluszach, pobierali opłatę i wydawali resztę stojąc pódł malowanymi ręcznie tablicami z ceną, która rosła w miarę] zbliżania się karawany aut do namiotu:

MIEJSCE DO PARKOWANIA 50 centów. PLAC
PARKINGOWY 75 centów. PARKING i dolar.

Niektóre auta, w tym plymouth Michaela, nie zjechały z szosy, dopóki nie ukazał się płócienny kościół i rozległy parking o wyrównanej przez spychacze nawierzchni z czerwonej gliny. Parking odgradzono od drogi sznurową barierką; bramę doń stanowiła przerwa w owym ogrodzeniu, szeroka na jeden samochód, obsługiwana przez łysego mężczyznę w czarnych błyszczących spodniach, białej koszuli i czarnym bawełnianym krawacie.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — przywitał Michaela.

— Dzień dobry.

— Należy się dwa i pół dolara.

— Dwa i pół dolara za miejsce na parkingu? r Cerber uśmiechnął się.

— Rezerwujemy to miejsce dla kulawych i kalek — wyjaśnił.

— Żeby wyświadczyć im tę łaskę, pobieramy dwa i pół dolara od wozu. Pieniądze idą na Fundusz Świętych Kaznodziejów Fundamentalistycznych, na wsparcie dzieła Bożego. Skoro pan uważa, że to za drogo, może pan zawrócić i zaparkować gdzieś w polu.

Michael obejrzał się przez ramię; za jego samochodem utworzył się już korek.

— Mówi się trudno. — Rabin wyjął portmonetkę i odliczył należność.

— Niech pana Bóg błogosławi — powiedział mężczyzna nie przestając się uśmiechać.

Michael zaparkował samochód i ruszył w stronę namiotu.

Jakiś chłopiec o ziemistej niezdrowej cerze opierał się o błotnik samochodu i wydawał gulgotliwe odgłosy.

— Ralphie Johnson, przestaniesz wreszcie czy nie! — złościła się stojąca obok niego kobieta w średnim wieku. — Prze-

RABIN

jechaliśmy taki szmat drogi, uzdrowiciel tuż-tuż, a ty znowu zaczynasz hece! Idziemy, słyszysz? Chłopiec zalał się łzami.

— Nie dam rady! — wy chlipał. Wargi mu posiniały, jakby za długo siedział w zimnej wodzie. Rabin przystanął.

— Może mógłbym jakoś pomóc?

— Dziękuję... Chyba że zechciałby pan wnieść go do środka...

— powiedziała z wahaniem kobieta.

Chłopiec zamknął oczy, gdy Michael brał go na ręce. Namiot był już prawie po brzegi wypełniony. Rabi posadzi! malca na jednym z drewnianych składanych krzesełek.

— Podziękuj temu miłemu panu, Ralphie! — poleciała z ulgą kobieta. Zsiniałe wargi nie poruszyły się jednak, powieki nie podniosły.

Michael kiwnął jej głową i odszedł. Wszystkie miejsca z przodu namiotu były już zajęte, skierował się więc do ostatniego pustego jeszcze rzędu mniej więcej w połowie widowni i usiadł pośrodku. Po kilku minutach cały rząd wypełnił się ludźmi. Przed Michałem siedziała gruba kobieta, której głowa podskakiwała w równych odstępach czasu, najpierw z boku na bok, potem z przodu do tyłu, jakby ją ktoś pociągał za sznurek.

Po lewej ręce rabina siedział niewidomy mężczyzna w średnim wieku i jadł kanapkę, którą trzymał w szczupłych dłoniach, okropnie powykręcanych przez artretyzm.

Po prawej stronie Michaela siedziała jakaś dobrze ubrana atrakcyjna kobieta, która sprawiała wrażenie najzupełniej zdrowej. W pewnej chwili uderzyła rabiego dłonią po ramieniu.

— Zostaw tego pana, Joy! — nakazała jej łagodnie siedząca na sąsiednim krzesełku kobieta.

— Ależ jego całego oblażyły mrówki! f — Zostaw pana w spokoju. Ten pan lubi mrówki. Chora wykrzywiła twarz w grymasie odrazy.

— Ale ja nie! — zawołała otrzepując z obrzydzeniem sukienkę na piersiach.

Namiot szybko się zapełniał. Przejściem między rzędami szedł jakiś rumiany mężczyzna w białym płóciennym gar-

277

NOAH GORDON

niturze, za którym dwóch czarnych niosło na noszach sparaliżowaną dziewczynę o blond włosach. Podbiegł do nich porządkowy.

— Postawcie ją w przejściu, a pan niech sobie usiądzie tu obok na skrajnym krzeselku. Do tego służą — powiedział. Murzyni postawili nosze i odeszli. Rumiany mężczyzna wyjął z kieszeni banknot.

— Bóg zapiać — podziękował mu porządkowy. • Z przodu namiotu wznosiła się zasłonięta kurtyną scena, połączona z widownią pochylą rampą. Kamerzyści dwóch kamer telewizyjnych, na których siedzieli jak dżokeje na swoich wierzchowcach, nastawiając ostrość skierowali obiektywy na publiczność i na ekranach monitorów pojawiły się twarze podobne do ławicy ryb. Ludzie podnosili oczy i szukali siebie na ekranach. Niektórzy zaczęli gwizdać i machać rękami. Ślepiec uśmiechnął się.

— Co się stało? — zapytał w pustkę.

Michael mu wyjaśnił.

Po jakimś czasie przed kurtynę wyszedł przystojny młody brunet z trąbką. Był bez marynarki, w białej krochmalonej koszuli i w niebieskim jedwabnym krawacie. Włosy miał gładko zaczesane do tyłu. Uśmiechał się okazując garnitur białych zębów.

— Nazywam się Cal Justice — zawołał do mikrofonu. — Niektórzy z państwa pewnie mnie już znają pod imieniem Trębacza Boga. — Odpowiedziały mu oklaski. — Billie Joe wkrótce do nas wyjdzie. Chciałbym wam zagrać melodię, którą wszyscy znacie i kochacie.

Zagrał „The Ninety and Nine”. Trzeba przyznać, że umiał grać na trąbce. Jej tony poniosły się początkowo rozlewnie i rzewnie, ale wnet nabrały tempa. Ktoś zaczął klaskać do taktu i po chwili cały namiot klaska! i śpiewał, wtórując wznoszącej się ponad gwar tego chóru wibrującej złociście strunie dźwięku. Siedząca przed rabinem gruba kobieta zaczęła przypominać żywy metronom: jej tik dopasował się doskonale do rytmu klaskania.

Gdy trąbka ucichła, rozległy się burzliwe i długo nie milknące oklaski, które nasiliły się jeszcze, kiedy zza kurtyny wyłonił się drugi mężczyzna bez marynarki. Był rosły, barczy-

278

RABIN

sty, miał cebrowatą głowę, wielkie jak bochny dłonie, mięsisty nos, szerokie usta i nakryte ciężkimi powiekami oczy.

Trębacz zszedł ze sceny. Olbrzymi mężczyzna stał na jej środku i uśmiechał się do widowni, która klaskała co sił w dłoniach i wznosiła okrzyki radości.

Po jakimś czasie wyrzucił w górę ręce z rozstawionymi szeroko palcami i zapadła cisza jak makiem zasiał. Spod dachu namiotu zjechał mikrofon na sznurze i gdy znalazł się na wysokości twarzy mężczyzny, namiot napełniło chrapliwe nadludzko głośne dyszenie.

— Alleluja! — zawołał Billie Joe Raye. — Bóg was kocha!

— Alleluja! — odpowiedział mu namiot.

— Amen — wymamrotał ślepiec.

— Bóg was kocha! — wykrzyknął Billie Joe. — Powtórzcie za mną trzy razy: Bóg mnie kocha!

— Bóg mnie kocha! Bóg mnie kocha! Bóg mnie kocha!
— Doskonale! — pochwalił Billie Joe, kiwając radośnie głową. — A teraz, bracia i siostry, powiem wam, po co tu przybyliście. Przybyliście tutaj, bo jesteście chorzy. Chore są wasze ciała, umysły i dusze. Dlatego potrzebujecie uzdrawiającej miłości Bożej.

Zamilkł i znowu zapadła cisza nabrzmiała spotęgowanym przez wzmacniacze dyszeniem.

— A czy wiecie, dlaczego ja tu jestem? — zapytały usta kaznodziei ze sceny powielone na ekranach kilkudziesięciu rozstawionych w namiocie monitorów.

— Żeby nas uleczyć! — zawołał ktoś siedzący niedaleko Michaela.

— Żebym wyzdrowiał!

— Żeby mój synek przeżył! — krzyknęła jakaś kobieta, odpychając krzesło i osuwając się na kolana.

— Amen — wymamrotał ślepiec.

— Nie! — zawołał Billie Joe. — Ja was uleczyć nie mogę! Jakaś kobieta zaczęła szlochać.

— Nie mów tak! — krzyknęła inna. — Nie mów tak, słyszysz?

— Niestety, siostro, nie mogę cię uleczyć — powtórzył Billie Joe. Więcej osób zanosło się szlochem. — Ale może cię uleczyć Bóg! Poprzez te dłonie!

279

NOAH GORDON

Wyrzucił w górę ramiona, rozczapierzając palce, tak aby wszyscy widzieli.

W okrzykach „Hosanna, hosanna!” odżyła nadzieja.

— Powtarzajcie za mną: Bóg może wszystko! — zawołał Billie Joe.

— Bóg może wszystko!

— Więc może uleczyć i ciebie.

— Więc może uleczyć i mnie.

— Ponieważ Bóg ciebie kocha.

— Ponieważ Bóg mnie kocha.

— Amen! — wyszeptał ślepiec, a jego nie widzące oczy zaszkliły się Izami.

Billie Joe nabrał tchu, co elektroniczna aparatura wzmocniła do ogłuszającego świstu.

— Jako mały chłopiec ciężko zachorowałem i leżałem już na łożu śmierci — oznajmił.

W głośnikach wezbrało miarowe, nabrzmiące smutkiem dyszenie.

— Diabeł dobierał się już do mojej duszy, a robaki szykowały się do gry w chowanego w moim zewłoku. Płuca zżerała mi gruźlica. Cierpiałem na anemię. Moi rodzice zdawali sobie sprawę, że umieram. Ja również byłem tego świadom i bardzo się bałem.

Oddech ściganego jelenia, który dyszy chrapliwie, goniąc ostatkiem sił.

— Potem tarzałem się w grzechu, upijałem się tanią whisky, oddawałem się hazardowi, jak owi żołnierze, którzy rzucali losy o szaty Bożego Syna. Cudzołożyłem z rozpustnymi i zarażonymi kobietami, zepsutymi jak nierządnicę babilońską.

Ale pewnego dnia, gdy leżałem na łóżku pogrążony w najczarniejszej rozpacz, poczułem, że dzieje się ze mną coś niezwykłego. Coś w mojej duszy drgnęło, poczułem jakby pierwsze ostrożne ruchy pisklęcia, gdy zaczyna do niego docierać, że musi zacząć rozbijać twardą skorupkę jajka.

Poczułem mrowienie w końcach palców rąk i nóg, a w miejscu gdzie poczułem to pierwsze drgnienie, rozlało się tak miłe ciepło, jakiego nie zdołałby wywołać żaden z pędzonych przez człowieka alkoholi. Poczułem, jak z moich oczu tryska

Boże

RABIN 1:

światło, i wyskoczyłem z łóżka, krzyząc z uniesienia i zachwytu, ponieważ wróciło mi zdrowie:

„Mamo, ojcze! Pan mnie dotknął i jestem ocalony!" Przez namiot przebiegł dreszcz radosnej ekscytacji; zebrani wzniesli oczy do góry i dziękowali Bogu.

Siedzący obok grubej kobiety młody mężczyzna powtarzał zalewając się łzami:

— Proszę Cię, Boże! Proszę Cię, proszę!

Michael dopiero teraz dostrzegł jego twarz i ze zdumieniem rozpoznał w młodzieńcu Dicka Kramera, członka swojej gminy.

Billie Joe powiódł po widowni współczującym spojrzeniem.

— Od tamtego dnia, choć miałem jeszcze mleko pod wąsem, zacząłem głosić Słowo Boże, najpierw na spotkaniach w tych stronach, a potem, jak może niektórym z was wiadomo, jako pastor Świętego Kościoła Fundamentalistycznego w Whalensville.

Dopiero dwa lata temu zdałem sobie sprawę, że jestem nie tylko głosicielem Słowa.

W tamtym czasie kilku z naszych członków przygotowywało na gruntach za kościołem boisko do baseballu dla młodzieży ze szkółki niedzielnej. Bert Simmons w dobroci swego serca przyprowadził swój lekki traktor i wyrównywał teren. Nagle traktor podbiło na głazie wielkości ula, pojazd przewrócił się i potwornym swoim ciężarem przygniótł dłoń brata Simmons'a.

Wezwany z kościoła przybiegłem na miejsce wypadku i zobaczyłem lejącą się z rękawicy roboczej krew. Gdyśmy podnieśli maszynę i ujrzałem tę spłaszczoną i zmiażdżoną rękawicę, zrozumiałem, że Bertowi trzeba będzie amputować dłoń. Upadłem na kolana na tej świeżo odkrytej ziemi, wzniosłem oczy do nieba i zawołałem: „O Panie, czy Twój wierny sługa ma ponieść karę za to, że wspomagał Twe

dzieło?" I nagle zaczęły mnie swędzieć dłonie, poczułem w nich jakąś dziwną moc napływającą do opuszków palców i tryskającą z nich z cichym trzaskiem jak ładunek elektryczny, więc ująwszy w nie zmiażdżoną dłoń brata Simmons'a zawołałem: „Boże, zechciej uzdrowić Twojego sługę!”

281

NOAH GORDON

A gdy brat Simmons zdjął rękawicę i okazało się, że ma rękę zdrową i całą, nie mogłem zaprzeczyć, że zdarzył się cud.

I wydało mi się, że słyszę głos Boga, mówiącego: „Synu, kiedyś uleczyłem ciebie, a teraz rozszerzę mą uzdrowicielską moc na cały ludzki ród”.

I od tego czasu za pośrednictwem moich dłoni uzdrowił Pan tysiączne ludzkie rzesze. Dzięki Jego miłosierdziu chromi chodzą, ślepi odzyskują wzrok, a cierpiący męczarnie zbywają się ich ciężaru!

Billie Joe pochylił głowę.

Z głośników popłynęła cicha muzyka organowa.

Po jakimś czasie uzdrowiciel podniósł oczy.

— Proszę, aby każdy z was dotknął jedną ręką oparcia stojącego przed nim krzesła i opuścił głowę. No! — zachęcił.

— Wszyscy zwieszamy główki!

A teraz ci, którzy pragną z serca spotkania z Jezusem

Chrystusem, niechaj podniosą drugą rękę wysoko do góry.

Proszę, zwieszamy głowy i podnosimy ręce!

Michael rozejrzał się wokół siebie i stwierdził, że podniosło się około dwudziestu pięciu rąk.

— Chwała niech będzie Panu! Co za widok, bracia i siostry!

— wykrzyknął Billie Joe. — Oto setki rąk wskazują Boga! A teraz niechaj ci, którzy podnieśli ręce, szybko wstaną.

Wstajemy! Szybciotko! Wstają wszyscy, którzy podnieśli rękę!

A teraz — komenderował dalej — podejdźcie tu do mnie, odmówimy wspólnie specjalną modlitwę.

Około dziesięciu, może piętnastu osób — kilku mężczyzn, kilka kobiet, trzy nastolatki i jeden mały chłopiec — ruszyło w stronę sceny. Jeden z pomocników kaznodziei wprowadził ich za kurtynę.

Tymczasem Billie Joe chodził między rzędami krzeseł i przy dźwiękach organów modlił się nad chorymi na noszach.

Jednocześnie jeden zespół porządkowych roznosił tace na datki, a drugi druczki dla tych, którzy życzyli sobie osobistego spotkania z uzdrowicielem. Zebrani w namiocie zaczęli te kartki podpisywać.

— Czy ktoś mógłby mi wskazać, gdzie mam się podpisać? — zapytał ślepiec.

282

RABIN

, Gdy on się podpisywał, Michael przeczytał druczek. Była to zgoda na wykorzystanie zdjęcia podpisującej się osoby w prasie i telewizji.

Cal Justice i niewidzialny organista odegrali jeszcze dwa hymny, „Królem miłości pasterz mój jest” oraz „Wieków opoka”, po czym Billie Joe wrócił na scenę.

— Jeśli ustawicie się szpalerem w przejściu i będziecie cierpliwie czekali na swoją kolejkę, pomodłę się z wami o wyzwolenie was od waszych dolegliwości.

W całym namiocie podnosili się ludzie.

Przed Michaeliem powstał wśród innych i Dick Kramer.

Czekając, aż przesuną się osoby w jego rzędzie, rozglądał się dokoła i nagle napotkał spojrzenie rabina Kinda.

Przez chwilę przyglądali się sobie; twarz chłopaka wykrzywił grymas, na którego widok Michaela coś ścisnęło za gardło.

Potem Kramer odwrócił się i zaczął się przepychać w

kierunku przejścia, odtrącając po drodze łokciem grubą kobietę.

— Hola! — wykrzyknęła z oburzeniem.

— Zaczekaj, Dick! — Michael zaczął się również przepychać w stronę przejścia, przepraszając potrąconych ludzi.

Drogę przegrodziły mu wkrótce nosze ze sparaliżowaną dziewczyną. Pochylał się nad nimi mężczyzna o rumianej twarzy; usta miał wykrzywione jak do płaczu.

— Na Boga jedyne, Evelyn, rusz się wreszcie! — błagał. — Przecież możesz, wystarczy chcieć! — Następnie odwrócił trzęsącą się głowę do porządkowego. — Niech pan leci po pana Raye'a, młody człowieku! Niech mu pan powie, żeby tu wrócił, do jasnej cholery, i jeszcze trochę się nad nią pomodlił!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Dick Kramer zorientował się, że coś z nim jest nie w porządku, pewnego jesiennego ranka w sosnowym lesie niedaleko Athens, kiedy z psami i kuzynem Sheldonem metodycznie przeczesywał niewysokie pagórki. On i Sheldon

283
NOAH GORDON

należeli do pierwszych strzelców na uniwersytecie, toteż jż samorząd akademika przydzielił im zadanie dostarczenia do< kuchni bratniaka gołąbków i przepiórek, zwalniając jednocześnie z mniej wdzięcznych obowiązków. Obaj chłopcy oc dawna rywalizowali ze sobą jako myśliwi, a Dick był tamtegc dnia w wyjątkowo dobrej formie. Strzelba Sheldona huknęh tylko trzy razy, wiedział więc na pewno, że nawet jeśli kaźdj strzał oznaczał ptaka w torbie kuzyna, uzyska! nad nim znaczną przewagę, choć dopiero pierwszy raz polował z nową dwururką, browningiem kalibru 20. Przedtem miał szesna- stkę, obawiał się więc, że mniejszy rozrzut nowej broni wpłynie niekorzystnie na celność strzałów, tymczasem niósł

już w torbie parę przepiórek i dwa gołębie karolińskie, ledwo zaś myśl o zdobytej przewadze ogrzała mu serce, zerwał się następny gołąb i dwoma półkolami trzepoczących gwałtownie skrzydeł zaczernił błękit nieba. Dick podrzucił strzelbę do ramienia, wyczekał najlepszej chwili i delikatnie pociągnął za spust. Poczul kopnięcie kolby, a potem obserwował, jak wzbijający się ptak znieruchomiał nagle i runął jak kamień w dół.

Redhead przyniósł gołębia, Dick wyjął mu zdobycz z pyska, poklepał psa i sięgnął do kieszeni po nagrodę. Zacisnął na smakołyku palce prawej ręki, wyciągnął ją z kieszeni i stwierdził, że nie może rozprostować palców.

Sheldon z chmurną miną wyszedł ociężałym krokiem zza grzbietu wzgórza; za nim wlokła się staruszka Bessie, zziajana i zaśliniona.

— Kurwa mać! — zaklął. — Tylko tak dalej, a chłopaki będą musieli otworzyć parę puszek z gotowanym bobem. — Ściągnął przez głowę koszulę. — Kropnąłem tylko dwie sztuki. A tobie jak poszło?

Dick pokazał mu gołębia, którego przed chwilą wyjął z pyska setera, i powiedział, tak mu się przynajmniej zdawało:

— Oprócz tego mam jeszcze cztery.

— Co mówisz? — zapytał ze śmiechem kuzyn. Dick powtórzył i Sheldon przestał się śmiać.

— Hej, Dick! Co z tobą, stary? Źle się czujesz? Dick pokręcił przecząco głową, mimo to Sheldon chwycił go za ramię i lekko nim potrząsnął.

284

RABIN

.— Co się stało, chłopie?! — zawołał. — Jesteś blady jak ściana! Usiądź tu!

Dick usiadł na ziemi. Podszedł Redhead i zimnym wilgotnym nosem obwąchał mu twarz. Po chwili palce chłopaka rozwarły

się i mógł dać seterowi nagrodę. W ramieniu czuł jednak nadal dziwne odrętwienie, ale nie przyznał się do tego kuzynowi.

— Już mi lepiej — powiedział.

Na dźwięk jego głosu Sheldon odetchnął z ulgą.

— Na pewno?

— Mhm.

— Mimo to lepiej już wracajmy.

— Czuję się znakomicie — zaprotestował Dick. — Dlaczego mielibyśmy się tak wcześnie zwijać?

— Dicky, byłeś przed chwilą blady jak ściana! Pamiętasz, co mówiłeś?

— Tak. Chyba tak, a czemu pytasz?

— Bo to było... kompletnie niezrozumiałe. Zupełny bełkot!

Dick poczuł przelotny lęk, który próbował odpędzić śmiechem.

— Zasuwasz! Myślisz, że się nabiorę?

— Wcale cię nie nabieram! Jak bum cyk cyk!

— No dobra, ale teraz nic mi nie jest, i chyba rozumiesz, co do ciebie mówię, prawda?

— Dobrze się ostatnio czułeś? — dopytywał się Sheldon.

— O kurna mać!... Oczywiście! Od operacji minęło już pięć lat. Jestem zdrow jak ryba i ty o tym wiesz najlepiej. Czy mam do końca życia być kaleką?

— Powinieneś się jednak wybrać do lekarza — powiedział Sheldon.

Był od Dicka o rok starszy i traktował go jak młodszego brata.

— Dobra, jeśli to cię ma uspokoić — zgodził się Dick. —

Popatrz! — Wyciągnął prawą rękę: ani drgnęła. — Nerwy jak ze stali! — uśmiechnął się z dumą.

Wracając z Sheldonem i psami przez sosnowy bór do samochodu wciąż jednak czuł w ramieniu to dziwne mrowienie.

NOAH GORDON

Nazajutrz rano poszedł do lekarza i opowiedział mu, co się wydarzyło.

— Coś jeszcze cię niepokoi?

Chłopak westchnął, na co staruszek przyjrzał mu się badawczo.

— Chudniemy, co? Wskakuj na wagę. — Wykazała ubytek pięciu kilogramów. — Nic więcej ci nie dolega?

— Parę miesięcy temu spuchła mi noga w kostce, ale po paru dniach opuchlizna zeszła. Odczuwałem też ból w tym miejscu — wskazał na prawą pachwinę.

— Stwierdzam, że kawaler za często ugania się za sp niczkami — zażartował lekarz i obaj się uśmiechnęli.

Następnie staruszek zadzwonił do szpitala Uniwersytetu Emory w Atlancie i umówił Dicka na badania.

— W dniu rozgrywek w Alabamie? — poskarżył się chłopak, na co stary doktor tylko przytaknął stanowczo.

Lekarz ze szpitala uniwersyteckiego, który Dicka przyjmował, zapisał w karcie, że stwierdza u pacjenta nieznaczny bladość skóry, ponadto opisał go jako dobrze rozwiniętego mężczyznę lat dwudziestu z prawostronnym porażeniem twarzy i pewnym zgrubieniem głosu. Uświadomił sobie z podnieceniem, że trafił mu się ciekawy przypadek. Z historii choroby młodego człowieka wynikało, że gdy miał piętnaście lat, przeprowadzono u niego laparotomię zwiadowczą, w wyniku której odkryto raka gruczołowego głowy trzustki. Pacjentowi usunięto dwunastnicę, odcinek dystalny przewodu żółciowego, głowę trzustki i krótki odcinek jelita czczego.

— Wycięli panu trochę kruczków z brzucha, kiedy by! pan dzieckiem, co? — zażartował lekarz.

Dick przytaknął z uśmiechem.

Ręka już pacjentowi nie drętwiała. Miał prawostronny objaw Babińskiego; poza tym badaniem neurologicznym niczego nie wykryto.

— Czy wyjdę stąd przed meczem? — zaniepokoił się Dick. Lekarz zmarszczył brwi.

— Wątpię.

W stetoskopie usłyszał cichy skurczowy szmer w okolicy przedsercowej. Kazał się pacjentowi położyć i zaczął badać opuszkami palców jego brzuch.

286

RABIN i

<T, — Myśli pan, że zdołamy w tym roku wygrać? — zapytał.

„ — Stebbins da im popalić! — zapewnił go Dick.

Badając wymacał w połowie odległości między pępkiem a wyrostkiem mieczykowatym i nieco w lewo podzieloną na płaciki masę. Wydawało się, że zachodzi na aortę i pulsuje wraz z sercem, jak gdyby pod dłonią lekarza były w ciele chłopaka dwa serca.

— Sam bym chętnie obejrzał ten mecz — powiedział.

W szpitalu odwiedzili Dicka kuzyn Sheldon, kilku kolegów z akademika, a raz Betty Ann Schwartz. Była tego wieczoru jego jedynym gościem, więc Dickowi nie wypadało odwracać od niej oczu i widok dziewczyny ubranej w biały obcisły sweterek, obwieszony długimi kosmykami wełny, podniecił go do niemożliwości.

— Nie wierz, gdyby ci mówiono, że dosypują tu facetom brom do kawy — powiedział.

Spodziewał się, że Betty puści jego uwagę mimo uszu, tymczasem popatrzyła mu głęboko w oczy i uśmiechnęła się tak, jakby jego żarcik sprawił jej przyjemność.

— Spróbuj rozwiązać ten problem z którąś z pielęgniarek — podpowiedziała i postanowił umówić się z nią na randkę, jak tylko go wypuszczą.

Piątego dnia pobytu Dicka w szpitalu odwiedził go wujek Myron.

— Po czorta ten głupi Sheldon zawracał ci głowę? — zirytował się chłopak. — Czuję się doskonale!

— Nie przychodzę do ciebie jako do chorego — wyjaśnił wuj. — Przychodzę w interesach.

Myron Kramer i jego brat Aaron od lat prowadzili w dwóch różnych miastach takie same firmy, zajmujące się wyrobem mebli stołowych z twardego drewna. Myron miał swoją firmę w Emmetsburghu, Aaron w Cypress, mogli więc pozwolić sobie na niezależność i nie wiązać się partnerstwem, choć po bratersku i dla oszczędności wykorzystywali te same wzory i zatrudniali wspólnego agenta od reklamy, aby promował ich bliźniacze kolekcje na ogólnokrajowych wystawach mebli. Kiedy przed dwoma laty Aaron zmarł na serce, Myron objął zarząd nad przedsiębiorstwem brata, nie stając

287

NOAH GORDON

się jednak jego właścicielem, rozumiało się bowiem samo przez się, że Dick po skończeniu uniwersytetu obejmie schedę ojcu.

— Interesy źle idą, wujku Myronie?

— Interesy idą dobrze — odrzekł wuj. — Dlaczego miałyby źle iść?

Zaczęli rozmawiać o futbolu, choć starszy z Kramerów nie miał o tym sporcie bladego pojęcia.

Przed wyjazdem z Atlanty Myron Kramer zobaczył się z lekarzem bratanka.

— Matka Dicka umarła na raka, kiedy chłopiec był jeszcze mały. Mój brat zabrał się parę lat temu na serce — poinformował go. — Zostałem sam. Chcę, żeby mi pan szczerze powiedział, jaki jest stan mojego bratanka.

— Obawiam się, że ma guz śródpiersiowy. i

— Niech mnie pan jeszcze objaśni, co to znaczy — po-| prosił łagodnie Myron.

— Ma narośl z tyłu klatki piersiowej, w rzucie serca. Myron skrzywił twarz i zamknął oczy.

— Potrafi mu pan pomóc?

— Przy tego rodzaju guzach trudno cokolwiek wyrokować — rzekł ostrożnie lekarz. — Zaawansowany rak to roślina, która rzadko wydaje pojedyncze nasienie. Usiłujemy ustalić, jaki jeszcze punkt w ciele pańskiego bratanka mógł zostać zaatakowany.

— Powie mu pan?

— Nie, przynajmniej na razie. Poczekamy, poobserwujemy go.

— A jeśli byłoby więcej tych... narośli? Czy da się to stwierdzić?

— Jeśli dojdzie do przerzutów — odrzekł lekarz — bardzo łatwo to będzie stwierdzić, panie Kramer.

Dziewiątego dnia wypisano Dicka ze szpitala. Nim przebrał się w swoje ubranie, lekarz wręczył mu zestaw różnych witamin i enzymów trzustkowych.

— To pana wzmocni — powiedział, a potem dodał mu jeszcze jedną buteleczkę pigułek. — Te różowe pastylki to

288

RABIN

darvon. Niech pan bierze po jednej, gdyby zaczęło boleć. Co cztery godziny.

— Nic mnie nie boli — powiedział Dick.

— Wiem. Ale nie zaszkodzi mieć je pod ręką. Ot, na wszelki wypadek.

Dick opuścił sześć dni zajęć, więc musiał przysiąc fałdów, żeby nadrobić zaległości. Przez cztery dni kuł jak opętany; piątego nie wytrzymał. Po południu zadzwonił do Betty Ann Schwartz, ale była już umówiona.

— Więc może jutro wieczorem?

— Jutro też już jestem umówiona, Dick. Przykro mi.

— No cóż, trudno.

— Dick, ja cię nie odpalam. Naprawdę bardzo bym chciała się z tobą spotkać. Piątek wieczór mam wolny, co ty na to?

Możemy zrobić wszystko, na co masz ochotę.

— Wszystko? Zaśmiała się.

— No, prawie wszystko!

— Pierwsza odpowiedź się liczy. Jesteśmy umówieni.

Aż do następnego popołudnia był zbyt podniecony, by skupić się na nauce. Choć miał świadomość, że straciwszy cały ubiegły tydzień, nie powinien sobie pozwalać na kolejne wagary, opuścił dwie godziny zajęć i pojechał do klubu strzeleckiego. Trafił na zawody w strzelaniu do rzutków. Pierwszy raz strzelał w zawodach z nowej dwururki. Trafił czterdzieści osiem glinianych gołębi na pięćdziesiąt. Stał w ciepłym słońcu i strącał je jeden po drugim — paf! paf! paf! paf! Zdobył pierwszą nagrodę. W drodze powrotnej do domu poczuł, że czegoś mu brakuje i począł się zastanawiać, czego mianowicie. Aż się roześmiał, gdy ustalił w końcu, że brakuje mu uczucia uniesienia, w jakie wpadał zwykle po odniesionym zwycięstwie. Z jakiegoś powodu czuł się raczej przygnębiony niż uszczęśliwiony. W lewej pachwinie poczuł tępy pulsujący ból.

O drugiej nad ranem ból się nasilił. Dick podszedł do szafki i wyjął z szuflady buteleczkę z różowymi pigułkami. Wystukał na dłoń jedną z nich i przyjrzał się kapsułce.

— Chrzanię! — mruknął, po czym wrzucił tabletkę z powrotem do buteleczki, tę zaś wsunął do szuflady, pod bry-

19 Rabin

289

NOAH GORDON

czesy do konnej jazdy. Następnie łyknął dwie aspiryny i ból minął.

Wrócił po dwóch dniach.

Tego popołudnia Dick pojechał z Redheadem zapolować na ptaki, musiał jednak wrócić bez oddania jednego strzału, ręka tak mu bowiem zdrętwiała, że nie był w stanie załadować strzelby.

W nocy połknął darvon.

W piątek rano poszedł do szpitala. Wieczorem odwiedziła go Betty Ann Schwartz. Niestety, bardzo się dokądś spieszyła.

Stary doktor w oględnych słowach powiedział mu prawdę.

— Będziecie rennie operowali, jak poprzednim razem? — zapyta! Dick.

— Nie, to inny przypadek — rzekł lekarz. — Dysponujemy obecnie nowym, dość skutecznym środkiem: iperytem azotowym, tym samym, którego używano kiedyś jako gazu bojowego. Nasz jednak zabija komórki rakowe, a nie żołnierzy.

— Kiedy zamierzacie rozpocząć kurację?

— Zaraz.

— Czy nie można by tego odłożyć do jutra?

Staruszek zawahał się, a potem skinął z uśmiechem głową.

— Ależ oczywiście! Weź sobie dzień urlopu.

Dick opuścił szpital przed lunchem i po przejechaniu blisko stu kilometrów dotarł do Athens. Wszedł do pierwszego baru, lecz nie po to by coś zjeść, ale skorzystać z kabiny telefonicznej. Zadzwoił do akademika, w którym mieszkała Betty Ann Schwartz. Musiał poczekać, aż wywołają ją ze stołówki. Betty oznajmiła, że wieczór ma wolny i z rozkoszą się z Dickiem zobaczy.

Mając przed sobą całe popołudnie, postanowił pójść do kina, chciał bowiem uniknąć przypadkowego spotkania z którymś z kolegów z akademika. W Athens znajdowały się trzy kina, nie

licząc nędznej budy dla kolorowych. W dwóch z nich wyświetlano jak na złość horrory, a w trzecim „Stracony weekend”, który Dick już widział, mimo to, wciśnięty w pluszowy, cuchnący stęchlizną fotel, wytrwał do końca filmu, pojadając w ciemności prażoną kukurydzę. Za pierwszym

290
RABIN

razem film mu się podobał, za drugim akcja wydała mu się głupia i poczuł pogardę dla Raya Millanda, który tracił czas na poszukiwania schowanych butelek wódki, zamiast pieprzyć Jane Wyman i trzaskać artykuły do „New Yorkera”.

Po wyjściu z kina, jako że było jeszcze wcześniej, Dick kupił pół litra bourbona i pojechał za miasto. Czuł się jak Ray Milland. Znalazł idealne miejsce na piknik w lasach nad rzeką Oconee. Kiedy tam siedział, skręci! go ból, aż zrobiło mu się słabo. To wszystko przez to, pomyślał, że nie zjadłem porządnego lunchu, tylko tę zasraną kukurydzę. Chwyciła go złość na samego siebie, że zachowuje się jak skończony dureń. Potem pojechał po Betty Ann i zabrał ją do restauracji „U Maxa”, przyzwoitej knajpy, gdzie wypili po parę drinków i zjedli na spółkę piękną poledwicę, którą popili brandy. Po wyjściu z restauracji pojechali na upatrzone wcześniej przez Dicka miejsce nad rzeką. Chłopak wyjął bourbona, odkorkował i podał Betty, która pociągnęła długi łyk i oddała mu butelkę. Dick nastawił cicho radio i poszukał stacji nadającej muzykę. Wypili jeszcze po łyku i zaczęli się całować. Nie napotykał żadnego oporu ze strony dziewczyny, przeciwnie — jeszcze go zachęcała, gryzła delikatnie w usta i szyję, tak że w końcu, nie wierząc własnemu szczęściu, zrozumiał, że to już, że wreszcie się stanie! Gdy jednak przyszedł kulminacyjny moment, nie stanął na wysokości zadania, do niczego nie doszło i w końcu zaprzestali prób.

— Odwieź mnie do domu! — burknęła Betty i zapaliła papierosa.
Zapуścił silnik, ale nie ruszał z miejsca.
— Chciałbym ci coś wytłumaczyć... — bąknął.
— Nie musisz niczego tłumaczyć!
— Ze mną jest niedobrze.
— Widzę.
— Nie chodzi o to, co myślisz. Naprawdę niedobrze. Mam raka.

Przez chwilę paliła w milczeniu.

— Kpisz sobie ze mnie czy co? To jakiś nowy sposób podrywu?

— To byłoby dla mnie bardzo ważne... Gdybym umarł, byłabyś moją jedyną dziewczyną.

291

NOAH GORDON

— O mój Boże! — wyszeptała.

Położył rękę na drążku zmiany biegów, ale Betty powstrzymała delikatnie jego dłoń.

— Chciałbyś jeszcze raz spróbować?

— Nie sądzę, żeby coś z tego wyszło — powiedział, zgasił jednak silnik. — Wiesz, chciałbym przynajmniej zobaczyć, jak dziewczęta tam wyglądają... Czy mogę cię sobie obejrzeć?

— Jest ciemno — szepnęła. Podświetlił tablicę rozdzielczą. Betty oparła się piętami o skraj siedzenia, odchyliła się na oparcie i zamknęła oczy.

— Tylko mnie nie dotykaj! — poprosiła.

Kiedy po jakimś czasie włączył silnik i auto ruszyło, dziewczyna opuściła nogi na podłogę. Prawie przez całą drogę powrotną nie otwierała oczu i siedziała jak najdalej od Dicka.

— Może miałybyś ochotę na kawę? — zapytał, gdy przejeżdżali obok baru.

— Nie, dziękuję.

Pod jej akademikiem chciał coś jeszcze powiedzieć, ale ona go nie słuchała.

— Dobranoc — pożegnała się szybko. — Życzę ci szczęścia, Dick!

Siedział i patrzył, jak dziewczyna biegnie alejką, wbiega na kamienne schodki i zatrząskuje za sobą drzwi.

Nie miał ochoty wracać do akademika, uznał za niemądre zatrzymywanie się w hotelu, pojechał więc do szpitala.

Przeleżał w nim dziesięć następnych dni.

Ładna drobna pielęgniarka, krótko ostrzyżona brunetka, robiła mu codziennie dożylnie zastrzyki. Pierwszego dnia z nią żartował, pozerając wzrokiem jej ponętne ciało i łudząc się nadzieją, że niedyspozycja z poprzedniego wieczoru była tylko chwilową psychiczną zapaścią, a nie objawem ubocznym choroby, a już trzeciego dnia nie zdawał sobie nawet sprawy z obecności kuszącej pielęgniareczki w pokoju. Iperyty azotowy wywołał biegunkę i potworne mdłości. Stary doktor zmniejszył dawkę, lecz niewiele to pomogło.

Stryj Myron przyjeżdżał do Atlanty trzy razy w tygodniu, przychodził, siadał i przyglądał się bratankowi, prawie się do niego nie odzywając.

292

RABIN

Sheldon zjawił się tylko raz. Długo patrzy! na kuzyna, po czym wymamrotał, że ma jakieś ważne egzaminy, i uciekł. Więcej się nie pojawił.

Dziesiątego dnia wieczorem wypisano Dicka ze szpitala.

— Będziesz musiał dwa razy w tygodniu odwiedzać nasze ambulatorium — zapowiedział mu stary doktor.

— Dick zamieszka u mnie — oświadczył stryj Myron.

— Ani myślę! — zaprotestował chłopak. — Zostanę na uczelni.

— Obawiam się, że o tym nie może być mowy — rzekł lekarz.

— Podobnie jak o zamieszkaniu u ciebie — zwrócił się Dick do Myrona. — Pojadę do Cypress. Nie jestem inwalidą!

— Co z tobą? Czyś się blekotu najadł? — obruszył się stryj.

— Musisz być taki uparty?

Doktor rozumiał jednak obiekcje chłopaka.

— Niech mu pan da spokój — poprosił stryja Myrona.

— Jeszcze przez jakiś czas będzie w stanie radzić sobie jakoś samodzielnie.

Dick spakował się z samego rana, kiedy w akademiku prawie nikogo nie było. Nie pożegnał się nawet z Sheldonem.

Wrzucił torby do samochodu, posadził na nich Redheada, dwururkę położył na dywaniku na podłodze za fotelem kierowcy, po czym przez jakiś czas jeździł bez celu po kampusie. Liście zaczynały już żółknąć. Przed jeden z żeńskich akademików wyległy jego mieszkanki z pędzlami i wiaderkami farby, zamierzając najwidoczniej odmalować swoją siedzibę; ich obecność zdążyła już zwabić tłumek rozbawionych, pomiaukujących jak koty studentów.

Dick wyjechał na szosę i już po kilku minutach strzałka szybkościomierza jego auta wskazywała sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. Mały sportowy kabriolet z piskiem opon pokonywał zakręty, a na prostych odcinkach drogi mknął z szybkością strzały. Redhead poskamlywał cicho za plecami swojego pana, a ten oczekiwał w każdej chwili, że auto wypadnie z zakrętu, uderzy w drzewo, roztrzaska się o jakiś mur lub słup telegraficzny. Żadna jednak przeszkoda, ani

293

NOAH GORDON

śmierć, ani choćby policjant z mandatem za przekroczenie szybkości, nie stanęła Dickowi na drodze i jego wóz prześmignął jak rakieta przez pół stanu Georgia.

Młody Kramer otworzył zamknięty od śmierci ojca dom i najał do sprzątanía i gotowania kolorow kobiet, żon jednego z kierowców cizarówek, rozwozcych komplety mebli stoowych. Nastpnego dnia po powrocie wybra si po poudniu do fabryki, gdzie usysza od dwch pracowników, że kiepsko wyglda, a trzeci tylko w milczeniu wybauszy na niego oczy. Od tej pory chopak przesta tam zachodzi. Od czasu do czasu wczy si z Redheadem po lasachj pies skomla i taczy wokl niego, wypatrzywszy przepirk albo gobia, lecz Dick nawet nie skada si do strzau. Zdarza si co prawda dni, że mgby nawet sprbowa, bo drtwienie i bl nie przychodziy o zwyklej porze, ale on nie chcia juz zabija. Uwiadomi sobie, że gasi Źycie w tych ptakach, które strca z nieba, i wicej nie wystrzeli, nawet do glinianych gobi na strzelnicy.

Dwa razy w tygodniu odbywa dugie wyprawy do szpitala w Atlancie, ale juz w wolnym, niemal zwim tempie, nie usiujc ponagla wydarze.

Nastay chody. Z ogrodu za domem znikny krecie kopczyki. Gdzie si te zwierztka podziewaja? — zastanawia si Dick. Czy si gdzie zagrzebuja, by ody znowu na wiosn? Zacz rozmyla o Bogu i duo czyta. Nie mogc zasnc, czyta przez ca noc i wiksz cz nastpnego dnia, by zapac w kocu w sen pnym popoudniem. Z „Nowin” dowiedzia si o majcym si odby w Cypress Źydowskim naboestwie i wybra si na nie. Kiedy naboestwa zaczto odprawia co pitek, nie opuszcza żadnego. Zna tu prawie wszystkich, a ludzie wiedzieli, że wrci do domu z powodu choroby, wic odnoszono si do niego taktownie; kobiety flirtoway z nim miao lub matkoway mu na oneg szabat podsuwajc co smaczniejsze kaski.

Na tych naboestwach nie znajdowa jednak odpowiedzi na drczce go pytania. Moe gdyby mieli religijnego przy-

RABIN

wódce, zastanawiał się, jakiegoś światłego rabina, ten pomógłby mu dotrzeć do niektórych odpowiedzi, objawić przynajmniej, czego się może jako Żyd spodziewać po śmierci.

Lecz gdy w Cypress zjawił się Michael Kind, Dick stwierdził, że rabin jest niewiele starszy od niego i wygląda na nie mniej zagubionego, więc choć nadal uczęszczał regularnie na wszystkie nabożeństwa do świątyni, zrozumiał, że od tak przeciętnego człowieka nie może oczekiwać cudu.

Pewnej niedzieli czekając przed telewizorem na rozpoczęcie wiadomości sportowych, obejrzał przypadkiem końcowe dziesięć minut nagranego na taśmie wideo spektaklu Billy'ego J. Raye'a. Potem pokazywano rybaków łowiących spod lodu dorsze na jeziorze Michigan, a jeszcze później opalonych na brązowo młodzieńców i złotowłose dziewczęta uprawiających surfing na wyspie Catalina, więc przestał myśleć o wcześniejszym programie religijnym. Najbliższej niedzieli ogolił się jednak, ubrał odświętnie i zamiast oglądać telewizję, wsiadł do samochodu i włączył się w procesję posuwających się powoli aut zdążających ku namiotowi uzdrowiciela.

Kiedy Billy Joe poprosił, żeby wstali ci, którzy pogodzili się z Jezusem, nie podniósł się, przyjął jednak i podpisał karteczkę z prośbą o osobiste spotkanie z uzdrowicielem. Stojąc w posuwającej się w żółwym tempie kolejce na scenę, obserwował tych, którzy z niej schodzili. Najpierw jakiś mężczyzna, a potem kobieta odrzucili kule wśród okrzyków entuzjazmu; kobieta tańcząc wracała przejściem między rzędami. Inni schodzili co prawda po siedmiu drewnianych schodkach z drugiej strony podwyższenia w takim samym stanie — okaleczeni, słabi, majaczący — w jakim na nie wchodzili. Jakaś kobieta po kontakcie z uzdrowicielem

postawiła dwa niepewne kroki i z uniesieniem w oczach odrzuciła od siebie kule, lecz w dwie minuty później upadła i czołgała się do nich z rozpaczą na twarzy. W pamięci Dicka nie utrzymała się jednak ani ona, ani inne jawne niepowodzenia cudotwórcy: oglądał cuda, jakie sprawiał dotyk jego dłoni, a teraz miał ich kolejne świadectwo.

Tuż przed nim czekała w kolejce głucha dziewczynka. Billy Joe pomodlił się nad nią, a potem obrócił ją twarzą do zebranych, żeby nie mogła widzieć jego warg.

295

NOAH GORDON

— Powiedz: „Kocham Cię, Boże"! — polecił.

— Kocham Cię, Boże — powtórzyła dziewczynka. Billy Joe ujął w dłonie jej głowę.

— Czy widzieliście cud, jaki sprawił Pan?! — zawoła uroczyście do rozentuzjzmowanego tłumu. Przyszła kolej na Dicka.

— Na co się uskarżasz, synu? — zapytał uzdrowiciel, a chłopak zobaczył utkwiony w jego twarzy jak oskarżycielskie oko obiektyw terkoczącej kamery, w której boku obracała się mała korbka.

— Mam raka.

— Klęknij, mój synu.

Dick ukląkł. Patrzył teraz na brązowe buty z miękkiej świńskiej skóry, brązowe jedwabne skarpetki napięte przez podwiązki oraz na beżowe mankiety spodni, szytych prawdopodobnie na miarę u krawca. A potem jego twarz i oczy zakryły wielkie dłonie uzdrowiciela. Palce jak z żelaza wbiły się w jego czaszkę i kości policzkowe, a wnętrza dłoni, tak obrzydliwie cuchnące potem innych twarzy, że Dick się aż zakrzuszył, rozpląszczyły mu nos i usta i odgięły do tyłu głowę.

— Boże! — zawołał Billy Joe zamykając oczy. — Oto człowiek, którego pożerają, komórka po komórce, demony rozkładu! Panie, okaż temu biedakowi łaskę swej miłości! Ocal mu życie, aby mógł przyłożyć ręki do Twojego dzieła! Wstrzymaj postęp straszliwej choroby, która pustoszy to ciało. Usuń ją mocą swojej miłości i nie pozwól, by rak, złośliwy guz lub inna diabelska zgnilizna dalej je toczyły! Grube jak parówki palce zacisnęły się z mocą imadła na twarzy młodego Kramera.

— Ulecz go, Panie! — rozkazującym tonem zakrzyknął Billy Joe.

Ani tego wieczoru, ani dnia następnego bóle nie powróciły. To się niekiedy zdarzało, toteż Dick wołał nie dopuszczać do siebie nadziei, dopóki nie minął jeszcze jeden dzień, kolejna noc, a potem jeszcze dwie doby — wyjątkowo długie wakacje od cierpienia.

296

RABIN

Tego tygodnia dwa razy w wyznaczonym terminie jeździł do Atlanty, pozwalał lekarzowi wbijać igłę kroplówki w żyłę i czekał, kiedy iperyt azotowy wsączy się kropla po kropli do jego krwiobiegu. W następną niedzielę odwiedził ponownie namiot cudotwórcy, a we wtorek nie pojechał już do szpitala; nie pojechał tam również w czwartek. Mimo że nie przyjmował iperytu azotowego, bóle nie powracały, chory poczuł natomiast przyływ sił. Dużo się modlił. Leżąc przy ogniu płonącym na kominku drapał Redheada między uszami i obiecywał Bogu, że jeśli go ocali, zostanie uczniem uzdrowiciela. Potrafił wyobrażać sobie godzinami, jak prowadzi zebrania modlitewne wspomagany przez Trębacza Boga i dziewczynę, podobnie jak on uratowaną przez Bożą moc. Twarz tej dziewczyny zmieniała się w jego marzeniach, podobnie jak kolor jej włosów, wyobrażał ją sobie jednak

zawsze jako śliczną i zgrabną pannę, z którą dzieli szczęście służenia Bogu.

W niedzielę po spotkaniu podszedł do jednego z porządkowych.

— Chciałbym wam jakoś pomóc — oświadczył. — Może wesprzeć finansowo...

Porządkowy zaprowadził go do małego biura za przepierzeniem, gdzie stanął jako trzeci w kolejce do stolika, za którym siedział pulchny jegomość o ujmującej powierzchowności. Gdy przyszła kolej Kramera, mężczyzna podsunął mu dokument i wskazał, gdzie ma złożyć podpis, żeby zostać Przyjacielem Uzdrawień przez Wiarę, zobowiązującym się do wnoszenia miesięcznych datków w wysokości sześciuset dolarów przez najbliższy rok.

Przed następnym wtorkiem lekarz zatelefonował do stryja Myrona i zawiadomił go, że Dick przerwał kurację. W następstwie tej rozmowy Myron zjawił się bez zapowiedzi w domu bratanka. Doszło do przykrej sceny, z której Dick wyszedł spokojny i nie przekonany. Ostatecznie został ocalony.

W sobotę po południu zemdlął. Kiedy odzyskał przytomność, kłatkę piersiową rozrywał mu ból znacznie dotkliwszy niż przedtem.

W niedzielę ból jeszcze się nasilił. Chłopak miał wrażenie, że coś próbuje się wyrwać z jego piersi i w tym usiłowaniu

297

NOAH GORDON

napiera na płuca, z trudem bowiem oddychał i często wpadał w omdlenie.

Pojechał na spotkanie pod namiotem, usiadł na składanym drewnianym krzeselku i modlił się żarliwie.

Podniósłszy się z miejsca, by stanąć w kolejce do uzdrowiciela, zobaczył siedzącego w następnym rzędzie rabina Kinda.

Do diabła z nim, zachnął się w duchu, lecz nim się zmiarkował, już był przed namiotem i uciekał przez rozległy parking. Ból pod żebrami zmuszał go do przyciskania łokci do tułowia, toteż biegł niezgrabnie, z wysiłkiem podnosząc ciężkie jak z ołowiu nogi. Zdawał sobie sprawę, że nie ma już dokąd uciekać.

Rabin Kind nie zastał młodego Kramera w domu. Dom był ładny, stary, lecz solidnie zbudowany. Nie sprawiał wrażenia zaniedbanego, jedynie nie wykorzystanego. Należał do tych domostw, które powinna zamieszkiwać liczna rodzina.

Michael usiadł na schodkach przed gankiem. Po jakimś czasie zza węgła budynku wyszedł smukły seter irlandzki i stąpając jak sposepniały lew zbliżył się do Michaela.

— Siemasz, psino — przywitał go rabin.

Seter przyglądał mu się, nie zjeżywszy na grzbiecie ani jednego włosa. Następnie, najwyraźniej rad z oględzin, podszedł bliżej, położył się na stopniu schodów i oparł rudy pysk na kolanie przybysza. Rabin drapał śpiącego psa za uszami, gdy na podjazd wjechał niebieski kabriolet.

Dick Kramer przyglądał się im przez chwilę nie wysiadając z auta. W końcu ruszył po trawniku w stronę ganku.

— Ten stary rozpustnik to uwielbia — rzekł.

Wyjął z kieszeni klucze na kółku i otworzył drzwi; rabin i seter nie czekając na zaproszenie weszli za nim do środka.

Salon był przestronny i wygodnie umeblowany, przypominał jednak raczej izbę w chacie myśliwskiej niż pomieszczenie w domu mieszkalnym — nad wielkim kamiennym kominkiem wisiało jelenie poroże, a pod ścianą stał oszklony stojak na strzelby.

— Drinka? — zapytał Dick.

— Jeśli i pan się napije...

298

RABIN

— O, i to chętnie! Mówią, że łyczek od czasu do czasu dobrze robi na nerwy. Mam bourbona. Z wodą?

— Jeśli pan łaskaw.

Wypili i usiedli z pustymi szklankami w ręku, które Dick niezwłocznie napełnił.

— Miałbyś ochotę pogadać? — zapytał Michael.

— Gdybym miał ochotę pogadać, do cholery, sam bym się do pana zgłosił! Nie przyszło to panu do głowy?

— Istotnie, zaświtała mi taka myśl — powiedział Michael i wstał. — No to chyba już pójdę. Dzięki za drinka. Głos chłopaka dogonił go w progu.

— Przepraszam, rabi! Niech pan nie odchodzi.

Michael wrócił i usiadł. Seter zwałił się u stóp swojego pana z cichym stęknieniem. Michael sięgnął po szklankę i pociągnął z niej długi łyk.

Po chwili Dick Kramer zaczął opowiadać.

Gdy skończył, zapadła cisza.

— Dlaczego nie przyszedłeś do mnie? — zapytał z pokorą Michael.

— Nie miał mi pan nic do zaoferowania — odrzekł Dick. — W każdym razie nie to, czego szukałem. A Billy Joe miał. Przez chwilę wyglądało nawet na to, że mu się udało. A gdyby mu się udało, nie ma takiej rzeczy, której bym dla niego nie zrobił.

— Uważam, że przede wszystkim powinieneś się zobaczyć ze swoim lekarzem.

— A czy nie uważa pan, że powinienem wrócić do wielebnego Raye'a?

— O tym tylko ty możesz zdecydować. Dick Kramer uśmiechnął się.

— Myślę, że gdybym był w stanie uwierzyć mu bezgranicznie, mógłbym się w to zaangażować. Przeszkodził mi mój żydowski sceptycyzm.

— Nie wiń o to swojej żydowskości. Medycyna religijna to stara żydowska idea. Chrystus należał do sekty esseńczyków, pobożnych Żydów, którzy poświęcili się lecznictwu. Nie dalej zaś jak kilka lat temu chorzy Żydzi z Europy i Azji odbywali

299
NOAH GORDON

długie podróże i cierpieli srogie niewygody tylko po to, żeby ich dotknęły ręce rabinów posiadających, jak wierzyli, moc uzdrowicielską.

Kramer chwycił prawą rękę Michaela, podniósł ją i wpił się wzrokiem w obejmujące szklanek palce rabiego.

— Niech mnie pan dotknie! — poprosił. Michael pokręcił głową.

— Przykro mi — rzekł. — W ten sposób nie mogę ci pomóc. Nie mam gorącej linii do Pana Boga.

Chłopak roześmiał się i odepchnął jego rękę. Alkohol prysnął nad krawędzią naczynia.

— A w jaki sposób może mi pan pomóc?

— Spróbuj się nie bać.

— Chodzi nie tylko o strach. Owszem, boję się, przyznaję, ale gorsza jest świadomość, że tylu rzeczy nie zaznam. Nie miałem kobiety, nie odbyłem dalekich podróży, nie zdążyłem odcisnąć swojego śladu na ziemi, nie uczyniłem świata lepszym, niż go zastałem.

Michael poruszył się z trudem. Za dużo wypił.

— Czy kogoś w życiu kochałeś?

— Jasne — bąknął! chłopak.

— W takim razie już przyczyniłeś światu wartości, i to drogocennej. Co do przygody... jeśli prawdą jest to, czego się

obawiasz, czeka cię wkrótce największa z dostępnych
człowiekowi przygód.

Dick zamknął oczy.

Michael pomyślał o swojej rocznicy ślubu i o czekającej w domu Leslie, ale coś przykuwało go jeszcze do fotela. Złapał się na tym, że przygląda się bacznie strzelbom w oszklonym stojaku i opartej o róg kominka dwururce z zatkniętą w jednej z luf nasączoną oliwą szmatą. Przypomnił sobie noc w Miami Beach i przygnębionego małego człowieka z niemieckim pistoletem w garści. Kiedy odwrócił wzrok, Dick przypatrywał mu się z uśmiechem.

— Niech się pan nie boi, nie zrobię tego — rzekł.

— Wiem.

— Coś panu opowiem. Dwa lata temu wybierałem się z kolegami na otwarcie sezonu myśliwskiego na jelenie. Założyli obóz myśliwski na mokradłach. Tuż przed wyjazdem

300

RABIN

złapałem okropną gripę, więc oświadczyłem im, żeby jechali beze mnie. W dniu otwarcia sezonu nie mogłem jednak usiedzieć w domu; wstałem wcześniej, wziąłem strzelbę i poszedłem do lasu, niecałe dwieście metrów stąd. Nie uszedłem trzech kroków od szosy, gdy zobaczyłem dorodnego młodego byka. Wystrzeliłem i położyłem go.

Jeszcze żył, kiedy do niego podszedłem, więc wyjąłem nóż myśliwski i poderznąłem mu gardło. Ale on nie zdychał.

Patrzył na mnie wielkimi brązowymi ślepiami, poruszał pyskiem i beczał jak wielka stara owca. W końcu przystawiłem mu lufę do czaszki i wypaliłem, ale on wciąż nie umierał, więc już nie wiedziałem, co mam dalej robić.

Trafiłem go na komorę, strzeliłem mu w głowę, poderznąłem gardło. Nie mogłem przecież rozciąć mu brzucha i wyjąć wnętrzności, póki jeszcze żył. Siedziałem tam jak głupi i

zastanawiałem się, co robić, aż tu nagle poderwał się na nogi i pognął do lasu. Zaczęło padać, więc zabrało mi prawie dwie godziny, nim go w końcu odnalazłem w krzakach, szczęśliwie już martwego. Omal nie nabawiłem się wtedy zapalenia płuc...

Dużo ostatnio myślałem o tym jeleniu — zakończył.

Rabin poczekał na przybycie czarnej służącej, która miała przygotować Kramerowi kolację, po czym zostawił go, sączącego bourbona przed wygasłym kominkiem w towarzystwie psa.

Powietrze na dworze wydało mu się ostrzejsze i pachniało upojniej niż przedtem. Jechał wolno w stronę domu, modląc się i obserwując równocześnie niczym malarz układy brył, kompozycje kolorów i cieni.

Leslie stała przy kuchni. Podszedł do żony i objął ją od tyłu, nakrywając dłońmi piersi i wtulając we włosy twarz.

Pozwoliła mu się obejmować, a potem odwróciła się i pocałowała go, a Michael zakręcił gaz pod garnkiem i pociągnął ją w stronę sypialni.

— Czyś ty zwariował?! — roześmiała się, na wpół rozbawiona, na wpół rozgniewana. — Kolacja!

On jednak nie przestawał popychać jej w stronę łóżka.

301

NOAH GORDON

u' — Daj mi chociaż... — zerknęła w stronę szafki, gdzie trzymała krążek maciczny.

— Nie dzisiaj.

To ją podnieciło i zaprzestała walki.

— Możemy zrobić dzidziusia! — wyszeptała, a jej oczy zabłyśły w przyćmionym świetle żarówki wpadającym z kuchni.

— Króla żydowskiego — wymamrotał obsypując ją pieścizotami. — Salomona, Saula. Dawida...

Uniosła biodra przyjmując go w siebie. Coś powiedziała, gdy zamykał jej usta pocałunkiem. Zabrzmiało to jak: „Byle nie Dawida!”

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Pocztą nadeszły z Atlanty Doroczne Nagrody Braterstwa Świątyni Synaj — dwie piękne tabliczki z orzechowego drewna ze srebrnymi plakietkami — i rabina zobowiązano na zebraniu rady do napisania przemówienia na Święto Braterstwa.

— Wyznaję, że jestem nieco zakłopotany naszą narodową gorliwością do przyznawania nagród braterstwa gojom — stwierdził w zadumie Michael. — Dlaczego to goje nigdy nie przyznają podobnych nagród Żydom? Albo jeszcze lepiej: dlaczego Żydzi nie przyznają nagród braterstwa Żydom? Członkowie rady wyglądali początkowo na zaskoczonych, ale po chwili roześmiali się gremialnie.

— Niech pan tylko napisze tę mowę, rabi! — rzekł Dave Schoenfeld. — Najpierw podlejemy ich likierkiem i podejmiemy dobrą kolacyjką, potem pan pogłaszczycie ich próżność, a na zakończenie ja wręcę im nagrody.

Ustalili termin: niedziela wieczór za półtora miesiąca.

Dwa dni później Michael siedział w swoim gabinecie i przeglądał tekst kazania na nadchodzący tydzień, kiedy zjawił się u niego niespodziewany gość.

302

RABIN

v Billy Joe Raye usiadł na brzeżku krzesła, stopy ustawił płasko na podłodze, a kapelusz położył sobie na kolanach. Tryskał dobrym humorem.

— Uznałem, że już najwyższa pora, bym złożył panu sąsiedzka wizytę, rabi! — zawołał. — Pozwoliłem sobie przynieść skromniutki prezencik.

Był nim egzemplarz Nowego Testamentu po hebrajsku.

— Kazałem to wydrukować specjalnie dla naszych żydowskich przyjaciół — obwieścił uzdrowiciel.
— W każdym razie dziękuję panu — rzekł Michael.
— Spotkałem niedawno na ulicy pańskiego młodego przyjaciela, Richarda... Jakże jego godność?
— Chodzi panu o Dicka Kramera?
— Otóż właśnie! Oznajmił mi, że nie zamierza mnie więcej odwiedzać. Podobno odbyliście panowie długą pogawędkę.
— Istotnie.
— Miły chłopiec. Sympatyczny, zgrabny. Żał mi go. — Opuścił wzrok i pokiwał głową. — Chciałbym, żeby pan wiedział, że nie zmuszałem go do odwiedzania naszych zebrzań. Zobaczyłem go po raz pierwszy, gdy stanął przede mną w naszym namiocie.
— Wiem o tym.
— No tak... Bóg widzi, że tacy ludzie jak pan i ja nie narzekają na brak roboty i bez wykradania sobie owieczek ze swoich trzódek, jak nie przymierzając dwóch czarnuchów podwędzających sobie nawzajem kury. — Zaśmiał się, a Michael uśmiechnął się z przymusem, po czym wstał, by odprowadzić gościa do drzwi.
Minęły całe trzy tygodnie, nim zmusił się, by usiąść i napisać przemówienie na Święto Braterstwa, ale gdy wreszcie się do tego zabrał, machnął je od ręki, niemal bez poprawek. Przemówienie było krótkie i konkretne, jak ocenił odczytując je, a przy tym prawdziwe, co uświadomił sobie z nieoczekiwanym przygnębieniem.
Po uprzątnięciu salaterek i serwisu do kawy rabin Kind wstał i przywitał zebranych — członków swojej synagogi,

303

NOAH GORDON

laureatów nagród oraz wybitnych gojów, zasiadających przy głównym stole.

— Kiedy osoba duchowna wybiera się do nie znanego sobie miasta, zastanawia się z niepokojem, jakiego tam zastanie religijnego ducha — zaczął. — Przyznaję, że i mnie dręczył podobny niepokój, kiedy jechałem do Cypress. A tymczasem co tu zastałem? Oto zastałem społeczność złożoną z członków różnych kościołów odnoszących się do siebie w sposób wyjątkowo kulturalny.

Sędzia Boswell zerknął na Nance'a Granta i pokiwał z uśmiechem głową.

— Zastałem społeczność, w której baptyści wypożyczają swój kościół na nabożeństwa Żydom, a metodyści kupują bilety na imprezy baptystów.

Zastałem społeczność, w której wyznawcy Kościoła episkopalnego szanują kongregacjonalistów, a luteranie współpracują w harmonii z presbiterianami.

Zastałem społeczność, która uznaje i szanuje szabat.

Społeczność, której każdy obywatel ma prawo czcić Boga na swój własny sposób.

Sędzia Boswell podniósł brwi, spojrzął na Dave'a Schoenfelda i wolno, z aprobatą pokiwał głową, wysuwając przy tym nieznacznie dolną wargę, jak to zawsze czynił w sądzie słuchając werdyktu ławy przysięgłych.

— Odkryłem, że w Cypress braterstwo przepływa z jednego wyznania do drugiego jak dana nam wszystkim od Boga słodka woda w studniach połączonych wykopanymi ręką człowieka kanałami. Lecz odkryłem również — ciągnął Michael — i pewną rzecz zastanawiającą... Oto kanały te łączą niecałe sześćdziesiąt procent ludności naszego miasta.

Sędzia Boswell, nie przestając się uśmiechać, podniósł do ust szklankę z wodą. Kiedy ją odstawił, uśmiech wciąż widniał na jego twarzy, lecz już gasł powoli, niczym stulający płatki kwiat.

— Braterstwo w Cypress przypomina mi kapryśną substancję chemiczną, która wyparowuje w zetknięciu z kolorową skórą. Takie są więc oto — mówił rabin — moje spostrzeżenia dotyczące miejscowego makrokosmosu.

304

RABIN

Przejdę teraz do mikrokosmosu, czyli mojej gminy, którą znam najlepiej. Przyjrzyjmy się zatem owym pięćdziesięciu trzem rodzinom, stanowiącym świątynię Synaj w mieście Cypress w stanie Georgia.

Trzej członkowie naszej wspólnoty posiadają sklepy, w których odmawia się sprzedaży jedzenia i napojów wszystkim — czy to mężczyzna, kobieta czy dziecko — których skóra nie byłaby jaśniejsza od skóry żony Mojżesza.

Dwóch członków naszej gminy posiada pensjonaty, w których odmawia się dachu nad głową i mieszkania ludziom kolorowym.

Kilku naszych członków sprzedaje murzyńskim klientom tandetne towary na kredyt po zaniżonych cenach, żeby uczynić z nich swoich dłużników.

Jeden jest posiadaczem gazety, w której o wszystkich obywatelach — z wyjątkiem kolorowych — pisze się per panna, pani, pan.

Cała nasza gmina korzysta z linii autobusowej, w której zmusza się Murzynów, żeby siadali z tyłu autobusu lub stali, nawet gdy z przodu są wolne miejsca siedzące.

Wszyscy członkowie naszej gminy mieszkają w mieście, gdzie znajduje się dzielnica murzyńska czynszowych domów, z których większość powinna zostać zburzona lub przebudowana, gdyż zagrażają życiu mieszkańców.

Członkowie naszej gminy wspierają system oświatowy, dopuszczający, by codziennie rano murzyńskie dzieci szły do szkół, których stan woła o pomstę do nieba.

Rabin zawiesił głos.

— Co u licha? — mruknął Sunshine Janes do szeryfa.

— Zebraliśmy się tu dzisiaj, by wręczyć nagrodę braterstwa dwóm przywódcom naszej społeczności — ciągnął Michael.

— Pytanie tylko, czy jesteśmy upoważnieni taką nagrodę przyznawać? Akt jej nadania zakłada bowiem, że my sami znajdujemy się w stanie braterstwa.

Otóż oświadczam wam z powagą i troską, że tak nie jest.

Dopóki zaś sami nie osiągniemy stanu braterstwa, nie sądzę, abyśmy byli zdolni dostrzec je w innych.

Pochwalam jednak ideę, która nas tu dzisiaj zgromadziła.

Pochwalam, gdyż problem, który się z nią wiąże, będzie

20 Rabin

305

NOAH GORDON

w nadchodzących latach jednym z głównych zagrożeń dla duszy człowieka, przed czym czuję się zobowiązany jak najsolenniej was przestrzec.

Tak długo, jak długo nie będziemy dostrzegali w Murzynie człowieka, tak długo będziemy nosili piętno Kaina.

Dostojewski napisał gdzieś: „Póki nie staniesz się bratem dla bliźniego swego, nie będzie prawdziwego braterstwa na ziemi”.

Dwie rzeczy uderzyły go, kiedy schodził z bimy: wyraz oczu sędziego Boswella i głośnie samotne oklaski Leslie, które niczym promień dźwięku odprowadzały rabina, gdy wracał na swoje miejsce.

Dopiero Ronnie i Sally Levittowie zrobili w dwa dni później wyłom w murze milczenia, jakim odizolowała się od Kindów reszta gminy.

— Przyznaję, że jeszcze kilka godzin temu podzielałem ich stanowisko — wyznał Ronnie Levitt. — Ostatecznie wyłożyłem pewną sumę na te przeklęte nagrody. Nie wolno ci

zapominać, że Cypress to nie Nowy Jork — tłumaczył Michaelowi. — Ani Atlanta czy Nowy Orlean. W wielkich miastach możesz zrażać do siebie ludzi, a mimo to nadal jakoś funkcjonować, ale zraziwszy ich do siebie w takim małym miasteczku jak Cypress, możesz na dobrą sprawę zwijać kramik. Nie pozwolimy, żebyś psuł nam interesy.

— Nie oczekuję tego od was, Ronnie — rzekł Michael.

— Sądzę, że cała ta awantura może się rozejść po kościach, jeśli to mądrze rozegrasz. Nie uważam, że powinienesz przeproszać, jak to niektórzy sugerują, bo to by tylko pogorszyło sprawę. Lepiej wytłumaczmy ludziom prywatnie, że jesteś jeszcze młody, że pochodzisz z Północy i że w przyszłości będziesz bardziej pilnował języka.

— Nic z tego, Ronnie — rzekł cicho Michael. Sally Levitt wybuchnęła płaczem.

Zostawili prawie wszystko, spakowali tylko podręczne torby.

— Jest za gorąco, żeby przebyć całą drogę autem — stwierdził Michael.

306

RABIN

; Zaoszczędzili trochę pieniędzy, więc Leslie nie protestowała. Pojechali samochodem do Augusty, a stamtąd samolotem do Nowego Jorku.

Rabi Sher wysłuchał ich opowieści i westchnął.

— Ależ ty komplikujesz nam życie! Gdybyś choć nie miał racji... — Odradzał Michaelowi powrót do belferki. — Jeśli nie okażesz przeczności, skończy się na tym, że będziesz do końca życia uczył dzieci hebrajskiego. A wtedy wszyscy poza uczniami w twojej klasie popadną w nieznośne samouwielbienie.

Po trzech tygodniach rozmów sondażowych Michael poleciał aż do Kalifornii, gdzie wygłosił gościnne kazanie, po czym

został zatrudniony jako rabin w świątyni Izajasza w San Francisco.

— Oni są tam wszyscy nonkonformistami, ponadto dzieli ich od naszego biura szerokość całego kontynentu — stwierdzi! rabi Sher — więc powinieneś się utrzymać na tej posadzie aż do szczęśliwej starości.

Kindowie wrócili samolotem do Augusty, a stamtąd niebieskim plymouthem do Cypress. Wjechali do miasteczka dokładnie w jedenaście miesięcy i szesnaście dni po swoim pierwszym tam przyjeździe.

Dom na Piedmont Road zastali w takim stanie, w jakim go przed trzema tygodniami zostawili.

Spakowali książki, po czym Michael zadzwonił do firmy Railway Express i omówił warunki transportu biurka oraz księgozbioru do Kalifornii. Po długiej dyskusji z Leslie uzgodnili, że z kupionych w Cypress chodnika i lampy, chodnik również nadadzą koleją, a lampę zostawią.

— Pójdę sprzątnąć mój gabinet w świątyni — oświadczył Michael.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważył, zaparkowawszy wóz na podjeździe świątyni Synaj, były resztki krzyża na trawniku. Rabin stał i długo się im przyglądał. Następnie otworzył kluczem drzwi. Joe Williams zniknął gdzieś bez śladu; Michael domyślił się zresztą, że szamasz nie byłby zachwycony koniecznością sprzątnięcia po Ku-Klux-Klanie czy jakimś jego odpowiedniku. Poszukał w szopie grabi i szpadla, po czym starannie zgrabił popiół i zwęglone szczątki drewna, załadował je na taczkę i wrzucił do stojącej na podwórku za świątynią

307

NOAH GORDON

przepełnionej puszki na śmieci. Następnie wrócił na trawnik od ulicy i obejrzał pozostałości spalonego krzyża. Górna jego

część musiała spłonąć, zanim reszta drewnianej konstrukcji runęła i dopaliła się na ziemi. W rezultacie w trawie powstała czarna wklęsła blizna w kształcie litery T, której każde ramię miało około czterech metrów długości. Michael wbił szpadel w ziemię i zaczął ją przekopywać wzdłuż wypalanej linii.

Trawnik był stary, warstwa splątanych korzeni wrosła głęboko, toteż ugięła się niczym gąbka, zanim ostrze szpadla ją przerwało. Wkrótce Michael ociekał potem.

W pewnej chwili ulicą przejechał wolniutko zielony przedpotopowy, ale czysty i lśniący chevrolet. Zatrzymał się trzy domy za świątynią, kierowca wrzucił wsteczny bieg i auto zaczęło się cofać. Wsiadł z niego czarny jak smoła Murzyn. Usiadł na przednim błotniku, podwinął rękawy niebieskiej bluzy. Był wysoki, chudy i prawie łysy. Resztkę włosów, jaka mu jeszcze pozostała, przyprószyła siwizna. Przez jakiś czas przyglądał się rabinowi w milczeniu, wreszcie odchrząknął i rzekł:

— Bieda z tym, że te miejsca, które pan przekopie, trzeba będzie na nowo obsiać, trawa tam wyrośnie jaśniejsza niż gdzie indziej i krzyż będzie dalej widoczny.

Michael przerwał kopanie i oparł się na szpadlu.

— Ma pan rację — przyznał i zmarszczył czoło. Przyjrzał się przekopanej literze T. — A gdyby tak połączyć wierzchołki? Na trawie odznaczałby się wtedy tylko zielony trójkąt.

Mężczyzna kiwnął głową, sięgnął przez otwarte okienko auta po kluczyki, otworzył bagażnik i wyjął z niego graczę.

Następnie podszedł do wypalonego w trawie krzyża i zaczął ją dziobać sierpowatym ostrzem. On i rabin pracowali w milczeniu, póki nie ukończyli trójkąta. Murzyn wyciągnął z tylnej kieszeni spodni wielką chustkę i otarł nią starannie spoconą twarz, kark, błyszczącą od potu czarną tonsurę, okalającą ją resztkę włosów, a na koniec ręce.

— Lester McNeil — przedstawił się. Uścisnęli sobie dłonie.

— Michael Kind.

— Wiem, kim pan jest.

— Dzięki za pomoc. Świetnie panu szło.

308

RABIN

Mężczyzna machnął ręką.

— Nic dziwnego. Jestem ogrodnikiem z zawodu. — Przyjrzał się trójkątowi skopanej ziemi. — Wie pan co? — rzekł. — Wystarczy, że dodamy tu po bokach trzy małe trójkąty i da się to przerobić na tę waszą gwiazdę.

— Rzeczywiście, na gwiazdę Dawida! — ucieszył się z pomysłu Michael. Zabrali się znowu do pracy i wkrótce gwiazda była gotowa.

McNeil odbył jeszcze jedną wyprawę do bagażnika chevroleta i wrócił z kartonowym pudłem pełnym torebek z nasionami.

— Mam tego pod dostatkiem — rzekł. — Gleba nie jest tu co prawda najlepsza i większość nie wszędzie, coś jednak wyrośnie. Co pan wybiera?

Środek gwiazdy wysiali białą werbeną, a sześć wierzchołków błękitnymi smagliczkami.

— Trochę za późno, żeby je wysiewać — zafrasował się McNeil — ale myślę, że się przyjmą, jeśli będzie je pan dobrze podlewał.

— My stąd wyjeżdżamy.

— Coś nam się obilo o uszy — mruknął McNeil. — Ano, może trochę popada. — Odniosł gracę i pudło z nasionami do bagażnika. — Wie pan co? Zajrzę tu od czasu do czasu i dam im się napić za pańskie zdrowie.

— Byłbym panu bardzo zobowiązany! — ucieszył się Michael. Nagle poprawił mu się humor. — Może zapoczątkujemy w ten sposób nowy zwyczaj: na każdym miejscu, gdzie spłonie krzyż, wyrośnie kwietna rabata.

— Ogrodnictwo by na tym skorzystało — zauważył McNeil.

— Ale skoro o napojach mowa, czy nie mógłbym się czegoś napić? Po robocie zawsze zasycha mi w gardle.

— Oczywiście! — zawołał Michael.

Wszedł do kuchni i otworzył lodówkę, ale znalazł tam tylko pół butelki gazowanego soku pomarańczowego, który został po bar micwie sprzed sześciu tygodni i już skwaśniał.

— Obawiam się, że musi nam wystarczyć zwykła woda — rzekł rabin, wylewając zawartość butelki do zlewu.

— Nigdy nie pijam niczego z bąbelkami, nie licząc butelczyny piwa wieczorkiem po fajrancie, żeby spłukać kurz.

309

NOAH GORDON

Michael odkręcił kran i poczekał, aż spłynie ciepła woda i popłynie zimna, po czym wypił jej dwie szklanki, a McNeil aż cztery.

— Momencik. — Rabin podszedł do bimy, odsunął czarną aksamitną zasłonkę za mównicą i wyjął pół butelki porto.

Nalał po trochu do obu szklanek, po czym stuknęli się z McNeilem i uśmiechnęli do siebie.

— Lechaim! — powiedział Michael.

— Cokolwiek to znaczy, podpisuję się pod tym obiema rękami — rzekł McNeil.

Ponownie trącili się szklankami i wychylili po setce ciepłego, nie rozcieńczonego porto.

Kiedy nadeszła pora odjazdu, Leslie zadzwoniła do Sally Levitt. Sally przyjechała, padły sobie w objęcia, popłakały i przyrzekły, że będą do siebie pisywać. Ronnie się nie zjawił, podobnie jak nikt inny. Michael zaczął się zastanawiać, z kim naprawdę chciałby się pożegnać, lecz przyszedł mu na myśl jedynie Dick Kramer, wyjeżdżając z miasta wybrali więc drogę obok jego domu. Był zamknięty, a zasłony w oknach zaciągnięto. Kartka w drzwiach frontowych informowała,

żeby pocztę kierować na adres: Myron Kramer, 29 Laurel Street, Emmetsburg, Georgia.

Prowadziła Leslie. Przejechali obok upstrzonego przez gołębie pomnika generała Thomasa Motta Lainbridge'a, przecięli dzielnicę murzyńską, wyjechali na szosę stanową, minęli namiot Billy'ego J. Raye'a i opuścili granice miasteczka.

Michael oparł głowę na oparciu fotela i zasnął. Obudził się już za granicą stanu Georgia. Przez jakiś czas przyglądał się w milczeniu przesuwającemu się wolno za oknem krajobrazowi Alabamy.

— Źle się zabrałem do tej sprawy — odezwał się w końcu.

— Zapomnij o tym. Skończone i basta — poradziła mu Leslie.

— Nie powinienem był atakować tak frontalnie. Gdybym wykazał więcej umiaru, mógłbym tam zostać i kruszyć tę skałę stopniowo rok po roku.

310

RABIN

— Nie ma sensu gdybać. Skończone i kropka. Jesteś dobrym rabinem, a ja jestem dumna ze swojego męża.

Milczeli przez kilka kilometrów, aż nagle Leslie zaczęła chichotać.

— Cieszę się, żeśmy stamtąd wyjechali — oświadczyła i opowiedziała Michaelowi, jak Dave Schoenfeld dobierał się do niej tamtego wieczora, gdy zdarzyło się oberwanie chmury. Rabi uderzył dłonią w tablicę rozdzielczą.

— Przeklęty mamserl Nie próbowałby czegoś takiego z żoną rabina Żydówką.

— Przecież jestem Żydówką!

— Wiesz, co mam na myśli — odrzekł po krótkim wahaniu.

— Aż za dobrze! — stwierdziła z goryczą.

I sprawa ta zasiadła między nimi jak nieproszony pasażer, toteż przez blisko dwie godziny wymieniali między sobą jedynie krótkie uwagi. Na jakiejś stacji benzynowej pod

Anniston, gdzie się zatrzymali, żeby Leslie mogła skorzystać z łazienki, Michael usiadł za kierownicą, a gdy ponownie wyjechali na szosę, objął żonę ramieniem i przytulił.

Po jakimś czasie oznajmiła, że spodziewa się dziecka, i przez następne trzydzieści kilometrów znowu jechali w milczeniu, zupełnie jednak innym od wcześniejszego. Michael obejmował Leslie ramieniem nie bacząc na to, że dawno mu ścierpło, a ona z miłością zaciskała palce na jego udzie.

Księga trzecia

Wyjście

it WOODBOROUGH, M AS S ACHUSETTS Grudzień 1964 roku

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Sanitariuszka nazywana przez pacjentów panną Beverly, dziarska nieduża dziewczyna, która pracą w szpitalu zarabiała na studia na wydziale kultury fizycznej Uniwersytetu Bostońskiego, wierzyła w dobroczynne działanie gimnastyki. Za zgodą doktora Bernsteina zabrała Leslie i jeszcze jedną pacjentkę, Dianę Miller, na długi spacer po terenie szpitala. Trzymając się za ręce zrobiły nawet małą przebieżkę, toteż gdy zziębnięte i wesołe wróciły na oddział, marzyły tylko o gorącej czekoladzie, którą panna Beverly obiecała im przygotować.

Leslie zdejmowała właśnie płaszcz, kiedy ta kobieta, pani Serapin, rzuciła się z pazurami na panią Birnbaum. Jej ramię podniosło się i opadło dwa razy, w żółtym przyćmionym świetle błysnęło wąskie ostrze, a potem na podłodze zaczęła się rozprzestrzeniać jakaś czerwona plama i rozległ się straszny jęk pani Birnbaum.

Panna Beverly wykręciła pani Serapin rękę na plecy i niczym zapaśnik wagi superciężkiej próbowała wykręcić jej nadgarstek, ale pani Serapin była o głowę wyższa i nie wypuszczała noża, więc panna Beverly zaczęła w końcu

krzyczeć i na jej krzyk zbiegł się personel szpitalny. Z pokoju sióstr wypadła nocna pielęgniarka, pani Rogan, w towarzystwie sanitariuszki, a od strony holu nadbiegła pani Peterson z wytrzeszczonymi oczami i twarzą koloru skwaśniałej śmietany.

Pani Birnbaum płakała i wzywała kogoś o imieniu Morty, pani Serapin krzyczała, któraś z walczących z nią osób wdep-

315

NOAH GORDON

nęła w kałużę krwi i ostemplowała podłogę czerwonymi śladami stóp, co przypominało obraz jakiegoś obłąkanego malarza..

Leslie zrobiło się niedobrze. Odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi, które Peterson zostawiła otwarte. W progu zatrzymała się na chwilę. Tylko Diana Miller spoglądała za nią. Leslie uśmiechnęła się do koleżanki, chcąc dodać jej otuchy, po czym opuściła oddział i zamknęła za sobą drzwi. Przeszła przez hol, minęła puste biurko, za którym powinna siedzieć pani Peterson i czytać gazetę telewizyjną, i weszła do sionki przed głównym wejściem. Stała tam w ciemności, wciągała w płuca wciskające się szparą pod drzwiami zimne rześkie powietrze i czekała, kiedy ktoś ją skrzyczy, bo oddaliła się bez pozwolenia.

Lecz nikt się jakoś nie zjawiał, więc Leslie wyszła na dwór. Postanowiła wybrać się na drugi, tym razem samotny spacer. Ruszyła wijącą się alejką dojazdową, minęła bramę, a potem siedzące na postumentach dwa małe kamienne lwy z żelaznymi pierścieniami w pyskach. Oddychała głęboko, wciągając powietrze przez nos, a wydychając ustami, jak ją nauczyła panna Beverly.

Nie czuła już osłabienia, jedynie zmęczenie po wcześniejszym wysiłku fizycznym i przeżytym wstrząsie, toteż na przystanku autobusowym usiadła na ławeczce pod oświetloną wiatą —

dowodem dbałości o pasażerów przedsiębiorstwa autobusowego.

Wkrótce przed wiatą zatrzymał się samochód, jakaś bardzo uprzejma pani opuściła szybę i zapytała Leslie, czy pozwoli się wybawić od tego czekania na zimnie.

Leslie wsiadła do samochodu. Usłyszała od uprzejmej pani, że ona i jej mąż mieszkają w Palmer, że komunikacja autobusowa w tej leśnej głuszy nie należy do najsprawniejszych, a oni z przyjemnością podrzucą ją do miasteczka.

Była za kwadrans jedenasta w nocy, kiedy Leslie wysiadła z samochodu. Główna ulica w Woodborough nie przypominała o tej porze szerokiej, rozjarzonej światłami arterii. Otwarty był bar, kawiarenka, paliło się światło pod witryną YWCA,*
* Young Women's Christian Association, Stowarzyszenie Młodych Chrześcijanek.

316

RABIN

oświetlony był dworzec autobusowy, ale wystawy sklepów wzdłuż ulicy straszyły ciemnością i pustką.

Leslie weszła do kawiarni i zamówiła kawę. Szafa grająca ryczała na cały regulator. Przy stoliku za plecami Leslie siedziało jakichś trzech chłopców i w takt muzyki uderzało dłońmi o stół.

— Zadzwoń do niej, kutafonie! — odezwał się jeden z nich.

— Dlaczego ja?

— Bo pewnie w tej chwili właśnie na ciebie czeka.

No dalej, kutafonie, zachęciła chłopaka w duchu Leslie, zadzwoń do niej, zabaw się dzisiejszej nocy z jakąś miłą dziewczunią. Chłopcy byli niewiele starsi od Maxa.

Kawę podano jej w kubku identycznym jak te w szpitalu, nawet takiego samego koloru. Leslie przyszło do głowy, żeby

tam wrócić taksówką, ale myśl o tym, że się samowolnie oddaliła, przejęła ją strachem. Zastanawiała się, co by doktor Bernstein na to powiedział.

— No zadzwoń do niej, kutafonie! Będziesz mięczak, jeśli nie zadzwonisz.

— Nie jestem mięczakiem!

— No to dzwoń.

— A masz dziesiątkę?

Najwidoczniej dostał monetę, bo Leslie usłyszała, jak odchodzi od stolika. W kawiarni znajdował się tylko jeden aparat telefoniczny i chłopak wciąż go zajmował, kiedy skończyła kawę. Na szczęście na chodniku przed YWCA stała budka telefoniczna i Leslie, upewniwszy się, że ma w portmonetce dziesięciocentówkę, ruszyła w jej stronę z zamiarem zatelefonowania do Michaela.

Ale zamiast wejść do budki, minęła ją i weszła w drzwi YWCA.

W recepcji siedziała dziewczyna o włosach przypominających perukę a la beatles i drapała się w głowę gumką osadzoną na końcu żółtego ołówka. Czytała książkę okazałych rozmiarów, która nie mogła być niczym innym jak podręcznikiem akademickim.

— Dobry wieczór — powiedziała Leslie.

— Cześć.

317

NOAH GORDON

— Chciałabym wynająć pokój. Na jedną noc. Dziewczyna podsunęła jej książkę meldunkową i Leslie się do niej wpisała.

— Płaci pani cztery dolary.

Leslie otworzyła portmonetkę. Pieniądze na drobne wydatki wpłacało się w szpitalu wprost do kantyny; pacjenci płacili bonami. Leslie brała od czasu do czasu od Michaela po kilka

dolarów gotówką na automat kawowy i gazety. W portmonetce znalazła trzy dolary i sześćdziesiąt dwa centy.

— Czy mogłabym zapłacić pani jutro rano czekiem?

— Oczywiście. Może mi go pani zresztą dać już teraz.

— Niestety nie mogę. Nie mam przy sobie książeczki czekowej.

— Och! — Dziewczyna odwróciła wzrok. — Szkoda... Sama nie wiem. Nigdy dotąd nie miałam takiej sytuacji.

— Jestem członkinią Y.* W ubiegłym roku chodziłam na gimnastykę odchudzającą do pani Bosworth — powiedziała z uśmiechem Leslie. — Jestem osobą godną zaufania, proszę mi wierzyć. — Pogrzebała w torebce i wyjęła legitymację członkowską stowarzyszenia.

— O, jestem tego pewna! — zapewniła dziewczyna i obejrzała legitymację. — Ale widzi pani, gdyby pani zapomniała albo co, wyleją mnie z roboty lub będę musiała zapłacić za panią z własnej kieszeni, na co doprawdy mnie nie stać.

Sięgnęła jednak za siebie i podała Leslie klucz z numerkiem.

— Dziękuję — powiedziała Leslie.

Pokoik był ciasny, za to bardzo czysty. Leslie powiesiła ubranie do szafy i położyła się w halce na łóżku. Czuła ogromną wdzięczność dla dziewczyny w recepcji. Rano muszę przede wszystkim zatelefonować do Michaela, pomyślała zasypiając.

Ale nazajutrz okazało się, że w pokoju panuje tak cudowna cisza, nie zmacona hałasami, jakie w szpitalu budziły ją co rano o świcie, że spała prawie do dziewiątej.

* Skrót od YWCA (Stowarzyszenie Młodych Chrześcijanek) lub YWHA (Young Women's Hebrew Association, Stowarzyszenie Młodych Żydówek).

Leżała bez ruchu w wygrzanym łóżku i myślała o tym, jak to przyjemnie nie musieć iść na elektrowstrząsy, które czekały ją tego ranka, gdyby została w szpitalu.

Za kontuarem w recepcji nie urzędowała już dziewczyna z nocnej zmiany, ale jakaś kobieta w średnim wieku, o pustych oczach i siwych włosach z błękitnym odcieniem; Leslie oddała jej klucz.

Przed budynkiem YWCA złapała taksówkę. Zamiast poprosić kierowcę, żeby odwiózł ją do szpitala, podała mu swój adres domowy.

Jestem uciekinierką, pomyślała wsiadając do taksówki. Ta myśl powinna ją przerazić, wydała jej się jednak tak absurdalna, że tylko ją rozśmieszyła.

Dom zastała cichy i opuszczony. Dodatkowy klucz znalazła tam, gdzie go zwykle zostawiali: na framudze nad drzwiami od ogrodu. Weszła do środka, umyła zęby, przygotowała sobie pianistą kąpiel i długo się w niej pławiła, a potem przebrała się w czyste rzeczy, zrobiła sobie solidne śniadanie i pochłonęła je z wilczym apetytem.

Zdawała sobie sprawę, że powinna wrócić do szpitala, że jej kuracja dobiegała już końca, ale myśl o powrocie na oddział napęłniała ją odrazą.

Pacjentom z chorobami przewlekłymi powinien przysługiwać tygodniowy urlop, pomyślała.

Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej ta myśl trafiała jej do przekonania. W trzeciej szufladzie komódki leżała pod halkami książeczka oszczędnościowa, na której trzymali pieniądze po ciotce Sally. Leslie spakowała małą torbę, napisała na skrawku papieru „Kocham Cię” i położyła kartkę w szafce Michaela na jego białych koszulach.

Wezwała taksówkę i kazała się zawieźć do miasta. Po zapłaceniu za kurs zostało jej wszystkiego jedenaście centów. Z banku wyjęła prawie sześćset dolarów.

W siedzibie YWCA ustaliła, że nocna recepcjonistka nazywa się Martha Berg, i zostawiła dla niej kopertę z banknotem dziesięciodolarowym.

319

NOAH GORDON

Przyszło jej do głowy, że wiadomość, jaką przekazała Michaelowi, była dość niejasna, wstąpiła więc na pocztę i wysłała do niego depezę.

Pierwszy autobus odjeżdżający z dworca autobusowego jechał do Bostonu; Leslie wsiadła i kupiła bilet. Właściwie nie miała ochoty udawać się do Bostonu, ale po głębszym namyśle stwierdziła, że w gruncie rzeczy nie wie, dokąd chciałaby pojechać. Autobus był stary, pomalowany na czerwono.

Usiadła pod oknem z lewej strony dwa rzędy za kierowcą i zaczęła się zastanawiać, czy wybrać się raczej do cukierni Grossingera, czy polecieć samolotem do Miami.

Lecz gdy autobus wjechał do Wellesley, wstała i pociągnęła za linkę. Kierowca zrobił obrażoną minę odbierając od niej odcinek biletu.

— Opłacony do Bostonu — oświadczył. — Jeżeli żąda pani zwrotu pieniędzy, będzie pani musiała napisać do zarządu.

— Nie żądam.

Wysiadła i ruszyła wolno główną ulicą przyglądając się wystawom sklepów. Zanim dotarła do dworca kolejowego, rozboleła ją ramię od paska torby, weszła więc do budynku i zostawiła torbę w skrytce za dwadzieścia pięć centów, po czym uwolniona od bagażu poszła w stronę college'u.

Niejedno się tam zmieniło, ale wiele też pozostało po dawnemu. Leslie spacerowała po kampusie, aż zaszła pod akademik, w którym niegdyś mieszkała; czuła się dość głupio wchodząc do środka. W bursie prawie nikogo nie było; o tej porze większość dziewcząt miała zajęcia. Na pierwszym piętrze pani Kind podeszła bez wahania do drzwi po prawej

stronie korytarza, jak gdyby wyszła stamtąd ledwie przed półgodziną, by wpaść do biblioteki.

Nie spodziewała się, że ktoś odpowie na pukanie, więc gdy jej otworzono, w pierwszej chwili zaniemówiła.

— Dzień dobry — odezwała się wreszcie.

— Słucham panią?

— Przepraszam, że przeszkadzam. Mieszkałam kiedyś w tym pokoju i pomyślałam sobie, że byłoby zabawne zajrzeć do niego znowu.

320

RABIN

Obecna mieszkanka pokoju była Chinką. Miała na sobie krótką koszulkę nocną, spod której wyglądały grube muskularne nogi, podobne do kolumn z kości słoniowej.

— Proszę, niech pani wejdzie — zaprosiła, a kiedy Leslie weszła do środka, wyjęła z szafy i narzuciła na ramiona szlafrok.

Pokój był, co oczywiste, umeblowany inaczej niż za czasów Leslie i utrzymany w innej tonacji barwnej. W gruncie rzeczy nie przypominał jej dawnego pokoju. Leslie podeszła do okna i wyjrzała — i dopiero ten widok naprawdę cofnął ją w przeszłość. Jezioro Waban zupełnie się nie zmieniło. Było zamrożone i przysypane śniegiem, który odgarnięto przy brzegu tworząc lodowisko; po lodzie ślizgało się na łyżwach kilkanaście dziewcząt.

— Jak długo tu pani mieszkała? — zapytała przez uprzejmość Chinka.

— Dwa lata — odpowiedziała Leslie i uśmiechnęła się. — Czy umywalki nadal się tak zapychają? Dziewczyna wyglądała na zaskoczoną.

— Nie, hydraulika działa bez zarzutu. Leslie poczuła się nagle jak ostatnia idiotka. Podała studentce rękę i ruszyła w stronę drzwi.

— Może pani usiądzie i napije się kawy? — zaproponowała gospodyni, Leslie domyśliła się jednak, że z ulgą pożegna nieproszonego gościa, podziękowała więc i wyszła. Absolwentka sprzed lat, pomyślała ze złością. Ale zrobiłam z siebie idiotkę!

Na terenie kampusu wzniesiono nowy budynek — Centrum Sztuki imienia Sary Jewett. Leslie weszła do środka i obejrzała całkiem przyzwoitą galerię. Mieli tam nawet małą rzeźbę Rodina i nieduże płótno Renoira. Leslie spodobała się szczególnie wyrzeźbiona z jakiegoś jasnego kamienia głowa Baudelaire'a o wielkich nie widzących oczach. Długo stała przed obrazem „Święty Hieronim” Hendrika Van Somera, przedstawiającym starca o obwisłych pomarszczonych piersiach, łysej czaszce, krogulczym nosie, długiej brodzie i niezwykle surowym spojrzeniu — chyba najsurowszym, jakie w życiu widziała. Przypomniawszy jej się zaraz dziadek Michaela, którego znała z opisów męża.

21 Rabin

321

NOAH GORDON

Wyszła z galerii po drugiej stronie budynku i zorientowała się natychmiast, gdzie się znajduje.

Miała przed sobą starą Galen Stone Tower, dziedziniec, drzewa i kamienne ławki, na których piętrzyły się pryzmy śniegu. Tylko jedna była oczyszczona i Leslie usiadła na niej twarzą do Severance Hill. Po stoku zjeżdżał właśnie nieporadnie — zaraz zresztą upadł — samotny narciarz. Pani Kind przypomniała sobie, jak wyglądało to wzgórze w maju, w święto sadzenia drzewek; Debbie Marcus, owinięta w prześcieradło, grała wtedy westalkę.

Z budynku administracji wyszedł jakiś mężczyzna w czarnym palcie z aksamitnym kołnierzem i kobieta w szarym płaszczu z

kołnierzem z lisa. Leslie poznała po twarzy mężczyzny, choć pierwszy raz go widziała, że ma problem alkoholowy.

— To zdaje się jedyna odśnieżona ławka — szepnęła do męża kobieta.

— Zmieścimy się z powodzeniem — powiedziała Leslie i odsunęła się robiąc im miejsce.

Mężczyzna usiadł na drugim końcu ławki, kobieta pośrodku.

— Przyjechaliśmy w odwiedziny do córki — poinformowała zerkając na Leslie. — Zrobimy jej niespodziankę. Pani również odwiedza którąś z dziewcząt?

— Nie. Zwiedzałam muzeum.

— A gdzie się ono mieści? — zapytał mężczyzna. Leslie wskazała gmach muzeum.

— Czy wystawiają tam te nowoczesne knoty? — zapytał.

— Odpadki ze śmietnika i umaczane w farbie szmaty oprawione w ramy?

Zanim zdążyła mu odpowiedzieć, ścieżką nadbiegła zaróżowiona panienska w dzinsach i kurtce.

— Jak się macie?! — zawołała i pocałowała matkę w policzek.

Mężczyzna i kobieta wstali.

— Chcieliśmy ci zrobić niespodziankę — powiedziała kobieta.

— I zrobiliście! — Cała trójka zaczęła oddalać się alejką.

— Szkoda tylko, że mam do jutra gościa, zatrzymał się w hotelu. Jack Yoorsanger, pisałam wam o nim?

322

RABIN Vi,

— Pierwsze słyszę o jakimś Jacku Yoorsangerze! —

oświadczył mężczyzna. — A może byśmy tak wszyscy złożyli mu wizytę, co?

— Ależ oczywiście! — ucieszyła się panienka i zaczęła coś szybko opowiadać, a rodzice słuchali nachylając w jej stronę głowy.

Leslie podniosła wzrok na wieżę i przypomniała sobie, jakie to kuranty wydzwaniał z niej zegar przed porannym nabożeństwem w kaplicy i przed kolacją. Kończyły się zawsze tą samą melodią; jak to się ona nazywała? Pani Kind nie mogła sobie przypomnieć. Przez chwilę czekała w nadziei, że zegar się zaraz rozdzwoni, ale podniosła się szybko, przypomniawszy sobie, co powiedział chłopiec, z którym się pierwszy raz całowała, chudy jak tyczka kujon, prymus w niedzielnej szkółce jej ojca. Poskarżyła mu się, że niezbyt jej się to całowanie podobało, na co odburknął gniewnie: „A czego się spodziewała, kurantów weselnych?”

Leslie wróciła na dworzec, wyjęła ze schowka torbę i kupiła bilet. W dwadzieścia minut później wjechał na peron pociąg sieci kolejowej New England States wyglądający niemal tak samo jak pociągi, którymi wracała na święta do domu, tyle że był nieco brudniejszy, jak zresztą wszystkie pociągi w dzisiejszych czasach. Ledwo konduktor odebrał od niej bilet, pani Kind zasnęła. Kilka razy budziła się z drzemki, ostatni raz na osiem minut przed Hartford, kiedy nagle przypomniała sobie z triumfem tytuł tamtej melodii: „Kuranty królowej”. W odpowiedzi na jej dzwonek drzwi otworzył ojciec i przez chwilę przyglądali się sobie ze zdziwieniem. On był zaskoczony jej wizytą, ona zaszokowana jego wyglądem. Staruszek miał na sobie niebieski kitel i czarne wygniecione spodnie, całe w zaciekach i grudkach jakiejś szarobiałej substancji podobnej do wosku. Siwa lwia czupryna była potargana.

— Hm! — odchrząknął. — No cóż, wejdz. Przyjechałaś sama?

— Tak.

Weszła do saloniku.

— Masz nowe meble — stwierdziła.

323

NOAH GORDON

— Sam je kupiłem.

Odebrał od córki palto i powiesił w szafie. Przez długą przykrą chwilę stali naprzeciwko siebie i badali się wzrokiem.

— Czym ty się zajmujesz, ojcze? — zapytała wreszcie Leslie, przyjrzwawszy się ponownie jego ubraniu.

— O mój Boże! — wykrzyknął z przestachem, odwrócił się na pięcie i wbiegł do kuchni.

Pani Kind usłyszała, jak otwiera drzwi do piwnicy i zbiega po schodach, pospieszyła więc za nim.

Piwnica, ciepła i sucha, była rzęście oświetlona, paliły się w niej bowiem wszystkie światła. W olbrzymim żeliwnym saganie żarzyły się węgle, a na nich stał mniejszy kociołek, napelniony jakąś wrzącą i bulgoczącą gęstą cieczą.

— Nie mogę spuszczać tej substancji z oka — wyjaśnił staruszek. — Pozostawienie jej bez nadzoru mogłoby grozić pożarem.

Z papierowej torby wyjął garść ogarków świec i rzucił do kociołka. Przyglądał się bacznie, jak się topią, po czym długim widelcem wyłowił uwolnione knoty.

Skleroza? — zaniepokoiła się Leslie przyglądając się uważnie ojcu. Z pewnością jakaś zmiana osobowości, oceniła.

— Co z tego zrobisz? — zapytała.

— Rozmaitości. Wytapiam nowe świece, odlewam różne przedmioty w foremkach. Chcesz, żebym zrobił odlew twoich dłoni?

— Chętnie!

Nie kryjąc zadowolenia staruszek włożył azbestowe rękawice i zdjął z ognia kociołek z roztopionym woskiem. Następnie wyjął z szafki słoik wazeliny i polecił córce, żeby

nasmarowała tłustą mazią dłonie i przedramiona. Przyglądał się krytycznie, jak wypełnia jego instrukcję, zerkając przy tym niespokojnie do kociołka. W końcu skinął głową.

— Zanurz tu ręce! Jeśli za bardzo wystygnie, cała robota na nic.

Leslie spojrzała podejrzliwie na gorący воск.

— Nie poparzę się? Pokręcił przecząco głową.

— Właśnie dlatego używa się wazeliny. Nie pozwolę ci trzymać ich tak długo, żebyś się zdążyła oparzyć.

324

RABIN

Zrobiła wdech i zanurzyła przedramiona w roztopionym wosku. Po krótkiej chwili ojciec dał znak, by je wyjęła i Leslie podniosła do oczu dłonie w grubych woskowych rękawiczkach. Wosk był nadal gorący, czuła jednak, jak stygnie i krzepnie. Wyczuwała również ciepło i oślizłość rozpuszczającej się wazeliny, co tworzyło w sumie najdziwniejszą kombinację sprzecznych doznań. Zastanawiała się, jak ojciec zdoła obłupać tę woskową skórę, żeby jej nie rozerwać.

— To takie do ciebie niepodobne! — roześmiała się.

— Prawda? — Odpowiedział jej uśmiechem. — Kiedy człowiek się starzeje, przychodzą mu do głowy najdziwniejsze pomysły.

Nalał do wiadra gorącej wody, dolał zimnej i sprawdził palcami temperaturę mieszanki.

— Powinniśmy bawić się tak razem, gdy miałam osiem lat

— powiedziała Leslie szukając jego spojrzenia. —

Uwielbiałabym to!

— No tak... — Ujął jej ręce i włożył je do wiadra z wodą.

— Bardzo ważna jest temperatura — oznajmił z troską. —

Jeśli woda jest zbyt zimna, воск pęka. Jeśli zbyt gorąca, topi się. Temperatura wody była w sam raz. Wosk stał się

dostatecznie plastyczny, by staruszek mógł go rozciągnąć na nadgarstkach córki, umożliwiając jej wysunięcie dłoni. Zbyt gwałtownie wyrwała lewą rękę i woskowa rękawica pękła.

— Ostrożnie! — syknął z irytacją ojciec.

Prawą rękę wysunęła już powoli i odlew udał się doskonale.

— Chcesz, żebyśmy powtórzyli lewą? Leslie pokręciła przecząco głową.

— Może jutro — powiedziała, na co przystał bez słowa.

Udany odlew prawej dłoni pozostawili w wiadrze z zimną wodą, żeby stwardniał.

— Długo zostaniesz? — zapytał, kiedy wchodzili po schodach.

— Jeszcze nie wiem. — Uświadomiła sobie, że nie jadła dotąd kolacji. — Czy mogłabym dostać filiżankę kawy, ojcze?

— Oczywiście. Ale będziemy musieli zaparzyć ją sobie sami.

Gosposię mam na przychodne. Mieszka przy naszej ulicy.

Przygotowuje mi tylko kolację i sprzęta. Śniadanie robię sobie sam, a obiady jadam na mieście. — Usiadł na krześle

325

NOAH GORDON

w kuchni i przyglądał się, jak Leslie zaparza kawę i przygotowuje tosty. — Pokłóciłaś się z mężem?

— Ależ skąd!

— Widzę, że masz jakieś zmartwienie. Bardzo ją wzruszyło, że zna ją na tyle, by to zauważyć. Ogromnie ją zaskoczył. Już miała mu to wyznać, kiedy dodał:

— Codziennie spotykam ludzi, których gnębią jakieś zmartwienia.

Ucieszyła się w duchu, że nie zdążyła uczynić mu tego wyznania.

Staruszek wsypał łyżeczkę sacharyny do filiżanki kawy i kosztując pociągnął drobny łyżeczek.

— Czy chciałabyś porozmawiać ze mną o tym, co cię gnębi?

— Raczej nie.

— Jak chcesz.

Poczuła przypływ gniewu.

— Mógłbyś choć zapytać, jak się czuje mój mąż i moje dzieci, twoje wnuki.

— Jak się miewa twoja rodzina?

— Dobrze.

Przez kilka minut nic do siebie nie mówili; jedli tosty i pili kawę, więc mieli zajęcie dla rąk i ust. Leslie podjęła jeszcze jedną próbę.

— Będę musiała pokazać Maxowi i Racheli, jak robić rękawiczki z wosku — powiedziała. — Albo jeszcze lepiej przywiozę dzieci tutaj i sam je tego nauczysz!

— Dobrze — zgodził się bez entuzjazmu. — Jak długo ich nie widziałem? Ze dwa lata?

— Półtora. Przyjechali tu poprzedniego roku latem. Muszę ci powiedzieć, ojcze, że ta wizyta nie była dla nich zbyt miłym przeżyciem. Są bardzo przywiązani do swojego drugiego dziadka. Przywiązaliby się i do ciebie, gdybyś dał im szansę. Słuchanie was obu było dla nich wstrząsem.

— Nie rozumiem, jak mogłaś przypuszczać, że będę miał ochotę zabawiać tego człowieka pod moim dachem. Nie mamy ze sobą nic, ale to nic wspólnego!

Milczała, przypominając sobie tamto straszne popołudnie rozdartych i krwawiących serc.

326

— Czy mogę przenocować w moim dawnym pokoju?

— zapytała.

— Niestety! To istna rupieciarnia. Zanocujesz w pokoju gościnnym. Dbamy o to, żeby były tam zawsze czyste prześcieradła.

— W pokoju gościnnym?

— Drugi na lewo od schodów. Pokój ciotki Sally. , — W bieliźniarce znajdziesz czyste ręczniki.

— Dziękuję.

— Czy... hm... nie odczuwasz potrzeby duchowego wsparcia? Czyste ręczniki i duchowe wsparcie wedle życzenia, pomyślała.

— Nie, dziękuję, ojcze.

— Nigdy nie jest za późno. Jezus jest miłosierny. Nieważne, jak daleko i na jak długo się od Niego odeszło.

Leslie nic nie odpowiedziała, zrobiła tylko błagalny gest dłonią, tak nieznaczny, że staruszek pewnie go nie zauważył.

— Nawet teraz, po tylu latach. Nieważne, jak długo byłaś jego żoną. Nie wierzę, żeby ktoś, kto wyrósł w tym domu, mógł się wyprzeć Chrystusa.

— Dobranoc, ojcze — powiedziała cicho.

W pokoju na górze zapaliła światło, zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie plecami. Stała tak długo, przyglądając się pomieszczeniu, w którym przed laty spędziła tyle nocy. Kładła się do łóżka ciotki, wtulała w nią i zasypiała. Dokładnie pamiętała, co wtedy czuła; pamiętała nawet delikatny zapach, ową zmieszaną woń zaszuszonego ciała starej panny i wędnących róż, prawdopodobnie woń perfumowanego mydła, jakiego ciotka Sally używała w tajemnicy.

Pani Kind przebrała się w koszulę nocną. Zastanawiała się, czy wciąż trzeba zapalać piecyk gazowy, gdy się potrzebuje ciepłej wody do kąpieli, była jednak zbyt zmęczona, by to sprawdzić. Usłyszała kroki ojca na schodach, a potem ostrożne pukanie do drzwi.

— Zawsze uciekasz, kiedy usiłuję z tobą porozmawiać

— powiedział.

— Przepraszam, ojcze.

NOAH GORDON

— Czego się lękasz?

— Jestem zmęczona — odparła przez zamknięte drzwi.

— Czy możesz mi choć powiedzieć, że stałaś się jedną z nich?
Milczała.

— Czy jesteś Żydówką, Leslie? Nic nie odpowiedziała.

— Czy uważasz się za Żydówkę, córko? Odpowiedz mi!

Odejdź, prosiła w duchu, siedząc na łóżku, w którym umarła jej ciotka. Odejdź!

Po chwili usłyszała, jak ojciec wchodzi do swojej sypialni w głębi korytarza. Zgasiła światło, zamiast jednak położyć się do łóżka, podeszła do okna, usiadła na podłodze, oparła się ramionami o parapet i — jak przed laty — przytuliła twarz do zimnej szyby, by posepnym wzrokiem przyglądać się ulicy, która stanowiła kiedyś część jej więzienia.

Nazajutrz rano przy śniadaniu zachowywali się tak, jakby poprzedniego wieczoru nic między nimi nie zaszło. Leslie usmażyła ojcu jajka na bekonie, które kapłan pochłonął z apetytem. Kiedy podała mu kawę, odchrząknął i powiedział:
— Przykro mi, ale mam dziś rano kilka umówionych spotkań w kościele.

— Więc pożegnajmy się lepiej już teraz, ojcze. Postanowiłam wyjechać wcześniejszym pociągiem.

— Ach tak? No dobrze.

Przed wyjściem z domu wstąpił jeszcze do pokoju córki i wręczył jej dwie długie żółte świece.

— Mały prezent — powiedział.

Po jego wyjściu zadzwoniła po taksówkę i kazała się zawieźć na stację. W dworcowym kiosku kupiła wybór poezji Roberta Prosta i przez dwadzieścia minut czytała w poczekalni wiersze. Pięć minut przed odjazdem pociągu podniosła z podłogi torbę, postawiła ją na ławce, otworzyła i wyjęła świece, żeby zrobić miejsce dla książki. Jedna ze świec

złamała jej się w rękę; we wnętrzu żółtej substancji ujawniła się skaza: grudka białego nie roztopionego wosku. Leslie z odrazą wyłuskała

328

RABIN

z torby woskowe okruchy i wrzuciła je wraz ze złamaną świecą do kosza na śmieci.

W pociągu zaczęła się zastanawiać, na co jej jedna świeca, i gdy przejeżdżali przez Stamford, wyjęła ją z torby i wsunęła w szczelinę za oparcie ławki przy oknie. Od razu poczuła się lepiej.

Gdy dojeżdżali do Nowego Jorku, przyglądała się przesuwającym się za oknem widokom niczym długiemu telewizyjnemu reportażowi, bijącemu na alarm nad stanem metropolii. Dzień był ciepły jak na tę porę roku. Piętrzące się wzdłuż torów szare pryzmy śniegu parowały, przypominając Leslie poranki w San Francisco — tam wyjrzawszy przez okno człowiek przekonywał się naocznie, że ziemia była ongiś pełnym pustkowiem, ciemność zalegała głębie wód, a tchnienie Boże unosiło się nad wodami pod postacią pięknej perłoworóżowej mgły.

SAN FRANCISCO, KALIFORNIA Styczeń 1948 roku

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Dom — wąski, piętrowy, pokryty szarym gontem i ogrodzony białym parkanem — przywierał narożami do zbocza stromego wzgórza, wznoszącego się nad Zatoką San Francisco.

Mężczyzna — w średnim wieku, przysadzisty — trzymał jedną nogę na stopniu czarnej zakurzonej ciężarówki wyładowanej zwojami sznurów, drabinami i oblepionymi farbą wiadrami. Miał na sobie czysty, choć poplamiony farbą biały kombinezon i czapkę z nadrukiem „Dutch boy” na daszku; biła od niego nieco prostacka pewność siebie fachowca.

— Mieliście państwo fart, że złapaliście mnie w domu — stwierdził głębokim basem, z satysfakcją, lecz bez uśmiechu.

— Właśnie wyjeżdżałem do roboty.

— Czy mógłby nas pan poinformować, jak mamy dojechać do naszego domu, panie Golden? — zapytał Michael.

— Sami nigdy tam nie traficie. To szmat drogi. Pojadę przodem, a wy jedźcie za mną.

— Nie chcielibyśmy zabierać panu czasu — rzekł Michael.

— Nie skąpiłem go dotąd dla świątyni, nie poskapię i wam. Gdyby nie ja, palcem by tam nie kiwnięto. Ja nie jestem grubą szychą, jak ci macherzy co to by tylko gadali, gadali i gadali, ja jestem prosty robociarz. — Wsiadł do ciężarówki. Musiał mocno nadepnąć pedał gazu, bo silnik zapalił z rykiem. — Trzymajcie się mnie! — zawołał.

Ruszyli, radzi, że mają przewodnika, Michael nie zauważał bowiem świateł ulicznych, umieszczonych w miejscach, w ja-
330

RABIN

kich przybysz ze wschodniego wybrzeża nigdy by ich nie szukał.

Jechali i jechali.

— Gdzie to jest, w Oregonie? — zapytała szeptem Leslie, jakby pan Golden siedział na tylnym siedzeniu, a nie w jadącej przodem ciężarówce.

Skęcili w końcu w uliczkę małych schludnych jednopiętrowych domków, przed którymi zieleniły się strzyżone trawniki.

— Michael, zobacz tylko: wszystkie są takie same! — zawołała Leslie.

Rzeczywiście, mieli przed sobą szachownicę uliczek, przy których stały identyczne domy ustawione w identyczny sposób na identycznych działkach.

— Różnią się kolorami — zauważy! rabin.

Dom, przed którym zatrzymała się ciężarówka pana Gol-dena, pomalowano na zielono. Sąsiadował z prawej strony z domkiem białym, a z lewej z niebieskim.

W środku mieściły się trzy sypialnie, sporej wielkości salonik, wnąka jadalna, kuchnia'oraz łazienka. Pokoje były umeblowane jedynie połowicznie.

— Bardzo tu przyjemnie — stwierdziła Leslie. — Gdyby tylko nie te setki identycznych kopii dookoła!...

— Wielkie założenie urbanistyczne — wyjaśnił Phil Golden.

— Produkcja na masową skalę. Obniżenie kosztów jednostkowych. — Podszedł do ściany i pogłaskał ją. — Sam malowałem te pokoje. Dobra robota. Nie chwaląc się, ładniejszych ścian nie znajdą państwo nigdzie w okolicy. — Przyjrzał się uważnie minie pani Kind. — Jeśli się państwo nie zdecydujecie na to lokum, wynajmiemy je komu innemu. Tyle że to się państwu nie opłaci. Świątynia odkupiła ten dom od naszego poprzedniego rabina. Nazywał się Kapłan, przeniósł się do świątyni Bnej Israel w Chicago. Nie musimy płacić za ten dom podatków. Niedochodowa instytucja religijna. Więc niedrogo by to państwa wyniosło.

Zniknął za drzwiami.

— A może udałoby nam się znaleźć jakiś wielki stary dom z ozdóbkami albo wynając mieszkanie na którymś z tych wzgórz? — powiedziała szeptem Leslie.

331

NOAH GORDON

— Słyszałem, że w dzisiejszych czasach bardzo trudno w San Francisco o przyzwoite lokum — rzekł Michael. — Są ponadto szalenie drogie. Nie mówiąc o tym, że oszczędzilibyśmy gminie kłopotów biorąc to, co nam oferują. — Tylko te wszystkie kopie dookoła! Michael doskonale ją rozumiał.

— Ale musisz przyznać, że poza tym to bardzo miły domek. Jeśli się okaże, że nie jesteśmy w stanie mieszkać w „wielkim założeniu urbanistycznym”, poszukamy czegoś w wolnej chwili i wyniesiemy się stąd.

— Zgoda — powiedziała Leslie i pocałowała męża, akurat kiedy Phil Golden wrócił do pokoju. — Zostajemy — poinformowała go.

Kiwnął głową.

— Chciałaby pani obejrzeć świątynię?

Udali się na następną przejażdżkę, która zakończyła się przed budynkiem z żółtej cegły. Michael widział go tylko wieczorem w dniu swojego gościnnego występu. W świetle dziennym dom wydawał się starszy i bardziej zniszczony.

— Kiedyś mieścił się tutaj kościół katolicki. Pod wezwaniem Jerry'ego Myera. Żydowskiego świętego — objaśnił im Phil. Wnętrze było przestronne, lecz mroczne i Michael odniósł wrażenie, że zalatuje stęchlizną i konfesjonalem. Zdążył już zapomnieć o brzydocie tej świątyni. Próbował stłumić w sobie narastające uczucie zawodu. Przecież świątynia to ludzie, nie gmach. Nie mógł się jednak powstrzymać, by nie zadać sobie pytania czy doczeka się kiedyś świątyni pełnej powietrza, przejaśnionej światłem, pięknej i budzącej zachwyty.

Popołudnie spędzili na zakupach. Za kilka zaledwie sztuk mebli zapłacili tyle, że zatrwająco uszczuplili stan swojego bankowego konta.

— Pozwól mi naruszyć te tysiąc dolarów po ciotce Sally — poprosiła męża Leslie.

Michael przypomniał sobie wyraz twarzy jej ojca i sprzeciwił się stanowczo.

Leslie zeszywniała na krześle.

332

RABIN

— Dlaczego nie? — zapytała.

— Czy uważasz, że powód jest aż tak ważny?

— Tak! Tak uważam!

— Lepiej zaoszczędź te pieniądze, żebyś mogła któregoś dnia kupić za nie coś, czego nasze dzieci będą naprawdę potrzebowały — rzekł, a ona uznała jego argumentację za przekonującą.

Dom był nieskazitelnie czysty, a Kindowie przyjechali tym razem zaopatrzeni w świeże prześcieradła i ręczniki, mimo to kiedy nadeszła noc, leżeli w ciemności w obcej sypialni i nie mogli zasnąć. Leslie przewracała się na łóżku.

— Co ci jest? — zapytał Michael.

— Niedobrze mi się robi na myśl o spotkaniu z tymi babskami.

— O czym ty mówisz? — zaciekawił się.

— Już ja wiem o czym! Nie zapominaj, że już raz przez to przeszłam. Te... babsztyłe przyłożą do świątyni nie po to, żeby się modlić, nawet nie po to by posłuchać nowego rabiego, tylko by obejrzeć sobie jego żonę, gojkę!

— O dobry Boże! — westchnął.

— Jest tak, jak mówię. Oglądają mnie jak jałówkę na targu.

„Od dawna jest pani mężatką?” „Macie państwo dzieci?”

Wręcz widzę, jak ich mózgi zaczynają pracować niczym małe komputerki, rachując, czy ich rabin musiał poślubić tę siksę.

— Nie wiedziałem, że to jest dla ciebie aż tak przykre.

— Więc już teraz wiesz. Leżeli obok siebie i milczeli.

Po chwili Leslie odwróciła się do męża i zaczęła okrywać jego twarz pocałunkami.

— Ach, przepraszam cię, kochany, przepraszam! — szeptała.

— Pojęcia nie mam, co mnie opętało!

Wyciągnął ramiona chcąc ją objąć, lecz ona odwróciła się nagle, wyskoczyła z łóżka i pobiegła do łazienki. Nasłuchiwał chwilę, po czym zapukał w drzwi.

— Dobrze się czujesz?

— Błagani cię, odejdz — odpowiedziała zduszonym głosem.

333

NOAH GORDON

Wrócił do sypialni i nakrył głowę poduszką, żeby nie słyszeć odgłosów torsji szarpiących jego żonę. Zastanawiał się, od ilu już nocy Leslie się tak męczy, kiedy on chrapie sobie w najlepsze?

Tylko tego nam było trzeba! — zmartwił się. Poranne mdłości. Ech, Boże!

Jej piękny brzuch wydmie się jak balon. Leslie zbyt surowo ocenia te kobiety, pomyślał. Brzemien-ność nastroi je do niej przychylnie. Podczas piątkowych nabożeństw wieczornych będą przenosiły wzrok z jej brzucha na mnie i uśmiechały się z czułością, ale ich oczy będą mówiły: „A łajdaki! Wszystkim nam to robicie!”

Tylko patrzeć, jak jej się brzuch wypuczy. Uwielbiam ją! Ciekaw jestem, czy będziemy musieli przestać się kochać? Kiedy wróciła do łóżka — osłabiona, spocona, z ustami pachnącymi tabletkami listeryny — objął ją i opuszkami palców dotknął delikatnie jej brzucha, stwierdzając że jest płaski, twardy i nie zmieniony.

Przyglądał się żonie w brzasku wstającego dnia. Nudności minęły i Leslie uśmiechała się do niego z zaskakującą satysfakcją kobiety dumnej z tego, że nękają ją poranne mdłości. Wziął ją w ramiona i przytulił policzek do jej policzka, a ona czknęła mu prosto do ucha i zamiast przeprosić — wybuchnęła płaczem. Koniec miodowego miesiąca, pomyślał ze smutkiem, głaszcząc ją po włosach i całując powieki, miękkie i wilgotne jak małe kwiatuszki. Dwa następne dni zeszły mu na spotkaniach i rozmowach z członkami zarządu i funkcjonariuszami synagogalnymi. Sekretarz poprzedniego rabina ożenił się i przeniósł do San Jose, toteż Michaelowi zabrało sporo czasu samo ustalenie,

gdzie co leży. Znalazł wreszcie listę członków gminy i zaczął układać plan prywatnych wizyt, które pozwoliłyby mu zawrzeć znajomość z mniej aktywnymi jej członkami. Drugiego dnia w południe odwiedził go w synagodze Phil Golden.

334

RABIN

— Lubi pan kuchnię żółtków? Znam przy tej ulicy restauracyjkę, gdzie wyczarowują istne cudeńka na woku. Właściciel należy do naszej gminy.

Golden miał na sobie niebieski garnitur w prążki, najwyraźniej szyty na miarę.

— Nie pracuje pan dzisiaj? — zapytał rabin. Phil uśmiechnął się.

— Coś panu powiem — rzekł, gdy zmierzali ramię przy ramieniu w stronę restauracji. — Przed laty, kiedy byłem młody, harowałem jak dziki osioł. Po całych dniach machałem pędzlem, żeby zarobić na nędzne utrzymanie. Z czasem dorobiliśmy się z żoną czterech synów, chłopaków na schwał, dziękować Bogu. Wszystkich przyuczyłem do malarki. Wymarzyłem sobie, że któregoś dnia zostanę wielkim przedsiębiorcą, a tyrać będą za mnie moi synkowie.

Tymczasem teraz każdy z nich ma własną firmę, a ja zostałem dyrektorem firmy macierzystej; macierzystej zresztą w najdosłowniejszym tego słowa znaczeniu. Pędzel biorę do ręki tylko wtedy, kiedy jest coś do zrobienia dla mateczki świątyni. Zaśmiał się cicho.

— Powiem panu prawdę. Zwykle co pół roku taka mnie chwyta tęsknota za robotą, że wykradam się jak złodziejaszek i biorę chałturkę na boku. Najmuję pomocnika, meksykańskiego chłopaka, i oddaję mu cały zarobek. Niech mnie pan tylko nie wyda przed synami!

— Obiecuję.

Restauracja nosiła nazwę „Moy Sheh”.

— Jest Morris? — zapytał Golden chińskiego kelnera, który przyniósł kartę.

— Pojechał na targ.

Byli głodni, jedzenie okazało się ostre, ale smaczne. Posilając się gawędzili trochę, po czym Phil Golden usiadł wygodniej i zapalił cygaro.

— No więc jak się tu panu podoba? — zapytał.

— Wydaje mi się, że polubię to miejsce. Dziwna rzecz.

Rozmawiałem z wieloma ludźmi i od czterech różnych osób usłyszałem to samo ostrzeżenie.

Golden wydmuchnął kłęb dymu.

— Jakież to?

335

NOAH GORDON

— „Niech pan uważa na Phila Goldena, rabi. To nieokrzesaniec i gbur”.

Golden obejrzał uważnie popiół na cygarze.

— Mógłbym panu podać te cztery nazwiska. I co im pan odpowiedział?

— Że będę uważał.

Z twarzy Goldena nie zniknął wyraz obojętności, zrobiły mu się tylko zmarszczki w kącikach oczu.

— Żeby łatwiej się panu uważało, rabi, niech pan zajdzie do nas z żoną jutro wieczorem na piątkową kolację.

Wokół stołu w jadalni państwa Golden zasiadło jedenaście osób. Oprócz Phila i Rhody Golden ich dwaj synowie, Irving i Jack, Ruthie (żona Jacka) i Florence (Irvinga) oraz trójka wnucząt Phila w wieku od trzech do jedenastu lat.

— Henry, nasz trzeci żonaty syn, mieszka w Sausalito — poinformował gości Phil. — Ma dwoje dzieci i ładny domek na barce. Ożenił się z Ormianką. Mają dwóch małych Williamów Saroyanów* o wielkich brązowych rozmarzonych

oczach i nosach jeszcze wydatniejszych niż u przeciętnego Żyda. Mało się z mmi widujemy. Siedzą w Sausalito i zajmują się Bóg raczy wiedzieć czym, może uprawą winogron.

— Phil! — napomniała męża Rhoda. Phil przypomniał sobie o Leslie i poczuł się zobowiązany przed nią wytłumaczyć.

— On się nie wychrzcił, ona się nie przechrzciała, dzieciaki są Bóg wie kim. Pozostawiam do pani oceny, czy to jest w porządku?

— Uważam, że nie — odrzekła.

— A jak ma na imię państwa czwarty syn? — zapytał Michael.

— Oj, Babę! — odpowiedziała mu Ruthie, a oblicza pozostałych członków rodziny rozjaśnił uśmiech.

— Niech pan sobie wyobrazi, rabi — włączyła się do rozmowy Florence, dobrze zbudowana, choć trochę zanadto

— Pisarz amerykański William Saroyan by} z pochodzenia Ormiani-

rtt*r*i

336

koścista blondynka — przystojnego czterdziestolatka, który nie stracił ani jednego włosa, świetnie zarabia, ma gołębie serce, czułą naturę, kocha dzieci, a one za nim przepadają. A przy tym męski aż strach! W San Francisco chodzi nie po płytach chodnikowych, a po złamanych sercach. A jednak się nie żeni.

— Oj, ten Babę, ten Babę! — westchnęła kręcąc głową Rhoda. — Mój malutki! Wszystko bym dała, żeby zatańczyć na jego weselu! Choćby i do ormiańskiej muzyki. Ryba nie za pieprzna?

Ryba była doskonała, podobnie jak zupa, pieczony kurczak, kiszka, dwa rodzaje kugla i kompot owocowy. Na pianinie w sąsiednim pokoju płonęły w mosiężnych lichtarzach

szabasowe świece. Michael pamiętał z dzieciństwa podobne mieszkania, ale dawno już w takim nie był.

Po kolacji mężczyźni gwarzyli przy brandy, a kobiety zmywały w kuchni naczynia, po czym obie młode pary pożegnały się i zaczęły wyciągać do domu zaspane dzieci. Przed wyjściem Florence umówiła się z Leslie na lunch następnego dnia i zwiedzanie De Young Memorial Museum, co skierowało rozmowę na obrazy, a potem fotografie; Rhoda wyciągnęła wielki album ze zdjęciami i obie z Leslie oglądały go w kuchni, skąd do salonu, gdzie Michael i Phil popijali brandy, dolatywały co pewien czas wybuchy śmiechu.

— A więc z pana już prawdziwy Kaliforniczyk — stwierdził Phil.

— Kalifornijczyk z dziada pradziada. Golden uśmiechnął się.

— Z dziada pradziada — potwierdził. — O sobie faktycznie mogę to powiedzieć. Przyjechałem tu z rodzicami jako mały srul z New London w stanie Connecticut. Mój ojciec był komiwojażerem. Okucia okrętowe. Wszędzie dźwigał ze sobą walizę ważącą blisko pięćdziesiąt kilogramów. Kiedyśmy tu pierwszy raz przyjechali, w starej dzielnicy żydowskiej wokół Fillmore Street stała niejedna bóżnica. Jidelech trzymali się w tamtych czasach razem, jak Chińczycy. Długo to oczywiście nie potrwało — dodał. — Dziś trudno już rozróżnić, kto żyd, kto katolik, a kto protestant. Trzy głębsze hausty kalifornij-

22 Rabin

337

NOAH GORDON

skiego powietrza i każdy się odbarwia. Ej, rabi, Żyd w dzisiejszych czasach to już nie to co dawniej!

— W jakim sensie?

Golden prychnął z niechęcią.

— Weź pan choćby bar micwę. Kiedyś to było dla chłopaka prawdziwe przeżycie. Pierwszy raz wzywano go na bime,

śpiewał ustępy Tory po hebrajsku, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki stawał się w oczach Boga i współbraci mężczyzną. Wszystkie oczy zwrócone były tylko na niego, pan rozumie?

A dziś co? Chłopak jest w cieniu. Liczy się widowisko. Więcej baru niż micwy.* Pańska gmina to towarzystwo głównie koktajlowe. Młodzi nowocześni Amerykanie. Co oni wiedzą o Fillmore Street? — Pokiwał głową.

Michael przyglądał mu się w zamyśleniu.

— Właściwie czemu mnie przed panem ostrzegano? — zapytał.

— Bo jestem wyrzutem sumienia tej gminy. Upieram się, że po to mamy synagogę, żeby odprawiać w niej nabożeństwa. Upieram się, że być Żydem, znaczy żyć jak Żyd, a takie poglądy nie zyskują popularności w świątyni Izajasza.

— Więc dlaczego pozostaje pan jej członkiem?

— Powiem panu prawdę: bo moi synowie się do niej przyłączyli. Niestety, moi chłopcy nie są lepsi od reszty tego towarzystwa. Jestem jednak zdania, że rodzina powinna chodzić na nabożeństwa jako rodzina. Nie sądzę, że stanie im się wielka krzywda, jeśli raz do roku posiedzą w jednej synagodze ze staroświeckim jidł.

Rabin uśmiechnął się.

— Nie wierzę, żeby było aż tak źle! To niemożliwe.

— Niemożliwe mówi pan? — Golden parsknął śmiechem. — Założyli świątynię Izajasza osiem lat temu. Wie pan dlaczego? Bo inne reformowane synagogi wymagały od nich zbyt wielkich poświęceń, zbyt wielkiego osobistego zaangażowania. Pańscy wierni chcą pozostać Żydami, ale nie za cenę swojego wolnego czasu, toć po to właśnie, żeby się nim

Gra słów: miewa znaczy „zbożny nakaz”, bar — „syn”. 338

RABIN

cieszyć, przyjechali do Kalifornii. Jom Kipur, Rosz Haszana i do widzenia, rabi.

Ale niech pan nie myśli — dodał, podnosząc wielką jak bochen dłoń niczym kierujący ruchem policjant — że nie są skłonni szczodrze opłacać tego przywileju. Nasze składki są dość wygórowane, bądź co bądź to młoda, dobrze prosperująca gmina. Poza tym czasy są sprzyjające, interesiki dobrze idą. Więc robią pieniądze i płacą składki, żeby pan, rabi, mógł być Żydem za nich. Jeśli zechce pan wydać pewną sumę na jakieś mieszczące się w granicach rozsądku przedsięwzięcie związane ze świątynią, mogę panu zagwarantować już teraz, że dostanie pan pieniądze. Tylko niech się pan nie spodziewa zbyt wielu osób na swoich nabożeństwach, rabi. Niech pan po prostu pogodzi się z myślą, że będzie miał wrogów: rzędy pustych krzeseł.

Michael zastanowił się nad tym, co usłyszał.

— Ku-Klux-Klan was nie prześladowuje? Golden wzruszył ramionami i zrobił minę, która mówiła: Bist meszuga?

— A więc niech się pan nie obawia. Postaramy się zappełnić te rzędy.

Phil uśmiechnął się.

— To by granoczyło z cudem — powiedział cicho, sięgnął po butelkę brandy i napełnił kieliszek Michaela. — Z rabinami nigdy nie miałem na pieńku. Z radą owszem. Z poszczególnymi członkami gminy owszem. Z rabinami nigdy. Może pan na mnie liczyć, gdyby potrzebował pan mojej pomocy, choć narzucać się nie zamierzam. Rozwiązanie należy do pana.

— Dopiero za sześć miesięcy — zażartował Michael, bo do pokoju wróciły Leslie i Rhoda. Rozmowa zeszła na inny temat.

Następnego dnia przywieziono część mebli. Michael zasiadł w nowym fotelu przed telewizorem, który należał poprzednio do

rabina Kapłana. Sieć CBS pokazywała zdjęcia wojsk sześciu państw arabskich, liczących w sumie czterdzieści milionów mieszkańców, nacierające z nienawistną zespoloną furją na sześćset pięćdziesiąt tysięcy Żydów. Kroniki

339

NOAH GORDON

filmowe pokazywały zburzone kibuce, trupy i przyczajone w oliwnych gajach izraelskie kobiety, odpowiadające na jordancki ostrzał długimi seriami pocisków smugowych.

Michael oglądał wszystkie dzienniki telewizyjne. Jego rodzice do-r-stawali teraz od Ruthie wiadomości bardzo nieregularnie. • Kiedy pytali w listach, co robi w czasie walk, odpowiadała wymijająco. Pisała tylko, że Saul i dzieci mają się dobrze, podobnie jak ona. Michael zastanawiał się nieraz, czy to nie Ruthie, jego siostra, leży za złamanym drzewkiem oliwnym i usiłuje przeszyć serią żołnierza agresorów? Całe dni przesiadywał teraz przed telewizorem.

Leslie przyjemnie spędziła popołudnie z Florence Golden. Wróciła do domu z nazwiskiem doskonałego położnika i oprawioną w ramkę reprodukcją obrazu „Podarty kapelusz” Thomasa Sully’ego. Po wielu przymiarkach powiesili obrazek na ścianie, po czym stanęli przed nim objęci i przyglądali się słodkiej poważnej twarzyczce chłopca na portrecie.

— Wolałbyś syna? — zapytała Leslie.

— Nie — skłamał Michael.

— A mnie jest naprawdę wszystko jedno. Zachwyca mnie tylko to, że z naszej miłości zrodzi się człowiek. Tylko to jest dla mnie ważne. Nie robi mi różnicy, czy będzie miał penisa, czy nie.

— Jeśli to będzie syn, wolałbym, żeby go jednak miał

— rzek! Michael.

W nocy śnili mu się zabijający się wzajemnie Arabowie i Żydzi i ujrzał we śnie trupa Ruthie. Nazajutrz wstał o świcie,

wyszedł boso na podwórko za domem. W powietrzu kłębiła się gęsta mgła. Michael wciągnął ją w płuca, wyczuwając rybą woń oddalonego o parę kilometrów Pacyfiku.

— Co ty wyrabiasz? — zapytała rozespanym głosem Leslie podchodząc do niego od tyłu.

— Żyję!

Nagle słońce przedarło się przez mgłę, jakby ją odgarnęła wycieraczka na szybie samochodu.

— Chyba urządzę tu mały ogródek i posadzę pomidory

— powiedział Michael. — A może i drzewko pomarańczowe.

Uważasz, że jesteśmy za daleko na północ, by udały się tu pomarańcze?

340

RABIN

.— Obawiam się, że tak.

— A ja myślę, że nie.

— Więc je posadź. Och, Michael, tu jest cudownie! Szalenie mi się tu podoba. Mogłabym mieszkać tu do końca życia!

— Jak sobie życzysz, skarbie — powiedział, po czym razem wrócili do domu; on usmażyć jajecznicę i zaparzyć kawę, ona żeby cierpieć ciężo we nudności.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Pierwszy szabat w nowej świątyni napełnił rabina Kinda uczuciem triumfu. Wyglądało na to, że Phil Golden się mylił. Michael wygłosił kazanie krótkie, inteligentne i błyskotliwe; podkreślał znaczenie religijnej tożsamości i zaangażowania członków w życie gminy. Ławki były wypełnione w czterech piątach, zebrani słuchali uważnie. Po nabożeństwie ścisnęły dłoń nowego rabina przyjazne ręce, a serdeczne głosy pieściły jego uszy słowami poparcia i budzącej się sympatii. Był pewien, że jego wierni wrócą do synagogi.

W następnym tygodniu większość z nich istotnie się zjawiała.

W trzeci piątkowy wieczór świątynia świeciła już pustkami. Po sześciu tygodniach sprawowania przez Michaela posługi rabina w świątyni Izajasza puste miejsca w ławkach aż kłuły go w oczy, gdy wchodził na bimę. Oklejone fornirem błyszczące oparcia krzeseł patrzyły na niego dziesiątkami żółtych szyderczych spojrzeń.

Starał się je ignorować, skupiając uwagę na gromadce wiernych zasiadających w pierwszych rzędach. Jednak liczba wiernych z tygodnia na tydzień topniała, liczba zaś pustych krzeseł rosła, aż w końcu na rabina spoglądało bez mrugnięcia powiek tyle lśniących żółtych oparc, że nie mógł dłużej ignorować tego faktu i musiał przyznać, że Phil Golden miał rację.

Puste krzesła stały się jego głównymi wrogami.

NOAH GORDON

Oboje z Leslie stwierdzili, że Kalifornijczykiem zostaje się niezmiernie łatwo.

Wystarczy wiedzieć, że nie należy jechać samochodem za wspinającym się na strome wzgórze tramwajem linowym. W niedzielne popołudnia, gdy powietrze prześwietlał blask koloru kwiatowego pyłku, jeździli do Golden Gate Park, siadali na trawie — nie bacząc na to, że brudzą sobie na zielono ubrania — i przyglądali się zakochanym, przechadzającym się i całującym wśród chmar rozigranych, rozkrzyczanych i roześmianych dzieci.

Brzuch Leslie rósł, lecz nie zmieniał się w brzydką obrzmiałość, czego się Michael obawiał; rozkwitał raczej jak ciepły cielesny pąk rozpierany przez pęczniejące w jego wnętrzu życie. Michael odchyłał nieraz w nocy kołdrę, zapalał nocną lampkę i przyglądał się brzuchowi śpiącej żony.

Uśmiechał się i szybciej oddychał z podniecenia, jeśli brzuch nagle drgnął, bo dziecko zaczęło kopać lub właśnie się

przekręcało. Dręczyły go straszne myśli. Wyobraża! sobie kończące się śmiercią matki i dziecka poronienia, krwotoki, porody pośladowe, szponiaste rączki, kadłubki bez nóg, ludzkie odmóżdżone rośliny. W długie bezsenne noce modlił się, żeby Bóg zechciał oszczędzić im podobnych nieszczęść. Znakomity położnik nazywał się Lubowitz. Okazał się grubym staruszką i doświadczonym praktykiem, który wie, kiedy być delikatnym, a kiedy szorstkim. Zalecił Leslie gimnastykę i długie spacery, po których chwycił ją wilczy apetyt, a że nakazał również dietę — chodziła stale głodna. W późniejszych miesiącach ciąży Michael starał się nie informować żony o pustkach w świątyni, żeby jej nie martwić. Sam stawał się jednak coraz bardziej niespokojny. Jego gmina go zdumiewała.

Tylko rodzina Phila Goldena i jeszcze garstka osób regularnie uczestniczyła w nabożeństwach. Kontakty Michaela z resztą jego trzódki na dobrą sprawę w ogóle nie istniały.

Codziennie odwiedzał szpitale w poszukiwaniu chorych Żydów, których mógłby pocieszyć i przy okazji poznać, rzadko jednak trafiał na kogoś ze swojej gminy.

Odwiedzani w domach przyjmowali rabina uprzejmie, zachowując jednak jakiś niepojęty dystans. W pewnym Ink-

RABIN

susowym apartamencie na Russian Hill małżonkowie nazwiskiem Sternbane zaczęli mu się przyglądać podejrzliwie, ledwo się przedstawił. Oscar Sternbane sprowadzał z Bliskiego Wschodu wyroby rękodzieła artystycznego, ponadto miał udziały w jednej z kawiarni przy Geary Street. Jego żona Celia dawała lekcje śpiewu i z dumą obnosiła swą urodę. Miała czarne włosy, różaną płec, biust śpiewaczki koloraturowej, pieczołowicie wyeksponowany w luźnym swetrze z golfem, a biodra naprawdę godne tego zaszczytu, by

je opinały niebieskie spodnie Pucciego. Każde ze skrzydełek jej nosa kosztowało u chirurga plastycznego sześćset dolarów.

— Usiłuję przeorganizować naszą gminę — oznajmił rabin Kind Oscarowi Sternbane. — Pomyślałem, że moglibyśmy zacząć od urządzania niedzielnych śniadań w świątyni.

— Pozwoli pan, że będę z panem szczery, rabi — odrzekł Sternbane. — Jesteśmy szczęśliwi, że należymy do gminy. Dzięki temu nasz syn w każdą sobotę uczy się hebrajskiego i zapoznaje z Biblią. To pięknie, tak się godzi. Ale bajgele i wędzony łosoś, daruje pan! Z radością pozostawiliśmy te rzeczy w Teaneck w stanie New Jersey, kiedyśmy się tu przenieśli.

— Nie mówię o jedzeniu — rzekł Michael. — Świątynia to l u d z i e. Znacie państwo na przykład państwa Barron? Oscar wzruszył ramionami, Celia pokręciła głową.

— A myślę, że byście ich polubili! I nie tylko ich. Również Pollocków, Abelsonów...

— Freddy'ego i Jan Abelsonów?

— O! — ucieszył się rabi. — Więc znacie Abelsonów?

— Owszem — przyznała Celia.

— Byliśmy raz u nich z wizytą, a oni nas rewizytowali

— stwierdził Oscar. — Są bardzo mili, ale... prawdę mówiąc, rabi, nieco zacofani. Nie bardzo do nas pasują, rozumie pan.

— Podniósł rękę i wolno obrócił w kiści dłoń, jak gdyby wkrecał żarówkę. — Widzi pan, rabi — wyjaśnił uprzejmie

— my mamy własne grono przyjaciół i własny krąg spraw, które najzwyczajniej w świecie nie obracają się wokół świątyni. A o której miałyby się zaczynać te śniadania?

Postaram się wpaść.

343

NOAH GORDON

Nie wpadł. Na pierwszym z niedzielnych spotkań zjawiło się raptem osiem osób, w tym cztery o nazwisku Golden. W następnym tygodniu przyszedł już tylko sam Phil z synami. — Może by urządzić potańcówkę? — zasugerowała Les-lie, kiedy Michael zdecydował się w końcu podzielić z nią swoimi problemami, wypiwszy pewnego wieczoru trzy kieliszki martini przed kolacją.

Pięć tygodni strawili na przygotowania do tej potańcówki. Wydrukowali ulotki, wysłali zaproszenia pocztą, poświęcili mającemu się odbyć wydarzeniu pierwszą stronę gminnej gazetki, wynajęli zespół muzyczny, zamówili przekąski — i w wieczór potańcówki przyglądali się z wymuszonymi uśmiechami jedenastu parom kręcącym się smętnie po wielkiej sali w świątyni.

Rabin nie zaprzestał odwiedzin w szpitalach. Wiele czasu poświęcał na przygotowywanie kazań, jak gdyby każde krzesło w synagodze było okopem, który należało zdobywać. Mimo to pozostawało mu mnóstwo wolnego czasu. Dwie przecznice od ich domu mieściła się biblioteka publiczna. Michael zapisał się do niej i zaczął wypożyczać książki. Z początku wrócił do swoich dawnych lektur filozoficznych, ale wkrótce skusiły go obwoluty powieści. Bibliotekarki z wypożyczalni witały go uśmiechem jak dobrego znajomego. Wrócił do lektury Talmudu i Tory, studiując każdego ranka inne z nich ustępy, a następnie omawiając je wieczorem z Leslie. W puste popołudnia, gdy w świątyni zalegała martwa cisza, zaczął eksperymentować z mistyczną teozofią kabały, jak mały chłopiec zanurzający palec u nogi w groźnej głębinie.

Katolicka parafia Świętej Małgorzaty, na której terenie mieszkali Kindowie, budowała nowy kościół. Przejeżdżając pewnego ranka obok placu budowy, Michael zatrzymał na chwilę samochód obok zaparkowanych aut i przyglądał się,

jak parowa koparka wyrywa z wykopu pod fundamenty ogromne kęsy kamienistej ziemi.

Nazajutrz wrócił tam znowu. I następnego dnia także.

Wkrótce nabrał zwyczaju zaglądania w wolnych chwilach na budowę, żeby się przyglądać pracy robotników w stalowych kaskach. Oparty o prowizoryczny parkan z nie heblowanych desek przyglądał się hałaśliwym mechanicznym olbrzymom

344

RABIN

i ubranej w skórzane kombinezony załodze budowlanej. W końcu, co było nieuniknione, spotkał proboszcza od Świętej Małgorzaty. Wielebny Dominico Angelo Campanelli, sędziwy kapłan o sennym spojrzeniu, nosił na prawym policzku, niczym piętno boskości, duże znamię.

— Świątynia Izajasza — mruknął, gdy rabin Kind mu się przedstawił. — To dawniej Święty Jeremiasz. Wyrosłem w tej parafii.

— Doprawdy? — zdumiał się Michael, dodając w duchu dziesięć lat do swej pierwotnej oceny wieku świątyni.

— Służyłem jako ministrant u ojca Geralda X. Minehana, który został potem biskupem pomocniczym w San Diego — wyjaśnił ojciec Campanelli i pokiwał głową. — Święty Jeremiasz. Wyryłem tam w dzwonnicy swoje inicjały. — Zapatrzył się w dal. — Pod starą lampą gazową wiszącą na jednej ze ścian. — Zaczerwienił się i jakby zadrżał pod czarną sutanną. — No tak. Miło mi było poznać — powiedział i oddalił się, ani na chwilę nie przestając przebierać w palcach stu pięćdziesięciu paciorków różańca, którym był przepasany. Tego popołudnia Michael wysypał na biurko zawartość starego pudełka na buty i przejrzał leżące w nim, opatrzone przywieszkami klucze, póki nie natrafił na klucz z napisem: „Dzwonnica”.

Wąskie drzwi otworzyły się, jak należy, ze rdzawym skrzypieniem. W środku zalegał mrok. W górę wznosiły się krótkie drewniane schody, których jeden stopień zaskrzypiał alarmująco pod stopą rabina. Powstałaby kłopotliwa sytuacja, pomyślał Michael, gdybym spadł i złamał nogę albo zrobił sobie jeszcze poważniejszą krzywdę. Jak wytłumaczyłbym się z tego przed gminą?

Drewniane schody prowadziły na podest. W szarym rozproszonym świetle wpadającym przez wysokie, zalepione brudem okna Michael ujrzał rozstawione na podłodze pod wszystkimi czterema ścianami okrągłe miseczki z trutką na szczury.

Żelazne schody pięły się spiralnie do klapy w suficie, która dała się podnieść łatwo, acz z wielkim hałasem. Kiedy tułów Michaela wyłonił się z otworu, w powietrze wzbiły się ptaki. Rabin wstrzymał oddech, taki tam wisiał smród. Ściany były

345
NOAH GORDON

białe od ptasich odchodów. W trzech oblepionych guanerrgniastkach siedziały niebywale brzydkie pisklęta gołębi; były nagie, wielkości pięści i miały bulwiaste dzioby. j Wielki dzwon wciąż wisiał na swoim miejscu. Michael! stuknął w jego płaszcz palcem środkowym. Złamał sobie^ paznokiec, a z dzwonu wydobył się tylko matowy brzęk. • Potem wychylił się nad barierką, starając się nie ubrudzić o nią ? ubrania, i przyjrzał się leżącemu w dole miastu. Oglądane z tej • wysokości San Francisco wydało mu się starsze i rozumniejsze od tego, jakie poznał w dole. Dwa dorosłe gołębie powróciły i fruwały nerwowo nad dzwonnica, przeplatając gruchanie okrzykami przerażonych matek. — Już znikam! — uspokoił je Michael i zaczął wycofywać się ostrożnie po zasłanej odchodami podłodze. Zszedłszy kilka stopni po kręconych schodach, zamknął nad sobą klapę wjazdu

i odetchnął z ulgą, wydychając z nozdrzy okropny smród ptasiego łajna.

Na podeście dzwonnicy przystanął. Stara lampa gazowa nadal wisiała na ścianie. Michael przekręcił mały kurek i przestraszył się, gdy usłyszał syk gazu.

— Trzeba się będzie tym zająć — mruknął zakręcając kurek. W panujących ciemnościach nie mógł stwierdzić, czy inicjały księdza zachowały się na ścianie, zapalił więc zapałkę, gwałtownymi machnięciami dłoni rozproszywszy wpierw opary gazu.

Kiedy przysunął do ściany migoczący płomyk, ujrzał na niej duży wizerunek serca z wydrapanymi w środku literami D, A, C.

— Dominico Angelo Campanelli — przeczytał na głos, zadowolony z odkrycia.

Pod tymi trzema literami znajdowały się jeszcze jakieś inicjały, zamazane jednak starannie czarnym ołówkiem, który mimo upływu lat zachował swoją grafitową czerń. Obok inicjałów księdza Campanelli we wnętrzu serca dopisano zamiast zatartych inicjałów jedno tylko słowo:

Jezus.

Dopalająca się zapałka sparzyła Michaela. Odrzucił ją z syknięciem, włożył końce palców do ust, poczekał, aż

346

RABIN

pieczenie ustanie, po czym przesunął nimi po zatartym słowie.

Pod opuszkami wyczuł wgłębienia po wyrytych literach.

Pierwszą było niewątpliwie M; prócz niego wymacał jeszcze jedną literę, ale nie potrafiłby powiedzieć, czy było to C, czy O.

Jak mogła mieć na imię?

Maria? Myra? Marguerite?

Stał przed ścianą i zastanawiał się, czy młody Dominico Campanelli płakał zacierając inicjały ukochanej. Potem rabin Kind zszedł z kościelnej wieży i pojechał do domu, by wpatrywać się jak w obraz w komicznie wyдутy brzuch żony.

Michael i ksiądz Campanelli nabrali zwyczaju ucinania sobie o wczesnym poranku pogawędki. Opierali się o parkan z nie heblowanych desek, pykali z fajek, pozwalając by dym rozwiewał się we mgle, i przyglądali się wielkiej koparce, wygryzającej ze stoku pagórka olbrzymie kęsy ziemi. Starali się obaj unikać w rozmowie kwestii religijnych. Bezpiecznego tematu dostarczał im sport. Omawiali szansę „Fok” w pojedynkach z drużynami z Los Angeles. Dyskutując o punktach, pałkarzach, tygrysiej zwinności Williama i rycerskości Di-Maggio, przyglądali się, jak dziura w ziemi nabiera kształtu wykopu pod fundamenty i jak potem rosną w niej szalunki.

— Ciekawa forma — ocenił Michael, gdy można już było wyróżnić ich zarys: prostokąt zakończony wielkim okręgiem. Ojciec Campanelli nie okazał skłonności do bliższych wyjaśnień.

— Odstępstwo od stereotypu — oświadczył krótko, po czym jakby mimo woli odwrócił głowę i pobiegł spojrzeniem w głąb ulicy, gdzie obrośnięty bluszczem stał stary dostojny kościół Świętej Małgorzaty, nadgryziony już zębem czasu i zbyt ciasny, za to wzniesiony z czerwonej cegły na prostym i szlachetnym planie. Następnie staruszek podniósł rękę i zaczął gładzić długimi palcami znamię na orlej twarzy. Michael już wcześniej zauważył ten machinalny gest; pojawiał się zawsze, ilekroć dyskutowali o sprawach wyjątkowo ponurych, jak pasmo porażek „Fok”, niepowściągliwość Williama, który szargał swoje dobre imię ordynarnym gestem wobec

NOAH GORDON

kibiców, wreszcie jak to, że DiMaggio stracił szybkość, odkąd pozwala, by beznadziejna miłość do Marilyn Monroe przyćmiewała jego gwiazdę.

Pewnego niedzielnego złocistego popołudnia, kiedy jechali z Leslie samochodem wzdłuż półwyspu Monterey, Michael zobaczył świątynię zbudowaną na skalistym urwisku nad Pacyfikiem.

Okolica była cudowna, sam budynek okropny. Zbudowany ze szkła i drewna sekwoi wyglądał jak skrzyżowanie okrętowej nadbudówki z zamkiem z lodu.

— Prawda, że okropny? — zapytał żonę Michael.

— Mhm.

— Ciekaw jestem, jak będzie wyglądał ten nowy kościół obok nas.

Wzruszyła sennie ramionami.

Po jakimś czasie przeciągnęła się i spojrzała na męża.

— Powiedz, gdybyś miał zwrócić się do architekta o zaprojektowanie dla ciebie świątyni, co byś mu zasugerował? Tym razem Michael wzruszył ramionami, ale to pytanie zapadło mu w pamięć.

Nazajutrz rano, skończywszy lekturę Talmudu, zasiadł w gabinecie i popijając kawę zaczął szkicować plan idealnej świątyni.

Odkrył, że jest to zajęcie zabawniejsze od czytania, choć przysparzało wielu zawodów, jak gra w szachy z samym sobą. Z ołówkiem w ręku mozolił się nad kartką szkicując plany, które następnie wyrzucał do kosza, i układając listy tematów, które wymagają rozważenia i przerobienia. Z biblioteki wypożyczył wszystkie książki z dziedziny architektury. Co pewien czas wpadał w pułapki bez wyjścia, co kazało mu zrewidować własne wyobrażenia o wyglądzie świątyni, i to tyle razy, aż musiał w końcu opróżnić szufladę szafki w

gabinecie. Miał już gdzie gromadzić notatki, książki i surowe szkice, jakie nieustrudzenie kreślił, co wypełniało mu teraz bez reszty puste godziny dnia, tyle że zajęciami podobnymi do prywatnej gry towarzyskiej, swego rodzaju rabinicznej wersji pasjansa.

Od czasu do czasu przerywano mu te amatorskie zajęcia.

Pewnego ranka stanął w drzwiach gabinetu podpity marynarz
348

RABIN '

marynarki handlowej, nie ogolony i z podbitym okiem. Ciężko zwalił się na krzesło.

— Chciałbym się wypowiedzieć, proszę księdza — wybełkotał i zamknął oczy.

— Niestety, przykro mi... Marynarz podniósł powieki.

— Ja nie jestem księdzem — dokończył Michael.

— A gdzie ksiądz?

— Nie jest pan w kościele.

— Co mi pan zalewasz! W czasie wojny zawsze się tu spowiadałem! Dobrze pamiętam.

— Bo kiedyś istotnie mieścił się tutaj kościół. — Michael zaczął wyjaśniać przybyszowi zmianę, jaka zaszła w przeznaczeniu budynku, ale marynarz mu przerwał.

— O Chryste! — mruknął, po czym dźwignął się i chwiejnym krokiem ruszył w stronę drzwi. — Skoro to nie jest kościół, to po diabła pan tutaj siedzisz?

Michael jeszcze długo spoglądał w otwarte drzwi, przez które wpadały jaskrawe promienie słońca.

— Nie zalewam, bracie — szepnął w końcu. — Prawdę mówiąc, sam nie wiem, po co tutaj siedzę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Pewnego wieczoru stwierdził, że Leslie ma zaczerwienione oczy.

— Co się stało? — zapytał, zastanawiając się w popłochu, czy zła wiadomość dotyczy rodziny Ruthie, rodziców czy może teścia.

Żona wręczyła mu paczuszkę.

— Otworzyłam ją, nie czekając na ciebie.

Michael zauważył, że jego aktualny adres dopisano w Stowarzyszeniu Amerykańskich Gmin Żydowskich. W paczce znajdował się hebrajski modlitewnik oprawiony w czarne zetlałe ze starości kaliko. Do paczki dołączony był list, wykaligrafowany drobnym pochyłym na prawo pismem.

349

NOAH GORDON

„Drogi rabinie Kind!

Z bólem muszę zawiadomić Pana, że mój ukochany mąż, rabin Max Gross, zmarł 17 lipca w synagodze na atak serca podczas odmawiania minchy.

Mój mąż nie należał do ludzi wylewnych, ale często mi o Panu opowiadał. Raz powiedział mi, że gdyby nasz syn nie umarł, chciałby, żeby był taki jak Pan, tylko ortodoksyjny. Pozwalam sobie przysłać Panu jego sidur, z którego codziennie się modlił. Wiem, że mój mąż życzyłby sobie, by jego modlitewnik dostał się właśnie w Pana ręce, a i mnie będzie przyjemnie wiedząc, że sidur Maxa jest dalej używany. Mam nadzieję, że Pan i Pańska żona jesteście zdrowi i dobrze się Warn powodzi w tak pięknym miejscu, jakim jest Kalifornia ze swoim wspaniałym klimatem.

Z poważaniem Lea M. Gross".

r Leslie dotknęła jego ramienia.

— Michael — wyszeptała.

Pokręcił głową, dając znak, że nie chce teraz rozmawiać. Nie był w stanie rozplakać się tak jak ona; nigdy nie umiał płakać z powodu czyjejś śmierci. Przez cały wieczór siedział

samotnie w pokoju i kartka po kartce przeglądał sidur Maxa wspominając zmarłego.

W końcu położył się do łóżka obok żony, ale nie mógł zasnąć. Modlił się za Maxa Grossa i wszystkich żyjących.

Po jakimś czasie Leslie dotknęła lekko jego ramienia.

— Kochanie!...

Budzik wskazywał za pięć wpół do trzeciej.

— Śpij — szepnął z czułością Michael. — Nie możemy mu już pomóc.

— Kochanie — powtórzyła, tym razem prawie z jękiem.

Usiadł na łóżku.

— O Boże! — zawołał, i była to już inwokacja do zupełnie innej modlitwy.

— Spokojnie, Michael. Nie ma powodu do zdenerwowania.

— Masz bóle?

— Myślę, że już najwyższy czas jechać.

RABIN

— Bardzo cię boli? — zapytał wciągając spodnie.

— To nawet nie są bóle, raczej... skurcze.

— Jak częste?

— Z początku co czterdzieści minut, teraz co dwadzieścia.

Zadzwoił do doktora Lubowitza, zniósł na dół torbę żony, a potem pomógł Leslie zejść do samochodu. W powietrzu wisiała gęsta mgła. Michael stwierdził, że ze zdenerwowania trzęsą mu się ręce. Nie był w stanie głębiej odetchnąć; pochylony nad kierownicą, z twarzą niemal przyklejoną do przedniej szyby, prowadził auto w ślimaczym tempie.

— Jak odczuwasz te skurcze? — zapytał.

— Trudno to określić. Jakbyś bardzo wolno jechał w górę windą, zatrzymywał się na chwilę na najwyższym piętrze, a potem zaczynał zjeżdżać w dół.

— Podobne do orgazmu?

— Ach, nie! — zaprzeczyła. — O Jezu Chryste!

— Nie mów tak — wyrwało mu się.

— Więc jak? O Mojżeszu? Tak lepiej? — Pokręciła głową i zamknęła oczy. — Jak na inteligentnego faceta potrafisz być czasem wyjątkowym idiotą.

Zmilczał. Jechał przez spowite mgłą ulice i miał nadzieję, że jeszcze się nie zgubił.

Leslie wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka.

— Przepraszam, kochanie... O Boże! — jęknęła. — Jeszcze jeden!

Michael zdjął z kierownicy prawą rękę i położył ją na brzuchu Leslie. Kiedy ona z kolei nakryła jego dłoń swoją, miękka powłoka stwardniała, naprężyła się, a następnie rozluźniła z wolna i zmiękła pod jego palcami.

— Od środka czuję to tak samo — szepnęła Leslie. — Jakby robiła się tam twarda piłka.

Rabin uświadomił sobie nagle, że drży. Pod latarnią na rogu ulicy stała taksówka; zatrzymał się tuż za nią.

— Zgubiłem drogę! — zawołał. — Czy możemy się przesiąść do pana taksówki?

— Jasne!

Taksówkarz okazał się łysołem w tweedowych spodniach i pomiętej hawajskiej koszuli. Jego czerwoną twarz Irlandczyka powlekała senność.

NOAH GORDON

— Szpital Lane! — rzucił Michael.

Mężczyzna kiwnął głową, ziewnął i zapalił silnik.

— To jest w Webster, między Clay a Sacramento — wyjaśnił Michael.

— Wiem, gdzie to jest, kochany.

Michael, który nie spuszczał oczu z twarzy żony, zobaczył nagle, jak rozszerzają jej się źrenice.

— Nie powiesz mi, że to tylko skurcz! — zawołał.

— Nie. Teraz to już bóle.

Taksówkarz odwrócił głowę, po raz pierwszy przyjrzał się uważniej pasażerce i nagle wszystko zrozumiał.

— O święta makrelo! — mruknął. — Czegoś pan od razu nie mówił?

Przycisnął pedał gazu i wyraźnie przyspieszył, choć nadal jechał bardzo ostrożnie.

Po chwili Leslie zajęczała, mimo że należała do kobiet, które zwykle nie okazują bólu. Z jej gardła wyrwał się dźwięk tak dziwny, niemal zwierzęcy, że Michael aż się przestraszył.

— Liczysz skurcze? — zapytał.

Chyba w ogóle go nie usłyszała; oczy jej się zaszklily.

• — O Matko Boska! — jęknęła cicho.

Rabin pocałował żonę w policzek.

Po chwili Leslie znowu zajęczała i Michaelowi przyszła na myśl obora, siano i porykiwanie cierpiącej krowy. Spojrzał na zegarek, a gdy z ust rodzącej wyrwał się kolejny bydlęcy jęk, ponownie zerknął na jego tarczę.

— O Boże, to chyba niemożliwe! — zawołał. — Co cztery minuty?!

— Niech pani zaciśnie kolana! — wrzasnął taksówkarz tak głośno, jakby Leslie znajdowała się o pół przecznicy dalej.

— Co będzie, jeśli poród zacznie się w samochodzie?

— zapytał Michael.

Spojrzał na podłogę i stłumił dreszcz obrzydzenia. Na gumowym chodniczku leżało rozdeptane zaślinione cygaro podobne do odrażających odchodów.

— Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie! — zawołał z przerażeniem taksówkarz. — Jeśli pańskiej żonie odejdą tu wody, zabiorą mi taryfę na półtorej doby do sterylizacji.

352

RABIN ::.HKI ••

Zarządzenie wydziału zdrowia. — Skręcił w przecznicę. — Już niedługo, proszę pani!

Leslie oparła tymczasem stopy o przedni fotel i przy każdym skurczu osuwała się coraz niżej, zapierając się plecami w oparcie tylnego siedzenia, a nogami naciskając tył przedniego. Wyginała się w łuk aż pod sufit auta i jęczała. Przy każdym takim parciu wślaczała taksówkarza w kierownicę i coraz dalej ku przodowi popychała jego fotel.

— Leslie, pan niedługo nie będzie w stanie prowadzić!

— ostrzegł ją Michael.

— W porządku — uspokoił go taksówkarz. — Jesteśmy już na miejscu!

Zgasił silnik, zostawił pasażerów w drżącym jeszcze aucie i wpadł do szpitalnego budynku z czerwonej cegły, skąd wybiegł po chwili w towarzystwie pielęgniarki i pielęgniarza. Posadzili Leslie na wózku, chwycili jej torbę i ruszyli biegiem. Michael zdążył tylko pocałować żonę w policzek.

— Większość kobiet jest zbudowana jak dojrzały owoc

— orzekł kierowca, kiedy rabin wrócił do taksówki. — Lekarz ją trochę pociśnie i dzieciak wypstryknie jak pestka!

Licznik wybił dwa dolary dziewięćdziesiąt centów. Michael uznał, że taksówkarz zasłużył na napiwek; jechał szybko i nie robił głupich żartów na temat ciężarnych ojców. Dał mu sześć dolarów.

— Odczuwa pan już bóle współczulne? — zapytał taksjarsz wpychając banknoty do portfela.

— Nie.

— Mam szczęśliwą rękę: jeszcze nigdy nie umarł mi ojciec dziecka! — zażartował taksówkarz, z uśmiechem obiegł swoją gablotę, wskoczył do niej i odjechał.

Hol szpitala był pusty. Jakiś Meksykanin w średnim wieku zawiózł Michaela windą na oddział położniczy.

— To pana żonę przed chwilą przywieźli? — zapytał.

— Tak.

— Długo nie potrwa. Już prawie dochodzi — oświadczył ze
znawstwem windziarz.

Przez wahadłowe drzwi oddziału położniczego wyszedł
ostrzyżony na jeża lekarz. .••>.-.•— .<&* *

— Pan Kind?

23 Rabin

353

NOAH GORDON

Rabin przytaknął.

— Pańska żona dobrze sobie radzi. Zawieźliśmy ją na
porodówkę. — Przejechał dłonią po szorstkiej fryzurze.

— Może pan wrócić do domu i trochę się przespać.

Zatelefonujemy do pana, jeśli coś się zdarzy.

— Wolę poczekać tutaj. Lekarz zmarszczył brwi.

— To może trochę potrwać... ale oczywiście zapraszamy

— powiedział i wskazał Michaelowi drogę do poczekalni.

Pomieszczenie było małe, wyłożone wyfroterowanym na
wysoki połysk brązowym linoleum, które przypomniało
Michaelowi przytułek, gdzie umarł jego dziadek. Na kanapie z
ratongu leżały dwa czasopisma: numer „Timesa” sprzed trzech
lat i „Yachtingu” sprzed roku. Jedyne oświetlenie zapewniała
lampa o zbyt słabej żarówce.

Michael podszedł do windy i nacisnął guzik. Meksykański
windziarz nadal się uśmiechał.

— Czy nie ma tu jakiegoś lokalu, gdzie mógłbym postawić
panu drinka? — zapytał rabin.

— Nie, proszę pana. Na służbie zresztą nie wolno mi pić. Ale
jeśli chciałby pan kupić papierosy, gazety albo coś takiego,
jest tu dwie przecznice stąd całonocny sklepik.

Kiedy zjechali na parter, zatrzymał na chwilę rabina w
drzwiach windy,

— Niech pan szepnie sklepikarzowi, że ja pana przysłałem, to
da mi zapalić, jak do niego zajdę. Michael uśmiechnął się.

— Jak panu na imię?

— Johnny.

Modląc się w duchu, Michael poszedł wolno spowitą mgłą ulicą do sklepiku, gdzie kupił trzy paczki philip morrisów, baton, gazetę, ostatnie numery „Life” i „Reportera” oraz jakiś kryminał w broszurowej oprawie.

— Przysłał mnie Johnny — powiedział do sprzedawcy czekając na resztę. — Windziarz ze szpitala. Sklepikarz kiwnął głową.

— Jakie on pali papierosy? — zapytał Michael.

— Johnny? O ile wiem, on w ogóle nie pali papierosów, tylko cygaretki.

354

RABIN

Michael kupił trzy paczki cygaretek. Kiedy wracał do szpitala, mgła wisiała wciąż gęsta, prześwietlona już jednak brzaskiem wstającego dnia. Boże, modlił się rabin, nie dozwól, aby spotkało ją coś złego. Ani ją, ani dziecko. Ale jeśli tylko jedno z nich miałoby przeżyć, niech ocaleje ona, proszę Cię Boże.

Amen.

Johnny ucieszył się z cygaretek.

— Pana doktor tu był. Powiedział, że wody już odeszły

— poinformował. Zerknął krytycznie na zakupy Michaela.

— Aż tak długo pan tu nie posiedzi — stwierdził.

— Ten młody lekarz powiedział, że to może potrwać

— rzekł Michael.

— Bo młody! Pracuje od ośmiu miesięcy, a ja od dwudziestu dwóch lat.

Zadzwoił dzwonek i Johnny zasunął drzwi windy.

Michael rozłożył gazetę i spróbował czytać rubrykę Herba Caena.

Po kilku minutach winda wróciła. Johnny wszedł do poczekalni i usiadł przy drzwiach, skąd mógł usłyszeć dzwonek. Zapalił cygaretkę.

— Czym się pan zajmuje? — zapytał. — Z czego pan żyje?

— Jestem rabinem.

— Naprawdę? — Johnny kurzył przez chwilę w milczeniu. —

Niech mi pan powie, czy to prawda, że kiedy żydowski chłopiec dorasta do pewnego wieku, urządza się przyjęcie i zostaje na nim mężczyzną?

— Chodzi panu o bar micwę? Tak, gdy kończy trzynaście lat.

— A czy to prawda, że wszyscy znajomi Żydzi przychodzą na to przyjęcie i przynoszą mu pieniądze, żeby mógł otworzyć własny interes?

Michael jeszcze się śmiał, gdy w drzwiach stanęła pielęgniarka.

— Pan Kind? — zapytała.

— Ten pan jest rabinem — pospieszył z informacją Johnny.

— A więc moje gratulacje, rabinie Kind — powiedziała zmęczonym głosem siostra. — Pańska żona powiła właśnie syna.

355

NOAH GORDON

Kiedy Michael pochylił się nad żoną, chcąc ją pocałować, omal nie udusił go odór eteru. Leslie miała zaczerwienioną twarz: z zamkniętymi oczami wyglądała jak umarła. Po chwili podniosła jednak powieki, uśmiechnęła się do męża, a gdy wziął ją za rękę, uścisnęła mocno jego dłoń.

— Widziałeś go już?

— Jeszcze nie.

— Och, jest cudowny! — szepnęła. — Ma siusiaczka! Prosiłam lekarza, żeby sprawdził.

— Jak się czujesz? — zapytał, lecz Leslie już spała. Po kilku minutach wszedł doktor Lubowitz w zielonym operacyjnym kitlu.

— Jak żona to zniosła? — zapytał go rabin.

— Doskonale! Oboje byli bardzo dzielni. Mały waży trzy kilo sześćdziesiąt. Niemądre kobiety, nigdy się nie nauczą, że byłoby lepiej, żeby dzieci dorastały poza ich organizmami. Zmuszają nas, lekarzy, do ciężkiej harówki.

Uścisnął dłoń Michaela i wyszedł.

— Chce pan zobaczyć synka? — zapytała pielęgniarka.

Michael czekał pod oddziałem noworodków, aż odszuka właściwe łóżeczko. Po chwili zbliżyła dziecko do szyby, a wtedy stwierdził ze zgrozą, że jest okropnie brzydkie: miało rozplaszczony nos, a zamiast oczu czerwone zapuchnięte szparki. Jak go zdołam pokochać? — zatrwożył się rabin, a wtedy malec ziewnął szeroko, ukazując różowe dziąsła, a potem się rozplakał i Michael go pokochał, sam nie wiedział kiedy.

Świeciło już słońce, gdy wychodził ze szpitala. Ledwo stanął na krawężniku chodnika, podjechała taksówka. Za kierownicą siedziała pulchna siwowłosa kobieta, a wewnątrz auta lśniło czystością. W wazoniku przytwierdzonym za oparciem przedniego fotela tkwił bukiet słodko pachnących kwiatków. Cynie, domyślił się Michael.

— Dokąd, proszę pana? — zapytała kobieta.

Spojrzał na nią bezmyślnie, a potem wybuchnął śmiechem; przestał się śmiać dopiero wtedy, gdy dojrzał strach w jej oczach.

— Nie mam pojęcia, gdzie zostawiłem wóz! — wyjaśnił.

356

RABIN

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Leslie już nie spała, kiedy po południu wrócił do szpitala. Była umalowana i miała na sobie obszytą koronką koszulę nocną. Starannie uczesane włosy związała niebieską wstążką. Michael pocałował żonę.

— Jak mu damy na imię? — zapytał.

— Co byś powiedział na Maxa?

— To najbardziej żydowskie, najmniej zasymilowane imię, jakie znam! Prosto ze sztetł — zaprotestował głośno, choć w duchu był uszczęśliwiony.

— A mnie się podoba! Ponownie ją pocałował.

Pielegniarka przyniosła dziecko. Leslie wzięła je ostrożnie w ramiona.

— Jaki on śliczny! — wyszeptała, a Michael popatrzył na nią ze współczuciem.

Na szczęście po kilku dniach mały wyglądał inaczej. Z powiek zeszła mu poporodowa opuchlizna odsłaniając duże niebieskie oczy, nos upodobił się do prawdziwego nosa, zaczerwienienie ciała ustąpiło miejsca delikatnej różowawej bieli.

— On wcale nie jest taki brzydki! — ze zdumieniem stwierdził pewnego wieczoru Michael, przyprawiając Leslie o ból głowy.

Dzięki pomocy policji miasta San Francisco odnalazł się w końcu ich plymouth; stał tam, gdzie rabin go zostawił. Zginęły tylko dekle z kół. Koszty policyjnych poszukiwań, plus karę w wysokości piętnastu dolarów za parkowanie w niedozwolonym miejscu (postój taksówek), którą przyszło mu zapłacić w trzy dni później, Michael wliczył ochoczo w wydatki związane z porodem.

Abe i Dorothy Kind nie mogli przyjechać do Kalifornii na obrzezanie wnuka. Choć jednak nie zdążyli na brit mała, nie

omineło ich pidjon ha-ben. Dorothy nie zgodziła się na podróż samolotem, odbyli ją więc w wagonie sypialnym ekspresu „City of San Francisco”. Przez trzy dni i trzy noce Dorothy przemierzała kontynent robiąc na drutach. Zrobiła trzy pary bucików i małą czapkę. Abe czytał w tym czasie gazety, pił szkocką whisky, rozmawiał o życiu i polityce z piegowatym konduktorem wagonu sypialnego nazwiskiem Oscar Browning i jak przystało na badacza ludzkich charakterów, obserwował z zainteresowaniem i niemałą dozą podziwu postępy pewnego kaprała lotnictwa, który w dwie godziny po wyjeździe z Nowego Jorku przysiadł się do eleganckiej blondynki w wagonie restauracyjnym, a gdy pociąg dojeżdżał do San Francisco, dzielił z nią przedział. Na widok wnuka Dorothy wpadła w zachwyt.

— Wygląda jak mały gwiazdor filmowy! — zawołała.

— Rzeczywiście ma uszy jak Clark Gable — zgodził się z nią mąż.

Dziadek Abe wziął na siebie obowiązek noszenia Maxa po każdym karmieniu, przezornie okrywszy bark i część pleców czystą pieluszką, żeby się zabezpieczyć przed wymiocinami, nieodmiennie za to zyskując na rękawie w okolicy łokcia rozległą mokrą plamę.

— Piszerke! — ganił malca, wymawiając to słowo z równym udziałem miłości i oburzenia.

Abe i Dorothy zabawili w Kalifornii dziesięć dni. Wzięli udział w dwóch wieczornych nabożeństwach piątkowych w synagodze, siedząc sztywno po obu stronach synowej i udając wraz z nią, że puste krzesła wokół nich nie istnieją.

— Twój mąż powinien zostać spikerem radiowym — szepnął Abe do Leslie po pierwszym kazaniu.

Wieczorem w przeddzień powrotu rodziców do Nowego Jorku Michael wybrał się z ojcem na spacer.

— Idziesz z nami, Dorothy? — zapytał żonę Abe.

— Nie, idźcie sami! Zostanę z Leslie i Maxem —
odpowiedziała i chwyciła się za serce.

— Co ci jest? — zaniepokoił się Abe. — Znowu to samo?
Chcesz, żebym wezwał lekarza?

— Nie potrzeba mi żadnego lekarza. Idźcie już, idźcie!

358

RABIN i?

— O co chodzi? — zapytał Michael ojca, gdy znaleźli się na
ulicy. — Czy mama źle się ostatnio czuje?

— Ach! — westchnął Abe. — Matka kwecz, ja kwecz, nasi
przyjaciele kwecz. Wiesz, co to znaczy? Kwękamy.

Starzejemy się!

— Wszyscy się starzejemy — powiedział ostrożnie Michael.

— A ty i mama przecież nie jesteście jeszcze tacy starzy.

Założę się, że wciąż ćwiczysz hantlami w sypialni. Zgadłem?

— Ćwiczę! — przyznał Abe i poklepał się po płaskim
brzuchu.

— Cieszę się, żeście przyjechali, tato — rzekł Michael.

— Żałuję, że musicie już wracać. Za rzadko się widzimy.

— Odtąd będziemy się widywać częściej. Sprzedaję firmę.

Michael zdumiał się bardziej, niż powinien.

— Wspaniała wiadomość! — ucieszył się. — I co będziesz
robił?

— Podróżował. Cieszył się życiem. Dostarczał twojej matce
drobnych przyjemności. — Abe zamilkł na chwilę.

— Widzisz, nasze małżeństwo należy do tych, które późno
dojrzewają. Zabrało nam sporo czasu, nim nauczyliśmy się
nawzajem cenić. — Wzruszył ramionami. — Chcę, żeby
matka się trochę rozerwała. Zimą Floryda, latem parę tygodni
u was, co parę lat wycieczka do Izraela, żeby zobaczyć się z
Ruthie... jeśli nas wpuszczą te Arabusy.

— I któż to kupuje „Gorsety Kinda”?

— W ostatnich latach składały mi propozycję kupna aż dwie duże firmy. Sprzedam tej, która więcej zaoferuje.

— Cieszę się w twoim imieniu — powiedział Michael.

— To brzmi naprawdę zachęcająco.

— Przemyślałem sobie wszystko dokładnie, więc powinno się udać. Tylko ani słowa matce! Chcę jej zrobić niespodziankę. Rano powstał spór o to, czy Michael ma odwieźć rodziców na stację.

— Nie lubię długich pożegnań na dworcu — oświadczyła Dorothy. — Pocałuj matkę, synku, i pozwól, że wezwiemy taksówkę, jak przystało na ludzi rozsądnych.

359

NOAH GORDON

Michael uparł się jednak i w końcu postawił na swoim.

Odwiózł rodziców na dworzec, gdzie kupił gazety i cygara dla ojca oraz pudełko czekoladek dla matki.

— Oj, mnie nie wolno jeść słodczy! — zmartwiła się.

— Jestem na diecie. — Odepchnęła syna lekko. — Idź już!

Jedź do domu albo do świątyni, tylko zmykaj stąd!

Michael przyjrzał się matce i uznał, że lepiej zrobi, jeśli jej posłucha.

— Do widzenia, mamó! Cześć, tato! — Pocałował oboje w policzki i prędko się oddalił.

— Czemuś go pospieszała? — rozzłościł się Abe. — Mógł pobyć z nami jeszcze z dobry kwadrans!

— Bo nie chciałam się rozplakać na peronie, dlatego!

— powiedziała i rozplakała się.

Uspokoila się, kiedy wsiedli do wagonu. Wzięła do rąk druty do robótek i do lunchu prawie się nie odzywała. W drodze do wagonu restauracyjnego Abe stwierdził, że i tym razem jedzie z nimi Oscar Browning.

— Witani pana, panie Kind! — zawołał piegowaty konduktor.

— Cieszę się, że pan z nami wraca!

- Jaki mu dałeś napiwek, kiedy jechaliśmy w tamtą stronę?
- spytała męża Dorothy, gdy przeszli do następnego wagonu.
- Nie wyższy niż zwykle.
- Więc jakim cudem cię zapamiętał?
- Dużo rozmawialiśmy. To bystry gość.
- Nie wątpię.

W wagonie restauracyjnym Abe zamówił stek i butelkę piwa, Dorothy tylko herbatę i tost.

— Źle się czujesz? — zapytał ją mąż. Przymknęła oczy.

Wokół jej ust pojawiła się biała obwódka.

— Niszt gut. Mam mdłości. To przez to kołysanie pociągu.

— Mówiłem, że trzeba było lecieć samolotem! — Przyglądał się żonie z niepokojem. Po chwili biała obwódka zniknęła i twarz Dorothy odzyskała kolory. — Już ci lepiej?

— Nic mi nie będzie. — Uśmiechnęła się do Abe'a i poklepała go po dłoni.

360

RABIN : «

Kelner przyniósł zamówione danie. Dorothy przyglądała się jedzącemu z apetytem mężowi.

— Wiesz, zgłodniałam — oświadczyła.

— Masz ochotę na stek? — zapytał z ulgą. — A może zjesz trochę ode mnie?

— Nie, dziękuję. Zamów mi tylko truskawki, dobrze?

Przyniesiono je, gdy kończył połędwicę.

— Kiedy patrzę, jak jesz truskawki, przypomina mi się zawsze tamten kosz z targu i motek szpagatu — powiedział.

— Ty to pamiętasz, Abe? Zalecałeś się wtedy do mnie.

Wychodziliśmy zawsze z Helen Cohen, moją sąsiadką, i jej chłopakiem. Jakże on się nazywał?

— Pulda. Herman Pulda.

— A tak, Pulda! Wołali na niego Herky. Zerwali potem z Helen, a on zaczął pracować w tej niekoszycznej jatce na rogu

Pięćdziesiątej Czwartej i Szesnastej Alei. Wy dwaj co wieczór przynosiliście nam worek owoców, nie tylko truskawki, ale czereśnie, brzoskwinie, gruszki, ananasy, co wieczór co innego. Gwizdaliście, a my spuszczałyśmy przez okno z drugiego piętra koszyk na szpagacie. Oj, bo mnie serce rozboli!

— Przez okno twojej sypialni.

— Czasem przez okno Helen. Śliczna z niej była dziewczyna, prześliczna.

— Ale gdzie jej tam było do ciebie! Nawet teraz.

— Gadanie! Spójrz tylko na mnie! — Westchnęła. — Wydaje się, jakby to było wczoraj, a popatrz tylko: posiwiła babka z czwórka wnucząt.

— Wciąż jesteś piękna. — Ścisnął jej kolano pod stołem. — Jesteś bardzo piękną kobietą.

— Przestań! — syknęła, zauważył jednak, że wcale się nie rozgniewała, więc zanim cofnął rękę, jeszcze raz uścisnął kolano żony.

Po lunchu grali trochę w remika, aż Dorothy zaczęła w końcu ziewać.

— Wiesz, zdrzemnęłabym się chwilkę.

— Więc się zdrzemnij.

Zzula buty i położyła się na ławce.

— Zaczekaj! — zawołał Abe. — Każę Oscarowi posłać łóżko.

361

NOAH GORDON

— Nie trzeba — zaprotestowała. — Będziesz musiał mu znowu dać napiwek.

— I tak mu go dam — rzekł poirytowany.

Dorothy łyknęła dwie tabletki na obniżenie ciśnienia, a kiedy Oscar posłał łóżko, zdjęła sukienkę i pas, wsunęła się w halce pod kołdrę i spała aż do ostatniego dzwonka na kolację, kiedy to Abe ją obudził, najdelikatniej jak umiał. Sen wrócił

Dorothy siły i apetyt. Na kolację zamówiła pieczonego kurczaka, jabłecznik i kawę. W nocy przewracała się jednak na łóżku nie dając mężowi zasnąć.

— Co ci jest? — zapytał.

— Nie powinnam była jeść pieczonego! Serce okropnie mi wali — poskarżyła się.

Abe wstał i poda! żonie tabletkę soli alkalicznej.

Rano Dorothy poczuła się lepiej. Wcześniej niż zwykle przeszli do wagonu restauracyjnego, gdzie wypili po szklance soku i filiżance kawy. Kiedy wrócili do przedziału, Dorothy wzięła się znowu za robótkę. Jej druty przerabiały teraz olbrzymi motek niebieskiej włóczki.

— Co to będzie? — zapytał Abe.

— Kocyk dla Maxa.

Abe usiłował zająć się lekturą, ale po pierwsze, w ogóle nie przepadał za czytaniem, a po drugie, był już tym zajęciem znużony. Po jakimś czasie wybrał się więc na przechadzkę wzdłuż rozkołysanego pociągu, aż dotarł do męskiej łazienki, gdzie Oscar Browning układał ręczniki i liczył mydełka.

— Niedługo będziemy w Chicago, prawda? — zapytał Abe i usiadł obok niego.

— Owszem, panie Kind, za jakieś dwie godziny.

— Przed laty sporo z tym miastem handlowałem. Marshal Field, Carson, Pirie i Scott, Goldblatt. Chicago to miasto z prawdziwego zdarzenia.

— Zgadzam się z panem, panie Kind. Ostatecznie w nim mieszkam.

— O, naprawdę? — Abe zamyślił się na chwilę. — Ma pan dzieci?

— Czwórkę.

— Musi być panu ciężko. Stale w podróży i w podróży...

— Lekko nie jest — przyznał konduktor. — Ale w Chicago zawsze czeka na mnie dom.

— Dlaczego nie poszuka pan sobie pracy w mieście?

— Na kolei więcej zarobię. Wolę przyjechać do domu do dzieciaków raz na jakiś czas z pieniędzmi w kieszeni, niżbym miał widywać je codziennie nie mając im za co kupić butów. Mam rację?

— Ma pan rację — przytakną! Abe; uśmiechnęli się do siebie.

— W tej robocie musiał się pan napatrzeć różności. Mam na myśli dziedzinę stosunków męsko-damskich.

— W podróży niektórych faktycznie zaczyna swędzić poniżej pępka. W pociągu nawet bardziej niż na statku. Nudy na pudy, nie ma się czym zająć.

Przez jakiś czas raczyli się opowiadkami z branży gorsciarskiej i z dziedziny romansów kolejowych. Oscar ułożył w końcu wszystkie ręczniki i przeliczył wszystkie mydełka.

Abe Kind wrócił do przedziału.

Motek niebieskiej wełny stoczył się z kolan Dorothy aż pod drzwi.

— Dorothy?

Abe podniósł go i podał żonie.

— Dorothy! — zawołał i potrząsnął ją za ramię, choć od razu domyślił się prawdy. Z całej siły nacisnął przycisk dzwonka i wezwał konduktora.

Gdyby nie to, że oczy miała otwarte, można by sądzić, że śpi. Niewidzące spojrzenie utkwiła w gładkiej, na zielono pomalowanej przeciwległej ścianie przedziału.

W otwartych drzwiach stanął Oscar.

— Słucham, panie Kind? — zapytał i urwał. — O mój Boże!
— wyszeptał.

Abe położył motek wełny na kolanach żony.

— Niech pan lepiej usiądzie, panie Kind — poradził konduktor i ujął Abe'a za łokieć, lecz ten odtrącił jego rękę.

— Poszukam lekarza — powiedział niepewnie konduktor. Abe słuchał, jak oddala się korytarzem, po czym osunął się na kolana. Przez dywanik na podłodze wyczuwał stukot kół na złączach szyn, kołysanie i naprężenia wagonu. Ujął rękę żony i przycisnął ją do swojego zapłakanego policzka.

363

NOAH GORDON

— Dorothy, mam zamiar wycofać się z interesu — wyszeptał.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Ruthie przyjechała dziesięć godzin po pogrzebie. Siedzieli w salonie w mieszkaniu Kindów, gdy zadzwoniła do drzwi.

Podbiegła do ojca i objęła go, a on rozszlochał się rozdzierająco.

— Nie rozumiem, dlaczego nacisnęłam ten dzwonek! — powiedziała, po czym oparła głowę na ramieniu ojca i również się rozplakała.

Kiedy się uspokoiła, pocałowała brata. Michael przedstawił jej Leslie.

— Jak się miewa twoja rodzina? — zapytał.

— Dobrze. — Ruthie wytarła nos i rozejrzała się po pokoju. Wszystkie lustra na prośbę Abe'a zasłonięte, choć Michael twierdził, że to niepotrzebne. — Pogrzeb już się odbył, czy tak?

Michael przytaknął.

— Dziś rano. Zawiozę cię tam jutro.

— Dobrze.

Ruthie miała oczy zapuchnięte i czerwone od płaczu. Była opalona na czekoladowo, a w jej czarnych włosach lśniły pierwsze białe nitki. Połączenie ciemnej opalenizny i siwiejących włosów czyniłoby ją bardzo atrakcyjną, gdyby nie wyraźna nadwaga i więcej niż zawiązek drugiego podbródka. Zgrubiały jej również nogi. Nie przypominała już jego smukłej amerykańskiej siostry, stwierdził z żalem Michael.

Zaczęli się schodzić goście żałobni.

O ósmej wieczorem mieszkanie było już pełne ludzi. Kobiety zastawiły stół. Michael poszedł po papierosy do swojego dawnego pokoju i zastał tam dwóch klientów ojca. Siedzieli na mosiężnym łóżku plecami do drzwi i popijali szkocką.

— Rabin, a poślubił siksę! Możesz sobie wyobrazić?

364

RABIN

— Co za kombinacja, mój Boże!

Michael zamknął cicho drzwi, wrócił do salonu, usiadł obok żony i wziął ją za rękę.

O pierwszej po północy ostatni goście wreszcie sobie poszli. Rodzina zasiadła w kuchni, żeby się napić kawy.

— Czemu się nie położysz, Ruthie? — zapytał Abe.

— Masz za sobą długi lot, musisz być zmęczona.

— Co zamierzasz teraz robić, tato? — odpowiedziała pytaniem.

— Robić? — Skruszył w palcach czekoladowe ciasto z orzechami, upieczone przez żonę jednego z jego krojczych.

— Nie widzę problemu. Moja córka z mężem i dziećmi przeniesie się tu z Izraela i będziemy sobie żyli w pomyślności. Sprzedaję firmę. Wystarczy pieniędzy, żeby Saul mógł otworzyć taki interes, jaki tylko zechce. Jako mój partner. A jeśli miałby ochotę zacząć uczyć, będzie mógł wrócić na uczelnię i zdobyć kolejny tytuł naukowy. Tu aż roi się od dzieciaków, dla których brakuje nauczycieli.

— Tato... — Ruthie zamknęła oczy i pokręciła przecząco głową.

— Co stoi na przeszkodzie? — zapytał.

— W Izraelu nie każdy musi żyć jak pionier. Ty żyłbyś tam jak Rockefeller. Gdybyś ze mną wrócił, jest tam niedaleko nas domek z białym dziedzińcem w cieniu oliwnego gaju.

Mógłbyś uprawiać ogródek, ćwiczyłbyś hantlami na słońcu, wnuki przychodziłyby codziennie i uczyły cię hebrajskiego. Abe roześmiał się smutno.

— No i wydaj tu córkę za obcokrajowca! — Popatrzył na Ruthie. — Musiałbym pisać za dużo listów. O wiele za dużo. Dopiero po dziesięciu dniach dowiadywałbym się, czy drużyna „Yankees” pokonała „Red Sox”, czy na odwrót. A przecież zdarza się, że grają dwa mecze w ciągu jednego dnia. Nie można tam nawet dostać „Women's Wear Daily”*. Wiem, bo próbowałem, kiedyśmy u was byli ostatnim razem z matką...

* Magazyn mody kobiecej.

365

NOAH GORDON

Nagle urwał i wybiegł do łazienki. Ledwo zamknął za sobą drzwi, usłyszeli szum spuszczonej wody. Zapadła cisza.

— A jak tam u was z hydrauliką? — zapytał siostrę Michael. Nie uśmiechnęła się, więc zrozumiał, że już nie pamięta ich przekomarzanki. Po chwili sobie jednak przypomniała.

— Teraz mi to już wcale nie przeszkadza — powiedziała.

— Może to znaczy, że się poprawiło, a może ja wydorzałam.

— Spojrzała w stronę łazienki, w której zamknął się ojciec, i pokręciła głową. — Co wy tu wiecie? — powiedziała cicho.

— Co wy tu w ogóle wiecie? Gdybyście naprawdę wiedzieli, bylibyście tam, nie tu!

— Tata już ci to wyjaśnił — rzekł Michael. — Jesteśmy Amerykanami.

— No tak, podobnie jak moje dzieci są Żydami. Wiedzą, co robić, kiedy nadlatują nieprzyjacielskie samoloty. Uciekają w te pędy do schronu i śpiewają hebrajskie pieśni.

— Bogu dzięki, że żadne z was nie odniosło ran! — westchnął Michael.

— A czy ja to powiedziałam? — zdziwiła się. — Nie, przecież nie mogłam nic takiego powiedzieć! Powiedziałam, że teraz mamy się dobrze, bo tak istotnie jest, ale wcześniej Saul stracił rękę. Prawą.

Leslie mimo woli wyrwał się cichy okrzyk, a Michael poczuł się nagle zmęczony i słaby.

— Gdzie? — zapytał.

— W łokciu.

Chodziło mu o to, gdzie to się wydarzyło, a ponieważ zamilkł, Ruthie zrozumiała, że zaszło nieporozumienie.

— W miejscu zwanym Petach Tikwa. Był w oddziale Irgun Cwai Leumi. Leslie zakaszłała.

— Tych terrorystów? Przepraszam, chodzi mi o to, że oni chyba działali w podziemiu, prawda?

— Na początku, pod okupacją brytyjską. Potem, w czasie wojny, weszli w skład regularnej armii. To właśnie wtedy Saul się do nich przyłączył. Zresztą na krótko.

— Czy teraz znowu uczy? — zapytała Leslie.

366

RABIN

— O tak! I chyba już przy tym zostanie. Brak ręki zapewnia mu wielki mir u dzieci. W ich oczach jest bohaterem.

Zdusiła papierosa i uśmiechnęła się niezbyt serdecznie do brata i bratowej.

Rano następnego dnia po zakończeniu okresu sziwy Abe i Michael odwieźli Ruthie na lotnisko.

— Może nas przynajmniej odwiedzisz? — zapytała ojca całując go na pożegnanie.

— Zobaczymy. Pamiętaj o rocznicy! Nie zapomnij święcić jarcajt.

Przytuliła się do niego.

— Przyjadę — obiecał.

— Szkoda, że tak mało się znamy — powiedziała, uściskawszy Michaela przed wejściem do samolotu. — Ja nie znam ciebie ani twojej rodziny, a ty mnie i mojej rodziny. A mam wrażenie, że byśmy się polubili!

Pocałowała go w usta.

Patrzyli za samolotem linii El Al, póki nie wtopił się w niebo, po czym wrócili do samochodu.

— I co teraz? — zapytał Michael, gdy wyjechali na szosę. — Co powiesz na Kalifornię? Z radością powitamy cię w naszym domu, dobrze o tym wiesz.

Abe uśmiechnął się.

— Pamiętasz zejść? Dziękuję ci, ale nie. Michael wpatrywał się w szosę przed sobą.

— Więc co?... Floryda? Ojciec westchnął.

— Bez matki nie mam ochoty. Nie mógłbym. Pojadę do Atlantic City.

— A co cię tam ciągnie?

— Znam kilka osób, które się tam osiedliły po przejściu na emeryturę, oraz kilka takich, które się co prawda jeszcze nie wycofały, ale jeżdżą tam na lato. Wszystko producenci odzieży. Koledzy po fachu. Pojedź tam jutro ze mną — zaproponował. — Pomógłbyś mi wybrać mieszkanie.

— Chętnie. ^ , -,,-,,-,,:... ,

— Lubię morze i piasek.

367

NOAH GORDON

Znaleźli umeblowane mieszkanie z sypialnią, małą kuchenką, salonikiem i łazienką w niedużym, ale eleganckim pensjonacie w Yentnor dwie przecznice od plaży.

— Drogie, ale co tam! — stwierdził Abe i uśmiechnął się.

— Twoja matka zrobiła się w ostatnich latach dość oszczędna, wiedziałeś o tym?

— Nie.

— Chcesz zabrać jakieś rzeczy z naszego mieszkania?
— zapytał Abe.
— Daj spokój, tato!... — obruszył się Michael.
— Nie potrzebuję ich. Niczego. Chcesz, zabieraj. Sprzedają mieszkania zajmie się agent.
— Dobrze — zgodził się po chwili wahania Michael.
— Wziąłbym to mosiężne łóżko po dziadku. — Sam nie wiedział, dlaczego poczuł nagle gniew.
— Bierz wszystko! Czego nie będziesz potrzebował, rozdasz. Po lunchu wybrali się na spacer. Na krótko zatrzymali się na targu starzyzną, gdzie sprzedawano tandetę po cenach trzykrotnie wyższych od realnej wartości, a potem rozsiedli się w oślepiającym słońcu na leżakach i przyglądali przepływającej przed nimi po bulwarze rzece ludzi. Kilkanaście metrów od nich dwaj uliczni sprzedawcy przedzieleni budką z piwem toczyli pojedynkę na erotyczne symbole. Jeden z nich, w słomkowym kapeluszu, zachwalał swoje hot dogi:
— Największe na świecie kielbasy! Gorące, na łokieć długie, sama rozkosz! Brać, przebierać!
— Kolorowe balony! Balony! Ogromniaste, okrągłaste, baniaste, sprężyste i soczyste! — przekrzykiwał go niski mężczyzna o powierzchowności Włocha, ubrany w spłowiałe dżinsy i podartą niebieską koszulę.
Spocony Murzyn pchał wózek inwalidzki, w którym ledwo się mieściła gruba jak beka damulka trzymająca na kolanach nagie dziecko.

Potem przed Michaelem i jego ojcem przeparadowało stadko nastolatek w kostiumach kąpielowych; kręciły chudymi kuprami w żalonym naśladownictwie zmysłowego toczenia pośladkami demonstrowanego przez hollywoodzkie gwiazdy.

Słona bryza przywiała z jakiegoś odległego miejsca na bulwarze pomruk wzburzonego tłumu i stłumione oddaleniem okrzyki przerażenia.

— Nierządnicą na koniu wskoczyła do morza — ucieszył się Abe i wciągnął głęboko powietrze. — Mechaje! Prawdziwa rozkosz!

— Pomieszkaj tu, tato, ale pamiętaj, kiedy ci się znudzi, że w Kalifornii też są plaże.

— Odwiedzę was — obiecał Abe i zapalił cygaro. — Nie zapominaj, że tutaj wystarczy mi wsiąść do auta, kiedy zapragnę odwiedzić grób matki, a w Kalifornii byłoby to niemożliwe.

Przez chwilę obaj milczeli.

— Kiedy chcesz wracać? — zapytał syna Abe.

— Chyba jutro. Widzisz, mam swoją gminę, nie mogę jej opuszczać na zbyt długo. — Zrobił pauzę. — Oczywiście jeśli dobrze się czujesz...

— Czuję się doskonale.

— Nie chodź za często na grób mamy, tato... Abe mu nie odpowiedział.

— To nikomu nie pomoże. Wiem, co mówię. Ojciec zerknął z uśmiechem na Michaela.

— W jakim wieku ojcowie powinni zacząć słuchać swoich synów?

— W żadnym — odrzekł rabin. — Ale wierz mi, ja często muszę patrzeć na śmierć, czasem nawet kilka razy w tygodniu, i wiem, że żywym nie wychodzi na dobre, kiedy zbyt wiele czasu poświęcają umarłym. Nie da się cofnąć zegara.

— Czy twoja praca cię czasem nie przygnębia?

Michael przyglądał się grubemu spoconemu łysolowi w fezie, oznace członka arabskiego Zakonu Rycerzy Mistycznego Grobu, chyba o wiele za małym jak na jego głowę. Tłuszcioch obejmował ramieniem drobną zblazowaną rudą dziewczynę,

na oko szesnastolatkę, wpatrzoną w niego jak w obraz. Może to jej ojciec? — pomyślał z nadzieją Michael.

— Niekiedy — odpowiedział na pytanie Abego.

— Ludzie przychodzą do ciebie, bo ktoś umarł, bo zachorował, bo synalek wszedł w konflikt z prawem, bo córka zaszła w ciążę za stodołą...

24 Rabin

369

NOAH GORDON

Michael uśmiechnął się.

— Takie rzeczy się dzisiaj nie zdarzają, tato. A jeśli już, to prędzej w samochodzie niż za stodołą. Abe zbył jego uwagę machnięciem ręki.

— I jak pomagasz tym ludziom?

— Robię, co mogę. Raz mi się udaje, raz nie. To drugie zdarza się częściej. Bywa, że nikt nie może pomóc człowiekowi, tylko czas i Bóg.

Abe kiwnął głową.

— Cieszę się, że o tym wiesz.

— I zawsze wysłuchuję tych, którzy do mnie przychodzą. A to już dużo. Potrafię być dla nich choć uchem.

— Choć uchem... — Abe popatrzył na morze. Na błękitnym horyzoncie tkwił, z pozoru nieruchomo, trawler; czarna kreska. — Przypuśćmy, że przyjdzie do ciebie facet i wyzna, że taplał się w grzechu, co mu powiesz?

— Musiałbym więcej o nim wiedzieć.

— Przypuśćmy, że facet przez większą część życia żył jak zwierzę — ciągnął w zadumie Abe. — Walczył jak pies o każdego dolara, grzał się jak kocur, ledwo zwąchał spódniczkę, biegał jak koń wyścigowy, w kółko i w kółko, nawet bez dżokeja na grzbiecie.

I przypuścmy — zakończył cicho — że budzi się pewnego ranka i stwierdza, że jest starym człowiekiem, którego nikt tak naprawdę nie kocha?

— Ależ tato!

— Przez kochanie naprawdę rozumiem, że ktoś jest dla drugiego człowieka kimś najważniejszym na świecie. Michael nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

— Widziałeś mnie kiedyś w dość nieprzyjemnej dla ciebie sytuacji — ciągnął Abe.

— Proszę, nie zaczynaj znowu!

— Nie, nie! — nie dał sobie przerwać Abe. — Chciałem ci tylko powiedzieć, że to nie był pierwszy raz, kiedy spałem z inną kobietą po ślubie z twoją matką. Ani nie ostatni. Nie ostatni!

Michael uchwycił się z całej siły poręczy leżaka.

— Dlaczego uparłeś się mnie tym obciążać? — zapytał.

370

RABIN

— Bo chcę, żebyś mnie zrozumiał! To się w końcu urwało gdzieś po drodze. — Wzruszył ramionami. — Może sprawiły to moje gruczoły, może zmiana stylu życia. Przychodzą mi do głowy różne zabawne możliwości. Zerwałem jednak z łajdaczeniem się i zakochałem się w twojej matce.

Ty i Ruthie nigdy nie mieliście okazji jej poznać tak naprawdę. Dlatego jej strata jest dla mnie tak trudna do zniesienia. Nie dostrzegasz tego, rabi? Nie rozumiesz tego, melumad, mój mądralo? Przez długi czas nie znałem swojej żony, potem poznałem ją na krótko, a teraz ją straciłem!

— Tato!

— Daj mi rękę — poprosił Abe, a kiedy Michael się zawahał, ujął dłoń syna. — Co jest? — spytał szorstko. — Boisz się, że nas wezmą za pedałów?

— Kocham cię, tato. Ojciec uścisnął jego dłoń.

— Sza!

W górze kołowały mewy, bulwarem przewalały się tłumy ludzi. Unosiło się nad nimi wiele fezów, widocznie odbywał się tu zjazd członków Zakonu Rycerzy Grobu. Mały czarny trawler posuwał się wolniutko po krawędzi morza.

— Jest wielu pretendentów do tego tytułu, ale to jest jedyna, największa kielbasa na świecie! — wrzeszczał sprzedawca. Dziewczyna na koniu musiała znowu wskoczyć do morza, z daleka doleciały bowiem słabe okrzyki zachwytu. Przed Michaeliem i jego ojcem wydłużały się i ciemniały oba ich cienie.

Pora się było zbierać. Abe zaciągnął syna do kiosku z piwem i podniósł dwa palce. Za ladą stała znudzona dziewczyna, pospolita zafik osiemnastu na oko lat, nawet niebrzydka, gdyby nie krzywe zęby i niezdrowa cera.

Abe przyglądał się, jak zdejmuje z tacy dwa kufle i sięga do kranika.

— Na imię mi Abe.

— Czyżby?

— A tobie?

— Sheila.

Pokazała w uśmiechu dołączki.

NOAH GORDON

Abe uszczypnął ją lekko w policzek, a potem podszedł do sprzedawcy, kupił czerwony balon, wrócił i przywiązał sznurek do nadgarstka dziewczyny, tak że balon unosił się nad nią niczym olbrzymia opita krwią pchła.

— Ten facet to mój syn. Trzymaj się od niego z daleka. Jest żonaty.

Dziewczyna z obojętną miną przyjęła pieniądze i wydała resztę. Uśmiechnęła się jednak odchodząc od kasy krokiem bardziej sprężystym niż przedtem, a balon pofrunął za nią. Abe przysunął Michaelowi wysoki kufel piwa.

— Strzemiennego — powiedział.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Rabin Kind zaczynał pojmować, że życie jest pasmem kompromisów. Rabinat w świątyni Izajasza nie spełnił jego oczekiwań, nie zasiadały przed nim rzesze wiernych, by słuchać świątłych dwudziestowiecznych interpretacji talmudycznych mądrości. Jego żona była teraz matką, a on ukradkiem szukał w jej oczach tamtej dziewczyny, którą przebiegał dreszcz, gdy na nią patrzy! w pewien specjalny sposób. Obecnie zdarzało się czasem, że gdy kochali się w nocy, a z sąsiedniego pokoju dobiegło ciche kwilenie, Leslie odpychała go i biegła do dziecka. Michael leżał w ciemności i nienawidził tego niemowlęcia, które przecież kochał. Nadeszły święta i synagoga zapełniła się ludźmi, którzy przypomnieli sobie nagle, że są Żydami i że pora okazać należyta skruchę, by przeżyć następny rok. Widok świątyni pełnej wiernych podekscytował Michaela i napełnił jego serce nadzieją. Przysiągł sobie, że nie spocznie, dopóki ich naprawdę nie zdobędzie.

Kolejną próbę postanowił podjąć, gdy jeszcze mieli w pamięci kazanie z Jom Kipur. Jeden z jego dawnych profesorów, doktor Hugo Nachmann, przebywał czasowo w filii Instytutu Rabinicznego w Los Angeles. Doktor Nachmann

372

RABIN

był znawcą epoki, w której powstały zwoje znad Morza Martwego. Michael zaprosił go do San Francisco, żeby wygłosił wykład w synagodze.

Na wykład przybyło osiemnastu słuchaczy. W tej skromnej liczbie zaledwie niecałą połowę stanowili członkowie gminy rabina Kinda. Dwoje z przybyłych okazało się dziennikarzami, których zamiarem było przeprowadzenie wywiadu z doktorem

Nachmannem na temat archeologicznych konsekwencji odkrycia zwojów.

Gość starał się osłodzić państwu Kind porażkę.

— W tym nie ma niczego niezwykłego, proszę mi wierzyć — powiedział. — Ludzie po prostu nie są w niektóre wieczory zainteresowani wykładami. Co innego gdybyście zaproponowali im państwo wieczorek tańczący...

Nazajutrz, oparty o parkan otaczający na wpół ukończony budynek kościoła, Michael podzielił się swoimi troskami z ojcem Campanellim.

— Spotykają mnie same niepowodzenia — wyznał. — Cokolwiek bym zrobił, nie jestem w stanie przyciągnąć ich do świątyni.

Ksiądz dotknął palcem znamienia na policzku.

— Ja zaś dziękuję często w porannej modlitwie za to, że istnieją dni pokutne — rzekł cicho.

Pewnego ranka w kilka tygodni później Michael leżał na łóżku i myślał z niechęcią o czekającym go dniu. Wiedział dostatecznie dużo o psychicznych następstwach utraty bliskiej osoby, by zdawać sobie sprawę z tego, że jego nastrój jest następstwem pogrzebu matki, ale świadomość tego faktu bynajmniej nie podnosiła go na duchu. Leżał z pustką w głowie, wpatrzony w ryseł na suficie sypialni, jedyną pociechę czerpiąc z dotyku ciepłego uda Leslie.

Mało jest rzeczy w świątyni Izajasza zdolnych wyciągnąć mnie z łóżka, skonstatował. Nawet jej czysta podłoga.

Tuż przed świętami szamasz, szczerbaty mormon, który od trzech lat utrzymywał synagogę w nieskazitelnej czystości, oznajmił, że wyjeżdża do córki w Utah, by kurować się z rwy kulszowej i rozbudzić w sobie na nowo ducha wiary. Zbierają-

ca się z rzadka Rada Synagogałna wykazywała letargiczną opieszałość w staraniach o znalezienie jego następcy. Phil Golden pieklił się i pomstował, mimo to srebra i mosiężne ozdoby w dalszym ciągu ciemniały nie polerowane, a wosk na podłogach żółkł. Michael mógł co prawda sam zgodzić woźnego, mając gwarancję, że na jego żądanie wypłacano by czekami pobory najętemu przezeń posługaczowi, ale ostatecznie zatrudnienie nowego pracownika należało do obowiązków rady. Mogliby wykazać choć tyle zainteresowania sprawami świątyni, pomyślał ponuro.

— Wstawaj! — ponagliła go Leslie przewracając się na drugi bok.

— Po co?

Mimo to w godzinę i kwadrans później zaparkował samochód przed świątynią. Zdziwił się, ujrawszy otwarte drzwi i usłyszawszy dobiegający ze środka odgłos szorowanego szczotką ryżową linoleum. Kiedy zbiegł po schodach kierując się w stronę źródła tego dźwięku, zobaczył mężczyznę w białym poplamionym farbą kombinezonie, szorującego na czworakach podłogę w holu.

— Phil!

Golden otarł grzbietem dłoni spocone czoło.

— Zapomniałem przynieść gazety — mruknął. — Czy kiedy byłeś mały, twoja matka też myła w każdy czwartek po południu wszystkie podłogi w domu i rozkładała na nich gazety?

— W piątek — stwierdził Michael. — W piątek rano.

— Nu, w piątki rano piekła chały.

— Co ty wyprawiasz? Kto to widział, żeby taka kwękająca mamserka szorowała podłogi! Chcesz się nabawić ataku serca?

— Serce mam jak koń — oświadczył Golden — a w świątyni musi być czysto. Chyba nie chcesz mieć świątyni podobnej do chlewa?

— Więc niech wynajmą woźnego! Ty sam mógłbyś kogoś zgodzić.

— Wszyscy posługacze prędzej czy później dają nogę. Zaczynij ich wyręczać, i zaraz zapominają o swoich obowiązkach. A tymczasem podłogi mają być czyste!

Rabin pokręcił głową.

374

RABIN '!"•

— Oj, Phil, Phil!

W biurze zdjął marynarkę, krawat i podwinął rękawy.

Poszukał w szafach drugiego wiadra i szczotki.

— Ani mi się waż! — zaprotestował Golden. — Prosiłem cię o pomoc? Jesteś rabinem!

Ale Michael już na kolanach szorował podłogę szczotką maczaną w wodzie z mydłem. Golden westchnął więc tylko z rezygnacją i wrócił do roboty. Przez jakiś czas szorowali równo w przyjaznym milczeniu, po czym Golden zaczął nucić zadyszczanym zachrypniętym głosem arie operowe.

— Pościgajmy się do końca holu — zaproponował Michael.

— Przegrany idzie po kawę.

— Żadnych wyścigów! — sprzeciwił się Phil. — Obejdzie się bez szczenięcych zabaw. Po prostu praca, rzetelna praca.

Golden pierwszy dotarł do końca korytarza, a mimo to poszedł po kawę. W kilka minut później siedzieli naprzeciwko siebie w pustej klasie szkoły hebrajskiego z kubkami w rękach.

— Nie pokazuj rabinowej tych spodni — poradził Phil.

— Niech zobaczy! Niech wie, że nareszcie pracuję na swoją pensję.

— Pracujesz na nią codziennie!

— Nie pleć, Phil! — Michael zakręcił płynem w kubku. — Stałem się niemal pełnoetatowym talmudystą. Całe dni ślęczę nad książkami poszukując Boga.

— A czy ktoś ci robi z tego powodu wyrzuty?

— Jeśli Go nawet znajdę, moja gmina dowie się o tym nie wcześniej niż w następane święto Jom Kipur. Golden zaśmiał się, a potem westchnął.

— No cóż, uprzedzałem cię — przypomniawszy. — Tacy to już ludzie! — Położył rabinowi rękę na ramieniu. — Mimo to oni cię lubią. Pewnie w to nie uwierzysz, ale bardzo cię tu lubią. Zamierzają zaproponować ci nawet podpisanie długoterminowego kontraktu. Z przewidzianą co roku niemałą podwyżką.

— I za cóż to?

— Za trwanie na posterunku. Za to że jesteś ich rabinem. Na ich warunkach, rozumie się, lecz jednak ich rabinem. Czy to takie złe dla rabina posiadać zabezpieczenie finansowe i móc przy tym poświęcać większość czasu studiom?

375

NOAH GORDON

Wyjął z dłoni Michaela kubek po kawie i wrzucił wraz ze swoim do kosza na śmieci.

— Pozwól, że zwrócę się do ciebie jak do syna — rzekł. — Wierz mi, to korzystny układ. Machnij na wszystko ręką. Żyj sobie wygodniutko. Bogać się. Pozwól dzieciakowi dorastać wśród tych pięknoduchów, poślij go do Stanford, a potem módl się tylko, żeby wylądował na równie dobrej posadzie jak jego ojciec.

Michael nic mu na to nie odpowiedział.

— Za parę lat kupimy ci na własność samochód. Potem dom.

— Mój Boże!

— Rwiesz się do pracy? — zapytał Golden. — No to już, umyjmy jeszcze jakąś podłogę. — Jego śmiech zadudnił

drwiąco. — Gwarantuję ci, że jak tylko powiem tej zasranej radzie, kto pełni obecnie funkcję woźnego w świątyni, zaraz jutro najmą szamasza na stałe!

Nazajutrz mięśnie Michaela uskarżały się zgodnie na ćwiczenia, do jakich nie przywykły. Przystanął jak zwykle przy kościele Świętej Małgorzaty, oparł się o parkan i przyglądał pracującym na budowie robotnikom w stalowych kaskach. Boleśnie zasupłane ścięgna pod kolanami sprawiały, że odczuwał żywe pobratymstwo z ludźmi pracy całego świata. Ojciec Campanelli nie pojawił się. Rzadko przychodził teraz na budowę. Większość czasu spędzał w swoim starym kościółku z czerwonej cegły, który miał już wkrótce paść pod ciosami rozhuśtanej żelaznej kuli.

Michael doskonale go rozumiał. Nowy kościół nakryto dachem przypominającym kapelusz z lanego betonu. Ściany z kolorowego szkła zwężały się ostro ku ziemi, co sprawiało, że ten fragment budynku przypominał olbrzymi stożkowaty wafel do lodów z uciętym u dołu szpicem. Korytarz ze szkła i aluminium prowadził do kolistej budowli wykazującej pobratymstwo duchowe z elektrownią. Na dachu owej rotundy robotnicy stawiali właśnie lśniący aluminiowy krzyż.

— Jak teraz?! — krzyknął jeden z nich.

376

RABIN

Stojący niedaleko rabina mężczyzna zsunął kask na tył głowy i spojrzał do góry.

— Gra! — odkrzyknął.

Gra, pomyślał Michael. Teraz już nikt nie weźmie tej budowli za stoisko z hot dogami.

Odwróci! się na pięcie i odszedł. Wiedział, że już tam nie wróci, z tych samych pewnie powodów, dla których przestał odwiedzać budowę stary ksiądz. Dom modlitwy zaprojektowano bez najmniejszego wyczucia smaku.

Zresztą i tak nie było już na co patrzeć: kościół był skończony. Skądinąd podobnie jak studia Michaela nad architekturą sakralną. Rabin Kind dopracował się projektu, który uznał za rozsądny wzorzec nowoczesnego domu modlitwy. Ponieważ dawny kościół Świętego Jeremiasza był w stanie sprostać z łatwością skromnym potrzebom świątyni Izajasza, Michaelowi nie pozostawało nic innego, jak opublikować zgromadzone materiały. Napisał artykuł i wysłał go do pisma Centralnej Konferencji Amerykańskich Rabinów, gdzie został wydrukowany. Numery pisma ze swoim artykułem posłał ojcu do Atlantic City oraz Ruthie i Saulowi do Izraela, po czym zapakował wszystkie notatki do tekturowego pudełka, zaniósł je do domu i schował w stojącej na strychu komodzie z mieszkania rodziców, której ani on, ani Leslie nie mieli serca sprzedać.

Uporawszy się z projektem architektonicznym, miał teraz jeszcze więcej wolnego czasu niż dotąd. Pewnego dnia wrócił do domu już o wpół do trzeciej po południu i zastał Leslie zajętą układaniem listy zakupów.

— Jest poczta do ciebie — poinformowała.

Zgodnie z zapowiedzią Phila Goldena przysłano nowy kontrakt. Michael stwierdził, że umowa jest bardzo korzystna: opiewała na pięć lat i przewidywała znaczną podwyżkę pensji na początku każdego roku. Po tych zaś pięciu latach, co nietrudno było wyczytać między wierszami, zaproponowano by rabinowi Kindowi kontrakt dożywotni.

377

NOAH GORDON

Leslie bez słowa komentarza przeczytała dokument, kiedy Michael rzucił go na stół.

— To na dobrą sprawę renta dożywotnia — powiedział. — Zastanawiam się, czy nie usiąść do pisania książki. Czasu mam pod dostatkiem.

Kiwnęła głową i wróciła do listy zakupów.

Michael nie podpisał kontraktu. Zabrał go do sypialni i schował do najwyższej szuflady bieliźniarki, pod tackę ze spinkami do mankietów.

Wróciwszy do kuchni, usiadł przy stole obok żony i zapalił fajkę.

— Zrobię za ciebie zakupy — zaofiarował się.

— Sama je mogę zrobić. To nie twoja sprawa.

— Nie mam nic lepszego do roboty. Popatrzyła na niego i otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, rozmyśliła się jednak. — Jak chcesz.

Po paru dniach przyszedł ten list.

„23 Park Lane Wyndham, Pensylwania 3 października 1953 r.

Rabin Michael Kind

Świątynia Izajasza

2103 Hathaway Street

San Francisco, Kalifornia

Drogi rabinie Kind!

Rada Synagogałna Świątyni Emet w Wyndham z wielkim zainteresowaniem zapoznała się z Pańskim prowokacyjnym artykułem zamieszczonym w niedawno założonym, doskonałym piśmie Centralnej Konferencji Amerykańskich Rabinów.

Świątynia Emet to powstała sześćdziesiąt jeden lat temu średniej wielkości gmina reformowana przy uniwersyteckiej społeczności miasteczka Wyndham położonego trzydzieści siedem kilometrów na południe od Filadelfii. W ciągu kilku

378

RABIN

ostatnich lat liczebność naszej gminy przerosła zdecydowanie pojemność liczącej sobie ćwierć wieku synagogi.

Stoimy zatem przed koniecznością podjęcia decyzji, jak powinna wyglądać nasza nowa świątynia. Pański artykuł

wydał nam się niezmiernie inspirujący. Od dnia jego ukazania się nie milkną w naszym gronie gorące nad nim dyskusje. Nasz przewodnik duchowy od szesnastu lat, rabin Philip Kirschner, przechodzi 15 kwietnia 1954 r. na szczęśliwą — jak mamy nadzieję — emeryturę i wyjeżdża do rodzinnego St. Louis w stanie Missouri. Na jego następcę poszukujemy kogoś, kto byłby jednocześnie inspirującym kapłanem i człowiekiem, który zastanawiał się nad tym, jak powinna wyglądać synagoga we współczesnej Ameryce.

Bylibyśmy niezmiernie zobowiązani, gdyby zechciał Pan omówić z nami tę kwestię. Między 15 19 października 1953 r. będę w Los Angeles na corocznym spotkaniu Towarzystwa Języka Współczesnego na Uniwersytecie Los Angeles.

Bylibyśmy wdzięczni, gdyby zechciał Pan przylecieć w tym czasie do Los Angeles, rozumie się na nasz koszt. Jeśliby to zaś z jakichś względów okazało się niemożliwe, ja mógłbym odwiedzić Pana w San Francisco.

O naszym zamiarze omówienia z Panem kwestii zatrudnienia Go w charakterze rabina powiadomiłem Komisję Pracy Związku Amerykańskich Gmin Żydowskich. Z niecierpliwością czekamy Pańskiej odpowiedzi.

Szczerze oddany

(odręczny podpis) dr Felix Sommers

Przewodniczący Rady

t "Świątyni Emet".

— Pojedziesz? — zapytała Leslie, kiedy Michael pokazał jej list.

— Myślę, że nie zaszkodzi tam polecieć i zorientować się bliżej co i jak — odrzekł.

Powróciwszy późnym wieczorem ze spotkania w Los Angeles, wszedł do domu na palcach sądząc, że Leslie już śpi, tymczasem zastał ją na kanapie w saloniku; oglądała jakiś

NOAH GORDON

nocny program w telewizji. Przesunęła się robiąc mu miejsce f obok siebie, a on położył się i pocałował ją.

— No i jak? — zapytała. j

— Dostawałbym o tysiąc dolarów mniej niż teraz. Do tego; kontrakt podpisałiby ze mną tylko na rok.

— Ale jeśli zechcesz, możesz dostać tę posadę?

— Musiałbym tylko wygłosić zwykłe kazanie gościnne. Ale owszem, mogę ją dostać, jeśli zechcę.

— I co zamierzasz zrobić?

— A co ty chcesz, żebym zrobił?

— Sam musisz zdecydować.

— Orientujesz się, jaki jest los rabinów zatrudnianych wyłącznie na krótkoterminowe kontrakty? Zmieniają się w piłki futbolowe. Gotowe są ich przyjąć jedynie gminy trudne, z problemami, i to za niską pensję. Jak ta w Cypress w Georgii.

Leslie milczała.

— Powiedziałem mu, że przyjedziemy. Odwróciła szybko głowę, tak że nie mógł dostrzec jej twarzy. Wyciągnął rękę i pogłaskał ją po włosach.

— O co chodzi? — zapytał. — Boisz się spotkania z nową gromadą bab?

— Do diabła z jentami! Zawsze znajdują się ludzie, dla których oboje będziemy cudakami. Oni się nie liczą! — Odwróciła się porywczo i objęła męża. — Liczy się tylko to, że będziesz wreszcie robić coś więcej, niż tylko pobierać tłustą prebendę jako rabin wyłącznie tytularny. Jesteś stworzony do czegoś więcej, nie rozumiesz?

Poczuł jej mokry policzek na szyi i zdjął go podziw.

— Jesteś moim sumieniem — szepnął. — Jesteś tym co we mnie najlepsze!

Już wcześniej obejmował ją ramieniem chroniąc przed upadkiem z wąskiej kanapy, więc teraz tylko wzmocnił uścisk. Położyła mu palec na ustach.

— Liczy się tylko to, że tego naprawdę chcesz.

— Naprawdę chcę — przyznał pieszcząc ją czule.

— Myślałam o Pensylwanii! — wyjaśniła po chwili, obróciła się jednak do Michaela i zaczęła go chciwie całować.

Kiedy po jakimś czasie zasypiał w łóżku, Leslie potrząsnęła go za ramię.

380

RABIN

— Czy powiedziałeś mu o mnie? — zapytała.

— Co masz na myśli?

— Dobrze wiesz.

— O Boże! — Podniósł oczy do tonącego w ciemności sufitu.

— Tak, powiedziałem.

— To dobrze! Dobranoc, Michael.

— Dobranoc.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Na kazanie gościnne rabin Kind pojechał sam. Na dworcu czekał na niego komitet powitalny, następnie zawieziono gościa do domu doktora Sommersa na kolację przed nabożeństwem szabatowym. Michaelowi spodobało się to, co zobaczył po drodze. Małe miasteczko oglądane z okien samochodu sprawiało zwodnicze wrażenie sennej miejsciny, jak zresztą większość podobnych osiedli uniwersyteckich. Tymczasem znajdowały się w nim aż cztery księgarnie, a zielona tablica ogłoszeniowa na rynku zapowiadała liczne koncerty i wystawy. Gdzie spojrzeć, widziało się grupki studentów. W powietrzu czuło się chłód jesieni i wyczuwało energię młodości. Staw pośrodku kampusu powlekała lodowa błonka, a nagie konary majestatycznych drzew przyciągały oczy surową urodą.

Podczas kolacji przywódcy gminy zasypali rabina Kinda pytaniami na temat jego poglądów co do ich zamiaru wzniesienia nowej świątyni. Długie tygodnie samotnych studiów wyposażyły go w tyle argumentów, że nie był ich nawet w stanie wyliczyć. Odchodził od stołu otoczony szczerym podziwem słuchaczy, przepełniony pewnością siebie, toteż nic dziwnego, że gdy wieczorem wstąpił na bime, wygłosił porywające kazanie. Mówił o powodach, jakie sprawiły, że pewna starożytna religia zdołała przetrwać mimo zakusów świata, by ją zniszczyć.

Opuszczał Wyndham nazajutrz po południu z przeświadczeniem, że kazalnica tamtejszej synagogi jest już właściwie

381

NOAH GORDON

jego, więc gdy w niecały tydzień później otrzymał listowne na nią powołanie, przyjął tę wiadomość bez zaskoczenia.

W lutym poleciał do Wyndham na pięć dni z całą rodziną.

Większość czasu spędził z Leslie w agencjach mieszkaniowych. Czwartego dnia znaleźli odpowiednie dla siebie mieszkanie — kolonialny dom z czerwonych i czarnych cegieł, nakryty nowym dachem z szarych dachówek.

Znajdował się w zasięgu ich ograniczonych finansowych możliwości, ponieważ — jak objaśnił agent — klienci szukali przeważnie domów z więcej niż dwoma sypialniami. Oprócz tego niedostatku dom miał i inne braki. Pokoje były wysokie, więc trudne do utrzymania w czystości. Nie było zsypu na śmieci ani zmywarki do naczyń, którymi to udogodnieniami cieszyli się w San Francisco. Rury hydrauliczne buczały, bulgotały i rzeżyły ze starości. Podłogi z szerokich dębowych desek były za to w doskonałym stanie. W głównej sypialni znajdował się stary ceglany kominek, a w salonie marmurowy,

z pięknym staromodnym rusztem. Wysokie frontowe okna o osiemnastu kwaterach wychodziły na teren kampusu.

— Och, Michael! — zawołała Leslie. — Jak tu pięknie! Możemy tu mieszkać, póki rodzina się zanadto nie powiększy. Max mógłby tu pójść do college'u.

Tym razem wolał jej nie przytakiwać, ale wypisując czek agentowi handlu nieruchomościami nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

Od samego początku pobytu w Wyndham rabin Kind miał czas wypełniony po brzegi i spotykał się z mnóstwem ludzi. Na uniwersytecie miały swe kapituły Fundacja Hillela oraz Amerykańska Międzyuczelniana Federacja Syjonistyczna i Michael został rabinem ich obu. Co jakiś czas wyjeżdżał z członkami komitetu budowlanego na oglądanie nowych świątyn w innych gminach. Leslie zapisała się na studia podyplomowe na wydział języków semickich, gdzie dwa razy w tygodniu pobierała nauki w kilkusobowym gronie studentów. Świątynia Emet była gminą intelektualistów w intelektualnym środowisku, toteż Michael stwierdził niebawem, że spędza sporo czasu z grupami seminaryjnymi i na studenckich dyskusjach

382

RABIN

panelowych. Przyjęcia koktajlowe, w jakich brał udział, przypominały mu zażarte zebrania dyskusyjne dawnych talmudy-stów, z tą różnicą, że ci współcześni badacze spierali się przeważnie o takich proroków jak Teller, Oppenheimer czy Herman Kahn. Imprezy organizowane przez bratniaki obu płci ściągały liczne rzesze chętnych. Kindowie wpadli w wir życia towarzyskiego. Pewnej zimowej nocy przyszło im nawet pełnić rolę przyzwoitek na studenckim kuligu; sanie sunęły po śniegu, a oni trzymali się pod kocem za ręce i wmawiali sobie,

że chichoty i chrzęst siana w ciemności to odgłosy niewinnych igraszek.

Czas płynął tak szybko, że Michael był szczerze zdumiony, gdy rada synagogała zaproponowała mu nowy kontrakt, uświadomił sobie bowiem, że minął już rok od jego przyjazdu do Wyndham. Nowa umowa opiewała na okres dwuletni i rabin Kind podpisał ją bez wahania. Podbił całkowicie świątynię Emet. Piątkowe nabożeństwa wieczorne ściągały tłumy wiernych, a jego kazania wywoływały zawsze żywe dyskusje podczas oneg szabat. W święta Rosz Haszana i Jom Kipur Michael był zmuszony odprawiać dwa nabożeństwa dziennie. W czasie drugiego z nich w ostatnim dniu Jom Kipur przypomniał sobie nieoczekiwanie, jak samotny i zbędny czuł się w San Francisco.

Udzielił kilku porad małżeńskich, starając się wszakże ograniczać ich liczbę, gdyż stwierdził, że i jego małżeństwo znalazło się w trudnym okresie. W miesiąc po przeprowadzce do Pensylwanii uznali z Leslie, że Max jest już dostatecznie duży, by miał braciszka lub siostrzyczkę, i przestali stosować środki antykoncepcyjne, oczekując z ufnością, że poczęcie raz dokonane uda im się bez trudu powtórzyć. Leslie posypała krążek maciczny talkiem i włożyła mieszczące go małe pudełeczko do komódki z cedrowego drzewa pod zapasowe koce. Dwa, trzy razy w tygodniu kochali się pełni radosnych oczekiwań, ale upłynął rok i Michael uświadomił sobie pewnej nocy, że po stosunku nie może zasnąć, a Leslie odwraca się do niego plecami, podkurcza kolana i zapada w sen nie do-praszając się pieszczot jak dawniej. On zaś leżał i wpatrywał się

383

NOAH GORDON

w ciemność; zdawało mu się, że widzi w niej twarze nie narodzonych dzieci, i zastanawiał się, dlaczego tak trudno

powołać jedno z nich do życia. Modlił się do Boga o pomoc, a nieraz przemykał bosą do pokoju syna, nerwowo poprawiał kocyk pod drobnym podbródkiem i przyglądał się chudej figurce, tak bezbronnej we śnie, nie uzbrojonej w sześciostrzzałowe rewolwery oraz wiarę, że ciosem w brzuch można pokonać wszelkie zło świata. I modlił się znowu, prosząc Boga o bezpieczeństwo i pomyślność dla swojego dziecka. Spędził tak niejedną bezsenłą noc.

Ludzie umierali, a on oddawał ciała zmarłych ziemi, która na nie czekała. Wygłaszał kazania i odprawiał modlitwy. Młodzi kochali się, a on legalizował i poświęcał ich związki. Syn profesora matematyki, Sidneya Landaua, uciekł z jasnowłosą córką Szweda Jensena, trenera lekkoatletyki. Kiedy pani Landau położyła się do łóżka po zażyciu środków uspokajających, rabin Kind i jej mąż udali się tej samej nocy na spotkanie z państwem Jensen i ich luterariskim pastorem, Ralphem Jurgenem. Na zakończenie tego trudnego wieczoru Michael i profesor Landau wracali razem przez uśpiony kampus.

— To po prostu zaniepokojeni rodzice — stwierdził z westchnieniem Landau. — Tak samo zaniepokojeni jak my. I równie wystraszeni.

— Masz rację.

— Porozmawiasz z tą parą bezmyślnych pędraków, jak wrócą?

— Oczywiście!

— Ach, to się zresztą i tak na nic nie zda! Jej rodzice to ludzie wyjątkowo bogobojni. Widziałeś ich pastora.

— Nie uprzedzajmy wypadków, Sidney, poczekajmy do powrotu dzieci. Daj im szansę poszukania własnej drogi. — Zamilkł na chwilę. — Tak się składa, że ten problem nie jest mi całkiem obcy.

— Faktycznie, masz rację — przyznał profesor Landau i pokiwał głową. — Nie powinienem był zwracać się z tym do ciebie. Powinienem był zwrócić się z tym do twojego ojca. Michael zmilczał. ; Profesor Landau zerknął na niego.

384

RABIN

— Znasz ten stary dowcip o zrozpaczonym ojcu, który przychodzi do rabina i skarży się, że jego syn uciekł z siksą, a potem się ochrzcił?

— Nie.

— „Miałem syna, rabi”, powiada, „który został gojem. Co mam robić?”

Rabi pokiwał głową. „Ja też miałem syna”, powiada, „który poślubił siksę i został gojem”.

„I co wtedy zrobiłeś, rabi?”, pyta nieszczęśliwy Żyd.

„Poszedłem do synagogi i zacząłem się modlić do Boga”, powiada rabi, „i w pewnej chwili wypełnił świątynię Jego gromowy głos”.

„I co powiedział, rabi?”, dopytuje się zrozpaczony ojciec.

„Powiedział: JA TEŻ MIAŁEM SYNA...”

Roześmiali się obaj niewesoło. Profesor z widoczną ulgą skrzył w uliczkę prowadzącą do jego domu.

— Dobranoc, rabi.

— Dobranoc, Sidney. Dzwon, gdybyś mnie potrzebował. W chwilę potem dobiegł Michaela z ciemności cichy płacz oddalającego się Landaua. I tak płynęły rabinowi dni.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Michael, trzymając syna za rączkę, czekał na żwirowym peronie dworca kolejowego na pociąg z Filadelfii. Kiedy lokomotywa mijiała ich z łoskotem, Max z całej siły ścisnął jego dłoń.

— Przestraszyłeś się? — zapytał go ojciec.

— Aha, jak kiedy ktoś nagle głośno kichnie.

— Taki duży chłopiec nie powinien się bać — powiedział Michael, i sam nie mógł przez chwilę uwierzyć w to, że jego syn jest już dużym chłopcem.

— Wiem — zgodził się z nim Max nie wypuszczając jednak ręki ojca.

25 Rabin

385

NOAH GORDON

Leslie wysiadła z wagonu i szła w ich stronę. Wyglądała na zmęczoną. Ucałowała obydwu, po czym wsiedli do zielonego forda tudora, który przed niecałymi dwoma laty zastąpił plymoutha.

— Jak poszło? — zapytał ją Michael. Wzruszyła ramionami.

— Doktor Reisman to bardzo miły człowiek. Zbadał mnie, obejrzał wyniki twoich testów i oznajmił, że z połączenia nas dwojga życie powinno dosłownie wytrysnąć. Następnie poklepał mnie po plecach i poradził, żebyśmy nie ustawiali w wysiłkach, a ja zostawiłam jego sekretarce nasz adres, żeby ci mogli przysłać niebotyczny rachunek.

— Cudownie!

— Prawdę mówiąc, dał mi też kilka praktycznych wskazówek.

— Mianowicie?

— Próbę odbędziemy później. — Przygarnęła Maxa i przytuliła go. — Bogu dzięki, mamy przynajmniej tego szkraba. Weźmy sobie parę dni urlopu, Michael — dodała po chwili chowając twarz we włosach syna.

Rabin stwierdził nagle, że i on gwałtownie potrzebuje odpoczynku.

— Moglibyśmy pojechać do Atlantic City i zobaczyć się z ojcem.

— Niedawno się z nim widzieliśmy. Mam lepszy pomysł. Wynajmijmy opiekunkę do dziecka i wyskoczmy gdzieś tylko we dwoje. Na przykład na parę dni w góry Pocono.

— Kiedy?

— Powiedzmy jutro.

Ale kiedy wieczorem kapała Maxa, zadzwonił do rabina profesor Felix Sommers, przewodniczący komitetu budowlanego. Michael rozmawiał z nim przez kilka minut. Członkowie komitetu wrócili właśnie z kolejnego objazdu nowych świątyń.

— No i co, widzieliście tę synagogę w Pittsburghu?

— Jest piękna! — zachwycił się Sommers. — Niezupełnie to o co nam chodzi, ale piękna jak marzenie! Tamtejszy rabin cię zna. Prosił, żeby cię pozdrowić. Nazywa się Levy.

386

RABIN "

— Joe Levy! Przyzwoity facet — ucieszył się Michael i zamilkł na chwilę. — Słuchaj, Felix, ile my to już obejrzelśmy świątyń?

— Dwadzieścia osiem... O Boże!...

— Otóż to! Kiedy wreszcie przestaniemy oglądać, a zaczniemy budować?

— Właśnie w tej sprawie dzwonię, chłopie. Rozmawialiśmy z architektem, który zaprojektował tę świątynię w Pittsburghu. Nazywa się Paolo Di Napoli. Naszym zdaniem jest doskonały, pod każdym względem. Chcemy, żebyś się z nim spotkał i obejrzał sobie jego prace.

— Wyśmienicie! Kiedy?

— Z tym jest pewna trudność. Możemy się z nim zobaczyć tylko w dwóch terminach: albo jutro, albo w następną niedzielę.

— Żaden mi nie odpowiada. Umówcie się z nim na jakiś inny dzień.

— W tym właśnie szkopuł. Facet wyjeżdża do Europy, na całe trzy miesiące.

— W następną niedzielę mam ślub, a jutro... — Rabin westchnął. — Dobrze, niech będzie jutro.
Pożegnali się i Michael poszedł powiedzieć Leslie, że muszą odłożyć wycieczkę.
Rano on i Felix Sommers pojechali samochodem do Filadelfii. Wyruszyli skoro świt i śniadanie zjedli po drodze.
— Martwi mnie trochę, że ten Di Napoli nie jest Żydem — zwierzył się Michael Sommersowi w restauracji. Profesor Sommers przerwał łamanie rogała.
— Że też właśnie ty to mówisz! Michael nie dał się jednak zbić z tropu.
— Nie sądzę, żeby chrześcijanin potrafił oddać się całą duszą projektowi synagogi. To kwestia wczucia się, głębi przeżyć. Temu projektowi będzie brakowało tego, co mój dziadek zwykł nazywać jidisze kwecz.
— A cóż to takiego jidisze kwecz?
— Słyszałeś, jak Perry Como śpiewa „Eli, Eli”? Sommers przytaknął.
— A pamiętasz, jak to śpiewał Al Jolson?
— Więc?

387

NOAH GORDON

— Otóż różnica między tymi wykonaniami to właśnie jidisze kwecz.
— Jeśli Di Napoli zgodzi się przyjąć nasze zamówienie — rzekł profesor Sommers — zdobędziemy kogoś lepszego od żydowskiego architekta. Zdobędziemy wybitnego architekta.
— Zobaczymy — mrukną! Michael.
Ledwo jednak weszli do biura, od razu poczuł do architekta sympatię. Di Napoli nie męczył ich aroganckimi komentarzami specjalisty na temat własnego rzemiosła. Siedział, pykał w milczeniu krótką fajeczkę z korzenia wrzośca i pozwolił gościom oglądać swoje prace. Miał grube

nadgarstki, smutne brązowe oczy, gęstą siwą fryzurę i także wąsy, podobne do przytwierdzonej nad górną wargą szczotki do włosów. Oto wąsy, ocenił w duchu Michael, które oznajmują gotowość ich posiadacza do podjęcia każdego wyzwania, jakie mu rzuci świat. Pośród zrealizowanych projektów Di Napoli znajdowały się cztery naprawdę wspaniałe synagogi, kilka kościołów oraz niezwykła, cudowna biblioteka dziecięca, zaprojektowana dla jakiegoś miasta na Środkowym Zachodzie Stanów. Goście obejrzeni jego szkice oraz rysunki architektoniczne budynków, najczęściej uwagi poświęcając planom świątyń.

Na każdym z nich naprzeciwko fasady gmachu widniało nad horyzontem małe wschodzące słońce.

— Co oznaczają te słońca? — zapytał architekt rabin Kind.

— Osobiste upodobanie. Prywatna próba wykucia słabego choćby ognia łączącego z zamierzoną przeszłością.

— Mógłby to nam pan bliżej wyjaśnić? — wtrącił profesor Sommers.

— Kiedy jakieś trzy tysiące lat temu budowano na wzgórzu Moria świątynię Salomona, Jahwe był bóstwem słonecznym. Świątynię usytuowano więc w taki sposób, że jej frontowy portal był zwrócony w stronę szczytu Góry Oliwnej, wznoszącego się dokładnie na wschód na wysokość około sześćdziesięciu metrów. Dwa razy w roku podczas równonocy pierwsze promienie wschodzącego nad Górą Oliwną słońca wpadały przez wschodnią bramę i przez środek budowli docierały do niszy w przeciwległej zachodniej ścianie, gdzie

388
RABIN

mieściło się najświętsze miejsce świątyni. — Wargi architekta wygięły się pod szczecina wąsów. — Tak się złożyło, że ustawienie frontem ku wschodowi było w tamtych czterech przypadkach możliwe. Jeśli nie okaże się możliwe w

przypadku panów synagogi, no cóż, nie ograniczam się do projektowania świątyń zwróconych frontem na wschód.

— Podoba mi się ta idea — stwierdził Michael. —

„Podnieście, bramy, swoje szczyty, podwyższcie się, odwieczne podwoje, aby wkroczył Król chwały!”*

Wymienili z Sommersem porozumiewawcze spojrzenia i uśmiechnęli się do siebie.

Jidisze kwecz!

— Czy przyniósł pan tę listę ogólnych warunków technicznych, o którą pana prosiłem? — zwrócił się Di Napoli do Sommersa.

Profesor wyjął z teczki żądany dokument. Architekt studiował go długo.

— Niektóre z tych funkcji można by dla oszczędności połączyć bez uszczerbku dla samego projektu — oświadczył.

— Powinna to być budowla służąca przede wszystkim modlitwie — rzekł Michael.

Di Napoli podszedł do biblioteki i wyjął z niej lśniąca reprodukcję jakiegoś architektonicznego rysunku. Cokół przedstawionego na nim budynku stanowiła niska jednopiętrowa konstrukcja, rozłożysta i surowa niczym podstawa piramidy. Następna kondygnacja zajmowała mniejszą już powierzchnię i wznosiła się grupą strzelistych parabolicznych przypór pod sklepiony kopulaste dach. Sprawiał on wrażenie zarazem ziemskiego i nieziemskiego, a wzbijał się w górę z zapierającą dech w piersiach lekkością, wskazując niebo równie nieomylnie jak to robiła wieża każdego kościoła w Nowej Anglii.

— Co to jest? — zapytał po chwili Sommers.

— Katedra budowana w New Norciii w Australii. Projektu Piera Luigi Neryiego — odrzekł Di Napoli.

— Czy może pan zaprojektować dla nas coś równie natchnionego duchem Bożym? — zapytał rabin.

* Psalm XXIV.

389

NOAH GORDON

— Spróbuję — odparł Di Napoli. — Chciałbym jednak najpierw obejrzeć plac budowy. Czy już go panowie wybrali? — Nie.

— Lokalizacja przesądzi o wielu elementach projektu. Ale... skłaniałbym się do użycia materiałów porowatych. Nie otynkowane płaszczyzny z surowej cegły, surowy beton, wszystko ożywione ciepłymi kolorami, żeby ożywić budowlę. — Kiedy mógłby nam pan przedstawić wstępne szkice? — zapytał rabin Kind.

— W ciągu trzech miesięcy. Przygotuję je w czasie pobytu w Europie.

Felix Sommers odchrząknął.

— Ile w przybliżeniu może kosztować podobny budynek?

— Oczywiście będę się musiał zmieścić w granicach sumy, jaką panowie dysponują — powiedział Di Napoli wzruszając ramionami.

— Większą jej część trzeba będzie dopiero zebrać — objaśnił go rabin. — Poznał pan nasze ogólne warunki. Proszę zaprojektować taką świątynię, jaką sam pragnąłby pan stworzyć. W miarę możliwości skromną, ale jednocześnie piękne dzieło sztuki, dom na chwałę Pana podobny do katedry Nerviego. Jakiej kwoty potrzeba na wzniesienie takiej budowli?

Paolo Di Napoli uśmiechnął się leciutko.

— Około pół miliona dolarów, rabinie Kind.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

W kilka tygodni później na trawniku przed świątynią Emet pojawiła się duża biała tablica z niebieskim napisem:

„POSTANAWIAMY PRZYSTĄPIĆ DO BUDOWY —
Nehe-miasz 2: 20”.

Obok postawiono wysoki na cztery metry, pomalowany na czarno termometr, wyskalowany nie w stopniach, ale w tysiącach dolarów. U jego wierzchołka, obok słów „Potrzebna suma”, widniała liczba 450000. Przesuwana czerwona wska-
390

' RABIN ,-

zówka wzniosła się ledwo nad podstawę instrumentu, sięgając kreski oznaczającej czterdzieści pięć, a może pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Widok tego narzędzia pomiarowego przygnębił rabina Kinda, przypominało mu bowiem termometr, który Leslie otrzymała od doktora Reismana i co wieczór po położeniu się do łóżka wkładała do ust. Oparta o poduszkę czytała przy świetle nocnej lampki rozłożoną na kolanach książkę, a termometr wystawał jej z ust jak patyczek lizaka. Michael leżał obok i czekał na wynik, który miał przesądzić o tym, jak spędzi następny kwadrans.

Trzydzieści sześć i siedem kresek lub więcej oznaczało, że może iść spać. Temperatura między trzydzieści sześć i dwie a trzydzieści sześć i trzy oznaczała, że przez najbliższych dwanaście godzin cel w postaci zapłodnienia będzie osiągalny, więc Michael brał się do spełniania mężowskiej powinności. Kiedy pewnej nocy siedział w piżamie w kuchni i czekał, aż Leslie wyjdzie spod prysznic, aby mógł dopełnić tego obowiązku, przyszło mu do głowy, że gdy się tak mozoli w niewygodnej pozycji, nazwanej przez doktora Reismana „pozycją ugiętych kolan”, przypomina znużonego lekarza na stażu, który ma zrobić pacjentowi zastrzyk, mleczarza dostarczającego punktualnie produkty nabiałowe, listonosza przynoszącego pocztę lub pszczelą robotnicę wyładowującą w ulu zebrany pyłek. Pozycja zalecana przez doktora Reismana polegała na tym, że Leslie zakładała Michaelowi swoje opalone uda na ramiona, unosiła biodra i zwracała pochwę ku

górze, niczym kielich lilii, pod takim kątem, by ograniczyć wpływ nasienia i zwiększyć jego wchłanianie. Rezultat gwarantowany. Przez doktora Reismana i pisma kobiece. Rabin w posepnym nastroju podszedł do szafki kuchennej i przejrzał leżącą na niej pocztę. Rachunki. Pierwsze wyniki Felixa Sommersa na niwie zbiórki funduszy. Michael nalał sobie szklanek mleka i wrócił do stołu.

„Drogi Członku Gminy!

Istnieje blisko siedemset powodów, dla których Gmina Emet potrzebuje nowej świątyni. Ty i Twoja rodzina jesteście jednym z nich!

391

NOAH GORDON

Liczba tych powodów stale rośnie, oby się mnożyły, i będzie nadal wzrastała.

W ciągu ostatnich trzech lat liczebność naszej gminy uległa podwojeniu. W dwunastu sąsiadujących z nami, a pozbawionych świątyń gminach buduje się setki nowych domów. Gdyby kurek tego zbiornika rodzin dotąd nie zrzeszonych tylko lekko odkręcić, nie ulega wątpliwości, że w najbliższych latach możemy się spodziewać równie znacznego przyrostu..."

W łazience przesta! szumieć prysznic. Michael usłyszał zgrzyt pierścieni zasłony przesuwających się po metalowym pręcie, a potem odgłosy towarzyszące wychodzeniu jego żony z wanny. „...jest zaś faktem niepodważalnym, że nie jesteśmy już w stanie sprostać nawet potrzebom naszych dotychczasowych członków.

Szkole hebrajskiego brakuje wyposażenia niezbędnego w każdej placówce oświatowej z prawdziwego zdarzenia. Nasza świątynia to zwykły duży pokój bez ławek, wykorzystywany również jako sala bankietowa, audytorium, świetlica i zwykła klasa szkolna. W święta jesteśmy zmuszeni urządzać dwa

nabożeństwa i dzielić rodziny. Nazbyt wiele rodzinnych uroczystości, takich jak śluby i bar micwy, urząda się poza świątynią. Przyczyny tego stanu rzeczy są oczywiste: nasze utensylia bankietowe są niedostateczne i mało atrakcyjne, kuchenka mała i źle wyposażona. Kucharzom trudno się u nas pracuje.

Nie ulega wątpliwości, że potrzebna jest nam nowa świątynia. Zaangażowaliśmy już architekta, żeby ją dla nas zaprojektował.

Aby jednak nasze marzenie stało się rzeczywistością, każdy z nas musi ponieść pewne ofiary. Czy zechciałbyś rozważyć, na jaki udział z Twojej strony możemy liczyć? W niedalekiej przyszłości zjawi się u Ciebie przedstawiciel Komitetu Zbiórki Funduszu Budowlanego.

Pamiętaj, że składając ten datek składasz go nie dla obcych, lecz dla samego siebie i dla swoich dzieci.

Z poważaniem

(podpis) Felix Sommers

Przewodniczący Komitetu Budowlanego".

392

•;:> RABIN :<-'

Do listu dołączono tekturową podziałkę z przesuwany okienkiem opatrzonym napisem „Twój roczny dochód”. Michael ustawił okienko na liczbie jedenaście tysięcy i stwierdził, że jego udział powinien wynosić trzy i pół tysiąca dolarów. Z jękiem rzucił list na stół.

Leslie wbiegła do sypialni i rabin usłyszał po chwili skrzypnięcie łóżka, a potem jej ciche wołanie:

— Michael!

Jak oni mogą żądać od człowieka jednej trzeciej jego rocznych dochodów? Ilu spośród członków gminy będzie w stanie sprostać takiemu zobowiązaniu? Wszystko wskazywało na to, że komitet prosił o znacznie więcej, niż się spodziewał

uzyskać, w nadziei że deklaracje „kompromisowe” będą dzięki temu wyższe.

Zaniepokoiło to rabina. Niedobry początek, pomyślał.

— Michael?! — zawołała ponownie Leslie.

— Idę, już idę!

— Tak to jest! — usłyszał od Sommersa, kiedy następnego dnia wyraził mu swój sprzeciw wobec metody przyjętej w kwestarskim liście. — Inne gminy przekonały się, że tak właśnie trzeba się do tego zabierać.

— Nie sądzę. To nieuczciwe, Feliksie! Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

— Wynajęliśmy już zresztą zawodowego kwestora — odparł Sommers. — Niech zbiera fundusze w sposób, jaki uzna za właściwy. Zdajmy się po prostu na niego.

Michael zgodził się; kamień spadł mu z serca.

W dwa dni później kwestor zjawił się w świątyni Emet.

Wizytówka informowała, że nazywa się Archibald S. Kahners i jest współdziałowcem firmy Hogan, Kahners i Cantwell, Zbiórka Funduszy na Budowę Kościołów, Synagog i Szpitali, 1611 Industrial Bankers Building, Filadelfia, Pensylwania 10133.

Przybyły zmusił do pomocy szamasza i we dwóch wyładowali z bagażnika nowego czarnego buicka kombi trzy wielkie skrzynie. Skrzynie były ciężkie, więc po drugim kursie obaj ociekali potem. Kiedy wszystkie kufry spoczęły na podłodze

393
NOAH GORDON

w gabinecie rabina, Kahners zwałił się na fotel i przymknął powieki. Michael przyjrzał mu się z zaciekawieniem.

Siwowłosa, zarumieniony, z lekką nadwagą i bezwstydną fałdką tłuszczu wylewającą się z za kołnierzyka starannie skrojonej koszuli przybysz wyglądał na podstarzałego

lowelasa. Zarówno buty, jak i szary garnitur z grubego tweedu czyniły bardzo angielskie wrażenie.

— Nie chodzi nam o kampanię agresywną, panie Kahners — przestrzegł go Michael. — Nie chcielibyśmy urazić naszych członków.

— Rabinie... — Kahners urwał i Michael domyślił się, że zapomniał jego nazwisko.

— Kind — podpowiedział.

— Otóż, rabinie Kind, firma Hogan, Kahners i Cantwell zebrała już fundusze na budowę dwustu siedemdziesięciu trzech kościołów katolickich i protestanckich, siedemdziesięciu trzech szpitali i stu dziewięćdziesięciu trzech synagog. Specjalizujemy się w pozyskiwaniu wielkich sum. Dopracowaliśmy się wypróbowanych i skutecznych metod. Niech się pan więc o nic nie troszczy i zda ze wszystkim na mnie.

— Czy mógłbym panu jakoś pomóc?

— Owszem, prosiłbym pana o sporządzenie listy półtuzi-na osób, które byłyby w stanie opowiedzieć mi to i owo o każdym z waszych członków. Ogólnie: ile ma rocznego dochodu, czym się zajmuje, ile ma lat, jaki posiada dom, ile samochodów i jakich marek, czy posyła dziecko do szkoły prywatnej czy publicznej, dokąd jeździ na wakacje. Prosiłbym pana również o spis tutejszych donatorów Powszechnej Składki Żydowskiej.

Rabin Kind zerknął na wizytówkę.

— Czy panowie Hogan i Cantwell także do nas zjadą, by wspomóc pana w kampanii?

— John Hogan już nie żyje. Zmarł dwa lata temu.

Zatrudniliśmy na jego miejsce pracownika, który zajmuje się katolikami. — Kahners opuścił wzrok i dostrzegł smużkę brudu na szarym garniturze oraz przyklejony do krawata strzępek papieru z opakowania tekturowego pudła. Papierek

strzepnął, a plamę wytarł chusteczką, jeszcze bardziej tylko rozmazując brud. — Mój wspólnik zajmuje się protestantami

394

' " RABIN '••

i nie będzie mi potrzebny do pomocy przy żydowskiej kampanii o czterysta zaledwie tysięcy dolarów — zakończył. Powielacz i dwie maszyny do pisania przywieziono następnego ranka i już wczesnym popołudniem obie sekretarki rabina Kinda siedziały przy składanych stolikach i przepisywały listy. Stukot klawiatur wypłoszył Michaela z biura. Wykorzystał ten czas na złożenie kilku domowych wizyt, a kiedy o piątej wrócił do świątyni, nie zastał tam już nikogo. W gabinecie cisza aż dzwoniła, na podłodze wały się zmięte kartki papieru, popielniczki były przepełnione, na lśniącej powierzchni mahoniowego biurka Michaela widniały odciski dwóch filiżanek do kawy, przypominające dwie trzecie znaku firmowego piwa „Ballentine”.

Wieczorem rabin Kind wziął udział w pierwszym posiedzeniu Komitetu Zbiórki Funduszu Budowlanego z udziałem pana Kahnersa, które okazało się zresztą raczej pogadanką niż posiedzeniem, kwestor wygłosił bowiem regularny wykład, jako podręczników używając list donatorów Powszechnej Składki Żydowskiej z pięciu ostatnich lat.

— Przyjrzyjmy się na początek tym listom. — Rzucił na stół małe zielone broszurki. — Zobaczmy, kto był u was w poszczególnych latach najhojniejszym ofiarodawcą.

Żadna z siedzących przy długim stole osób nie potrzebowała zaglądać do tych materiałów.

— Harold Elkins z Zakładów Dziewiarskich Elkhide

— powiedział Michael. — Daje co roku piętnaście tysięcy dolarów.

— A kto po nim? — zapytał Kahners. Michael przymknął oczy i zastanowił się chwilę.

— Phil Cohen i Ralph Plotkin. Każdy po siedem i pół tysiąca.

— Czyli dokładnie połowę tego co Elkins — zauważył Kahners. — A kto jest następny na liście? Michael nie miał pewności.

— Podpowiem panom: pan Joseph Schwartz. Pięć tysięcy dolarów. Jedna trzecia tego co Elkins. Otóż proszę panów...

— zawiesił głos i popatrzył na zebranych, niczym stary belfer

395
NOAH GORDON

prowadzący lekcję w klasie maturalnej. — Można z tego przykładu wyciągnąć pouczające wnioski. A proszę spojrzeć tutaj. — Rzucił na stół inną zieloną broszurkę. — Oto lista sprzed sześciu lat. Wynika z niej, że Harold Elkins dał wówczas dziesięć zamiast piętnastu tysięcy dolarów. Phil Cohen zaś i Ralph Plotkin dali odpowiednio po pięć tysięcy zamiast siedmiu i pół, a Joseph Schwartz trzy i pół zamiast pięciu. — Powiódł wzrokiem po twarzach słuchaczy. — Czy już panowie rozumieją, o co chodzi?

— Chce nam pan powiedzieć, że istnieje proporcjonalna zależność składek niższych w stosunku do najwyższej? — zapytał Michael.

— Nie bezwarunkowo, ma się rozumieć! — wyjaśnił usłużnie pan Kahners. — Zawsze mogą się zdarzyć jakieś wyjątki. Datki drobnych ofiarodawców bardzo trudno przewidzieć, ten wzór więc obowiązuje tylko do określonej dolnej granicy. Stosuje się jednak do głównych donatorów, tych naprawdę ważnych dla powodzenia całej kampanii. We wszystkich populacjach, jakimi się do tej pory zajmowaliśmy, dawało się zaobserwować tę samą prawidłowość.

Zechcą się panowie odwołać do swojej wyobraźni — ciągnął.

— Dajmy na to, że pan Iksiński dał w danym roku mniej niż zwykle na cele dobroczynne, więc pan Igrek mówi sobie:

„Skoro taki Iksiński, który ma dwa razy większe dochody niż ja, daje w tym roku mniej, pewnie to interes ojf coresl Zwykle daję dwie trzecie tego co on, więc i w tym roku dam mniej”.

— A co by się stało, gdyby pan Iksiński powiększył datek? — zapytał wyraźnie zaintrygowany profesor Sommers. Pan Kahners się rozpromienił.

— Otóż właśnie! Działa ta sama zasada, tyle że z niepomiarne szczęśliwszym rezultatem! Igrek mówi sobie: „Co u diabła! Czy ten Iksiński myśli, że on to już takie Bóg wie co? Rywalizować z nim nie mogę, mógłby mnie kupić, gdyby chciał, ale gorszy od niego nie będę. Zawsze dawałem dwie trzecie tego co on, więc i teraz dam proporcjonalnie więcej!”

— Uważa pan zatem, że wysokość datku Harolda Elkinsa stanowi klucz do powodzenia całej akcji? — zapytał rabin Kind.

Pan Kahners przytaknął.

396

RABIN

— O wyłożenie jakiej sumy, pana zdaniem, należałoby się zatem do niego zwrócić?

— Sto tysięcy.

Ktoś z siedzących w końcu stołu gwizdnął cicho.

— On nawet nie chodzi regularnie do synagogi — zauważył Felix Sommers.

— Jest członkiem gminy? — zapytał pan Kahners.

— Tak.

Kwestor kiwnął z zadowoleniem głową.

— W jaki sposób zamierza pan skłonić tego człowieka, żeby wyłożył tak znaczną sumę? — zaciekawił się Michael.

— Wybierzcie go na przewodniczącego swojego komitetu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Rabin Kind i pan Kahners wybrali się do Harolda Elkinsa wspólnie. Drzwi budynku zmodernizowanej farmy, w której mieszkał fabrykant, otworzyła pani Elkins, jasna blondynka w różowej jedwabnej podomce.

— Witam, rabi! — powiedziała podając mu rękę. Uścisk dłoni miała krzepki, lecz pozbawiony serdeczności. Michael przedstawi! jej pana Kahnersa.

— Hal oczekuje panów. Karmi za domem kaczki. A może mieliby panowie ochotę tam się z nim spotkać?

Poprowadziła ich wokół domu. Chód miała ładny, swobodny, bez śladu skrepowania, zauważył rabin. Była boso. Stopy, długie i szczupłe, wybłyskiwały biało w gęstniejącym zmroku spod rozkołysanego rąbka podomki, a polakierowane, mokre od rosy paznokcie błyszcząły niczym czerwone muszelki. Pani Elkins zaprowadziła gości do męża, po czym wróciła do domu.

Gospodarz był starzejącym się mężczyzną o siwych włosach i spadzistych ramionach, na które mimo ciepłego wieczoru narzucił długi sweter. Sypał ziarno stadku złożonemu

397

NOAH GORDON

z kilkudziesięciu kaczek rozkwakanych na brzegu małego stawu.

Nie przerywając tej czynności przywitał się z przybyłymi. Kaczki były piękne, duże, tęczowo upierzone, o czerwonych dziobach i łapkach.

— Jaki to gatunek? — zainteresował się rabin.

— Kaczka leśna — odpowiedział Elkins sypiąc ziarno.

— Piękne! — zachwycił się pan Kahners.

— Faktycznie.

Jeden z ptaków uderzył skrzydłami, ale nie udało mu się wzbić nad wodę.

— Czy one są dzikie? — zapytał Michael.

— Jeszcze jak!

— Więc czemu nie odlatują? Panu Elkinsowi zabłyśły oczy.

— Uziemiłem je: podciąłem im skrzydła!

— To ich nie boli? — wyrwało się Michaelowi. Pan Elkins prychnął.

— A jak pan się czuł, kiedy pierwszy raz podcinano panu skrzydła? — Parsknął śmiechem. — No widzi pan, one również się z tym pogodziły.

Wetknął sobie między bezkrwiste wargi jedno ziarno i pochylił się nad stawem. Wielka kaczka o migoczących tęczowo piórach podpłynęła, wyciągnęła majestatyczną szyję i wyjęła ziarno z jego ust.

— To moje pieszczoszki — oznajmił fabrykant. — Uwielbiam je! Szczególnie w sosie pomarańczowym. — Rzucił ptakom resztę ziaren, zgniótł torebkę i cisnął na ziemię, po czym wytarł sobie ręce o sweter. — Ale przecież panowie nie przyszli tutaj, żeby podziwiać moje kaczusie!

Wyłożyli mu cel swojej misji.

— I czemuż to chcecie zrobić mnie swoim przewodniczącym?

— zapytał, spoglądając na nich spod siwych krzaczastych brwi.

— Bo potrzebujemy pana pieniędzy — wyjaśnił bez osłonek pan Kahners. — I pana wpływów. Fabrykant uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Zapraszam do środka — powiedział.

398

RABIN

Pani Elkins leżała na kanapie i czytała książkę w miękkiej okładce z wymalowanymi na niej nagimi zwłokami.

Uśmiechnęła się do wchodzących, a jej oczy zetknęły się na chwilę z oczami Michaela. Rabin miał świadomość, że panowie Elkins i Kahners stoją obok, a mimo to znajdował jakąś perwersyjną przyjemność w tym kontakcie wzrokowym.

Po chwili, która wydała mu się nieskończenie długa, choć w istocie trwała tylko kilka sekund, pani Elkins uśmiechnęła się znowu i wróciła do lektury książki. Pod różową podomką rysowała się zgrabna jeszcze figura, ale w kącikach oczu widniały już kurze łapki, a blond włosy w żółtym blasku lampy miały barwę wyblakłej słomy.

Pan Elkins usiadł za biurkiem w stylu Ludwika XIV i otworzył okazałą książeczkę czekową.

— Ile panom trzeba? — zapytał.

— Sto tysięcy — powiedział pan Kahners. Fabrykant uśmiechnął się i wysunął spod książeczki czekowej listę członków świątyni Emet.

— Przejrzałem to sobie przed waszym przyjściem — powiedział. — Trzystu sześćdziesięciu trzech członków. Niektórych znam. Na przykład Ralpa Plotkina, Joego Schwart-za, Phila Cohena czy Hymana Pollocka. Stać ich na to, żeby sypnąć groszem w pocziwej sprawie. — Wypisał i wydarł czek. — Oto pięćdziesiąt tysięcy — powiedział wręczając go rabinowi. — Gdybyście usiłowali zebrać milion, przeznaczyłbym sto, ale że chcecie zebrać tylko czterysta tysięcy, uważam, że i innym należy dać szansę wniesienia swojego udziału.

Podziękowali mu i Michael schował czek do portfela.

— Życzyłbym sobie, żeby w głównym holu wmurowano tablicę ze słowami: „Pamięci najdroższej Marthy Elkins, urodzonej 6 sierpnia 1888, zmarłej 2 lipca 1943 roku”. To moja pierwsza żona — wyjaśnił.

Pani Elkins na kanapie przewróciła stronę w książce.

Uścisnęli gospodarzowi rękę i pożegnali się.

Wsiadali do samochodu, kiedy rozległo się trzaśnięcie drzwi i dogoniło ich wołanie pani Elkins:

— Rabinie Kind! Rabinie Kind!

Biegła w ich stronę podkasawszy różową podomkę, żeby się nie zaplatać w jej fałdach.

399

NOAH GORDON

— Mąż prosi! powiedziec — oznajmiła zadyszana — że chciałby zobaczyć wierny rysunek tej tablicy, zanim ją odleją. Michael przyrzekł, że tego dopilnuje, i pani Elkins zawróciła w stronę domu.

Gdy włączył silnik, siedzący obok niego Kahners zachichotał cicho, jak gracz w kości, który wyrzucił pożądaną liczbę oczek.

— Tak to się załatwia, rabi!

— Przecież dostał pan tylko połowę spodziewanej sumy! Czy to nie oznacza, że i pozostałe datki zostaną zredukowane o połowę?

— Powiedziałem, że poprosimy starego o sto kawałków, ale miałem nadzieję wydebić góra czterdzieści.

Michael milczał. Poczł nagle wielkie przygnębienie, jakby czek na pięćdziesiąt tysięcy dolarów kamieniem zaciążył mu w portfelu.

— Jestem tu rabinem od półtora roku — rzekł w końcu — i dopiero po raz trzeci widziałem dziś wieczorem Harolda Elkinsa. W świątyni pojawił się przez ten czas wszystkiego dwa razy. Na uroczystościach bar micwy, o ile się nie mylę. A może na ślubach. — Przez jakiś czas prowadził samochód w milczeniu. — Będę się czuł o niebo lepiej przyjmując pieniądze od osób, które ze świątyni korzystają, przychodzą na nabożeństwa i posyłają dzieci do hebrajskiej szkoły.

Pan Kahners uśmiechnął się do niego, lecz nic nie odpowiedział.

Nazajutrz rano w gabinecie Michaela zadzwonił telefon. Jakaś kobieta głosem cichym, pełnym wahania i nieco zachrypniętym zapytała o rabiego.

— Mówi Jean, Jean Elkins — przedstawiła się w następnej chwili.

— A, pani Elkins! — Michael zauważył, że Kahners podniósł głowę słysząc jej nazwisko i uśmiechnął się domyślnie. — W czym mogę pani pomóc?

— To ja chciałam zapytać, czy nie mogłabym jakoś pomóc w zbiorce pieniędzy na budowę.

— Ach tak...

400

>• RABIN ? ,•>•

— Potrafię pisać na maszynie, prowadzić księgowość i obsługiwać maszynkę do liczenia. Harold popiera mój pomysł — dodała po pauzie. — Musi na jakiś czas wyjechać i uważa, że takie zajęcie mogłoby mnie powstrzymać od zdronnych myśli.

— Ależ oczywiście, proszę do nas zaglądać, ilekroć pani zechce! — rzekł rabin.

Odkładając słuchawkę zauważył, że na twarzy Kahnersa błąka się wciąż ten sam uśmieszek, który z jakichś niejasnych dla Michaela powodów wprawiał go w zakłopotanie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

David Bloomberg, sprzedawca samochodów Buicka, zaofiarował pod przyszłą budowę świątyni półtora hektara ziemi na pamiątkę swoich rodziców, a gdy rabin Kind i pozostali członkowie komitetu wybrali się na oględziny działki, stwierdzili od razu, że nadaje się wprost idealnie. Zalesiona podłużna parcela leżała na szczycie wyniosłego wzgórza na skraju miasta, ledwie kilkaset metrów od kampusu. Na wschód rozciągał się stamtąd piękny widok na łąkę w niecce opadającej do młodego lasu szerokiej doliny wyżłobionej przez wijący się strumień.

— Di Napoli będzie mógł wzorem Salomona zbudować swoją świątynię na wzgórzu, zwróconą w stronę wschodzącego słońca — stwierdził profesor Sommers, a Michael tylko potaknął w milczeniu, dając w ten sposób wymowniejszy wyraz swemu zachwytowi, niżby to był w stanie uczynić słowami.

Zdobycie działki budowlanej dodało skrzydeł panu Kahnersowi, który zaplanował niezwłocznie całą serię przyjęć na rzecz funduszu. Na początek wydano niedzielne śniadanie dla mężczyzn, na którym Michael nie mógł być obecny z powodu pogrzebu.

Następnie urządzono przyjęcie w domu Felixa Sommersa. Kiedy państwo Kind tam przybyli, zastali już salon wypełnio-

26 Rabin

401
NOAH GORDON

ny gośćmi popijającymi na stojąco szampana. Michael zdjął dwa kieliszki z tacy, którą mu podsunęto, i zanurzyli się oboje w gwarnym tłumie. Po chwili wdali się w pogawędkę z młodym doktorem biologii i alergologiem z niewielką nadwagą.

— Pewien facet z Cambridge — opowiadał biolog — prowadzi ciekawe badania z dziedziny kriogeniki. Próbuje znaleźć sposób szybkiego zamrażania ludzi. Pojmujecie państwo, chce ich gwałtownie oziębic i utrzymywać w stanie utajonego życia.

— Tylko po co? — zainteresował się rabin i pociągnął łyk szampana. Napój okazał się ciepły i nieco zwietrzały.

— Niech pan weźmie choćby choroby nieuleczalne — zapalił się biolog. — Cierpi pan na jakąś nieuleczalną chorobę? Drobiazg! Zamraża się pana i trzyma w takim stanie, dopóki nie nastąpi przełom w medycynie. Wtedy się pana budzi i doprowadza do zdrowia.

— Tylko tego nam jeszcze w dobie eksplozji demograficznej brakowało! — stwierdził alergolog. — I gdzie by się trzymało te wszystkie uśpione mrożonki?

Biolog wzruszył ramionami.

— Na przykład w wielkich magazynach chłodniach albo w pensjonatach zamrażarkach, co rozwiązywałoby, nawiasem mówiąc, problem niedostatku domów dla starców.

Leslie skrzywiła się z niesmakiem i przełknęła łyk ciepłego szampana.

— A co będzie, jak wyłączą światło? Wyobraża pan sobie pensjonariuszy, którzy budzą się jednocześnie i zaczynają walić pięściami w agregaty, domagając się większej dawki zimna?

Jakby w odpowiedzi ktoś zastukał łyżeczką w karafkę prosząc o ciszę, co Leslie przestraszyło, a jej towarzyszy rozbawiło.

— Szykuje się mówka — mruknął biolog.

— Propagandówka — dodał alergolog. — Już ją słyszałem, rabi. Własne zobowiązanie złożyłem na niedzielnym śniadaniu. Dziś będę tylko podstawionym licytantom.

Michael nie zrozumiał, co tamten ma na myśli. Tymczasem goście przechodzili już do sąsiedniego pokoju, gdzie czekały długie zastawione stoły. Karteczki z nazwiskami miały zapobiec przypadkowemu roztasowaniu się gości. Kindowie
402

RABIN

stwierdzili, że wypadnie im siedzieć obok małżeństwa, które darzyli sympatią — Sandy'ego Bermana, młodszego wykładowcy języka angielskiego na uniwersytecie, i jego żony June. Felix wygłosił krótkie przemówienie powitalne, po czym przedstawił zebranym Kahnersa jako „eksperta od spraw finansowych, który zgodził się uprzejmie wspomóc nas w naszej kampanii”. Następnie pan Kahners zaapelował o składanie ustnych zobowiązań, podkreśliwszy wagę i

znaczenie 'każdego datku. Pierwszy na jego apel odpowiedział alergolog. Zadeklarował trzy tysiące dolarów. Po nich wystąpiło jeszcze trzech mężczyzn, z których żaden nie zaofiarował sumy mniejszej od tysiąca dwustu dolarów. Wszystkie cztery deklaracje zostały złożone dziwnie szybko i skwapliwie — zbyt szybko i zbyt skwapliwie, jakby całą tę scenę ktoś po amatorsku wyreżyserował. W pokoju zawisła kłopotliwa cisza, ciężka jak obfity biust tłustej kobiety. Michael złowił spojrzenie Leslie i domyślił się, że teraz i ona pojęła, co alergolog miał na myśli mówiąc, iż jest tylko podstawionym licytantem: każda z tych deklaracji została złożona już wcześniej. Powtórzono je z zamiarem sztucznego pobudzenia nastroju ofiarności.

— Kto następny?! — zawołał pan Kahners. — Proszę się nie krępować, przyjaciele! Oto otwiera się przed wami szansa wykazania się szczodrością!

Powstał siedzący w rogu mężczyzna nazwiskiem Abramowitz i zobowiązał się do wpłacenia tysiąca dolarów. Pan Kahners rozjaśnił się w pierwszej chwili, ale mina mu zrzędnęła, gdy zajrzał do trzymanej w ręku listy i odszukał na niej nazwisko donatora. Najwidoczniej spodziewał się po panu Abramowitzu większej hojności. Kiedy pan Abramowitz usiadł, siedzący przy jego stoliku mężczyzna nachylił się ku niemu i zaczął mu coś z ożywieniem perswadować. Przy wszystkich stolikach przystąpili teraz do działania specjalnie w tym celu rozsadzeni licytatorzy. Tylko przy stoliku rabina Kinda nikt się jakoś nie kwapił do zachęcania pozostałych do składania ofert. Siedzieli i spoglądali po sobie w milczącym zakłopotaniu. Czy to możliwe, pomyślał Michael, by komitet spodziewał się, iż to on wystąpi w roli naganiacza? Tymczasem zbliżał się do nich promiennie uśmiechnięty pan Kahners.

NOAH GORDON

— Żle z krajem, który ciągle nową się bogaci zdobyczą, ale za to swoich ludzi traci* — wyrecytował.

— Goldsmith — stwierdził chmurnie Sandy Berman.

— O, widzę że pan student! — pan Kahners położył przed nim karteczkę z deklaracją datku.

— Gorzej, belfer. — Berman nie uczynił najmniejszego gestu, żeby podnieść kartkę.

Pan Kahners uśmiechnął się i położył podobne karteczki przed każdym z siedzących przy stoliku mężczyzn.

— Czego się panowie obawiacie? — zapytał. — To tylko oferty. Wyjmujcie pióra i podpisujcie, podpisujcie!

— Lepiej, byś nie ślubował, niżbyś ślubował, a ślubu nie wypełnił** — rzekł Berman.

— Eklezjasta — stwierdził pan Kahners, tym razem już bez uśmiechu. Obiegł wzrokiem stolik. — Posłuchajcie państwo

— rzekł tonem perswazji. — Tyramy przy tej kampanii jak dzikie osły. Robimy to dla was. Dla was i dla waszych dzieci.

Dla całej waszej gminy. Otrzymaliśmy od głównych donatorów obietnicę datków, na których widok zaparłoby wam dech w piersiach. Od jednego tylko ofiarodawcy, pana Harolda Elkinsa, dostaliśmy pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Pięćdziesiąt tysięcy! A więc dalej, okażcie i państwo swą hojność! Robicie to przecież dla samych siebie. Świątynia, którą zamierzamy wybudować, ma być dziełem zbiorowym, w pełni demokratycznym, wspieranym zarówno przez gorzej sytuowanych, jak i przez bogaczy.

— Rzecz w tym, że wcale nie jest demokratyczna — odezwał się siedzący u szczytu stołu młody człowiek o wyglądzie sowy. — Im ktoś gorzej sytuowany finansowo, tym większym obciążeniem dla jego kieszeni jest taki datek.

— Każdy płaci proporcjonalnie do swoich możliwości! — zaoponował pan Kahners.

— Otóż wcale nie! Proszę posłuchać, ja jestem księgowym. Powiedzmy, że moja pensja wynosi dziesięć tysięcy rocznie. To mnie lokuje w dwudziestoprocentowych widełkach podat-
* Fragment wiersza „Wieś opuszczona” Olivera Goldsmitha (1728—1774), tłum. Jan Kasprowicz. ** Cytat z Księgi Koheleta.

404

; RABIN

kowych. Jeśli złożę na świątynię pięćset dolarów, mogę sobie odliczyć od podatku sto, więc moja darowizna kosztuje mnie w istocie czterysta.

A niech pan weźmie człowieka zamożnego, którego roczny dochód wynosi czterdzieści tysięcy — ciągnął poprawiając nerwowo okulary. — W jego widełkach odpis wyniesie czterdzieści cztery i pół procent. Jeśli da na świątynię dwa tysiące dolarów, czyli cztery razy tyle co ja, zaoszczędza blisko połowę ofiarowanej sumy.

Sąsiedzi młodego człowieka zaczęli omawiać między sobą to dziwne zjawisko.

— Zawracanie głowy! Matematycy potrafią każdemu wmówić, co tylko chcą — oświadczył pan Kahners. — Panowie, czy któryś z was jest gotów w tej chwili podpisać zobowiązanie?

Nikt się nie poruszył.

— A więc proszę darować. Miło mi było państwa poznać.

— Pan Kahners podszedł do sąsiedniego stolika.

W kilka minut później goście zaczęli się rozchodzić.

— Może wybraliby się państwo z nami gdzieś na kawę?

— zwróciła się Leslie do June Berman.

June zerknęła na męża i skinęła głową.

Michael spostrzegł, że Kahners rozmawia z panem Abramowiczem, który zadeklarował tysiąc dolarów.

— Nie przyszedłby pan jutro wieczorem o wpół do dziewiątej do pana Davida Bindera? — zapytał kwesor, kiedy ich mijali.

— Nie prosilibyśmy, gdyby nie chodziło o sprawę naprawdę wielkiej wagi. Bylibyśmy panu bardzo zobowiązani.

W restauracji w posepnych nastrojach złożyli zamówienie.

— Nie chciałbym pana stawiać w kłopotliwej sytuacji, rabi — rzekł Sandy — ale muszę powiedzieć, że to wszystko wydaje mi się dość nikczemne.

Michael skinął głową.

— Niestety, cegła i cement kosztują. Dopraszanie się datków to wstrętne, niewdzięczne zadanie, lecz komitet musi jakoś zdobyć te pieniądze.

405

NOAH GORDON

— Nie pozwólcie się im sterroryzować! — zawołała Leslie.

— Tylko wy sami możecie określić wysokość swojego datku. Wpłaćcie tyle, na ile was stać, i nie przejmujcie się resztą.

— Na ile nas stać? — powtórzyła June. Poczekała, aż kelnerka postawi na stoliku filiżanki z kawą i kanapki i oddali się. — Nie jest żadną tajemnicą, jak się w Wyndham wynagradza młodszych wykładowców. Sandy ma na uniwersytecie pięć tysięcy sto dolarów rocznie...

— Junie! — napomniał ją mąż.

— Pięć tysięcy sto plus tysiąc dwieście w szkole wakacyjnej. Ponieważ potrzebujemy samochodu, tej jesieni weźmie również dwa wieczorowe kursy języka handlowego.

Dodatkowe tysiąc osiemset dolarów. Łącznie daje nam to roczny dochód w wysokości ośmiu tysięcy stu dolarów, a ci... głupcy chcą, żebyśmy oddali im z tej sumy tysiąc siedemset pięćdziesiąt dolarów na świątynię!

— To tylko wstępne kalkulacje — rzekł Michael. — Wiem z całą pewnością, że komitet zadowolili się mniejszą kwotą. Znacznie mniejszą.

— Powiedzmy dwustu pięćdziesięcioma dolarami — zaproponował Sandy.

— Jeśli tylko tyle możecie dać, wypiszcie im czek, a kiedy wam podziękują z kwaśną miną, powiedzcie: „Nie ma za co” — poradziła Leslie.

Michael pokręcił głową.

— Niestety, komitet zamierza wyznaczyć minimalną kwotę wpłaty w wysokości siedmiuset pięćdziesięciu dolarów.

Na chwilę zapadła cisza.

— W takim razie ja do tej gry nie wchodzę, rabi — powiedział Sandy.

— A jak pan rozwiąże problem szkoły hebrajskiego dla dzieci?

— Będę płacił chesne tak jak dotąd. Sto czterdzieści dolarów rocznie za całą trójkę, plus trzydzieści miesięcznie za transport.

— To niemożliwe. Rada przegłosowała uchwałę, że do szkoły hebrajskiego będą mogli posyłać dzieci tylko ci członkowie gminy, którzy wnieśli składkę.

406

RABIN

— Szlag by to trafił! — zaklęła June Berman.

— A co ze starą zasadą, według której synagoga to miejsce gdzie nawet najuboższy ma prawo szukać Boga? — spytał Sandy.

— Mówimy o członkostwie, Sandy. Ze świątyni nikt pana nie wyrzuci.

— Ale może zabraknąć dla mnie miejsca siedzącego?

— Wykluczone!

— A jeśli kogoś nie stać na zapłacenie tych siedmiuset pięćdziesięciu dolarów, co wtedy? — zapytała June.

— Powołano komitet opieki społecznej — wyjaśnił niechętnie rabin. — Nikogo nie zostawimy jego własnemu losowi.

Wchodzę w skład tego komitetu. Oprócz mnie zasiada w nim państwa przyjaciel, Murray Engel, dalej Felix Sommers, szef pani męża, a także Joe Schwartz. Sami rozsądni ludzie, jak sędzę.

Leslie nie spuszczała oczu z twarzy Bermiana.

— Okropność! — szepnęła. Sandy parsknął śmiechem.

— Komitet opieki społecznej! Wie pan, co rada mi może?...

Nie jestem klientem opieki społecznej. Jestem nauczycielem akademickim!

Kiedy przyszło do płacenia rachunku, Michael chciał to wziąć na siebie, w końcu jednak ustąpił Sandy'emu, zrozumiawszy, że tego wieczora młodszy wykładowca do upadłego walczyłby o ten przywilej.

Szykując się w godzinę później do snu posprzeczali się z Leslie.

— Nie powinnaś krytykować zbiórki w obecności członków gminy! — skarcił ją mąż.

— A czy to musi być koniecznie zbiórka tak nikczemna w formie? Chrześcijanie zbierają pieniądze na budowę kościołów bez takiego... poniżania ludzkiej godności! Nie moglibyście wprowadzić jakiejś dziesięciny albo czegoś w tym rodzaju?

— My nie jesteśmy chrześcijanami, a ja jestem rabinem, a nie księdzem.

407

NOAH GORDON

— Ale to jest okropne! Okropne! Uważam, że stosowane przez wasz komitet metody są wstrętne! Stanowią obrazę dla ludzkiej inteligencji.

— Proszę cię, nie pogarszaj dodatkowo sprawy!

— Dlaczego na nich nie wpłyniesz, Michael?

— Oni wiedzą, co o tym myślę. Zbiórka pieniędzy to ich sprawa, uważają zaś, że zebrać je można jedynie tymi metodami. Jeśli będę się trzymał na uboczu, świątynia w końcu powstanie, a wtedy otrzymam, być może, szansę uczynienia jej prawdziwie pięknym Domem Bożym. Leslie nic nie odpowiedziała. Odłożyła szczotkę i wyjęła termometr. Michael poczuł na ten widok nieprzewyciężony opór.

— Nie czekaj na mnie — rzekł. — Mam dzisiaj jeszcze trochę pracy.

— Trudno...

Czytał do drugiej nad ranem. Położył się do łóżka upewniwszy się najpierw, że Leslie już śpi, po czym sam szybko zasnął. Fosforyzujące wskazówki budzika wskazywały trzecią dwadzieścia, kiedy się obudził i stwierdził, że Leslie nie ma obok niego. Siedziała przy otwartym oknie i paląc papierosa patrzyła w ciemność. Świerszcze grały na całego. Michael uświadomił sobie, że obudziło go właśnie ich przenikliwe ćwierkanie.

— Ale hałasują, prawda? — Wstał z łóżka i usiadł na parapecie okna, twarzą do żony. — Co ty wyprawiasz?

— Nie mogę spać.

Wyjął papierosa z jej paczki, a Leslie przypaliła mu go zapalniczką. W żółtym blasku płomienia jej oczy wydawały się ogromne, na napiętej twarzy, złożonej jakby z gładkich płaszczyzn światła i nisz cienia, malował się smutek.

— Co się stało, kochanie? — zapyta! czule.

— Nie wiem. Bezsenność, jak przypuszczam. Ostatnio jakoś nie mogę spać. — Przez chwilę oboje milczeli. — Co się z nami stało, Michael?! — zawołała nagle. — Czy dlatego że aż tak zgorzknialiśmy, nie możemy wydać na świat słodkiego maleństwa?

— O czym ty gadasz? — zapyta! szorstko i w tej samej chwili poczuł się jak przyłapany na kłamstwie hipokryta, gdyż
408

RABIN

uświadomił sobie, że Leslie zna go zbyt dobrze, by mógł coś przed nią udawać. — To wspaniała teoria! Prawdziwie naukowa.

— Biedny Michael!

— Uda się! — zapewnił ją. — Poza tym istnieje zawsze możliwość adopcji.

— Nie sądzę, żeby to było uczciwe wobec dziecka. — Popatrzyła na niego w ciemności. — Wiesz, co nam naprawdę dolega?

— Chodź do łóżka.

— Ty nie jesteś już młodym żydowskim Lochinvarem* z gór, a ja dziewczęciem, dla którego złowiłeś tę wielką rybę.

— Na litość boską! — mruknął rozzłoszczony już nie na żarty.

Wrócił do łóżka, ale nie mógł zasnąć. Leslie dalej siedziała w ciemności przy oknie i paliła papierosy. Michael przyglądał się czerwonemu punkcikowi żaru i przypominał sobie tamtą nie istniejącą już dziewczynę oraz swoją miłość do niej, tak wielką, że nie zdołała jej zdusić poduszka, którą przykrył w końcu twarz niczym maską własnego pomysłu.

Kahners doszedł do takiego punktu w kampanii, w którym gotów był sprzedawać świątynię po kawałku. Członkom gminy dostarczono odbitą na powielaczu listę zatytułowaną „Księga pamiątkowa donatorów”, w której przypominano, że dobre imię znaczy więcej niż niezmierzone bogactwa, a dar z serca płynący więcej niż srebro i złoto. Najwyższą zaś cnotą, stwierdzono, jest dobre imię zyskane w dziele służącym naprawie społeczeństwa, edukacji młodego pokolenia oraz kształtowaniu pięknych charakterów. „Księga pamiątkowa”

stwarzała adresatom wyjątkową szansę trwałego połączenia swojego nazwiska bądź nazwiska bliskiej sercu ofiarodawcy zmarłej osoby z budowlą, która miała służyć przyszłym pokoleniom.

Za dwadzieścia pięć tysięcy dolarów można było nabyć prawo nazwania całej synagogi imieniem wskazanej osoby.

Aron ha-kodesz, arka przymierza, kosztowała dziesięć tysięcy. Tyleż samo sala modlitw, podczas gdy szkołę tal-

* Romantyczny bohater ballady z poematu Waltera Scotta Marmion.

409

NOAH GORDON

mudyczną, jak również świetlicę i system klimatyzacji wyceniono na siedem i pół tysiąca.

Bima mogła zostać nazwana imieniem donatora za sześć tysięcy dolarów. Nazwanie Tory (wraz ze wszystkim: sukienką, jadem, tarczą i koroną) kosztowało dwa i pół tysiąca, transakcja porównywalna z nabyciem za trzy i pół tysiąca mosiężnej tabliczki pamiątkowej, jaka zostanie umieszczona na drzwiach do mieszkania szamasza.

Listę odbito na czterech stronach spiętych zszywaczem biurowym. Pan Kahners używał identycznego formularza podczas wszystkich zbiórek w środowiskach żydowskich. Przywiózł ze sobą całe ich pliki w jednej ze skrzyń, pozostawało więc tylko wpisać na górze pierwszej strony nazwę świątyni Emet i przepuścić dokumenty przez synagogalny adresograf.

Pewnego dnia kwestor wpadł do gabinetu rabina i wyję-czał: — Muszę dziś zatrzymać obie dziewczęta do późna, żeby wypisywały adresy, a nie mam list! I polegaj tu człowieku na bogatych wolontariuszkach! Pani Elkins zabrała je wczoraj do domu, żeby wyciąć etykiety według wzornika, a teraz mnie

zawiadania, że nie może dzisiaj przyjechać! Letnie zaziębienie!

— Postaram się znaleźć kogoś, kto będzie mógł pojechać po południu po te listy — obiecał Michael.

— Będą nam potrzebne o dziewiętnastej. Najpóźniej o dziewiętnastej trzydzieści — oświadczył pan Kahners i wybiegł, wzywany przez zniecierpliwioną sekretarkę. Nieustanne dzwonienie telefonów, terkot powielacza, uporczywy klekot dwóch maszyn do pisania zlewały się w hałas nieznośny jak zgrzyt noża po szkłe. Michaela rozboleła głowa, zaczął więc szukać pretekstu do opuszczenia biura. Ostatecznie uciekł stamtąd o wpół do dwunastej, zatrzymał się w barze, gdzie zjadł lekki lunch, po czym odbył kilka wizyt kapłańskich, z których jedna skończyła się deserem w postaci herbaty i strudla. O wpół do trzeciej zajrzał do szpitala i posiedział przy chorej, której usunięto niedawno trzy kamienie żółciowe. Wyszedł od niej o czternastej czterdzieści osiem, dokładnie w cztery minuty od chwili, w której pokazała mu wyłuskane ze

410

•,".;• RABIN ;

swojego ciała kamienie niczym drogocenne klejnoty eksponowane na czarnej aksamitnej podściółce: przyszłe pamiątki rodzinne.

Wsiadając do samochodu na szpitalnym parkingu przypomniał sobie o listach członków. Zdjął marynarkę, podwinął rękawy koszuli, opuścił szyby w aucie i pojechał za miasto, mrużąc oczy w blasku popołudniowego słońca.

Zadzwoił do drzwi, lecz nikt mu nie otworzył. Z marynarką w rękę obszedł więc dom i skierował się w stronę stodoły. Pani Elkins leżała w cieniu wielkiego dębu. Wąskie stopy oparła płasko na rozkładanym łóżku, a kolana rozstawiła szeroko. W brązowym V utworzonym z jej goleni Michael

dojrzał stojące na nagim brzuchu pani Elkins naczynie z ziarnem.

Otaczała ją chmara kaczek, które podnosiły rejwach, kiedy szczupłymi palcami rzucała im od niechcienia ziarno.

Wyjątkowo krótkie szorty ujawniały to, co sprawnie ukrywali projektanci mody: początki starczych plam na spodniej stronie ud. Szorty były białe, biustonosz niebieski, a ramiona pani Elkins krągłe i piegowate. Naprawdę jednak zdumiały rabina jej włosy: nie miały już barwy jasnej słomy, lecz połyskiwały jasnokasztano wo.

— O, rabi! — wykrzyknęła na jego widok. Zdjęła płaski rondel z brzucha, wstała i wsunęła stopy w pantofle.

— Dzień dobry. Przybywam jako posłaniec od pana Kahnersa, który wygląda niecierpliwie list członków.

— Mam je już gotowe. Czy mógłby pan poczekać kilka minut, aż nakarmię te potwory?

— Oczywiście. Czasu mam pod dostatkiem.

Rozrzucając wokół siebie ziarno szła u boku rabina przez tłum żarłocznych kaczek w stronę stojącej w cieniu domu wielkiej drucianej klatki. Otworzyła drzwiczki, których zawiasy skrzypnęły zgrzytliwie, włożyła do środka rondel z resztą karmy i szybko zatrasnęła drzwiczki, żeby zapobiec ucieczce dorodnego kaczora, który biegł ku nim przebierając w pośpiechu czerwonymi płetwiastymi nogami i gwałtownie machając skrzydłami.

— Dlaczego ten ptak siedzi w klatce? — zapytał Michael.

411

NOAH GORDON

— Dopiero go dostaliśmy i nie ma podciętych skrzydeł.

Harold zajmie się tym po powrocie. Proszę spocząć. Zaraz wracam.

Poszła do domu. Starając się za nią nie patrzeć, rabin zawrócił w stronę leżanki. Na niebie gromadziły się chmury, a kiedy

siadał, w oddali przetoczył się grzmot, na który kaczki odpowiedziały bezmyślnym kwakaniem. Po niedługim czasie pani Elkins wróciła, niosąc jednak nie listy, lecz dużą tacę, na której stały pojemnik z lodem, szklanki i butelki z jakimiś napojami.

— Proszę ją ode mnie wziąć! — poprosiła. — Jest ciężka! Proszę ją postawić tu na trawie.

Odebrał od niej tacę i postawił na ziemi.

— To niepotrzebne — powiedział. — Wtargnąłem bez uprzedzenia, a pani przecież źle się dzisiaj czuje.

— Ja źle się czuję?

— Jest pani przeziębiona.

— Och! — roześmiała się. — Nie jestem przeziębiona, rabi! Skłamałam panu Kahnersowi, bo chciałam się wybrać do fryzjera. — Zerknęła z ukosa na gościa. — Pan nigdy nie kłamał?

— Obawiam się, że nieraz tak.

— Ja stale kłamię. — Dotknęła kasztanowej fryzury. — Podoba się panu?

— Bardzo! — odpowiedział szczerze.

— Zauważyłam, jak się pan przyglądał moim włosom.

Tamtego wieczoru, kiedy zjawił się pan tu po raz pierwszy, i później, kiedy przyszedłam do synagogi. Domyśliłam się, że nie podobał się panu tamten kolor.

— Ależ nie, wydał mi się całkiem ładny!

— Teraz pan skłamał, prawda?

— Rzeczywiście! — przyznał ze śmiechem.

— Ale tak jest lepiej? Podoba się panu? — zapytała, po raz drugi dotykając jego ręki.

— Tak, istotnie. Kiedy wraca pani mąż? — zapytał, ponieważ zdawszy sobie sprawę, że choć bardzo chciał zmienić temat, wybrał do tego celu nie najwłaściwsze pytanie.

— Najwcześniej za kilka dni. Niewykluczone, że z Nowego Jorku będzie jeszcze musiał pojechać do Chicago.

412

RABIN i!";.f

— Zadzwoiła butelkami. — Czego się pan napije? Dżin z tonikiem?

— Nie, dziękuję — odpowiedział spieszenie. — Byle czegoś zimnego. Może być piwo imbirowe, jeśli je pani ma.

— I owszem.

Na trawniku nie było drugiego siedziska, więc usiadła obok Michaela na leżance, przygotowawszy najpierw dla siebie whisky z lodem.

Przez chwilę sączyli napoje w milczeniu, po czym pani Elkins odstawiła szklanę na trawę i uśmiechnęła się do rabina.

— Nosłam się właśnie z zamiarem poproszenia pana o spotkanie — wyznała.

— W jakim celu?

— Mam... chciałabym panu o czymś opowiedzieć.

Porozmawiać z panem o pewnym... problemie.

— Czy chciałaby pani porozmawiać o tym teraz?

Szybko dopiła drinka i podeszła do tacy, żeby nalać sobie następnego. Tym razem wróciła na leżankę z butelką, którą postawiła obok siebie. Zrzuciła pantofle i podwinęła nogi. Jej polakierowane na czerwono, pokryte warstewką kurzu paznokcie niemal dotykały kolana Michaela.

— Czy powie pan panu Kahnersowi, że skłamałam? Niech mu pan nic nie mówi!

— Nie musi się pani przed nikim tłumaczyć.

— Praca u pana boku sprawiała mi przyjemność. Końce jej palców musnęły jego kolano.

— Pan Kahners twierdzi, że jest pani jedną z najlepszych maszynistek, jakie w życiu spotkał.

— Kiepsko się rozglądał — powiedziała krusząc z chrzęstem zębami kostkę lodu, po czym ponownie sięgnęła po butelkę, a Michael stwierdził z przestraczem, że jej szklanka jest znowu pusta.

Alkoholu nalał jej skąpo, wrzucił za to do szklanki dwie największe kostki lodu, jakie udało mu się wybrać, aby wyglądało na to, że nalał od serca. Pora się zbierać, pomyślał. Chciał już wstać, ale pani Elkins położyła mu dłoń na ramieniu.

— To mój naturalny kolor — powiedziała.

413

NOAH GORDON

Mówi o swoich włosach, uświadomił sobie. Podniósł rękę, żeby zdjąć jej dłoń ze swojego ramienia, a pani Elkins tak ją przekreśliła w przegubie, że ich dłonie zetknęły się palcami.

— Mój mąż jest dużo ode mnie starszy. Młoda dziewczyna nie zdaje sobie sprawy, co robi wychodząc za mąż za starszego od siebie mężczyznę. Nie wie, co ją czeka w nadchodzących latach.

— Pani Elkins... — zaczął rabin, tymczasem ona wypuściła nagle jego rękę i podbiegła do drucianej klatki. Zaskrzypiały otwierane drzwiczki i wielki kaczor rzucił się do wyjścia; zatrzymał się jednak w pół drogi zaskoczony, że przegroda się przed nim nie zamyka.

— No uciekaj, głupi! — zachęciła go kobieta.

Kaczor podbiegł, odbił się z czerwonych płetwiastych łap i machnął tęczowymi skrzydłami. Przez chwilę kołował w górze polśniewając białym brzuchem i długim czarnym ogonem, a potem skrzydła zaklaskały głośniej, ptak wzbił się wysokim łukiem i triumfalnie kwacząc poleciał w stronę lasu za farmą.

— Dlaczego to pani zrobiła?

— Bo chcę, żeby wszyscy na świecie byli wolni. —
Odwróciła się do Michaela. — On, pan, ja!
Podbiegła i zarzuciła mu ręce na szyję. Przywarła do niego całym ciałem i przycisnęła do jego ust gorące wargi, które smakowały whisky i lodem z zamrażalnika. Michael szarpnął się do tyłu, a ona zawisała na nim jak człowiek tonący.
— Pani Elkins!
— Jean.
— To nie jest wolność, Jean. Potarła policzek o jego pierś.
— I co ja mam z tobą zrobić? — wyszeptała.
— Przede wszystkim przestań tyle pić. Przyglądała mu się przez chwilę, aż nagle nad ich głowami zaklaskały znowu skrzydła kaczora.
— Nie masz na mnie ochoty, tak?
— Nie aż taką.
— Czy ty w ogóle masz ochotę na kobiety? Czy ty w ogóle jesteś mężczyzną?
— Owszem — odrzekł spokojnie, już z odległości dwóch kroków, więc jej uszczypliwość nie zdołała go dosięgnąć.

414

RABIN

Pani Elkins odwróciła się na pięcie i poszła w stronę domu, a rabin pozwolił sobie tym razem na przyjemność odprowadzania jej wzrokiem, uznawszy, że zasłużył na przywilej podziwiania jej pięknego chodu. Następnie podniósł marynarkę i wrócił do samochodu. Kiedy otwierał drzwi, coś przeleciało mu ze świstem koło ucha, tak blisko, że aż poczuł podmuch powietrza, uderzyło w dach auta wgniatając go, po czym na ziemię spadło pudełko, otworzyło się i wysypały się z niego fiszki z adresami. Na szczęście większość kartoników została już posegregowana i spięta gumką. Mrużąc oczy w blasku słońca rabin Kind przyglądał się przez chwilę pani Elkins stojącej w otwartym oknie pierwszego piętra.

— Dobrze się czujesz?! —zawołał. — Może chcesz, żebym przysłał kogoś, kto dotrzyma ci towarzystwa?

— Chcę tylko, żebyś wyniósł się stąd czym prędzej do wszystkich diabłów!

Ukląkł, pozbierał fiszki i włożył je z powrotem do drewnianego pudełka, które pękło z jednej strony przy uderzeniu o dach.

Po jakimś czasie — nie wiedząc właściwie dlaczego — zjechał z szosy, zatrzymał auto i zapalił papierosa. Starał się nie myśleć o tym, jak łatwo byłoby zawrócić. Zgniótł niedopałek w popielniczce, wysiadł z samochodu i zagłębił się w las. Zapach jagód poprawił mu samopoczucie. Michael szedł tak szybko, że aż się spocił. Wkrótce zapomniał o Jean Elkins, o Leslie i o świątyni. Stanął na brzegu płytkiego, kryształowo czystego strumienia. Dno było piaszczyste, wyściełane zatopionymi liśćmi. Rabin zdjął buty i trzymając je w rękę wszedł do zimnej wody, która na środku strumienia sięgała zaledwie nieco powyżej kolan. Ryb w niej nie było, ale pod przeciwległym brzegiem pływały żółtobrzechki, a pod kamieniem wypatrzył raka, za którym szedł kilka metrów w dół strumienia, dopóki skorupiak nie skrył się pod innym kamieniem. W trzcinach nad małą kaskadą czatował w środku wielkiej pajęczyny duży żółto nakrapiany pająk. Michaelowi przypomniał się zaraz pająk z baraku, w którym mieszkał podczas wakacji przed pójściem do college'u, kiedy pracował na Cape Cod; ten, z którym prowadził rozmowy. Przez chwilę rozważał, czyby nie przemówić i do tego pająka, uznał jednak, że jest już za

415

NOAH GORDON

stary, a może po prostu on i ten pająk nie mieli sobie nic do powiedzenia.

— Hej! — dobiegło go nagle czyjeś wołanie.

Z urwistego cypla przygląda! mu się jakiś mężczyzna. Michael nie miał pojęcia, od jak dawna tam stał i go obserwował.

— Dzień dobry! — odpowiedział.

Nieznajomy miał na sobie strój farmera: spłowiały niebieski kombinezon, zachlapanane mlekiem buty i niebieską bluzę z ciemnymi plamami potu. Szczecina porastająca jego policzki była takiego samego szarego koloru co pognieciony kapelusz bez otoka, odrobinę za duży, tak że rondo opierało się niemal na uszach.

— To teren prywatny!

— Ach tak? Przepraszam — odrzekł Michael. — Nie zauważyłem tabliczki.

— Wielka szkoda! Bo wszędzie stoją. Tu nie wolno polować ani łowić ryb.

— Ja nie poluję i nie łowię ryb.

— Zabieraj pan swoje brudne giczoły z mojego potoku, bo poszczuję psami! — ostrzegł farmer. — Znamy się na takich! Żadnego poszanowania dla cudzej własności! A swoją drogą co pan tu w ogóle robi, do ciężkiej cholery, z podwiniętymi gaciami jak jakiś smarkacz?

— Wszedłem do tego lasu — odrzekł rabin — ponieważ zapragnąłem żyć mądrze, zgodnie z podstawowymi jedynie przejawami życia. Chciałem sprawdzić, czy nie zdołam nauczyć się od nich tego, co mają do przekazania, abym kiedy mi przyjdzie umierać, nie odkrył, że na dobrą sprawę nie żyłem naprawdę.

Wyszedł ze strumienia, stanął obok farmera i starannie wytarł chusteczką nogi. Na szczęście były czyste. Wciągnął skarpetki, włożył buty i opuścił nogawki spodni, które się trochę pogniotły. Idąc przez las rozmyślał o tym, co by Thoreau odpowiedział temu farmerowi. Kiedy był mniej więcej w połowie drogi do samochodu, zaczął padać deszcz.

Rabin jeszcze przez jakiś czas nie przyspieszał kroku, ale kiedy drzewa przerzedziły się, a deszcz wzmógł, puścił się biegiem. Już od dawna nie biegał, toteż prędko się zadyszał, biegł

416

RABIN

jednak dopóty, dopóki nie wybiegł z lasu, omal nie wpadając na wielką tablicę, która informowała wszem wobec, że rozciąga się za nią teren prywatny, własność Josepha A. Wentwortha, wstęp surowo wzbroniony! Michael dopadł auta bez tchu w piersiach, przemoknięty do suchej nitki, z kolką w boku i ssaniem w splocie słonecznym, wszelako z poczuciem, że udało mu się ująć niebezpieczeństwu, choć było już tak blisko.

W trzy dni później państwo Kind wzięli udział w wieczornym seminarium na uniwersytecie Pensylwania. Kolokwium zatytułowane „Religia w epoce nuklearnej” zgromadziło grono złożone z teologów, naukowców i filozofów i przebiegało w atmosferze ostrożnego interdyscyplinarnego porozumienia, w wyniku którego uzyskano garść odpowiedzi na pytania etyczne, jakie postawiło przed ludzkością rozszczepienie jądra atomu. Z Maxem została studentka, która zgodziła się zanocować u Kindów, nie musieli się więc spieszyć do domu. Po zebraniu przyjęli zaproszenie pewnego rabina z Filadelfii i wstąpili do niego na kawę.

Do Wyndham wrócili dopiero o drugiej nad ranem.

Michael sądził, że Leslie się zdrzemnęła, siedziała bowiem z zamkniętymi oczami i odchyłoną na oparcie głową, tymczasem ona odezwała się nagle:

— Mam wrażenie, jakby wszyscy ludzie na świecie zostali Żydami, tyle że zamiast pieców grozi nam wszystkim bomba atomowa.

Rabin zamyślił się nad jej słowami, lecz nic nie odpowiedział. Po jakimś czasie przestał się nad tym w ogóle zastanawiać. Zdołał nawet zapomnieć o pytaniu, gdzie będzie Bóg, kiedy świat rozwieje się pewnego dnia w chmurę radioaktywnego pyłu.

Noc była ciepła. Nisko nad horyzontem wisiał sierpniowy księżyc podobny do plasterka marchwi. Jechali powoli, w zupełnym milczeniu. W pewnej chwili Leslie zaczęła coś sobie nucić. Michaelowi nie chciało się wracać do domu.

— Nie miałabyś ochoty rzucić okiem na teren świątyni?

— Chętnie! — odrzekła, prostując się na fotelu.

27 Rabin

417

NOAH GORDON

Na wzgórze pięła się serpentyną asfaltowa, coraz węższa szosa, która w połowie wysokości wzniesienia zmieniała się w kamienistą dróżkę, a tuż przed terenem należącym do świątyni całkiem się zatarła. Michael wjechał jak najdalej. Po drodze minęli dom, w którego oknie zapaliło się na mgnienie i zaraz zgasło światło.

Leslie roześmiała się.

— Musieli nas wziąć za parę kochanków! — stwierdziła nie bez goryczy.

Michael zaparkował na końcu dróżki. Wysiedli, minęli płot oraz czerniejący złowrogo w ciemności sag drzewa i weszli na teren przyszłej świątyni. Oblewała go cudowna poświata księżycy, ale grunt był nierówny i śliski z powodu zaścielających go liści z minionych jesieni, więc Leslie przystanęła i zdjęła szpilki. Michael wetknął je po jednym do kieszeni marynarki i wziął żonę za rękę. Wypatrzywszy ścieżkę pod stopami, ruszyli nią wolno i wkrótce stanęli na szczycie wzgórza. Rabin podsadził żonę na duży kamień, na którym stanęła opierając się ręką na jego ramieniu, i spojrzała

z tej wysokości na ciemny przestwór usiany światelkami wielkich gwiazdozbiorów niczym scenografia do dobrego snu. Leslie patrzyła w milczeniu, ale jej dłoń zacisnęła się tak mocno na ramieniu męża, że aż poczuł ból i po raz pierwszy od wielu miesięcy zapragnął żony jako kobiety. Zsadził ją ze skały i zaczął całować — niecierpliwie jak młodzieniaszek — a ona oddawała mu pocałunki, dopóki nie zmiarkowała, do czego zmierza, a wtedy odepchnęła go z całej siły, nieomal uderzyła.

— Ty wariacie! — wyszeptała. — Przecież nie jesteśmy smarkaczami, którzy muszą kryć się po lasach o północy! Jestem twoją ślubną małżonką, mamy w domu wielką mosiężną łożnicę, a na niej dość miejsca do figli na golasa, jeśli tak ci do nich pilno! Zawieź mnie do domu!

Lecz Michaelowi ani to było w głowie. Unieruchomił odpychające go ręce żony, najpierw niby w żartach, potem najzupełniej serio, aż w końcu zaprzestała walki, ujęła w dłonie jego twarz i zaczęła całować go zachłannie niczym panna młoda, przerywając jedynie po to, żeby przypomnieć mu

418

RABIN

szeptem o mieszkańcach pobliskiego domu, na co jednak Michael nie myślał już zwracać uwagi.

Leslie chciała przyjąć pozycję zaleconą jej przez doktora Reismana, ale Michael powstrzymał ją szorstko.

— Nie kochamy się dla poczęcia dziecka, ale po to by w tobie i we mnie dokonała się zmiana! — szepnął.

Kochali się w cieniu skały na suchych szeleszczących liściach, z czułością, ale jak para dzikich zwierząt — kaczką i kaczor, lwica i lew — a potem Leslie stała się znowu jego ukochaną, jego bubełę, dzieckiem, narzeczoną, złotą dziewczyną, dla której złowił kiedyś wielką rybę.

Do samochodu przekradali się jak winowajcy. Michael zerkał w ciemne okna samotnego domu, wypatrując oczu bezsennych podglądaczy. W aucie Leslie przytuliła się do męża. Gdy przyjechali do domu, nalegał, żeby przed wejściem dokładnie otrzepali sobie nawzajem ubrania. Z wystającymi wciąż z kieszeni marynarki szpilkami ukochanej strzepywał właśnie z jej pośladków kawałek liścia i gałązkę, kiedy zabłyśła żarówka nad drzwiami i opiekunka do dziecka oznajmiła im drżącym z przerażenia głosem, że wzięła ich za włamywaczy. W dziesięć dni później Leslie podeszła do Michaela i objęła go za szyję.

— Nie mam okresu — poinformowała szeptem. — Nie wiem, gdzie się podział.

— Spóźni się pewnie o parę dni. To się zdarza.

— Dotąd był punktualny jak król. Poza tym czuję się jak dziewczyna w ciąży z reklamy witamin.

— Pewnie się przeziębilas — powiedział z czułością, modląc się w duchu żarliwie, żeby się nie myliła.

W dwa dni później Leslie chwyciły mdłości i godziny poranne spędziła w łazience szarpana torsjami.

Gdy zaś hormon z jej moczu wzbudził w żabce laboratoryjnej jurność byka na wiosnę, uradowany doktor Reisman sobie przypisał całą zasługę zajścia swojej pacjentki w ciążę. Leslie i Michael nie wyprowadzali go z błędu.

419

NOAH GORDON

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Po siedmiu tygodniach od dnia, w których zjechał do miasta niczym paladyn — co prawda nie na białym koniu, ale w czarnym buicku — pan Kahners spakował skrzynie, nakłonił jakichś trzech nieznanomych przechodniów, żeby mu je przenieśli do samochodu, zainkasował czek na dziewięć tysięcy trzydzieści osiem dolarów i ulotnił się z życia

wspólnoty. Czerwona wskazówka sięgnęła szczytu ustawionego przed świątynią termometru.

Dwanaście rodzin zrzekło się członkostwa w gminie. Trzystu pięćdziesięciu jeden jej członków podpisało zobowiązania do wpłaty sum wahających się od pięciuset dolarów do pięćdziesięciu tysięcy Harolda Elkinsa.

Paolo Di Napoli wrócił z Rzymu z pięknymi pastelowymi szkicami, w których widoczne były wpływy Nerviego i Franka Lloyd Wrighta. Komitet z miejsca jego plany zaakceptował. W październiku na wzgórzu, na którym miała stać synagoga, wjechały ciężkie maszyny. Wykopały dół pod fundamenty wygryzając olbrzymimi kęsami czerwoną ziemię, powaliły dwustuletnie drzewa, wyrwały z korzeniami wiekowe pniaki z głębokich oczodołów i usunęły głazy, które ani drgnęły od czasu, gdy je złożył w tym miejscu ostatni lodowiec.

Przed Dniem Dziękczynienia ziemia zamarzła i spadł pierwszy śnieg. Ciężkie maszyny ściągnięto ze wzgórza. Ogromną ranę wykopów okryła cienkim bandażem warstwa świeżego śniegu.

Któregoś dnia Michael wniósł na wzgórze zgrabną czarno--białą tablicę, informującą przechodnia, że stoi na terenie nowej świątyni Emet. Rabin Kind zbił ją i wymalował własnoręcznie. Nie zdołał jednak wkopać palika, gdyż grunt okazał się zmarznięty, postanowił więc odłożyć ustawienie tablicy do wiosny i zniósł ją z powrotem na dół.

Stał się częstym gościem na placu budowy.

420

RABIN

W bagażniku auta woził zawsze rybackie buty i czasami, gdy zapragnął poobcować sam na sam z Bogiem, jechał do stóp wzgórza, wciągał gumowce, wdrapywał się na szczyt i siadał pod głazem, pod którym kochali się z Leslie. Patrzył na

zamarzniętą jamę w ziemi i kiwał się na zimnym wietrze. Śnieg był usiany śladami królików oraz jakichś innych, nie znanych rabinowi zwierząt. Michael miał nadzieję, że budowa nie wypłoszy z okolicy dzikich stworzeń. Starał się pamiętać, żeby następnym razem przynieść im coś do jedzenia, ale stale o tym zapominał. Wyobrażał sobie, że z ciemności obserwują go błyszczące ślepka potajemnych gmin istot okrytych futerkiem lub pierzem, kiedy wygłaszał do nich kazanie niczym zamieszkały w Pensylwanii żydowski święty Franciszek z Asyżu.

Na wielkim kamieniu narosła w ciągu zimy czapa śniegu, która w miarę zbliżania się wiosny zaczęła maleć, w stopniu odwrotnie proporcjonalnym do pęcznienia brzucha Leslie, aż do chwili gdy śnieg na skale prawie całkiem zniknął, a brzuch jego żony wypełnił się jak balon, co rabin obserwował jak swój prywatny cud.

Siódmego dnia po zniknięciu śniegu ze skały na wzgórze wróciły maszyny budowlane. Obserwując powolny i mozolny proces wylewania fundamentów Michael cierpiał męki oczekiwania pamiętając o rozczarowaniu, jakie przeżył ojciec Cam-panelli w San Francisco, kiedy skończono budowę jego nowego kościoła. Szybko jednak stało się jasne, że gmach synagogi będzie piękny i jej rabin nie dozna zawodu.

Do uzyskania efektu surowego majestatu wczesnych świątyń Di Napoli wykorzystał surową potęgę betonu. Wewnętrzne ściany sanktuarium, wygięte wokół bimy w celu polepszenia akustyki, wzniesiono z porowatej czerwonej cegły.

— Niech pan zachęca swoich wiernych, żeby przeciągali po tych ścianach dłońmi — poradził rabinowi architekt. — Ten gatunek cegły lubi być dotykany.

Di Napoli zaprojektował złoconą miedzianą replikę tablic Dziesięciorga Przykazań i zawiesił je wysoko nad arką na

mrocznym tle ceglanej ściany, oświetlając tajemniczo płomykiem wiecznej lampki.

Klasy szkoły hebrajskiej na piętrze pomalowano na ciepłe pastelowe kolory, ożywione dodatkowo jasnymi ciapkami.

421

NOAH GORDON

Zewnętrzne ściany każdego pomieszczenia stanowiły przesuwane szyby, zapewniające swobodny dostęp powietrza i światła, zabezpieczone od zewnątrz ażurową konstrukcją z betonu, mającą zapobiegać niebezpieczeństwu wypadania przez okna dzieci oraz chroniące przed zbyt jaskrawymi promieniami słońca.

Pobliskie stanowisko starych wysokich sosen przeznaczono na gaj medytacyjny. Di Napoli zaprojektował ponadto stały szałas na święto sukot, który zbudowano za świątynią w pobliżu wielkiego kamienia.

Harold Elkins, który wybierał się właśnie w drugą podróż poślubną z żoną przefarbowaną tym razem na szatynkę, poinformował o nabyciu dla świątyni obrazu Chagalla.

Kobiety przygotowywały się do przeprowadzenia własnej zbiórki. Zamierzały zebrać fundusze na zakup jakiegoś brązu Lipchitza i ozdobić nim nowo założony trawnik.

Po ograniczonym do minimum i obustronnie uprzejmym targu stary budynek świątyni sprzedano Rycerzom Kolumba* za siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Zarówno kupujący, jak i sprzedający wstali od stołu negocjacyjnego bardzo z siebie zadowoleni. Transakcja winna przynieść nadwyżkę funduszowi budowlanemu, ale komitet zmuszony był tymczasem pogodzić się z faktem, że jakkolwiek Archibald S. Kahners zebrał zobowiązania datków, wyegzekwowanie ich stanowiło całkiem odrębne zagadnienie. Ponawiane ponaglenia listowne zyskiwały niewielki tylko odzew.

W końcu profesor Sommers zwrócił się o pomoc do rabina Kinda. Wręczył Michaelowi listę rodzin, które bądź to zwlekały z uiszczeniem składek, bądź to w ogóle się do nich nie zobowiązały.

— Gdybyś tak zechciał ich odwiedzić... — zasugerował delikatnie.

Michael wpatrywał się w listę, jakby jej widok stanowił dla niego zaskoczenie. Była dość długa.

* Założone w r. 1882 międzynarodowe bractwo i organizacja dobroczynna rzymskokatolików.

422

RABIN

•<• — Jestem rabinem, nie poborcą podatkowym!

— Oczywiście, oczywiście! Ale mógłbyś uwzględnić te rodziny w planie swoich kapłańskich wizyt, choćby po to by im przypomnieć, że świątynia o nich nie zapomniała. Takie dyskretne przypomnienie...

Propozycja profesora Sommersa była również takim „dyskretnym przypomnieniem”. Ostatecznie swoje powołanie do świątyni Emet Michael zawdzięczał głównie artykułowi, dzięki któremu dał się poznać jako „rabin budowniczy”. A teraz komitetowi potrzebna była jego pomoc w realizacji tych budowlanych zamysłów. Michael zatrzymał listę.

Pierwszą na niej pozycję zajmował Samuel A. Abelson. Michael odwiedził państwa Abelsonów. W nędznej klitce pozbawionej mebli gnieździła się czwórka małych dzieci, z których dwoje było ciężko przeziębionych. Panią Abelson, dwudziestodwuletnią dziewczynę o zropaczonych oczach, przed trzema tygodniami porzucił mąż. W mieszkaniu panował okropny zaduch i nie było prawie nic do jedzenia. Rabin Kind zgłosił jej nazwisko i adres w Agencji Pomocy Rodzinom Żydowskim, gdzie mu obiecano, że jeszcze tego samego popołudnia wyślą tam pracownika opieki społecznej.

Następny na liście figurował Melvin Burack, hurtownik handlu odzieżą. Nie było go w domu, wyjechał w interesach jednym z trzech należących do rodziny samochodów. Moira Burack podjęła rabina herbatą w urządzonym w stylu hiszpańskim salonie i przyrzekła, że dopilnuje wysłania czeku dla świątyni.

Zadanie Michaela nie okazało się wcale tak trudne, jak się obawiał. Nawet gdy doszedł do siódmego nazwiska na liście: Sanford Berman. June poczęstowała go kawą i ciastem marmurkowym, a Sandy Berman wysłuchał spokojnie, po czym poprosił o spotkanie z komitetem pomocy społecznej w celu ustalenia warunków, które umożliwiłyby mu zapisanie dzieci do szkoły hebrajskiej.

Dobre samopoczucie Michaela zburzyła przygoda, jaka go spotkała w kilka dni później: dojrawszy rabina z daleka, June i Sand Berman przeszli na drugą stronę ulicy, żeby uniknąć spotkania.

423

NOAH GORDON

Nie był to na domiar złego przypadek odosobniony. Inni nie przechodzili co prawda na drugą stronę ulicy, kiedy w polu widzenia pojawiał się ich rabin, ale też nie biegli mu naprzeciwko z okrzykami radości.

Zauważył również, że członkowie jego gminy coraz rzadziej wzywają go do siebie w trudnych momentach życiowych.

Michael siadywał popołudniami w nie wykończonej świątyni i pytał Boga o radę. Modlił się oddychając zapachem gaszonego wapna i świeżego cementu, podczas gdy nad jego głową robotnicy pokrzykiwali, odbijali butelki z winem, klęli i opowiadali sobie pieprzne dowcipy, sądząc że są na budowie sami.

Dwudziestego maja, w dwa dni po poświęceniu świątyni Emet, Felix Sommers zasugerował Michaelowi przygotowanie przemówienia na przyjęcie z szampanem, jakie komitet zamierzał wydać przed rozpoczęciem letnich wakacji. Celem tego spotkania miało być jak najwcześniejsze zebranie zobowiązań przed coroczną zbiórką datków na Koi nidrej w jesieni. Świątynia potrzebuje składek z Koi nidrej na wniesienie opłat hipotecznych do banku, wyjaśnił profesor Sommers.

Kiedy rabin zastanawiał się nad jego propozycją, zadzwonił telefon.

— Michael? — usłyszał głos Leslie. — Już, zaczęło się! Michael rzucił Felixowi niewyraźne „do widzenia”, popędził do samochodu i pojechał do domu. U wylotu drogi z kampusu utknęli w niewielkim korku, ale na ulicach dojazdowych do szpitala ruch panował umiarkowany, jak zwykle we wczesnych godzinach popołudniowych. Leslie była blada, ale uśmiechnięta, gdy zajęchali na miejsce.

Malutka dziewczynka urodziła się niemal równie szybko jak jej braciszek przed ośmioma laty. Przyszła na świat w niecałe trzy godziny po wystąpieniu pierwszych ostrych bólów.

Poczekalnia znajdowała się zbyt blisko sali porodowej, więc gdy od czasu do czasu przez wahadłowe drzwi przechodziła pielęgniarka, do rabina docierały jęki i krzyki rodzających, wśród których rozpoznawał krzyki Leslie.

O siedemnastej dwadzieścia osiem do poczekalni wszedł lekarz i oznajmił mu, że jego żona powiła córeczkę ważącą trzy kilogramy i trzydzieści deka. Zaprosił następnie Michaela do

424

RABIN

szpitalnej kawiarenki, gdzie poinformował go przy kawie, że główka dziecka przechodziła przez szyjkę macicy akurat w

momencie jej maksymalnego porodowego skurczu, co spowodowało rozerwanie ścianki, w tym pęknięcie tętnic, toteż gdy tylko dziecko wyszło i opanowano krwotok, zmuszeni byli dokonać histerektomii.

Po jakimś czasie Michael wszedł na górę i usiadł w nogach łóżka Leslie. Oczy miała zamknięte, powieki sine, jak gdyby podbite, zaraz je jednak podniosła.

— Czy jest ładna? — zapytała szeptem.

— Bardzo — przytaknął, choć zatroskany o żonę nie widział jeszcze dziecka, uwierzywszy na słowo lekarzowi, że jest zdrowe.

— Nie będziemy mogli mieć więcej dzieci.

— Bo i nie trzeba. Mamy już syna i córkę... I siebie.

Pocałował palce Leslie, a potem trzymał ją za rękę, gdy zaś po jakimś czasie zasnęła uspokojona, poszedł obejrzeć córeczkę. Była o wiele ładniejsza od Maxa, kiedy się urodził, i miała kędzierzawe włoski.

Po drodze do domu kupił pudełko czekoladek dla opiekunki do dziecka, pocałował na dobranoc syna i w strugach wiosennej ulewy pojechał do świątyni, gdzie przesiedział do rana w jednym z wygodnych, obitych gumą piankową nowych krzeseł w trzecim rzędzie. Rozmyślał o tym, co niegdyś zamierzał i co udało mu się w życiu zrealizować. Myślał też dużo o Leslie, o sobie samym, o Maksie i o nowo narodzonej córeczce. Między jedną a drugą rozmową z Bogiem spostrzegł, że choć świątynia liczyła dopiero kilka tygodni, na bimie w nocy, gdy zapadała cisza, zaczęła skrobać mysz. O wpół do szóstej rano wyszedł ze świątyni, pojechał do domu, wziął prysznic, ogolił się i przebrał. Do domu Felixa Sommersa przyjechał w porze śniadania. Przyjął mazel tow i filiżankę kawy, uzmysłowiwszy zaś sobie, jaki jest głodny, zgodził się zjeść cały posiłek. Przy jajecznicy oznajmił Felixowi, że zamierza zrezygnować z posady.

— Czy aby dobrze to sobie przemyślałeś? Jesteś absolutnie zdecydowany? — zapytał Felix nalewając kawę, a choć Michael był zdecydowany, jego miłość własna uroniła kilka
425

NOAH GORDON

łez, gdy zdał sobie sprawę, iż Sommers nie zamierza bynajmniej odwozić go od tej decyzji.

Michael obiecał, że zostanie do czasu znalezienia następcy na jego miejsce.

— Powinniście zatrudnić dwie osoby — doradził. — Rabina oraz kogoś drugiego, może świeckiego, ochotnika, kto miałby doświadczenie w zarządzaniu. Rabin niech pozostanie wyłącznie rabinem.

Powiedział to szczerze, Sommers tak zresztą jego radę odebrał i równie szczerze za nią podziękował.

Michael odczekał kilka dni, zanim poinformował o swojej decyzji Leslie. Zrobił to pewnego popołudnia, kiedy karmiła dziecko. Nie wydawała się zaskoczona.

— Podejź tu — poprosiła.

Usiadł ostrożnie na łóżku, a ona pocałowała go, ujęła jego dłoń i przytknęła ją do policzka przyssanej do piersi dziewczynki, niezwykle miękkiego w dotyku, o czym już zdążył zapomnieć.

Następnego dnia zabrał je ze szpitala do domu — żonę, córeczkę, kilka butelek odżywki, ponieważ Leslie straciła pokarm, oraz butelkę zielonych jak morska toń kapsułek, które według lekarza miały jej pomóc zasnąć. Istotnie, pomagały przez kilka nocy, po czym przegrały walkę z bezsennością, która na powrót zaczęła dręczyć matkę, mimo że dziecko przesypiało smacznie całą noc.

W dniu, w którym Rachel skończyła trzy tygodnie, Michael pojechał porannym pociągiem do Nowego Jorku.

Rabi Sher zmarł przed dwoma laty. Jego miejsce zajął Milt Greenfield, kolega Michaela z Instytutu Żydowskiego.

— Wiem o jednej wakującej posadzie, która jest prawdziwym wyzwaniem dla rabina — oznajmił rabi Greenfield. Michael uśmiechnął się.

— Twój poprzednik, rabi Sher, alaw haszalom, powiedział mi kiedyś to samo, Milt. Tyle że ujął to nieco inaczej: „Mam dla ciebie paskudną posadę”.

Roześmiali się obaj.

— Mówię o gminie, która opowiedziała się niedawno w drodze głosowania za reformą — poinformował go rabi Greenfield. — Po czymś w rodzaju wojny domowej.

426

RABIN

— Czy coś z niej ocalało?

— Prawie jedną trzecią członków stanowią ortodoksi. Oprócz normalnych obowiązków będziesz więc pewnie musiał odprawiać codziennie szacharit, minchę i maariw. Przyszłoby ci być rabinem zarówno dla Żydów pobożnych, jak i dla liberałów.

— Myślę, że to mi się spodoba — rzekł Michael.

W następny weekend poleciał do Massachusetts, a w dwa tygodnie później pojechali całą rodziną do Woodborough, z Rachel w łóżeczku i Maxem na tylnym siedzeniu. Znaleźli sobie stary wiktoriański dom z oknami podobnymi do mądrych oczu, który wyglądał tak, jakby w nim straszy! duch Hawthorne'a. Przed drzwiami od ogrodu rosła jabłoń. Niektóre gałęzie uschły i wymagały obcięcia, ale na jednej ze zdrowych wisiała na grubym sznurze zrobiona z łysej opony huśtawka, w sam raz dla Maxa.

Co jednak najważniejsze: Michaelowi spodobała się świątynia. Synagoga Bejt Szalom była stara i mała. Nie było w niej obrazów Chagalla ani rzeźb Lipchitza, pachniała za to

woskiem do podłóg, zaczytanymi modlitewnikami, suchym drewnem i ludźmi, którzy od ćwierćwiecza poszukiwali tam Boga.

•'8

-.2

<>

N

WOODBOROUGH, MAS SACHUSETTS Grudzień 1964 roku

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

„Stowarzyszenie Absolwentów Uniwersytetu Columbia

Róg Sto Szesnastej i Broadwayu

Nowy Jork

Panowie!

Oto moja autobiografia do księgi pamiątkowej przygotowywanej na dwudziestopięciolecie rocznika 1941: Trudno wprost uwierzyć, że minęło już prawie ćwierć wieku, odkąd opuściliśmy Morningside Heights!

Jestem rabinem. Stałem na kazalnicych reformowanych synagog Florydy, Arkansas, Georgii, Kalifornii, Pensylwanii i Massachusetts, gdzie obecnie mieszkam wraz z żoną Leslie (z domu Rawlins, absolwentką Wellesley rocznik 46, urodzoną w Hartford w stanie Connecticut), naszym szesnastoletnim synem Maxem i ośmioletnią córką Rachelą.

Stwierdzam, że oczekuję naszego spotkania po latach z zaskakującą mnie samego niecierpliwością. Nasz dzień codzienny jest tak wypełniony zajęciami, że nieczęsto mamy okazję wracać pamięcią do przeszłości, a wszak to ona warunkuje naszą terażniejszość. Jako duchowny wyznania liczącego sobie sześć tysięcy lat jestem tego coraz bardziej świadom.

Wedle mojego doświadczenia wiara nie tylko nie stała się przeżytkiem, ale nabrała jeszcze większej wagi, co pozwala

współczesnemu człowiekowi szukać po omacku drogi wiodącej w przyszłość.

Co do mnie, dziękuję Bogu, że pozwolił mi na takie posuwanie się omackiem. Trwożnym okiem, podobnie jak

43i
NOAH GORDON

Wy, wypatruję błysku bomby na niebie. Już dawno rzuciłem palenie i zawiązałem mi się brzuszki, zauważyłem też ostatnio, że nawet dorośli coraz częściej tytułują mnie «sir».

W głębi ducha mam jednak pewność, że bomba nigdy nie wybuchnie. Nie mam poczucia, że zachoruję na raka, przynajmniej przed osiągnięciem późnej starości; w dzisiejszych czasach czterdzieści pięć lat to jeszcze smarkaty wiek. Zresztą na co człowiekowi płaski brzuch? Nie jesteśmy przecież społeczeństwem plażowych ratowników!

Ale dość tych morałów, pora na łyżeczek wody sodowej.

Obiecuję, że na zjeździe nie otworzę ust, chyba tylko po to by sobie golnąć, ma się rozumieć, i zaśpiewać chórem «Kto Nowym Jorkiem rządzi dziś?»

Wasz klasowy kolega

Rabin Michael Kind

Synagoga Bejt Szalom

: r ;!-i i ; Woodborough, Massachusetts".

W końcu zasnął przy biurku, w ubraniu, z głową na rękach.

Telefon milczał przez całą noc. Zadzwoił o szóstej trzydziści sześć rano.

— Nie wróciła — poinformował Michaela doktor Bern-stein.

— W domu też jej nie ma.

Poranek był zimny, kaloryfery trzeszczały i syczały pod pełną parą i Michaelowi przyszło do głowy, żeby zapytać Dana, jak Leslie była ubrana, czy odpowiednio na mróz i śnieżyce.

Psychiatra poinformował go, że jej ciepłe niebieskie palto, rękawiczki, buty i chustka zniknęły. Ta wiadomość podniosła

Michaela na duchu. Ktoś, kto ubrał się tak starannie, raczej nie był materiałem na leżącą w śniegu Desdemonę.

— Będę z panem w kontakcie — obiecał doktor Bernstein.

— Bardzo bym prosił.

Noc spędzona na krześle sprawiła, że czuł się zeszywniały i obolały. Wziął długi gorący prysznic, po czym ubrał się, obudził dzieci i wyprawił je do szkoły.

432

"f," RABIN '':

— Przyjdiesz wieczorem na przedstawienie? — zapytała Rachel. — Każda klasa dostaje za ojca dwa punkty.

Występuję w nim. Moje nazwisko jest w programie.

— Kogo grasz?

— Jeśli chcesz się dowiedzieć, musisz przyjść i sam zobaczyć.

— Dobrze, przyjdę — obiecał.

Do świątyni przyjechał w samą porę, żeby poprowadzić minjan w odmawianiu kadiszu. Potem zamknął się w swoim gabinecie i wziął za przygotowywanie tekstu kazania. Musiał się czymś zająć.

Tuż przed jedenastą Dań zadzwonił ponownie.

— Według policji stanowej Leslie spędziła ostatnią noc w YWCA. Zarejestrowała się pod własnym nazwiskiem.

— Gdzie jest teraz?

— Nie wiem. Inspektor poinformował mnie, że opuściła hotel przed południem.

Mogła pojechać do domu, pomyślał Michael. Może tam teraz czeka. Dzieci są w szkole, a Anna przyjdzie dopiero wieczorem, żeby przygotować kolację.

Podziękował Danowi i odłożył słuchawkę, po czym powiedział sekretarce, że na resztę dnia jedzie pracować do domu.

Ale gdy wychodzi! z biura, telefon zadzwonił znowu i po chwili za Michaeliem wybiegła sekretarka.

— Dzwonią z telegramów, rabi! — zawołała. „Michael kochanie wyjeżdżam na kilka dni. Kropka. Nie martw się. Kropka. Kocham Cię. Kropka. Leslie”.

Pojechał do domu, zaparzył sobie kawę i usiadł w cichej kuchni.

Skąd ona weźmie pieniądze na podróż i na życie? — zastanawiał się. Książeczkę czekową miał w kieszeni. O ile wiedział, Leslie miała w portmonetce zaledwie kilka dolarów. Gryzł się tym pytaniem, kiedy zadzwonił telefon.

Usłyszawszy, że to międzymiastowa, Michael zaczął się gorączkowo modlić. Ale po chwili wśród elektrycznych trzasków i chrobotów rozpoznał głos ojca. ^

— Michael?

28 Rabin

433

NOAH GORDON

— Halo, tata? Słabo cię słyszę!

— A ja ciebie doskonale! — oskarżycielskim tonem zawołał Abe. — Chcesz, żebym jeszcze raz zadzwonił do centrali?

— Nie, teraz już lepiej! Co słychać w Atlantic City?

— Postaram się mówić głośnie! — wrzasnął Abe. — Nie jestem w Atlantic City. Jestem... — Przerwały mu zakłócenia na linii.

— Halo?!

— Miami!!! Zdecydowałem się w ostatniej chwili. Dzwonię, żeby cię uprzedzić. Mieszkam przy Lucernę Drive dwanaście.

— Słowo „Lucernę” przeliterował. — Adresuj na nazwisko Aisner. — Nazwisko również przeliterował.

Michael zapisał adres.

— Co to jest, tato, jakiś pensjonat, motel?

— Prywatny dom! Jestem z wizytą u przyjaciela. — Abe zawahał się na chwilę. — Jak się miewają dzieciaki i Leslie?

— Doskonale.

— A jak ty się czujesz?

— Świetnie, tato! Wszyscy miewamy się doskonale. Ale powiedz, jak ty się czujesz?

— Zamierzam się ożenić, synu!

— Co powiedziałeś? — zapytał Michael, choć na linii nie było żadnych trzasków i głos ojca docierał do niego bez zakłóceń.

— Ożenić?

— Jesteś zły? Uważasz, że to pomysł meszugene w moim wieku?

— Przeciwnie, wspaniały! A kim jest wybranka? — Poczuł zarazem ulgę i radość, ale już w następnej chwili uświadomił sobie z poczuciem winy, że to może wcale nie taki wspaniały pomysł, przecież nie wiadomo, z jaką kobietą Abe zamierza się związać. — Jak się nazywa?

— Aisner, już ci mówiłem. Na imię ma Lillian. Jest wdową. Widzisz, to ta kobieta, od której wynajmowałem mieszkanie w Atlantic City. I co powiesz na taki krok?

— Roztropny, bardzo roztropny. — Michael uśmiechnął się do słuchawki. Oj, tato, tato!

— Była zameżna z Tedem Aisnerem! Może ci coś mówi to nazwisko? Miał w Jersey sieć żydowskich piekarni.

— Nie przypominam sobie.

434

'••': •:'•• RABIN

— Prawdę powiedziawszy ja również nie. Umarł w pięćdziesiątym dziewiątym. Lillian to urocza osóbką, Michael. Myślę, że ją polubisz.

— Wystarczy mi, że ty ją lubisz. Kiedy zamierzacie się pobrać?

— Planowaliśmy w marcu. Nie ma pośpiechu, oboje wyrosliśmy już z wieku, kiedy człowiekowi się w tych sprawach spieszy.

Ze sposobu, w jaki Abe to powiedział, Michael odgadł, że ojciec powtarzał słowa Lillian Aisner, skierowane być może do jej własnych dzieci.

— Czy ona ma rodzinę?

— Wyobraź sobie, że jeden z jej synów jest rabinem jak ty, tyle że ortodoksyjnym. Ma szul w Albany w stanie Nowy Jork. Melvin, rabin Melvin Aisner.

— Nie słyszałem.

— No cóż, jest ortodoksem, wasze ścieżki się pewnie nie krzyżują. Lillian twierdzi, że cieszy się bardzo dobrą opinią. Miły chłopak. Moja pani ma też drugiego syna, Phila, którego z kolei nie mogę ścierpieć. Nawet ona sama przyznaje, że to sznuk. Przeprowadził istne śledztwo wokół mojej osoby. Durna pała, mam nadzieję, że kosztowało go to majątek. Michael posmutniał nagle, przypomniawszy sobie podwójny kamień nagrobny z granitu, jaki ojciec kazał postawić na grobie matki, z imieniem Abe wyrytym obok jej imienia i wolnym miejscem na datę swojej śmierci.

— Nie możesz go winić za to, że stara się ochraniać własną matkę — rzekł. — Nie ma jej przypadkiem koło ciebie?

Uprzedziłbym ją, że bierze sobie bawidamka.

— Nie, wyszła na zakupy. Myślę, że na miodowy miesiącek wybierzemy się do Izraela. Zobaczylibyśmy się z Ruthie i jej rodziną.

— Czy chciałbyś wyprawić ślub tu u nas? — zapytał Michael, zapominając na chwilę o własnych domowych problemach.

— Lillian je tylko koszerne. Nie zjadłaby nic w twoim domu.

— Hola! Powiedz jej, że zamierzam przeprowadzić śledztwo na jej temat!

435

NOAH GORDON

Abe zachichotał. Michael odniósł wrażenie, że jego głos dźwięczy młodziej, radośniej niż w ostatnich latach.

— Wiesz, czego ci życzę, tato.

— Wiem. — Abe odchrząknął. — Lepiej się już rozłączę, żeby ten sznuk Phil nie pomyślał, że celowo nabijam rachunek telefoniczny jego matki.

— Dbaj o siebie, tato.

— Ty też! Nie ma tam czasem koło ciebie Leslie, żeby mogła mi życzyć mazel tow?

— Nie, akurat wyszła.

— Pozdrów ją ode mnie. I ucałuj moje wnuki! Posłałem każdemu czek w podarku chanukowym od zejdy.

— Niepotrzebnie! — zaprotestował Michael, ale połączenie zostało już przerwane.

Rabin odłożył słuchawkę na widełki i przez jakiś czas siedział bez ruchu obok aparatu. Niezwyciężony Abe Kind! Oto najważniejsza lekcja dzisiejszego dnia, pomyślał, przesłanie od ojca dla syna: jak nie ustawać w marszu, jak przebijać się z wczoraj ku jutru. Lekcja dumy. Michael znał mężczyzn w wieku swojego ojca i w podobnej do niego sytuacji, którzy zmienili się już w żywe trupy, pograżywszy się w stuporze bezpiecznym jak sama śmierć. Abe Kind wybrał ból istnienia, małżeńskie łóżko zamiast małżeńskiego grobowca. Michael nalał sobie kolejną filiżankę kawy, ciekaw jak też wygląda Lillian i czy również nad Tedem Aisnerem stoi podwójny kamień nagrobny.

O dziewiętnastej trzydzieści zawiózł Rachelę do szkoły, gdzie córka zostawiła go na korytarzu. Rabin przyjął od jakiegoś poważnego chłopca w długich spodniach odbity na powielaczu program wieczoru i wszedł do sali. W połowie środkowego rzędu siedziała samotnie Jean Mendelsohn.

— Witam! — Przysiadł się do niej.

— O, rabi! Co pan tu robi?

— Przypuszczam, że to samo co pani. Jak się miewa Jerry?

— Lepiej niż się obawiałam. Odczuwa oczywiście brak nogi, ale wcale nie jest tak, jak się słyszy w opowieściach o amputowanych kończynach, że wciąż się je czuje, że chwytają człowieka kurcze w palcach u nogi, którą mu odjęto. Orientuje się pan, o czym mówię?

436

RABIN

— Tak.

— Wcale tak nie jest. Przynajmniej nie w przypadku Jerry'ego.

— To dobrze. A jak z jego samopoczuciem?

— Mogłoby być gorsze, mogłoby być lepsze. Dużo z nim teraz przebywam. Z Nowego Jorku przyjechała moja młodsza siostra, Lois. Ma dopiero szesnaście lat, ale wspaniale radzi sobie z dziećmi.

— Któreś z pani dzieci występuje w tym przedstawieniu?

— Toby, szelmutka. — Odniósł wrażenie, że się zarumieniła składając to wyjaśnienie. Zrozumiał dlaczego, kiedy spojrzał na trzymany w ręku program. Szkoła urządza coroczne bożonarodzeniowe jasełka, wydarzenie, które miał nadzieję jakoś ominąć, kiedy zaznajamiał się po raz pierwszy z planem zebrań rodzicielskich. W ostatniej linijce programu figurowała Rachela jako inspicjentka. — Moja Toby gra mądrego maga — dodała Jean z nerwowym pośpiechem, jak gdyby chciała mieć ,to już za sobą. — Ach, te dzieciaki! Zwariować przez nie można! Zapytała nas, czy może wystąpić. Powiedzieliśmy jej, że przecież zna nasze stanowisko w tej sprawie, niech więc sama zdecyduje.

— Więc rzeczywiście wykazała się mądrością — stwierdził z uśmiechem rabin. Jean skinęła głową.

— Z Rzymu słyszymy, że nie musimy się czuć winni, a w Woodborough moja córka gra jednego z Trzech Króli!

Sala się zappełniła. Przed audytorium stanęła panna McTiernan, kierowniczka szkoły, piersiasta dama o włosach stalowej barwy.

— W imieniu uczniów i grona pedagogicznego mam przyjemność powitać państwa na dorocznej szopce bożonarodzeniowej. Wasze dzieci już od kilku tygodni przygotowywały kostiumy i przeprowadzały próby. Bożonarodzeniowa szopka ma w naszej szkole długą tradycję i uczniowie są z niej bardzo dumni. Jestem przekonana, że państwo, obejrawszy nasze widowisko, podzielą ich dumę. Usiadła przy akompaniamencie rzęsytych oklasków. Pod ścianami wmaszerowały następnie poprzebierane dzieci: zdenerwowani pasterze z długimi kijami, stremowani Trzej

437

NOAH GORDON

Królowie z przyprawionymi brodami, chichoczący aniołowie z przypiętymi do ramion wspaniałymi skrzydłami z papier mache. Za aktorami w kostiumach postępowali uczniowie klas piątej i szóstej; chłopcy w ciemnych spodniach, białych koszulach i pod krawatami, dziewczęta w spódniczkach i sweterkach. Rachel niosła nuty. Gdy dzieci zajęły miejsca, rozdała je wszystkim i stanęła obok pianina.

Następnie wstał chłopiec z jeszcze mokrą od szczotki czupryną i zadeklamował słodziutkim głosem:

— W tym czasie wyszło zarządzenie cesarza Augusta, aby spisać mieszkańców całej ziemi...

Aktorzy odegrali scenę Narodzin. Jean Mendelsohn zaczęła wiercić się na krześle, kiedy weszli Trzej Królowie z darami. Jasełka zakończyła kolędą „Cicha noc, święta noc”, po czym dzieci odśpiewały jeszcze inne kolędy. Michael zauważył, że Rachel milczy; stała przy pianinie i przyglądała się widowni, podczas gdy jej koledzy łączyli głosy w chóralnym śpiewie.

Po skończonym kolędowaniu Michael pożegnał się z Jean i podszedł do córki.

— Dobrze grali, prawda? — zapytała.

— Rzeczywiście dobrze — przytaknął.

Wyszli z przegrzanego budynku szkoły, wsiedli do samochodu i pojechali do domu. Michael poczuł, że nie ma jeszcze ochoty rozstawać się z córką.

— Masz coś zadane? — zapytał.

— Nie, panna Emmons nic nam nie zadała, z powodu szopki.

— Więc co byś powiedziała, gdybyśmy wybrali się na długi spacer i porządnie się zmachali? Potem wypilibyśmy po filiżance gorącej czekolady i wskoczyli do łóżek. Jak ci się podoba ten pomysł?

— Byczo!

Wysiedli z samochodu i Rachel podała ojcu rączkę w rękawiczce z jednym palcem. Na zachmurzonym niebie nie świeciła ani jedna gwiazda. Wiał niezbyt przenikliwy wiatr.

— Powiedz mi, gdyby zrobiło ci się zimno — przykazał Michael córce.

438

— W Nowy Rok też urządzamy w szkole widowisko. Nie dla rodziców, tylko dla samych dzieci. Tam będę mogła śpiewać, prawda?

— Oczywiście, kochanie! — Przytulił ją nie zwalniając kroku.

— Było ci przykro, że dzisiaj nie śpiewałaś, tak?

— Aha! — Zerknęła na niego niepewnie.

— Czy dlatego że tylko ty jedna nie śpiewałaś i że stałaś przed tyloma ludźmi?

— Nie tylko dlatego. Także dlatego że te pieśni i ta historia są takie... piękne.

— To prawda, są piękne — przyznał.

— Historie ze Starego Testamentu też są piękne! — dodała lojalnie i rabin ponownie ją przytulił. — Jeśli Max kupi sobie

hokejówki, czy ja będę mogła sobie kupić figurówki za chanukowy czek od dziadzia Abe? — zapytała wyczuwając odpowiedni moment.

Michael roześmiał się.

— A skąd wiesz, że dostaniesz chanukowy czek od dziadzia Abe?

— Bo zawsze dostajemy!

— No cóż, jeśli dostaniecie go i w tym roku, może powinnaś raczej otworzyć sobie konto w banku na swoje nazwisko i wpłacić je tam?

— A po co?

— Bo dobrze jest mieć własne pieniądze. Choćby na chesne w college'u albo po prostu na wypadek, gdyby się ich kiedyś potrze...

Nagle urwał, a ona roześmiała się i szarpnęła go za rękę, sądząc że żartuje, tymczasem Michael przypomniał sobie o tysiącu dolarów, jakie ciotka Sally zostawiła Leslie jeszcze przed ich ślubem. Nie pozwolił żonie wpłacić ich na wspólne konto, aby mogła któregoś dnia spożytkować je wedle własnego uznania.

— Tatuśku! — zawołała uszczęśliwiona Rachela i pociągnęła go za rękę, a Michael przez całą drogę do domu czuł się jak drzewo, które co trzy kroki zapuszcza nowe korzenie.

Po odprawieniu porannego nabożeństwa rabin Kind poszedł prosto ze świątyni do banku w Woodborough, w którym

439

NOAH GORDON

on i Leslie trzymali oszczędności. Tabliczka w okienku informowała, że kasjer nazywa się Peter Hamilton. Był to wysoki i chudy młody mężczyzna o kwadratowej szczęce, z wyskubaną kępką włosów między brwiami. Czarne, przetykane już siwizną włosy miał tak krótko przystrzyżone nad uszami, że przypominał podporucznika piechoty morskiej

w brązowym flanelowym garniturze studentów Ivy League. Michael przypomniał sobie, jak Leslie zapytała go kiedyś żartem, czy widział kiedykolwiek grubego kasjera bankowego.

W rzędku do okienka ustawiły się tymczasem za rabinem dwie osoby, jakaś kobieta w średnim wieku i starszy mężczyzna, więc kiedy przyszła jego kolej, poczuł lekkie zakłopotanie. Wy tłumaczył panu Peterowi Hamiltonowi, że pragnąłby uzyskać informację, czy jego żona nie podjęła przypadkiem tego ranka jakiejś sumy z konta, a tłumacząc to poczuł, jak stojąca za nim dwójka nadstawia uszu.

Peter Hamilton popatrzył na niego i uśmiechnął się nieznacznie nie odsłaniając zębów.

— Czy chodzi o państwa wspólny rachunek?

— Nie. Nie, chodzi o jej rachunek osobisty.

— Więc nie wchodzi w grę... hm... klauzula posagowa?

— Słucham?

— Suma na koncie należy prawnie i w całości do pańskiej małżonki?

— Oczywiście!

— Czy nie mógłby więc pan... hm... po prostu jej o to zapytać? Obawiam się, że nie jesteśmy uprawnieni do... A niech to gęś kopnie!

— Gdzie mógłbym znaleźć prezesa banku?

Pan Arthur J. Simpson urzędował w przestronnym, obitym dębową boazerią gabinecie, wysłanym puszystym dywanem o rdzawym kolorze, bardzo śmiałym jak na bankiera. Wysłucha! Michaela z uprzejmą obojętnością, nacisnął przycisk wewnętrznego telefonu i poprosił, żeby przyniesiono mu do gabinetu wyciąg z konta pani Kind.

— Pierwotnie leżała na tym rachunku suma tysiąca dolarów

— wyjaśnił Michael. — Z procentami powinno być tego obecnie więcej.

RABIN . Cf

— O tak! — przytaknął bankier. — Tak, niewątpliwie.

— Wyjął kartkę i zbliżył ją do oczu. — Na koncie znajduje się obecnie tysiąc pięćset dolarów.

— To znaczy, że moja żona nie pobrała dziś żadnych pieniędzy?

— Tego nie powiedziałem, rabi! Dziś rano znajdowała się na rachunku pańskiej małżonki suma dwóch tysięcy dziewięćdziesięciu dziewięciu dolarów i czterdziestu czterech centów.

— Pan Simpson uśmiechnął się. — Procenty wciąż narastają. Sumuje się je co roku, rozumie pan, a stopa stale rośnie.

— Bogaci stają się jeszcze bogatsi — zażartował rabin.

— Trafnie pan to ujął.

Jak daleko Leslie mogłaby pojechać dysponując kwotą sześciuset dolarów? Pytanie nie było trudne; Michael znał na nie odpowiedź.

Bardzo daleko.

Kiedy wieczorem zadzwonił telefon i Michael usłyszał w słuchawce imię Leslie, ugięły się pod nim kolana, okazało się jednak, że to kolejny fałszywy alarm. Telefon był do niej, a nie

od niej.

— Żony nie ma w domu. Czy mógłbym wiedzieć, kto dzwoni?

— Tu międzymiastowa! — powtórzyła telefonistka. — A kiedy można się spodziewać powrotu pani Kind?

— Nie potrafię odpowiedzieć.

— Czy rozmawia pani z panem Kind? — zapytał głos nieznanym rozmówcy.

— Tak, z rabinem Kind.

— Halo, chciałabym z nim mówić!

— Oczywiście, proszę pani. Dziękuję, że zechciała pani poczekać. Proszę mówić!
Telefonistka się wyłączyła.
— Halo! — zawołał Michael.
— Nazywam się Potter, Marilyn Potter.
— Słucham panią.
— Mieszkam o trzy domy od kościoła Hastings. W Hartford.
441

NOAH GORDON

Ależ oczywiście! Michael wszystko nagle zrozumiał. Leslie pojechała do ojca! W następnej jednak chwili uświadomił sobie, że telefon stamtąd jest do niej, więc to niemożliwe. O czym ta kobieta mówi? — zapytał sam siebie, wróciwszy do rzeczywistości.

— To ja go znalazłam. Miał atak serca. O mój Boże!
— Wspominki są dzisiaj od pierwszej do trzeciej oraz od siódmej do dziewiątej jutro i we czwartek. Nabożeństwo pogrzebowe odbędzie się w piątek o czternastej w naszym kościele. Pogrzeb na cmentarzu Łaski Bożej, jak sobie tego życzył w ostatniej woli.

Rabin podziękował pani Potter. Wysłuchał jeszcze jej kondolencji i za nie również podziękował. Obiecał, że przekaże wyrazy współczucia żonie, jeszcze raz podziękował, pożegnał się, po czym wyciągnął rękę i — nie wiedząc czemu to robi

— zgasił lampę. Długo siedział w ciemności. Na górę wciągnęły go dopiero — niczym lina ratunkowa upleciona z dźwięku

— organki Maxa.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Leslie nie wróciła przed czwartkiem do domu, Michael nie dostał też od niej żadnej wiadomości. Nie wiedział już, co

robić. Po namyśle uznał, że powinien zabrać dzieci na pogrzeb dziadka.

Ale wtedy zapytają, czemu nie ma tam ich matki.

A może jednak będzie, może przeczytała nekrolog lub w jakiś inny sposób dowiedziała się o śmierci ojca?

W końcu postanowił nic nie mówić Maxowi i Racheli. W czwartek po szacharit pojechał do Hartford.

Porządku na parkingu pilnowali dwaj umundurowani policjanci. Organy buczały cichymi hymnami. Białe kościelne ławki były prawie wszystkie zajęte.

442

RABIN

Rabin Kind przeszedł powoli wzdłuż nawy, nie dostrzegł jednak Leslie. W końcu usiadł na jednym z niewielu wolnych miejsc, z tyłu kościoła, w drugim rzędzie od końca, skąd mógłby zobaczyć wchodzącą żonę, gdyby się spóźniła.

Doznał ulgi stwierdziwszy, że okryta kwiatami trumna jest zamknięta.

Siedzące obok niego dwie kobiety, jedna w średnim wieku, druga młodsza, uderzająco do siebie podobne, rozmawiały o jego zmarłym teściu. Matka i córka, domyślił się od razu, — Bóg widzi, nie był wcieleniem doskonałości, ale bądź co bądź przez te czterdzieści lat posługiwał w naszym kościele, wypadało pójść do kaplicy. Na litość boską, toż Frank dałby sobie chyba bez ciebie radę przez ten jeden wieczór!

— Nie lubię oglądać nieboszczyków — odpowiedziała młodsza kobieta.

— Nieboszczyków! Nawet byś nie poznała, że nie żyje.

Wyglądał tak nobliwie! Naprawdę ładnie. W ogóle nie było znać na jego twarzy makijażu. Nic byś nie poznała.

— Na pewno bym poznała — odrzekła córka. Weszli księża. Młody, stary i jeden w średnim wieku.

— Patrz, aż trzech! — powiedziała zachrypniętym szeptem młodsza kobieta, kiedy powstawali na inwokację. — Ksiądz Wilson, już na emeryturze, ksiądz Lovejoy z pierwszego kościoła. A kim jest ten młody?

— Ponoć z Kościoła Pielgrzyma w New Haven. Zapomniałam nazwiska.

Duchowny w średnim wieku wygłosił inwokację. Mówił ciepłym, wyszkolonym głosem, nawykłym do unoszenia się nad schyłonymi głowami.

Zaintonowano hymn „O Panie, nasza pomocy w minionych wiekach”. Stojący wokół Michaela zaczęli śpiewać. Starsza z dwóch kobiet odśpiewała zaledwie kilka wersetów naderwanym skrzekliwym głosem. Młodsza miała ładny, wysoki sopran i fałszowała tylko odrobinę.

„O jedno proszę Jahwe i tego tylko pragnę gorąco: bym mógł przebywać w domu Jahwe po wszystkie dni mojego życia...”

Psalm dwudziesty siódmy. Nasz, pomyślał Michael, uświadamiając sobie zaraz cały absurd doznanej dumy.

443

NOAH GORDON

„Człowiek! Dnie jego są jak trawa, jak kwiat polny rozkwita, lecz ledwie wiatr powieje, już go nie ma, nie pozostaje po nim nawet ślad...”

„Oczy wznoszę ku góróm... Skądże przyjdzie mi pomoc? Moja pomoc nadejdzie od Jahwe, który stworzył niebo i ziemię...”

Psalm sto trzeci i sto dwudziesty pierwszy. Na iluż to już pogrzebach on sam je odmawiał?

„Ktoś może jednak powiedzieć: Jak umarli zmartwychwstają? W jakim ciele powrócą? Niemądry! To, co siejesz, nie wyda nowego życia, dopóki nie ulegnie rozkładowi. To, co siejesz,

nie ma kształtu rośliny, która wyrośnie, lecz jest tylko zwykłym ziarnem, na przykład pszenicy lub innym, Bóg zaś temu ziarnu nadaje taki kształt, jaki chce, każdemu odpowiedni..."

To ustęp z Nowego Testamentu. Gdyby Michael miał zgadywać, powiedziałby, że z Pierwszego Listu do Koryntian. Siedząca obok kobieta w średnim wieku przeniosła ciężar ciała z prawego na lewy pośladek.

„W domu Ojca mego jest mieszkań wiele. Gdyby tak nie było, powiedziałbym wam o tym, bo idę przygotować wam miejsce. A kiedy odejdę i przygotuję wam miejsce, przyjdę znowu i zabiorę was do siebie, abyście i wy tam byli, gdzie Ja jestem. A drogę, dokąd Ja idę, znacie..."

Kapłan w sile wieku wygłosił pochwałę zmarłego i podziękował Bogu za obietnicę życia wiecznego oraz za to, że zmarły, wielbny Rawlins, pracował dla Jego czci i dla dobra całej społeczności wiernych.

Potem wierni znowu powstali i odśpiewali hymn „Do wszystkich świętych odpoczywających po trudach żywota”. Głosy osób stojących wokół Michaela to nasilały się, to cichły, ' on zaś poczuł się tak, jak musiała się czuć Rachela podczas kołędowania na szkolnych jasełkach.

Potem najstarszy wiekiem kapłan wygłosił błogosławieństwo, zagrały organy; tłum w ławkach zaczął topnieć, spływać nawami do wyjść. Michael stał i wypatrywał Leslie, ale nigdzie nie mógł jej dojrzeć. Kościół opustoszał; pozostali tylko tragarze, którzy mieli nieść trumnę. Rabin wyszedł na dwór i zmrużył oczy w blasku zimowego słońca. Nie znał drogi na

444

RABIN

Grace Cemetery, wsiadł jednak do samochodu i po chwili oczekiwania włączył się w sznur pojazdów dość daleko za

karawanem, nowym czarnym packardem, błyszczącym jak lustro, zachlapanym jednak w paru miejscach błotem. Po obu stronach ulicy piętrzyły się w rynsztokach przyzmy brudnego śniegu. Kondukt pogrzebowy posuwał się wolno przez miasto, powodując korki na całej trasie przejazdu. Kierowca jadącego dwa samochody za rabinem chevroleta zniecierpliwiał się w pewnym momencie, wyjechał z konduktu i wyprzedził Michaela. Na przednim siedzeniu siedziała Leslie! Obrócona w stronę młodego mężczyzny za kierownicą coś do niego mówiła. Na głowie miała mały kapelusik, którego Michael nigdy nie widział. Poznał żonę po jasnokasztanowych włosach, niebieskim palcie oraz sposobie, w jaki trzymała głowę.

— Leslie! — zawołał.

Opuścił szybę w oknie i ponownie wykrzyknął jej imię. Biało-niebieski chevrolet skręcił w pierwszą przecznicę w lewo. Zanim Michaelowi udało się wyrwać z konduktu i skręcić na tym samym skrzyżowaniu, samochodu, w którym jechała Leslie, nie było już widać. Rabin wyprzedził dużą furgonetkę, niemal ocierając się prawymi kołami o krawężnik, wystrzelił jak z katapulty przed autobus, ale musiał się zatrzymać na czerwonym świetle przed skrzyżowaniem z jakąś szeroką aleją.

Chevrolet skręcił w nią w prawo. Michael dostrzegł go dwie przecznice dalej. Ruszał właśnie po zmianie świateł. Michael nie odważył się zlekceważyć czerwonego światła, które jemu samemu blokowało drogę: na jezdniach panował zbyt wielki tłok.

Ledwo światło zmieniło się na zielone, skręcił z piskiem opon w prawo, niczym nastolatek w starym gracie z podrasowanym silnikiem. Aleja wspinała się nieznacznie w górę, stracił więc ścigany samochód z oczu i zobaczył go dopiero ze szczytu wzniesienia; skręcał właśnie w lewo. Dojechawszy do

tej samej przecznicy, Michael również skręcił, po czym ruszył w pościg tak szybko, jak jeszcze nigdy w mieście nie jechał, przemykając i lawirując wśród innych pojazdów.

445

NOAH GORDON

Po minięciu czterech czy pięciu przecznic uśmiechnęło się do niego szczęście: chevrolet musiał stanąć pod czerwonym światłem. Michael zahamował gwałtownie trzy samochody za mm.

— Leslie! — krzyknął i wyskoczył z auta. Podbiegł do biało-niebieskiego chevroleta i zastukał w szybę.

Siedząca obok kierowcy kobieta odwróciła głowę i Michael dostrzegł swą pomyłkę. To nie była twarz Leslie! Palto również było inne, o nieco innym kroju i odcieniu, z dużymi złotymi guzikami; guziki przy płaszczu Leslie były czarne i dużo mniejsze. Kobieta opuściła szybę. Oboje z mężczyzną za kierownicą przyglądali się rabinowi w milczeniu.

— Przepraszam! — wybąkał. — Wziąłem panią za kogoś innego.

Gdy wrócił do auta, zmieniały się właśnie światła. Biało--niebieski chevrolet pojechał prosto, a Michael zawrócił. Jechał wolno tą samą drogą, żeby się nie zgubić, lecz gdy pokonał w końcu wszystkie zakręty, po kondukcje pogrzebowym nie było już śladu.

Dość prędko dotarł jednak na cmentarz i wjechał za bramę. Cmentarz był bardzo rozległy, utworzony z kwater przedzielonych prostokątnymi alejkami. Michael pojechał jedną z nich aż do końca cmentarza, po czym wrócił sąsiednią rozglądając się na wszystkie strony. Alejki były porządnie odśnieżone i posypane piaskiem. Wokół siebie widział jednak tylko kamienie nagrobne; konduktu pogrzebowego ani śladu. A potem zobaczył Magen Dawid, gwiazdę Dawida. Po chwili jeszcze jedną. Zwolnił i przeczytał kilka napisów.

„Izrael Salitsky, 2 lutego 1895 — 23 czerwca 1947”.

„Jacob Epstein, 3 września 1901 — 7 września 1962”.

„Bessie Kahn, 17 sierpnia 1897 — 12 lutego 1960. Nasza ukochana Mateczka”.

Masz tobie, trafiłem na niewłaściwy cmentarz! — pomyślał. Chciał już zrezygnować i wracać do domu, ale przyszło mu do głowy, że Leslie może się zjawić przy grobie.

Minał jeszcze jedną kwaterę i dostrzegł przy jednym z grobów siedzącego na składanym metalowym krzeselku staruszka w długim brązowym płaszczu i naciągniętej na uszy

446

ó. S, RABIN

czarnej wełnianej czapce. Michael zatrzymał przy nim samochód.

— A guten tag.

Staruszek kiwnął głową i przyjrzał mu się znad okularów w rogowej oprawce, które zsunęły mu się aż na czubek nosa.

— Jak dojechać na cmentarz Łaski Bożej?

— Dla szkocym? To po sąsiedzku. To jest cmentarz Bnej Brit.

— Czy jest między nimi jakaś brama? Nieznajomy wzruszył ramionami.

— Nie wiem, może gdzieś w końcu — mruknął i chuchnął w gołe dłonie.

Rabin zawahał się. Dlaczego ten staruszek tak siedzi przy grobie? Nie zdobył się jednak, by o to zapytać. Na siedzeniu obok Michaela leżały jego rękawiczki. Niewiele myśląc podniósł je i wysunął przez okno.

Stary popatrzył podejrzliwie. W końcu wziął rękawiczki i włożył na dłonie.

— Jutro ma być cieplej — pocieszył go Michael i poczuł do siebie złość.

— Got cudanken.

Rabin zapalił silnik i pojechał dalej. Po obu stronach alejki ciągnęły się groby; bezkresna kraina grobów. Michael poczuł się jak zmotoryzowany Malach ha-Mawet. Anioł Śmierci. Wreszcie ujrzał przed sobą koniec cmentarza. Zamykało go wysokie ogrodzenie, wzdłuż którego biegła jedna z alejek. Piętnaście metrów za tym ogrodzeniem dostrzegł żałobników z pochylonymi głowami szykujących się do pogrzebania jego teścia.

Zatrzymał samochód i rozejrzał się za jakąś bramą. Ani śladu! Czy musieli wystawić aż taki wysoki płot, żeby ustrzec proch i dusze zmarłych leżących po obu jego stronach przed mieszaniami się ze sobą? — pomyślał z irytacją.

Wiedział, że gdyby zawrócił do głównej bramy cmentarza Bnej Brit, poszukał wjazdu na cmentarz Łaski Bożej, a potem grobu, byłoby już po pogrzebie.

Pojechał alejką wzdłuż ogrodzenia. Po drugiej stronie ciągnęły się groby przedzielone co kilkanaście metrów dużymi grobowcami. Michael zatrzymał auto pod samym ogrodze-

447
NOAH GORDON

niem naprzeciwko imponującej granitowej krypty i wysiadł. Przed wzrokiem stojących przy grobie żałobników zasłaniały go pomniki nagrobne i niewielki wzgórek. Rabin wdrapał się ostrożnie na maskę samochodu, a stamtąd na dach, skąd mógł już sięgnąć szczytu ogrodzenia. Przez ubranie poczuł szorujące mu ciało tępe ostrza grubych żelaznych prętów. Szczęśliwie niczego na sobie nie podarł.

Na dachu krypty leżał śnieg. Michael przeszedł na przeciwległy skraj grobowca i spojrzął w dół. Ziemia w tym miejscu opadała łagodnym stokiem, a krypta miała wysokość co najmniej dwóch i pół metra. Innej drogi zejścia nie było jednak widać.

Raz kozie śmierć!

Wylądował ciężko jak kłoda drzewa, pośliznął się na miękkim śniegu i upadł na wznak. Kiedy otworzył oczy i spojrzął za siebie, zobaczył nad głową wykuty w kamieniu wielkiego grobowca napis:

Charles Regina

RODZINA BUFFINGTONÓW LaWrCHCC WIECZNY
ODPOCZYNEK

Curtis Yirginia

Wyglądało na to, że niczego sobie nie złamał. Wstał i otrzepał ze śniegu ubranie. Za kołnierzem poczuł zimne grudki.

— Przepraszam! — wyszeptał zwracając się do rodziny Buffingtonów.

Do biegnącej w głąb cmentarza odśnieżonej alejki nie prowadziła przez kopny śnieg żadna ścieżka, toteż zanim Michael do niej dotarł, nasypało mu się do butów i nabrało do mankietów spodni jeszcze więcej śniegu.

Przystanął na obrzeżu tłumu żałobników. Zgromadziło się ich zadziwiająco wielu. Uświadomił sobie, że jeśli Leslie tam jest, stoi zapewne przy samym grobie, więc zaczął przeciskać się w jego stronę.

— Przepraszam... Proszę wybaczyć...

Jakaś kobieta obrzuciła go karcącym spojrzeniem.

448

RABIN

— Należę do rodziny — usprawiedliwił się szeptem.

Im bliżej grobu, tym ciaśniej stali ludzie, więc nie zdołał przecisnąć się dalej.

Usłyszał głos kapłana błogosławiącego zebranych: „Niech miłosierdzie Boże, które jest niewysłowione, zachowa wasze serca i dusze w pamięci i miłości Boga Ojca oraz Pana Naszego, Jezusa Chrystusa. I niech błogosławieństwo Boga Ojca Wszechmogącego, Syna i Ducha Świętego będzie z wami po wszystkie dni waszego żywota. Amen”. Michael nie

był w stanie dojrzeć kapłana, który to mówił, ani w ogóle żadnej z osób stojących wokół grobu. Zdał sobie sprawę, że równie dobrze mógł zostać na cmentarzu Bnej Brit.

Nagle wyobraził sobie, jak stoi z nosem między prętami ogrodzenia i przygląda się pogrzebowi, żałobnik pełnoprawny, lecz odrębny, i poczuł ku swemu przerażeniu, jak wzbiera mu w ustach bańka powietrza, tak zachciało mu się śmiać, wybuchnąć niepohamowanym śmiechem, gdy ledwo o kilka kroków dalej miano za chwilę opuścić do grobu zwłoki jego teścia. Wbił paznokcie w dłonie, a tymczasem głowy stojących przed nim osób zaczęły się pochylać i Michael mógł się przekonać, że błogosławieństwa udzielił najmłodszy z kapłanów, ale obok niego nie stoi nikt znajomy. O Boże, jęknął w duchu. Gdzie jesteś? Gdzie jesteś, Leslie?

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Leslie wysiadła z pociągu na dworcu Grand Central i poszła prosto do hotelu, gdzie dostała pokój mniejszy od pokoju, jaki miała w hoteliku YWCA w Woodborough, i daleko mniej czysty; wszędzie stały nie dopite szklanki i kieliszki, a na podłodze w łazience wały się brudne ręczniki. Pikolak obiecał, że zaraz przyśle kogoś, kto ten bałagan posprząta, ale minęła godzina i nikt się jakoś nie zjawiał, więc Leslie straciła w końcu cierpliwość. Zadzwoiła do kierownika i powiedziała mu, że za czternaście dolarów i siedemdziesiąt

29 Rabin

449

NOAH GORDON

centów za dobę gość ma chyba prawo do wysprzątanego pokoju. Pokojówka zjawiała się natychmiast.

Na kolację pani Kind poszła do kafeterii „U Hectora” naprzeciwko Radio City. Był to nadal wystarczająco przyzwoity lokal, by mogła się w nim pokazać samotna kobieta. Przy deserze zaczął ją jednak podrywać jakiś

mężczyzna. Nie był niegrzeczny, dość nawet przystojny, choć prawdopodobnie trochę od niej młodszy. Ignorowała jego zalotne spojrzenia, a skończywszy czekoladowy pudding, skierowała się do wyjścia. Dopiero gdy nieznajomy ruszył za nią, straciła cierpliwość. Przy stoliku koło drzwi siedział policjant i maczał rogalik w kawie. Leslie zatrzymała się przy nim i zapytała cicho o godzinę, zerkając jednocześnie na idącego za nią mężczyznę, który na ten widok odwrócił się na pięcie i wbiegł po schodach na piętro do restauracji.

Leslie wróciła do hotelu z lekka zagniewana, ale i mile połechtana, i położyła się wcześniej do łóżka. Hotelowe ściany okazały się bardzo cienkie i mogła słyszeć, jak w pokoju obok jakaś para uprawia miłość. Kochali się długo, a kobieta zachowywała się przy tym niezwykle głośno. Przez cały czas wydawała piskliwe okrzyki. Mężczyzny w ogóle nie było słychać, ale popiskiwanie kobiety i rytmiczne skrzypienie łóżka sprawiły, że Leslie długo nie mogła zasnąć. Udało jej się to wreszcie nad ranem, nie na długo jednak; odgłosy miłosnych harców obudziły ją znowu około piątej i nie miała innego wyjścia, jak ich wysłuchiwać.

Na dworze stawało się już widno, a gdy nad miastem weszło słońce, poczuła się raźniej. Otworzyła okno, oparła się o parapet i przyglądała się z wysoka coraz gęstszym tłumom nowojorczyków na chodnikach. Zdążyła już zapomnieć, jak fascynującym miejscem jest Manhattan, i zapragnęła nagle odczuć to z bliska. Ubrała się, zeszła na dół i zjadła śniadanie „U Childa” poczytując „New York Timesa”, jak gdyby prosto od stolika miała pobiec do biura. Po śniadaniu poszła pieszo Czterdziestą Drugą Ulicą do swojej dawnej redakcji, ale okazało się, że gazeta zmieniła siedzibę. Leslie poszukała nowego adresu w książce telefonicznej w holu Times Tower i stwierdziła, że redakcja znajduje się teraz na Madison Avenue. Istotnie, przypomniała sobie, czytała gdzieś o prze-

RABIN

nosinach. Nie pracował tam już zresztą nikt znajomy, więc nie było tam po co zaglądać.

Szła pieszo, wdychając powietrze nosem, a wydychając ustami i rozglądając się dokoła. Czuła się tak jak niedawno na kampusie: budynki z jej wspomnień zniknęły, na ich miejscu wyrosły nowe.

Skręciła w Sześćdziesiątą Ulicę. Była jeszcze daleko od pensjonatu, a już zaczęła go wypatrywać, ciekawa czy zdoła go poznać; poznała od razu. Cegły co prawda świeżo pomalowano, lecz na ten sam co przedtem odcień czerwieni. Na drzwiach wisiała tabliczka z napisem „Pokoje do wynajęcia”. Leslie weszła po schodach i zapukała do drzwi dozorczy, a ten skierował ją do mieszkania numer i-B, w którym mieszkał gospodarz. Otworzył jej chudy mężczyzna w średnim wieku z łysą piegowatą czaszką i zaniedbanymi brudnymi wąsami, których końce przygryzał w ustach.

— Czy mogłabym obejrzeć dom? — zapytała Leslie.

Poprowadził ją na górę. Na pierwszym piętrze zapytała, czy wolny jest pokój 2-C. Okazało się, że nie.

— A co jest takiego interesującego w pokoju 2-C? — zapytał gospodarz, po raz pierwszy patrząc prosto na nią.

— Mieszkałam w nim przed laty.

— Ach tak! — Wszedł wyżej po schodach, a pani Kind pospieszyła za nim. — Mogę dać pani pokój na drugim piętrze. Identyczny jak 2-C.

— Czy nie wie pan, co się stało z panią, która była tu za moich czasów gospodynią?

— Jak się nazywała?

Leslie nie umiała sobie przypomnieć.

— Pojęcia nie mam — odrzekł obojętnie. — Kupiłem ten dom cztery lata temu od gościa nazwiskiem Prentiss. Ma antykwariat gdzieś w Yillage.

Poprowadził ją korytarzem, którego ściany pomalowano na taki sam jak dawniej ohydny brunatny kolor.

Leslie postanowiła już, że do końca tygodnia zamieszka w tym domu i będzie wspominała czasy, kiedy pierwszy raz tu mieszkała, ale kiedy gospodarz otworzył przed nią drzwi pokoju, widok obscurnego i niewygodnego pomieszczenia odebrał jej wszelką na to ochotę. Udała, że je

451

NOAH GORDON

ogląda, zastanawiając się, jak mogła wytrzymać w tak ohydny wnętrzu.

— Namyśle się i dam panu znać — oznajmiła w końcu.

Popełniła błąd; należało najpierw zapytać o wysokość czynszu.

— Przebierna z pani osoba! — mruknął niechętnie gospodarz pogryzając końce wąsów.

Pożegnała się i nie czekając na niego zbiegła po schodach. Na lunch poszła do baru, gdzie zamówiła krewetki i ciemne piwo. Popołudnie spędziła w Museum of Modern Art, wspominając z pogodną ironią mężczyznę spotkanego na kampusie Wellesley. Kolację zjadła w małej francuskiej restauracyjce, a potem wybrała się na jakiś feeryczny i hałaśliwy musical. Para sąsiadów z hotelu, której nadała tymczasem przezwisko Miodowiczów przez skojarzenie z miesiącem miodowym, również i tej nocy oddawała się hałaśliwej miłości, z tą tylko różnicą, że mężczyzna mówił coś szybko do popiskującej partnerki, tak jednak cicho, iż Leslie nie była w stanie rozróżnić słów.

Następny dzień spędziła w Metropolitan Museum of Art i w muzeum Guggenheima. Trzeciego dnia zwiedzała galerie. Za

sześćdziesiąt dolarów kupiła płótno niejakiego Leonarda Gorletza. Nigdy wcześniej nie zetknęła się z nazwiskiem tego malarza, ale zapragnęła kupić obrazek dla Michaela.

Przedstawiał dziewczynkę z kotkiem. Dziewczynka miała czarne włosy i nie była podobna do Racheli, ale w jej spojrzeniu zwróconym na kociaka wyczuwało się to samo błogie zadowolenie, jakie malowało się tak często na twarzy ich córki, toteż Leslie była pewna, że obrazek się Michaelowi spodoba.

Następnego dnia dane jej było ujrzeć Miodowiczów. Czesłała się właśnie przed zejściem na śniadanie, kiedy usłyszała, jak otwierają się, a następnie zamykają drzwi ich pokoju, po czym z korytarza doleciały ich głosy. Odrzuciła grzebień, chwyciła torebkę i wybiegła. Na widok hałaśliwych kochanków ogarnęło ją straszne rozczarowanie. Wyobrażała ich sobie jako parę pięknych zwierząt, tymczasem mężczyzna okazał się pulchnym kurdupłem z łupieżem na kołnierzu niebieskiej marynarki, a kobieta nerwową chudziwą z noskiem ostrym jak dzióbek wróbla. Mimo to w windzie Leslie zerknęła na nią

452
,?'•' RABIN

z podziwem przez całą drogę na parter, przypominając sobie niezwykłą różnorodność i rozpiętość jej sopranowych eksklamacji.

Następne dwa dni pani Kind przeznaczyła na zakupy. Kupiła kilka rzeczy, których potrzebowała, i oglądała na wystawach takie, jakich mieć nie pragnęła, na które jednak z przyjemnością patrzyła. U Lorda i Taylora kupiła spódniczkę z angielskiego tweedu dla Racheli, a u Webera i Heilbronera gruby niebieski sweter z kaszmiru dla Maxa.

Następna noc różniła się znacznie od poprzednich. Leslie nie mogła zasnąć i zbierało jej się na mdłości na widok tych samych czterech ścian ciasnego hotelowego pokoiku.

Mieszkała w Nowym Jorku już szósty dzień, więc chyba podświadomie zaczynała już mieć dość tego miasta. Na domiar złego zza ściany nie dobiegały odgłosy namiętności państwa Miodowiczów; wyprowadzili się tego dnia. Ich miejsce zajął mężczyzna, który bez przerwy odchrząkiwał, często spuszczał wodę w ubikacji, używał elektrycznej maszynki do golenia i na cały regulator włączał telewizor. Wczesnym rankiem rozpadało się, więc Leslie długo wylegiwała się w łóżku, co jakiś czas zapadając w drzemkę, dopóki głód nie zmusił jej do wstania. Całe deszczowe popołudnie spędziła w salonie „U Ronalda”, czymś w rodzaju Klubu Playboya dla pań, w bok od Columbus Circle. Klientki przechodziły tam z sauny do masażystki, a potem do fryzjera w barwnych hawajskich muumuu z puszystymi ogonkami, które kręciły się wraz z ich kuprami. Leslie wypociła się w temperaturze prawie dziewięćdziesięciu stopni słuchając melodii „Fiddle-Faddle” granej przez Boston Pops, a potem oddała się w łapy jakiejś markizy de Sade o stalowych palcach, która wygniotła ją, wyklepała i wyszczypała. Następnie niejaka Theresa umyła jej szamponem głowę, gdy zaś różowa piana wnikała w pory twarzy klientki, niejaka Helenę zrobiła jej manicure, a niejaka Doris pedicure, obie jednocześnie.

Kiedy pani Kind opuszczała salon piękności, deszcz padał już mniejszy. Światła Broadwayu drżały kolorowymi pręgami na przejeżdżających samochodach i mokrej jezdni. Leslie ruszyła w dół miasta osłonięta parasolką. Czuła się wypoczęta i zadbana. Zastanawiała się nad ważną kwestią: dokąd pójść na 453

NOAH GORDON

kolację? Miała ochotę na jakiś elegancki lokal, ale potem zmieniła zdanie. Uznała, że byłoby nierozsądnie narażać się na te wszystkie ceremonie, czekać, aż ją posadzą przy stoliku,

a potem zamawiać i spożywać w samotności za obfite na jedną osobę danie. Przystanąła pod jakimś pulsującym neonem zastanawiając się, czy wejść do środka, i przyglądała się przez moką szybę manekinowi w białej czapie szefa kuchni, który ubijał w rondlu ogromną jak góra masę z żółtek. Rozmyśliła się w końcu, przeszła jeszcze pół przecznicy i weszła do baru „U Horna i Hardarta”. Rozmieniła banknot jednodolarowy na garść drobnych, po czym zastawiła tacę sokiem pomidorowym, daniem wegetariańskim z warzyw, rogalikiem i galaretką owocową. Bar był zatłoczony. Leslie mijąca stolik za stolikiem, zanim znalazła dwuosobowy stolik, przy którym siedział grubas z głupkowskim wyrazem twarzy Danny'ego Kaye'a i popijając kawę czyta! „Daily News”. Na podłodze, oparta o jego nogi, stała wypchana teczka. Leslie opróżniła tacę, odłożyła ją na wózek popychany przez posługacza i przypomniała sobie, że zapomniała o kawie. Kawowy automat stał o kilka zaledwie kroków dalej, podeszła więc do niego, wrzuciła monetę i wyjęła przepełniony kubek, który następnie zaniosiła ostrożnie do stolika.

O jej szklanekę z sokiem ktoś oparł cienką broszurkę. Leslie wzięła ją do ręki i przeczytała odbity na powielaczu tytuł: „Nasz prawdziwy wróg”.

Popijając sok pomidorowy czytała:

„Prawdziwym wrogiem zagrażającym dzisiaj Ameryce jest spisek żydokomuny, która zmierza do ujarznienia nas poprzez rozcieńczenie naszej białej chrześcijańskiej krwi krwią niższej rasy czarnych kanibali.

Żydzi nie od dzisiaj kontrolują nasze banki i środki przekazu poprzez rozmaite machinacje będących ich własnością międzynarodowych karteli. Obecnie zwrócili swoje chytre oczy na nasze szkolnictwo, aby urabiać umysły znajdujące się w najpodatniejszym okresie rozwoju.

Czy takiego losu pragniesz dla swoich dzieci? Czy zdajesz sobie sprawę, ilu komunistów żydowskiego pochodzenia uczy dzisiaj w szkołach publicznych Manhattanu?"...

454

Leslie rzuciła broszurkę na stół.

— Czy to pańskie? — zwróciła się do grubasa.

Podniósł na nią oczy.

Przesunęła broszurkę w jego stronę.

— Czy nie zauważył pan, kto ją tu położył?

— O Chryste Jezu! Czy nie można już sobie w spokoju poczytać gazety?

Odszedł od stolika zabierając teczkę. Jeden jej pasek był odpięty. Czy wcześniej również? Leslie nie mogła sobie tego przypomnieć. Przyjrzała się ludziom przy sąsiednich stolikach. Nie zwracali na nią żadnej uwagi. Wtykali kęsy pożywienia w jamy gębowe pozbawionych wyrazu twarzy. Każdy z nich mógł podrzucić to paskudztwo.

Ale dlaczego? Dlaczego? — zwróciła się z niemym pytaniem do tych bezbarwnych gąb. Czego wy chcecie? Co chcecie osiągnąć? Zniknijcie stąd i zostawcie nas w spokoju!

Zaszyjcie się gdzieś w lasach i tam odprawiajcie o północy swoje czarne msze. Trujcie psy. Duście małe futerkowe zwierzątka. Utopcie się w morzu. Albo jeszcze lepiej: niech się wam otworzy pod stopami ziemia i niech was pochłonie!

Czy takiego losu pragniesz dla swoich dzieci?

Przede wszystkim pragnę, żeby miały czym oddychać! Po prostu oddychać!

Nie zapewnię im tego ukrywając się w pokoju hotelowym, pomyślała. Przede wszystkim muszę wrócić do domu!

A potem uświadomiła sobie, że ma do załatwienia jeszcze jedną ważną dla siebie sprawę. Między jej ojcem a autorem tej plugawej broszurki nie istniało żadne podobieństwo. Musi

spojrzeć w oczy swojemu ojcu i odpowiedzieć mu — tak żeby zrozumiał — na pytania, jakie jej zadał.

Nazajutrz w pociągu próbowała sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz zrobiła ojcu prezent, i nagle zapragnęła coś mu ofiarować. W Hartford prosto z pociągu poszła do księgarni Foxa i kupiła książkę Reinholda Niebuha*. Jadąc taksówką na Elm Street stwierdziła, że książkę wydano przed kilkoma laty, więc ojciec prawdopodobnie już ją czytał.

* Amerykański teolog i filozof (1892—1971).

455

. NOAH GORDON

Na plebanii nikt nie odpowiadał na jej pukanie, okazało się jednak, że drzwi nie są zamknięte na klucz.

— Halo! — zawołała.

Z biblioteki ojca wyszedł jakiś starszy pan z lwią grzywą białych włosów i siwymi krzaczastymi brwiami. W rękę trzymał pióro i blok piśmienny.

— Czy zastałam pana Rawlinsa? — zapytała Leslie.

— Tutaj? Przecież... Ach, to pani nic nie wie? — Dotknął jej ramienia. — Pan Rawlins nie żyje, moje dziecko!... No już, no już!... — Dotarł do niej jego uspokajający głos, a potem usłyszała stuk upadającej na podłogę książki i poczuła, jak staruszek sadza ją na krześle.

Jednak po chwili dość nieoczekiwanie ją opuścił. Słyszała, jak krząta się w głębi domu. Wstała i podeszła do kominka. Na półce leżał gipsowy odlew jej prawej dłoni. Leslie domyśliła się, że ojciec musiał wykorzystać woskową „rękawiczkę” jako formę odlewniczą. Staruszek wrócił z dwoma kubkami gorącej herbaty; wypili ją razem powoli. Była doskonała. Nazywał się Wilson. Był emerytowanym duchownym; porządkował księgi parafialne jej ojca.

— To zadanie, jakie zwykle przydzielają starym — wyjaśnił.
— Muszę jednak przyznać, że w tym wypadku nie należy ono do mozolnych.

— Ojciec był bardzo staranny — powiedziała.

Odchyliła głowę na oparcie krzesła i zamknęła oczy. Pan Wilson zostawił ją samą. Jednak po jakimś czasie wrócił i zapytał, czy nie chciałaby, żeby ją zawiózł na cmentarz.

— Gdyby pan był tak dobry...

Na cmentarzu wskazał jej grób, ale nie odjechał, czekał na nią w samochodzie, za co była mu ogromnie wdzięczna.

Stała nad świeżą mogiłą ojca i zastanawiała się, co mu powiedzieć, by zrozumiał, że jednak go kochała. W pewnej chwili wydało jej się, że słyszy jego głos śpiewający hymn i zaśpiewała cicho razem z nim:

Gdy zmrok zapada i noc, Panie mój, Ty nie opuszczaj mnie,
Ty przy mnie stój! Kiedy pomocy już znikąd we dnie, O Panie mój,
Ty nie opuszczaj mnie!

456

: RABIN

Gdy cienie bledną, dogasają dnie, W życiu, po śmierci nie opuszczaj mnie!
Gdy oczy zamknę, staw mi przed nie krzyż,
Rozświetlaj mroki, duszę kieruj wzwyż!

Choć w czwartym wersie załamał jej się głos, dośpiewała hymn do końca. To był jej prezent dla ojca. Udzieliła mu też — prawda że spóźnionej — odpowiedzi na jego pytanie, a zrobiła to słowami modlitwy, jaką od osiemnastu lat odmawiała za duszę matki. Jisgadál wejiskadasz szemej raba, bealma di bera, chirutej, wejamlich malchitej...

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Wieczorem Michael kładł się spać przy dwunastostop-niowym mrozie, a rano — co typowe dla Nowej Anglii — obudził się w odwilż. Kiedy jechał do śródmieścia, chodnikami rwały

strumienie wody, a ziemia wyzierała spod śniegu brunatnymi, podobnymi do dziur w kocu plamami.

W świątyni z trudem udało się im zebrać dziewięciu mężczyzn. Schodzili się ospale jeden po drugim, jak to się zdarzało w niektóre poranki, i w końcu Michael musiał zadzwonić do Benny'ego Jacobsa i poprosić go, żeby wyświadczył mu tę przysługę i dopełnił minjanu. Jacobs nigdy nie odmawiał, zjawił się i tym razem. Należał do osób, które czynią pracę rabina wdzięczną, pomyślał Michael. Kiedy chciał mu podziękować po nabożeństwie, Jacobs machnął bagatelizującą ręką.

— Wybieram się właśnie po alkohol na noworoczne przyjęcie w świątyni. Ma pan jakieś specjalne zamówienie, rabi?

Michael uśmiechnął się.

— Mam pełne zaufanie do pańskiego smaku, Ben. Cokolwiek pan kupi, okaże się na pewno wyśmienite.

Upewniwszy się w kalendarzu w gabinecie, że nie ma wyznaczonych na ten dzień żadnych spotkań, wyszedł ze świątyni i pojechał do domu sprawdzić, czy nie nadeszła

457
NOAH GORDON

poczta. W skrytce znalazł tylko rachunki i katalog nasion. Następną godzinę spędził na studiowaniu oferty nowych odmian warzyw i czytaniu z napływającą do ust ślinką zachęcających przepisów kulinarnych. Kupon zamówienia wypełnił w końcu tak samo jak w poprzednim roku. Potem położył się na kanapie w salonie i słuchał przez jakiś czas muzyki z radia. Po skończonym koncercie podano prognozę pogody: temperatura miała jeszcze wzrosnąć o kilka stopni, a przed wieczorem znowu gwałtownie spaść, czemu będą towarzyszyć obfite opady śniegu. Michael nie nawiózł jesienią ogrodu i teraz uzmysłowi! sobie, że następna okazja nadrobienia zaniedbania może się już tej zimy nie powtórzyć,

przebrał się więc szybko w stare spodnie i znoszoną marynarkę, naciągnął rękawice robocze i śniegowce i pojechał do supermarketu po tekturowe kartony. Miał stałą umowę z pewnym hodowcą indyków i prosto ze sklepu pojechał na jego farmę, gdzie co roku po Święcie Dziękczynienia i Bożym Narodzeniu usypywano górę ptasich odchodów.

Nawóz był w doskonałym stanie, dobrze przewietrzony, konsystencji trocin, pełen długich białych piór, które pięknie rozkładały się w glebie. W panującej tego dnia temperaturze nie wydzielał smrodu, a robactwo, jakie wiosną i jesienią czyniło tę robotę nieprzyjemną, wygubiły mrozy. Rabin ładował szpadlem indyckie łajno do kartonów, dbając, by się nie wysypywało do bagażnika auta, który wyłożył gazetami. Przygrzewało słońce, więc początkowo pracowało się przyjemnie, ale Michael wiedział z doświadczenia, że będzie musiał obrócić aż pięć razy w tę i z powrotem, zanim zwiezie dość nawozu. Gdy po trzecim kursie zwałił ładunek w ogrodzie, niebo zaciągnęły chmury, a temperatura spadła, więc przestał się pocić, gdy zaś podjeżdżał pod dom z ostatnią partią guana, sypanął śnieg jak ziarna jęczmienia.

— Cześć!

Max wrócił już ze szkoły. Podszedł teraz do samochodu i przyjrzał się ze zdziwieniem roboczemu strojowi ojca.

— Co robisz?

— Bawię się w ogrodnika — odrzekł Michael, czując jak płatki śniegu osiadają mu na rzęsach i brwiach. — Nie pomógłbyś mi?

458

RABIN

We dwóch przenieśli i zwalili w ogrodzie ostatnie kartony z nawozem. Max przyniósł z piwnicy łopaty, po czym zaczęli rozrzucać nawóz w coraz gęstszym śniegu sypiącym puszystymi płatkami z pociemniałego nieba.

— Pomidory wielkie jak dynie! — zawołał Michael i machnął łopata, przyglądając się jak świeży śnieg pokrywa ciemna warstwa nawozu.

— Dynie wielkie jak mandarynki! — replikował Max. Szuup!

— Kukurydza słodka jak pocałunki! Szuup!

— Robaczywe rzodkiewki! Melony w czarne plamki! Szuup!

— O synu niegodny! — oburzył się Michael. — To ty nie wiesz, że twój ojciec ma co się zowie „zielone palce”?

— Tak ci się brudzą przez rękawiczki? — zaśmiał się chłopak.

Pracowali bez wytchnienia, póki nie rozrzučili całego nawozu, a wtedy Michael oparł się na łopacie — niczym bohater

reklamówek Zarządu Robót Publicznych — i przyglądał się,

jak Max kończy pracę w pojedynkę. Chłopak powinien już

pójść do fryzjera. Skórę na rękach miał popekaną i

zaczzerwienioną. Gdzie się podziały jego rękawiczki?

Wyglądał raczej na syna farmera niż rabina. Michael

wyobraził sobie, jak będą wiosną przekopywali razem

ogródek, siali, a potem czekali niczym mieszkańcy kibucu na

pierwsze bladozielone pędy kiełkujące spod warstwy nawozu.

— A skoro już mowa o pocałunkach, potrzebujesz wóz na

Nowy Rok?

— Raczej nie. Dziękuję. — Max rozrzucił ostatnią porcję i

wyprostował ze stęknięciem plecy.

— Co się stało?

— Nie mam randki. Zerwałem z Dess. Michael przyjrzał się

synowi, szukając na jego twarzy śladów miłosnej tragedii.

— Umówiła się z jednym starszym gościem, studentem

uniwersytetu Tuftsa. — Max wzruszył ramionami. — Tym jej

głównie zaimponował. — Oskrobał łopaty z nawozu. —

Wiesz, zabawna rzecz, ale w ogóle mnie to nie obeszło. A

wydawało mi

się, że jestem w niej zadurzony na śmierć i gdybyśmy mieli ze sobą zerwać, chyba by mnie to dobiło.

— A nie dobiło?

— Raczej nie. Ostatecznie nie mam jeszcze nawet siedemnastu lat i ta cała historia z Dess była tylko... hm, czymś w rodzaju suchej zaprawy. Ale później, jak już człowiek jest starszy, po czym to się poznaje?

— Zadaj mi bardziej konkretne pytanie, Max.

— Co to jest „miłość”, tato? Skąd się wie, że naprawdę się kogoś kocha?

Michael domyślił się, że ta kwestia naprawdę syna dręczy.

— Nie znam dobrej definicji — odparł. — Kiedy będziesz już starszy i spotkasz kobietę, z którą zapagniesz spędzić resztę swego życia, nie będziesz musiał nikogo o to pytać.

Zebrali kartony i włożyli jeden w drugi, żeby łatwiej je było transportować.

— Czy już za późno, żebyś umówił się na Nowy Rok z kimś innym? — zapytał Michael.

— Okazuje się, że tak. Dzwoniłem do furi dziewcząt: do Roz Coblentz, do Betty Lipson, do Alice Striar. Wszystkie są już umówione, i to od tygodni. — Zerknął na ojca. — Wczoraj wieczorem zadzwoniłem do Lisy Patruno, ale też już była umówiona.

Uwaga! Baczność, zejść!

— Czy ja ją znam?

— Jej ojcem jest Pat Patruno, ten aptekarz.

— Ach tak!

— Masz mi to za złe? — zapytał Max.

— Coś ty!

— A jednak?...

— Jesteś już dużym chłopcem, Max, choć jeszcze nie mężczyzną. Od tej pory będziesz musiał samodzielnie podejmować niektóre decyzje. Im będziesz starszy, tym

ważniejsze. Ilekroć będziesz potrzebował mojej rady, wystarczy mnie o nią zapytać. Nie zawsze podejmiesz decyzję właściwą, nikt nie jest nieomylny, ale musiałbyś nieźle narozrabiać, żebym wziął ci to naprawdę za złe.

— Zresztą tak czy owak była już umówiona — przesądził sprawę Max.

460

RABIN

— Wiesz, znam tu pewną dziewczynę z Nowego Jorku. Lois ma szesnaście lat. Przyjechała w odwiedziny do państwa Mendelsohnów. Jeśli chcesz spróbować, będziesz musiał zadzwonić do biura numerów, bo nie ma ich jeszcze w książce telefonicznej.

— Ładna?

— Nie widziałem jej, ale jej starszą siostrę określiłbym kiedyś mianem „wdechowej babki”.

Ruszyli w stronę domu. Ni stąd, ni zowąd Max dał ojcu kuksańca w bok, od którego Michaelowi aż zdrętwiało ramię.

— Wiesz, jak na wapniaka wcale nie jesteś takim strasznym zgreдем...

— Dzięki!

— Albo jak na rabina, który w śnieżycę rozrzuca ptasie gówno w ogrodzie...

Michael wziął prysznic i przebrał się, po czym podgrzali sobie zupę z puszki. Max zapytał, czy mógłby wziąć samochód, żeby pojechać do biblioteki. Po wyjściu syna rabin długo stał przy oknie i przyglądał się płątkom padającego śniegu, a gdy w pewnej chwili przyszedł mu do głowy pomysł na kazanie, usiadł do maszyny. Potem wyjął z szafy w holu puszkę pasty do czyszczenia mosiądzu i wszedł na górę. Łoże po dziadku było już bardzo zabrudzone. Michael czyścił je wolno i starannie. Nałożywszy pastę, umył ręce i zaczął polerować łóżko miękkimi szmatami, obserwując z radością, jak znika

zmatowienie i odczyszczony metal przebłyskuje spod niego głębią ciepłego wewnętrznego blasku.

Miał jeszcze do wypolerowania cały zagłówek, gdy usłyszał odgłos otwieranych drzwi frontowych, a potem kroki na schodach.

— Kto tam?! — zawołał.

— Cześć!

Leslie podeszła do niego od tyłu. Kiedy się odwrócił, pocałowała go w kącik ust, a potem ukryła twarz na jego ramieniu.

— Lepiej zadzwoń do doktora Bernsteina — powiedziała zdławionym głosem.

461

NOAH GORDON

— Mamy mnóstwo czasu — odszepnęła. — Bezmiar czasu! Długo trzymali się w objęciach.

— Byłam po drugiej stronie lustra — wyszeptała w końcu.

— Podobało ci się tam? Zajrzała mu w oczy.

— Zamknęłam się w pokoju hotelowym, piłam whisky i próbowałam narkotyków. Codziennie brałam sobie nowego kochanka.

— Nie wierzę ci! Wcale ci nie wierzę! To zupełnie do ciebie niepodobne.

— Faktycznie — przyznała. — Odwiedzałam miejsca, w których mieszkałam, zanim cię poznałam, próbując odkryć kim jestem.

— I co odkryłaś?

— Że poza tym domem nie istnieje dla mnie nic ważnego. Że wszystko inne jest złudzeniem, iluzją.

Domyśliła się z wyrazu jego twarzy, że ma jej do oznajmienia jakąś złą nowinę.

— Dziś rano byłam w Hartford. Już wiem. Skinął głową i dotknął jej policzka.

— Kocham cię — szepnął.

Miłość to właśnie to, zwrócił się w duchu do syna. To co czuje do twojej matki, co czuję do tej kobiety.

— Wiem — powiedziała.

Wziął ją za rękę. W mosiężnej ramie łóżka odbijały się ich niewyraźne sylwetki.

Na dole otworzyły się drzwi. Usłyszeli głos Racheli.

— Tato?

— Jesteśmy na górze, kochanie! — zawołała Leslie.

Michael tak mocno ścisnął jej rękę, jakby chciał, żeby na zawsze zrosła się z jego dłonią, by nawet Bóg nie mógł ich rozdzielić.

462

RABIN

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Kiedy rankiem ostatniego dnia roku Rachela wśliznęła się do łóżka ojca i wtuliła w niego, by się ogrzać, Michael wyciągnął rękę i wyłączył budzik. Zamiast wstać, przytulił córkę i zaczął delikatnie gładzić podobną z kształtu do jajka małą główkę porośniętą gęstymi jedwabistymi włosami. Po chwili oboje na powrót zasnęli.

Obudziwszy się ponownie, rabin stwierdził z przerażeniem, że minęła już dziesiąta. Po raz pierwszy od wielu miesięcy opuścił nabożeństwo poranne! Ponieważ jednak nie zadzwonił pełen rozpaczy telefon ze świątyni, Michael uspokoił się, gdyż uświadomił sobie, że widać zdołano zebrać minjan bez jego udziału.

Wstał z łóżka, wziął prysznic, ogolił się i ubrał w drelichowe spodnie i kurtkę. Na śniadanie wypił tylko szklankę soku, a potem usiadł bosy w swoim gabinecie i napisał przed lunchem długi list do ojca.

„...Leslie jest zachwycona najświeższą nowiną. Kiedy wreszcie dostąpimy szczęścia poznania panny młodej? Może

byście nas wkrótce odwiedzili? Uprzedźcie tylko, abyśmy zdążyli przygotować uroczyste powitanie".

Po lunchu pojechał do Leslie. Popołudnie było mroźne, lecz pogodne. Okutani niczym Eskimosi wybrali się na długi spacer i wspięli na najwyższe wzniesienie na terenie szpitala — zalesioną górkę pozbawioną ścieżek. Przez całą drogę zapadali się w głęboki, z wierzchu tylko zmarznięty śnieg, toteż gdy wdrapali się na wierzchołek, Michael ledwo dyszał, a na policzkach Leslie wykwitły rumieńce. Odbite od śniegu słońce raziło ich w oczy. W oddali lśniło jezioro pod śniegiem, miejscami tylko odgarniętym dla wygody łyżwiarzy. Na lodzie uwijały się figurki hokeistów. Państwo Kind siedzieli na zaśnieżonym stoku i trzymali się za ręce. Michaela ogarnęło pragnienie, żeby zatrzymać tę chwilę, uwiecznić, schować pod językiem jak cukierek, żeby jak najdłużej rozkoszować się smakiem, ale wiatr zacinał ich w twarze śnieżnym pyłem

463

NOAH GORDON

i siedzenia zdrętwiały im z zimna, więc zeszli w końcu z górki i wrócili na oddział.

Elizabeth Sullivan zaprosiła ich na kawę do swojej klitki. Nie zdążyli wypić, kiedy wpadł dokonujący porannego obchodu Dań Bernstein i oskarżycielsko wycelował w Leslie palec.

— Mam dla ciebie prezent. Właśnie omawialiśmy twój przypadek na zebraniu personelu. Zamierzamy się panienki wkrótce pozbyć!

— Czy mógłby nam pan podać dokładną datę? — zapytał rabin.

— No cóż, kuracja potrwa jeszcze tydzień, potem kilka dni odpoczynku i żegnaj, Fruziu!

Poklepał Michaela po ramieniu i pobiegł na oddział, a panna Sullivan pospieszyła za nim z kartoteką na wózk.

Leslie otworzyła usta pragnąc coś powiedzieć, ale nie udało jej się wykrztusić słowa, więc uśmiechnęła się tylko do męża i wzniosła kubek, a Michael stuknął się z nią, zastanawiając się, jaką by tu komiczną mowę wygłosić, w której dałoby się zawrzeć ostatecznie doświadczenia, jednak szybko zdał sobie sprawę, że przemówienie nie jest tu potrzebne, więc tylko zajrzał żonie głęboko w oczy, wypił kawę i sparzył się w język.

Wieczorem Max podjechał samochodem pod świątynię i czekał na ojca.

— Dobry wieczór, tato. Szczęśliwego Nowego Roku!

Niewiele myśląc Michael nachylił się i pocałował syna w policzek. Wyczuł zapach własnej wody po goleniu.

— Hej! A to z jakiej okazji? — zdziwił się chłopak.

— Bo od tej pory będziesz już dla mnie na takie czułości za stary. Tylko jedź ostrożnie!

Świetlica na parterze była zatłoczona gośćmi w śmiesznych papierowych czapkach. Członkowie gminy urzędowali za prowizorycznym barem i sprzedawali trunki, zbierając pieniądze na hebrajską szkołę. Pięciu muzyków wygrywało szaloną bossa novę, a ustawione w dwuszeregu kobiety z przymkniętymi oczami przeginały ciała w rytm muzyki niczym jakieś plemienne komunikantki na parkiecie tanecznym.

464

i RABIN

— A, nasz rabi! — ucieszył się Ben Jacobs. Michael obszedł powoli całą salę. Jake Lazarus chwycił go za rękę.

— Nu, znowu przeleciało dwanaście miesięcy, minął kolejny roczek! Pięćdziesiąt dwa szabatowe nabożeństwa! — zawołał kantor ze wzrokiem zamglonym uniesieniem i żytniów-ką. — Jeszcze kilka lat i koniec stulecia. Koniec drugiego tysiąclecia. Niech pan tylko pomyśli!

— Radzę sięgnąć myślą głębiej i przypomnieć sobie, że mamy rok pięć tysięcy siedemset sześćdziesiąt — rzekł Michael. — My zaczęliśmy liczyć czas nieco wcześniej.

— Dwa tysiące czy pięć tysięcy siedemset sześćdziesiąt, co za różnica? Mnie tak czy siak stukną jak raz sto trzy latka! Niech mi pan powie, rabi, jaki będzie wtedy świat?

— A czy to ja jestem jasnowidzem, Jake? — Rabi klepnął kantora serdecznie w policzek.

Dopchał się do baru i odszedł od niego z kieliszkiem hojnie napełnionym bourbonem. Na jednym ze stołów suto zastawionych przez kobiety znalazł między paterami tajgłech i ciastek prawdziwy skarb: półmisek kandyzowanego imbiru! Wziął dwa kawałki, opuścił salę i wszedł po schodach na górę. Kiedy zamknęły się za nim drzwi świątyni, dobiegające z dołu dźwięki okrył jakby pokrowiec z aksamitu. Michaela otaczała ciemność, ale ostatecznie był w swojej synagodze i nie potrzebował oświetlać sobie drogi. Środkowym przejściem doszedł do trzeciego rzędu krzeseł nakrywając dłonią płyn w kieliszku, żeby się nie wylał.

Usiadł, sącył bourbona i przegryzał imbirem. Jeden mały łyżeczek na trzy, cztery kęsy, nie najwłaściwsza jak się okazało proporcja — imbir się szybko skończył, a whisky zostało jeszcze sporo. Rabin popijał trunek i pozwalał myślom błąkać się w ciemności, która w miarę jak przyzwyczajał mu się wzrok, zaczęła się zresztą rozpraszać, tak że wkrótce rozróżniał kontury ambony, na której miał stanąć za dwadzieścia cztery godziny, żeby odprawić nabożeństwo szabatowe.

Ile to on już wygłosił takich kazań od tamtego pierwszego w Miami? Tyle nabożeństw, tyle słów! Uśmiechnął się w mroku. A jeszcze więcej go czekało, przeczuwał to. Mógłby niemal

30 Rabin

465

NOAH GORDON

wyciągnąć rękę i dotknąć tej drabiny z szabatów, po której wkroczy w wieczność.

„Tak powiesz do synów Izraela: TEN, KTÓRY JEST, Bóg waszych ojców. Bóg Abrahama, Bóg Izaaka, Bóg Jakuba posłał mnie do was. Takie ma być moje imię na zawsze, takie upamiętnienie mojej Osoby z pokolenia w pokolenie”.

Dzięki Ci, Boże!

Orkiestra w sali na dole zaczęła grać jakąś skoczną melodię. Gdyby Leslie tu z nim była, chętnie by zatańczył, nogi same rwały się do tańca. Zatańczą za rok.

W ustach rozpływał mu się słodko-gorzki smak imbiru. Nie bój się, zjedę, szepną! Michael w ciemność. Sześć tysięcy lat to nie mrugnięcie powieki ani klaśnięcie ptasich skrzydeł. Nie dzieje się nic nowego na powierzchni tej odwiecznej ziemi.

Czego nie unicestwiły krwawe pogromy i krematoryjne piece, tego nie zniszczą zmiany nazwisk, małe nosy czy mieszanie się naszej krwi z krwią obcoplemieńców.

Powinienem był powiedzieć Jake'owi Lazarusowi, że tyle przynajmniej wiem o przyszłości, pomyślał. Poprawił się na krzeselku i dopił bourbona rozkoszując się jego ognistą mocą. Zanotował sobie w pamięci ostatnią myśl.

Rozwinie ją rano w kazaniu.

SPIS RZECZY

Księga pierwsza

Początki . . . Księga druga

Na pustyni . . . , Księga trzecia

Wyjście . . . Księga czwarta

Ziemia obiecana

7

121

313

429

Pierwsza część trylogii o dziejach lekarskiego rodu Cole'ów. W jedenastowiecznej Anglii osierocone dziecko miało szansę przeżyć, jeśli ktoś je przygarnął. Rób J. Cole, syn cieśli i hafciarki, po śmierci rodziców zostaje pomocnikiem wędrownego balwierza, parającego się również leczeniem. Wykazuje nie tylko zapał do nauki, ale też ową szczególną wrażliwość, która pozwala „czytać” w chorym organizmie, dostrzegać w nim wolę walki lub chęć poddania się. Punktem zwrotnym w jego życiu staje się spotkanie z żydowskim lekarzem, którego kunszt odbiega od szalbierskich sztuczek średniowiecznych medyków. Odtąd każdym krokiem Roba kieruje jedno tylko pragnienie: zostać uczniem sławnego perskiego lekarza, Ibn Siny, w świecie zachodnim zwanego Awicenną... Osiemset lat po Robie J. Cole'u, bohaterze powieści Medicus, człowiek o tym samym imieniu i nazwisku, przedstawiciel tej samej profesji, opuszcza Szkocję i udaje się do Ameryki. Odbywszy praktykę pod okiem słynnego chirurga, wyrusza w prerie Illinois, gdzie osiada w powstającym dopiero miasteczku. Tam spotyka przyszłą żonę, tam też przychodzi na świat jego syn, zwany Szamanem, który dziedziczy po ojcu Dar - umiejętność „czytania” w chorym organizmie. Jego powołaniem jest leczenie ludzi. Niestety, Szaman traci słuch... Szaman to — podobnie jak Medicus — ciepła, głęboko humanistyczna powieść, której bohaterowie przeciwstawiają się fanatyzmowi i obskurantyzmowi, to także powieść o miłości, poświęceniu i współczuciu dla cierpiących oraz o walce ze słabością własnego organizmu.

.•:• '•:' Ostatnia część trylogii o dziejach lekarskiego rodu Cole'ów, którego protoplastą

był żyjący w XI wieku
doktor Robert Jeremy Cole, bohater Medicusa.
Wielu jego potomków było lekarzami,
niektórzy zaś odznaczyli się niezwykłym
szóstym zmysłem, zwanym w rodzinie Darem,
pozwalającym przeczuwać, czy pacjent wyzdrowieje.
W XX wieku Dar odziedziczyła Roberta Cole,
która sprawiła zawód ukochanemu ojcu,
gdy wybrała studia prawnicze, nie medyczne.
Powołanie okazało się jednak silniejsze — Roberta
poddawała się w końcu przeznaczeniu, •.; kontynuując tradycję
długiej linii przodków.

Noabył/mton

\.Lekarze

W okręgowym szpitalu amerykańskim
spotykają się trzech błyskotliwi, pełni energii lekarze.
Sprawdziła ich tu ambicja i oddanie szczególnej misji.
Pracując w cieniu komisji, która ocenia lekarzy i może
decydować o ich karierze, młodzi chirurdzy
uczą się dokonywać wyboru, przyjmować porażki
i zwycięstwa, godzić życie osobiste z wymaganiami,
jakie stawia ich powołanie.

Lekarze to powieść o sztuce leczenia i etyce lekarskiej,
która nie zna różnic religijnych, rasowych czy kulturowych,
o miłości, która może popychać do działania lub krepować,
i o zwyczajnych ludziach, których powołaniem
jest ratowanie ludzkiego życia.

Noah Gordon

T^abin

Bohater tej powieści, człowiek twardych zasad,
był już rabinem, kiedy zakochał się
i ożenił z chrześcijanką, w dodatku córką pastora.
Ich dzieje to opowieść o kobiecie i mężczyźnie,

którzy muszą się nauczyć,
jak radzić sobie z komplikacjami
niesionymi przez życie w świecie, gdzie
żydzi i chrześcijanie nie zakochują się w sobie,
a tym bardziej nie zawierają małżeństw;
to także opowieść o poszukiwaniu własnej tożsamości,
o dylematach człowieka,
któremu bardzo osobiście postrzegany Bóg
nie przesłonił świata, o uczciwości
wobec siebie i innych,
tolerancji i współczuciu dla bliźnich.

ISBN 83-7132-459-6

i[^]t -11 nn -.1

Kabin

Ponadczasowa opowieść - - —: o poszukiwaniu własnej
tożsamości, o dylematach człowieka, któremu bardzo
osobiście postrzegany Bóg nie przesłonił świata
»Książnica«